

ANGLIA, XVII WIEK. TRWAJĄ POLOWANIA NA CZAROWNICE...

Philippa Gregory Mokradła



Książnica

Philippa Gregory

Mokradła

Przełożyła z angielskiego
Maria Grabska-Ryńska



Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału:
Tidelands

Projekt okładki:
JAMES IACOBELLI, LAYWAN KWAN
© 2019 Simon&Schuster

Ilustracje wewnętrzne:
© NataLima/Shutterstock

Koordinacja projektu:
ALEKSANDRA CHYTRON-KOCHANIEC

Redakcja:
„BALTAZAR” RING JACEK, WOJCIECHOWSKA-RING DOROTA

Korekta:
URSZULA WŁODARSKA

Skład:
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Copyright © 2019 by Levon Publishing Ltd.
All rights reserved, including the right to reproduce this book or portions thereof in any form whatsoever. For information, address Atria Books Subsidiary Rights Department, 1230 Avenue of the Americas, New York, NY 10020.
First Atria Books hardcover edition August 2019
ATRIA BOOKS and colophon are registered trademarks of Simon & Schuster, Inc.
All rights reserved.

Polish edition © Publicat S.A. MMXX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni. Jakikolwiek odniesienia do wydarzeń, miejsc i postaci historycznych mają charakter fikcyjny. Wszelkie podobieństwo do pozostałych osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-245-8435-2

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wybrzeże Sussexu. Noc przesilenia, czerwiec 1648

Mokradła, lipiec 1648 roku

Mokradła, lipiec 1648 roku

Mokradła, lipiec 1648 roku

Mokradła, sierpień 1648 roku

Mokradła, sierpień 1648 roku

Brzegi Sussexu, wrzesień 1648 roku

Newport, wyspa Wight, wrzesień 1648 roku

Mokradła, wrzesień 1648 roku

Douai, Francja, wrzesień 1648 roku

Mokradła, październik 1648 roku

Douai, październik 1648 roku

Mokradła, październik 1648 roku

Douai, listopad 1648 roku

Mokradła, listopad 1648 roku

Douai, listopad 1648 roku

Mokradła, listopad 1648 roku

Douai, grudzień 1648 roku

Mokradła, grudzień 1648 roku

Londyn, grudzień 1648 roku

Mokradła, grudzień 1648 roku

Londyn, grudzień 1648 roku

Mokradła, grudzień 1648 roku

Haga, Niderlandy, grudzień 1648 roku

Mokradła, styczeń 1649 roku

Pałac Westminsterski w Londynie, styczeń 1649 roku

Mokradła, styczeń 1649 roku

Londyn, styczeń 1649 roku

Mokradła, luty 1649 roku

Londyn, luty 1649 roku

Mokradła, luty 1649 roku

Mokradła, luty 1649 roku

Posłowie

Przypisy

Dla Anthony'ego



WYBRZEŻE SUSSEXU NOC PRZESILENIA, CZERWIEC 1648

Niebo było szare, tak jak i bryła kościoła. Mroczna dzwonnica odcinała się na tle posępnych chmur. Młoda kobieta słyszała delikatny szmer kamyków, poruszanych falą nadchodzącego przypływu, który szeptał na zalewanej plaży i cofał po chwili z cichym sykiem.

Lato było w pełni. To noc przesilenia, kulminacja roku i mimo że była ciepła, kobieta czuła chłód. Bądź co bądź przybyła tu spotkać się z duchem. Tylko tej nocy – i w dni poświęcone świętym patronom – zmarli przechadzali się pośród żywych. Wątpiła, by jej mąż, pijak i gwałtownik, znajdował się pod opieką jakiegokolwiek świętego. Nie potrafiła sobie też wyobrazić, by jakiś anioł strzegł jego chwiejnych kroków z przystani do karczmy i z powrotem. Nie wiedziała, czy odszedł, zginął, czy został siłą wcielony w szeregi zdradzieckiej floty, która zwróciła się przeciw swemu królowi i teraz żeglowała pod buntowniczą banderą parlamentu. Jeśli go dziś zobaczy, zyska pewność, że jest martwy. A wtedy ogłosi się wdową i wreszcie będzie wolna. Nie miała żadnych wątpliwości, że jeśli utonął, to jego duch ociekający wodą przyjdzie do niej przez mgłę otulającą cmentarz. Dziś, w najkrótszą noc roku, kiedy bladawa smuga na zachodzie zdradzała słońce wciąż czające się za horyzontem, nic nie było na swoim miejscu ani w swoim czasie. Słońce nie zaszło, tron był pusty, a świat wywrócił się do góry nogami. Król był uwięziony, buntownicy u władzy, biały księżyc zaś świecił niczym trupia czaszka wśród łopocących proporców szarych chmur.

Pomyślała, że jeśli uda jej się spotkać męża, dryfującego niczym morskie widmo pośród cmentarnych cisów, przeżyje najszczęśliwszą chwilę, odkąd przestała być dzieckiem. Skoro utonął, ona będzie wolna. A jeżeli chodzi teraz po świecie razem z umarłymi, na pewno go zobaczy. Bo miała dar, jak jej matka, a przed nią babka. Jak wszystkie kobiety w jej rodzinie, żyjące od pokoleń, od zawsze, na saskim wybrzeżu.

U wejścia do kruchty po obu stronach drzwi stały drewniane ławki zbite ze starych desek będących niegdyś poszyciem kadłuba. Ciaśniej otuliła ramiona

chustą i usiadła, czekając, aż księżyc, kryjący się co rusz za chmurami, zajmie o północy miejsce nad wieżą kościelną. Oparła plecy o zimną kamienną ścianę. Miała dwadzieścia siedem lat, a czuła się tak zmęczona, jakby przeżyła ich sześćdziesiąt. Przymknęła oczy. Powoli zaczęła odpływać w sen.

Zgrzyt cmentarnej furty i pośpieszne kroki na żwirowej ścieżce błyskawicznie wyrwały ją ze snu. Zerwała się na równe nogi. Nie sądziła, że duch męża zjawi się wcześniej. Za życia raczej się spóźniał, ale jeśli już tu jest, musi z nim koniecznie porozmawiać. Bez tchu wyszła z przedsionka, walcząc z lękiem przed widmem, które szło ku niej przez ciemny cmentarz przy wtórze cichego szeptu wzbierającego morza. Czuła w powietrzu słony zapach morskiej wody i czuła, że duch się zbliża. Może ocieka wodą albo ciągnie za sobą girlandy wodorostów...

Zza naroża kościoła wypadł młody człowiek. Wzdrygnął się na widok jej pobladłej twarzy i krzyknął:

– Boże, ratuj! Czyś z tego świata, czy z tamtego? Mów zaraz!

Przez chwilę była zbyt wstrząśnięta, by powiedzieć cokolwiek. Stała cicho i patrzyła, jakby chciała przejrzeć go na wylot. Zmrużyła oczy, starając się zobaczyć więcej, niż pozwalały zwykłe ludzkie zmysły. Może był jednym z nieumarłych, uwolnionym od toni lub stryczka, aby chodził po ziemi wraz z innymi do siebie podobnymi – w tę noc, która była przeciw ich nocą; pod księżycem, który również należał do nich. Mężczyzna był urodziwy jak zaczarowany książę z bajki. Długie ciemne włosy miał spięte na karku, w bladej twarzy błyszcząły ciemne oczy.

Kobieta złożyła za plecami palce w znak krzyża. Była to jej jedyna obrona. Bała się, że ten młody panicz z innego świata porwie ją, uwiedzie i złamie jej serce.

– Mów! – nalegał. Wciąż nie mogła wydusić słowa. – Kim jesteś? Czym? Zjawą?

– Nie, nie! – zaprotestowała. – Jestem kobietą. Śmiertelną kobietą. Siostrą przewoźnika, wdową po Zacharym, rybaka, który zaginął.

Znacznie później, kiedy wspominała tę chwilę, zorientowała się, że w istocie powiedziała mu: „Jestem kobietą uwięzioną na tym świecie przez władzę mężczyzn”.

– Kim? – zdziwił się nieznajomy. Był obcy. Tutejszy od razu wiedziałby, o kogo chodzi.

– Kim ty jesteś, panie? – Pięknie skrojony ciemny kaftan i koronkowy kołnierz podpowiadały jej, że ma do czynienia ze szlachetnie urodzonym. – Co tu robisz? – Rozejrzała się za sługami albo grupą zbrojnych, którzy powinni mu towarzyszyć.

Wokół rozciągał się pusty cmentarz, kałuża nieziemskiego półmroku ograniczona niskim murem z łupanego kamienia, który lśnił lekko, jakby ktoś zlał go wodą. Drzewa o bujnych koronach zwieszały nisko gałęzie; pod nimi cień był gęstszy. Nie zobaczyła nic prócz nagrobków, które w świetle księżyca rzucały własne cienie na skoszoną trawę. Panowała cisza zakłócana jedynie cichym szeptem wzbierającego przyływu.

– Nikt nie może mnie tu zobaczyć – mruknął mężczyzna.

– Przecież nikogo tu nie ma!

To, jak obcesowo zbyła jego lęki, skłoniło go, by jeszcze raz się jej przyjrzeć. Owalna twarz, ciemnoszare oczy. Piękna niczym Madonna z obrazu. Ale nieziemski poblask wydobył z mroku także wystrzępioną chustę na głowie i niekształtne łachmany okrywające ciało.

– Co tu robisz o tej porze? – spytał podejrzliwie.

– Przyszłam się pomodlić. – Za nic w świecie nie powiedziała by nieznanemu prawdy. Powszechnie było jednak wiadomo, że wdowa może spotkać zmarłego męża, jeśli zaczeka na niego na cmentarzu w noc przesilenia.

– Pomodlić? – powtórzył. – Słusznie. No to wejdźmy do środka, pomodlę się razem z tobą.

Złapał ciężki pierścień służący za klamkę w kościelnych drzwiach, otworzył je i przytrzymał zasuwę, by nie szczęknęła. Potem wśliznął się do środka cicho niczym złodziej. Zawahała się chwilę, ale czekał, przytrzymując w milczeniu drzwi, więc musiała pójść za nim. Kiedy je zamknął, wewnątrz rozjaśniało tylko słabe światło wpadające przez stare witraże. Rzucało na kamienną posadzkę złote i brązowe plamy. Głos wzbierającego morza pozostał na zewnątrz.

– Zostawcie, panie, drzwi otwarte – powiedziała wystraszona. – Tu jest tak ciemno.

Uchylił je nieco i promień księżycowego blasku wąską wstążką wpadł przez szparę na posadzkę u ich stóp.

– Po co tu przybyliście? – spytała. – Jesteście, panie, z Londynu? – Nie znalazła innego wyjaśnienia dla czystego kołnierza, dobrych skórzanych butów,

małego tobołka, który trzymał w ręku, i inteligencji, która malowała się w jego ciepłych oczach.

– Nie mogę powiedzieć.

Pomyślała, że musi być jednym z agentów, którzy przemierzają kraj, werbując rekrutów czy to do armii parlamentu, czy dla króla. Tyle że żaden z nich nie zawitał wcześniej na wyspę Sealsea, a ten był sam, bez towarzyszy czy chociażby konia. Zupełnie jakby spadł z nieba niczym planetnik, psotne licho ściągające burze, strącone z obłoków za szkoderstwo rodzajowi ludzkiemu i zawsze gotowe wywołać letnią nawałnicę.

– A może jesteście przemytnikiem?

Jego krótki śmiech zaprzeczył temu, umilkł jednak błyskawicznie, gdy tylko odbił się echem w pustym wnętrzu kościoła.

– A więc kim?

– Nikomu nie możesz powiedzieć, że mnie tu widziałas.

– Ani wy o mnie – odparła.

– Potrafisz dochować sekretu?

Westchnęła, wypuszczając obłoczek pary w zimnym wilgotnym powietrzu.

– Jeden Bóg wie, jak wiele ich skrywam.

Zawahał się, jakby nie był pewien, czy ośmieli się jej zaufać.

– Czy wyznajesz nową wiarę? – zapytał.

– Nie znam się na tym – rzekła ostrożnie. – Modlę się tak, jak pastor każe.

– Ja wyznaję tę starą, jedynie prawdziwą wiarę – rzekł z westchnieniem. – Wezwano mnie tutaj, ale ludzie, z którymi miałem się spotkać, nie przybyli, a dom, gdzie mogłem czuć się bezpieczny, stoi ciemny i zamknięty na głucho. Szukam schronienia na noc, a jeśli nie uda mi się z nimi spotkać, muszę jakoś wrócić do Londynu.

Alinor patrzyła na niego, jakby naprawdę był elfim księciem, niebezpiecznym dla śmiertelnej kobiety.

– Chcecie powiedzieć, że jesteście księdzem, panie?

Pokiwał głową w milczeniu, jakby nie ufał słowom.

– Przysłałam tu z Francji, by odprawiać heretyckie msze z ukrywającymi się papistami?

Skrzywił się.

– Tak opowiadają nasi wrogowie. Ja mówię, iż służę prawdziwym wyznawcom w Anglii i jestem lojalnym poddanym prawowitego króla.

Pokręciła głową, nie pojmując. Wojna nigdy nie podeszła bliżej niż do Chichesteru. Odległe o sześć mil na północ miasteczko padło szybko po dziarskim szturmie wojsk parlamentu.

– Kiedy padł Chichester, wydano wszystkich papistów – ostrzegła go. – Nawet biskup musiał uciekać. Wszyscy wokół są za parlamentem.

– A ty?

Wzruszyła ramionami.

– Niczego im nie zawdzięczam. Ale mój brat służył w armii. I jest im bardzo oddany.

– Ale mnie nie wydasz?

Zawahała się.

– A przysięgniecie, że nie jesteście Francuzem?

– Anglikiem. Tu urodzonym i wychowanym. I wiernym sługą swego kraju.

– Lecz szpiegiem króla?

– Jestem lojalnym poddanym namaszczonego monarchy, króla Karola. Tak jak każdy Anglik powinien.

Pokręciła głową, jakby wielkie słowa nic dla niej nie znaczyły. Króla zrzucano z tronu. Jego władztwo ograniczało się teraz do najbliższego otoczenia, a siedzibą był malutki zamek Carisbrooke na wyspie Wight. Nie знаła nikogo, kto deklarowałby wierność takiemu królowi. Władcy, który sprowadził do swojego kraju wojnę, trwającą już sześć długich lat.

– Miałaś zatrzymać się w majątku, panie?

– Nie zdradzę ci, kto miał mnie ukrywać. To tajemnica.

Prychnęła zniecierpliwiona. Na Sealsea mieszkała mała społeczność, niewiele ponad sto rodzin. Znała je wszystkie. Było oczywiste, że tylko pan na włościach mógł udzielić schronienia papistowskiemu księdzu i królewskiemu szpiegowi zarazem. Tylko w Priory, jedynym okazałym domostwie na wyspie, znalazłoby się łóżko i pościel godna dżentelmena. I tylko właściciel majątku, sir William Peachey, mógł sobie roić, że wesprze pokonanego króla. Wszyscy jego dzierżawcy popierali parlament, a co za tym idzie – wolność od dławiących podatków, które pobierał król i szlachta. Pomyślała sobie, że to typowe dla sir Williama. Najpierw składa ryzykowną propozycję, a potem beztrąsko nie wywiązuje się z zobowiązań, wystawiając swojego tajnego gościa na śmiertelne niebezpieczeństwo. Gdyby ten młody człowiek wpadł w ręce ludzi parlamentu, niezwłocznie powiesiliby go za szpiegostwo.

– Czy ktoś wie, że tu jesteś, panie?

Pokręcił głową.

– Nie. Stawiłem się na umówionym miejscu, w bezpiecznym domostwie, ale wszystko było pozamykane i nie paliło się żadne światło. Poinstruowano mnie, żeby zapukać w specjalny sposób do drzwi od strony ogrodów. Zrobiłem to, lecz nikt się nie pojawił. Ponad drzewami dostrzegłem wieżę kościelną, więc skierowałem się tu, żeby przeczekać, w nadziei, że jeśli nawet teraz śpią, to odezwą się później. Nie miałem pojęcia, dokąd indziej mógłbym pójść. Nie znam tego miejsca. Przybyłem na statku w czasie przyływu. Okolica wyglądała jak pustkowie, na którym morze walczy o lepsze z błockiem. A ja nie mam nawet mapy.

– Och, nie istnieje żadna mapa tych okolic.

– Nie? – Wyglądał na zaskoczonego. – Dlaczego?

– To Mokradła. Kraina przyływów – odparła. – Żwirowa mierzeja w porcie, a nawet sam port zmieniają się po każdym sztormie. Ludzie z Chichesteru nazywają go Wędrującą Przystanią. Morze wdziera się na pola i zabiera łąd, kanały wylewają, tworzą się nowe stawy i jeziora. Nic nie trwa na tyle długo, żeby to zmierzyć i nanieść na mapę. Tak tu jest: trochę morza, trochę łądu, a z niczego pożytku. Mokradła ciągną się do New Forest na zachodzie, a na wschodzie aż po białe klify.

– Czy tutejszy kapłan to jeden z nowych?

– Jest tu od lat i robi, co mu każą. Teraz słucha rozkazów parlamentu. Jeszcze nie pomalował ścian na biało i nie powybił witraży, ale pochował figury, przeniósł ołtarz na skrzyżowanie naw i modli się po angielsku. Powiada, że dobry król Henryk uwolnił nas od Rzymu sto lat temu, a król Karol chce nas znowu oddać w papieską niewolę, ale na szczęście nie może. Bo jest pokonany i zrujnowany, a parlament wygrał wojnę z królem.

Twarz obcego pociemniała z gniewu.

– Wcale nie wygrał! – zaprotestował. – I nigdy nie wygra. To jeszcze nie koniec.

Milczała. Pomyślała sobie, że dla króla to już dawno koniec. Uwięziono go, jego żona zbiegła do Francji, porzucając dwójkę malutkich dzieci, a następca tronu przebywał w Niderlandach.

– Tak, panie – bąknęła.

– Jak myślisz, czy pastor na mnie doniesie?

– Obawiam się, że będzie musiał.

– Czy pozostał jeszcze na tej wyspie ktoś wyznający starą wiarę? Ktokolwiek? Może w ukryciu?

Rozłożyła ręce, dając mu do zrozumienia, że nie wie. Zwrócił uwagę na jej dłonie, pokaleczone skorupami homarów, krabów i szorstkimi linami rybackich sieci.

– Nie wiem, co ludzie kryją w swoich sercach – odparła. – W Chichesterze wielu było takich, co sprzyjali królowi. Wśród nich również papiści. Zabito ich albo pouciekali. Nie słyszałam o nikim, kto wyznawałby jeszcze starą wiarę... no, może z wyjątkiem jednej czy dwóch naprawdę sędziwych kobiet. Większość ludzi to dobrzy purytanie, jak mój brat. Walczył w Armii Nowego Wzoru pod dowództwem generała Cromwella. Pewnie o nim słyszeliście?

– O, tak. Słyszałem – odparł ponuro. Zamilkł, usilnie nad czymś myśląc. – Czy uda mi się dostać do Chichesteru jeszcze dziś w nocy?

– Nadchodzi przyływ. – Pokręciła głową. – Dziś w nocy będzie wysoki, bo mamy przesilenie. Aż do ranka nie uda się wam przejść brodem na drogę do Chichesteru, a potem ktoś może was zauważyć. Wasza łódź po was nie wróci?

– Nie.

– To musicie się ukryć i poczekać do wieczora. Jutro przyływ będzie słabszy i przekroczycie bród o zmierzchu. Z promu nie możecie skorzystać. Mój brat jest przewoźnikiem, a on aresztuje was od razu.

– A skąd będzie wiedział, że jestem „kawalerem”[1]?

Uśmiechnęła się z politowaniem.

– Panie, nikt na tej wyspie nie wygląda tak wytwornie jak wy. Nawet sir William.

Zarumienił się.

– No dobrze, lecz skoro mam zostać na wyspie, gdzie mogę się ukryć?

Zastanowiła się przez moment.

– Możecie przeczekać do wieczora w szopie mojego męża – zaproponowała. – To jedyne miejsce, jakie przychodzi mi do głowy. Nie ma tam wygod. Mąż trzymał w szopie sieci i inne rzeczy. Ale zaginał kilka miesięcy temu i nikt tam już nie zagląda. Rano przyniosę wam wodę i coś do jedzenia. A kiedy się rozwidni, możecie iść do majątku, o tam, i spróbować bez świadków rozmówić się z zarządcą. Jego lordowska mość wyjechał, ale może on was wpuści, kto wie. Nie potrafię powiedzieć, w co wierzy. Nie wiem tego.

Skłonił głowę w podzięcie.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedział. – Ufam, że wysłał mi cię na ratunek.

– Pozwólcie, że najpierw pokażę wam szopę, w której będziecie spać, zanim zaczniecie mnie błogosławić za ratunek – przerwała mu. – To nie miejsce dla takich jak wy. Śmierdzi zdechłą rybą.

– I tak nie mam dokąd pójść – zauważył. – A więc jesteś moim wybawieniem. Pomodlimy się razem?

– Nie – odparła hardo. – Najlepiej będzie, jak czym prędzej was ukryję. Wątpię, żeby ktoś tu się wybrał o tej porze nocy, ale nigdy nie wiadomo. Niektórzy mają się za bardzo pobożnych. Mogą przyjść o świcie na modlitwę.

– Ty też przyszedłeś się tu pomodlić – przypomniał jej. – Z pobożności? Jesteś purytanką?

Zarumieniła się, zawstydzona własnym kłamstwem.

– Tak naprawdę to nie bardzo – przyznała.

– A więc po co?

– Nieważne.

Zignorował jej zażenowanie, wychodząc z założenia, że przyszła spotkać się z kochankiem. Ot, plugawy wiejski romans.

– Gdzie ta szopa i dom, w którym mieszkasz? – spytał.

– Na skraju przystani, niedaleko przeprawy. Po przeciwnej stronie nurtu niż młyn.

– Nurtu?

– Nazywają to Szerokim Nurtem – odparła. – To rzeka, która wpada do zatoki. Zmienia się wraz z przypływami, opada i znowu wzbiera, ale nigdy nie wysycha. Teraz woda jest wysoka. Lato jest deszczowe i brody nie wysychały całkiem od tygodni.

– A więc twój brat przewozi ludzi przez rzekę, kiedy woda jest wezbrana?

– Przy niskiej można ją przejść pieszo.

– Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo. Poradzę sobie sam, jeśli tylko wskażesz mi drogę. Nie musisz mnie prowadzić.

– Nie dacie rady. Wybrzeże to istna płatanina ścieżek. Są tam głębokie zalewiska i kanały – wyjaśniła. – Morze nadchodzi szybciej niż koń kłusem i rozlewa się szeroko. Nie prześcigniecie go. Utkniecie w błocie albo woda odetnie was na którejś ze ścieżek. Są też ruchome piaski, których nie widać, aż

nogi w nich ugrzęzną i już nie da się ich wyciągnąć. Tylko my, którzyśmy się tu urodzili i wychowali, czasem przeprawiamy się przez to grzęzawisko. Muszę was poprowadzić.

Pokiwał głową.

– Bóg cię za to wynagrodzi. Rzeczywiście zesłał mi cię na przewodnika.

Zerknęła na niego z powątpiewaniem, jakby Bóg dotąd szczenił jej w życiu nagród.

– Ruszajmy. Trochę nam zejdzie, nim dotrzemy na miejsce.

– Ruszajmy – zgodził się. – Jak mam cię zwać? Jestem ojciec James.

Wzdrygnęła się, słysząc kapłański tytuł.

– Nie mogę się tak do was zwracać! W mig trafiłabym pod sąd, a potem za kraty. Jak się zwiecie naprawdę?

– Możesz mówić do mnie James.

Wzruszyła ramionami, jakby urażona jego rezerwą.

– Ja noszę nazwisko męża – powiedziała. – Reekie.

– Tak mam do ciebie mówić?

– Właśnie tak – odparła zuchwale. – Skoro wy nie chcecie zdradzić prawdziwego imienia, dlaczego ja miałabym zdradzać swoje?

Odwróciła się, zostawiając zaskoczonego mężczyznę, i ruszyła do wyjścia. Zaczekała chwilę, gdy pokłonił się nisko przed ołtarzem, a potem ukląkł na jedno kolano, dotykając ręką posadzki. Słyszała, jak modli się cicho o bezpieczeństwo swoje i jej oraz wszystkich, którzy tej nocy służą prawdziwej wierze i Anglii, a także za króla w okrutnej niewoli i księcia na wygnaniu.

– Mój mąż zaginął – oznajmiła, kiedy do niej podszedł. – Będzie dłużej niż pół roku.

– Niech Bóg go błogosławi, a ciebie wspiera – rzekł, robiąc nad jej głową znak krzyża. Nigdy wcześniej nie widziała tego gestu i nie wiedziała, że należy pochylić głowę i przeżegnać się. Prawie od stu lat nikt w Anglii publicznie się nie żegnał. Ludzie się odzwyczaili, a ci, którzy wciąż trwali w wyznaniu rzymskokatolickim, dbali o zachowanie tajemnicy.

– Dziękuję – bąknęła niezręcznie.

– Masz dzieci?

Otworzyła ciężkie drzwi kruchty i wyjrzała na zewnątrz. Cmentarz był pusty, więc skinęła, by szedł za nią. Ruszyli ścieżką między grobami. Nagrobki

pokrywała tak gruba warstwa mchu i porostów, że tylko niektóre litery wciąż dało się odczytać.

– Dwójkę – rzuciła przez ramię. – Zdrowo się chowają i co dzień dziękuję za nie Bogu. Córka ma trzynaście lat, a syn dwanaście.

– Chłopak zajął miejsce ojca i łowi ryby?

– Łódź przepadła razem z mężem – powiedziała ze smutkiem, jakby właśnie to najbardziej ją troskało. – Możemy co najwyżej wędkować z brzegu.

– Nasz Pan pierwszych powołał rybaków – zauważył James łagodnie.

– Owszem – odparła. – Ale przynajmniej zostawił im łódź.

Roześmiał się, słysząc te słowa wyzute z szacunku. Odwróciła się do niego i też zaczęła się śmiać, a on po raz kolejny zauważył, jak ciepły ma uśmiech. Miał ochotę złapać ją za ręce i ogrzać się w jego blasku.

– Łódź bardzo wiele znaczy – rzekła.

– Wiem o tym. – Zarzucił sakwę na plecy i wsunął dłonie za paski, by uchronić je przed pokusą. – Jak sobie radzicie bez łodzi i mężczyzny?

– Ledwo – odparła krótko.

Przy murku z nieobrobionego kamienia, który okalał cmentarz, zakasała brązową spódnicę i fartuch z konopnego płótna. Przeskoczyła na drugą stronę lekko jak wyrostek. Przeszedł za nią i znalazł się na wąskiej dróżce, którą mogły chodzić owce, przez gęste zarośla głogu rosnące po obu stronach i spletające się u góry tak, że tworzyły sklepienie. Oboje skryli się w tunelu z gęstych liści i kolczastych gałązek. Kobieta ruszyła przodem, schylając głowę i szczerzej okrywając się chustą. Jej stopy w drewnianych chodakach pewnie podążały za kapryśnie wijącą się ścieżyną. Po pewnym czasie szum morza stał się głośniejszy i zeszedł z wysokiego brzegu na otwartą przestrzeń. Stali na białym żwirze plaży, oświetleni księżycem, który wciąż wisiał na błędnym niebie. Za ich plecami na skarpie rósł wielki dąb. Jego korzenie wiły się po błotnistej ziemi, a długie gałęzie zwieszały w dół, do plaży. Stąd, jak okiem sięgnąć, rozciągały się moczary. Stojąca woda, ławice piachu, sadzawki morskiej wody pozostawione przez przyływ, błoto, wysepki trzciny, a w środku szeroki kręty nurt płynącej wody, do którego wpadały dziesiątki strumyków bulgoczących w błocku i podbiegających drobnymi falami aż do ich stóp.

– Zgniłe Bagnisko – oznajmiła.

– Myślałem, że nazywacie to Wędrującą Przystanią?

– Ci z Chichesteru tak je nazywają. Rzeczywiście wędruje. Obcy nigdy nie wiedzą, gdzie są wyspy, gdzie mielizny i rafy. Cieki wodne zmieniają bieg po każdym sztormie. Ale my, którzy mieszkamy na tym brzegu i widzimy wszystkie zmiany, dostosowujemy swoje ścieżki do jego zmiennych nastrojów i nienawidzimy go jak surowego pana, nazywamy to miejsce Zgniłym albo Cuchnącym Bagniskiem.

– Aż tak?

– Błota są groźne. Zejdiesz z bezpiecznej ścieżki i uwiężą cię, aż nakryje cię i pochłonie przypył. Paskudna śmierć. A nawet jeśli się uwolnisz, do końca swoich dni będziesz cuchnął padliną.

– Zawsze tu mieszkałaś? – spytał, zaskoczony goryczą, którą słychać było w jej głosie.

– O, tak – westchnęła. – I utknęłam na dobre, zupełnie jakby wciągnęło mnie to bagno. Nie mam własnej ziemi; nawet dom dzierżawię od niesumiennego pana i nie mogę odejść. Jestem żoną zaginionego mężczyzny, więc nie mogę ponownie wyjść za mąż. A przewoźnikiem jest mój brat, który za nic nie przepawi mnie stąd na stały ląd, bym odzyskała wolność.

– Czy całe wybrzeże tak tu wygląda? – spytał, myśląc o nocy, gdy przybijali do brzegu, a sternik prowadził łódź w ciemnościach, lawirując między skałami i mieliznami. – Jest takie niepewne?

– To Mokradła – odparła. – Ani to morze, ani ląd. Ani sucho, ani mokro. I nikt stąd nie odchodzi.

– Ty możesz odejść. Przyplynie po mnie łódź. Kiedy wypełnię swoją misję tutaj, popłynę z powrotem do Francji. Mógłbym ci pomóc się stąd wydostać.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Po raz kolejny go zaskoczyła – tym razem powagą.

– Bóg mi świadkiem, że tego pragnę – powiedziała. – Ale nie zostawię dzieci. A poza tym przeraża mnie myśl o głębokiej wodzie.

Ruszyła naprzód. Jej kroki chrzęściły na żwirze plaży, która wiała się pomiędzy brzegiem a pasem błot, gdzie wody wciąż przybywało. Gdzieś przed nimi mewy zerwały się w powietrze z upiornym krzykiem. James szedł za majaczącym cieniem przez żwir, błoto i drewno wyrzucone na brzeg, nieustannie słysząc monotony syk morza, które było gdzieś tam w ciemności po jego prawej stronie i wciąż się zbliżało, zalewając łąchy, topiąc trzciniowiska i niepokonanie prąc naprzód.

Kobieta wdrapała się na kolejną skarpe i wyszła na ścieżkę. Ta biegła wyżej, ponad linią przypływu. Ruszył za nią między krzakami janowca, którego kwiaty noc wyprała z koloru. Teraz lśniły raczej srebrem niż złotem, lecz wciąż czuć było w powietrzu ich słodki miodowy zapach. Gdzieś w pobliżu zahukała sowa. Wzdrygnął się, widząc, jak mroczny cień odlatuje w dal na szerokich, cichych skrzydłach.

Szli długo. Tak długo, że jego plecak zdążył zrobić się ciężki, a on sam na wpół usnął, podążając posłusznie za drewnianym stukotem chodaków i ubłoconym rąbkiem spódnicy. Maszerował krętą ścieżką przez pustkowie, przez świat, który stracił rzeczywiste znaczenie, tak jak stracił barwy. James wyprostował się i wyszeptał *Ave Maria*, przypominając sobie, że to jemu przypadł honor niesienia słowa Bożego. Prócz niego dźwigał drogocenne sprzęty potrzebne do mszy oraz okup za króla. W gruncie rzeczy był rad, że musi przedzierać się błotnistą ścieżką przez wybrzeże, które nie widniało na żadnych mapach.

Morze wdzierało się coraz dalej w ląd, jakby wszelkie granice nic dla niego nie znaczyły. Na plaży pod nimi woda przelewała się już pomiędzy trawami i strzaskanym drewnem naniesionym przez morze. Po drugiej stronie wydm rowy i sadzawki puchły, przebierały i wypluwały wodę w głąb lądu. Było tak, jak mówiła: ani to ziemia, ani morze. Miało się wrażenie, że z nadejściem przypływu sama gleba poci się chorobliwą wilgocią. Uzmysłowił sobie, że od dłuższego czasu słyszy dziwny hałas, który zagłusza plusk wzbierającej wody. Jakby coś się gotowało w olbrzymim garze.

– Co to takiego? Co to za dźwięk? – szepnął, łapiąc ją za ramię. – Słyszysz? Koszmarny. I dziwny. Jakby gotująca się woda...

Zatrzymała się, zupełnie nie okazując lęku ani zaciekawienia.

– A, to? – Wskazała środek zalewiska. – Popatrz tam. Widzisz? Na samym środku. Widzisz bąble?

– Niczego nie widzę, oprócz wody. Panie Boże, ratuj! Cóż to takiego? Brzmi jak fontanna.

– To Syczące Źródło.

– Co to takiego? – Był niedorzecznie przerażony.

– Nikt nie wie. To takie miejsce w samym środku bagna, gdzie morze się gotuje, kiedy woda wzbiera. Dzieje się tak podczas każdego przypływu, więc nikt nie zwraca już na to uwagi. Czasem tylko ktoś obcy się zainteresuje. Pewien

człowiek powiedział mojemu bratu, że może tam być podziemna jaskinia. Bańki powietrza wydostają się na zewnątrz, kiedy woda ją wypełnia. Ale tego nikt nie wie na pewno. Nikt jej nawet nie widział.

– Brzmi jak kipiący kocioł. – Przerazała go niesamowitość tego dźwięku. – Jakby samo piekło gotowało się pod wodą.

– Tak, myślę, że może brzmieć przerażająco. – Nie była specjalnie poruszona.

– A jak to wygląda, kiedy woda ustępuje? – spytał ciekawie. – Czy ziemia jest tam gorąca?

– Nikt tego nie widział z bliska – powtórzyła cierpliwie. – Nie da się dojść. Człowiek utknąłby w bagnie i tam pozostał. Może to rzeczywiście jaskinia i wpadłby do niej? Kto wie? Może istnieje jaskinia, w której mieszczą się wszystkie wody świata. Wody, które płyną i falują pod powierzchnią ziemi. A może to jest koniec świata, ukryty tu, w środku Zgniłego Bagna, a my przez te wszystkie lata żyliśmy u samych bram piekieł?

– Ale skąd ten dźwięk?

– Możesz popłynąć tam łodzią – zaproponowała. – Pieni się i pełno tam bąbli, jak w kipiącym kotle. Czasem syczy tak głośno, że przy spokojnej pogodzie słychać aż pod kościołem.

– Możemy tam popłynąć?

– Ja nie – uściśliła. – Ale ty możesz, jeśli nie masz nic lepszego do roboty.

Domyślił się, że w jej życiu nie zdarzały się dni, kiedy nie miała nic lepszego do roboty.

Odwróciła się i ruszyła dalej, nic sobie nie robiąc z mrozącego krew w żyłach syku, który przybierał na sile, kiedy brzeg skręcał w kierunku zatoki, i cichł, gdy ścieżka oddalała się w przeciwną stronę.

– Macie tu szkołę? – spytał, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądało jej życie w tej zapomnianej przez Boga okolicy, gdzie żyła nieświadoma jak polny kwiatek. Przyśpieszył kroku i zrównał się z nią, na co pozwoliła szersza w tym miejscu ścieżka.

– Przy parafii. Potrafię czytać i pisać. A matka nauczyła mnie swoich przepisów, ziół i wszystkiego, co umiała.

– Była kucharką?

– Zielarką. Uzdrowicielką. Teraz ja się tym zajmuję.

– A czy ktokolwiek rozmawiał z tobą o starej wierze? Nauczył cię modlitw?

Wzruszyła ramionami.

– Moja babka została przy starej wierze. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, zdarzało się, że jakiś wędrowny ksiądz zawitał do wioski i w tajemnicy wysłuchał spowiedzi. Niektórzy starzy ludzie modlą się jeszcze po staremu.

– Kiedy dotrzemy do szopy, chciałbym się z tobą pomodlić.

Na jej ustach dostrzegł cień uśmiechu.

– Lepiej pomódl się o śniadanie. Nie jadamy tutaj najlepiej.

Ścieżka zwężyła się i znów musieli iść gęsiego. Kolczaste gałęzie napierały z obu stron. Gdzieś między drzewami po lewej stronie słowik wyśpiewywał swą przejmującą pieśń w blade niebo.

James pomyślał sobie, że nigdy dotąd nie podróżował przez tak dziwną okolicę, mając tak niezwykłą osobę za towarzysza. Dążył za swoim powołaniem, przemierzając Anglię od jednego zamożnego domu do drugiego, wysłuchując spowiedzi i odprawiając msze. Owszem, zawsze w sekrecie, ale wygodnie i komfortowo. Jego mroczna uroda dobrze mu służyła. Był ulubieńcem najbogatszych dam w królestwie, a ich ojcowie i bracia podziwiali jego poświęcenie dla wiary. Niejedna prześliczna panna spowiadała się z grzesznych myśli o nim. Ich umizgi jednak nie miały do niego przystępu. Został zaprzysiężony Bogu i nigdy z tej ścieżki nie zstąpił. Miał dopiero dwadzieścia dwa lata. Upajało go, gdy mógł poddać próbie swą żarliwą wiarę. Upajała też myśl o własnej cnocie.

Ślub z Kościołem zawarł już jako chłopiec. Nauczyciele wpoili mu wiedzę i ideę, a potem wysłali w świat z sekretną misją. Spotykał się z rojalistami, podróżował od jednego obleżonego pałacu do drugiego, przenosząc fundusze od wygnanej królowej, plany od uwięzionego króla i obietnice od księcia. Bywał w niebezpiecznych, a nieraz strasznych miejscach. Sypiał w „księżych norach”, w których katolicy chowali księży na czas przeszukania. Ukrywał się w piwnicach. Odprawiał msze na strychach, nawet w stajniach. Ale nigdy wcześniej nie spędził dnia bez dachu nad głową, sam na tej dziwnej ziemi, której nie było na mapach. Nigdy nie podążał za zwykłą kobietą z ludu, która w swoich spracowanych rękach trzymała teraz jego los.

Wymacał złoty krzyżyk pod cienką lnianą koszulą. Podejrzliwie przyjrzał się błądku na ścieżce, żeby się upewnić, czy jego przewodniczka pozostawia na nim ślady jak każda istota śmiertelna. I mimo że zobaczył wyraźne odciski drewnianych chodaków, przeżegnał się. Mimo woli pomyślał, że przez tę

bezbożną ziemię prowadzi go przewodniczka nie z tego świata i gdyby nie moc wiary, byłby zgubiony w krainie pradawnych żywiołów: wody, ziemi i powietrza.

Szli w milczeniu jeszcze około godziny, gdy nagle kobieta skręciła ostro w lewo i wdrapała się na skarpę wysokiego brzegu. Oczom Jamesa ukazał się mroczny kształt na tle ciemnego nieba. Była to zrujnowana buda o ścianach z gałęzi i drewna wyrzuconego przez morze, polepionych błotem i wzmocnionych trzcina z bagna. Wyglądała jak wrak, który fale przyboju rzuciły na wysoki brzeg. Kobieta napała na koślawe drzwi, a te zaskrzypiały, otwierając się.

– Szopa na sieci – oznajmiła.

W środku było ciemno choć oko wykol. Jedyne przez szpary w ścianach wpadało trochę księżycowego światła.

– Nie masz świecy?

– Tylko w domu. Nie możesz tu palić światła. Będzie je widać z młyna po drugiej stronie moczarów. Musisz sobie radzić po omacku, ale wkrótce zacnie świtać. Wrócę tu, przyniosę ci coś na śniadanie i trochę piwa.

– Mieszkasz niedaleko? – Zaniepokoiła go myśl, że zostanie sam w ciemności.

– Kawalek wzdłuż wybrzeża. Nie martw się, wkrótce zrobi się jasno – pocieszyła go. – Wrócę, kiedy będę mogła. Muszę rozpalić ogień i przynieść wodę. Potem obudzić dzieci i dać im śniadanie. A kiedy wyjdą, wrócę. Możesz rozgościć się na sieciach. Najlepiej się prześpij.

Złapała go za rękę – poczuł szorstką skórę jej dłoni – i pociągnęła tak, że musiał się schylić. Naprowadziła jego rękę na zwój szorstkich lin.

– O, tutaj – powiedziała. – To stare sieci. Kiepskie posłanie dla szlachcica, ale naprawdę nie wiem, gdzie indziej mógłbyś się ukryć.

– W zupełności wystarczą – zapewnił, choć tonem niezbyt przekonującym. – Nie wiem, co bym zrobił, gdybym ciebie nie spotkał. Pewnie spałbym w lesie i został porwany przez te syczące wody. – Roześmiał się, lecz ona milczała.

– Gdyby ktokolwiek się tu kręcił albo próbował otworzyć drzwi, możesz wyłamać deski w tylnej ścianie. Szopa stoi nad brzegiem płytkiego kanału, to do niego wskoczysz. Jeśli pobiegiesz nim w prawo, zaprowadzi cię w głąb lądu, do promu i brodu. Jeśli w lewo – do lasu. Ale nikt tutaj nie przychodzi... a przynajmniej nie powinien.

Pokiwał głową, choć w ciemności i tak nie mogła tego zobaczyć.

– Wiem, że to nie pałac – rzekła.

– Jestem bardzo wdzięczny za to, co mi dajesz. – Nagle uzmysłowił sobie, że wciąż trzyma ją za rękę. Przycisnął ją do ust. Natychmiast się wyszarpnęła, a on zarumienił się w ciemności. Jak mógł być tak głupi, żeby okazywać jej galanterię, której nie miała szans rozpoznać. Można damy z rojalistycznych domów nawykłe były do pocałunków. Wyciągały w jego stronę białe dłonie, zakrywając twarz wachlarzem, by ukryć rumieniec. A czasem to one klękały przed nim z szelestem jedwabiu i całowały jego dłoń, przyciskając ją do wilgotnych policzków w akcie skruchy za jakiś błahy grzech.

– Wybacz mi – próbował się wytłumaczyć. – Chcę powiedzieć, że wiem, jak wielki dar mi oferujesz. Bóg zapamięta ci wszystko, co dla mnie uczyniłaś.

– Przyniosę ci trochę kaszy – odparła szorstko. Usłyszał, że cofa się w kierunku drzwi, a kiedy je otworzyła, przez szczelinę wpadło nieco światła. – Nic więcej nie mam.

– Tylko jeśli ci zbywa. – Wiedział doskonale, że w jej domu na pewno nie ma nadmiaru jedzenia. Aby go nakarmić, sama obejdzie się bez posiłku.

Cicho zamknęła za sobą drzwi, a on wymacał stertę sieci. Szamotał się z nimi przez chwilę, żeby je nieco rozścielić. W pomieszczeniu rozszedł się odór starej ryby i błota z zatoki, a wraz z nim brzęczenie zaspanych much. Zgrzytnął zębami, tłumiąc odrazę, a potem usiadł, podciągnął nogi, nie zdejmując butów, i owinął się szczelnie płaszczem. Mógł się założyć, że są tu i szczury. Zdał sobie sprawę, że choć jest rozpaczliwie wprost zmęczony, nie zdobędzie się na to, by lec na cuchnących sieciach. Głupiec, zrugął się w myślach. Co z niego za ksiądz, bez doświadczenia i życiowej mądrości. Ledwie głupi wyrostek, posłany, by dokonać wielkiego dzieła w niezwykłych czasach. Bał się, że zawiedzie, szczególnie teraz, kiedy tak wiele od niego zależało. Miał nie tylko spowiadać i przynosić sekretne posłania. Przed wyjazdem z Francji wyjawiono mu plan uwolnienia króla. Lękał się, że nie starczy mu odwagi ani determinacji, by go zrealizować, i już miał zacząć się modlić, aby Bóg pomógł mu być dzielnym emisariuszem i dobrym szpiegiem, kiedy zdał sobie sprawę, jak bardzo się myli. Nie bał się tylko porażki. Bał się wszystkiego, jak małe dziecko. Począwszy od szczurów gnieźdzących się w sieciach, syczących źródeł, aż po dyszące żądzą zemsty armie Cromwella i majaczące gdzieś w tle ciężkie spojrzenie czarnych oczu samego tyrana.

Siedział w ciemności i czekał.



Alinor stała chwilę pod drzwiami szopy, nasłuchując, jak mężczyzna porusza się w ciemnym wnętrzu – zupełnie niczym jakieś dziwne zwierzę, złapane i zamknięte w klatce. Kiedy ucichł, odwróciła się i pobiegła wzdłuż wybrzeża do miejsca, gdzie stała jej chata, niska sadyba z widokiem na bagna, kryta trzcina. Okalał ją niewielki ogródek z ziołami, otoczony płotkiem z drewna, które wyrzuciło na brzeg morze.

W chacie wszystko zastała tak, jak zostawiła. Żar na palenisku pod glinianą pokrywą, runy w popiele, które wypisała, by strzegły przed niebezpieczną iskrą. W kącie na łóżku spały dzieci, a przy palenisku stał garnek z kaszą, przykryty pokrywą, by nie dobrały się do niego szczury. Kury w swoim kątku zaczęły ospale gdakać, kiedy chłodne powietrze, pachnące solą i błotem, wpadło do środka przez otwarte drzwi.

Wzięła wiadro i wyszła na zewnątrz, kierując się w głąb lądu, wzdłuż wybrzeża, gdzie przyplływ pluskał w błocie i sitowiu. Wspięła się na wydmę i po byle jak skleconych stopniach zeszła z drugiej strony na brzeg słodkowodnej sadzawki. Przytrzymała się starego słupa, by napęlić wiadro, a potem zataszczyła chlupocące brzemię z powrotem do chałupy. Tam nalała wody do miski i postawiła ją na stole. Zdjęła chustę i umyła twarz i ręce szarym tłustym mydłem domowej roboty. Szczególnie przyłożyła się do wyszorowania palców, mając bolesną świadomość, że tajemniczy ksiądz przytknął je do swoich warg. Musiał poczuć zastarzały smród dymu, ryb, potu i brudu.

Wytarła dłonie kawałkiem lnianej szmatki i przysiadła na chwilę, by powyglądać na zewnątrz przez otwarte drzwi. Białe podczas tych letnich nocy niebo robiło się z każdą chwilą jaśniejsze. Zastanawiała się, dlaczego – skoro nie było jej dane spotkać ducha – odczuwa to nieziemskie urzeczenie.

Pokręciła energicznie głową, jakby chciała się wyrwać z krainy cieni, i wstała. Podeszła do paleniska, uklękła przy nim, złapała przez szmatę glinianą pokrywę i odsłoniła żar. Drugą ręką starła runy chroniące przed pożogą, wypisane w zimnym już popiele. Dorzuciła kilka drobnych gałązek, a potem drewno. Kiedy się zajęło, ustawiła na ogniu żelazny garnek na trzech nogach. Napęliła go wodą z wiadra i dodała namoczonej owsianki. Zamieszała, czekając, aż zawrze.

Dzieci, śpiące razem w jednym łóżku, nic sobie nie robiły z porannych odgłosów. Musiała je obudzić, potrząsając każde za ramię. Córka uśmiechnęła się

tylko przez sen i odwróciła do ściany z surowych desek, ale syn usiadł i spytał:

– To już rano?

Pochyliła się, żeby go przytulić. Ukryła twarz w jego ciepłej szyi. Pachniał jak to on, słodko niczym szczeniak.

– Tak – powiedziała. – Pora wstawać.

– Tata w domu?

– Nie – odparła beznamiętnie. Zwyczajowe pytanie nie sprawiało jej już bólu.
– Jeszcze nie. Ubieraj się.

Rob posłusznie usiadł na brzegu łóżka i włożył kurtkę wprost na lnianą koszulę, w której spał. Następnie wciągnął portki i przysnurował je do kurtki. Chodził do pracy boso. Po lekcji w przykościelnej szkółce miał pilnować krów młynarza. Kiedy usiadł przy stole, nałożyła mu do miski owsianki.

– Bez bekonu? – spytał zawiedziony.

– Dzisiaj bez.

Wziął łyżkę i zaczął jeść, dmuchając i głośno siorbiąc. Nalała mu do kubka podpiwku. Nikt z mieszkańców Zgniłego Bagniska nie pił wody. Alinor zawróciła do łóżka, przysiadła na krawędzi i dotknęła ramienia córki.

Alys odwróciła się i otworzyła ciemnoniebieskie oczy. Spojrzała na matkę, jakby ta była jeszcze częścią jej snu.

– Wychodziłaś w nocy? – spytała.

– Myślałam, że spałaś – zdziwiła się Alinor.

– Słyszałam, jak wracasz. – Dziewczynka westchnęła błogo, jakby miała znów zasnąć. – We śnie.

– A co ci się śniło?

– Że spotkałaś kota przy kościele.

– Jakiego był koloru? – zapytała poważnie matka.

– Czarny.

– I co się stało?

– Nic. To wszystko. Stałaś przed nim, a on cię zobaczył.

Alinor zastanowiła się. Próbowwała zrozumieć sen córki, posługując się swoim wieszczym widzeniem.

– Zobaczył mnie?

– Tak. Wszystko zobaczył.

Pokiwała głową.

– Nie mów o tym nikomu.

– Oczywiście, że nie powiem! – Dziewczynka się uśmiechnęła.

Odrzuciła nakrycie i stanęła przy łóżku, sięgając matce do ramienia. Jasne, splecione w warkocz włosy spadały jej na plecy; biała skóra od razu zdradzała saskich przodków. Ze sterty ubrań w nogach łóżka wyciągnęła spódnicę z filcowanej wełny i połatana koszulę. Kraj spódnicy zdobiło zaschnięte błoto. Potem siadła przy stole, by umyć w misce twarz i ręce. Kiedy skończyła, wzięła miskę i chlusnęła zawartością przez otwarte drzwi, wprost na zielnik przed domem.

Alinor przysunęła sobie stołek i usiadła obok dzieci. Złożyła dłonie.

– Ojcie Niebieski, dziękujemy za ten chleb powszedni – powiedziała cicho. – Strzeż nas od grzechu teraz i na wieki. Amen.

– Amen – powtórzyły chórem. Alinor nałożyła córce i sobie, zostawiając jedną porcję w garnku.

– Mogę to zjeść? – spytał Rob.

– Nie – odparła.

Odsunął stołek i ukląkł na podłodze po błogosławieństwo. Położyła dłoń na jego kędzierzawych włosach.

– Z Panem Bogiem, synku.

Wstał bez słowa, wziął czapkę wiszącą na drzwiach, naciągnął ją na głowę i otworzył drzwi. Krzyk mew krążących w słonym porannym wietrze wdarł się do ciemnego wnętrza. Chłopiec wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

– Za wcześniej do szkoły – zauważyła Alys. – Znowu będzie grał w piłkę pod kościołem.

– Wiem – odparła Alinor.

– Dziwnie wyglądasz – stwierdziła dziewczynka. – Jakoś inaczej.

Alinor spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

– Jak? – spytała. – Jestem przecież taka sama jak wczoraj.

Sposób, w jaki rzęsy matki skryły jej spojrzenie, od razu przekonały Alys, że nie jest do końca szczerą.

– Wyglądasz jak w moim śnie. Dokąd chodziłaś?

Alinor pozbierała puste miski na stosik.

– Byłam w kościele, pomodlić się za waszego ojca.

Dziewczynka pokiwała głową. Doskonale wiedziała, że to noc przesilenia.

– Widziałas go? – spytała bardzo cichutko.

– Nie. – Alinor pokręciła głową. – Nic nie widziałam.

– A więc może wciąż żyje. Jeśli go nie widziałaś, to znaczy, że nie umarł i wróci kiedyś do domu.

– Albo po prostu niedane mi było doświadczyć wizji.

– Może. A może spotkałaś czarnego kota, a on naprawdę cię zobaczył.

Alinor uśmiechnęła się.

– Pamiętaj, nikomu o tym nie mów – napomniała córkę. Pomyślała o księdzu czekającym na owsiankę w szopie na sieci. Ciekawe, czy naprawdę ją zobaczył, jak ten kot ze snu Alys.

Dziewczyna odsunęła z twarzy gęste jasne włosy i nałożyła czepek. Przysiadła, żeby wzuć buty.

– Chciałabym, żeby coś było wreszcie wiadomo – powiedziała niecierpliwie.

– Wcale za nim nie tęsknię, ale chciałabym się wreszcie dowiedzieć, czy mogę przestać go wyglądać. I to jest krzywdzące dla Roba.

– Wiem. – Alinor westchnęła. – Ilekroć do nabrzeża przybija jakiś statek, pytam, czy ktoś nie ma wieści o nim. Ale nikt nic nie wie.

Alys wzięła but do ręki i wystawiła palec przez dziurę w podeszwie.

– Przykro mi, mamusiu, ale potrzebuję nowych butów. Te mają dziury na palcach i od spodu.

Alinor zerknęła na połatany but.

– Jak tylko będę miała pieniądze, pójdę na targ – obiecała.

– Byle przed zimą. – Dziewczynka włożyła znoszone obuwie. – Może przyniosę dzisiaj królika. Wczoraj zastawiłam sidła.

– Mam nadzieję, że nie na polach sir Williama?

– W każdym razie nie tam, gdzie chodzą jego nadzorcy. – Alys zaśmiała się chytrze.

– Przynieś, zrobię potrawkę – obiecała Alinor, myśląc o dodatkowej osobie, którą musi wykarmić, jeśli ta nie wyniesie się z szopy do wieczornego odpływu.

Alys uklękła, a matka położyła dłoń na jej delikatnym karku.

– Niech cię Bóg błogosławi i strzeże od złego – rzekła, myśląc o jej młodziutkiej urodzie i młynarzu wraz z pomocnikami, którzy bacznie jej się przyglądali, gdy przechodziła przez podwórze, i żartowali, że niebawem znajdzie męża.

Córka uśmiechnęła się, jakby wyczuła jej obawy.

– Potrafię się o siebie zatroszczyć – odparła łagodnie i wyszła, wyganiając po drodze kury, żeby mogły sobie dziobać nad brzegiem kanału.

Alinor odczekała, aż ucichnie chrzęst jej kroków zmierzających do promu. Dopiero kiedy zwirowa plaża opustoszała i słychać było tylko krzyk morskich ptaków, odważyła się przełożyć resztę owsianki do dodatkowej miski – miski jej męża. Potem wzięła jego drewnianą łyżkę i drewniany kubek z podpiwką i zniosła to do szopy.



Zapukała do drzwi i weszła, schylając głowę pod krzywym nadprożem. Ksiądz spał na sieciach, wyciągnięty na swoim wspaniałym wełnianym płaszczu. Piękne wijące się włosy rozsypały mu się wokół twarzy. Przyjrzała się jego bladej cerze, długim ciemnym rzęsom. Podziwiała uśpioną siłę jego ciała, pierś, ramiona i długie nogi w drogich butach do konnej jazdy. Każdy z miejsca zorientowałby się, że jest tu obcy. Nie pasował do ubogiej wysepki na południowym wybrzeżu Anglii. Już na pierwszy rzut oka widać było szlachetną krew. Leżąc na cuchnących sieciach w zrujnowanej szopie, wydawał się równie nie na miejscu, jak ona wydałaby się wśród jedwabi i pachnideł królewskiego dworu – za starych czasów, kiedy jeszcze król miał swój dwór w Londynie.

Pomyślała, że jeśli go obudzi, to okaże brak szacunku, ale stygnąca miska w ręku uświadomiła jej, że nie może jej po prostu zostawić w szopie. Widok zimnej, skrzepłej owsianki prawdopodobnie przyprawi go o torsję, a na pewno odbierze mu apetyt. Schyliła się i postawiła na ziemi kubek z podpiwką, a potem delikatnie potrząsnęła stopą śpiącego.

Jego rzęsy zatrzepotały, otworzył oczy i w jednej chwili zerwał się na równe nogi.

– Ach! Moja gospodyni!

Wyciągnęła przed siebie miskę.

– Kasza – powiedziała. – Wiem, że to nie posiłek, do jakich nawykłeś.

– Dany mi przez ciebie i od Boga, więc jestem za niego wdzięczny – odparł.

Wziął od niej miskę, postawił obok kubka i zmówił szeptem długie dziękczynienie po łacinie. Alinor, nie wiedząc, co ze sobą począć, pochyliła głowę. Kiedy skończył, szepnęła: „Amen”. Słyszała – wszyscy słyszeli z ust pastora – że Bóg nie mówi po łacinie. Bóg mówi po angielsku i w tym języku należy się do niego zwracać, a wszystko inne to fałsz, herezja i papistowska kpina z porządku świata.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na sieciach, nie bacząc, że roi się w nich od robactwa, i zaczął jeść, jakby od miesiąca nie miał nic w ustach. Wyskrobał miszkę do czysta i osuszył kubek do ostatniej kropli.

– Przykro mi, ale nie mam więcej – rzekła zawstydzona. – Mogę przynieść trochę zupy rybnej, jeśli będziesz tu jeszcze w porze obiadu.

– Wyśmienite jadło! – sapnął. – Byłem głodny jak wilk. Bardzo jestem ci wdzięczny, że dzielisz się ze mną posiłkiem. Mam nadzieję, że nie braknie ci z tego powodu stawy?

Z nagłym wyrzutem sumienia pomyślała, że Rob chętnie zjadłby więcej na śniadanie.

– Nie – odparła. – A córka być może przyniesie jakieś mięso na kolację.

Zmrużył oczy, jakby chciał wyczarować przed sobą kalendarz i sprawdzić, czy nie obowiązuje go post. Uśmiechnął się.

– Dziś Dzień Świętego Jana. Nic nie stoi na przeszkodzie, by zjeść dobrze, ale jeśli stawy jest mało, błagam, zostaw ją dla siebie i swoich dzieci. Oddałaś wielkie usługi mnie i Bogu, ukrywając mnie tutaj. Nie chcę, byś głodowała. Ja do tego przywykłem.

Zacząła się śmiać i jej twarz pojaśniała. Znów zachwyciła go ta nagła przemiana.

– Ośmielę się twierdzić, że ja częściej głoduję – prychnęła.

Musiał się powstrzymać, by nie dotknąć jej roześmianego policzka.

– Masz rację – przyznał. – Poszczę, bo tak nakazuje mi wiara, ale robię to z własnego wyboru.

– Pomyślałam, że zaprowadzę cię do dworu, jeśli chcesz sprawdzić, czy zarządca wpuści cię do środka.

– Dziękuję ci za chęć pomocy. Tak, chętnie się z nim spotkam. Ale powiedz, czy będziemy szli tą samą drogą, którą tu przyszliśmy?

– Tak.

– A więc sam znajdę drogę. Nie będę cię narażać.

– To bagno – przypomniała mu. – Muszę cię przeprowadzić. Mogę iść kawałek z przodu, wtedy nikt nie pomyśli, że jesteście razem.

Pokiwał głową.

– Ale musisz utrzymywać dystans.

– Dobrze.

Przez chwilę milczeli.

– Usiądziesz? – zaproponował. – Usiądziesz tu przy mnie i porozmawiamy?

Zawahala się.

– Muszę wracać. Mam robotę.

– Tylko na chwilę. – Sam się sobie dziwił, że szuka jej towarzystwa, zamiast wykorzystać ten czas na modlitwę.

Usiadła na ziemi, chowając stopy pod wełnianą spódnicą. W pomieszczeniu było ciemno, cuchnęło solą, wodorostami i wstrętnym błockiem z moczarów. Podłogę stanowiło zwykłe klepisko, sieci walały się na bezładnych stertach, a klatki na homary gniły pełne starych wodorostów i muszli.

– Co byś teraz robiła, gdybym cię tu nie zatrzymał? – spytał.

– Rano pieliałabym ogród i sprzątała w chacie, zrywała zioła do suszenia i na nalewki, może znalazłabym czas na przedzenie... Po południu pójde do brata, żeby nastawić jęczmień na piwo. Wyrobię też ciasto na chleb. Czasami pracuję w gospodarstwie młynarza, w mleczarni albo piekarni. Albo plewię, kopię, pomagam przy zniwach. To zależy od pory roku. – Wzruszyła ramionami. Było jasne, że ma zbyt wiele zajęć, żeby wszystkie po kolei wymieniać. – A skoro dziś Świętego Jana, to wieczorem znów będę zrywać zioła w moim ogrodzie i u brata przy promie. I porobię wyciągi w jego destylarni. Czasem zdarza się, że wzywają mnie do porodu albo jak ktoś zachoruje. Wiezorami chodzę też do kościoła, jeśli czasu starczy. Dobrze jest usiąść choć na chwilę.

– Musisz czuć się samotna.

– Nie... Choć brakuje mi matki – przyznała.

– Nie tęsknisz za mężem?

– Cieszę się, że zniknął – powiedziała bez ogródek. – Szkoda tylko łodzi.

– Był dla ciebie niedobry? – Musiał przytrzymać swoje ręce na kolanach, by nie złapać jej złożonych dłoni. Jakiż potwór mógłby chcieć skrzywdzić kobietę taką jak ona? I gdzie był pastor? Gdzie brat? Dlaczego nie wzięli jej w obronę?

Pokręciła głową.

– Nie gorszy niż inni dla swoich żon. Nigdy się nie skarżyłam. Ale dużo jadł i sporo było koło niego roboty. Byłam już nim zmęczona. Wyczerpana. Ale bez niego nie mamy pieniędzy na życie. I mało możliwości, żeby je zarobić... a już żadnej, żeby coś odłożyć. Martwię się o córkę. Pracuje w gospodarstwie, a jest taka śliczna. Za dwa, trzy lata pójdzie za mąż. Skąd wezmę na posag? Nie wiem. O syna też się martwię. Chłopak rośnie, a nawet łodzi w spadku po ojcu nie odziedziczy. Pewnie przejmie prom po moim bracie, ale do tego czasu miną

jeszcze lata. A i później to ciężki kawałek chleba. Nie wiem, co się z obojgiem stanie. – Pokręciła głową, jakby nieraz się nad tym troskała. – I ze mną. Niech Bóg broni, żebyśmy skończyli, żebrząc o kawałek chleba.

– To niemożliwe – rzekł wstrząśnięty. – Nie możesz tak skończyć.

– No cóż, zdarza nam się coś pożyczyć – bąknęła. Cień uśmiechu w kącie jej ust zdradził mu, że kłusują na polach sir Williama.

– Bóg nie broni pożyczki, jeśli to tylko królik – wyjaśnił i został nagrodzony łobuzerskim uśmiechem. – Ale musicie uważać.

– Uważamy – zapewniła. – Sir William dba tylko o swoje jelenie i bażanty. Może kiedyś uda nam się kupić łódź. Może i dla nas nadejdą lepsze czasy.

– Czy nie ma mężczyzny, który mógłby zająć miejsce twojego męża? – spytał, przypominając sobie, że czekała na kogoś przy kościele tej nocy.

Odwróciła głowę z pogardą. James osłupiał. Znał księżne, które były mniej wyniosłe.

– Nie wyjdę powtórnie za męża.

– Nawet dla łodzi? – Uśmiechnął się.

– Nikt, kto ma łódź, nie weźmie mnie z dwójką dzieci – zauważyła. – To trzy gęby do wykarmienia.

– Czy twoja córka jest do ciebie podobna? – Pomyślał, że musi być piękna jak królowa z bajki. Królowa przebrana za żebraczkę.

– Nie bardzo – odparła z uśmiechem. – Ona ma nadzieje i plany. Słucha wuja i myśli, że każdy może zostać, kim zechce. Że wszystko się zmieniło, a świat stoi przed nią otworem. Wierzy całym sercem w lud i parlament. Nie winię jej za to. Co mi zostało, jeśli nie nadzieja na lepsze jutro dla niej i Roba? – Jej twarz się rozjaśniła, kiedy wymówiła imię chłopca.

– To twój syn?

– Rob to urodzony medyk. Odziedziczył uzdrowicielski dar po mojej matce. Od dziecka siedział ze mną w ogrodzie, zna wszystkie zioła i ich właściwości. Nauczyłam go, jak ich używać. Czasem mi towarzyszy, kiedy wzywają mnie do chorego czy umierającego. Gdyby tylko mógł się dalej uczyć, osiąść prawdziwą wiedzę z książek! Wiedzącemu, który do tego jest wykształcony, nie zabraknie bogatych klientów. To znaczy w mieście – wzruszyła ramionami – no bo przecież nie tutaj. Tu płacą mi za zioła jedzeniem. Czasem wpadnie jakiś pens. Wszyscy moi sąsiedzi to ludzie ubodzy. Tylko we dworze mieszka możny pan. Opiekowałam się jego żoną, zanim zmarła, i leczyłam panicza parę miesięcy

temu. Dwa razy do roku porządkuję tam destylarnię i uzupełniam zapasy w apteczce. Ale kiedy pan choruje, posyła po medyka z Chichesteru.

– Jesteś wiedząca? Czyli...? – zawiesił głos.

– Leczę tylko ziołami – zapewniła ostrożnie. Zgadywała, że ksiądz nie ma pojęcia o subtelnych różnicach, jakie dzieliły zwykłych zielarzy od tych, którzy wykorzystując ciemne moce, potrafili sprowadzić zarazę na całe wioski. – Jestem też akuszerką. Miałam kiedyś licencję... kiedy jeszcze w Chichesterze był biskup, który taką licencję mógł wydać. Potem go wyrzucono i musiał uciekać. Potrafię wyrwać ząb i nastawić kość. Przeciąć wrzód i wyleczyć opryszczkę. Ale nic ponadto. Jestem zwykłą uzdrowicielką i znajduję zagubione rzeczy.

– Mnie znalazłaś. – Uśmiechnął się.

– To znaczy, że się zgubiłeś?

– Myślę, że to Anglia jest zgubiona – rzekł poważnie. – Nie wolno nam zrzucić króla z tronu ani wybierać sposobu, w jaki wyznajemy Boga. Nie możemy stawiać parlamentu ponad wszystkim ani wypowiadać wojny monarsze, którego Bóg namaścił, by nami władał.

– Nie wiedziałam.

Zawahał się chwilę.

– Zeszłej nocy powiedziałaś, że twój brat sprzyja siłom parlamentu?

– Tak. Uciekł stąd, by zaciągnąć się do Armii Nowego Wzoru. Ale kiedy zmarł ojciec, musiał wrócić, żeby zachować prawo do promu. Nasza rodzina dzierżawi go od pokoleń, razem z domem przy przeprawie.

– To jedyny sposób, żeby się dostać na stały ląd? Barka twojego brata?

– Nie barka – sprostowała. – Raczej tratwa na linie rozpiętej w poprzek Szerokiego Nurtu, który oddziela Sealsea od stałego lądu. Nie jest głęboki. Można go przejść w czasie odpływu. Bród ma dno wyłożone kamieniami, więc nie utknie się w błocie. Mój brat dogląda brodu i przewozi tych, którzy nie chcą zmoczyć nóg. Często kobiety, które niosą na targ przedzę i inne towary, a kiedy woda jest wysoka, również wozaków z ich wozami. Nawet sir William ładuje na prom swoje konie i powóz, gdy jest przypływ.

– I co? Twój brat wiosłuje?

Pokręciła głową.

– Ciągnie za linę. To wielka tratwa, dość duża, by zmieścić się na niej wóz. W czasie pływów prąd jest bardzo silny. Więc prom na dziobie i rufie jest

przyczepiony do liny, żeby prąd go nie porwał i nie zniósł na bagno, a potem na pełne morze.

Zauważył, że przybladła.

– Boisz się wody? – spytał ciekawie. – Mieszkając na wybrzeżu?

– Córka przewoźnika i żona rybaka? – Uśmiechnęła się. – Wiem dobrze, że to głupie, ale woda zawsze mnie przerażała.

– To jak masz zamiar łowić ryby, kiedy już zdobędziesz łódź?

Znów się uśmiechnęła, wzruszając ramionami, a potem wstała i podniosła z ziemi miskę i kubek.

– Jakoś będę musiała zebrać się na odwagę – stwierdziła. – Potrafię wiosłować i zarzucać sieci, a dzieci mi pomogą. Nie będę wypływać na otwarte morze. Mogę łowić w zatoce. A jeśli wygracie i król wróci na swój tron, a Kościół znów będzie papistowski, będę mogła sprzedawać ryby na targu i po domach w każdy postny dzień.

– Kiedy wrócę do domu, wyślę ci pieniądze na zakup łodzi – obiecał.

Zaśmiała się, jakby usłyszała żart.

– A gdzie jest twój dom? – zapytała.

Zawahał się przez chwilę, lecz pragnął jej zaufać.

– Mieszkam w seminarium, we Francji – rzekł w końcu. – Rodzina wysłała mnie do Kolegium Angielskiego w Douai, kiedy miałem dwanaście lat. Zostałem tam i przyjąłem święcenia. Gdy zaczęła się wojna, wszyscy byli szczęśliwi, że jestem bezpieczny poza krajem. Ojciec walczył z siłami parlamentu i poniósł porażkę. Został ranny pod Naseby. Teraz przebywa wraz z matką na wygnaniu. Są w Paryżu, przy królowej. A ja jestem kimś w rodzaju misjonarza. Zostałem zaprzysiężony, by podróżować do Anglii i nawracać ludzi na prawdziwą wiarę.

– Czy podróże do Anglii nie są dość niebezpieczne?

Zawahał się. Zarówno za szpiegostwo, jak i herezję groziła tu kara śmierci. Jego seminarium było dumne ze swoich męczenników. Przed ścianą, na której wyryto ich nazwiska, płonęły świece. Kiedy był młody, sam pragnął zostać jednym z nich.

– Moje kolegium wysłało wielu męczenników na angielską ziemię. Czyni to, odkąd król Henryk odwrócił się od prawdziwego Kościoła. Sto lat mija od czasu, gdy wbrew woli ludu zmieniono religię. Lecz my się nie zmieniliśmy. Idę ścieżką, po której kroczyło przede mną wielu świętych. – Uśmiechnął się, widząc jej zdumione spojrzenie. – Uwierz mi, taki był mój wybór. Wciąż jest wiele

domów, w których znajdę schronienie, i wielu przyjaciół, którzy pomogą w potrzebie. Mogę przemierzyć cały kraj, nigdy nie opuszczając tak naprawdę katolickich ziem. Każdej nocy mogę się modlić w jakiejś sekretnej kaplicy. A teraz, kiedy parlament posunął się za daleko, wypędzając króla, a armia jeszcze dalej, teraz jest dla nas szansa. Jak kraj długi i szeroki, miasta i wioski opowiadają się po stronie króla i pragną jego powrotu na tron. Lud chce pokoju i chce swobodnie wyznawać swą wiarę.

– Zanim to się stanie, pewnie wrócisz do swoich – mruknęła z powątpiewaniem, myśląc, że taki dzień raczej nie nadejdzie.

– Nie. Jest jeszcze jedna rzecz, wielka rzecz, którą muszę zrobić, zanim będzie mi dane powrócić do domu – rzekł, walcząc z pokusą, by zdradzić jej więcej.

Domyśliła się od razu.

– Chyba nie wybierasz się na wyspę Wight? – szepnęła. – Do króla!

Jego milczenie upewniło ją, że się nie myli. Dopiero po chwili podjął:

– Teraz rozumiesz, dlaczego nie powinni widzieć nas razem. A ja nigdy nikomu nie powiem, że mnie ukryłaś. Cokolwiek się wydarzy, cokolwiek mnie spotka, nigdy cię nie zdradzę.

Ciężko pokiwała głową.

– Jeśli chcesz iść do dworu, to teraz, kiedy jest odpływ. Możesz zastać zarządcę przy śniadaniu, a jeśli nie zechce udzielić ci schronienia, będzie jeszcze czas, żeby wrócić przez rozlewisko, zanim woda przybierze.

James wstał ze sterty sieci, otrzepał kaftan i zarzucił płaszcz na ramiona.

– Będziemy szli przez bagno?

Skinęła głową.

– Nie powinniśmy nikogo spotkać. Mało kto się tu zapuszcza. Kiedy dotrzemy do majątku, ruszymy wzdłuż linii krzaków. Jeśli tam się na kogoś natkniesz, wskoczysz do rowu i się ukryjesz. Gdybyś musiał uciekać, idź wzdłuż rowu. Zaprowadzi cię w głąb łądu, a tam znajdziesz schronienie w lesie.

– A ty?

– Powiem, że nie zauważyłam, że mnie śledzisz. Wyszłam na plażę nazbierać mewich jaj. – Odwróciła się i otworzyła drzwi. – Poczekaj tutaj.

Nagle, niczym salwa armatnia, powietrze rozdarł ogłuszający hałas. Najpierw plusk kaskady wody, a potem koszmarny zgrzyt.

– Co to takiego? – Zerwał się, sięgając po swój cenny tobolek.

– To tylko młyn – uspokoiła go kobieta. – Otwarli kanał młynówki i teraz poruszają się kamienie młyńskie. W spokojny dzień słycać je daleko.

Wyszedł za nią na zewnątrz, w jaskrawy poranek. Łachy błota i kałuże lśniły jak srebro, ciągnąc się aż po horyzont, migoczące i dziwne. Brzęk i zgrzyt wciąż trwały, jakby ktoś otwierał żelazne wrota piekieł, ciągnąc je po kamiennej posadzce.

– Zaraz ogłuchnę!

– Przywykniesz – powiedziała i ruszyła do brzegu, gdzie wąska smuga żwiru wchodziła w bagnisko, a potem niknęła w płytkim korycie rzeki.

Szedł obok niej z tobołkiem na plecach, nieomal przy każdym kroku wrywając z młaśnięciem grzęznące w błocie buty. Nagle wąski rów biegnący wzdłuż ścieżki wypełnił się pędzącą wodą, sprawiając, że James podskoczył z zaskoczenia.

Jego przewodniczka się roześmiała.

– To młynówka. Woda, która przepływa przez młyn.

– Wszystko tu jest takie dziwne – bąknął, zawstydzony, że wystraszył się wody, która teraz płynęła obok nich. Poza nią krajobraz trwał w zupełnym bezruchu. – Mój dom jest na północy. Są tam wysokie wzgórza i wrzosowiska. To sucha kraina. Tutaj jest zupełnie inaczej. Dla mnie niziny to jak obcy kraj.

– Młynarz otwiera jaz w stawie i woda płynie, poruszając młyńskie koło. A potem spływa tym rowem do morza.

– Przy każdym odpływie? – spytał, obserwując potok.

– Nie miele za każdym razem – odparła. – Ludziom nie potrzeba aż tyle mąki. Składuje ziarno i wysyła je do Londynu, kiedy osiąga odpowiednią cenę.

Dosłyszał w jej głosie rozzalenie.

– Chcesz powiedzieć, że spekuluje, tak? Kupuje ziarno tanio, a potem wysyła i sprzedaje po londyńskich cenach?

– Młynarz nie jest gorszy niż inni – odparła. – Ale ciężko patrzeć, jak statek z ziarnem odpływa pod pełnymi żaglami, kiedy ciebie nie stać na bochenek chleba i nie zarobisz nawet na mąkę.

– Czy tutejszy właściciel ziemski nie ustala ceny bochenka? To jego obowiązek!

Wzruszyła ramionami. Dobry pan ustaliłby cenę i zadbał, aby młynarz nie brał więcej niż miarkę pszenicy jako zapłatę za swoją pracę.

– Sir William nie zawsze jest na miejscu. Często przebywa w Londynie. Pewnie nawet nie wie.

Kiedy skręcili, oddalając się od strumienia, przestał dostrzegać ścieżkę, po której go prowadziła. Weszli na niewielkie wzniesienie, małą wysepkę żwiru, potem kolejną z wielu rozrzuconych pośród grząskiego błota. Wokół wciąż bulgotała cofająca się woda zatoki. Przez jakiś czas szli żwirową mierzeją, która dawała lepsze oparcie stopom. Od strony morza ciągnęło się zagłębienie, w którym widział ławice malutkich rybek pozostawionych przez odpływ. Czasem stąpali po piasku naniesionym przez fale. Pamiętając o niebezpieczeństwie, starał się wtedy stawiać stopy na śladach pozostawionych przez idącą przodem kobietę. Nieraz wątpił, czy uda jej się odnaleźć przejście wśród głębokich strumieni wijących się przez bagnisko. Skręcała wówczas to w jedną stronę, to w drugą, szukając drogi – czasem po morskim dnie lub po kępach sitowia, czasem wzdłuż krętego wybrzeża, gdzie na wpół zanurzone słupy i zagrzebany w błocie falochron świadczyły o tym, że ktoś kiedyś zbudował groble, by wydrzeć nieco ziemi, lecz przegrał w starciu z obojętnym na te wysiłki morzem.

Kiedy w końcu po blisko godzinie marszu skręcili w głąb lądu, znaleźli się na ścieżce, którą flankowały ciasno rosnące po obu stronach głogi. James zwolnił, by móc się ukryć, gdy kogoś zobaczy lub usłyszy, że kobieta kogoś wita. Trzymał się jednak na tyle blisko, by nadążyć za swoją przewodniczką. Spoza gęstych zarośli było już widać wysokie dachy dworu. Krętą ścieżkę przegradzały pędy jeżyn, łapiąc go co chwila za rękawy. Najwyraźniej była rzadko uczęszczana. Robotnicy rolni woleli chodzić drogą. A kiedy król był na tronie, sir William zaś w łaskach, jego dostojni goście nadjeżdżali powozami od strony lądu, przez bród, a następnie pod zdobioną bramą do frontowych drzwi, gdzie sznur służby w liberiach czekał w ukłonie, aż otworzą się drzwiczki karety. Ale służba w liberiach uciekła, by zasilić szeregi Armii Nowego Wzoru, a i ważni goście przestali tu zajeżdżać, odkąd zaczęła się wojna i sir William opowiedział się po przegranej stronie.

Drzewa ustąpiły miejsca byle jak skoszonemu ściernisku. Szybko pokonali otwartą przestrzeń, by skryć się pod osłoną wysokiego muru z kamienia i cegły. Alinor zatrzymała się z ręką na żelaznym kółku przytwierdzonym do drewnianej furty.

– Czy to twoja bezpieczna przystań? Spodziewają się ciebie? Mam zdradzić twoje nazwisko?

– Tu właśnie miałem nadzieję dotrzeć – potwierdził James. – Sir William obiecał mnie tu przyjąć. Nie wiem jednak, ile wyjawiał swemu rządcy. Zastanawiam się, czy możesz bezpiecznie występować w moim imieniu. Lepiej pójdę sam.

– Bezpieczniej będzie, jak tu zostaniesz. Zawsze mogę powiedzieć, że spotkałam cię przypadkiem i kazałeś się tu przyprowadzić. Zaczekaj tam. – Wskazała niechlujnie ułożony stóg siana z lichej nadmorskiej trawy rosnącej na podmokłej łące. – Schowaj się za stogiem i dawaj baczenie. Jeśli nie wrócę do godziny, to znaczy, że coś poszło źle, i wtedy uciekaj. Wracaj wzdłuż brzegu, trzymając się skarpy. Przeczekaj do wieczora, aż woda znów opadnie, i będziesz mógł przekroczyć bród o zmierzchu.

– Niech Bóg cię strzeże – wyjąkał zdenerwowany. – Nie podoba mi się, że wystawiam cię na ryzyko. Jego lordowska mość obiecał, że będę tu bezpieczny. Ale rządcy nie jestem pewien.

– Gdyby mnie wysłali, żebym cię zwabiła w pułapkę, zdejmę fartuch na znak, że to podstęp. Jeśli zobaczysz, że niosę go w ręku, uciekaj.

Twarz miała bladą z obawy, usta mocno zaciśnięte. Bez słowa odwróciła się i weszła przez furkę w murze do ogrodu przy kuchni. Minęła schludny warzywnik i zzuła chodaki pod kuchennymi drzwiami. Zapukała.

Kucharka otworzyła górną połówkę drzwi i uśmiechnęła się na widok Alinor.

– Niczego dziś od ciebie nie potrzebuję – powiedziała. – Jego lordowskiej mości do jutra nie będzie w domu, a tylko on jada węgorza w cieście.

– Przyszłam do pana Tudeleya – bąknęła Alinor. – Chodzi o mojego syna.

– Pracy nie ma – wypaliła bez ogródek kucharka. Uniosła pokrywę wielkiego kotła i zamieszała w nim chochlą. – Nastają ciężkie czasy, a nikt nie wie, co nas jeszcze czeka. Na pewno nic dobrego, gdy nie ma króla, parlament pod bronią, a nasz pan jeździ tam i z powrotem do Londynu jak tydzień długi, próbując im przemówić do rozsądku. Tyle że nikt nikogo nie chce słuchać, chyba że samego diabła.

– Wiem – odparła Alinor, wchodząc za nią do rozgrzanej kuchni – ale i tak muszę z nim mówić. – Poczowała nagłe ukłucie głodu, kiedy woń wołowego wywaru dotarła do jej nozdrzy. Zacisnęła wargi, bo ślina napłynęła jej do ust.

Kucharka uniosła głowę znad roboty, otarła zroszone czoło fartuchem i krzyknęła w głąb domu, by ktoś zobaczył, czy pan Tudeley jest u siebie i czy

przyjmie wdowę Reekie. Alinor czekała przy drzwiach, nasłuchując, jak któryś ze sług pyta, czy wpuścić. Po chwili lokaj wetknął głowę do kuchni i powiedział:

– Chodźcie, dobra kobieto.

Ruszyła za nim korytarzem, obok składów i magazynów, do drzwi pokoju zarządcy. Lokaj otworzył je i Alinor weszła do środka. Pan Tudeley siedział przy stole, którego blat zaścielały papiery.

– Reekie – odezwał się, nie podnosząc wzroku – chcieliście mnie widzieć.

Alinor dygnęła.

– Witajcie, panie. Tak, chciałam. W istocie.

Sługa wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Rządca czekał w milczeniu, spodziewając się, że przyszła prosić o umorzenie czynszu za ostatni kwartał. Wszyscy wiedzieli, że Reekie i jej dzieciaki ledwo wiązą koniec z końcem. Nikt jakoś nie współczuł porzuconej żonie pijaka.

– Zeszłego wieczoru spotkałam pod kościołem człowieka, który oświadczył, że zwie się James – wyrzuciła z siebie pośpiesznie, trwożnie. – Ojciec James. Przyprowadziłam go tutaj. Czeka przy stogu siana na nadbrzeżnym łągu.

– Więc przyprowadziłaś heretyckiego księdza do mnie, bym go aresztował? – spytał chłodno, patrząc na nią ponad złożonymi dłońmi.

Alinor przełknęła ślinę. W ustach miała sucho, twarz stężała jak z chłodu.

– Jak postanowicie, panie. Nie wyznaję się na tych sprawach. Powiedział mi, by go tu przyprowadzić, więc przyprowadziłam, nikomu nie mówiąc. Jeśli to przyjaciel jego lordowskiej mości, muszę czynić, co każe. A jeśli to wróg, wydaję go w wasze ręce.

Pan Tudeley uśmiechnął się, widząc jej pobladłą ze zdenerwowania twarz.

– A więc to nie idea tobą powoduje? Nie przyłączyłaś się do stronnictwa swojego brata, co, Reekie? Nie zostałaś czasem jedną z ich prorokiń i kaznodziejek? A może chcesz zobaczyć, jak ten człowiek płonie za herezję albo go wieszają lub topią za zdradę?

– Nikomu źle nie życzę – odparła gwałtownie. – A wierzę w to, w co wierzy mój pan. Cokolwiek sir William uzna za słuszne. Nie mnie to osądzać. I nie chcę osądzać. Przyprowadziłam go do was, byście uczynili, co uważacie, panie Tudeley. Sami go sądźcie.

Jej szczerłość go upewniła. Wstał od stołu.

– Bardzo dobrze zrobiłaś. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej garść pensów. Odliczył dwanaście.

Cały szyling, pomyślała Alinor. Płaca za dwa dni pracy Alys.

– To dla ciebie. Za to, że wiernie służysz swemu panu, choć nie wiedziałaś i nie wiesz, jakie są jego zamysły. Żeś dobrą służką nawet w niewiedzy. – Roześmiał się krótko. – I za to, żeś uczyniła słusznie, nieświadoma jako ten ptak na niebie.

Alinor nie potrafiła oderwać wzroku od garści monet.

Rządca sięgnął do szuflady, wyjął z niej sakiewkę, rosznurował rzemyk i wyłuskał małą srebrną monetę, którą położył obok pozostałych.

– Popatrz – rzekł. – Oto srebrny szyling, by kupić twoje milczenie. Jesteś kobietą ubogą, ale nie głupią. I nie jesteś plotkarką. Ani słowa o tym, moja dobra Reekie. Nic nie liczy się bardziej. Wciąż trwa wojna i nadal nie wiadomo, kto wyjdzie z niej zwycięsko. Jeśli się wyda, ty na tym wyjdiesz najgorzej. Nie ja; wszystkiego się wyprę, a jak myślisz, kogo posłuchają, stawiając moje słowa przeciw twoim? Nie jego lordowska mość, którego nawet tu nie ma. I nie ten człowiek w stogu, który będzie już daleko, gdyż czmychnie stąd jak zając przed stadem ogarów. To ciebie wrzucą do wody. Za to, że wierzysz nie tak, jak trzeba, postępujesz nie tak i mówisz nie tak. To ciebie oskarżą o szpiegostwo, zdradę, a przynajmniej oszczerstwo. To ty będziesz pływać w kanale, czując, jak mokre spódnice ciągną cię na dno, a morze już po ciebie idzie. Rozumiesz?

– Tak – wychrypiła Alinor. Gardło miała zaciśnięte ze strachu. – Niech Bóg broni, żeby do tego doszło. Przysięgam, że nic nie powiem. Nic a nic, panie.

– Powiemy więc, że przyszłaś prosić o robotę dla swojego chłopaka. A ja powiedziałem, że możecie przyjść oboje pomóc w zielniku. Wypławić, zebrać, co nadaje się do suszenia, i uporządkować destylarnię. Ty i on otrzymacie zwyczajowe wynagrodzenie. Sześć pensów za dzień. Wydacie te pieniądze rozsądnie i z umiarem. I nigdy się nie przyznacie, skąd naprawdę pochodzą. Szylinga zachowacie i nikomu nie zdradzicie, że dostaliście go ode mnie.

– Tak, panie – powtórzyła.

Pokiwał głową.

– I umarzam wam czynsz za ten kwartał.

Zakręcił obrotową szafką, aż szuflada z literą „R” znalazła się przed nim. Wyjął rejestr wpłat Alinor i postawił znaczek przy jej nazwisku.

– Proszę.

– Dziękuję. – Alinor nie mogła złapać tchu z ulgi. – Niech was Bóg błogosławi, panie.

– Możecie już iść. I powiedzcie temu człowiekowi na pastwisku, żeby wszedł dyskretnie. Niech użyje drzwi, którymi wchodzi dzierżawcy w dniu opłat. Rozumiecie? Niech się upewni, że nikt go nie widział. I nie będziemy o tym więcej rozmawiać. A ty nie powiesz nikomu. Nigdy.

– Tak, panie – potwierdziła raz jeszcze, a potem schwyciła pieniądze jak złodziej, wsunęła je do kieszeni fartucha i w jednej chwili była już za drzwiami.



Wyszła przez drzwi dla dzierżawców, żeby się upewnić, że są otwarte, i wróciła przez ogród po swoje chodaki. Wzwała je i ruszyła do furty od strony morza. Ktoś, kto by ją spostrzegł, pomyślałby, że kieruje się najkrótszą drogą do swojego domu na drugim krańcu zatoki. James, obserwujący ją zza stogu siana, widział, jak wychodzi przez furkę w murze i zmierza ku niemu lekkim krokiem. Głowę niosła uniesioną, fartuch tkwił zawiązany w pasie, a spódnica szeleściła na ściernisku, które wydzielalo woń siana i uschniętych polnych kwiatów. Bez troski wdzięk jej ruchów powiedział mu, że jest bezpieczny. Judasz nie zdołałby iść w taki sposób. Kobieta promieniała niczym obraz świętej w kościelnym witrażu.

– Tu jestem – odezwał się, kiedy zbliżyła się do stogu.

– Możesz iść – rzekła bez tchu. – Będziesz tu bezpieczny. Przez furkę w murze, którą wysłałam, a potem w lewo, przez kuchenny ogród. Będą tam małe drzwi w ścianie, z czarnego dębu, po lewej stronie budynku. Wejdz przez nie. Są otwarte. Pokój rządcy jest dwa kroki w głąb korytarza, po prawej. Okno wychodzi na ogród. Czeka już na ciebie. Nazywa się Tudeley.

– On cię nie... nie zmusił, żebyś mnie...?

Pokręciła głową.

– Nie. Zapłacił mi – dodała, drżąc z ulgi – za to, że cię do niego sprowadziłam. Jest po waszej stronie. Zapłacił mi za milczenie. Spotkanie z tobą przyniosło mi szczęście.

– Mnie także – odparł, łapiąc ją za rękę. Przez moment tak stali, aż w końcu puścił ją niechętnie. – Niech cię Bóg błogosławi i pomaga w troskach żywota – powiedział oficjalnie. – Będę się za ciebie modlił. I wyślę ci pieniądze, kiedy tylko uda mi się wrócić do Francji.

– Nic nie jesteś mi winien – zaprotestowała. – Pan Tudeley dał mi dwa szylingi. Dasz wiarę? Całe dwa szylingi!

Pomyślał o swoim klasztorze. O złotych kielichach na ołtarzu, o blasku brylantów i rubinów zdobiących relikwiarz. Pomyślał o złotym krzyżu na złotym łańcuchu obejmującym jego własną szyję. Dziś będzie jadł ze srebrnych talerzy, spał w najlepszej pościeli, a ktoś tymczasem upierze jego koszulę i oczyści buty. Jutro, najdalej pojutrze, spotka się z sir Williamem i wynajmą łódź, przekupując ludzi fortuną, którą dźwigał przy sobie. Tymczasem ta kobieta cieszy się z dwóch szylingów.

– Będę się za ciebie modlił – powtórzył i zawahał się. – Kogo mam wspominać w modłach?

– Alinor. – Uśmiechnęła się. – Alinor Reekie.

Pokiwał głową. Nie umiał znaleźć powodu, by ją zatrzymać, a jednak nie chciał, by odchodziła.

– Będę się modlił, żebyś zdobyła łódź.

– Może się uda.

Razem zaczęli i razem umilkli w pół słowa:

– Jeśli tu wrócę...

– Czy jeszcze kiedyś...?

– Nie, nie sądzę, żeby mi było dane tu wrócić – przyznał po chwili. – Muszę iść tam, dokąd mnie posyłają.

– Nie będę czekać – zapewniła go. – Wiem, że to nie miejsce dla ciebie.

– Jesteś... – zaczął, ale wciąż nie wiedział, co powiedzieć.

– Tak? – spytała. Na jej szyi, tuż nad szorstkim materiałem sukni, pojawił się nieśmiały rumieniec.

– Nie wiedziałem... – zaczął.

– Czego? – spytała łagodnie. – Czego nie wiedziałeś?

– Nie wiedziałem, że w takim miejscu jak to spotkam taką kobietę jak ty.

Uśmiech pojawił się najpierw w jej ciemnoszarych oczach, potem wykwitł na ustach, a policzki oblały się rumieńcem.

– Żegnaj – powiedziała nagle, jakby po tym, co usłyszała, nie chciała już nic więcej wiedzieć. Odwróciła się i ruszyła przez łąkę w kierunku morza, gdzie ciemna smuga na tle pochmurnego nieba wskazywała, że przypyływ już się zbliża.



Słowa obcego sprawiły jej przyjemność i w następnych dniach wciąż jej towarzyszyły, kiedy pełła ogród, zbierała zioła i suszyła je w domu przy

przeprawie. Chodziła też do wioski, odwiedzała żonę Johnsona, która miała rodzić zaraz po żniwach. Jej mąż całkiem nieźle zarabiał na plonach z własnych pól, a dodatkowo dzierżawił jeszcze kawał gruntu z majątku lorda. Dał jej szylinga z góry, żeby co niedziela zaglądała do ciężarnej, a drugiego obiecał, jeśli będzie przy porodzie. Alinor zawinęła oba srebrne szylingi w szmatkę i schowała pod kamieniem w palenisku. „Taką kobietę jak ty...” – dźwięczało jej w głowie od świtu do zmierzchu długich letnich dni. Postanowiła, że jeśli uda jej się odłożyć trzy szylingi, porozmawia z bratem o kupnie łodzi.

„Taka kobieta jak ty...”

Powtarzała te słowa tak często, że w końcu straciły treść. Co znaczyło „kobieta taka jak ona”? Albo „miejsce takie jak to”? Fakt, że tu ją spotkał, zdał mu się dziwny i niewiarygodny. Czy to możliwe, że miejsce było jak należy, tylko ona do niego nie pasowała? Ale zaraz przypominała sobie jego spojrzenie, ciepło w jego brązowych oczach, i od razu wiedziała, co miał na myśli. I jego słowa znów niosły jej radość.

Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedział je wbrew sobie; że nie wolno mu było nawet spojrzeć pożądliwie na kobietę. Została ochrzczona w Kościele, w którym kapłani mogli się żenić. Od stu z górą lat w Anglii nie obowiązywał już celibat. Skąd miała wiedzieć, że te namiętne słowa, które wyrwały mu się z głębi duszy, legły mu na sumieniu ciężkim, śmiertelnym grzechem. Po powrocie do Francji będzie musiał je wyznać swemu spowiednikowi i ze skruchą odbyć pokutę.

Nie była nawet pewna, co sama czuje. Młodo wyszła za mąż i wydała na świat dzieci. Jedno i drugie przysporzyło jej bólu. Nie wiedziała, co sprawia, że szepcze słowa Jamesa jak modlitwę. Że wciąż tkwią w pamięci, grają w sercu wciąż od nowa tę samą melodię.

Rob wrócił i przyniósł trzy pensy za dniówkę płoszenia wron. Alys dorzuciła swoją tygodniową zapłatę w wysokości dwóch szylingów i sześciu pensów. Oboje oddali pieniądze bez słowa skargi, wiedząc, że ich gospodarstwo ma wydatki. Trzeba było kupić wełnę do przędzenia. Ponieważ nie mieli krowy, wypadało kupić również ser i masło. A z braku świń – bekon i słoninę. Musieli zapłacić za pieczenie chleba w piecu we młynie i młynarzowi za zmielenie pszenicy. Dwór pobierał opłatę za prawo do zbierania drewna wyrzuconego na brzeg przez morze i jajek ptactwa na plaży. I jeszcze kara za to, że wiosną nie kopali rowów wraz z innymi, i czynsz dzierżawny, bo zbliżał się termin. Do tego

comiesięczna dziesięcina na Kościół, no i butom Alys przydałyby się nowe podeszwy...

– Mam zamiar kupić łódź – oznajmiła Alinor. – Jeśli zdołam.



MOKRADŁA, LIPIEC 1648 ROKU

W pierwszą niedzielę lipca cała parafia zebrała się w kościele, patrząc na puste białe ściany i słuchając prostych, surowych słów pastora, które były wszystkim, co pozostało z modlitewnika, odkąd parlament go odchudził. Przez dwie godziny wzywał ich do świętości, aby byli świadkami nadejścia Pana. Oznajmił, że król w zamku Carisbrooke na wyspie Wight już pokutuje za swoje grzechy, a Pan nagnie jego kark, by w końcu ukorzył się przed parlamentem. Mogą być pewni, że Bóg nigdy nie zezwoli Szkotom ruszyć na południe, choć występny król wezwał ich na pomoc i szykują się – może nawet teraz – by plądrować i niszczyć niewinne angielskie miasta. Bóg ich powstrzyma, a szczególną klęskę zada Irlandczykom, jeśli i oni przyłączą się do najazdu. Wierni nie mają się czego lękać.

Alinor, dyskretnie zerkając na sąsiadów, spostrzegła, że to zapewnienie szczególnie ich zaniepokoiło. Prości ludzie wiedzieli doskonale, że jeśli ktoś mówi „nie ma się czego bać”, to znaczy, że mają kłopoty.

– To prawda – przyznał pastor – zaiste prawda, że zdrajcy chwytają za broń jak kraj długi i szeroki. Rojaliści powstają w każdym hrabstwie, a dwie armie najeźdźców szykują się do ataku. Ale pobożne wojsko parlamentu pokona ich bez trudu. Rozpustni „kawalerowie” nie wygrają z uczciwymi, cnotliwymi mężami. Ze świętymi mężami! Nie będzie już papistów na dworze. Król się ukorzy, poprosi o przebaczenie i zostanie przywrócony na tron, a papistowska królowa się nawróci i nie będzie już sprowadzać heretyckich księży. Jej kaplica, siedlisko herezji i zamętu, zostanie zamknięta na cztery spusty. Król odwróci się od pokus i przyjmie zasady swych prawych doradców. Królewska rodzina znów będzie razem, jak każda bogobojna rodzina. Ojciec będzie rozkazywał żonie i dzieciom, a synowie będą słuchać. Małe królewiątka, porzucone przez swych rodziców, wrócą na ich łono...

Tak będzie, zapewniał pastor, mimo iż wszyscy słyszeli złe wieści z Essexu i Kentu, gdzie królewscy zdobywali jedno miasto po drugim. Najgorsze, że cała

flota przeszła na stronę króla i dowodził nią teraz następca tronu. Wyglądało na to, że dokona inwazji na Anglię, wykorzystując jej własne okręty. Ale pomimo wszystkich złowróźbnych znaków, które objawiały się raz po raz, to prawowierni zwyciężą, grzmiał pastor. Bitwa się odbyła i została wygrana. Król został pokonany i musi to przyjąć do wiadomości. Honor nakazuje mu się poddać.

Alinor wiedziała, że sir William Peachey wrócił z Londynu, gdzie demonstrował świeżo odkrytą lojalność wobec parlamentu. Siedział teraz w wysokim krześle, za którym ustawili się jego domownicy, słuchając z niezwykłym skupieniem. Trwał w bezruchu, na jego twarzy nie pojawiła się nawet zmarszczka, kiedy pastor ogłaszał zwycięstwo rewolucji jako wolę Bożą. Zdawało się, że nawet nie mruga. Można by pomyśleć, że całym sercem i duszą jest po stronie Cromwella.

Na zakończenie nabożeństwa pastor odmówił modlitwę i przypomniał zebrany: żadnych zabaw przed kościołem. Koniec z niedzielnym ucztowaniem i zawodami. Niedzielę trzeba świętować po bożemu. A po bożemu znaczy w ciszy i skupieniu. Bez piwa i tańców. Każdy, kto będzie się zachowywał niewłaściwie, ma zostać zgłoszony strażnikom obyczajności. Szczególnie kobiety mają być posłuszne i ciche. Boże zwycięstwo wymaga cnotliwego ludu. Wszyscy teraz są żołnierzami Armii Nowego Wzoru i razem maszerują do Ziemi Obiecanej.

Kościół opustoszał. Wierni wyszli na zewnątrz, ospali i znudzeni. Przy bramie w murze stał sir William. Za jego plecami ustawili się pan Tudeley, rządca, i wymieniali nazwiska dzierżawców, gdy mijając pana, oddawali mu pokłony. Alinor z dziećmi czekała na swoją kolej. Jako opuszczona żona, żyjąca prawie na bagnach i przy tym na skraju nędzy, musiała przepuścić niemal wszystkich. Kiedy wreszcie znalazła się przed jego lordowską mością, dygnęła w milczeniu. Dziedzic zmierzył ją od stóp do głów wzrokiem, w którym próżno było szukać uśmiechu, i odwrócił się. Tudeley jednak przywołał ją zakrzywionym palcem.

– Sir William przyjmie kapelana, by odprawiał nabożeństwa w jego prywatnej kaplicy, a także uczył jego syna – powiedział.

Alinor słuchała, nie odrywając wzroku od ziemi.

– Twój syn jest w tym samym wieku, co panicz Walter, nieprawdaż?

– Nieco młodszy – odparła, wskazując dłonią Roba, który stał u jej boku jak wmurowany.

– Czym się zajmuje oprócz tego, że pomaga wam przy ziołach?

– Rano chodzi do szkoły – odparła spokojnie, starając się ukryć zaskoczenie tym nagłym zainteresowaniem. – Po szkole pracuje w gospodarstwie młynarza. Płoszy ptaki, plewi, to mądry chłopak. Umie czytać i pisać. Za tydzień pójdzie ze mną do destylarni we dworze, tak jak rozkazaliście. To on wypisze etykiety na butelkach. Zna nazwy ziół i po angielsku, i po łacinie. A do tego ma ładne pismo.

– Lubi łobuzować?

Alinor pokręciła głową.

– A więc będzie służył we dworze – oznajmił pan Tudeley. – Jako sługa i towarzysz panicza Waltera do czasu, gdy panicz wyjedzie do Cambridge. Będzie mógł się uczyć wraz z nim i otrzyma piętnaście szylingów na kwartał. Pięć z góry.

Alinor nie mogła złapać tchu.

– Nauczyciel panicza zażyczył sobie towarzystwa dla niego – ciągnął pan Tudeley. – Zaproponowałem twojego syna. To przysługa, którą wyświadcza ci jego lordowska mość, jako że twój mąż zaginął. Tak właśnie jest służyć dobremu panu. Zapamiętaj to.

Alinor dygnęła głęboko.

– Jestem niezmiernie wdzięczna – rzekła.

Spojrzał na nią z powagą.

– Gdyby ktoś pytał, powiesz tylko, że jego lordowska mość jest szczodry dla swoich ubogich poddanych.

– Tak, panie. Rozumiem.

Dwie głowy w białych czepkach i chłopięca czupryna skłoniły się pokornie, nim ruszyły w stronę bramy. Istny przykład posłuszeństwa i oddania.

– A więc nie wie o króliku – szepnęła Alys z satysfakcją.



MOKRADŁA, LIPIEC 1648 ROKU

Rob nie miał odpowiedniej odzieży, by się w niej pokazać we dworze, i uparcie odmawiał udziału w przygotowaniach. Nie uśmiechało mu się opuszczenie domu, a „towarzyszenie” paniczowi przeraziło go do reszty. Niby jak: przyszły dziedzic Priory miałby łapać żaby z synem biednego rybaka albo szamotać się z nim w zabawie? Kiedy jednak matka przypomniała mu o sutych posiłkach, które będzie jadał wraz z dworską służbą, oraz pięciu szylingach, które dostaną z góry, dzięki czemu zapłacą czynsz za następny kwartał i kupią łódź – pozbędą się więc widma głodu, które wciąż majaczyło przed nimi niczym czoło sztormowej fali – chłopiec przestał narzekać i zaraz po wieczerzy pobiegł do wuja pożyczyć parę jego starych butów i kaftan, który kiedyś należał do ojca Alinor.

Ned przyszedł razem z siostrzeńcem w porze odpływu. Jego pies, wodny spaniel o jaskraworudej sierści, biegł u jego nogi.

– Siostro – powiedział, muskając wargami czoło Alinor.

– Bracie – odparła.

Nalała mu kubek podpiwku. Usiadł z nim na ławce przy drzwiach, opierając się plecami o ścianę chałupy. Miał stamtąd widok na zatokę. Rudzielec siadł pod ławką, zerkając tęsknie na kury, który dziobały szlam na linii cofającej się wody.

– Przyniosłem ci monetkę. Jedną z tych, które tak lubisz – rzekł Ned, grzebiąc za pazuchą. Wyjął krążek metalu, tak wytarty, że nie sposób było rozpoznać rysunku, a do tego całkiem zaśniedziały.

– Dziękuję – ucieszyła się Alinor. – Gdzie ją znalazłeś?

– W stawie za domem. Było tak mokro, że pewnie przyniosło ją z rowu. Nagle rzuciła mi się w oczy. Jak ktoś mógł zgubić monetę przy stawie?

– To było dawno temu. – Zadumała się, obracając monetę w dłoniach. – Człowiek się zastanawia, kim byli i co tam robili, prawda? Minęło tyle lat... Ktoś tu stał z monetą w ręku. Może jakaś kobieta wrzuciła ją do wody na szczęście?

To była moneta któregoś germańskiego króla z zamierzchłych czasów, kiedy Sasi rządili pobrzeżem. Przedzierali się przez błoto i trzciny w długich łodziach i zakładali gospodarstwa na wyspach. Alinor zbierała te krążki od dziecka i trzymała niczym skarb w skrzynce. Matka śmiała się z niej, że jest jak ten

skąpiec, który siedzi na skrzyni pełnej złota głupców, ale jednocześnie chwaliła jej bystre oczy i kazała rozglądać się pilnie, na wypadek gdyby kiedyś znalezisko okazało się cenniejsze. Alinor tylko raz znalazła monetę ze srebra. Zanieśli ją do Chichesteru, a tamtejszy złotnik dał za nią sześć pensów. Dla małej dziewczynki to była fortuna. Wszystkie inne monety były z brązu, niektóre posrebrzane, ale czas stał z nich szlachetny metal. Lecz Alinor nigdy nie zależało na ich wartości. Kochała je za to, że są takie stare. Urzekło ją poczucie, że są pamiątką dawno zapomnianych czasów i ludzi, o których już nikt nie pamięta. Zachwycały dziwne symbole i kształty, ledwie już rozpoznawalne.

Ludzie z Sealsea nazywali je złotem wrózek lub złotem elfów i opowiadali o niezmiernych skarbcach, pełnych bezcennych monet. Mieli ich strzec mroczni jeźdźcy, gotowi oślepić każdego, kto wyciągnie po nie rękę, zalać jego oczodoły stopionym srebrem. Ale wszyscy wiedzieli, że to tylko śmieci, które morze wyrzuca na brzeg. Można je było znaleźć w nadmorskim błocie i były zupełnie bezwartościowe.

– Dlaczego jego lordowska mość postanowił zatrudnić Roba? – spytał Ned. – I czemu mu tyle płaci?

Alinor napluła na monetę, oczyściła o skraj sukni i uniosła pod zachodzące słońce, starając się odcyfrować zatarte znaki.

– To chyba lew – powiedziała. – Myślisz, że to moneta z czasów dawnej Anglii?

– Możliwe. Ale czemu akurat Rob?

– A czemu nie? – oburzyła się. – Pamiętasz, jak zeszłej wiosny leczyłam panicza na krup? Rob był wtedy ze mną. Zbierał zioła w ich zielniku, a potem pomagał mi w destylarni. Od śmierci lady Peachey byliśmy tam kilka razy. Jutro też idziemy, będziemy zbierać zioła i suszyć je. Pan Tudeley mówi, że chcą nam pomóc, skoro Zachary zaginął.

– Zniknął pół roku temu albo więcej. Długo się namyślali z tą pomocą.

Wzruszyła ramionami.

– Oni nie liczą dni tak, jak my.

– Niczego nie muszą liczyć – rzucił ze złością.

– Wiem, ale jeśli Rob zarobi uczciwie pieniądze, przy okazji pobierając naukę, może w życiu pójdzie mu lepiej niż jego ojcu. Może uda mu się stąd wyrwać, nawet do samego Chichesteru.

– Jeżeli nie sprowadzą chłopaka na złą drogę. Sir William stanął przecież po stronie króla. Może się i w końcu ukorzył, ale nie jeździ na obrady nowego parlamentu i nie zaciągnął się do Armii Nowego Wzoru. Prawdę mówiąc, powinien teraz zwoływać swoich ludzi i maszerować na północ przeciw Szkotom. Jeśli kiedykolwiek miał zamiar dotrzymać danej nam obietnicy, to teraz ma szansę. Ale ja osobiście wątpię, żeby to był bogobojny dom.

Alinor zerknęła kątem oka na zwieszane mocne ramiona brata, na krótko ostrzyżoną gęstwą brązowych włosów. Był rozgoryczony, że odwołano go z armii w chwili, gdy zaczęła wygrywać. Zmuszono do ciągnięcia promu na błotnistym kanale, kiedy wyrwał się z tej wyspy, wierząc, że świat się zmienia, a jego świat zmieni się także.

– Zawsze będziesz dla niego wzorem – próbowała go pocieszyć. – Nie zapomni twoich nauk. Wie, skąd pochodzi i w co wierzy.

– A w co ty wierzysz? – zaatakował. – Bo ja tego nie wiem.

Odwróciła wzrok.

– Och, ja jestem jak nasza mama i babka. Nie zawsze rozumiem. Ale czasami... po prostu czuję.

– Rob nigdy nie będzie żołnierzem – powiedział Ned z żalem. – Nigdy nie będzie służyć pod rozkazami Cromwella. Szansa na to przepadła. A teraz ty oddajesz go na służbę do „kawalerów”.

– Jego lordowska mość uzyskał przebaczenie. I zapłacił już grzywnę za wspieranie króla – odparła, zdecydowanie odsuwając od siebie myśl o księdzu, który wszedł do Priory pewien, że jest tam bezpiecznie dla papisty, ba, królewskiego szpiega! – Rob dziedziczy po tobie. Nie zapomni, co jest słuszne. A sir William będzie wiernie służył naszemu dobremu parlamentowi, nieważne, co mu się tam jeszcze roi. To koniec króla i jego lordów. Sam mi to przecież mówiłeś.

– Nie ufam mu. Nie ufam nikomu, kto teraz wyraża skruchę, żeby odzyskać ziemię, jakby nic się nie stało, podczas gdy setki dobrych ludzi nie wrócą już do domu. Wolałbym, żeby Rob był w armii. Po stokroć bym wolał, żeby maszerował teraz na wojnę w imię Boga. Gdyby to był mój chłopak, posłałbym go zaraz do mojego dawnego oddziału. Wciąż jest możliwość, że Szkoci uderzą. Mówi się, że Irlandczycy sposobią się do ataku.

– Przecież wojna już się skończyła?

– Nie. Nie skończy się, dopóki król nie podpisze traktatu i nie postanowi go dotrzymać.

– Ned, ja nie pošlę mojego chłopca na wojnę – powiedziała przeprasząco.

– Nawet żeby służył Bogu?

– Mam tylko jego.

– A teraz, kiedy wdzije na siebie barwy Peacheyów, nie przejmie nawet promu, gdy mnie zabraknie – mruknął Ned z żalem. – Wychodzi na to, że na darmo wróciłem, żeby utrzymać prom i dom w rodzinie.

– Sam możesz jeszcze mieć syna – rzekła łagodnie. Był wdowcem ledwie po trzydziestce.

– Nie. – Ned zgarbił się jeszcze bardziej. – Z przewoźników są kiepscy mężowie.

– Niech spoczywa w pokoju – rzekła Alinor cichutko. Młodziutka żona Neda, Mary, zmarła przy porodzie; Alinor nie była w stanie jej pomóc. – Boże przebacz, że nie potrafiłam...

– Stare dzieje. – Ned otrząsnął się z bolesnych wspomnień. – Ale drugiej żony nie wezmę. I nie każę jej przez to przechodzić.

– Druga żona może nie...

– Więc to Rob powinien przejąć po mnie prom!

– Nic nie stoi na przeszkodzie. Przecież nie będzie służyć u nich wiecznie, tylko do czasu, aż panicz Walter wyjedzie do Cambridge. Ale nawet te parę miesięcy nauki to dla niego skarb. Będzie mógł się udać, dokąd zechce, wejść do każdej rodziny jak Anglia długa i szeroka. To lepszy los, niż utknąć tutaj.

– Lecz my wciąż tu tkwimy.

Zmarszczyła brwi, taka gorycz brzmiała w jego głosie. Położyła dłoń na jego dłoni.

– Nigdy nie marzyłam, nie miałam nadziei, że się stąd wyrwę. Teraz, dzięki pieniądzom, które Rob otrzyma, zdołam kupić łódź i zacząć odkładać na wiano dla Alys. A to, że tu tkwimy, nie oznacza, że nie możemy marzyć o lepszym losie dla naszego chłopca.

– Pewnie masz rację – przyznał niechętnie. – Ale powinnaś marzyć również o przyszłości Alys. Ta dziewczyna ma wielkie oczekiwania. Narobi w świecie hałasu, zobaczysz.

– Być może. Tylko że świat nie patrzy przychylnie na dziewczęta z wielkimi nadziejami.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Pies spoglądał na nich, jakby czekał, aż rzucą mu coś do wody, żeby mógł to przynieść z powrotem.

– Przed wyjazdem nigdy nie myślałeś w ten sposób – odezwała się Alinor. – Dawniej byś nie powiedział, że tu utknąłeś.

– Nie. Bo dawniej nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje świat na północ od Chichesteru. Ale kiedy byłem z wojskiem pod Naseby, rozmawiałem z innymi ludźmi. Ludźmi, którzy przybyli zewsząd, z całego królestwa, żeby razem walczyć o to, w co wierzą. Wiedzieli, że Bóg ich prowadzi i że nadeszła ta chwila. Wtedy zacząłem myśleć. Czemuż to do króla ma należeć cała ziemia? Każdy jej akr, podczas gdy ty czy ja kulimy się na skrawku żwiru na skraju bagna? Czemu Peachey ma w swoim posiadaniu wszystkie pola i lasy? Czyż ziemia nie powinna należeć do ludzi? Czy nie powinno być tak, że każdy Anglik uprawia własne pole, by nikt nie przymierał głodem w tym bogatym kraju?

– O tym mówi wojsko? – spytała ciekawie.

– Właśnie o to walczy – odparł. – To, co zaczęło się od bogaczy z Londynu, narzekających na podatki, przerodziło się w głośnie wołanie angielskiej biedoty: czy to jest słuszne? A co z nami? Jeśli król nie powinien posiadać wszystkiego, to również i lordowie. Ani biskupi. Jeśli król nie powinien posiadać wszystkiego, to oznacza, że każdy Anglik może mieć własny ogród i prawo do łowienia ryb w swojej rzece.

Zaskoczyła ją jego zaciekleść.

– Nigdy wcześniej o tym nie mówiłeś.

– Bo nigdy wcześniej mój siostrzeniec nie szedł na służbę do rojalistów! – wykrzyknął z gniewem. – Kiedy król, choć uwięziony, spiskuje tak, jakby wcale nie przegrał, kiedy „kawalerowie” chwytają za broń w całym kraju, Szkoci idą na południe, a Irlandczycy zbierają wojska...! Słyszałaś wieści z Essexu?

Pokręciła głową.

– Tylko to, co mówił pastor.

– Opowiedzieli się po stronie króla, głupcy. Armia musi maszerować na Colchester i oblegać rojalistów.

Przeraziło ją to, co usłyszała.

– Znów będą walczyć?

– A flota parlamentu przeszła na stronę króla. Straciliśmy okręt flagowy i z pół tuzina innych.

– I co mają zamiar uczynić? Pożeglują na Londyn?

– Kto wie, jakie mają zamiary, zdrajcy. Przywieźć na pokładach Irlandczyków? Porwać króla z wyspy Wight?

– Błagam, tylko nie mów, że znowu mamy wojnę!

– Wojna będzie trwała, póki król nie nauczy się dotrzymywać słowa. Przed parlamentem mówi jedno, a potem śle po Szkotów i Irlandczyków. Podburza nawet Walię! Wojsko powinno wziąć sprawy w swoje ręce i zmusić go, by przysięgą zagwarantował pokój. A potem pilnować, żeby przysięgi dotrzymał.

– Myślałam, że król jest uwięziony w zamku Carisbrooke.

Ned pokręcił głową z niesmakiem.

– Trzyma tam dwór, jakby siedział w Whitehall. Jeździ kareta po całej wyspie i odwiedza lordów, jakby dopiero co wstąpił na tron. Ponoć wszędzie jest mile witany. Bez przerwy pisze listy i planuje ucieczkę. Bogu tylko dziękuję, że dowódcą twierdzy jest Robert Hammond. To prawy człowiek, poznałem go. Dowodził u nas własnym pułkiem. Przynajmniej jemu można ufać, że dopilnuje króla. A przysięgam, że w końcu postawimy go przed sądem za to, że prowadził wojnę przeciwko swemu ludowi.

– Czy to nie parlament zbuntował się przeciw niemu?

– Ale on pierwszy chwycił za broń. To on kazał strzelać do czeladników i klerków. Uzbroił lordów, wsadził ich na wielkie konie i posłał, by nas zdeptali. To on zwrócił się przeciw nam. Posyłasz chłopaka na niewłaściwą stronę, siostró. Nim lato minie, nikt tu nie będzie kochał „kawalerów”, gdy wreszcie ich pokonamy.

– Nie chcę, żeby stawał po jakiegokolwiek stronie – prychnęła rozdrażniona. – Chcę, żeby miał dobrą pracę. I chcę posagu dla córki. A dla siebie łodzi, żeby zarobić na utrzymanie.

Ned ucichł i łyknął solidnie z kubka. Pies położył miękką mordę na kolanie pana.

– Ach, mogę sobie gadać! – sarknął. – Tylko gadanie mi pozostało. Tyle się nawędrowałem, nawalczyłem i namodliłem, i co? Jak tylko ojciec umarł, wróciłem i siadłem na prom. Włożyłem w tę wojnę całe serce, a teraz wożę zdradzieckiego lorda tam i z powrotem, kiedy sobie tylko zażyczy. I nigdy nie rzuci nawet pensa, bo prom jest jego, a ja jestem tylko dzierżawcą. Pewnie sobie wyobraża, że woda w bagnie też jest jego, i błoto na dnie, i morze też.

– Musiałeś wrócić. – Starła się go pocieszyć. Był jej jedynym bratem i jedynym sąsiadem. – Inaczej stracilibyśmy prom i dom, a z nimi utrzymanie.

Wielu było takich, którzy chętnie zajęliby miejsce ojca, nawet na Sealsea. Staliby w kolejce pod bramą dworu, prosząc o ten zaszczyt. Uratowałeś nas. Kiedy Zachary zniknął... bez ciebie byłabym dziś żebraczką. Korzystamy z twojej kuchni, słodowni, ogrodu...

– To również twój dom, nie tylko mój. Na co mi on? Moi towarzysze maszerują na północ naprzeciw Szkotom, a mnie z nimi nie ma. Czuję się jak tchórz.

– Nie jesteś tchórzem – oświadczyła z mocą. – To wymaga odwagi, by dokonać słusznego wyboru. A to, że wróciłeś, utrzymałeś dzierzawę, było słuszne. Gdzie byśmy teraz byli, gdyby nie ty?

– Na twoim garnuszku. – Uśmiechnął się krzywo. – Utrzymywałabyś nas z tej nowej łodzi. Ale wróciłem i wciąż mamy prom, a ty nie musisz łowić ryb, skoro się boisz. Wiem, że to ostatnia rzecz, na którą miałaby ochotę kobieta taka jak ty.

Kobieta taka jak ty w miejscu takim jak to... – zadźwięczało jej w głowie echo tamtych słów. Ned zdumiał się, patrząc, jak twarz siostry się rozpromienia. Nie widział jej takiej, odkąd byli dziećmi.

– Sam mówisz, że cały świat się zmienia – powiedziała, a w jej głosie nie było słycać lęku. – Może i ja się zmienię.



MOKRADŁA, LIPIEC 1648 ROKU

Alinor i Rob szli nadmorską ścieżką w stronę dworu, depcząc naniesione przez przypływ drewno i wyschłe wodorosty, z których wzbijały się chmary muszek. Woda znów przybierała; kiedy skręcili w głąb lądu, słysząc było bulgotanie Syczącego Źródła. Stogi siana na pastwisku w letnim słońcu pożółkły jak słoma.

– Wrócisz do domu na Świętego Michała – powiedziała łagodnie Alinor. – I będziemy się widywać co niedziela w kościele.

Rob był blady ze strachu.

– Wiem – rzekł krótko. – Mówiłaś to już z tuzin razy.

– Przyjdę w piątek do kuchni i zapytam o ciebie. Jeśli zechcesz mnie widzieć wcześniej, powiedz kucharce. Ona mi przekaże.

– Mówiłaś.

Pokiwała głową.

– Nie musisz tego robić, jeśli naprawdę nie chcesz. Jakoś damy sobie radę.

– A ja mówiłem, że pójdę.

Złapała za uchwyt furty w kamiennym murze i nagle przypomniała sobie, jak zostawiła księdza Jamesa za stogiem, a sama poszła na rozmowę z rządcą. Metalowy pierścień był rozgrzany od słońca, a drewno suche, tak samo jak przed miesiącem. Zganiła się w duchu: to nie w porządku myśleć teraz o obcym mężczyźnie, kiedy posyła własnego syna na służbę.

– Chodź, Rob. – Uśmiechnęła się, żeby dodać mu odwagi, odsuwając myśli o księdzu, który patrzył na nią z pożądaniem i wyrzekł słowa: „kobieta taka jak ty”.

Przeszli przez ogród do drzwi kuchennych. Ubielona mąką po łokcie kucharka zerknęła na nich znad stołu, na którym wyrabiała olbrzymią pecynę ciasta.

– Czekają na was. – Otaksowała Roba spojrzeniem. – Udany chłopak! Bacz na zachowanie, a to może być dla ciebie wielka szansa.

Rob zdjął czapkę.

– Dobrze, psze pani.

– Będziesz mówił „tak, pani Wheatley” – poprawiła go kucharka.

– Tak, pani Wheatley.

– Lokaj zaprowadzi was na górę – powiedziała kucharka i krzyknęła w stronę holu: – Gdzież on się podziewa?

W drzwiach pojawił się chudy człowieczek w liberii w barwach Peacheyów i znoszonych butach.

– Jak ty wyglądasz? – zbeształa go kucharka bez cienia nadziei na poprawę. – Zabierz małego Reekiego do pana Tudeleya. Oczekuje go w swoim pokoju. A potem wracaj tu zaraz. Musisz zanieść półmiski.

Lokaj skinął na Roba i zawrócił do drzwi.

– Czeka! Nie pożegnasz się? – Alinor złapała syna, kiedy odwrócił się posłusznie, nie mówiąc ani słowa.

Twarz miał bladą i ściągniętą. Upadł przed matką na kolana. Położyła dłoń na jego kędzierzawych włosach, błogosławiąc go w duchu.

– Bądź grzeczny – szepnęła. Nie to chciała powiedzieć, ale brakło jej słów, by wyrazić, jak bardzo go kocha i jak strasznie cierpi, zostawiając go w obcym domu. – Niech cię Pan Bóg błogosławi, synku. Zobaczymy się w niedzielę w kościele.

Wstał. Policzki miał zaróżowione ze wstydu, że matka tak się nad nim roztkliwia. Sam starał się nie okazywać, co czuje. Podniósł niewielki pakunek ze swoim dobytkiem. Nie było tego wiele. Trochę bielizny na zmianę, łyżka i nóż. Ruszył za lokajem.

Pani Wheatley roześmiała się, widząc, że Alinor ociera łzy.

– Och, dajże spokój, kobieto! – prychnęła pocieszająco. – Nie rusza przecież na morze walczyć z flotą księcia. Ani nie wcielili go do armii i nie musi maszerować na tę dziką północ, żeby bić się ze Szkotami.

– Bogu dzięki!

Kucharka włożyła ciasto do miski, przykryła szmatką i postawiła w słońcu na oknie, żeby wyrosło w ciepłe.

– Napijesz się piwka, zanim ruszysz z powrotem? – zapytała. – Może uśmiech wróci na tę śliczną buźkę?

– Dziękuję, chętnie. – Alinor przysiadła na ławce przy stole. – Mogę przyjść pod koniec tygodnia i spytać, jak sobie radzi?

– Pewnie. Przy okazji przynieś mi trochę kopru morskiego.

– Przyniosę. Pani Wheatley? Będzie pani miała na niego oko? Błagam.

Kobieta pokiwała głową.

– To wielka szansa dla chłopaka.

– Wiem. Ale da mi pani znać, jak się okaże, że on tu sobie nie radzi? Nie pasuje? Jak będą jakieś kłopoty?

– A jakie może tu mieć kłopoty? Nauka za darmo, i to nie w szkółce, a z guwernerem. Wikt, opierunek i jeszcze mu zapłacą. A jedyne, co musi zrobić, to dogadać się z młodym paniczem.

– Czy on ma trudny charakter? Widziałam go w zeszłym roku, gdy chorował, wtedy był cichy jak aniołek...

– To Peachey – powiedziała kucharka. – Będzie następnym lordem. Urodził się, żeby być trudny. Ale nie jest złośliwy. Twój chłopak miał szczęście, to pewne.

Usłyszały kroki na kamiennej posadzce korytarza. Pani Wheatley natychmiast zamilkła i złapała dzbanek z maślanką. Nalała jej do miski. Do kuchni zajrzał pan Tudeley.

– Tak myślałem, że was tu jeszcze zastanę, Reekie. To za pierwszy kwartał.

Alinor wzięła sakiewkę – pięć szylingów przyjemnie ciążyło – i wetknęła ją do fartucha.

– Dziękuję. I dziękuję za to, że wyróżnił pan mojego syna.

Pan Tudeley machnął tylko ręką i zniknął. Kucharka znów pokiwała głową.

– Należy wam się – stwierdziła stanowczo. – Z dwójką dzieci i bez męża! Jestem pewna, że Rob to dobry chłopak. Będę miała na niego oko. Nie martw się.

– Wiem. – Alinor westchnęła. Wciąż żal jej było odchodzić. Dygnęła na pożegnanie i wyszła do ogrodu. Zerknęła przez ramię w okna w nadziei, że dostrzeże w jednym z nich Roba. Nikogo nie zobaczyła. Szklane szybki w ołowianych oprawkach lśniły blaskiem odbitego słońca, stojącego wysoko na niebie. Uniosła dłoń, na wypadek gdyby syn jednak patrzył, i ruszyła do domu. Czuła się tak, jakby zostawiła tu cząstkę siebie.



W piątek o poranku zostawiła rozspaną Alys w ciepłym łóżku i wyszła o brzasku zbierać koper morski na żwirowej plaży, póki był jeszcze świeży – wilgotny i słony.

Trwał odpływ. Drobne fale łamały się na piaszczystej mierzei daleko od brzegu. Linia horyzontu wyglądała jak wspaniała złota wstęga z wałem niskich chmur odbijających światło wstającego słońca. Małe ptaszki biegały tam i z powrotem, brodząc w płytkiej wodzie. Czasem wzbijały się całym stadem w powietrze, by po chwili usiąść na plaży kilka kroków dalej. Równy o szóstej, wedle zegara na stajni, Alinor zastukała do kuchennych drzwi Priory. Otworzył ten sam lokaj. Ręce miał szare od popiołu, który wybierał z pieca. Alinor weszła i postawiła koszyk na komodzie.

– A, jesteś – powitała ją pani Wheatley, zarumieniona od żaru bijącego z chlebowego pieca, do którego wkładała bochny drewnianą łopatą na długim stylisku. Zamknęła drzwiczki, łapiąc uchwyt przez grubą wehianą szmatę, i podeszła sprawdzić zawartość koszyka. Zdjęła z góry świeże zielone listki, żeby sprawdzić, czy reszta wygląda równie dobrze.

– Dwa pensy? – zaproponowała.

– Oczywiście – zgodziła się grzecznie Alinor, choć cena nie była wysoka.

– Chcesz pewnie zobaczyć swojego chłopaka – zgadła kucharka. – Chodź ze mną do kaplicy na poranne modły. Tam go spotkasz.

Alinor wytrząsnęła wilgoć z chusty za próg, a potem powiesiła ją na haku. Zsunęła nieco czepek, odsłaniając jasne włosy.

– Gdybym mogła... – Zawahała się.

– Wiem, nie możesz się doczekać, żeby go zobaczyć. Ale bez obaw, nie dzieje mu się krzywda. W każdym razie je dobrze i nie głoduje.

– Z całą pewnością – zarechotał lokaj.

– A ciebie kto pytał? – skarciła go kucharka. Mężczyzna zgarbił się i wyszedł nanieść drewna do kosza. Dzwon w holu zadzwonił trzy razy.

– Możemy iść. – Pani Wheatley opłukała ręce pod pompą i wytarła je w fartuch. Potem zdjęła go, odsłaniając drugi, czysty, pod spodem.

Przeszły korytarzem do wielkiej sieni. Trzy dojarki stały już przy rzeźbionych drzwiach prywatnej kaplicy Peacheyów, ustawione grzecznie w rząd pod ścianą. Alinor i kucharka dołączyły do nich. Pokojowy lorda, lokaje, kilku stajennych i dwaj ogrodnicy zajęli miejsce pod przeciwległą ścianą.

Dały się słyszeć kroki i sir William zszedł pierwszy po ogromnych schodach. Wyglądał nader dostojnie jak na poranne nabożeństwo w prywatnej kaplicy na prowincji – w ciemnoczerwonych aksamitach, koronkowej kryzie, wysokim kapeluszu na głowie i z laską w dłoni. Jego spojrzenie prześliznęło się nad

stajennymi i służbą, tak że nawet nie dostrzegł Alinor. Za nim szedł syn, ubrany był już znacznie skromniej: w brązowe spodnie do kolan i brązowy kaftan na koszuli z krótkim kołnierzem. Głowę miał odkrytą, gładko uczesane jasnobrązowe włosy opadały mu na ramiona. Poznał kobietę, która pielęgnowała go dwukrotnie w chorobie, i uśmiechnął się do niej, a potem odwrócił do chłopca, który szedł za nim. Alinor poznała w mgnieniu oka swego ukochanego synka, choć był odmieniony nie do poznania. Miał na sobie stary kaftan Waltera, ciemnozielony, z białym kołnierzem lamowanym koronką. Na nogach rajtuzy i czarne buty z klamerkami. Wszystko to było ciut kuse na jego długich nogach i mocnych już barkach. Rękawy kaftana odsłaniały kościste nadgarstki, spodnie zaś kończyły się nad kolanami, ale w niczym już nie przypominał umorusanego chłopaka, który wybiegał z chaty na skraju rozlewiska, żeby boso bawić się na kościelnym dziedzińcu.

Na widok matki twarz Roba rozjaśnił uśmiech – ten nic a nic się nie zmienił. Alinor też uśmiechnęła się do niego. Delikatnym ruchem ramion zaprezentował nowy kaftan i koronkowy kołnierz. Skinęła głową w niemym zachwycie. Kiedy sir William dotarł do ostatniego stopnia, a pan Tudeley wystąpił i pozdrowił lorda, Rob podszedł do matki, ukląkł po błogosławieństwo, a potem zerwał się na równe nogi i uściskał ją.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – szepnął, chichocząc. – Wiedziałem!

– Musiałam cię zobaczyć. Nie mogłam czekać do niedzieli. Wszystko w porządku?

– Doskonale. Naprawdę.

Puścił ją i wrócił na swoje miejsce w orszaku. Jego lordowska mość ruszył przez hol. Obcasy jego butów klekotały na kamiennej posadzce, a laseczka wystukiwała rytm powolnej procesji do drzwi kaplicy. Służba zgięła się w ukłonie, kiedy ją mijał, a następnie ruszyła za nim w ściśle określonym porządku. Podwójne odrzwia kaplicy otworzyły się na powitanie. Za nimi, w czarnym ubraniu i skromnym białym kołnierzu reformowanego kapłana, czekał ojciec James.



Ksiądz skłonił się przed panem domu i ruszył przodem, prowadząc Peacheyów do rzeźbionych krzesel. Minął je i wstąpił za prosty stół ołtarzowy ustawiony na skrzyżowaniu naw. Nie było na nim nic oprócz Biblii w języku

angielskim i modlitewnika zatwierdzonego przez parlament, otwartego na porannym nabożeństwie. Nic tu nie zdradzało papistowskiej herezji. Nie było szat liturgicznych, świec, kadzidła, nie było monstrancji, a w niej hostii. Było skromnie i ubogo jak w każdej innej świątyni w kraju. Sam Oliver Cromwell mógłby się tu modlić bez obaw o przyszłość swej duszy.

Lord zajął swoje miejsce, obok niego syn. Rob przysiadł nieco dalej z resztą domowników. Alinor, stojąca obok kucharki kilka kroków za lordem, nie potrafiła oderwać wzroku od Jamesa. Pochylił głowę do modlitwy błagalnej. Kiedy ją podniósł, po raz pierwszy ją zobaczył.

Jego twarz zmieniła się w jednej chwili. Czuła, że i jej twarz zamiera. Jego widok, gdy tak długo myślała o nim z rozkoszą, był jak rażenie pioruna. Myślała, że już nigdy go nie spotka, a oto znalazł się pod jednym dachem z jej synem, ledwie parę mil od jej chaty. Schyliła głowę, powtarzając nowe modlitwy. Spod opuszczonych rzęs obserwowała księdza, jak pewnie, bez pośpiechu, przechodzi od kolekty do wyznania wiary.

Kiedy podniósł wzrok znad modlitewnika i ich spojrzenia się spotkały, zdawał się skupiony na słowach modlitwy. Nie dał znaku, że ją poznaje, a ona jeszcze niżej spuściła głowę. Zastanawiała się, czy wyprosił miejsce dla Roba, by odwdzińczyć się jej za przysługę, czy raczej naraził go na śmiertelne niebezpieczeństwo w rojalistycznym domu z heretyckim księdzem.

Komunię stanowił tylko opłatek. Nie było wina na pustym stole w środku kaplicy, tak jak go nie bywa na stołach, przy których jadają zwykli ludzie. Domownicy przyjęli ją w tym samym ścisłym porządku. Pierwszy sir William, za nim syn, po nich rządca. Alinor uśmiechnęła się, widząc Roba idącego za rządca. Jako towarzysz młodego pana stanął przed całą służbą. Alinor poszła w ślady pani Wheatley i stanęła przed ojcem Jamesem. Wyciągnęła złożone dłonie, by przyjąć Ciało Chrystusa z jego pewnej ręki. Włożyła hostię do ust i połknęła tak, aby wszyscy widzieli. Potem powiedziała: „Amen” i ruszyła z powrotem. Matka zawsze zwracała jej uwagę na kościelne rytuały. Kobieta wiedząca musi upewnić innych, że połknęła hostię, nie przemyca jej w ustach, by potem użyć do czarów. Wracając na swoje miejsce, Alinor nieomal słyszała głos matki, która mówiła: „Bądź ostrożna. Nie pozwól, żeby ludzie gadali. Nigdy, przenigdy nie daj im powodu, by myśleli, że masz jakieś tajemnice. Zawsze stąpaj w pełnym świetle dnia”.

Alinor uklękła i ukryła twarz w dłoniach. Uratowała papistę, zaprowadziła go do domu rojalistów, oddała syna na służbę do „kawalerów” i okłamała własnego brata. Wyglądało na to, że jest bardzo daleko od pełnego światła dnia.

Pani Wheatley szturchnęła ją łokciem.

– Amen – rzekła głośno.

– Amen – powtórzyła Alinor i wstała.

Modlitwa na zakończenie dobiegła końca. Sir William wstał, pamiętając, by nie kłonić głowy przed starym kamiennym ołtarzem, który stał ogołocony ze srebra i złota pod wschodnim oknem kaplicy. Lord odwrócił się do niego plecami, jakby to nie przed nim jego ród od wieków czcił Boga, i ruszył do wyjścia. Reszta podążyła za nim. Tylko ksiądz pozostał w pustym, pobielonym wnętrzu, z głową schyloną do modlitwy.

– Idę teraz na śniadanie. – Rob pojawił się u boku matki, kiedy służba rozeszła się do swych zajęć. Alinor objęła go i ucałowała w ciepły czubek głowy.

– Wszystko w porządku? – spytała pośpiesznie. – Dobrze cię traktują?

– Tak, tak! Dostaję wołowinę na śniadanie. A nawet szynkę, jeśli zechcę.

– To leć. Spotkamy się w niedzielę w kościele.

Uśmiechnął się tylko i już go nie było. Popędził za Walterem. Kiedy się z nim zrównał, dał mu kuksańca, a młody szlachcic nie pozostał dłużny. Obaj wyglądali teraz jak wiejskie chłopaki dokazujące pod kościołem. Obserwując ich, Alinor zdała sobie sprawę, że jej syn jest szczęśliwy, a to, co łączy go z synem lorda, zapowiada się na prawdziwą przyjaźń.

Pani Wheatley zaprowadziła ją z powrotem do kuchni, gdzie wzięła łopatę i wyjęła z pieca świeżo upieczone bochenki. Jeden podała Alinor. Ta schowała go do fartucha, czując ciepło bijące od bochna.

– Dziękuję – powiedziała, wdzięczna nie tylko za chleb.

Kucharka pokiwała głową.

– Wiem, że się martwisz, ale sama widzisz, że nie dzieje mu się krzywda. Panicz Walter to miły chłopak. Nie ma w nim złości.

Alinor ucałowała ją w policzek.

– Dziękuję – powtórzyła. Wyjęła koper morski z koszyka, zaniósła go do chłodnej spizarni i wyszła do ogrodu. Nieśpiesznie powędrowała ścieżką, udając, że przygląda się ziołom, wybujałym teraz w całej letniej obfitości. Gdy dotarła do furtki wychodzącej na pastwisko i złapała za klamkę, ujrzała ojca Jamesa

wychodzącego z budynku. Dopiero wtedy przyznała sama przed sobą, że celowo mitrężyła w nadziei na spotkanie.

Stwierdziła, że się rumieni i jest jej gorąco, a co gorsza – nie wie, co powiedzieć. Pamiętała, że nie wolno jej wspomnieć o ich pierwszym spotkaniu. To niezwykle ważne, by sekret się nie wydał. Ale jeśli nie o tym, to o czym ma z nim mówić? Ma powitać go z szacunkiem jak obcego? Gościa jej pana i duchownego? Ale gdyby był jej obcy, nie pędziłby przez grządki na jej spotkanie, z radością jaśniejącą na urodziwej twarzy. Wciąż się zastanawiała, jak ma się do niego zwrócić, lecz podszedł tak szybko i złapał obie jej dłonie w gorący uścisk, że szepnęła tylko:

– Och...

– Wiedziałem, że jeszcze cię spotkam – powiedział żarliwie.

– Ja... – Cofnęła dłonie, a on od razu je puścił.

– Sir William przyjął mnie jako osobistego kapelana. Jako pastora wyznania reformowanego. Nikt w domu, oprócz Tudeleya, nie zna prawdy. Twój chłopak nie wie o niczym. Nie uczestniczy we mszy, Walter też nie. Naszą mszę odprawiam w całkowitej tajemnicy, nocą, kiedy wszyscy śpią. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Nie wie, kim jestem – mówił pośpiesznie.

– Nie może się dowiedzieć – wyjąkała. – On się wychował... Jego wuj służył pod samym Cromwellem. Nie może...

– Wiem. Pan Tudeley mnie ostrzegł, kiedy zaproponowałem, by Rob uczył się z Walterem.

– Wziąłeś go z mojego powodu?

– Mam u ciebie wielki dług wdzięczności. Przyjąłeś mnie i ukryłaś, zawiadłaś w bezpieczne miejsce.

Pokiwała głową, słysząc ten formalny ton. Mówił do niej, jakby była jedną z jego owieczek, winną księdzu wsparcie i pomoc. Jakby to na pastwisku nigdy się nie zdarzyło. Jakby nigdy nie padły słowa: „kobieta taka jak ty”.

– To nic takiego – powiedziała chłodno – mój obowiązek wobec lorda. Wiem, że mam o tym milczeć.

– A poza tym... – Urwał.

– Co poza tym?

Teraz jemu brakowało słów.

– Chciałem... Chcę... Miałem nadzieję, że będę mógł ci jakoś pomóc. Miałem ci posłać pieniądze, ale pomyślałem, że tak będzie lepiej.

– To bardzo szlachetne z pana strony, sir. Ale nie trzeba mi niczego.

– Bo ja... – Znów umilkł.

– Co takiego?

Wziął głęboki wdech.

– Bo ja nigdy wcześniej nie spotkałem takiej kobiety jak ty.

– Kobiety takiej jak ja w miejscu takim jak to – zacytowała jego własne słowa.

– Gadam głupstwa. – Zaczerwienił się.

– Wcale nie. To było miłe. To znaczy...

– Nie żebym uważał, że wasza wyspa jest jakimś złym miejscem...

– Jest biedna – rzekła prosto z mostu. – Musi się wydawać bardzo nędzna komuś, kto nawykł do lepszych miejsc. Komuś tak... pięknemu.

– Nigdy nie spotkałem piękniejszej kobiety od ciebie.

Obojgiem wstrząsnęła jego nagła szczerość. Jakby oboje usłyszeli te słowa i musieli się rozejść, by w ciszy zastanowić się nad ich znaczeniem.

– Lepiej już pójdę. – Alinor położyła ręką na klamce, lecz nie zrobiła ani kroku.

– Tak – przyznał. – Czy teraz już będzie cię stać na kupno łodzi?

Uśmiechnęła się i podniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy.

– Zrobię to w przyszłym tygodniu – powiedziała z wdzięcznością. – Wybieram się z bratem do Dell Quay obejrzeć stary skif.

– Przyplyniesz nim do domu?

– O nie! Nie odważyłabym się opłynąć całej wyspy. Pożyczymy platformę z młyna i przeciągniemy kawałek. Niedaleko, ledwie pięć mil.

– A znajdziesz odwagę, by go spuścić na wodę?

– Muszę – odparła. – Nie mam wyboru.

– Zabierzesz mnie ze sobą? Wziąłbym chłopców. Twój syn na pewno wie, jak się łowi ryby. Mógłby nauczyć Waltera.

Zamilkli na chwilę, rozważając ten pomysł, wyobrażając sobie następne kroki.

– Właściwie dlaczego nie? – odparła z namysłem. Zastanawiała się, co na to służba. I co powiedzą we młynie, kiedy zobaczą łódź na wodzie i ich czworo na pokładzie. – Ale czy sir William puści syna na zatokę w takiej łupinie?

– Czemu nie? Robert może nas przyprowadzić do twej chaty. Nie ma w tym nic złego.

– Nic złego – zgodziła się. Dygnęła na pożegnanie i odeszła w stronę pastwiska.

To ciekawe, że tak brzmiały ich ostatnie słowa. Nic złego. Oboje zdawali sobie sprawę, że to było złe. Nie wolno jej było marzyć, że syn przyprowadzi go do niej. A James dobrze wiedział, że nie powinien się z nią więcej spotykać.



MOKRADŁA, SIERPIEŃ 1648 ROKU

Rob prowadził ich w stronę chaty nadmorską ścieżką w upale popołudnia. Skakał jak koza, przesadzając kałuże; biegł od skarpy do plaży i od jednej kępy sitowia do drugiej. Walter, w porządnych butach z klamerkami, ślizgał się i potykał, starając się za nim nadążyć. Narzekał przy tym na błocko i zbliżający się przypyływ. Ojciec James szedł z tyłu. Przypyływ rzeczywiście wdzierał się coraz dalej w głąb plaży, tak szybko, że kiedy dotarli do chaty, musieli pędem wspiąć się na wyższy brzeg. Wyraźnie słychać już było syk gotującej się wody w Syczącym Źródle.

Rob wydał radosny okrzyk na widok skifu, przycumowanego na końcu rozklekotanego pomostu. Naprzeciw nim wyszła uśmiechnięta matka. Jej złoty warkocz skrywał czysty biały czepiec, suknię miała przepasaną świeżym fartuchem. Rob skoczył naprzód, przykląkł po błogosławieństwo, a potem zerwał się, by ją uściskać.

– Pamiętasz panicza Waltera? – zapytał. – A to nasz nauczyciel, pan Summer.

Ukloniła się z szacunkiem.

– Jak się pan miewa, sir? – zwróciła się do panicza. – Wygląda pan o niebo lepiej niż wiosną.

– Znakomicie – odparł Walter. – Ojciec mawia, że jestem silny jak młody byczek.

Alinor dygnęła nieśmiało przed Jamesem, lecz ten podszedł bliżej, ujął jej dłoń i skłonił głowę, jakby była mu równa stanem.

– Rad jestem was poznać – rzekł. – Syn wiele mi o was mówił, a ja miałem okazję podziwiać wasze dzieło w destylarni.

– Och, teraz jest zaniedbana – bąknęła skrepowana. – Niewiele tam działaliśmy od śmierci lady Peachey. – Zerknęła niespokojnie na Waltera, ale chłopcy już biegli w stronę pomostu, gdzie na wodzie podskakiwała łódź, objijając się o nadgniłe pale, gdy przypyływ pchał ją w stronę lądu.

– Byłaś już na morzu? Znalazłaś w sobie odwagę? – spytał James półgłosem.

– Pierwszy raz wypłynęłam z bratem. Nie byłam na wodzie, odkąd zaginął Zachary.

– Twój mąż?

– Zwykle ja wiosłowałam, kiedy łapał homary.

– Sądzisz, że dasz radę sama?

– Dam – powiedziała, przełykając strach, by głos jej nie zadrżał. – Jeśli woda nie będzie zbyt głęboka, a przyływ za silny.

Widząc jej zacięty wyraz twarzy, nieomal się roześmiał.

– Oj, kumo Reekie, nawet ja widzę, że nie jest z was urodzona rybaczka.

– To prawda. – Uśmiechnęła się do niego. – Ale wiem, że poradzę sobie z linką na makrele. I potrafię użyć sieci. No i mogę powiosłować na wysepki, gdzie gniazdują mewy, i zebrać jajka. Tak więc mam wszystko, by uczynić swój los lepszym niż dotąd. Muszę być dzielna. To wspaniała sposobność dla mnie i dla moich dzieci. Nie będę wypływać z zatoki. Nigdy nie wypuszczę się na otwarte morze. Ale wszyscy na Sealsea łowią; to nasze rzemiosło. I ja też muszę. Jeśli mi się poszczęści i złapię łososia, sprzedam go do kuchni lorda. A wtedy, no cóż, łódź zwróci mi się za jeden dzień pracy.

– Sądziłem, że kupiłaś ją za jeden dzień pracy – drażnił się z nią.

– To była bardzo tłusta ryba – rzuciła chytrze, a on się roześmiał.

Przed wejściem na pomost bez chwili zastanowienia podał jej ramię, jakby była damą. Poczuła ciepło jego dłoni, lecz się nie cofnęła. Oboje patrzyli pilnie pod nogi. Dopiero na pomoście James zwolnił uścisk.

– Liny są w łodzi – powiedziała Alinor do chłopców. – Przynęta również.

Rob zręcznie wskoczył do łodzi z rozchybotanego pomostu i przytrzymał ją dla Waltera, bo zaczęła się kołysać. James zawahał się i spojrzał na Alinor.

– Może teraz ty? – zapytał, podając jej rękę.

Przysiadła na deskach, by móc opuścić się do łodzi bez pomocy, i zajęła miejsce na środkowej ławce. James odwiązał cumę i wsiadł za nią. Usadowił się obok Alinor i złapał wiosło.

– Będziemy wiosłować razem, a chłopcy niech łowią – zaproponował.

Zgodziła się i odwróciła twarz, lecz zdążył zauważyć, że się rumieni. Siedzieli ramię w ramię. Włożyli wiosła w dulki i zaczęli spokojnie wiosłować, w równym rytmie, a łódź oddaliła się od pomostu na wody kanału. Woda w zatoce była spokojna, choć z głębi wciąż było słychać szept Syczącego Źródła. Nadchodził

przyływ i prąd był silny, lecz bez trudu wypłynęli na środek kanału. Zatrzymali łódź, a chłopcy nabili przynętę na haczyki. Zrzucili sznury za burzę.

– Obrzydliwe! – wykrzyknął Walter uradowany. – Skąd bierzecie te robaki?

– Wykopałam je dla was. – Alinor uśmiechnęła się. – A jeśli chcecie łowić znowu, musicie sami nakopać sobie dżdżownic. Chociaż to obrzydliwe.

– To dom przewoźnika? – zapytał James, wskazując na długą, niską chatę, widoczną po drugiej stronie zatoki.

– Tak. Mój dom rodzinny. Mieszka tam teraz mój brat, który obsługuje prom. Przed domem jest pomost, a prom cumuje zaraz za nim. A tam, widzicie, po drugiej stronie kanału? Na stałym lądzie? To spichlerz przy nabrzeżu, młyn i dom młynarza.

– Będzie dziś meł?

– Nie. Miele w czasie odpływu. Przyływ wypełnia staw za młynem. Kiedy się cofnie, młynarz otwiera stawidła, woda wlewa się do młynówki i porusza kołem. Zresztą meł już dziś po południu. Byłam tam wyrabiać masło. Alys, moja córka, chodzi tam codziennie. Pomaga w domu, w polu i we młynie.

– Bierze! – krzyknął nagle Rob. Szarpnął za linkę i wyciągnął trzepocącą makrełę o lśniących łuskach. Pewnym ruchem zdjął ją z haczyka i wrzucił do trzciniowego kosza, który stał na dnie łodzi.

– To tak wyglądają? – zaciekawiał się Walter, zerkając do środka. – Do tej pory widywałem je tylko na talerzu. Ugotowane.

– Będzie więcej – zapewniła go Alinor. – Pływają w ławicach. Niech panicz porusza linką w górę i w dół.

James obserwował, jak manewruje wiosłem, by utrzymać łódź w miejscu. Starał się ją naśladować, by silny prąd nie zepchnął ich w głąb kanału, w stronę domu przewoźnika.

– A to prom mojego brata – powiedziała, wskazując sporą tratwę, przycumowaną przed domem. – Dalej w stronę lądu jest bród. Teraz jest zalany, ale to o, tam, gdzie wybrukowany trakt schodzi do wody.

Zobaczył pieniaące się wiry w miejscu, gdzie rzeka zderzała się z idącym jej na spotkanie morzem.

– Głęboko tam?

– Za każdym razem przybiera ze sześć stóp, a prąd jest silny. Przy niskiej wodzie każdy pokona bród nawet pieszo, co dopiero konno lub wozem. Ale kiedy jest wysoka, każdy wybiera prom, jeśli nie chce nadkładać drogi dookoła. Trzeba

wtedy wyprząc konie i przewieźć je na drugi brzeg. Potem wrócić i osobno przewieźć powóz, więc jest z tym mnóstwo roboty.

– Dziwi mnie, że jego lordowska mość nie kazał zbudować mostu.

Pokręciła głową, złoty lok wysunął się spod skromnego czepca.

– Podłoże nie nadaje się pod budowę – powiedziała. – Wszędzie piasek, aż po nabrzeże u młyna. Rozlewisko się zmienia przy każdym sztormie. A zimowe sztormy niszczą bród i każdy wiosenny odpływ znosi go do morza. Ojciec panicza cały czas musi go odbudowywać, nieprawdaż? Żaden most tu nie ustoi, na piachu i mule.

– A więc twój brat jest strażnikiem wjazdu na tę wyspę? – zauważył James. – Niczym gwardzista przy zwodzonym moście.

– Owszem. – Uśmiechnęła się. – A przed nim jego ojciec. I ojciec ojca.

– I długo tak już?

– Pewnie od samego potopu – zażartowała. – Och! Wybaczcie...

– Wcale nie czuję się urażony. – Roześmiał się. – To dla mnie zaszczyt, że wozi mnie córka samego Noego.

– Chyba mam rybę! – krzyknął Walter. – Ciągnąć?

– Ciągnij. Pomału, delikatnie, a potem wrzucić do łodzi.

Pociągnął zbyt gwałtownie i ryba wyfrunęła z wody, mijając o cal twarz Alinor.

– Uwaga! – krzyknął James, łapiąc za sznur. Chłopiec sięgnął po rybę i cofnął rękę, kiedy zaszamotała się na haczyku.

– Nie dam rady!

– Jak panicz chce jeść, to musi ją złapać – powiedziała Alinor.

James się roześmiał.

– Ona ma rację. Chwyć ją mocno i zdejmij z haczyka.

Walter, krzywiąc się, odczepił haczyk i aż westchnął, gdy makrela wyrwała mu się z rąk i wpadła do kosza. Niemal równocześnie Rob krzyknął:

– Następna! Mam następną!

Znaleźli się w samym środku ławicy. Ryby brały, ledwie przynęta dotknęła wody. Chłopcy zwijali się jak w ukropie, wyciągając coraz to nową zdobycz. James i Alinor utrzymywali łódź na środku kanału, okrzykami nagradzali kolejne połowy i liczyli ryby, póki kosz się nie napełnił. Wreszcie Alinor oznajmiła:

– Wystarczy. Mamy dość i do jedzenia, i do suszenia.

– Nie sprzedasz świeżych?

– Kiedy mój mąż miał dobry połów w piątek, zabierałam część w sobotę na targ do Chichesteru. Ale to dwie godziny pieszo w jedną stronę i kolejne dwie z powrotem. W Sealsea nie sprzedasz ryb. Tutaj każdy łowi sobie sam. Czasem sprzedaję we młynie, żonom rolników, kiedy przyjeżdżają zemleć ziarno. Albo jak przybije statek po zboże, też czasem biorą. Przeważnie jednak suszę je na sprzedaż albo solę.

– Wracamy?

– A możemy popłynąć do Syczącego Źródła? – spytał Rob. – Walter nigdy go nie widział.

Kobieta pokręciła głową. Ona i James napanarli wspólnie na wiosła i łódź ruszyła w stronę pomostu. Alinor wciągnęła wiosło i wystawiła rękę, żeby złapać za deski pomostu i przyciągnąć łódź. Rob tymczasem wstał i zarzucił pętlę cumy na zniszczony pal.

– Panicz musi poczekać, aż sam da radę tam powiosłować – powiedziała do Waltera.

– Dlaczego nie chcecie tam płynąć, Reekie? – spytał Walter.

Przytrzymała łódź, kiedy chłopcy wysiadali, i poczekała, aż James do nich dołączy. Potem wstała i podała im kosz z rybami, z łatwością balansując na kołyszącej się łodzi.

– Bo jestem płochą niewiastą i lękam się głębokiej wody – odparła. Kapelan wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Przyjęła ją.

– Ale całe życie spędzacie na wodzie – zauważył Walter.

– Na bagnie – poprawiła go. – To nie to samo. Ani to ląd, ani morze, zmienia się dwa razy na dzień. Nigdy długo nie jest pod wodą, ale też i nigdy do końca nie wysycha. Boję się wypływać na otwarte morze. Nawet na środek zatoki, bo tam też jest głębia. Moje miejsce jest na lądzie, wśród ziół, kwiatów i warzyw. Zresztą dopiero od niedawna mam łódź, a to dzięki wspaniałomyślności ojca panicza, który przyjął Roba do pracy.

Rob uwiązał łódź na luźnej cumie, żeby ustawiła się z pływem.

– A teraz przygotowuję dla was rybkę – powiedziała Alinor.

– Możemy sami upiec? Na patyku nad ogniskiem? – poprosił Rob.

– Niech będzie. – Uśmiechnęła się, a James dostrzegł w jej oczach ogrom matczynej miłości. – Zje pan z nimi? – zwróciła się do niego.

– Jeśli można – odparł. – Zjedzmy wszyscy razem.

– Nie wiem, czy to stosowne. Rob ma zamiar posilać się jak dzikus, z patyka.

Musiał się powstrzymać, by nie poprawić niesfornego loka, który wciąż wysuwał się jej zza ucha.

– A więc dobrze, bądźmy dziś dzikusami. – Uśmiechnął się.



Rob i Walter nazbierali drewna wyrzuconego na brzeg, Alinor przyniosła żar spod pieca. James, który poszedł jej pomóc, rozejrzał się we wnętrzu chaty. Jedna izba. Łóżko, które dzieliła z córką. Stołki, na których siadali. Stół, przy którym jedli. Typowa chata wiejskiej biedoty. Uderzyło go jednak, jak widoczne ubóstwo wnętrza mocno kontrastuje z jego przyjemną wonią. Pachniało całkiem jak w destylarni we dworze, lawendą i bazylią. Zwykle takie chaty cuchnęły stęchlą strawą i fekaliami; ciężkim zaduchem niemytych ludzi, którzy spali w noszonej za dnia odzieży. Ale tu przez otwarte drzwi wpadał podmuch słonego powietrza, a izba pachniała siennym aromatem suszonych ziół. W kącie od belki do belki rozciągnięto sznurki, na których wisały pęki roślin. Pod nimi w narożnym kredensie stała kolekcja słoików, a na półkach leżały metalowe tacki z woskiem do ekstrakcji aromatów.

– To twoja pracownia? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Ledwie kącik. Więcej miejsca mam u brata. Korzystam tam z destylarni mojej matki, jak dawniej, kiedy żyła. Tu przerabiam tylko to, co pochodzi z mojego ogródka, póki jest świeże.

Poinstruowany przez nią, wyjął spod odwróconej misy na stole chleb i ukroił cztery pajdy. Posłużą jako tacki na rybę. Wyszli na zewnątrz. Niewielkie ognisko już raźnie płonęło.

– Czy twoja córka zdąży wrócić, żeby zjeść razem z nami? – zapytał.

– Nie. Latem pracuje do późna – odparła Alinor. – Nie wróci przed zmierzchem. Upiekę jej jedną i zostawię na później.

Wzięła się do patroszenia i czyszczenia ryb. Wnętrznosci wrzuciła do garnka, na wywar; głowy i ogony zostawiła. Podała wypatroszone ryby Robowi, który nabił je na patyki i rozdał wszystkim. Alinor poszła do chaty obmyć ręce z łusek i krwi. Wróciła z czterema kubkami podpiwku. Rob patrzył, jak podaje kubek ojca Jamesowi, ale nic nie powiedział.

Kiedy skóra ryb była już czarna i chrupiąca, a mięso w środku soczyste i gorące, Alinor orzekła:

– Gotowe, możecie jeść.

Walter skubał swoją prosto z opalonego patyka, ale Rob włożył rybę pomiędzy dwie pajdy chleba i pałaszował z apetytem. Kiedy skończyli jeść, siedzieli w milczeniu, patrząc na słońce, które dotykało już horyzontu. Wydawało się, że przypływ stanął w miejscu; woda wciąż pluskała o pale pomostu, ale już się nie podnosiła. Z plaży przybiegły kury, pędziły do swojej pani pewne miłego powitania i okruchów. Alinor odezwała się do każdej po imieniu, częstując je kawałkami chleba. Ptaki dziobały wokół jej stóp, gdacząc cichutko.

– Musimy już iść. – Rob westchnął. Spojrzał na matkę i stwierdził zaskoczony, że nie patrzy na niego, lecz na kapelana.

James wstał, jakby nie wiedział do końca, co robi. Kury rozbiegły się spłoszone. Zdawał się ich nie zauważać.

– Tak – mruknął – tak. Musimy iść. Słońce zachodzi. Powinniśmy iść.

– Mogę was odprowadzić do dworu – zaoferowała Alinor.

James miał na to ochotę, ale zdał sobie sprawę, że nie ma powodu, by ich odprowadzała, skoro jest z nimi Rob.

– Przecież ja znam drogę – rzekł chłopiec zdumiony.

Matka powoli wstała od ogniska i wzięła go w ramiona. Uściskała go, a kiedy przykląkł, odmówiła krótką modlitwę i schyliła się, by go ucałować. Dygnęła przed Walterem.

– Cieszę się, że panicz przyszedł – powiedziała. – Może nas panicz odwiedzać, kiedy zechce. Ze względu na matkę nieboszczkę i was... rozumiecie? Zarumienił się.

– Dziękuję – odparł niezręcznie, ponieważ to ona była poddaną Peacheyów, a w każdym razie ryby były jego. – Na pewno przyjdziemy jeszcze z Robem.

Chłopcy ruszyli ścieżką w stronę dworu, milcząc jak dobrzy przyjaciele. Alinor została sam na sam z Jamesem.

– Przyjdiesz znowu? – zapytała, starając się, by ton głosu nie zdradził zbyt wiele.

– Tak. – I zaraz dodał: – Tak. Chciałbym... naprawdę bym chciał... Mogę wrócić? Jak tylko odprowadzę ich do domu?

Alinor miała wrażenie, że świat wokół kręci się za szybko. Spojrzała na niego i poczuła przypływ pożądania, kiedy jego brązowe oczy spotkały się ze spojrzeniem jej szarych.

– Nie możesz iść sam przez rozlewiska.

– Pójdę naokoło. Drogą.

– Tak. Możesz przyjść do mnie dziś w nocy – powiedziała i jakby chcąc temu zaprzeczyć, odwróciła się, rozgarnęła stopą resztki ogniska. Zrobiło się ciemno. Odeszła w stronę chaty, nie zerkając na niego ani razu.



Żółty jak wosk księżyc nadał wodom rozlewiska złotawą barwę. Łąd dla kontrastu był czarny. James skręcił z głównej drogi przy domu przewoźnika i cichutko minął ogród Neda, kierując się do chaty na skraju bagien. Chłopców zostawił w łóżkach. Wieczorne modlitwy były już odmówione. Mieli jeszcze poczytać i rozwiązać dla wprawy kilka zadań matematycznych. On sam nie wiedział, co go czeka tej nocy. Nie wiedział, czy Alinor będzie sama, czy w towarzystwie córki. Nie wiedział też, co powie, gdy zastanie ją samą, ani co zrobi. Nie miał pojęcia, na ile była mu gotowa pozwolić. Jakim cudem odważył się poprosić o zgodę na powrót i dlaczego się na to zgodziła? Wiedział jedno: nie mógł złamać ślubów czystości. Został wyświęcony dla Kościoła. Nie wolno mu było obcować z kobietą jak z kochanką. Nie powinien nawet przebywać z kobietą sam na sam inaczej niż w konfesjonale. Miał tego świadomość, a jednak nie potrafił się powstrzymać.

Schylając się co chwila pod gałęziami tarniny, maszerował wysokim brzegiem obmywanym już falą przyływu. Nie myślał o tym, co robi, kierował nim wewnętrzny przymus. Upajał się tym poczuciem bezradności. Jak głupiec biegł w ciemności na spotkanie z kobietą, która była ledwie chłopką. Ubogą chłopką, od której w oczach świata dzieliła go przepaść. Oddany Bogu, uwikłany w konspirację króla Anglii, nigdy nie miał czasu na miłość. Ale teraz już wiedział, że to właśnie ona. Mimo woli, wbrew woli, czuł wzbierającą radość, że stopniowo, lecz nieodwołalnie zakochuje się w kobiecie – niczym rycerz z poematu w najpiękniejszej damie.

Czekała na niego. Dostrzegł smukłą sylwetkę na końcu pomostu; szarą suknię na tle szarej wody i biały czepek na tle nocnego nieba. Wiedział, że wyszła na pomost, by móc obserwować nadbrzeżną ścieżkę i zobaczyć go, gdy będzie szedł. Zamiast tego ujrzała kochanka, który biegnie, pędzi na złamanie karku do swej miłości. Dopiero gdy zobaczył, że zawraca w stronę plaży, uważnie stąpając po nadgniłych deskach, zwolnił nieco i zaczął iść. Dotarł do drewnianych schodków

na czas, by podać jej pomocną rękę, i ich dłonie się splotły, zanim zdążyli wyrzec choćby jedno słowo.

Kiedy poczuł jej dotyk, dotyk jej szorstkiej dłoni, nie mógł się opanować i przyciągnął ją ku sobie, obejmując w pasie. Przez materiał sukni czuł ciepło, bijące od jej ciała. Nie opierała się, lecz dała się zamknąć w ramionach i uniosła wzrok, by na niego spojrzeć. Patrzyli na siebie w milczeniu i nagle, jakby spojrzeniem wyznali, co czują, ich usta się spotkały.

Chciała tego. Pamiętał o tym jeszcze wiele lat później, jakby to umniejszało jego winę. Pragnęła być kochana. Pragnęła być kochana przez niego.

Jej pocałunek był słodki. James pierwszy raz w życiu całował kobietę i czuł, jak jego ciało wypełnia pożądanie. Kolana miał miękkie; bał się, czy go utrzymają. Alinor bezwładnie oparła się o niego, jakby również ona czuła tę falę, niepowstrzymaną jak przypływ.

– Nie powinnam – powiedziała, kiedy udało jej się złapać oddech. – Nawet nie wiem, czy jestem wdową, czy mój mąż jeszcze żyje.

– Nie mogę – rzekł niemal równocześnie. Słowa w ustach wydały mu się niezręczne, jakby odebrano mu dar mowy, a została jedynie moc dotyku. – Jestem księdzem.

Nie poruszyła się. Nie odwróciła wzroku. Patrzyła na jego twarz, usta i ciemne oczy.

– Pocałuj mnie jeszcze – poprosiła cicho i posłuchał jej.

Stali spleceni w uścisku, złączeni ustami. Objął ją mocniej, lecz odsunęła się delikatnie. James od razu ją puścił. Zastygli pół kroku od siebie, w pół ruchu, czekając, czy znowu padną sobie w ramiona. Czy James weźmie ją za rękę i zaprowadzi do chaty, by tam kochać się z nią w łóżku jej zaginionego męża?

Alinor pokręciła głową, jakby słowa pożądania zostały wypowiedziane na głos, ale nie wymówiła ani słowa.

– Przyjdę do ciebie za miesiąc. Wieczorem, o tej porze – wykrztusił, jakby przez miesiąc mógł się nauczyć, co ma robić i mówić, podczas gdy dziś oboje byli zbyt oszołomieni wzajemną bliskością.

– Za miesiąc? – spytała z rozpaczą, jakby miał minąć co najmniej rok. – Dopiero za miesiąc?

– Jutro wyjeżdżam.

Wykonała ruch, jakby chciała złapać go za rękę i zatrzymać.

– Chyba nie do Francji?

– Nie. Ale muszę wypełnić... Zobowiązałem się... Pojadę i wrócę.

Od razu domyśliła się, że chodzi o sekretne sprawy jego Kościoła i króla uwięzionego na wyspie Wight.

– Czy grozi ci niebezpieczeństwo?

– Owszem – przyznał. – Ale mam nadzieję, że wrócę do ciebie za miesiąc.

Jak każda zakochana kobieta, bardziej niż sens zdania zrozumiała obietnicę miłości.

– Do mnie? – powtórzyła.

– Niechybnie.

– Czy nie możesz odmówić? – zapytała. – Nie możesz powiedzieć, że się rozmyśliłeś?

Uśmiechnął się.

– Ale ja się nie rozmyśliłem. Nadal myślę tak samo jak przedtem i nie mogę złamać danego słowa. Od tego zależy los wielu ludzi. Los pewnego wielkiego człowieka. Nic się w tej kwestii nie zmieniło... poza...

Milczała, czekając, co powie.

– ...poza moim sercem.



MOKRADŁA, SIERPIEŃ 1648 ROKU

Przez kolejne tygodnie lata Alinor pracowała jak zwykle. Nagłe sztormy i następujące po nich skwarne dni osnuły rozlewisko mgłą, labiryntem chwiejnych kształtów przypominających pałace, ulice i składy. Wyobrażając je sobie, zastanawiała się, co teraz ogląda James. Czy wstępuje do wspaniałych budynków i chodzi pięknymi ulicami, szerszymi i czystszyymi niż te w Chichesterze? Wspanialszymi niż cokolwiek, co w życiu widziała? Czy otwierają się przed nim podwoje pałaców i bramy pięknych ogrodów?

Poszła na targ do miasta i na straganie z łachmanami kupiła dla córki parę znoszonych butów. Miały jednak solidną podeszwę, będą więc ciepłe i suche, kiedy nadejdą słoty. Kupiła też dwie lniane halki i czepki, a dla Alys nową spódnicę i wstążkę, by ją obszyć. Dziewczyna miała tak mało ładnych rzeczy! Wciąż było co prawda za gorąco, by myśleć, że zima w ogóle nadejdzie, ale używane ubrania najtańsze były w sierpniu, dokupiła więc zimowy szal i pelerynę z nawoskowanego sukna, także z myślą o Alys. Będzie chodzić do młyna i nieraz pracować na dworze.

Regularnie spotykała Roba w kościele. Zrywała owoce w ogrodzie Neda i pracowała w mleczarni przy młynie. Motki uprzedzonej wełny odstawiła do kupca, biorąc w zamian zapłatę i kolejny wór strzyży do przędzenia. Pracowała jak w transie, dzień po dniu, ze spuszczonego wzrokiem, cicha i skromna, choć wewnątrz niej płonął ogień. Biały czepki nie chłodził rozpalonego czoła, szara suknia ścisła w pasie jak objęcia ukochanego. Kiedy przypląw się cofnął, wzięła łódź i wypłynęła na płyciznę, żeby postawić cztery kosze na homary. Udało jej się utrzymać nerwy na wodzy, gdy przechyliła się przez burtę i łódź niebezpiecznie się zakołysała. Szarpiąc się z obciążoną liną, wyciągnęła kosze nazajutrz, by znaleźć w nich dwa monstra kłapiące szczypcami. Założyła do klatek przynętę ze śmierdzącej ryby i znów zanurzyła je w wodzie. A potem powiosłowała ze swą zdobyczą wprost do młyna, gdzie sprzedała ją żonom gospodarzy po cztery pensy sztuka.

– Dobrze wyglądasz – stwierdziła Millerowa, przyglądając się uśmiechniętej i zarumienionej Alinor, kiedy ta chowała pieniądze.

– Nic się nie zmieniło – odparła Alinor, choć jej serce biło zbyt szybko.

– Zupełnie nie wiem, jak ty dajesz radę z robotą. – Młynarzowa przeniosła zniesmaczony wzrok z przemoczonej spódnicy Alinor na garnek ze śmierzdzącą przynętą. – Zwłaszcza taką robotą. I to w taki upał.

– A! – powiedziała Alinor, jakby wcześniej nie zwracała na to uwagi.

Siedząc przy swoim ulu, obserwowała celową krzątanicę pszczół. Wlatywały i wylatywały przez szparkę u podstawy plecionej ścianki.

– Wiecie, coś mi się przydarzyło – zwierzyła im się. – Coś bardzo ważnego.

Słuchała ciepłego, kojącego brzęczenia, jakby rój mówił, że dla niego to też ważne, choć przecież nie zdradziła, co to takiego. Poszła wyplewić warzywa na grządce. Słońce grzało ją w plecy. Wstała, nagle zakręciło jej się w głowie. Spojrzała na puste dłonie i poczuła się tak, jakby chodziła we śnie. Przypomniała sobie poranek, kiedy patrzyła przez otwarte drzwi chaty na niezwykłą jasność nieba i czuła się oczarowana.

Pszenica na polach wokół zatoki falowała jak morze złota, gotowa do żniw. Młynarz coraz bardziej lękał się letnich burz i deszczu. W końcu pani Miller oznajmiła, że czas już żąć, i wszyscy ubodzy wieśniacy z okolicy zostali wezwani do pracy w gospodarstwie.

Alys pracowała w grupie, która postępowała za żeńcami. Wiązała ścięte źdźbła w snopki i wrzucała na wóz. Gdy wracała do domu, ręce miała podrapane do krwi, a grzbiet bolał ją od ciągłego schylania i dźwigania ciężkich snopów. Pracowała od bladego świtu – podczas żniw dzień był długi. Twarz miała szarą z wyczerpania. Za dodatkowe godziny pracy dostawała specjalną zapłatę – bochenek pszennego chleba, pieczony dla pracowników w piecu chlebowym we młynie. Otrzymywał go każdy żeńca i każdy, kto wiązał. Dla Alinor i jej dzieci był to rarytas, którego mogły zakosztować jedynie podczas żniw. Na co dzień piekły własny razowy chleb z mieszaniny różnych ziaren.

Alinor przemyślała twarz i ręce córki naparem z kwiatu dzikiego bzu. Dała jej też supę z pokrzywy, by złagodzić sztywność w plecach i ramionach. Alys zjadła supę i chleb w milczeniu.

– Nic mi nie będzie – rzuciła, odsuwając stołek, i podeszła do łóżka. Zdjęła spódnicę i brudną koszulę. – Nie jest gorzej niż zazwyczaj. Po prostu zapomniałam, jaka to harówka. Te pola ciągną się chyba w nieskończoność.

– Niedługo skończycie – pocieszyła ją Alinor, zbierając naczynia. – Zaraz wypiorę ci suknię i bieliznę. Jutro włoż nową halkę.

– Przysięgam, że za rok nie kiwnę palcem przy zniwach – mruknęła sennie Alys, padając na łóżko. – Znajdę sobie pracę gdzie indziej. Czystą i lekką. Pod dachem. Oddam duszę za pracę pod dachem.

– Mam nadzieję, że ci się uda – powiedziała łagodnie Alinor, choć nie bardzo wiedziała, gdzie można by taką pracę znaleźć i zarobić na życie.

– A ta Jane Miller... – Alys urwała, zapadając już w sen.

– Co Jane?

– Ciągłe tylko zerka na chłopaków we młynie. Tylko dlatego, że jej ojciec jest właścicielem. Cały czas coś chichocze z Richardem Stoneyem. Głupie dziewczuszyśko, z twarzą jak biały ser... Chętnie bym ją wepchnęła do stawu.

Alinor uśmiechnęła się.

– Pomyśl o czymś przyjemnym, żeby ci się dobrze spało.

– Właśnie to robię – szepnęła Alys. – To całkiem przyjemna myśl.

Alinor wyniosła balię z praniem na zewnątrz. Kiedy wykręcała spódnice i lnianą koszulę, by rozwiesić je na krzaku, przyszedł Ned. Przyniósł ze sobą pół kręgu sera, zapłatę za przeprowadzenie tam i z powrotem wozu jadącego na targ do Chichesteru. Usiedli na ławce pod ścianą, patrząc na rozlewisko. Trwał odpływ i woda wycofywała się coraz dalej, aż w końcu wokół był tylko suchy łąd, a morze wyglądało jak srebrna kreska, hen, daleko, przy falochronie u wejścia do zatoki. Alinor odkroiła sobie cienki plaster sera. Brat przyjrzał się jej uważnie.

– Jesteś chora? – spytał. – Masz gorączkę?

Wszyscy mieszkańcy mokradła cierpieli na napady zimnicy trzy, cztery razy do roku. Zdążyli się przyzwyczaić do dreszczy i zlewnych potów, które trwały mniej więcej tydzień, a potem ustępowały. Alinor dawała swoim pacjentom napary z wierzby i mięty na gorączkę. Na oknach i przy drzwiach chaty rosły nagietki i lawenda, żeby odstraszać komary, które przenosiły chorobę.

– Nie. Czuję się dobrze – odparła, choć rumieńce i szkliste oczy zdawały się temu przeczyć.

Gdzieś daleko, za milą błota, usłyszeli zgrzyt otwieranej śluzy i szum wody w młynówce. Po chwili dobiegł ich skrzyp koła młyńskiego i turkot żaren. Pusty kanał biegnący przez rozlewisko wypełniła nagła powódź.

– Miałaś jakieś wieści o Zacharym? – Pomyślał, że dowiedziała się czegoś o zaginionym mężu. – Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę.

– Nie. – Zmusiła się do uśmiechu i spojrzenia mu w oczy. – To tylko niecierpliwość. Znasz mnie przecież. Czuję wiosnę o niewłaściwej porze roku. Maj po Świętym Janie! To pewnie przez to, że Rob poszedł na służbę, i to, że mogę zacząć odkładać na posag dla Alys. Mam własną łódź i znowu czuję się młoda. I wolna. Czuję, że mogłabym pójść dokądkolwiek i robić, cokolwiek zechcę.

Pokiwał głową, biorąc jej pośpieszną przemowę i rozgorączkowane oczy za objaw nieokiełznania, które groziło nawet najzacniejszym kobietom. Nie potrafiły nad sobą zapanować. Były jak te jaskółki, które budują swoje gliniane pałacyki pod okapami domów i stodół. Igrają z ciepłym powietrzem, zataczając w nim kręgi, z radością muskając powierzchnię wody w kanale, jednocześnie dzikie i oswojone. Lato spędzają tu, zimę gdzie indziej, doskonale niestałe. Pomyślał, że jego piękna siostra jest jak jaskółka i nie powinna być przykuta do jednego miejsca. A z całą pewnością nie powinna była zostać wydana za człowieka tak przyziemnego, że pewnie poszedł pod wodę jak kamień i teraz gnije gdzieś na dnie morskim, obrośnięty pąklami.

Ale dla niej nie było innego wyboru. Była kobietą i musiała pójść za mąż jak wszystkie inne. Ubogą kobietą, a te nie odlatują, nieważne, jak jaśnieją im twarze i rwie się oddech. Ich matka, czując zbliżającą się śmierć, nalegała na zamążpójście Alinor. Miała nadzieję, że to ją zabezpieczy. Nie wiedziała, że Zachary sam był jak ta Wędrująca Przystań, nie bardziej godny zaufania niż tutejszy brzeg. Niestały jak całe Mokradła.

– Nigdy nie wydasz Alys za mąż, jeśli odziedziczyła po tobie tę dzikość – rzekł surowo.

– To dobra dziewczyna. – Alinor natychmiast stanęła w obronie córki, śpiącej w chacie. – Pracuje tak ciężko! Chce lepszego życia, nie możesz jej za to winić. A ja... Ja tylko sobie marzę.

– Marzeniami się nie najesz – oświadczył. – A tak w ogóle, jak się sprawuje łódź?

Uśmiech, jakim go obdarzyła, był tak olśniewający, że nie mógł mieć nic wspólnego z łodzią.

– Rob odwiedził mnie dwa tygodnie temu. Był z nim panicz Walter i ich nauczyciel. Popłynęliśmy razem na ryby.

Nie potrafił sobie wyobrazić, co mogło w tym być takiego, żeby kobieta wyglądała, jakby nagle świat legł u jej stóp.

– Dużo złapaliście?

– Tak. – Wskazała na brzeg. – Rozpaliliśmy ognisko i zjedliśmy razem. O, tam. – Zaśmiała się.

Jej radość stanowiła dla niego zagadkę. Dopił piwo i wstał, stękając z bólu. Całe życie ciągał mokrą linę przy każdej pogodzie, o każdej porze roku, i reumatyzm dawał się już jego stawom mocno we znaki.

– Nie bądź głupia – ostrzegł ją. Zaniepokoiło go jej rozmarzenie i ogień w oczach. – Nie zapominaj, że jesteśmy tylko tym, kim jesteśmy. Tu nic się nie zmienia prócz wody. Reszta kraju może szaleć w obłędzie, wywracać wszystko do góry nogami. Ale tutaj tylko morze zmienia się codziennie. A tylko bagno wędruje, dokąd ma ochotę. – Łoskot żaren, złowrogi jak odległy grzmot, przetaczający się nad płaską, zalaną krainą, podkreślił powagę jego obaw.

– Wiem – zapewniła go. – Wiem. Nie ma nadziei i nic się nie wydarzy. – Blask w jej oczach zaprzeczał słowom.

– Gdyby twój chłopak zajął moje miejsce na promie, choćby tylko do końca lata, zaciągnąłbym się do Cromwella i poszedł na północ – mruknął Ned. – Mówią, że prowadzi armię na Szkotów. To ciężki marsz i długi, bo aż z Walii. Będzie potrzebował ludzi, którzy wiedzą, co i jak. Generał Lambert trzyma Szkotów, ale sam długo nie da rady.

– Rob nie może iść na prom – powiedziała szybko. – Musi zostać we dworze, póki panicz Walter nie wyjedzie do Cambridge.

– A czy ten nauczyciel nie wyjechał czasem?

– Rob mówił, że tylko na parę dni. Zostawił im lekcje.

– Oddałbym wszystko, żeby być teraz w drodze z oddziałem. By razem z moimi braćmi stanąć do kolejnej bitwy. I rozgromić wrogów kraju, a króla postawić przed obliczem sprawiedliwości. – Ned też się rozmarzył. – Król Karol musi odpowiedzieć za swoje czyny. Podburzył Walijszyków, żeby zwrócili się przeciw nam, wezwał Szkotów. Bóg jeden wie, co obiecał Irlandczykom. Szczuje ich na nas, Anglików, swój własny lud. Trzeba się z nim rozprawić raz na zawsze.

Alinor zacisnęła usta w niemym sprzeciwie.

– Sama nie wiem – bąknęła. – Nie potrafię źle mu życzyć.

– Komu?

– Biednemu królowi.

– Bo nic nie rozumiesz – prychnął pogardliwie, acz bez złości. – Może i znasz się na tych swoich ziołach, kwiatkach i leczeniu, ale skoro nie pojmujesz, że

Karol ma krew na rękach i sprowadził na nas tylko żałobę, to naprawdę głupia z ciebie baba. Kiedy król mówi, że chce pokoju, wcale o nim nie myśli. Nie uznaje się za pokonanego, nawet teraz, kiedy jego własny miecz wydarło mu z dłoni. Trzeba go powstrzymać. Bóg mi świadkiem, czasem tracę nadzieję, że uda nam się tego dokonać!

Wstała, widząc, że coraz bardziej się zapala.

– Wiem. Rozumiem – próbowała go uspokoić. – Ja tylko nie chcę, żeby Rob musiał iść na wojnę, a Alys żyła w kraju tą wojną trapionym. I nie chcę, żebyś znowu nas opuścił. Nie wiem nawet, gdzie podziewa się Zachary. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Dobrym ludziom grozi niebezpieczeństwo. Sami się w nie pchają... – Urwała. Nie mogła mówić o Jamesie i spisku, który jej go odbierał. – Nie wiem, o co mam się modlić – powiedziała w nagłym przypiływie szczerości. – Oprócz pokoju, oczywiście. I żeby to wszystko już się skończyło... żebym była wolna.

– Och – bąknął, czując, jak na widok jej łez opuszcza go cały gniew. – Módl się o pokój. Masz słuszość. Tak trzeba. I nie musisz się niczego obawiać. Pułkownik Hammond przypilnuje króla na zamku Carisbrooke. Parlament i armia uzgodnią, co z nim począć. A nawet jeśli w parlamencie są głupcy, którzy pójdą z nim na ugodę, nie pozwolą mu znowu wszcząć wojny i przelewać naszej krwi. Pokonaliśmy króla i pokonamy Szkotów. Nawet teraz, kiedy tu siedzimy, idą do nas wieści o bitwie. Może już po wszystkim i to ja jestem głupi, bo marzy mi się marsz na północ jak za dawnych lat, kiedy byłem wśród towarzyszy, dowodził nami Cromwell, a wiódł nas Bóg. Tak, pewnie już po wszystkim.

– Będę się o to modlić.



Rano Alys nie mogła się dobudzić. Ramiona i plecy bolały ją nieznośnie. Razem z matką zjadły na śniadanie resztę pszennego chleba i ser, który przyniósł Ned.

– Pycha – powtarzała Alys, zmiatając każdy okruszek. – Powinam wyjść za młynarza. Będę wtedy codziennie jadła pszenny chleb.

– Najpierw musiałabyś się pozbyć pani Miller – zauważyła matka. – Myślę, że z własnej woli ci go nie odstąpi.

– Marzę o tym, żeby się jej pozbyć – odpowiedziała Alys. – A najlepiej pozbyć się obojga, jej i tego jej beznadziejnego męża. Zepchnąć ich z nabrzeża.

Wtedy poślubię ich syna i odziedziczę młyn.

Syn młynarza miał dopiero sześć lat; Alinor sama przyjmowała go na świat.

– Tak. A Jane zostanie twoją szwagierką. – Uśmiechnęła się. – To będzie szczęśliwa rodzinka!

– Wyda się ją za kogoś. – Alys nie straciła rezonu. – Tylko kto ją będzie chciał?

– Biedne dziewczę – uzaliła się Alinor. – Nie bądź okrutna, córeczko. Powiedz lepiej, czy żniwa mają się już ku końcowi.

– Prawie. Zostało jeszcze jedno pole. Cały dzień odbierałam i wiązałam snopki. Przyjdiesz wieczorem zbierać kłosa ze ścierniska?

– Tak – obiecała Alinor. – Przyniosę ci wieczerzę.

Alys skłoniła głowę, szepcząc dziękczynną modlitwę, i wstała od stołu.

– Dziwnie, kiedy Roba tu nie ma – powiedziała. – Nie czujesz się samotna przez cały dzień?

– Mam za dużo pracy, żeby uskarżać się na samotność.

– Bo wyglądasz, jakbyś czegoś nasłuchiwała.

– Czego niby?

– Czy ja wiem... Kroków?

Alinor zawstydzona przypomniała sobie, jak James pędził do niej, przeskakując kałuże jak mały chłopiec.

– Na nikogo nie czekam – skłamała.

– Nie mówiłam, że czekasz na kogoś, tylko że czegoś nasłuchujesz.

– Wiem.

– Nie sądzę, żebyś bardzo tęskniła za tatą, co? – zagadnęła Alys delikatnie. – Bo my nie. Ani Rob, ani ja. Więc nami się nie przejmuj.

– Nie tęsknię.

– Czy ty też czasami chciałabyś, żeby wszystko było inaczej? Też masz już dość wszystkiego? Nie chodzi o króla i parlament, nie dbam o nich. Ale o nas. O coś prawdziwego, namacalnego, a nie z kazania.

– Chciałabym móc znać twoją przyszłość – odparła Alinor poważnie. – Wiem, że nie powinnaś utknąć tu, na bagnach. Bez szans na poślubienie kogokolwiek poza oraczem albo rybakiem i bez szans na zarobek większy niż te marne pensy. Ale nie mam pieniędzy, żeby oddać cię do terminu, i nie wiem, gdzie mogłabyś pójść na służbę. Poza tym raczej się do tego nie nadajesz. Ty na służbie? Bałabym się...

Alys roześmiała się.

– I masz rację. Nie chcę być niczyją służącą. Ani własnego męża, ani jakiegoś pana.

– Chciałabym, żeby spotkał cię lepszy los.

– Chciałabyś! – krzyknęła Alys. – Ja się co dzień modłę na kolanach o lepsze życie. I o co były te walki, wrzaski i te swary między mężczyznami, gdy jedyną nadzieją dla kobiety jest mąż odrobinę lepszy niż zwierzę? Albo zarobek większy niż sześć pensów na dzień? I gdzie jest ten nowy świat wuja Neda? Gdzie ziemia dla każdego?

Alinor spojrzała na jasną twarz córki.

– No właśnie – przyznała. – Tyle się gada, a dla takich jak ty czy ja nigdy nie nastaje ten nowy świat.

– Czyli kobiet – powiedziała Alys ostro. – Biednych kobiet. Dla nas nigdy nic się nie zmienia.

Alinor usłyszała gorycz w jej głosie i poczuła się winna, że to ona sprowadziła ją na świat, który daje szanse tylko mężczyznom.

– To prawda. – Westchnęła.

Dziewczyna uklękła po matczyne błogosławieństwo, a Alinor ucałowała jej skromny czepek. Potem Alys wstała i wyszła z chaty. Alinor siedziała jeszcze chwilę przy stole, patrząc w kąt, gdzie trzymała zioła i oleje. A także drewnianą skrzynkę, w której przechowywała swoje skarby. Były tam przepisy na leki odziedziczone po matce, umowa dzierżawy chaty spisana przez Zachary'ego z panem Tudeleyem i czerwona skórzana sakiewka, w której trzymała swoje bezwartościowe znaleziska. Niewiele jak na dorobek całego życia.

– Kobieta taka jak ty w miejscu takim jak to – szepnęła nagle i wstała. Wzięła koszyk i mały nożyk i wyszła nazbierać ziół, póki były jeszcze wilgotne od rosy.



Ranek był chłodny. Pasma szarej mgły leżały nad rozlewiskiem, zacierając granicę między lądem i wodą. Alinor zadrżała z chłodu i nakryła głowę szalem, który miała na ramionach. Wypędziła kury na zewnątrz. Spojrzała przez swój malutki ogródek w kierunku zatoki, gdzie woda cofała się szybko, opróżniając kanały, rowy i stawki, zostawiając zaś całe akry mokrego błocka, piaszczystych łąch i kęp sitowia. Drobne ptaki, biegusy i brodźce, goniły ustępującą wodę, raz po raz wbiegając do niej na długich nogach, by zaraz zerwać się chmarą przy

dźwięku ostrych nawoływań i za chwilę znów usiąść na plaży i podjąć pościg. U ujścia zatoki widać było szarą płaszczyznę morza i błękitną linię odległego horyzontu. Z drugiej strony moczaru dobiegał grzmiący hurgot pracującego młyna. Jeśli James popłynął do Francji, będzie miał spokojną podróż. Jeśli udał się do króla na wyspę Wight, dopłynie do Sealsea w trzy, cztery godziny. A jeśli spotkał się z księciem gdzieś na morzu, podróż tam i z powrotem zajmie mu najwyżej dzień. Skoro jednak nie wiedziała, dokąd się udał, nie było sensu wypatrywać żagli na horyzoncie. Jako żona rybaka wiedziała o tym doskonale. Pomimo to wciąż patrzyła.

Zanim mgła się podniosła, już było wiadomo, że nadchodzi kolejny upalny dzień. James obiecał, że wróci za miesiąc. Ale znała go tak krótko... Nie wiedziała, czy jest mężczyzną, który dotrzyma obietnicy złożonej kobiecie – zwłaszcza tak ubogiej, nic nieznaczącej. A może był w niebezpieczeństwie i decyzja, czy wracać, czy pozostać, nie należała do niego? Mógł też okazać się człowiekiem, który nie dba o słowa, jak mężczyźni często mają w zwyczaju, i wcale nie liczy upływających dni jak ona? Może ten pocałunek nic dla niego nie znaczył? Ani te słowa?

Odwróciła się plecami do zatoki i pochyliła nad grządką. Obrywała młode listki, związywała je w niewielkie pęczki i wrzucała do koszyka. Kiedy sprzątnęła jedną grządkę, przeszła do następnej, aż zebrała wszystko, co było świeże. Wtedy wróciła do chaty i rozwiesiła zioła na sznurku rozciągniętym między belkami. Ususzone wcześniej zebrała i włożyła do drewnianych skrzyneczek. Każdą ozdobiła etykieta starannie wypisana przez Roba. Na niektórych widniały uczone łacińskie nazwy, na innych stare, zwyczajowe, których uczyła jej matka: świetlik, bratek, warzucha...

Wyrzuciła na zewnątrz przez otwarte drzwi okruchy z drewnianych misek. Poczowała, że powietrze robi się cieplejsze. Promienie słońca rozpędzały mgłę. Do ogrodu przyleciały ptaki, by się pożywić: drozd, który mieszkał tam przez cały rok, i para kosów, które gniazdowały i wychowywały młode w żywopłocie z tarniny biegnącym z tyłu za chatą. Alinor umyła miski ze śniadania w resztkę czystej wody, a potem chlusnęła nią pod rośliny na rabacie przy drzwiach. Wzięła puste wiadro i zeszła do sadzawki przy wydmie. Chwyciwszy się starego słupa, zaczerpnęła wody, wydźwigała chlupoczący ciężar z powrotem po schodach i wstawiła przez otwarte drzwi do chaty. Nalała wody do trójnogiego kociołka, który stał na żarze. Wybrała kilka pęczków świeżych ziół i wrzuciła do wody.

Matczyny przepis wymagał jeszcze miodu. Łyżką odmierzyła potrzebną ilość ze słoja. Zostawiła to wszystko na wolnym ogniu, wzięła worek – zwykły stary wór po mące – i poszła nabierać drewna na opał. Ruszyła wzdłuż linii, do której dochodził przypływ, podnosząc gałązki i większe kawałki drewna. Kiedy wór się napełnił, zarzuciła go na plecy i zniosła do chaty.

Woda w kociołku prawie się wygotowała. Z ziół została ciemnozielona maź na dnie naczynia. Alinor przelała ją na tackę i zostawiła na stole, żeby wyschła. Przykryła kawałkiem czystego muślinu, chroniąc przed muchami.

Słońce podniosło się ponad wał gęstych, deszczowych chmur. Robiło się coraz cieplej. Włożyła kapelusz z szerokim rondem i zasłoną opadającą na kark, by osłonić się przed porannym żarem. Poszła do warzywnika z drugiej strony chaty, gdzie uprawiała groch, fasolę i kapustę. Kiedy zaczęła się mocować z upartymi korzeniami szczawiu, dostrzegły ją kury i przybiegły z harmidrem z plaży. Najwyraźniej postanowiły dotrzymać jej towarzystwa, grzebiąc pazurkami w poszukiwaniu robaków w skopanej ziemi. Gdakały przy tym z ukontentowaniem, a Alinor strofowała je łagodnie.

– Uciekajcie z powrotem na plażę, ale już. Wszystkie rośliny mi wygrzebiecie.

Jedna z kur, rdzawobrzęza, znalazła robaka i przełknęła go ze śmiesznym pomrukiem zadowolenia. Alinor była tu sama pod całym wielkim niebem; zatoka też była pusta. Roześmiała się jednak, jakby znajdowała się wśród serdecznych przyjaciół.

– Dobre było, szanowna pani Brown? – zapytała. – Smakowało?

Pracowała całe przedpołudnie. Kiedy słońce minęło zenit i zaczęło się zniżać ku zachodowi, wróciła do chaty. Ukroiła cztery pajdy żytniego chleba z wczoraj, wzięła z komina dwie wędzone ryby, dzbanek podpiwku ze spiżarni, spakowała to wszystko do torby i poszła zjeść razem z Alys, nim wezmą się do zbierania kłosów ze ścierniska.

Zbliżał się przypływ. Kiedy szła wysokim brzegiem w stronę domu brata, słyszała cichy szept Syczącego Źródła. Zastała Neda zrywającego śliwki.

– Chcesz trochę? – spytał.

– Wezmę dla Alys. Przyjdę jutro, to zerwę resztę na przetwory i do suszenia.

– To dobry rok dla owoców. Popatrz na te gałęzie.

Patrzyli z podziwem na drzewo uginające się pod ciężarem fioletowych owoców. Alinor zerwała jedną śliwkę.

– Słodkie – powiedziała. – Bardzo dobre.

– Idziesz do młyna zbierać kłosa?

Pokiwała głową, zerkając na prom, który podskakiwał na fali, kiedy prąd przyływu ścierał się z nurtem rzeki.

– Przewiozę cię – zaproponował. Zszedł po schodkach na pomost, gdzie cumował prom przywiązany do pała. Prąd napinał cumę i obracał tratwę bokiem. Ned odwiązał ją i zarzucił cumę na linę, która biegła nad jego głową, rozpięta nad skłębioną głębią.

– Mocny prąd – zauważyła Alinor.

– Strasznie mokre to lato – stwierdził. – Nigdy nie widziałem tak wysokiej wody w porze żniw. Wskakuj.

Weszła na tratwę i złapała kurczowo poręcz przy burcie. Uśmiechnął się, widząc jej lęk.

– Ciągłe to samo? Ty, córka przewoźnika?

Wzruszyła ramionami.

– Co pocznę? Ale wracać będę przez bród.

– Przemoczysz nogi – ostrzegł. – Będzie wysoka woda aż do zmierzchu.

– Trzymaj tę linę – poprosiła nerwowo, kiedy prąd pchnął tratwę w górę kanału. Lina naprężyła się, a prom zakołysał niebezpiecznie.

Ned zaczął ciągnąć, ręka za ręką, holując tratwę przez niespokojną wodę, i wkrótce dotarli na drugi brzeg. Alinor zeskoczyła, nim zdążył przycumować.

– Do zobaczenia wieczorem. Lepiej wracaj promem. Po co się moczyć bez potrzeby.

– Dziękuję – odparła i ruszyła dróżką wzdłuż kamiennego nabrzeża, przy którym stał młyn i spichrze. Głęboka woda rytmicznie pluskała o lico muru.



Na podwórzu we młynie panował rzadki spokój. Młyńskie koło tkwiło w bezruchu, w młynówce nie było wody. Staw spokojnie się napełniał przez służę od strony morza, otwartą przez napierający przybór. Drobne falki uderzały o brzeg, w miarę jak poziom wody stale się podnosił. We młynie wielkie żarna były rozsunięte, a koła zębate z czereśniowego drewna rozłączone. Młynarz ładował właśnie mąkę do worów. Dwaj czeladnicy wynosili je na nabrzeże, gdzie miały czekać na statki kupców zbożowych, które przybędą z przyływem.

– Dzień dobry, panie Miller! – zawołała Alinor, przechodząc obok otwartych drzwi.

Młynarz wyglądał jak duch, ubielony mąką od czubka głowy po kraj białego fartucha. Ale uśmiech miał ciepły.

– Dzień dobry, kumo Reekie! Przyszliście na zbieranie kłosów?

– Tak. I przyniosłam Alys coś do zjedzenia.

– Dziewczyna ma szczęście z taką matką. Przyjdziecie na wieczerzę po żniwach? Może razem zatańczymy?

Alinor uśmiechnęła się, słysząc po raz kolejny ten sam stary żart.

– Wiecie, że tańczyć nie będę. Ale z chęcią przyjdę.

Pomachała mu i przeszła przez podwórze między młynem a domem. Wyszła przez północną bramę na pola pszenicy. Zboże było prawie do końca zżęte. Wokoło na ściernisku leżały snopki.

Wielu mężczyzn porozbierało się do pasa. Spieczona skóra na plecach łuszczyła się z nich płatami. Inni, pobożniejsi – wielu mieszkańców wyspy było purytanami – mieli na sobie koszule przyzwoicie wetknięte w portki i związane pod spoconą szyją. Ustawieni szeregiem w poprzek pola harowali w zabójczym rytmie. Łapali garść, schylali się, cięli sierpem, a potem prostowali i rzucali zboże za siebie. Kobiety, które postępowały za żeńcami, zbierały zboże, wiązywały w snopek powrósem ze zwiniętych źdźbeł i składały w kopki, które zabierze wóz. Młynarzowa albo jej córka co chwila wychodziły z domu i stawały przy bramie, osłaniając dłonią oczy od słońca. Uważnie przypatrywały się robotnikom na polu, czy dokładnie wykonują pracę, nie zostawiając kępek niezżętego zboża dla tych, co będą sprzątać ściernisko.

Alys była blada z wyczerpania. Ręce miała podrapane od noszenia snopków, fartuch brudny, spocone włosy zwisały w strąkach spod czepka. Szła w rzędzie, schylając się, prostując, wiążąc, składając i znowu się schylając. Większość kobiet pochodziła z Sealsea i znała je od dzieciństwa. Ale było i parę z głębi ładu, które najęły się na dzień lub dwa, a także z pół tuzina wędrownych robotnic, które, gdy nastawały żniwa, przenosiły się z jednego gospodarstwa do drugiego. Płacono im od wykonanej roboty, a nie od dniówki, narzuciły więc mordercze tempo, któremu Alys musiała sprostać. Widać było, że bardzo się stara.

Alinor czekała przy bramie. Wkrótce dołączyło do niej kilka parafianek, które również miały prawo do zbierania kłosów na młyńskich polach. Stały razem, rozmawiając o obfитоści zboża i upale, aż Jane uderzyła w dzwon na podwórzu.

Żniwiarze porzucili pracę, by schronić się w cieniu pod żywoplotem i spożyć posiłek. Zbieraczki weszły na pole, by spotkać się z mężami i dziećmi i dać im przyniesiony prowiant.

Alinor przeszła przez kłujące ściernisko i bez słowa podała dzbanek córce. Alys przylgnęła do niego łapczywie.

– Chce się pić, co?

– Paskudna robota – sapnęła Alys bez tchu.

– Już prawie koniec – pocieszyła ją matka. – Chodź, usiądziesz na chwilę.

Mężczyźni siedli razem, podawali sobie z rąk do rąk dzbanki z piwem i jedli to, co przynieśli z domów. Kobiety skupiły się w pewnej odległości od nich. Jedna wyjęła niemowlę z chusty na plecach i przystawiła je do piersi. Alinor uśmiechnęła się, widząc dziecko, które przyjęła na świat tej wiosny.

– Ma apetyt? – spytała.

– Bogu dzięki, ma – odparła kobieta. – A ja wciąż polecam cię Panu naszemu, że przyszedł do mnie, kiedy nastał mój czas. Chcesz go zobaczyć?

Alinor wzięła niemowlę na ręce i delikatnie ucałowała ciepłą główkę, podziwiając malutkie, pulchne łapki.

Nikt więcej się nie odzywał, pili i jedli swój pierwszy posiłek od śniadania. Kiedy Alys skończyła chleb i resztę wędzonej ryby, Alinor oddała dziecko matce i wyjęła śliwki, które dostała od brata.

– Dziw, że jecie owoce na słońcu – zauważyła jedna z kobiet. – Nie boicie się bólu brzucha?

– To śliwki od mojego brata. Jemy je każdego lata i jeszcze nikomu nie zaszkodziły – wyjaśniła Alinor.

– Ja tam nigdy nie jem na surowo.

– Zwykle robię powidła – przyznała Alinor. – Czasem tylko konfiturę albo marynuję w occie, a sporo suszę.

– Kupiłabym ze dwa słoiki powideł – zaoferowała się jedna z kobiet. – I woreczek suszonych. Mieliśmy na święta suszony agrest i wszyscy się zajadali. Ile to chcecie w tym roku?

– Po dwa pensy za słoik. – Alinor uśmiechnęła się. – Chętnie wam przyniosę. I agrest też obrodził w tym roku.

– Też wezmę funt – odezwała się inna kobieta.

Żniwiarki prostowały zmęczone nogi. Niektóre położyły się wprost na ściernisku.

- Zmęczona? – spytała Alinor cicho.
- Mam dość – burknęła Alys ze złością.

Na podwórzu rozległ się dzwon, oznajmiający, że czas odpoczynku dobiegł końca. Pani Miller nie pobłażała robotnikom. Mężczyźni wstali, oczyścili sierpy i poszli do młyna po wóz, na który mieli załadować snopy i zawieźć je do stodoły, gdzie zostaną wymłócone.

Alinor podała córce płócienną torbę na ramię. Kobiety, które miały prawo do zbierania kłosów na młyńskich polach, ustawiły się w szereg na skraju pola. Pilnowały, by rozstawić się równo, tak by żadna nie miała większej działki niż inne, i zerkwały uważnie, czy żadna nie wysunie się przed szereg. Matki z córkami, tak jak Alinor z Alys, stawały daleko od siebie, żeby nie wchodzić sobie w drogę. Szereg z wolna ruszył.

Znużone całodzienną harówką kobiety pracowały teraz na własny rachunek. Schylały się co chwila, by podnieść każdy kłos, a nawet pojedyncze ziarna. Tam gdzie niedoświadczony żeńca zostawił stojące źdźbła lub złamał je stopą, mogły nazbierać całe garście. Parły powoli naprzód niczym linia piechoty nacierająca przez bitewne pole, pilnując swego miejsca w szyku i odstępów. Alinor, schylając się raz po raz ze wzrokiem wbitym w ziemię, zdziwiła się, kiedy dotarła do żywopłotu na końcu pola. To już? Jej torbę wypełniały dojrzałe, złote kłosy pszenicy.

- I w drugą stronę – zakomenderowała jedna ze starszych kobiet.

Alys mruknęła coś zniechęcona, lecz Alinor pokiwała głową. Nic nie może się zmarnować, ani ziarnko nie mogło zostać na polu.

- Z powrotem – przytaknęła.

Kobiety zmieniły szyk. Te które były na skrzydłach, teraz znalazły się w środku, by nikt nie szedł dwa razy tą samą częścią pola. Znowu ruszyły naprzód ze wzrokiem wbitym w ściernisko, łapiąc napotkane kłosy i ładując do toreb lub podkasanych fartuchów. Dopiero kiedy znów znalazły się przy końcu pola, wyprostowały plecy i rozejrzały się wokół.

Słońce było już nisko, tonęło w różowych obłokach i złotym blasku. Alinor zerknęła na pękatą torbę Alys, potem na swoją.

- Dobrze – powiedziała tylko.

Razem poszły na podwórze, gdzie młynarzowa ustawiła wagę i ważyła zbiory. Wyniki karbowane były na patykach. Alinor i Alys wysypały zawartość swoich

toreb na szalę. Pani Miller dokładała odważniki, aż w końcu oznajmiła niechętnie:

– Trzy funty, dwie uncje.

Jane zaznaczyła na jednym końcu leszczynowego kijka trzy grube nacięcia, na drugim dwa cieńsze, a potem przepołowiła go wzdłuż siekierką. Alinor wzięła jedną część, druga wylądowała w koszu. Będzie stanowiła dowód, ile jest winna w mące, kiedy przyjdzie do mielenia ziaren.

– Przynieś trochę tego swojego kordiału, jak przyjdiesz jutro – poprosiła gospodyni, ważąc zboże kolejnej zbieraczki. – Plecy palą mnie jak ogniem od tego ciągłego schylania.

Alinor pokiwała głową.

– Przyjdę zbierać po południu. Wtedy przyniosę.

Woda w zatoce opadła. Staw był pełen po brzegi. Wrota śluzy, zamknięte naporem wody, delikatnie stukały o siebie. Kiedy zmęczone kobiety podeszły do pomalowanej na biało bramy podwórza, jeden z młodych czeladników młynarza wskoczył na wał stawu i balansując jak akrobata nad ciemną wodą, na wrotach śluzy, zawołał do Alys:

– Dobrej nocy! Do zobaczenia jutro!

Zmęczenie dziewczyny prysło w jednej chwili. Alys mogła być teraz równie dobrze księżniczką przyjmującą hołdy. Nie odpowiedziała, ale skłoniła głowę i uśmiechnęła się nieznacznie. A potem poszła dalej. Alinor zdumiała się przemianą, jaka zaszła w jej córce.

– Kto to był? – zapytała, starając się ją dogonić.

– Kto?

– Ten młody człowiek?

– Ach, on? Zdaje się, że syn Stoneyów, Richard.

– Stoneyów z Birdham?

– Tak.

– Urodziwy młodzian – stwierdziła Alinor.

– Nie przyglądałam się – oznajmiła Alys z godnością.

– Zauważyłam – Alinor ledwie powstrzymała śmiech – ale ja mu się przyjrzałam i powiem ci, że to bardzo przystojny młody człowiek. Jedyne syn, prawda?

– Och, mammo! Na litość boską! – obruszyła się Alys i pomaszerowała do przeprawy. Kiedy Alinor dotarła na miejsce, córka stała już na pokładzie obok

Neda, trzymając się liny. Alinor poczekała chwilę na brzegu, aż kilka kobiet i paru żniwiarzy zajmie miejsca na tratwie, która zabierze ich do ich domów na wyspie. Alys przeszła się między nimi, zbierając miedziaki dla Neda. Dopiero kiedy prom był pełen i gotów do odpłynięcia, Alinor weszła na pokład i od razu mocno się złapała. Kiedy dotarli na drugi brzeg, była pierwszą, która zeskoczyła z pokładu. Kobiety zaczęły się z niej śmiać.

– Nie masz z niej pożytku – dokuczały Nedowi. – Każdy boi się wsiąść na twój prom, kiedy widzi jej minę.

Alinor machnęła ręką, słysząc stare żarty.

– Przyjdę jutro na śliwki – powiedziała do brata.

– Będę tutaj – odparł. – Dobry Bóg wie najlepiej, że nigdzie się stąd nie ruszam.



W ciemnej chacie zajęły się swoimi obowiązkami, tak znużone, że nie chciało im się nawet otwierać ust. Alys otworzyła drzwi, pod którymi cicho gdakały kury, i zagnała je na noc do ich kąta. Wypiły z matką po kubeczku podpiwku. Alinor umyła ręce i twarz w misce, córka po niej, w tej samej wodzie, a potem wylała ją za drzwi na lawendę i nagietki rosnące przy ścianie. Uklękła przed matką, a ta zaplotła jej na noc włosy w warkocz i dotknęła czoła, błogosławiąc. Alys wciąż na kolanach odwróciła się do łóżka, zmówiła pacierz, a potem padła jak nieżywa.

– Słodkich snów – powiedziała Alinor. Zobaczyła, że córka lekko się uśmiecha.

Zwinęła włosy w kok i ukryła pod szlafmycą. Odzież rozwiesiła na krześle i położyła się do łóżka w samej halce. Leżały obok siebie w milczeniu.

– Jestem zmęczona jak pies – rzekła w końcu Alys i natychmiast zasnęła.

Alinor leżała w ciszy, wpatrując się w ciemność. Może on wróci już jutro. Albo pojutrze. Wtedy zaśnie.



Tuż po północy przebudził ją głośny łomot. Ktoś walił do drzwi. W pierwszej chwili pomyślała przerażona, że to Zachary wrócił do domu i w pijackim szale wali w drzwi, jak to miał w zwyczaju. Potem, kiedy już wyskoczyła z łóżka i złapała zasuwę, przyszło jej do zamroczonej snem głowy, że może zaczęła się wojna i żołnierze Cromwella albo „kawalerowie” króla usiłują wyważyć drzwi do

jej chałupy. Ostatnią myślą, kiedy otwierała już drzwi, było, że to może James wrócił. Ale na progu stał Johnson z Sealsea.

– Bogu dzięki, że was zastałem. Chodzi o Peg. Musicie się pośpieszyć. Zaczęło się szybciej, tak sądzę. Żona was potrzebuje. Pędziłem, jak mogłem. Pójdziecie ze mną od razu?

– Pan Johnson. – Jej marzenia i lęki rozwiały się w jednej chwili.

– Mam konia z damskim siodłem przy promie. Proszę, pośpieszcie się.

– Dajcie mi chwilę. – Zamknęła mu drzwi przed nosem i w ciemności wciągnęła na siebie koszulę i suknię. Namacała czepek i włożyła go na głowę.

– Co się dzieje? – spytała zaspana Alys.

– Dziecko Johnsonowej pcha się już na świat – odparła półgłosem, wzuwając buty.

– Mam pójść z tobą?

– Nie. Rano czeka cię praca. Jeśli, co daj Boże, wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się na zbieraniu kłosów. Jeśli będę musiała zostać na kolejną noc, pójdziesz do wuja.

Alys pokiwała głową, odwróciła się na bok i natychmiast zasnęła z powrotem. Alinor złapała torbę, skrzynkę z ziołami i kilka buteleczek z szafki, i wyszła na zewnątrz w chłodną noc. Przyptyw już się zbliżał, ciurkał wśród błot, wspinając się w stronę chaty z uśpioną dziewczyną w środku.

– Prędko – ponaglił Johnson. – Jak tu przejść bezpiecznie?

– Za mną. – Alinor pewnie ruszyła ścieżką na skarpie. Gdzieś pod nimi pluskały w ciemności fale. W końcu zobaczyła dom przewoźnika, swój dom rodzinny, masywną bryłę odcinający się na tle nieba. Ned, którego obudził galopujący drogą Johnson, przyświecił im latarnią, gdy szli obok domu, wzdłuż mrocznego kanału, do drogi. Podprowadził czekającego konia do specjalnych kamiennych schodków, ułatwiających wsiadanie, które stały przy drodze prowadzącej do wioski. Johnson wskoczył pierwszy, Alinor wdrapała się na stopnie i siadła za nim. Stopy umieściła na podpórce damskiego siodła, a plecy zapała o lęk.

– Trzymaj się mocno – powiedział Ned.

Skinęła głową i złapała za szeroki pas Johnsona.

– Przypilnuj rano Alys – rzuciła – żeby zjadła jakieś śniadanie.

– Pewnie. No, z Bogiem. I powodzenia.

Johnson cmoknął na konia i wielkie zwierzę ruszyło najpierw stępa, by po chwili przejść w posuwisty kłus. Alinor trzymała się mocno, jedną rękę zaczepiła o pas jeźdźca, drugą przytrzymała na kolanach torbę z drogocennymi medykamentami. Droga do wsi była mocno zryta koleinami i pełna kałuż, ale trzymali się trawiastego pobocza. Kiedy się trochę rozjaśniło, widzieli już wyraźnie szlak przed sobą. Po niespełna dwóch milach koń, czując dom, przeszedł w stęp, po czym skręcił przez bramę w podwórze. Na parterze domu widać było przemieszczające się światła, kiedy służba biegła tam i z powrotem. Alinor poczuła znajome podniecenie: lekki niepokój o możliwe komplikacje przy porodzie i pewność wynikającą z powołania. Powołania, które przejęła od matki i którego nauczyła się sama. Do którego się narodziła. Odnosiła wrażenie, że stoi w bramie między życiem a śmiercią. I nie czuje lęku.

Johnson zatrzymał konia i wziął torbę Alinor, kiedy zsiadała. Potem podał ją i sam zeskoczył z konia.

– Tędy, tędy! – ponaglił, zostawiając zwierzę samopas i prowadząc ją do środka.

– Przeprowadziłem kumę Reekie – powiedział do starszej kobiety, w której Alinor rozpoznała jego matkę.

– Nareszcie – rzuciła zgryźliwie. – Nie śpieszyliście się, co?

– Dzień dobry, pani Johnson – przywitała ją grzecznie Alinor. – Jak się miewa Margaret?

– Żle – odparła kobieta. – Nie może siedzieć, a nie chce się położyć. Tylko męczy się, łażąc tam i z powrotem.

– Na miłość boską! – krzyknął gospodarz. – Dlaczego nie zmusiłaś jej, żeby odpoczęła? Kumo, zmuscie ją jakoś!

– Pozwólcie, że ją najpierw zobaczę – odrzekła Alinor spokojnie. – Panie Johnson, każcie nagotować wody do miski. Potrzebne jest mydło i lniane ręczniki. A może znajdzie się grzane piwo dla żony? I trochę wina?

– Zaraz będzie – zapewnił. – Gorąca woda do miski. Grzane piwo. Grzane wino. Zaraz wszystko naszykują.

Runął do kuchni, pokrzykując na służbę. Tymczasem jego matka zaprowadziła Alinor po drewnianych schodach do sypialni.

W pomieszczeniu panował duszący upał. Na kominku płonęły drwa, okna były szczelnie zamknięte i zaciągnięte kotarami. Na środku pokoju stała Margaret Johnson w poplamionej koszuli nocnej, jedną ręką kurczowo trzymając się słupka

przy łóżku. Jej matka, teściowa gospodarza, ciągnęła ją za drugą rękę, bez skutku usiłując zmusić, żeby się położyła, gdyż to z pewnością potrwa kilka dni i umrze z wycieńczenia, zanim dziecko przyjdzie na świat. Albo z głodu.

– Alinor! – Margaret westchnęła, kiedy akuszerka weszła do izby.

– Witaj, Margaret. Powiedz mi, jak się czujesz? – spytała Alinor spokojnie.

– Wody mi odeszły, ale teraz nic się nie dzieje – odparła Margaret. – I jest mi gorąco i duszno. Nie mogę złapać tchu. Chyba mam gorączkę. Czy to możliwe?

– Możliwe – potwierdziła Alinor, omiatając spojrzeniem nieład w pokoju, słabo ukrywaną panikę obu starszych kobiet i służącą, która dokładała kolejne polano do ognia. – Ale tu naprawdę jest bardzo gorąco, a ty nie złapiesz tchu, jeśli będziesz kręcić się w kółko i gadać przez cały czas.

– Mówiłam jej to – powiedziała matka Margaret – ale ona nikogo nie słucha. Już dawno chciałam po ciebie posłać, ale świekra cały czas mówiła „nie”. A ona tak się męczy...

– Macie w ogrodzie lawendę? – spytała Alinor matki Johnsona. – Potrzebuję trochę świeżych kwiatów na podłogę. – Bądźcie tak dobra, zobaczcie, co z tą wodą, którą mi obiecali? – zwróciła się do matki Margaret.

– Cały dom stoi na głowie – odparła kobieta. – Nie zdziwiłabym się, gdyby pod kuchnią wygasło i nikt się tym nie przejął.

– Jak sobie nie radzą ze zwykłym porodem, to sama nie wiem czemu – rzekła złośliwie starsza pani Johnson. – Ja tam urodziłam dziesiątkę w tym oto łóżku, z czego jedno martwe, a drugie sporo przed czasem.

Alinor wyprowadziła obie kobiety za drzwi, nim zdążyły sobie przypomnieć więcej strasznych historii. Nagle zapanował spokój i cisza przerywana jedynie trzaskaniem polan na kominku.

– Tu jest za gorąco – zwróciła uwagę służącej. – Nie dokładaj więcej.

Dziewczyna aż się skurczyła, kiedy Alinor rozsunęła kotary i otworzyła okno na oścież.

– Nocne powietrze? – przeraziła się Margaret.

Alinor zasunęła na powrót kotary, by nikt nie zauważył, że okno jest otwarte, ale chłodny podmuch wciąż wpadał do środka i Margaret odetchnęła z ulgą.

– Duchy wleczą – szepnęła służąca. – Nie pozwólcie wlecieć duchom!

– Nie wleczą – ucięła dyskusję Alinor. – Może przebierzemy cię w czystą koszulę? – zwróciła się do Margaret.

Wróciła jej matka, dźwigając miskę z wodą.

– Dziękuję – powiedziała Alinor, odbierając ją w progu. – A grzane piwo?

– Wszystkim przydałoby się po szklaneczce – przyznała kobieta i zawróciła do kuchni. Alinor zamknęła za nią drzwi.

– Usiądź i pozwól, że obmyję ci twarz i ręce – rzekła do Margaret.

Margaret słabo zaprotestowała, że w jej stanie mycie musi być niebezpieczne, ale umilkła, gdy Alinor dodała do wody kroplę olejku z lawendy. Ostry, świeży zapach wypełnił pomieszczenie. Alinor delikatnie wklepała wodę z olejkiem w skronie i kark Margaret, a potem umyła jej ręce i swoje także.

Położnica westchnęła, a później złapała się za wielki brzuch i jęknęła:

– Czuję, jakby kiszki mi się skręcały.

– I bardzo dobrze. Tak powinno być – stwierdziła Alinor z zadowoleniem.

– Nie chcę leżeć na łóżku!

– Nie musisz, jeśli nie chcesz – odparła Alinor. – Możesz stać, siedzieć, a nawet klęczeć, jeśli chcesz. Byle spokojnie.

– Muszę chodzić. Nie mogę się powstrzymać.

– Za chwilę pochodzisz. Teraz siedź spokojnie, dopóki nie przyniosą ci piwa. Napijesz się.

– Czy to będzie długo trwało? Bardzo długo? – denerwowała się Margaret. – Będzie bolało jak jakieś tortury?

– Ależ skąd – odparła Alinor. – Pomyśl sobie o kurce, która składa jajko. To może być całkiem łatwe.

– Łatwe? – Margaret, którą obie matki śmiertelnie przeraziły swymi opowieściami, spojrzała z niedowierzaniem na młodą akuszerkę.

– Może. Zobaczymy.



Nie było łatwo jak przy składaniu jajka, ale nie było też jak na torturach, a Margaret nie zobaczyła otwierających się przed nią bram niebieskich, co przepowiadała jej teściowa. Urodziła chłopca, o którym marzył jej mąż, a Alinor wzięła w swoje pewne ręce umazany krwią, ciepły, wijący się cud, owinęła go w ręczniki i położyła na piersi matki.

– Wszystko z nim w porządku? – szepnęła Margaret, podczas gdy obecne w pokoju kobiety – obie babcie i trzy znajome, które wpadły dotrzymać towarzystwa – wznosiły szklanice piwa za zdrowie dziecka i matki.

– W doskonałym – oznajmiła Alinor, podwiązując pępowinę. – Świetnie się spisałaś.

– Ochrcisz go teraz?

– Nie. Nic mu nie grozi, a i Kościół niechętnie teraz patrzy, jak robią to połoźne.

Cicho i ostrożnie obmyła Margaret i obłożyła jej krocze mchem.

– Przyjdę jeszcze dziś do ciebie. I będę wpadać codziennie przez tydzień ze świeżym mchem – obiecała.

– Zostaniesz dłużej? – dopytywała się dziewczyna. – Żeby pomóc mi przy dziecku?

– Zostanę. – Alinor uśmiechnęła się. – Tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała. Ale wkrótce się przekonasz, że nie potrzebujesz nikogo do pomocy. To ciebie będzie kochał najbardziej.

Młoda kobieta wyglądała na rozdartą pomiędzy lękiem i miłością.

– Naprawdę? A nie będzie... – zerknęła w stronę apodyktycznej teściowej – wołał kogoś, kto lepiej się na tym zna?

– Zobaczysz. Będzie cały twój – zapewniła ją Alinor z przekonaniem. – Nie ma dla niego nikogo lepszego niż matka. I oboje będziecie się kochać najbardziej na świecie.

– Mogę go zobaczyć? Mogę zobaczyć mojego syna? – Zza zamkniętych drzwi rozległo się wołanie świeżo upieczonego ojca. Co prawda nie będzie mu wolno wchodzić do sypialni ani widzieć się z żoną przez kolejny miesiąc, ale jego matka wyniosła mu dziecko na korytarz. Rozległy się głośnie okrzyki radości, błogosławieństwa i słowa miłości dla młodej żony. A potem pani Johnson wróciła z dzieckiem do środka.

– Nie chce chrzcić dziecka w kościele – powiedziała wstrząśniętym szeptem do Margaret. – Mówi, że to papistowski zwyczaj, a bogobojni ojcowie chrzczą dzieci w domu. Co o tym sądzicie, kumo Reekie?

– Nie wiem, co jest słuszniejsze w takich razach. – Alinor pokręciła głową, nie chcąc zostać wplątana w kolejną sprzeczkę.

– I oznajmił, że jej też nie zabierze na wywód do kościoła – dodała matka Margaret, wskazując na drzemiącą córkę. – Jakże to może być słuszne?

Alinor uparcie milczała. Nowe sekty wyrzekały się wszelkich rytuałów, odcinały od wszystkich tradycji, o których nie wspominała Biblia.

– To bogobojny człowiek – stwierdziła oględnie. – Na pewno wie, jak należy czynić.

– Mówi, że się już modlił. – Kobieta westchnęła. – Jakże to tak? Moja córeczka ma teraz zająć się swoimi obowiązkami bez błogosławieństwa? Nie podziękowawszy Bogu, że uchronił ją przed niebezpieczeństwem, a może nawet śmiercią?

– Wszyscy dziękujemy Mu za bezpieczny poród – powiedziała Alinor. – W kościele lub poza nim.

– Tobie też należy się wdzięczność. Masz dar swojej matki. To, jak radzisz sobie z rodzącymi, zakrawa na czary.

To były niebezpieczne słowa, nawet gdy stanowiły pochwałę. Kobieta obserwowała Alinor, chcąc się przekonać, co odpowie.

– Nie ma w tym żadnych czarów! – zaprotestowała. – Skądże by! Nie mówcie takich rzeczy. Tylko zawierzenie w Panu i doświadczenie. Byłam przy tylu porodach!

– Ale nie masz licencji od biskupa.

– Miałam ją. A jego ekscelencji nie widziano w pałacu od wielu miesięcy, od czasu oblężenia. Pytałam wszędzie, ale nikt nie wie, jak teraz można zdobyć licencję akuszerki.

Kobiety pokręciły głowami.

– Ktoś musi ci ją wydać – stwierdziła stanowczo pani Johnson. – Bo na całej wyspie nie ma kobiety, która wolałaby zaufać w tych sprawach komuś innemu niż ty. A jednak to straszne, co spotkało twoją bratową – dodała po chwili.

Alinor poczuła ukłucie zastarzałego bólu.

– Tak – odparła. – Są na tym świecie tajemnice. To jednak wola boska, nie nasza. Cieszę się, że Margaret urodziła bezpiecznie.

– A wystawcie sobie, że ponoć w Londynie niektórym to medyk dzieci na świat przyjmuje. Mężczyzna! Jaką trzeba być bezwstydnicą!

– Sodoma i Gomora! – przytaknęły zgorszzone kumoszki.

– Dobrze, że wszystko poszło gładko. – Alinor zaczęła zbierać swoje rzeczy: ostry nożyk do przecinania pępowiny, czyste nici do podwiązywania, olejki w butelkach, wyciąg z arniki i dziurawca na ból i stłuczenia. – Przyjdę po południu.

– Nie przydziesz rano? – dobiegł z łóżka zaspany głos Margaret.

– Już jest rano. – Alinor uchyliła róg kotary, wpuszczając perłowe światło letniego dnia. – Twój pierwszy poranek w roli matki. Pierwszy świt twojego syna.

– Oj, zobaczysz ty wiele świtów – przepowiedziała ponuro pani Johnson. – Dzieci w naszej rodzinie budzą się wcześniej.

Młoda matka usypiała na poduszce.

– Nie zwlekaj za długo – wymruczała z uśmiechem, unosząc ciężkie powieki. – Będę na ciebie czekać po południu.

– Nie spóźnię się – obiecała Alinor. – Możesz na mnie liczyć.



Johnson wysłał pachołka, by odwiózł ją do domu brata. Siedziała za nim wysoko na grzbiecie wielkiego konia wykorzystywanego przy orce. Chudnący księżyc wisiał jeszcze na niebie jak wyszczerbiona moneta. W kanale wzbierała woda. Po drugiej stronie spostrzegła jeźdźca, który zmierzał w stronę promu. Od razu go poznała: James Summer. Mężczyzna, którego kochała, wrócił do niej, tak jak obiecał, miesiąc od wyjazdu.

Alinor zsiadła z konia i podziękowała stajennemu. Ned właśnie przeprowadzał prom, ciągnąc za rozpiętą linę. James sprowadził konia na brzeg, a zwierzę, drobiąc nerwowo, weszło na chwiejący się pokład. Mężczyźni pokonali przeprawę w milczeniu, a potem, idąc po obu stronach wierzchowca, wyprowadzili go na brukowane nabrzeże po stronie wyspy.

– Powinien się dawno przyzwyczaić, robił to już z tuzin razy – powiedział Ned, klepiąc konia po szyi. – Widziałem konie, co przywykały do huku dział i muszkietów, zanim dzień minął. To koń z wyspy i zna prom. Po prostu się z wami droczy.

– Widziałeś kawalerię na wojnie? – spytał James, odwracając się i rzucając Alinor uśmiech przeznaczony tylko dla niej, skryty pod rondem kapelusza. – Dzień dobry, pani Reekie. Wcześniej pani dziś wstała.

– A pewnie! Na Marston Moor – odparł Ned, wspominając pierwsze wielkie zwycięstwo Cromwella. – Wszystko było w rękach kawalerii. Wielu z nas nigdy nie widziało bitwy, tylko ćwiczyło musztrę na polu, stając w szyku, gotując się na przyjęcie szarży, łażąc w prawo, w tył i na powrót formując szyk. Ale konie szarżowały tak, jakby wiedziały wszystko, co trzeba.

– Tak też słyszałem – rzekł James uprzejmie. Zapłacił pensa za przeprawę w jedną stronę, a Ned schował go do kieszeni.

– Wasz lord, sir William, był po drugiej stronie, prawda? – rzucił Ned zaczepnie. – Po tej przegranej. I Bóg dał zwycięstwo pobożnym, a sir William obszedł się smakiem. Okazało się, że nie nad wszystkim ma władzę, ha!

James nie podjął wyzwania.

– Nie znałem go w tamtych czasach. Zatrudnił mnie w zeszłym miesiącu, żebym uczył panicza Waltera i przygotował go do Cambridge.

– A wcześniej? – spytał Ned podejrziwie.

– Słucham?

– Wcześniej czymżeście się zajmowali?

– Uczyłem w innej rodzinie – skłamał James bez mrugnięcia okiem.

– I mojego siostrzeńca uczycie, prawda? Jestem wujem Roba. Alinor Reekie to moja siostra.

– Zgadza się – odparł James pogodnie. – I znam was ze słyszenia, przewoźniku. Robert to bardzo bystry i pilny młody człowiek. Kiedy panicz Walter wyjedzie na uniwersytet, myślę, że powinien pójść do terminu. Może jako pomocnik u medyka? Więcej wie o lekach, ziołach i olejach niż ja. Niezwykły młodzieniec. – Uśmiechnął się do Alinor, która stała spokojnie i przyglądała się mężczyznom.

– No, niedaleko pada jabłko od jabłoni – przyznał Ned z dumą. – Ona uczyła się od naszej matki, matka od swojej matki i tak dalej.

James znowu się uśmiechnął, badawczo patrząc na Alinor i dziwiąc się jej milczeniu. Dotąd nie odezwała się ani słowem.

Nie wiedział o tym, ale dziękowała teraz Bogu za to, że może cieszyć się jego widokiem, że wrócił, jak obiecał. Przepęłniała ją prosta radość na widok przystojnej twarzy, gęstwy ciemnych włosów i pięknego wykroju ust. Wrócił, tak jak obiecał – to chyba dziwiło ją najbardziej. Dotrzymał obietnicy, a pożądanie, które w niej rosło, było po części wdzięcznością, że okazał się mężczyzną, jakiego chciała w nim widzieć. Że zasłużył na jej miłość, niepowstrzymaną jak nieuchronny letni przypływ.

– Całą noc była przy porodzie – wyręczył ją Ned i zwrócił się do niej: – Wszystko poszło dobrze? Bóg im pobłogosławił w tej godzinie?

– Tak. Ma chłopca. – Alinor wzięła się w garść. – Silnego i zdrowego. Matka też czuje się dobrze. Później znów do nich zajrzę.

– Teraz udacie się na spoczynek? – zapytał James.

Uśmiechnęła się na tę naiwność.

– Nie, skądże. Robota czeka i w domu, i ogrodzie – powiedziała. – A po południu przyjdę tu zrywać śliwki. Potem odwiedzę młodą matkę z dzieckiem, a jak wrócę, to ruszę do młyna na zbieranie kłosów. Potem święto plonów. Czy sir William zaszczyci nas swoją obecnością?

Od razu się zorientował, że to szansa dla nich, żeby się spotkać.

– Nie wiem, dopiero wracam z drogi. Ale jeśli sir William się wybierze, to i ja z nim przyjdę, zabiorę Waltera i Roba.

– Chętnie zobaczę syna. – Westchnęła. – Sir William zwykle bywa na dożynkach we młynie. To największe gospodarstwo w okolicy.

– Warto byłoby to zobaczyć. Przyjdziecie?

– O zachodzie słońca.

– A czy będą tańce? – zapytał, jakby był chłopcem, gotowym ukłonić się przed nią, wziąć za rękę i porwać w tany.

– Po jedzeniu – odparła. – Proste wiejskie tańce przy wtórze skrzypek.

Nie odważył się spytać, czy z nim zatańczy.

– A więc cieszę się, że...

– Tak? – Drgnęła niespokojnie. Wyobraziła sobie, że trzyma ją w pasie i razem suną w tanecznym korowodzie.

– ...zobaczymy się na dożynkach – dokończył krótko. Skinął głową Nedowi, jej posłał lekki ukłon, a potem wspiął się na konia i odjechał dróżką w kierunku dworu, nie zerkając za siebie.

– Całkiem miły, choć wymuskany jak lord – rzekł Ned ostrożnie, bacznie się jej przyglądając.

Twarz, którą ku niemu odwróciła, była spokojna i pozbawiona wyrazu.

– Tak się cieszę, że uczy Roba. To wielka nadzieja dla chłopca.

– Zaczął robotę i już po tygodniu wyjechał – zauważył przewoźnik.

– Zadał im lekcje do zrobienia. Rob mi mówił, że co rano czytali w bibliotece, a potem odrabiali zadania, które dla nich przygotował. Tłumaczenie, matematyka, czytanie mapy i różne inne.

– Czy aby jest bogobojny?

– Och, na pewno. Wygłosił piękne kazanie w kaplicy sir Williama, stojąc za stołem. Na ołtarz nawet nie spojrzął. Wszystkie srebra, złocenia i zdobione tkaniny zostały zdjęte i wyniesione. Nie było gobelinów, figur, niczego zbyt kownego. Musi być prawej wiary.

– No cóż, to dobrze – mruknął Ned, starając się pozbyć niepokoju, który go ogarnął na widok promieniejącej twarzy siostry i wzroku, jakim ten dżentelmen na nią patrzył. Jakby był zaskoczony, widząc kobietę taką jak ona w miejscu takim jak to. – Świetnie, jak sądzę.

Pokiwała głową. Była całkowicie spokojna. Ned jej nie przejrzy. I tak by tego nie zrozumiał.

– Wydaje się bardzo przyjacielski – powiedział, jakby to była wada.

– Nie sądzę. To po prostu nauczyciel, który ma pokazać paniczowi to, co ma wiedzieć. A Rob uczy się przy okazji.

– Przystojny – zauważył Ned.

– Tak uważasz? – zapytała całkiem jak Alys, kiedy Alinor rzekła to samo o synu Stoneyów. – Nie przyglądałam mu się.



Gdy tylko James w towarzystwie sir Williama, Waltera, Roba i jednego z pacholków przybył do młyna, od razu wiedział, że popełnił błąd. Z miejsca rzuciło się w oczy, że byli gośćmi z wielkiego domu, którzy przybyli podziwiać proste plebejskie przyjemności. Sir William jechał na swoim koniu bojowym, a Walter na tym, którego ojciec brał na polowania. James dosiadał karego rumaka szlachetnej krwi i nawet Rob dostał urodziwego kuca, który wcześniej ciągał powozik dla dam. Cała czwórka, nadmiernie wystrojona, w asyście pacholka, wjechała przez malowaną na biało bramę na podwórze młyna niczym orszak panującego monarchy, chcącego łaskawie się przyjrzeć wieśniaczym obyczajom i patronować rozrywkom gminu.

Młynarz wyszedł na podwórze i skłonił się nisko przed lordem. Synek Millerów, Peter, poszedł w jego ślady. Przez kuchenne drzwi wypadła młynarzowa, w biegu odrzucając poplamiony fartuch i starając się wyglądać jak dama, która nie brudzi rąk pracą – jakby wcale nie oderwała się przed chwilą od sznurowania szynki do pieczenia. Za nią pędziła Jane, naciągając najlepszy czepek na ciemne włosy. Jamesa aż poraziła biel czystych fartuchów, wykrochmalonych koronek i fałsz bijący z uśmiechów.

Robotnicy, którzy uznawali się za prawowiernych, a dobrze wiedzieli, że sir William opowiedział się po stronie króla, niechętnie uchylili czapek, skinęli głowami i odeszli na bok. Gardzili zarówno nim, jak i starym porządkiem i starymi zwyczajami. Nie uznawali kukiełek ze słomy, tańców ani innych

hucznych dożynkowych obchodów. Ale ci, którym tęskno było za minionymi czasami, którzy mieli ochotę napić się, najęść i poświętować, wzniesli radosny okrzyk na powitanie lorda, mając nadzieję, że zapłaci za piwo, które wypiją. Kobiety uśmiechały się i machały do Waltera, głęboko dygały przed sir Williamem, ale wprost wzroku nie mogły oderwać od Jamesa na wysokim karym koniu. Jego profil przypominał im kamienne oblicza aniołów w dawnych kościołach. Alinor syknęła głośno i odwróciła wzrok. Próbowwała uśmiechać się do syna, ale była boleśnie świadoma, że samodziałową spódnicę aż do kolan pokrywa jej kurz, a koszulę pod pachami znaczą wilgotne plamy.

– Millerowo – odezwał się lord uprzejmie do żony młynarza, która z impetem przysiadła przed nim w ukłonie jak wór ziarna zrzucony z wozu – z chęcią wychylę szklanicę waszego domowego piwa.

Rzuciła się do domu w poszukiwaniu najlepszego kufla, a młynarz czekał pokornie przy łbie konia, aż jego lordowska mość raczy zsiąść.

– Plon obfity? – zagadnął sir William, zerkając na spichrze, snopy zboża czekające na wymłócenie i czysto zamiecione klepisko.

– Umiarkowanie – bąknął młynarz ostrożnie. Płacił podatek od zbiorów i lordowi, i Kościołowi. Nie było sensu się przechwalać.

– Zostaniecie na kolacji, wasza lordowska mość? – wykrztusiła pani Miller, kiwając na Jane, by naląła świeżego dożynkowego piwa do drogiego kufla, który jej podała. – Wasza lordowska mość i oczywiście panicz Walter oraz... – Urwała, patrząc z zachwytem na nieznanego i wyraźnie czekając, aż ktoś go przedstawi.

– To pan Summer – oznajmił lord ogólnikowo. – Człowiek z Cambridge i guwerner mego syna.

Wśród zgromadzonych przebiegł dreszcz zainteresowania. Jak z Cambridge, to znaczy, że bogobojny. Wszyscy wiedzieli, że Cambridge to ośrodek reformacji, podczas gdy Oksford był kwaterą wojenną króla. James Summer uchylił kapelusza, by docenić zainteresowanie jego osobą. Pilnował się z całych sił, by nie zerkać w stronę Alinor. Ta z kolei oglądała w skupieniu własne zakurzone buty, związane sznurkiem.

– Witam i zapraszam – powiedział młynarz uroczyście, odsuwając chwilowo na bok obawy, ile ta ucztą dla szlachetnie urodzonych będzie go w przyszłości kosztować.

Sir William zsiadł ciężko z konia, a jego koniuszy wziął od niego wodze. Czeladnik młynarza, Richard Stoney, zebrał pozostałe wierzchowce i odprowadził je do stajni. Rob podszedł do matki i siostry, które stały wśród innych kobiet sprzątających ściernisko, i ukląkł, by matka go pobłogosławiła. Potem zerwał się i uściskał ją z całej siły.

Alinor ucałowała go, świadoma, że ma pot na twarzy i pył na odzieniu. Dygnęła przed lordem, paniczem Walterem i jego nauczycielem. James spojrział na nią, ale nie mógł się zbliżyć, kiedy oczy wszystkich weń się wpatrywały.

– Zwozimy właśnie ostatni wóz – pochwaliła się młynarzowa. – Jego lordowska mość może sam zobaczyć, jak wjeżdża. Panie Summer, musi pan wiedzieć, że rośnie tu najlepsza pszenica w całym Sussexie.

– Umiarkowane zbiory – dodał jej mąż szybko. – Pełno śnieci i innej zarazy. To przez deszcze w tym roku. Okropnie padało. A jeszcze jak się szczury wdadzą...

– Właśnie widzę – rzekł James uprzejmie, zerkając przez uchylone drzwi spichlerza.

– Alys Reekie została królową żniw – dorzuciła niechętnie pani Miller. – Młodzież ją wybrała, Bóg jeden wie czemu, bo były godniejsze pretendenci.

James, przyglądając się z zainteresowaniem ślicznej dziewczynie, stwierdził, że nie miała wśród innych konkurencji. Z regularnymi, subtelnymi rysami i ciemnobłękitnymi oczyma przewyższała urodą najpiękniejsze z zebranych dziewcząt. Zdjęto jej teraz biały czepek i złote włosy rozsypały się na ramionach. Na robocze odzienie narzucono jej haftowany płaszcz, a na głowę włożono koronę z pszenicy. Złoty wieniec zalsnił na złotych włosach.

– A Richard Stoney będzie żniwnym królem – dokończyła gospodyni.

– Jesteśmy gotowi? – spytał Miller, gdy ostatni wóz zajechał z turkotem. Mężczyźni pośpieszyli go rozładować, a ze stajni wrócił Richard i też otrzymał splecioną z pszenicznych źdźbeł koronę, którą włożył na ciemne włosy.

Pan Miller ceremonialnie zamknął wrota stodoły. Młode zbieraczki, wśród nich Jane, i młodzi żeńcy uformowali szereg przed budynkiem, jakby bronili dostępu. Richard i Alys przeszli w drugi koniec podwórza. Chłopcy gwizdali wniebogłosy, dziewczęta wykrzykiwały imię Alys. Jego lordowska mość, znając dożynkowe obrzędy ludu, poczekał, aż młodzi staną obok siebie.

– Gotowi?! – zawołał.

– Gotowi! – odkrzyknął za oboje Richard.

– Ruszać!

Para rzuciła się biegiem przez brukowane podwórze w stronę stodoły, wijąc się i nurkując, kiedy reszta lała na nich wodę z wiader i dzbanów, rzucała garściami sieczki i próbowała nie dopuścić, żeby wdarli się do stodoły. Młodzi walczyli dzielnie, pchając, klucząc, wijąc się i nurkując pod ramionami prześladowców. Richard złapał Alys za rękę i wyrwał ją grupie chłopców, głośno zachęcanych przez rodziców. W końcu udało im się razem złapać wielkie żelazne koło na wrotach stodoły, otworzyć je na oścież i oświadczyć chórem, że oto plony bezpiecznie zwieziono do domu.

Rozległa się wrzawa radosnych okrzyków. Alinor zauważyła błysk w spojrzeniu, którym obdarzyli się młodzi, i to jak, błyskawicznie odwrócili się od siebie, by wrócić do swych przyjaciół. Richard zwawo skoczył ku chłopakom, którzy zaczęli go szturchać i przekrzywiać mu koronę. Alys pobiegła do grupki dziewcząt, zarumieniona i rozchichotana. Pani Miller podała piwo. Pierwszy kufel był dla lorda. Robotnicy zebrali się wkoło, by też się napić. Alinor odwróciła się i spostrzegła, że James zdążył stanąć u jej boku.

– Twoja córka jest piękną dziewczyną – zauważył.

– To prawda – odparła cicho.

Wśród tylu ludzi boleśnie dolegało im, że nie mogli mówić swobodnie. Nikt nie powinien dostrzec, że ze sobą szepczą, a chcieli mówić o sekretach.

– Podróż minęła bezpiecznie? – Tylko na tyle mogła się zdobyć.

– Tak – odparł skrzepowany. – Bezpiecznie. A ty? Byłaś u tej młodej matki? Jak się miewa?

– Byłam po południu. Jutro pójdę znowu. – Uśmiechnęła się. – Lubię odwiedzać niemowlęta i ich mamy, nawet jeśli mają własne matki u boku.

Miał właśnie spytać, czy może ją odwiedzić w jej chacie, gdy dożynki się skończą, ale zamilkł. Od strony promu nadchodził właśnie Ned. Jego stary pies, Rudzielec, kręcił mu się pod nogami.

– Muszę się z tobą zobaczyć – rzucił James pośpiesznie. – Nie tutaj, nie przy tych wszystkich ludziach. Na osobności.

– Wiem, wiem – odparła, nie mogąc złapać tchu.

– Mogę przyjść dziś do ciebie? – spytał, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, Ned podszedł i pozdrowił Jamesa krótkim skinieniem.

– Dzień dobry pastorowi – rzekł szorstko. – Widzę, że wybrał się w odwiedziny do biednych parafian. Przypuszczam, że podobają wam się stare

obyczaję? Żniwny król, żniwna królowa i te całe dożynki?

– Dopóki te zabawy są skromne i pobożne. – James usiłował zapanować nad twarzą.

Ned zwrócił się do Alinor.

– Nie zamierzasz chyba tańczyć?

– Nie. Lecz Alys mogłaby, nie sądzisz?

Ned zmarszczył brwi i już miał zaprotestować, ale James wtrącił:

– Nie ma nic zdrożnego w tańcach podczas dożynek. Sam Oliver Cromwell nie ma nic przeciwko szklaneczce wina i zbożnej rozrywce.

– Ale nie pochwała pogańskich piasów – powiedział Ned sztywno. – A dożynki z królem i królową są i pogańskie, i monarchistyczne.

James z wysiłkiem hamował śmiech, ale przewoźnik był czerwony po same uszy i wyglądał na wściekłego.

– Sytuacja mojej siostry jest dość niezręczna – rzekł, zwracając się do niego. – Pewnie nie wiecie, ale to mała wyspa i ludzie mają tu niewiele więcej rozrywek jak plotkowanie ile wlezie.

– Nikt o mnie źle nie mówi – obruszyła się Alinor. – I wszyscy wiedzą, że Alys to twoja siostrzenica i pobożna dziewczyna. Może sobie zatańczyć z przyjaciółmi. Z całą pewnością może.

– Jak sobie chcesz – fuknął Ned nadąsany. – Ale obie macie stąd odejść, zanim robotnicy się upiją.

– Oczywiście. Zawsze tak robimy!

Na podwórzu rozstawiono stoły na kozłach, na nich półmiski. Sir William stanął u szczytu jednego z nich, a młynarz z młynarzową zajęli miejsce po przeciwnej stronie.

– Odmówi pan błogosławieństwo, panie Summer? – zapytał lord.

James musiał bez słowa zostawić Alinor, zająć swoje miejsce i złożonywszy dłonie, odmówić modlitwę.

Ned podejrzliwie wsłuchiwał się, czy nie usłyszy śladu staroświeckiej doktryny, ale James wygłosił modlitwę po angielsku, prostym i zrozumiałym językiem, surowym i pozbawionym ozdobników. Zrobił to nie gorzej niż wojskowy kapelan.

– Amen! – odpowiedzieli mu zebrani. Potem wszczął się rumor i zamieszanie, gdy zajmowali miejsca na ławach – wszyscy z wyjątkiem sir Williama, który zasiadł w wysokim krześle, przyniesionym z domu specjalnie dla niego, u szczytu

głównego stołu. Młynarz zajął miejsce po jednej jego stronie, a James po drugiej. Rob zasiadł nieco dalej, naprzeciw Waltera. Młynarzowa po przeciwnej stronie stołu, z córką u prawego boku. Lord wychylił kufel piwa, ale nic nie jadł. Posiedział przez chwilę, potem skinął na pachołka, żeby przyprowadził mu konia.

– Życzę wam powodzenia i dobrej zabawy – oznajmił. Zerknął na Jamesa i dodał: – Chłopcy mogą zostać na tańcach, jeśli mają chęć.

– Odprowadzę ich do domu o przyzwoitej porze – obiecał James.

Sir William zmrużył porozumiewawczo oko.

– Niech napiją się piwa i zatańczą z jakąś ładną dziewczką – powiedział. – Całus albo chwila swawoli za stogiem też nie będzie od rzeczy, jeśli tylko ojcowie nie będą akurat patrzeć.

Kilku mężczyzn siedzących w pobliżu zarechotało, ale większość milczała lodowato. James nie miał odwagi spojrzeć na Neda, który aż się jeżył z oburzenia.

– Nie, nie. Będą się zachowywać, jak należy – rzekł z naciskiem.

Jego lordowska mość roześmiał się, jakby nie dbał o zachowanie syna w czasie święta, i wdrapał się na podnózek, czekając na konia. Koniuszy przyprowadził wierzchowca; lord wspiął się na siodło, zebrał wodze i pozdrowił młynarza i biesiadników na podwórzu.

– Obfitych plonów! – zawołał. Uśmiechnął się, kiedy zebrani wzniesli naczynia i powtórzyli toast. Potem odwrócił się i odjechał. Koniuszy ruszył za nim.

Alinor poczuła na sobie spojrzenie brata.

– Co się stało? – spytała.

– Krew się gotuje, kiedy człowiek słucha tego, co on gada – warknęła Ned. – Przegrał wojnę, jego król jest w naszych rękach, a on wciąż jeździ sobie po okolicy, jakby wszystko należało do niego. Pewnie dlatego, że należy! Jak to jest, że niby świat się zmienia, a równocześnie wszystko zostaje po staremu? Jak on śmie mówić, żeby panicz Walter wziął sobie dziewczkę za stogiem? Jakby miały służyć jego igraszkom! Od tego są ladacznice w Londynie!

– Cśśś – syknęła. – Nie psuj sobie zabawy.

– Dla mnie już zepsuta. Przez niego – syknął z wściekłością.

– Co ci tak gębę wykrzywiło, Ned?! – zawołał do niego kowal z Birdham. – Myślałem, że ucieszą cię wieści z północy.

Ned poderwał głowę jak ogar na dźwięk myśliwskiego rogu.

– Nic nie słyszałem. Jakie wieści?

Kilka osób odwróciło się do kowala.

– I skąd je masz? – zapytał ktoś podejrzliwie.

– Mam, bo kułem konia człowiekowi, co wioził gazety. Jedną mi przeczytał. Nazywa się „Skromny informator”. Dał mi ją jako zapłatę. – Pokazał słabej jakości druk, złożony we dwoje.

– Czytaj! – domagał się ktoś.

– Kiepsko mi idzie z czytaniem – wyznał kowal. – Ale ów człek powiedział, że to dobre wieści dla parlamentu.

– Ja przeczytam – wtrącił się Ned zniecierpliwiony. – Dawaj!

Mężczyźni zebrali się wokół niego. Rozprostował gazetę na stole i pochylił się nad nią, ignorując kolejne półmiski, wynoszone z domu.

– *Warrington, 20 sierpnia* – przeczytał powoli. – *Z woli Bożej zwycięstwo.*

– Armia zwyciężyła? – dopytywał się ktoś.

– Bogu niech będą dzięki. Czekajcie, czytam. Tak, na to wygląda. To jakby raport, ktoś donosi z pola bitwy. Pisze tu, że Oliver Cromwell na czas połączył się z Johnem Lambertem... o jego kawalerię chodzi... by dostać Szkotów pod Preston i rozbić ich. Zwycięstwo. Bóg nas uratował. Szkoci pokonani.

– Pan nam błogosławił. Jesteśmy uratowani?

– Piszą, jak to było?

– Wielu poległo?

– Zła pogoda... – mruzczał Ned – hmmm, hmm... słuchajcie: *Po żmudnym i wyczerpującym marszu, stawivszy czoło wielu przeszkodom i niedogodnościom, pogodzie niezwyklej dla tej pory roku i fatalnym drogom, generał Cromwell z Północną Brygadą połączył się w czwartek wczesnym rankiem z naszą armią maszerującą w kierunku Preston, gdzie, jak okiem sięgnąć, zalegli nasi wrogowie, zarówno Szkoci, jak i Anglicy. Zdecydowanie naszych ludzi, którzy następnie stanęli na wrzosowisku o dwie mile na wschód od Preston, ostrzegło wystarczająco wroga. Nasi straceńcy...*

– Kto taki? – zaciekawiała się jedna z kobiet.

– Straceńcy, ludzie w pierwszej linii, którym przypada najtrudniejsze zadanie – wyjaśnił Ned i wrócił do czytania: – *...mężnie, nie bacząc na wąskość dróg i płoty, które działały na naszą niekorzyść, wciąż naciskali, atakując kilka oddziałów przeciwnika, rozgromili je w końcu i zajęli ich pozycje.*

– Sami się bili?

– Jak to straceńcy. – Ned zmarszczył brwi. – *W kilku starciach walczyli z desperacką odwagą, by o czwartej po południu, gdy tylko pozwoliły na to wąskie dróżki, nasza piechota przybyła ku uldze strudzonych, by rzucić się w wir bitwy z radością i animuszem...*

– Pod Preston?

– Tak piszą.

– To kawał drogi na południe. Daleko się Szkoci zapuścili – zauważył ktoś nerwowo. – Czy to nie jest gdzieś pod Manchesterem?

– Owszem – odparł Ned posępnie. – Niebezpiecznie daleko na południe. Wszyscy powinniśmy dziękować Bogu, że posłał Cromwella, by ich tam zatrzymał, zanim doszli jeszcze dalej.

– A zatrzymał? Píše tam czarno na białym, że na pewno zatrzymał?

– Czytam dalej: *Walka była zążarta i krwawa. Niejeden z naszych padł ranny, wiele koni zabito. Lecz zdobywaliśmy płot za płotem i trakt za traktem, które wróg silnie obsadził, nie stroniąc od ryzyka i nie szczędząc odwagi...* – Ned przerwał. – Wygląda na to, że były tam drogi w głębokich parowach i rzędy żywopłotów, które wróg obsadził. To trudny teren dla każdej armii.

Przebiegł oczyma tekst.

– Ale słuchajcie: *Wróg wciąż oddawał pole, aż nasza kawaleria wypchnęła go z Preston i oczyściła miasto.*

– Preston? – znów padło pytanie.

– Preston – potwierdził Ned.

– Boże, miej nas w opiece – westchnęła jedna z kobiet.

Ned czytał dalej.

– Zwycięstwo – powiedział. – Mimo przewagi liczebnej. Nasi ścigali wroga do Warrington i zadali mu wielkie straty. – Twarz mu jaśniała. – Piszą tutaj: *Naszym słowem z początku była Prawda. Lecz w środku bitwy dołączyła i Wiara. To w Prawdzie działaliśmy, a Wiara nami powodowała.* – Podniósł głowę. – Żałuję, że mnie tam nie było. Ale nawet teraz, kiedy słyszę te wieści, czuję, że zbliżam się do Boga. Prawda i Wiara na sztandarach w bitwie. A generał Cromwell dowodzi!

– Kumie, będę wdzięczna, jak zabierzecie ze stołu te brudne papierzyska – przerwała mu młynarzowa. – I nie róbcie z siebie głupka, psując święto wojennymi nowinami. I bądźcie łaskawi wygonić swojego kundla z mojego podwórka.

Nic nie było w stanie zmącić radości Neda, ale zabrał gazetę ze stołu, jak mu kazano.

– Uciekaj, no, już – powiedział do psa. – To wspaniałe wieści dla parlamentu.

– Mówią o wojnie, a niektórzy z nas mają jej dosyć – zaprotestowała młynarzowa. – Poza tym mamy gości, a oni mogą mieć gdzieś te wasze wspaniałe wieści.

Walter zaczerwienił się, ale twarz Jamesa nie wyrażała kompletnie nic.

– Na szczęście wojna nie zawita tu do nas – rzekł łagodnie. – Każdy, kto miłuje Boga, musi pragnąć pokoju. A może przeczytacie to w całości tym, którzy będą chcieli słuchać, ale po posiłku? Sam jestem ciekaw wieści.

– A nie znacie ich jeszcze, sir? – spytał ostro Ned. – Długo was nie było i wróciliście drogą od Chichesteru. Nikt wam nie wspomniał po drodze, skądkolwiek wracacie? Nie wiedzieli tam? Kimkolwiek byli? I gdziekolwiek byliście?

– Nie. O tym nie słyszałem – skłamał James. Fatalna wieść o porażce Szkotów dotarła do niego w jednej z kryjówek w Southampton. Człowiek, który go gościł, był błydy z przerażenia. „Szkoci się wycofują – powtarzał. – Boże, chroń króla! Chroń go, bo teraz jest już zgubiony”.

Król miał pecha, pomyślał James. Udało mu się skaptować tak niepewnych sojuszników jak Szkoci, a nie włączył do działań floty własnego syna. Gdyby tą inwazją dowodził kompetentny generał, mogłaby odmienić losy wojny. Ale kompetentni generałowie króla albo nie żyli, albo zostali odsunięci. A król zamiast na polu bitwy tkwił w więzieniu, skąd wysyłał sprzeczne rozkazy.

– Właściwie nie byłem w Londynie. Jechałem wzdłuż wybrzeża. – James ukrył rozczarowanie. – Wiedziałem, że armia maszeruje na północ, na spotkanie Szkotów, ale to zwycięstwo jest dla mnie nowością.

– Nie ma powodu, żeby dzentelmen tłumaczył się przed przewoźnikiem – wtrąciła pani Miller. – Panie Summer, wyświadczy nam pan zaszczyt i pokroi mięso?

Przed Jamesem, jako gościem honorowym, stanęła olbrzymia szynka. Wziął nóż i zaczął ją kroić. Młynarz tymczasem zabrał się do dzielenia wielkiego pasztetu z dziczyzny. Jego żona nalewała rosół z kury do drewnianych miseczek, a Jane pobiegła po więcej masła.

– Nie za grubo – ostrzegła kapelana Millerowa, zerkając z niepokojem na plastry.

– Wspaniała szynka – pochwalił.

– Mojej roboty! – Wypięła pierś. – Do zimy zrobię jeszcze cztery. Jestem bardzo dumna ze swoich szynek.

James starał się zachować powagę. Nie odważył się zerknąć, czy Alinor słyszy te przechwałki.

– Macie piękne gospodarstwo – stwierdził, podając dalej talerz z cienkimi plastrami szynki.

– Są tu tacy, co nie pokosztują mięsa aż do Bożego Narodzenia – prychnęła młynarzowa z zadowoleniem. – Niskie płace, ale dobrze zastawiony stół, oto jak się prowadzi interes.

– Racja, święta racja – przytaknął, mając świadomość, że płace będą tak niskie, jak to tylko możliwe.

– Niektórzy z tutejszych... nie wiem naprawdę, jak sobie radzą – wyznała. – Karmią się jagodami i ziółkami jak ptaki. – Obrzuciła nieprzyjaznym spojrzeniem Alinor i jej córkę.

Biesiadnicy zabrali się do jedzenia. Krążył chleb, mięso, bulion i gotowane warzywa. Nalewano specjalnie dosłodzone piwo.

– Ciężkie czasy nastały – rzekł James wymijająco.

– Weźmy na przykład tę Reekie...

Czuł, że powinien uciszyć plotkare, lecz nie mógł się do tego zmusić. Zaciekawiony pochylił się do przodu i słuchał dalej.

– Zeszłej zimy omal z głodu nie umarła, przysięgam. Przychodziła prosić o pracę, o cokolwiek. Dobrze mam serce, to kupiłam od niej zioła. A teraz? Nagle łódź sobie sprawia nie wiadomo za co, jej syn siedzi we dworze, a córka robi maślane oczy do Richarda Stoneya. To jedyny syn i z pewnością to on odziedziczy gospodarstwo. Jak to możliwe? Z tego, co wiem, a wiem na pewno, jej brat nie ma nic poza promem i tym, co mu tam z żołdu zostało. A mąż zniknął dawno temu.

– Robert jest moim wychowankiem – powiedział ostrożnie. – Jest również towarzyszem panicza Waltera i otrzymuje za swą służbę pieniądze. A pani Reekie jest lubiana we dworze.

– Przez kogo?! – zakrzyknęła, jakby właśnie trafiła w sedno. – Kto tak bardzo lubi zwykłą wieśniaczkę, że jej syn nagle zostaje towarzyszem panicza? Dwa miesiące temu chłopak straszył u mnie ptaki na polach i cieszył się z roboty. Boso biegał. Więc skąd wzięła pieniądze na łódź, jak jej na buty stać nie było?

James, wiedząc, że to była łapówka za milczenie, wspomniał o oszczędnościach.

– Oszczędności? – parsknęła – Nie ma żadnych. Mówiłam do męża: prośmy Boga, żeby nie wylądowała na łasce parafii. Jesteśmy biedną wspólnotą i nie możemy karmić wszystkich. A zwłaszcza kobiet, co to nie wiadomo, czy wdowa, czy żona. Z dwójką dzieci na utrzymaniu. Takich, co może są i ładne, ale nie mają dość rozumu, żeby utrzymać chłopą w domu.

– Ma przecież swoje rzemiosło. A oprócz tego łódź i zioła... – zaprotestował.
– Z pewnością potrafi na siebie zarobić.

– Nie ma w tym interesu, żeby się sama utrzymywać – sprzeciwiła się pani Miller. – Ani to wdowa, ani mężatka. Kiedy idzie przez podwórze, to praca staje, jakby sama królowa Saby pojawiła się na gumnie. Skoro Reekie nie żyje, powinna ogłosić się wdową i powtórnie wyjść za mąż... o ile ktoś ją zechce, biorąc pod uwagę to, co o niej gadają. A jeśli żyje, to powinna sprowadzić go do domu. I wtedy wszyscy będą wiedzieć, na czym stoją. Same z nią zmartwienia. Same zmartwienia dla przyzwoitych kobiet. No bo kto jej dał pieniądze na łódź? I dlaczego? Jedno powiem: mam nadzieję, że to nie pan Miller.

James wreszcie zrozumiał, skąd biorą się jej uprzedzenia wobec Alinor.

– Ale jakie może być z tego zmartwienie dla tak szacownej gospodyni? – powiedział, chcąc ją uspokoić. – Nie ma przecież żadnego porównania. Proszę spojrzeć na tę ucztę, którą wydaliście. Na waszą pozycję we wsi. Jakim szacunkiem darzą Millerową ludzie. Zaiste, Bóg wam błogosławi. A pan Miller musi wiedzieć, że ma w domu istny dar niebios.

Zarumieniła się, słysząc pochwały.

– Nie było mi łatwo. Na wszystko, co mam, czy to respekt, czy szynka w kominie, musiałam ciężko zapracować. Na każdego pensa mych skromnych oszczędności. Przez lata składałam pieniądze na posag dla Jane. Jest już gotowy i czeka na pierwszą dobrą partię, jaka się nadarzy. Nikt nie powie, że nie mam grosza przy duszy. Ale skąd ona ma pieniądze? Jej własny mąż zarzekał się, że pomagają jej wróżki. Może choć raz pijak prawdę mówił. No, jak by zarobiła na łódź, jeśli nie przez jakieś ciemne sprawy? Powiem wam coś: kiedy tylko ona ma coś na sprzedaż, mój własny mąż kupuje tego z tuzin. Jakby mu do czegoś były potrzebne woreczki z lawendą.

James parsknął wymuszonym śmiechem, jakby bawiła go wstrzemięźliwa hojność młynarza. Pani Miller również roześmiała się mimo woli.

– Ach, cóż – powiedziała, odzyskując humor. – Nikt nie jest bardziej wielkoduszny i hojny dla ubogich sąsiadów niż ja. To mój chrześcijański obowiązek i szczytę się tym, że go spełniam.

Pokiwał głową z aprobatą.

– To się wam chwali. Kobieta z waszą pozycją winna okazywać współczucie tym, którym wiedzie się gorzej.

– Czy to pan Tudeley wybrał jej chłopaka, żeby służył paniczowi? – zniżyła głos. – Tak sobie myślę, że to musiał być on.

– Naprawdę nie wiem.

– Tylko dlaczego ktoś taki, zarządca jego lordowskiej mości, wyróżnia zwykłego biedaka? – Spojrzała na niego z ukosa. – W Bogu ufam, że nie próbowała na nim swoich sztuczek. Gadają, że potrafi...

James milczał, nie zachęcając jej do dalszych zwierzeń.

– ...oczarować – padło dwuznaczne słowo.

– Rob został wybrany ze względu na swój talent do ziół – powtórzył. – I dlatego, że to bystry chłopak.

Zawahała się.

– Ja wiem, że to dobra kobieta. Sama ją wezwałam, kiedy rodziłam Petera. Ale czasy się zmieniły i jeśli nie dostanie licencji akuszerki, to co dalej pocznie? Może być teraz uczciwą kobietą, a co w przyszłości?

James podniósł wzrok i napotkał spojrzenie ciemnych oczu Alinor. Patrzyła na nich, jakby słyszała każde złośliwe słowo, które padło. Nie mógł pocieszyć jej uśmiechem, kiedy młynarzowa sączyła mu jad do ucha.

– Przecież nie może dostać biskupiej licencji, bo biskupów już nie ma, prawda?

– Niby tak mówią – przyznała niechętnie. – Ale wszyscy wiedzą, że nie każdej pomogła w czasie porodu. Jej własna bratowa...

– Ale dostałaby licencję, gdyby były wydawane?

– Tyle że nie są. Więc nie ma licencji. I każdy może teraz na nią gadać...

– A ktoś gada? – James żałował, że nie ma odwagi dodać: „poza zazdrosnymi żonami i tymi, które nie dorównują jej urodą?”.

– Nic dziwnego. Mężczyźni to głupcy, a ona swobodnie wchodzi do ich domów, kiedy ich żony leżą w połogu, i do tego wygląda... – Nie potrafiła przyznać, że dostrzega oszałamiającą urodę Alinor. – ...tak jak wygląda – powiedziała po prostu.

- Nie przyglądałem się – odparł twardo.
- Nie? A podobno byliście z nią na rybach?

James przeraził się, że i on stał się obiektem złośliwych plotek, które krążyły wokół Alinor.

– Nie. Byłem z paniczem Walterem i Robertem. Ona wiosłowała – sprostował.

– I tak dalej – dodała szorstko.

Spojrzał na nią, w jej zimne oczy, i pomyślał, że musi natychmiast uciszyć tę kobietę. Albo przestanie plotkować, albo szpiedzy parlamentu prędzej czy później odkryją jego obecność we dworze i zaczną go podejrzewać. Jego, lorda Williama i cały krąg konspiratorów.

– Jakie „dalej”?

– Przecie upiekła wam na plaży to, coście nałapali.

A więc go szpiegują. Nie wiedział tylko, ile ta kobieta wie o nim i jego misji.

– Upiekła – stwierdził obojętnie. – Tak jak i pani Wheatley gotuje nam we dworze. Nie sądzicie chyba, że ja czy panicz Walter będziemy sobie sami kucharzyć?

Młynarzowa wycofała się, słysząc wyniosłą kpinę dżentelmena.

– No tak, oczywiście. Wybaczcie. Oczywiście rozumiem.

– Sir William nie będzie tolerował plotek w jakikolwiek sposób związanych z jego synem.

Skinęła głową, ale nie zdołała powściągnąć języka.

– Rozumiecie chyba sami, że to nędzarka; nie towarzystwo dla lordowskiego syna albo dla was. Jak ją w ogóle poznaliście?

– Wynajęliśmy ją, kiedy panicz Walter zapragnął łowić ryby. – Skłamał, by chronić własne sekrety.

– Bo jej mąż mawiał, że pomagają jej elfy. A jej dzieci rodziły się śliczne i bez bólu.

– Tak mówił?

– Jak wróżki się rodziły. Bez krzyków, tylko śmiały się od razu. Ja jej życzę jak najlepiej, biedactwu – dodała. – Nie żałuję jej przecież tej lawendy. Szkoda wielka, że tak nisko upadła. Ale musicie pamiętać, że to zwykła wieśniaczka, niewiele lepsza od żebraczki. A do tego pochodzi z długiej linii wiedzących.

– Akuszerek i zielarek – poprawił z naciskiem.

– Kto je tam wie, co one robią? A tej jej córki to nie znoszę.

James wziął plaster szynki z półmiska, który zdążył do niego wrócić. Nie podnosił wzroku, by nie patrzeć na Alinor. Czuł mdłości z przejedzenia i odrazę do gospodarzy.

– Domyślam się – rzekł zimno.



Gdy wszyscy skończyli się posilać, kobiety pozносиły naczynia do kuchni i pomogły pozmywać, a mężczyźni tymczasem poskładali stoły i przygotowali podwórze do tańców. Z kilku beczek i drewnianych wrót sklecono podwyższenie dla skrzypka i bębniarza. Muzykanci zaczęli grać stare melodie, które tańczyło się w kręgach: mężczyźni na zewnątrz, a kobiety wewnątrz. Tańczący krążyli wolno to w jedną, to w drugą stronę, starając się znaleźć naprzeciw swojej wybranki. Alys wzięła za rękę Richarda i przeszli pod szpalerem wzniesionych rąk niczym młoda para. Richard był szczupłym młodzieńcem o ciemnych włosach i radosnym uśmiechu. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od jasnowłosej panny u swego boku.

Alinor obserwowała go przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na jego matkę. Twarz pani Stoney promieniała miłością i dumą.

Za tydzień lub dwa będzie musiała złożyć Stoneyom wizytę i dowiedzieć się, jakiego posagu oczekują od przyszłej synowej. Richard był ich jedynakiem. Nie mieli więcej dzieci i to on miał kiedyś odziedziczyć gospodarstwo. Rodzice mogli sobie życzyć daleko zamożniejszej kandydatki, ale z pewnością nie znaleźliby urodziwszej dziewczyny w całym Sussexie. Mieli słabość do syna, gdyby więc Richard wybrał Alys, mogli się zgodzić na wpłatę części posagu przy zaręczynach, a reszty w ciągu kilku lat, gdy Alinor zgromadzi wystarczającą kwotę.

James utknął w towarzystwie gospodarzy. Walter i Rob przyłączyli się do tańczących. Młodzi ludzie ze śmiechem kręcili się wkoło, a skrzypek zapamiętałe wygrywał porywającą melodię. Alinor wiedziała, że James nie może porzucić gospodarzy i przyłączyć się do zabawy jak jego podopieczni. Wszyscy bogobojni mężczyźni wraz z żonami opuścili zabawę, gdy tylko skończyła się uczta. Pastor Kościoła reformowanego mógł co najwyżej obejrzeć pierwszy taniec, a potem odejść. Ona jednak wciąż miała nadzieję, że podejdzie i poprosi ją do tańca. Przez chwilę wyobrażała sobie, jak bierze ją za rękę i prowadzi do kręgu. Pomyślała o zawistnych spojrzeniach, które będą im towarzyszyć, o znajomym rumieńcu

zazdrości na twarzy Millerowej. Wyobraziła sobie, jak młode kobiety szepczą, zasłaniając usta dłońmi, że ze wszystkich dziewcząt, które mógł wybrać, ze wszystkich młodych żon, którym mógł uczynić zaszczyt, i wszystkich pulchnych matron, które mdlałyby, dając się prowadzić do tańca – on wybrał właśnie ją: wysoką, gibką i niezwykle piękną Alinor Reekie, która szła ze skromnie opuszczonym wzrokiem, a dopiero potem spojrzała na niego tak, jak zakochana kobieta patrzy na mężczyznę.

Tak była zajęta wyobrażaniem sobie tego towarzyskiego tryumfu, że wzdrygnęła się zaskoczona, widząc przed sobą Jamesa. Zbieżność marzeń i rzeczywistości uderzyła jej do głowy. Była pewna, że pomimo wszystko weźmie ją za rękę i głuchy na jej nieśmiałe protesty obejmie w pasie, a ich kroki zespolą się we wspólnym rytmie. Westchnęła z radości i postąpiła krok naprzód z wyciągniętą ręką, ogniem w oczach i uśmiechem na twarzy.

– Zabieram panicza Waltera i Roba do domu – oznajmił chłodno.

– Nie... nie tańczysz? – wyjąkała.

– Oczywiście, że nie – rzekł oschle. – Ty też nie będziesz.

– Ja nie tańczę! – zaprotestowała. – Nie miałam zamiaru. Po prostu myślałam... – Podeszła krok bliżej. – Czy nie zostałbyś odrobinę dłużej...? – szepnęła.

Zmarszczył brwi i cofnął się o krok.

– Nie. Z całą pewnością nie zostanę.

Alinor była zdumiona.

– Co się stało? – spytała. – Wiem, że rozmawiałeś o mnie z młynarzową. Co takiego ci nagadała?

Znalazł się nagle w niezręcznym położeniu, przyłapany na plotkach, zrównany niejako z tymi wulgarnymi ludźmi.

– Nic, czego bym już nie wiedział. Że mąż cię opuścił i trudno ci związać koniec z końcem.

– Jeśli mówiła, że źle się prowadzę, to kłamstwo – szeptała Alinor gorączkowo. – Albo że jej mąż ma do mnie słabość. To też kłamstwo! Nigdy nie zamieniłam z nim słowa inaczej niż na oczach wszystkich. I on nigdy nie rzekł nic, czego nie mógłby usłyszeć ktoś postronny. Czy to właśnie jej słowa sprawiły, że jesteś taki... taki...

James się przeraził, że słyszała lub domyśliła się wszystkiego, co zostało powiedziane.

– Jej słowa nie mogą mieć na mnie wpływu. Nie słuchałem uważnie. Nie obchodzą mnie wiejskie plotki.

– Ona się boi, że w końcu wyląduję na łasce wspólnoty. Zawsze się obawia, że ktoś na tej łasce skończy – odparła gwałtownie. – Jej mąż jest zobowiązany przeznaczać środki na wspomóżenie ubogich. A ona żyje w strachu, że będą musieli wydać pieniądze na pomoc dla biedaków, dla ubogich kobiet...

– Uspokój się! Nie ma znaczenia, co ta kobieta mówi.

– Ma znaczenie! Dla mnie ma! Ona nie dba o nikogo i o nic prócz siebie i własnej reputacji. A jeśli się trwoży, że urodzę bękarta, to jest potwarz! – W oczach Alinor pojawiły się łzy. Wydała z siebie stłumiony szloch.

– Ćśśś! – szepnął błagalnie. – Wszyscy nas obserwują.

Miał ochotę ją objąć, ukoić, powiedzieć, że żadne oszczerstwo jej nie splami. Ale jeszcze bardziej pragnął zniknąć, zanim Alinor rozplacze się na głos. Znaleźć się jak najdalej od tej kobiety, uwikłanej w bezsensowne wiejskie niesnaski, publicznie łkającej na dożynkach. Nędzarki z brudem za paznokciami i błotem na sukni, najnędzniejszej z poddanych jego przyjaciela, być może osobistej kokoty zarządcy majątku, otoczonej przez równie prostackich sąsiadów, którzy teraz się na nich gapili. Tylko młodzież ignorowała ich zupełnie, wirując w tanecznym kręgu. Walter hasał wokół czyjejs absolutnie nieodpowiedniej dla niego córki, jakby na tym świecie nie istniały już klasy ani społeczny porządek. Jakby porażka pod Preston zniszczyła należy dystans pomiędzy panem a gminem, między dżentelmenem a wieśniakiem, tak jak zniszczyła ostatnią nadzieję rojalistów.

To było nie do zniesienia.

– Na litość boską, zamilknij!

Alinor zamarła i rzuciła mu przerażone spojrzenie spod wilgotnych rzęs.

– Nie mogę zwracać na siebie uwagi – szepnął pośpiesznie. – Wiesz, że nie mogę dopuścić, by ludzie zaczęli mi się przyglądać, jeśli mam służyć swojej sprawie. Teraz odejdę. Nie powinienem rzucać się w oczy, a wszyscy na nas patrzą. Nie chcę, żeby widzieli mnie z tobą, gdy jesteś w takim stanie.

W jednej chwili zmieniła się nie do poznania. Jej piękna twarz zbladła, ściągnęła się pogardliwie; łzy wyschły.

– Idź – rozkazała. – Nie zależy mi. Odejdź. Nie dbam o twoją sprawę. Zależało mi na tobie, ale okazało się, że byłam głupia. Więcej nie będę.

Z wyższością urażonej monarchini obróciła się na pięcie i podeszła do brata, pozostawiając Jamesa pod ostrzałem bezlitosnych spojrzeń zaciekawionych

gapiów. Wszyscy zastanawiali się, jak Alinor Reekie – najnędrniejsza spośród gości – ośmieliła się uczynić afront jemu, najznamienitszemu z obecnych.



Nie mógł zasnąć. Kręcił się w gładkiej pościeli wytwornego łoża coraz bardziej rozbudzony, aż w końcu poczuł, że serce zaczyna mu walić gorączkowo, a pod skórą płonie nieznośny żar. Boso zszedł do kaplicy i pokornie legł krzyżem na kamiennej posadzce przed pustym ołtarzem. Twarzą do ziemi, z szeroko rozpostartymi rękami wyglądał jak ukrzyżowany. Pożądanie paliło mu ogniem wnętrzości. Kiedy przyłożył dłonie do zimnego kamienia, wydało mu się, że dotyka policzka Alinor. Przycisnął do lodowatych płyt posadzki prącie twarde jak z żelaza i odczuł ulgę, gdy pod wpływem zimna zaczęło się kurczyć. Nie wolno mu było tak myśleć o kobiecie – przez wzgląd na śluby złożone Bogu, przez wzgląd na króla, sprawę, której służył, własne pochodzenie i honor. Lecz w miarę, jak chłód sączył się przez rozpaloną skórę, uświadomił sobie, że nie dochował wiary ani Bogu, ani królowi, ani sprawie czy honorowi. Płonące oczy i rumieniec na policzkach Alinor, kiedy mówiła, że kiedyś jej na nim zależało, przesłoniły mu wszystko.

Nawet w gorączce i udęcie poczuł słodki smak tryumfu: przyznała, iż nie jest jej obojętny. Wiedział to. Wiedział od razu, kiedy tak chętnie padła mu w ramiona wtedy na pomoście. Ale był człowiekiem nauki. Lubował się w słowach. Wypowiedziała je.

I na tym winienem poprzestać, pomyślał. Dobrze się złożyło, że wyznała mu miłość, jednocześnie kładąc jej kres. Powinien się cieszyć, że go odprawiła, choć jej duma była zupełnie nie na miejscu. Zdawała się zapominać o tym, że społeczny porządek stawiał ją na znacznie niższej pozycji. Kobieta taka jak ona nie miała prawa uskarżać się na zachowanie szlachetnie urodzonych. Ale w tych niebezpiecznych czasach lepiej, że się od niego odwróciła, niżby miało ich głupio zdradzić jakieś pełne uwielbienia spojrzenie. Kiedy przyjdzie na modły do dworskiej kaplicy, potraktuje ją wyłącznie jako kapłan. Jeśli sam nie będzie szukał jej towarzystwa, więcej się nie spotkają.

Oczywiście nie unikną spotkania w kościele Świętego Wilfryda. Już jutro, bo to niedziela. Ale on będzie siedział z przodu, tuż za lordem Williamem, a ona daleko z tyłu, tam gdzie jej miejsce, pośród innych ubogich kobiet, w odorze potu i ryb, unoszącym się z wilgotnych okryć. Nie odważy się do niego podejść, a on

nie będzie nawet patrzył w jej stronę. Nigdy więcej nie odezwie się do niej na osobności i z czasem tęsknota minie. W czasie wojny mężczyźni walczący za swe przekonania tracili kończyny i stawali się kalekami na całe życie. Przyszło mu na myśl, że on, tocząc swoją wojnę, tajną i uprzywilejowaną, odniósł ranę, która mogła się równać z ich ofiarą.

Wróci do zdrowia. Jego wojna rozegra się gdzie indziej. Obowiązek wzywał go za cieśninę Solent, na zamek Carisbrooke, do króla. Nie wolno mu więcej myśleć o Alinor Reekie. Stracił rozum z powodu jej urody, a wdzięczność za ocalenie sprawiła, że stał się miękki. Wyspowiada się z grzechu pożądania i zostanie mu odpuszczone to, iż omal nie uległ pokusie. Nienawistne słowa żony młynarza zostały mu zesłane jako w porę udzielone ostrzeżenie. Powinien dziękować Bogu, że szaleństwo minęło. A cierpienia miłości miną równie szybko.



– Jesteś blada. Źle się czujesz? – spytała Alys.

– Musiało mi coś zaszkodzić we młynie – mruknęła Alinor.

– Ludzka zawiść? – podsunęła dziewczyna. – Serwowano ją obficie. To dlatego wróciłaś wcześniej?

Matka pokiwała głową.

– Już mi lepiej.

– Ale powiedz sama, czy to nie były najwspanialsze dożynki, jakie w życiu widziałas? Nawet ona nie była w stanie ich zepsuć. Richard powiedział...

– Co powiedział Richard?

Alys się zarumieniła.

– Richard powiedział, że jestem piękna jak prawdziwa królowa.

– I prawdę mówił! Pięknie wyglądałaś. I pięknie tańczyłaś.

Alys się rozpromieniła.

– Dobrze było zobaczyć Roba.

– Oj, tak.

– Wszyscy oszaleli na punkcie tego nauczyciela, pana Summera. Widziałas? Mary nie zdążyła nic zjeść, bo cały czas robiła do niego oczy, a Jane w ogóle odebrało mowę.

Alinor zmusiła się do uśmiechu.

– Rzeczywiście jest przystojny. I nowy tutaj. Tańczyłaś jeszcze z Richardem, kiedy wyszłam?

Alys spuściła wzrok.

– Nie tańczyłabym z nikim innym. Nie mogłabym. A on nie poprosiłby innej do tańca. Kocham go, mamusiu. Naprawdę kocham.

Alinor westchnęła cicho.

– Moja mała córeczka się zakochała?

– Zawsze będę twoją córeczką, ale go kocham. I on kocha mnie.

– Tak ci powiedział?

Dziewczyna zaczerwieniła się jak rak.

– Och, mamó! On już rozmawiał z rodzicami. Już dawno. Chce mnie poślubić! Zeszłej nocy poprosił mnie o rękę. Obiecał, że się ze mną ożeni.

– Najpierw powinien był porozmawiać ze mną. Nie macie jeszcze czternastu lat. Planowałam spotkać się z jego rodzicami. Może obiecaliby zaręczyny za jakiś czas, i...

– Stara się o mnie od tygodni – powiedziała Alys z dumą. – Dla mnie to wystarczająco długo, by mieć pewność. I spodobał mi się od początku. Ale tak czy inaczej, jego rodzice woleliby synową, która wniesie w posagu kawał ziemi, będzie miała meble, zastawę, coś odziedziczy. Coś, czego ja nigdy nie będę miała.

– Odłożymy coś – rzekła Alinor z przekonaniem.

Obydwie rozejrzały się po małej chacie. Spojrzały na drewniane miski na prostym kredensie, stół i stołki, które Alinor odziedziczyła po matce, pęki ziół wiszące u powały i szkatułę, w której tkwiły dokumenty i skórzana sakiewka ze starymi, bezwartościowymi monetami.

– Nie mamy oszczędności. Tylko suszone zioła i złoto wróżek – zauważyła Alys.

– Porozmawiam z nimi.

– To ojciec powinien do nich iść – powiedziała Alys z żalem. – Nie zostawiać ciebie z tym samej.

– Wiem. Niedobrze się stało.

Włożyły pelerynki i drewniane chodaki i ruszyły do kościoła. Z tyłu, ścieżką na wydmach, szedł brat Alinor z nieodłącznym psem u nogi. Jeszcze dalej za nim kilku rolników z głębi lądu ze swymi rodzinami. Poczekały na Neda, a kiedy je

dogonił, ruszyli razem. Gdy kolczaste zarośla zamknęły ścieżkę, musieli iść gęsiego.

– Wieści spod Preston z pewnością cię ucieszyły. – Alinor obejrzała się na Neda. – To wspaniałe zwycięstwo.

– Bogu dziękować – odparł. – Bo gdyby Cromwell nie zatrzymał Szkotów, nie wiadomo, dokąd by dotarli. Mogliby podbić całą Anglię i osadzić króla z powrotem na tronie. Ale zwyciężyliśmy, dzięki Bogu, a Szkotów odparto. Król zaś przekonał się, że nie ma tu przyjaciół.

– Król bez przyjaciół – powiedziała w zadumie Alinor, jakby było jej go żal.

– Nigdy ich nie miał – rzucił Ned szorstko. – Jedynie dworaków i płatnych sługusów, najgorszych łotrów w całej Anglii.

Zatrzymali się wszyscy, patrząc w morze, tam gdzie białe fale łamały się u wejścia do zatoki.

– O, tam jest wyspa Wight – wskazał Ned. – Pomyślcie tylko, jak niedaleko. Ledwie kilka godzin żeglugi. Król chyba już wie, że nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Jego syn nie zdoła sforsować obrony portu, Szkoci uciekają w popłochu, królowej nie udało się podburzyć Francji do wojny, a Irlandczycy też nie kwapią się do najazdu. Będzie musiał błagać nas o łaskę i robić, co mu każemy.

– A jeśli ktoś go uwolni?

– A kto by go miał uwolnić i dostarczyć na okręt księcia? – prychnął Ned. – Nikt z jego stronników nie ma tyle odwagi i sprytu, żeby go stamtąd wydostać.

– A więc nie ma dla niego nadziei? – spytała Alinor, myśląc o Jamesie Summerze, przyjacielu króla pozbawionego przyjaciół.

– Jest zgubiony – oświadczył Ned, nieświadomy myśli siostry. – Jak ci nasi straceńcy.

Przeleźli przez murek cmentarza i w milczeniu szli ścieżką, mijając groby rodziców, dziadków, wielu pokoleń przewoźników. Kościelny ganek, na którym Alinor czekała na ducha swego męża, przyozdobiono jasnymi snopkami zboża, choć niektórzy z pobożnych parafian twierdzili, że to pogański zwyczaj. Stare, pociemniałe drzwi kościoła stały otworem. Rudzielec ułożył się tam gdzie zwykle, przy ganku, i wywalił różowy jęczor. Wieśniacy w milczeniu zajmowali swoje zwykłe miejsca. Ned stanął z tyłu po lewej, z innymi mężczyznami, tuż za plecami majątniejszych rodzin. Alinor i Alys weszły schodami na chór wraz

z resztą ubogich kobiet. Nikt nie klękał ani nie kłonił głowy przed ołtarzem. Nikt już nawet nie robił znaku krzyża.

Gdy do świątyni wszedł lord William z domownikami, mężczyźni zdjęli kapelusze, a kobiety dygnęły głęboko – z wyjątkiem kilku najbardziej pobożnych, które uznały, że nie godzi się klękać przed ziemską władzą. Alinor odszukała wzrokiem syna, który też zadarł głowę i uśmiechnął się do niej, starannie za to ominęła Jamesa, który wbijał spojrzenie w czubki błyszczących butów. Peacheyowie zajęli swoje miejsca, a pan Miller, pełniący funkcję kościelnego, zamknął za nimi drzwi z przesadnym szacunkiem.

Pastor od Świętego Wilfryda stanął za pustym stołem i rozpoczął nowe zreformowane nabożeństwo długą, naprędce ułożoną modlitwą dziękczynną za zwycięstwo nad Szkotami w Lancashire.



Modły ciągnęły się w nieskończoność. Alinor i Alys na twardych ławach chóru trzymały głowy skromnie spuszczone, pilnując się, by nie okazać oznak znudzenia. Spod osłony czepca Alinor tylko raz rzuciła okiem w dół, gdzie siedział lord z domownikami. James stał za nim z pochyloną głową i złożonymi dłońmi. Albo był pogrążony bez reszty w modlitwie, albo przyjął tylko taką pozę, a w jego głowie kłębiły się heretyckie, niebezpieczne myśli. Nawet się nie zastanawiała, jak jest naprawdę. Czuła, że bardzo się od niej oddalił. Jakby już odpłynął z Sealsea, by wziąć udział w sekretnej misji. Sam powiedział – a ona mu wierzyła – że sprawa króla jest dla niego ważniejsza niż świeżo odkryte pożądanie. Alinor, opuszczonej przez męża, nieobce było odrzucenie. Przywykła, że zawsze jest na drugim miejscu, na trzecim miejscu, na szarym końcu. Pochyliła głowę, prosząc Boga, by ból minął.

Po kazaniu, gdy najgorliwsi wykrzykiwali: „Chwała Panu!” i „Bogu niech będą dzięki!”, pastor podszedł do sir Williama i zaczekał, aż ten wstanie. Następnie, korzystając z wzajemnego wsparcia, reprezentanci ziemskiej i duchowej władzy zwrócili się do zebranych.

– W tę niedzielę, która zgodnie z wolą Pana ma być świętą, jesteśmy zmuszeni wezwać jedną z sióstr naszych i upomnieć ją – oznajmił głośno pastor.
– Taki jest nasz obowiązek i prawo Kościoła.

Alys zerknęła z ukosa na matkę. Alinor uniosła brwi na znak, że nie ma pojęcia, o kogo chodzi. Obie zeszytniały w oczekiwaniu, aż padnie nazwisko.

– To niewiasta, na którą uskarżają się sąsiedzi, a własny mąż cierpi z powodu jej krnąbrności – ciągnął pastor. – Sieje niezgodę, a niektórzy utrzymują, że dopuściła się też nieskromności. Kto zaświadczy przeciw niej przed obliczem Pana?

– Ja! – Młynarzowa zerwała się ze swojego miejsca mniej więcej pośrodku nawy, gdzie siedziała wśród majątnych dzierżawców z Jane i Peterem.

– No pewnie! – szepnęła Alys. – Ona chętnie powie coś złego o każdym.

– Jestem żoną młynarza – oznajmiła kobieta niepotrzebnie, bo wszyscy doskonale ją znali.

– I co zeznasz przed tym trybunałem? – spytał pastor. – Byle krótko – zastrzegł, gdyż wiadomo było, że jak młynarzowa zacznie, to trudno jej przerwać.

– Widziałam, jak podczas żniw poszła za żywoplot z jednym mężczyzną z tej parafii. A kiedy wróciła, suknię miała w nieładzie i włosy potargane.

W kościele rozległ się pomruk spekulacji, kim mógł być ów „mężczyzna z tej parafii”, jasne jednak było, że jego tożsamość pozostanie tajemnicą. Grzeszna kobieta zostanie napiętnowana, mężczyzna zachowa reputację. Zresztą co to za grzech w przypadku mężczyzny? Taka już jego natura.

– A jeszcze wcześniej – ciągnęła Millerowa – spotwarzyła swego męża, nazywając go starym głupcem. A na targu zabrała mu jego własny trzos, uderzyła go pięścią i powiedziała, że już ona go nauczy...

– Czy ktoś jeszcze zaświadczy przeciw tej kobiecie? – zapytał sir William.

– Ja! – Jedna z gospodarskich żon wstała z miejsca. – Przyszła do mojego domu wieczorem, kiedy przedłyśmy z kobietami, i stwierdziła, że jest głupia jak but, skoro oddaje mężowi pieniądze za przedzę. A jak jej rzekłam, że jej mąż nie jest ojcem jej dziecka, o czym wszyscy wiedzą, to mnie sprąła po gębie i za czepek szarpała.

– I ja zaświadczę – dołączyła się kucharka Peacheyów. – Jak przyszła do dworu zapłacić daninę, to brakowało czterech jajek. Powiedziała, że skoro króla nie ma ani biskupów, to i lordów być nie powinno, i że obejdziemy się bez jej jajek.

– I procesja była – odezwał się głos z tyłu, gdzie swe miejsca miała biedota. – O procesji nie zapominajcie.

– Procesja hańby się odbyła – wyjaśniła młynarzowa lordowi. – Chłopcy osła prowadzili koło jej chałupy, na którym wyrostek twarzą do ogona siedział. Ze

spódnicą na łbie, żeby pokazać, że ona rozwiązłością swoją hańbę naszej wsi przynosi.

Sir William miał tak srogie oblicze, że można by uwierzyć, iż sam nie trzyma kosztownej kokoty w wynajętych pokojach niedaleko targu siennego w Londynie.

– To wielkie zgorszenie! – stwierdził.

– Tak więc sąd kościelny orzeka, iż rzeczona będzie stać tu w bieliźnie do zachodu słońca, w rękę trzymając zapaloną świecę, aby okazać skruchę za swe nieczne sprawki. – Pastor błyskawicznie zakończył proces i przeszedł do ogłoszenia wyroku.

Kościelni, wśród nich pan Miller, otwarli drzwi i z kościelnego ganku wprowadzili tęgą kobietę w średnim wieku. Szła bosą w swojej najlepszej lnianej halce. W rękę trzymała zapaloną świecę, a włosy, w których znać już było pasma siwizny, rozpuściła na znak skruchy. Twarz miała szarą z rozpacz.

– Boże, pomóż jej – szepnęła Alinor z wysokości chóru. – Tak ją upokorzyć!

– Isabel Whiting, stajesz oto przed tym sądem i swymi sąsiadami, aby zmasać swą hańbę. Czy żałujesz i wyznajesz skruchę?

– Żałuję – odparła bardzo cicho.

– Czy wyrzekasz się przemocy i lubieżności?

– Wyrzekam się.

– I przysięgasz być posłuszną Bogu i twemu mężowi, którego sam Bóg ustanowił, aby tobą władał i prowadził cię?

Obecni posłyszeli stłumione westchnienie. Wiadomo było, że stary Whiting z lubością się na niej odegra.

– Przysięgam.

– A więc będziesz stać tu, w świątyni, aż do zachodu słońca, póki nie przyjdą kościelni i nie zezwolą ci odejść. Będziesz stała bosą i w sromocie, ze świecą w rękę. A każdy będzie mógł przyjść i czynić ci wyrzuty, lecz ty nie odpowiesz ani nie rzekniesz słowa. Zajrzyj w swe serce, siostró, i nie obrażaj więcej Boga ani bliźnich.

Pastor odwrócił się do zgromadzonych, rozłożył ramiona i wymamrotał błogosławieństwo. Kobieta stała przed nim, twarzą zwrócona do sąsiadów, którzy ją wydali. Twarz miała skupioną i pełną bólu, płomyk w jej dłoni drżał. A gdzieś wśród tłumu mąż, który ją bijał, i mężczyzna, który wciągnął ją w krzaki, przestępowali z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać, kiedy będą mogli wreszcie wyjść.



Sir William zatrzymał się na chwilę pod kościołem, by jego dzierżawcy mogli okazać mu szacunek. Alinor i Alys w towarzystwie Neda również poszły się pokłonić. Sir William skinął na Roba, by podszedł do matki. Alinor pobłogosławiła go i ucałowała w czoło. Była blada i nie mogła się skupić. Wciąż myślała o tej biednej kobiecie, oskarżonej o cudzołóstwo, która stała teraz przed kościołem w bieliźnie, ze świecą w drżącej dłoni. Doskonale wiedziała, jaką władzę ma młyn i wspólnota, kiedy działają razem. Ich łaska jeździła na pstrym koniu, a żadna kobieta nie mogła się bronić we własnym imieniu.

– Będziemy płynąć statkiem – obwieścił Rob. – Przez morze.

Nie powstrzymała się od zerknięcia na Jamesa, ale szybko przeniosła wzrok na pana Tudeleya.

– Statkiem?

– Pan Summer zabiera chłopców z wizytą na wyspę w przyszłym tygodniu – powiedział. – Popłyną na wyspę Wight.

– Och! – Alinor odwróciła się do syna, który aż podskakiwał z podniecenia.

– Najpierw odwiedzimy Newport. Zatrzymamy się tam na noc. Może dwie.

– Ale dlaczego? – spytała Alinor. – W jakim celu?

– Geografia – odparł Rob z dumą. – I kreślenie map. Pan Summer mówi, że może uda nam się zobaczyć króla! Czy to nie wspaniałe? Sir William go zna, ale Walter nie był nigdy przedstawiony. Oczywiście nie będziemy mogli z nim rozmawiać, ale może spotkamy go na ulicy. Pan Summer mówi, że wychodzi na zewnątrz.

– Myślałam, że jest w zamku Carisbrooke – zauważyła, skupiając wzrok na rozradowanej twarzy syna i starając się nie patrzeć ani na brata, ani na Jamesa. Obaj zdawali się uważnie słuchać. – Uwięziony.

– Jego Wysokość został przeniesiony do prywatnego domu w Newport. Ma się tam spotkać z panami z parlamentu i wypracować z nimi ugodę – wyjaśnił pan Tudeley.

– A my może go zobaczymy!

– Wolałabym, żebyś nie płynął – powiedziała gwałtownie Alinor, otaczając syna ramieniem i odciągając od świty lorda. – Wujowi to się wcale nie spodoba.

– Muszę płynąć z Walterem – zauważył Rob. – Jestem jego towarzyszem, więc mam obowiązek mu towarzyszyć.

– No tak, ale...

– A król nie prowadzi teraz wojny. Jest w Newport, żeby spotkać się z wysłannikami parlamentu. Mamy rozejm. Spotkają się z nim, żeby zawrzeć traktat pokojowy, i zostanie uwolniony. Chciałbym go zobaczyć, teraz, kiedy już po wszystkim. Pomyśl tylko! Ja! Zobaczą króla Anglii!

– Wolalabym nie – powtórzyła Alinor.

Rob nagle skupił na niej uwagę. Przyjrzał się jej bladej twarzy.

– Dlaczego? Co się stało? Miałaś wizję, mam? – spytał cicho.

Pokręciła głową.

– Nie. To nic z tych rzeczy. Ja tylko...

– Co takiego?

– Ta biedna pani Whiting... musi stać przed wszystkimi...

– To nie ma przecież z nami nic wspólnego – zauważył.

– Znam ją przecież, a jednak nie powiedziałam ani słowa w jej obronie.

– Bo nie było co mówić. – Alys bezszelestnie zbliżyła się do nich. – Wszyscy zwróciliby się przeciwko tobie, gdybyś stanęła w jej obronie. Przeciwko nam wszystkim. Poza tym ona naprawdę poszła za ten żywopłot, sama widziałam.

– Wiem, ale...

– Co to wszystko ma wspólnego ze mną i wyprawą na wyspę Wight? – zapytał Rob.

– Nie ma – przyznała Alinor. – Rob, wiesz, jak ja... po prostu chodzi o...

– O morze? – domyślił się. – Chodzi o głęboką wodę?

– O morze. – Uczepiła się tego, jakby lęk przed głębiną mógł wyjaśnić nękający ją strach na myśl o tym, że jej syn może zetknąć się z pokonanym królem. Że pojedzie do Newport w towarzystwie królewskiego szpiega.



BRZEGI SUSSEXU, WRZESIEŃ 1648 ROKU

James Summer, Rob i Walter weszli na pokład z nabrzeża przy młynie. Statek płynął z towarem na wyspę Wight, do Southampton i dalej na zachód. Richard, Alys i kilka dziewcząt z młyna żegnało ich z brzegu. Rob machał z takim zapałem, jakby wypływał w rejs do Ameryki i nie zamierzał wrócić. Dwumasztowy kecz ruszył powoli w dół kanału. Załoga zajęła miejsca na obu burtach, wypatrując mielizn i wykrzykując głębokości.

James przeszedł na sterburtę, by rzucić okiem na małą chatkę wtuloną w brzeg zatoki. Wyglądała tak lichy, jakby wysoka woda wyrzuciła ją na brzeg podczas któregoś z przypływów. Drzwi były otwarte; zastanawiał się, czy Alinor obserwuje statek ukryta w ciemnym wnętrzu. Domyślał się, że nie była zachwycona podróżą syna na Wight, ale nie poprosiła Jamesa, żeby go zostawił. W ogóle nie wypowiedziała do niego ani słowa, nawet po nabożeństwie, kiedy kłaniała się lordowi i napotkała jego spojrzenie. Zachowała się tak, jak tego pragnął – z lodowatym dystansem. Odsunęła się od niego, jakby go nigdy nie znała. Jakby go nie przyjęła, nie oddała mu ust w gorącym pocałunku. Modlił się o wyzwolenie z jej uroku, a ona uwolniła go od razu. Nawet składając przed nim ukłon, patrzyła ponad nim i przez niego. Można było pomyśleć, że nic dla niej nie znaczy. Że nigdy nie znaczył. Że nie istnieje.

I rzecz jasna, gdy tylko się od niego odsunęła, natychmiast zapragnął jej mocniej. Korciło go, żeby złapać ją za rękę, wypowiedzieć jej imię i sprawić, by spojrzenie tych szarych oczu znów na nim spoczęło. Wszystko było na opak: to wszak ona, nędzarka, którą raczył w swojej łaskawości zauważyć, powinna wypatrywać najmniejszego znaku z jego strony. Tymczasem miał wrażenie, że stał się niewidzialny. Musiał trwać u boku sir Williama i pozwolić, by ta kobieta, dosłownie nikt, odeszła, jakby to on był nikim.

Teraz, gdy żagle wypełniły się wiatrem i statek ruszył nieco żwawiej, patrzył na lichą chałupkę, która była jej domem. Którą otworzyła przed nim, kiedy był banitą, niemającym dokąd iść. Widział smużkę dymu sączącą się z komina.

Drzwi nadal stały otworem. Dostrzegł ruch w ciemnym wnętrzu, błysk białego czepka. Potem Alinor wyszła na zewnątrz, stanęła na kamiennym stopniu przed drzwiami i uniosła dłoń, tę spracowaną, pokaleczoną dłoń, by osłonić oczy. Nie bardzo mógł w to uwierzyć, ale odniósł wrażenie, że wypatruje właśnie jego. Że go widzi; widzi statek, który unosi jej ukochanego syna, mającego służyć za żywą tarczę, za alibi w nieprawdopodobnie ryzykownym spisku, którego był emisariuszem. Musiała go w tej chwili przeklinać, bo zrobił jedyną rzecz, której mogła się naprawdę lękać – zabrał Roba na morskie głębie. Ale wtedy spostrzegł, że wznosi dłoń w geście pozdrowienia. Tak jak każda żona żeglarza machała, szepcząc: „Pomyślnych wiatrów! Wracajcie bezpiecznie!”. Stała, patrząc na niego. Nie mógł się mylić. Kochała go! Jej miłość była ponad to wszystko; przebaczyła mu jego głupotę i podłość. I nadal życzy mu szczęścia w podróży, choć wykorzystał jej syna w służbie znieprawionemu władcy.

Wskoczył na reling, złapał za olinowanie i wychylił się za burtę ponad ciemną wodą wartko przesuwaną się wzdłuż kadłuba. Słyszał złowrogi szum cofającej się fali, która wlokła ich w kierunku ujścia zatoki, chciał jednak, żeby i ona go zobaczyła. Wyciągnął rękę i pomachał do niej. Chciał, by wiedziała, że opuszczając Mokradła, nie myśli o sprawie, o królu, którego los powinien obchodzić go ponad wszystko, lecz o niej – o Alinor.



NEWPORT, WYSPA WIGHT, WRZESIEŃ 1648 ROKU

W Newport wrzało niczym w dniu targowym. Nic podobnego nie wydarzyło się dotąd na wyspie Wight. Przybycie króla do domu możnego mieszczanina, niejakiego Hopkinsa, nadało prowincjonalnemu miasteczku status co najmniej pałacu Whitehall. Kiedy przybędą negocjatorzy ze strony parlamentu, Newport znajdzie się w samym centrum spraw królestwa – centrum świata, jak głosili nieco oszołomieni miejscowi rojaliści. Zjechała się cała szlachta z okolicy. Nocowali u rodzin i znajomych, by całymi dniami błąkać się wąskimi uliczkami w nadziei ujżenia króla. Chodzili do Świętego Tomasza i walczyli o miejsca w pierwszych ławkach, za królem pogrążonym w modlitwie. Wysyłali sługi pod kuchenne drzwi Hopkinsów, by dowiedzieć się, co Jego Wysokość będzie jadł na kolację. Wielmoże wraz z małżonkami płynęli na wyspę własnymi statkami, by oddać hołd monarsze, który choć poniósł klęskę, nie mógł zostać pokonany. Ci, którzy byli przy nim w Londynie i Oksfordzie, którzy wspierali go w zwycięstwie i porażce, podnieśli głowy na wieść, że odzyskał wolność. Cokolwiek ktoś mógłby myśleć i cokolwiek on sam by zrobił, król pozostawał królem i dla wszystkich było jasne, że prędzej czy później wróci do Londynu i znowu zasiądzie na tronie.

A czy nie było pewne, że zapamięta tych, którzy wsparli go w niedoli? A czy nie wynagrodzi tych, którzy przyjmowali go pod swój dach podczas długich wycieczek po wyspie, kiedy cieszył się namiastką swobody? Którzy słali mu zwierzynę ze swych włości i owoce ze swych sadów? Czy nie odpłaci uprzywilejowanym, którzy mu towarzyszyli, kiedy jeździł olbrzymią królewską kareta, z trudem mieszczącą się na wąskich drogach Wight, którą z takim trudem przetransportowano z lądu? Kiedy będzie znów Karolem na tronie, musi wszak nagrodzić tych, którzy okazywali mu służalczą cześć, gdy był Karolem w niewoli.

Dom pana Hopkinsa stał otworem niczym królewski dwór w Londynie za starych dobrych czasów, kiedy każdy możliwy człowiek mógł wejść do środka i popatrzeć na swego monarchę w otoczeniu rodziny. Król uważał, że stół, przy którym zasiada, powinien stać na widoku w sali jadalnej, tak jak ołtarz stoi na widoku w kościele. Oba otacza aura boskości. Co prawda tu, w Newport, przy każdych drzwiach stały strażę, nikomu jednak nie czyniły wstrętów. Jeśli był wystarczająco zamożnie odziany, mógł wejść swobodnie. Król wychodził, dokąd chciał, związany jedynie danym słowem, że wyspy nie opuści. Ulice przez cały dzień wypełniał tłum wystrojonych pochlebców, którzy paradowali po świeżo zamiecionym bruku, wymieniając głośne uwagi na temat prostoty miasteczka i ubóstwa budynków. Obiegała je też nieustannie rzesza pospólstwa, pragnącego choć rzucić okiem na człowieka, którego uważano za półboga, a wreszcie i tłum kalek, chorych i żebraków. Znano uzdrawiającą moc jego długich białych palców. Chory mógł przed nim uklęknąć i w jednej chwili zostać uleczony dotykiem dłoni i słowem błogosławieństwa. Nikomu nie broniono przystępu. Już zdążyła się roznieść wieść, że pewna młoda kobieta odzyskała wzrok dzięki boskiej mocy króla. Każdy wiedział, że monarcha nie jest zwykłym śmiertelnikiem. Na swej uświęconej piersi nosił święte oleje. Był potomkiem namaszczonych władców i tylko jeden szczebel dzielił go od aniołów.

James dbał o to, aby trzymać chłopców z dala od chorej biedoty. Dał trochę grosza strażnikom, by pozwolili im stanąć pod oknem, gdzie, jak ich zapewniano, król studiował dokumenty dostarczone przez parlament. Wszyscy wokół mówili, że delegacja parlamentu przybędzie do tygodnia. Będą negocjować z królem wiele punktów ugody, by mógł wrócić na tron i rządzić przy aprobach obu Izb. Teraz, kiedy Szkoci zostali pobici, muszą się dogadać. Król stracił ostatni atut. Zawsze będzie królem, ale nie może już siłą narzucać swojej woli ludowi. W końcu musi dojść do zgody i w kraju, tak jak w stolicy, po dwóch wojnach domowych wreszcie zapanuje pokój.

Chłopcy stali pod oknem, wyciągając szyje, żeby coś zobaczyć. Kościelne dzwony w całym Newport zaczęły wybijać szóstą. Tłum zaszemrał podniecony, jedno skrzydło okna otworzyło się na oścież i ukazała się w nim siwiejąca głowa króla Anglii. Karol spojrzał na tłum czekający na dole, uśmiechnął się ze znużeniem i uniósł upierścienioną dłoń.

– To on? – spytał Rob. Siostrzeniec żołnierza, urodzony i wychowany wśród okrągłogłowych, nie potrafił ukryć rozczarowania w głosie.

– Tak. – James zdjął kapelusz i uniósł głowę. Miał nadzieję, że poczuje przyływ lojalności, gorącego oddania, ale nie czuł niczego poza niepokojem.

– Bez korony?

– Pewnie nosi ją tylko, gdy siedzi na tronie. Tak myślę.

– To skąd pastor wie, że to on? – naciskał Rob. – Równie dobrze to może być ktokolwiek.

James nie zdradził, że klerykom w jego seminarium pokazywano portret chmurnej, tragicznej twarzy króla, kiedy modlili się o jego bezpieczeństwo. Nie przyznał się również, że marzył o dniu, kiedy ta skomplikowana intryga znajdzie finał na wyspie pełnej rojalistów, z flotą księcia Walii czekającą na morzu i lojalnym kapitanem statku, który zgodził się odbyć nocny rejs z tajemniczym pasażerem na pokładzie.

– Po prostu wiem – powiedział tylko. – Kto inny mógłby machać z tego okna?

– Hurra! – Walter zaczął skakać i wiwatować. – Hura!

Oczy spod ciężkich powiek dostrzegły ten nagły wybuch. Król znowu uniósł dłoń, dając chłopcu do zrozumienia, że widzi jego gorącą lojalność. Potem wycofał się do środka, a okno zatrzęsnięto. Okiennice także zostały zamknięte.

– I już? – zdziwił się Rob.

– Codziennie jest tak samo – powiedziała jakaś kobieta. – A ja przychodzę tu każdego dnia, żeby spojrzeć na tę świętą twarz.

– Idziemy na obiad – zarządził James, nim ich trójka zdążyła sięgnąć na siebie uwagę. – Chodźcie.

Wrócili pod Starego Byka, gdzie James wynajął kwatery. Zamówił chłopcom solidny posiłek i pozwolił wypić po szklaneczce wina.

– Jedzcie, a ja teraz wyjdę. Chcę się rozejrzeć i znaleźć statek, który zabierze nas z powrotem jutro albo pojutrze.

– A my nie możemy iść? – spytał Walter. – Też chciałbym się rozejrzeć.

– Wrócę po was – obiecał James. – Możemy przejść przez rynek i wzdłuż rzeki. – Naciągnął kapelusz głębiej na czoło i wyszedł.

Tłum wciąż okupował miasto. James zszedł wąskimi uliczkami do portu i spojrzął na statki kolebiące się na wodzie przy nabrzeżu. Głuchy klekot knag i bloczków o drewniane maszty przypomniawszy mu wszystkie inne nabrzeża, które widział w swoim krótkim życiu wypełnionym ciągłymi podróżami. Każdy port wygrywał tę samą klekoczącą melodię, tak jak każde miasto melodię kościelnych dzwonów. Pomyślał, że być może któregoś dnia, żyjąc w spokoju wystarczająco

długo, będzie mógł jej słuchać bez myśli, że wzywa go do trudnej i niebezpiecznej misji. Że któregoś dnia się okaże, że nie budzi już w nim lęku.

– Czy w porcie cumuje „Maria”? – zapytał człowieka, który przepychał się obok niego ze zwojem liny pod pachą.

– Przybiła i odpłynęła – odparł tamten krótko. – Czekaliście na ten statek?

– Nie – skłamał lekko James. – Po prostu myślałem, że tu zwykle cumuje.

– Bo jakbyście czekali, tobym wam powiedział, że szyper gadał, że się jednak nie spotka ze swym dobrym przyjacielem, i podniósł żagle o świcie.

– O! – powiedział James. Moneta znalazła drogę z jego kieszeni do nadstawionej garści. – A nie wiecie może, jak wynająć inny statek?

– Popytajcie. – Zagadnięty mężczyzna nie palił się do pomocy. Wziął linę i ruszył w swoją drogę.

James przez dobrą chwilę nie ruszał się z miejsca, załamany katastrofalną nowiną. Wszystko zależało od statku, który miał wypłynąć o północy, jak się umówili. A teraz statek zawiódł. Jedyne pocieszenie płynęło stąd, że odpłynął jawnie, a zatem spisek nie został chyba odkryty. Kapitan przestraszył się myśli, że ma ratować króla, i zwiął, ale nie został aresztowany. Plan wciąż ma szanse powodzenia; trzeba tylko znaleźć inny statek. I szypra, który będzie na tyle lojalny wobec króla, że zdecyduje się podjąć ryzyko, albo na tyle przekupnego, że zrobi to dla pieniędzy. Rozejrzał się po nabrzeżu i zdał sobie sprawę, że nie zdoła takiego rozpoznać. Co gorsza, wypytyjąc, narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nie śmiał zwracać na siebie uwagi, błakając się po porcie o tej porze. Wróci później. Może przejdzie się po tawernach i znajdzie okazję do dyskretnej rozmowy. Zamknął na chwilę oczy, by nie widzieć lasu masztów. Jego życie od tak dawna było pełne ryzyka, że kolejne wyzwanie nie budziło w nim ekscytacji. Czuł jedynie śmiertelne znużenie. Ponad wszystko pragnął, aby ta misja odniosła sukces i wreszcie się skończyła. Nawet nie cieszył się na myśl o jutrzejszym tryumfie. Włożył całe serce w uwolnienie monarchy. Własnym nazwiskiem podpisał zobowiązania. Zaangażował swe siły i zdrowie. Wierzył, że Bóg go poprowadzi, zawrócił więc z portu do domu Hopkinsa. Furtka w murze okalającym ogród od tyłu była otwarta i niestrzeżona. James wśliznął się do ciemnego ogrodu. Cicho zbliżył się do kuchennych drzwi, które też stały otworem, wpuszczając do środka chłodny wieczorny powiew.

Wewnątrz panował chaos. Król był wybredny, a jego ranga wymagała, by na każdy posiłek podawać dwadzieścia potraw. Dla prowincjonalnych kucharzy to był istny koszmar. Zaczynało im brakować przepisów i składników. Przez otwarte drzwi jadalni dostrzegł kilku wartowników, ale mieli za zadanie towarzyszyć królowi, kiedy wychodził, a nie strzec, by nikt nie dostał się do środka. To osobista służba króla była odpowiedzialna za trzymanie obcych z dala i przyjmowanie szlachetnie urodzonych gości. Ale ona również była tu nowa i nie znała pełnego zakamarków domu ani nie wiedziała jeszcze, kto swój, a kto obcy. Po opuszczeniu Carisbrooke król przyjął dodatkowo z pół tuzina dworzan do swego orszaku. Ci również mieli służących i totumfackich, którzy wchodzili i wychodzili bez żadnej kontroli. Zbyt wielu kręciło się tu ludzi, by jeden więcej zwrócił uwagę.

James odczekał chwilę w ogrodzie, obserwując bezładną krzątanie w kuchni i służbę, która niczym w amoku biegała z kuchni do jadalni i z powrotem, a także na piętro, do pokojów króla. Zdjął kapelusz, wygładził kaftan i wszedł śmiało do środka, jakby był u siebie. W kuchni było gorąco i duszno. Na ruszcie nad ogniem kręciła się pieczeń. Na małych piecykach z żarzącym się węglem bulgotały rondle. Warzywa dusiły się przy palenisku, a z pieca właśnie wyciągano bochny chleba. Służący wbiegali, domagając się potraw na królewski stół, i czasem porywali jakiś półmisek przeznaczony na stół gospodarza. Kucharka Hopkinsa mężnie usiłowała zapanować nad tym pandemonium. Miała poplamiony fartuch, twarz spoconą od żaru i z obawy.

– Królewski krojczy – przedstawił się James. – Mogę wam pomóc?

Odwróciła się do niego z wyrazem ulgi.

– Panie Boże, nie wiem nawet, co już poszło, a co nie! Zanieśliście Jego Wysokości udziec?

– Właśnie po niego przychodzę – odparł James łagodnie.

– To bierzcie! Bierzcie! – wykrzyknęła, wskazując barani udziec, który podkuchenna próbowała ozdobić pęczkami rukwi wodnej.

– To dla lordów! – zaprotestowała służąca.

– Bierzcie i nieście. – Kucharka wcisnęła półmisek Jamesowi. – I powiedzcie mi potem, czy czego nie brakuje.

James uklonił się i wyszedł. Minął strażników u stóp schodów i wszedł na górę pod drzwi królewskiej kwatery. Tam wartownicy zawahali się, ale James uniósł wyżej półmisek i huknął: „Szybciej! Zanim ostygnie” – po czym ruszył

zdecydowanym krokiem w stronę zamkniętych drzwi. Chcąc nie chcąc, musieli je przed nim otworzyć. James bez wahania wszedł do jadalni i postawił półmisek na stole.

Sługa za krzesłem, paź trzymający rękawice, lokaj nalewający wino ani jego towarzysz odpowiedzialny za wodę – nikt nie zaszczycił go uważniejszym spojrzeniem, kiedy wziął ostry nóż i zaczął kroić mięso w plastry cienkie jak pergamin. Następnie ułożył je na srebrnym talerzu z najlepszej zastawy Hopkinsa i postawił przed królem, przechylając się przez jego ramię. Mając twarz tak blisko jego głowy, że czuł łaskotanie popielatych loków i woń francuskiej pomady, szepnął:

– Dziś o północy. Proszę dopilnować, żeby drzwi były otwarte.

Głowa króla nawet nie drgnęła. Nie dał żadnego znaku, że dosłyszał szept.

– Clarion. – James podał hasło przekazane mu we Francji. Hasło, które znaczyło, że jest wysłannikiem samej królowej Henrietty Marii.

Król skłonił głowę, jakby się modlił, a dłonią, którą trzymał pod stołem, wykonał niewielki gest oznaczający potwierdzenie. James wycofał się do drzwi, skłonił się, niemal dotykając głową kolan, i wyszedł.



Chłopcy siedzieli pod Starym Bykiem, jedli cukrzony śliwki i orzechy. Kiedy wszedł, aż podskoczyli.

– Czy jest jakiś jarmark? – spytał Rob. – Strasznie głośno na zewnątrz.

– Zwykły targ i kilku wędrownych grajków – wyjaśnił James. – Możemy pójść i obejrzeć, jeśli chcecie.

Zdał sobie sprawę, że szczerzy się w uśmiechu. Czuł ulgę, że pierwszy etap – uzyskanie dostępu do króla – poszedł tak łatwo. Planował to długo i wraz z mądrymi ludźmi rozważał każdy krok, a okazało się, że wszedł po prostu przez drzwi, które wartownik mu otworzył. Prawie nie przejmował się brakiem statku. Jeśli szczęście mu sprzyja, będzie sprzyjało również w drodze na morze, na spotkanie z flotą księcia Walii.

– Czy król wyjdzie jeszcze wieczorem? – spytał Walter.

– Nie. Macha tylko z okna przed kolacją, a potem okiennice zamykane są na noc. Ale możemy go zobaczyć jutro, ponoć chodzi rano do kościoła – powiedział

James, wiedząc, że rano król będzie się znajdował na pokładzie książęcego okrętu.

– Może chodzić, dokąd zechce? – zaciekał się Walter.

– Kiedy parlament zdecydował się na ugodę z królem, musiał zagwarantować mu swobodę, by podpisał pokój, występując z wolnej stopy. Teraz może się poruszać po całej wyspie, ale dał słowo, że jej nie opuści.

– Zobaczymy tańczącego niedźwiedzia? – dopytywał się Rob. – Nigdy nie widziałem niedźwiedzia!

– Wątpię – odparł James. – To pobożne miasto, a przynajmniej kiedyś takie było. Ale pospacerujemy sobie po rynku, a ty możesz kupić jakiś upominek dla matki. Na przykład wstążkę do włosów. – Nagle zaschło mu w gardle, kiedy pomyślał o włosach Alinor.

– Raczej nie. Zawsze nosi czepek – odparł Rob. – Ale jeśli mają tam dawne monety, to kupię. Ona uwielbia takie starocie. Chodźmy!

Włóczyli się po rynku, oglądając kramy. Uśmieiali się zdrowo ze sztuczek małego pieska, który skakał przez obręcz, a na komendę „Żelaznobocy!” stawał na baczność na tylnych łapkach. Stragany ciągnęły się dalej niż plac targowy, wzdłuż wąskich uliczek schodzących do portu, gdzie statki kołysały się przy nabrzeżu nad lejkowatym ujściem wijącej się przez miasto rzeki Mediny. James właśnie rozglądał się za nowymi statkami, które dopiero wpłynęły do portu, albo za tymi, które były gotowe do podniesienia żagla, kiedy Rob krzyknął:

– Tata! To mój tata!

James rozejrzał się i zobaczył ogorzałego, ciemnowłosego mężczyznę, który poderwał głowę na dźwięk znajomego głosu. Uchwycił zaskoczone spojrzenie, potem mężczyzna odwrócił się i zanurkował w tłum.

– To był mój tata! – krzyczał Rob. – Tato, to ja! Rob! Zaczekaj! – Wyrwał pędem do przodu, wijąc się i klucząc w tłumie. I choć ciemna głowa mężczyzny znacznie go wyprzedzała, Rob był szybszy. Zanim James i Walter go dogonili, złapał mężczyznę za ramię i rzucił mu się w objęcia, szczęśliwy i pewien radosnego powitania. – To ja, tato! Rob!

Pełne poczucia winy oczy mężczyzny spotkały się ponad głową chłopca z oczami Jamesa.

– Rob – powiedział, klepiąc syna po plecach. – Och, Rob!

Chłopiec łasił się do niego jak szczeniak.

– Gdzie byłeś tak długo? Nie mieliśmy o tobie żadnych wieści. Czekaliśmy w nieskończoność. Wszyscy myśleli, że utonąłeś.

James zauważył, że obcy patrzy na niego z desperacją, jak jeden mężczyzna na drugiego, gdy ojcostwo okazuje się zadaniem ponad siły.

– Myśleli, że siłą wcielili was do marynarki – podsunął.

– A! Tak. Tak właśnie było! – Mężczyzna nagle odzyskał rezon. Uścisnął syna i odsunął się krok do tyłu, aby mu się przyjrzeć. – Nie poznałem cię, tak wyrosłeś. I ubrany jesteś jak panicz. Widzę, że wam się nieźle powodzi pod moją nieobecność.

– Wcale nie! Gdzie byłeś? – dopytywał się Rob.

– To długa historia. Kiedyś ci wszystko opowiem.

– Dlaczego nie wróciłeś do domu?

– Dlaczego nie wróciłem? Bo nie mogłem wrócić, ot dlaczego.

– Ale czemu?

– Bo zostałem zamustrowany, synu. Porwany przez łapaczy z własnej łodzi i siłą wcielony do marynarki, by służyć pod rozkazami parlamentu. Najpierw jako prosty marynarz, ale mnie awansowali, jako że znałem wody wokół Sealsea i dalej aż po Downs jak własną kieszeń.

– To czemu nie dałeś znać mamie?

– Synku, toż na brzeg nie puszczają z okrętu. Nie ma świąt ani wychodnego. Byłem na pokładzie i tyle mogłem pogadać, co z innymi nieszczęśnikami, których porwali tak jak mnie.

James obserwował, jak syn Alinor, wychowany w zaufaniu i miłości, walczy ze sobą, by uwierzyć ojcu.

– I nie mogłeś przekazać komuś wiadomości? Bo myśmy czekali na ciebie. A mama wciąż nie wie nawet, czy żyjesz. Muszę jej wszystko powiedzieć, kiedy wrócę. Ale się zdziwi! Czekala na ciebie. Wszyscy czekaliśmy.

– Oj tam, już ona dobrze wie – zachnął się Reekie. – Tylko udaje, bo to jej na rękę. Ale znasz matkę, synu. Takie kobiety po prostu czują w kościach. Nie potrzeba jej listu, żeby wiedzieć, co się święci. Wiatr jej powie, fala opowie. Księżyc pokaże. Ptaszki w krzakach to jej znajomki. Bóg jeden wie, co ona wie, a czego nie, ale o nią się nie martw. Nie trzeba.

James poczuł, że oblewa go lodowaty pot nienawiści. Patrząc, jak Rob zмага się z tym, co usłyszał, zdeorientowany marszczy brwi, próbując osądzić, czy ojciec celowo obraża matkę, miał ochotę złapać mężczyznę za gardło.

– Wątpię, żeby wiedziała – bąknął chłopiec niepewnie. – Powiedziałyby nam przecież, kiedy pytaliśmy, gdzie jesteś.

– No cóż, w każdym razie całkiem dobrze sobie radzisz – odparł tamten wesoło. – Znakomite odzienie i znakomita kompania. Jestem Zachary Reekie – zwrócił się do Jamesa. – Kapitan przybrzeżnej łajby handlowej „Jessie”.

– James Summer – odparł James, nie podając mu ręki. – Nauczyciel obecnego tu panicza Waltera Peacheya i waszego syna, który jest panicza sługą i towarzyszem.

– Siedzisz u Peacheyów? – zdziwił się Zachary. – Nie mówiłem, że matka da sobie radę? Ciekawe, co zrobiła, żeby ci to załatwić. Chyba się domyślam. Tudeley dalej robi tam za rządcę?

Twarz Roba oblała się rumieńcem.

– Mama dogląda dworskiej destylarni – zaprotestował półgłosem.

– To ja zaproponowałem, żeby Rob został towarzyszem panicza – powiedział James, dbając, by zimna furia nie wkradła się w jego gładki ton. – A wasza żona mądrze uczyniła, zgadzając się. Rob jest na służbie i dostaje wynagrodzenie co kwartał. A kiedy panicz wyjedzie na uniwersytet, mam nadzieję oddać go do terminu przy jakimś medyku. Biegły jest w ziołach i lekach, a ja uczę go łaciny.

– Powiedzmy – odezwał się Zachary nieprzyjemnym tonem. – Miło, że tak się dobrze dla wszystkich składa. – Odwrócił się, jakby sądził, że pozwolą mu już odejść, ale Rob natychmiast złapał go za ramię.

– To teraz wrócisz do domu, tato? Skoro już nie jesteś w marynarce?

– Nie mogę – bąknął Zachary, znów szukając wzrokiem pomocy u Jamesa. – Zszedłem ze statku, kiedy flota zdezerterowała, przeszła na stronę księcia. Nie mógłbym inaczej spojrzeć w oczy twemu wujowi. Ale musiałem się zaciągnąć na „Jessie” i mam na niej do odsłużenia jeszcze rok. To statek handlowy. Pływa wokół Anglii i u wybrzeży Francji. Nigdy nie schodzę na ląd. Ciągle w morzu. No, jak tylko odsłużę, co mi zostało, wrócę do domu. Na pewno.

– Ale co mam powiedzieć mamie? – nalegał Rob.

– To właśnie. A jak nie rozumiesz, to twój nauczyciel ci wyjaśni. Bo wy rozumiecie, panie?

– Doskonale – rzekł James obojętnym tonem.

– Naprawdę? – Rob spojrzał na niego z nadzieją.

– Twój ojciec został zwolniony z marynarki, ale resztę służby musi odbyć na statku handlowym. To całkiem częsta procedura. Będzie mógł wrócić, kiedy jego

kontrakt dobiegnie końca. Możemy jednak powiedzieć twojej matce, że jest żywy i zdrow. I powróci do niej.

– O ile matka rzeczywiście za nim tęskni. – Zachary odwrócił się do niego i puścił oko, tak by syn nie widział.

James przełknął odrazę.

– Ale przecież musicie się z nami napić i zamienić słowo z synem, skoroście się tak szczęśliwie odnaleźli – powiedział serdecznie. – Co za przypadek! Przybyliśmy na wyspę podziwiać widoki i mając nadzieję zobaczyć króla, a tu znajdujemy was!

Walter Peachey nie wyglądał, jakby miał ochotę na dalszą rozmowę z nowym znajomym, Zachary natomiast wyraźnie się rozpromienił.

– Możemy wstąpić tutaj. – Wskazał jedną z portowych piwiarni. – Mam tu pewien dług i chętnie dam im trochę zarobić. – Znowu mrugnął. – Jak wjadę w towarzystwie dżentelmena... Z fasonem i w ogóle. To ci miny zrobią!

– Oczywiście – odparł James uprzejmie i wszedł do środka, szybko lustrując wnętrze. Uspokoił się nieco, bo choć skromny lokal służył miejscowym rybakom i kupcom z portu, nie sprawiał wrażenia spelunki niebezpiecznej dla chłopców.

Walter i Rob zasiedli przy małym stoliku w kącie, a mężczyźni stanęli przy drzwiach do kuchni, żeby zamówić napitki. Zachary wdał się w szeptaną utarczkę słowną z właścicielem, którą James uciął krótko:

– Powiedz mu, że spłacę twoje długi.

– Bardzo to z waszej strony łaskawe – mruknął nieufnie Zachary.

– Być może będę miał dla ciebie zlecenie.

– Będę szczęśliwy, mogąc pomóc przyjacielowi Peacheyów. A możeście raczej przyjacielem mojej żony, co?

James zachował kamienną twarz.

– Peacheyów. Mogę naraić wam pewien interes.

– Ano dobrze – powiedział Zachary pojednawczo. – Chłopcy, zjecie chleba z mięsiwem? Wiem, że chłopcy w waszym wieku są zawsze głodni.

Walter pokręcił głową.

– Dopiero co jedli – wyjaśnił James. – Wypiją po małym piwku i wrócą na kwatere.

– Niech i tak będzie – zgodził się Zachary. – Ale ja się napiję, skoro wy stawiacie. – Skinął na karczmarza, który nalał im gorzałki z ciemnej flaszki

skrywanej pod kontuarem. Zachary wzniosł glinianą czarękę w stronę syna. – Dobrze cię widzieć, mój chłopcze. Świetnie wyglądasz.

Siedzieli w niezręcznej ciszy. Rob nie odrywał wzroku od twarzy ojca, ale nie odezwał się więcej. Po chwili James stwierdził, że mogą wracać do gospody i kłaść się do łóżek.

– Ustalę wszystko z twoim ojcem – obiecał Robowi.

– Naprawdę? – Ufne spojrzenie chłopca spoczęło na twarzy Jamesa. – Spotkamy się z nim jutro?

– Powiem mu, żeby przyszedł zjeść z nami śniadanie.

– Dziękuję, sir. Bo ja muszę go spytać... Nie wiem, co powiedzieć mamie...

James doskonale pamiętał, w jakiej nędzy żyje Alinor i jak chwiejna jest jej reputacja, odkąd ten mężczyzna porzucił ją z dwójką dzieci.

– Pomówię z nim – obiecał i poczuł wyrzuty sumienia, kiedy twarz chłopca pojaśniała.

Mężczyźni odczekali, aż za chłopcami zamknęły się drzwi.

– Czego chcecie ode mnie? – spytał Zachary bez ogródek. – Nie musicie się ze mną bawić w swoje gierki.

– Potrzebuję twojego statku – odparł James. – Umówiłem się z jednym kapitanem, ale się nie stawił. Chcę wypłynąć w morze.

– A w którą stronę, jeśli można wiedzieć? – zakpił Zachary. – Bo, jak widzicie, siedzimy na wyspie. Morze jest wszędzie.

– Na południe. W kierunku Francji.

– Tam właśnie pływam. Raz w tygodniu.

– Jesteś szyprem? – upewnił się James. – Możesz wypłynąć, kiedy chcesz i dokąd chcesz?

– Upewniwszy się tylko, że mam ładunek i będzie z tego zysk – odparł Zachary. – Właściciel ufa mi na tyle, że interesy zostawił w moich rękach.

– Chcę, żebyś spotkał się z pewnym statkiem na morzu i przekazał pewne towary – wyjaśnił James. – Więcej nie musisz wiedzieć.

– Szmugiel? – spytał Zachary szeptem. – Da się zrobić, ale to będzie słono kosztować.

– Zapłacę – obiecał James. – Dobrze zapłacę.

– A te towary to będą w beczkach czy raczej skrzyniach? A może w portkach i kabacie?

– Tego nie musisz wiedzieć – powtórzył James. – Powinno cię jedynie obchodzić, że zostaniesz sownie wynagrodzony i postawisz żagle parę minut po północy. Zabiorę się z tobą. Chłopcy zostają.

– A ileż to zarobię za ten nocny rejs z waszą wielmożnością na pokładzie? I tym... towarem?

– Dwadzieścia koron w chwili wypłynięcia. I kolejne dwadzieścia, kiedy przybijemy z powrotem. I nikomu ani słowa.

Zachary odchylił się z krzesłem i wywalił buty na beczkę, która służyła im za stolik.

– Nieee. Raczej się nie zdecyduję – rzekł, uśmiechając się do Jamesa znad swojej czarki. – Trochę to za dużo na zwykły przemyt, a ja nie jestem przemytnikiem, trzeba wam wiedzieć. Z kolei za wywiezienie króla z wyspy to stanowczo za mało. Jeśli w to gracie, zawieście na stryczku.

– Za tyle miał płynąć ten drugi – powiedział spokojnie James. – To dobra cena.

– Wcale nie. Bo widzicie... nie popłynął. Jakoś się nie zjawił ten wasz przyjaciel. Ciekawe czemu? – Spojrzenie na twarz Jamesa zdradziło mu, że ten przystojny młodzieniec wcale się nad tym nie zastanawiał. – Więc jeśli on się nie zdecydował za tę cenę, to ja też zrezygnuję.

– A ja myślę, że jednak popłyniesz – powiedział James. – Bo inaczej wezwę strażę, żeby cię aresztowano. Mogę powiedzieć sędziemu, że porzuciłeś żonę, wtrącając swoje dzieci w nędzę, że zdezerterowałaś z marynarki, żeby parać się przemytem. Dodam, żeś rozpustnik i prawdopodobnie bigamista. Poszukiwany na Sealsea, a pewnie i gdzie indziej. Twój własny syn zaświadczy, że czeka na ciebie żona i dziesięcina do zapłaty.

– Łżecie! – Zachary wyrznął dłonią w dno beczki. – Nie czeka na mnie! Do czorta z resztą, ale tego nie mówcie. Ona wcale za mną nie tęskni. Nie chce mnie. Może i chłopak czekał, ale ona na pewno nie.

– Wiem, że tak jest. – James przypomniał sobie bladolicą kobietę, czekającą na ducha swojego męża w noc przesilenia.

Zachary pochylił się swobodnie do przodu.

– Nie. Nie ona. Wiecie czemu? Bo to dziwka – rzekł bez ogródek. – Powiem wam szczerze, jak chłop chłopu: to dziwka i czarownica. Wydali ją za mnie, choć przyznam, bałem się. Ale jej matka, też wiedźma, potrzebowała mojej łodzi, moich sieci i tego, co nałowię. Chciała, żebym zapewnił wikt i opiekę jej

córeczce w tych ciężkich czasach. Myślała, że zbiję majątek. Może i zaklinałem się, że zbiję. Może i obiecywałem wszystko, co tylko do głowy przyszło. Szalałem za Alinor; kogo za to winić, co? Zbudowałem dom tuż obok teściowej, żeby mogły razem czynić te swoje gusła. Udawałem, że nie widzę, co robią. Na jedno tylko się nie zgodziłem: żeby mi do sakiewki zaglądała. Sprzedawała ryby na targu, ale pieniądze brałem ja. Planowałem kupić drugą łódź, tyle że parę razy mi się nie poszczęściło. Nie byłem gorszym mężem niż inni na wyspie. Nie wiedziałem, jakich sztuczek będą na mnie próbować moja śliczna żonka i jej mamusia, niech je diabli porwą.

Zajrzał do czarki.

– Najpierw jedno dziecko mieliśmy. Córeczkę śliczną jak wróżka. Co miałem sobie pomyśleć? Że mi podrzutka wepchnęli, czułem to od samego początku, kiedym ją tylko zobaczył. A potem na świat przyszedł Rob. Widzieliście go! Czytać umiał, zanim nauczył się chodzić, chociaż ja własnego imienia nie przeliteruję. Zioła znał, odkąd zaczął raczkować po ogrodzie. Po zapachu je poznawał. Kto wacha zielska, jak nie elfi pomiot? Bachory nie są moje, mówię wam. Nikt przy zdrowych zmysłach nie może tak myśleć. Spójrzcie tylko na nie!

– To czyje?

– Ją pytajcie. Pewnie wie, z kim się spotyka, kiedy się wymyka przy pełni księżyca. W noc przesilenia. Kiedy tańczy gdzieś w najczarniejsze zimowe noce. Pewnie wie, skąd ma bękarty. Ale mówię wam, że nie ze mną.

James spał ramiona, czując podejrzany dreszcz. Zmusił się, by mówić spokojnie.

– Przecież to bzdura. Chcesz powiedzieć, że opuściłeś żonę z powodu jakichś zabobonów?

– Niech ją piekło pochłonie. To ona mnie opuściła! – krzyknął Zachary. – Mnie mogli wywlec z tawerny i siłą wcielić do marynarki, ale to ona przestała być moją żoną. Całe lata wcześniej! Męskości mnie pozbawiła samym spojrzeniem. Nie byłem w stanie niczego przy niej zdziałać. Raz ją złapałem, chciałem przymusić, ale ręka mi omdlała, a krew skrzepła jak lód. Zamierzałem jej przypomnieć o małżeńskich obowiązkach. Bądź co bądź mężczyzna ma swoje prawa wobec żony, czy jej się to podoba, czy nie. Ale nie mogłem. Spojrzała tylko na mnie tymi swoimi oczami niczym diabelska klątwa i z miejsca się zrobiłem miękki jak śnięta ryba. Przysięgam wam, że mnie urzekła. Nic jej nie

mogłem zrobić. Ani sprać porządnie, ani wychędożyć. Od ptaszka w górę byłem jak martwy.

– Ach tak?

– A tak! Życie ze mnie wysysała, mówię wam. Nie umiałem już dla niej być mężem, a kiedy szedłem z ladacznicą, też nic z tego nie było, bo ją cały czas w głowie miałem. Co to mogło być innego jak klątwa na mnie rzucona? A kiedy jej matka zmarła, zrobiło się jeszcze gorzej. Myślałem: stara szczególnie, to i ją moc opuści. Gdzie tam! Chyba przejęła jeszcze siły starej wiedźmy. Byłem jak dziecko we własnym domu. Bardziej niż Rob. Mniej miałem do gadania niż Alys. I wtedy łapacze mnie wzięli, ale Bogu dziękuję, że tak się stało!

– Wrócisz tam kiedyś? – spytał James.

– Nigdy! Przenigdy! Wolę zdechnąć, niż do niej wrócić. Wolę w morzu utonąć. To dziwka, mówię wam. Elfia ladacznica. I wiedźma. Dzieciaka może bez chłopca urodzić. Albo mimo chłopca nie zajść. Płód uśmiercić w łonie, a mężczyźnie władzę w przyrodzeniu odjąć lodowatym tchnieniem.

– Dobry Boże! Co ty mówisz, człowieku? – James nie był dłużej w stanie kryć oburzenia, słysząc te słowa. Najgorsze ze słów, jakie o kobiecie mógł wypowiedzieć mężczyzna: że odbiera mu potencję i zabija jego dzieci. – Znam ją przecież. To niemożliwe, żeby taka kobieta... Żadna kobieta śmiertelna nie potrafiłaby...

– Wy tak możecie mówić, księżulku. – Zachary zniżył głos. – Wy, którzyście jej nagiej nie widzieli. Nie dotykaliście jej ciepłej skóry, nie pożąдалиście. Ale jej usta smakują jak wywar z lulka. Chcecie więcej i więcej, aż popadacie w szaleństwo.

– Nie jestem księdzem – odparł James szybko, udając, że nie słyszał, co Zachary mówi o jego ukochanej.

Mężczyzna wykrzywił usta w grymasie.

– Jak sobie tam chcecie – powiedział chłodno. – Ale coś mi tu cuchnie kadzidłem i to na pewno nie ja.

Zapadła cisza.

– Tak czy inaczej – podjął po chwili James, próbując odzyskać autorytet i wymazać z głowy obraz Alinor oddającej się królowi elfów – nie mam czasu na bzdury. Oferuję ci zarobek albo więzienie. Co wybierasz?

– Dwadzieścia koron za dostarczenie waszego ładunku na miejsce spotkania? Kolejne dwadzieścia za przywiezienie was bezpiecznie z powrotem?

– Zgadza się.

– I więcej nie będziemy o tym mówić? A wy zabierzecie chłopaka do matki i nie przyznacie się, że mnie spotkaliście?

– Nie zmuszę go do kłamstwa, ale mogę wymyślić, jak cię wytłumaczyć.

– Tak żeby mnie nigdy nie szukała?

– I tak cię nie znajdzie.

– Głupcze! Ona jest widząca. Może mnie zobaczyć, kiedy tylko zechce. Chyba że między nami będzie głęboka woda. Przez wodę nie zobaczy, wiem to. Lęka się głębi, bo nie ma nad nią władzy. Ale jeśli kiedykolwiek wiatry przyniosą mnie na rozlewiska, bagno pod moim kilem zakipi i wyrzuci mnie jak wrak wprost na jej próg. A wtedy jędrza wykończy mnie jednym spojrzeniem.

– Mówisz, jakbyś był niespełna rozumu.

– Jak myślicie, co zabiło jej bratową? – spytał zniechęcony Zachary.

– Co? – James był zbity z tropu. – Jaką znowu bratową?

– Widzicie, jak niewiele o niej wiecie? – Zachary odwrócił się i krzyknął przez ramię na karczmarza. Ten podszedł i bez słowa nalał mu następną kolejkę. James, milcząc, czekał, aż jego rozmówca wypije.

– No więc? – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Więc i tego nie wiecie. Żonę Neda. Tę, której tak nienawidziła. Wiecie, co ją zabiło?

– Nawet nie wiedziałem, że...

– Otóż to, nic nie wiecie. Z zazdrości przyprawiła ją o śmierć. Biedna kobieta, dziecię obumarło w jej łonie.

– Nie byłaby zdolna...

– Byłaby. I zrobiła to. Wiem. Bo to było moje dziecko.

– Żona przewoźnika nosiła twoje dziecko?

– Tak. A ona zabiła ją z zemsty.

Zapadła długa cisza. Zachary opróżnił czarkę i podsunął ją towarzyszowi w nadziei na dolewkę.

James otrząsnął się ze zgrozy, wciągnął drżący wdech i rzekł:

– Dość tych bająć. Nic mi po nich. Nie znam tych ludzi i nie dbam o to. Spotkaliśmy się, żeby ubić interes. Przyjmujesz zlecenie?

– Wy chcecie dobić targu, a ja chcę się napić.

James skinął na karczmarza, by nalał następną kolejkę.

– Popłyniesz czy nie? – spytał bardzo cicho.

– Popłynę.

– A jeśli się zgodzę powiedzieć jej, że nigdy do niej nie wrócisz, to dotrzymasz słowa i nie wrócisz?

– Z rozkoszą. Nie słyszeliście, co mówiłem? Nie wrócę do niej za żadne skarby. Umowa stoi. – Zachary wyciągnął przed siebie brudną dłoń.

James uściskał ją z ociąganiem. Kiedy ciepłe palce pokryte starymi bliznami dotknęły jego własnych, z miejsca przypomniał sobie dłonie Alinor. Drgnął.

– Ach, więc dotykaliście jej – odgadł Zachary z mściwą satysfakcją. – Dotykaliście jej i waszą duszę też zniewoliła.



James wrócił pod Starego Byka. Wszedł po chwiejnych schodach na piętro, do izby o niskiej powale, z wielkim łóżem, w którym spali chłopcy. Leżeli już, przebrani w koszule nocne. Walter spał.

Rob podniósł głowę.

– Modliłem się za ojca – powiedział.

– Dobrześ uczynił – pochwalił go James. – Spotkamy się z nim rano. Przyjdzie na śniadanie. A teraz śpij.

Rob zwinął się w kłębek na skraju łóżka. Resztę zajmował Walter, który spał z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami. James wyszedł cicho i zszedł na dół do prywatnej jadalni.

Po obu stronach kominka siedzieli dwaj mężczyźni. Kiedy wszedł, podali mu ręce, ale nie padły żadne imiona.

– Widziałeś go?

– Widziałem. Przekazałem, żeby był gotowy o północy. I znalazłem statek. Dogadaliśmy się co do ceny – potwierdził. – Straże przekupione?

– Poszło jak z płatka. Nie pilnują go tutaj tak, jak w Carisbrooke – stwierdził drugi mężczyzna. – Taka była umowa z parlamentem i jak widać wywiązują się z niej. Zaproponowali mu swobodę, ograniczoną jedynie danym przez niego słowem. Sądzą, że ugoda jest dla niego ostatnią nadzieją. Głupcy!

– Gdyby mnie złapali w domu Hopkinsa, nie czekajcie, zabierzcie go stąd jak najprędzej. Statek nazywa się „Jessie”. Stoi w porcie gotowy do drogi.

– Miała być „Marie” – zdziwił się pierwszy.

– Ale nie dotarła. Jest „Jessie”.

– Zapłaciłeś?

– Szyper ma obiecane dwadzieścia koron, kiedy wypłynię, i dwadzieścia, kiedy bezpiecznie przywiezie nas z powrotem.

– Zostanę we Francji – oznajmił pierwszy z mężczyzn. – Jeśli on się zgodzi. Nie wracam.

– Ja wrócę. Muszę dokończyć tu parę spraw. – James pogrzebał w kieszeni i wydobył pękata sakiewkę. Podał ją drugiemu mężczyźnie. – Przechowaj to dla mnie. Bądź na nabrzeżu, kiedy wróci „Jessie”, żeby mu zapłacić.

– Nie weźmiesz ze sobą?

James pokręcił głową.

– Nie ufasz mu. Boisz się, że cię ograbi i wyrzuci za burtę? – Mężczyzna był wyraźnie zaniepokojony. – Cóż to za kompana znalazł? Na taką przygodę?

James milczał przez chwilę.

– Nie ufam nikomu – rzekł w końcu, słysząc, że w jego słowach dźwięczy prawda. – Nie ufam nikomu na tej przeklętej ziemi, która nie jest ziemią ni morzem, gdzie zatoki nie dają schronienia statkom, a rozlewiska wzbierają i schną na zmianę.

– Co?

– To, że jeśli nie pojawię się na nabrzeżu, wsadźcie osobę, po którą tu jesteście, bezpiecznie na pokład i zapłaćcie kapitanowi.

– Co masz na myśli, mówiąc: jeśli nie pojawię się na nabrzeżu?

– Mogą mnie złapać lub zabić.



Pięć minut przed północą mężczyźni nałożyli wysokie kapelusze i owinęli się szczelnie grubymi płaszczami. James pomyślał, że to wilgotne powietrze przyprawia go o dreszcze. Zaprzagnął posiedzieć przy kominku jeszcze minutę dłużej. Choć jedną minutkę.

– Pójdę przodem – powiedział. – Ty ruszysz za mną i będziesz czekać pod jego oknem. Ty zostaniesz na nabrzeżu.

– Tak jak uzgodniliśmy – mruknął pierwszy z mężczyzn. Strach wytrącał go z równowagi. – Na rany Chrystusa, możemy już ruszać?

We wszystkich oknach domu Hopkinsa było ciemno. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać straży, ale James podejrzewał, że dowódca twierdzy

Carisbrooke – bądź co bądź doświadczony żołnierz – który wciąż sprawował pieczę nad cennym jeńcem, pozostawił ludzi, by obserwowali wejście. Niezależnie od tego, co obiecał królowi parlament. Odźwierny przy drzwiach frontowych dostał pieniądze, żeby o północy patrzył w inną stronę, ale nie było pewności, czy w mrocznych wejściach i cieniu zalegającym pod ścianami nie czają się szpicle. James skręcił z głównej drogi i z wystudiowaną pewnością siebie wszedł przez furtkę do ogrodu. Ominął grządki i zbliżył się do drzwi kuchennych. Nie były zamknięte, gdyż już od świtu spodziewano się dostaw. Nacisnął klamkę i po chwili znalazł się w uśpionej kuchni.

Chłopak, który zwykle obsługiwał rożen, zerwał się ze swego legowiska przy palenisku.

– Kto tu?

– Ćśśś. To ja – powiedział James konfidencjonalnie. – Zastanawiałem się, czy ktoś pamiętał o jego winku?

– Co?

– O winie dla króla. Zawsze o północy zakąsa chlebkiem szklanice wina. Ktoś mu zaniósł na górę?

– Nie! – przeraził się chłopak. – O mój Boże, ciągle to samo! A jego sługi poszły już do gospody. Kucharka też już śpi.

– Ja to zrobię – szepnął James. – Wszystkim się zajmę.

– Macie klucz do piwniczki? Czy obudzić pana Wilsona, który zarządza służbą?

– Nie trzeba. Król nie pija z waszej piwniczki. Ma własne wino w swoich pokojach. Mam klucz. Śpij. Ja mu usłużę.

Wziął kielich i dzbanek z kredensu w holu i wszedł na górę. Drzwi do kwatery króla były zamknięte od wewnątrz, ale kiedy szedł po skrzypiących deskach korytarza, a zegar na wieży kościoła zaczął wybijać północ, usłyszał dźwięk odsuwanego skobla. Poczuł wzbierającą euforię. Oto stoi u progu królewskiej sypialni, król otwiera mu drzwi, a w porcie czeka statek. Wygraliśmy, pomyślał. Tak smakuje zwycięstwo.

Król uchylił drzwi i wystawił głowę na zewnątrz.

– Clarion. – James podał hasło i padł na kolana.

– Wstań – rzekł Karol obojętnie. – Nigdzie nie jadę.

James wbił w niego niedowierzające spojrzenie.

– Wasza Wysokość?

Król cofnął się do sypialni i nakazał mu wejść i zamknąć za sobą drzwi. Jego pobrużdżona twarz promieniała. Wyglądał jak człowiek, który śmieje się, bo nic innego mu już nie pozostało.

– Nie dzisiaj.

– Odźwiernego nie ma przy drzwiach. Jego Wysokość księżę Walii czeka z flotą na morzu. Mam człowieka pod oknem i drugiego w porcie. Statek czeka. Możemy bezpiecznie ruszać...

Król zbył to wszystko machnięciem ręki.

– Tak, tak. Znakomicie. Bardzo pięknie. Ale zrobimy to kiedy indziej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mam ich na widelcu, rozumiesz. Wiozą mi traktat.

James poczuł, jak wiruje mu w głowie z konsternacji. Przypomniał sobie o niepokoju mężczyzny czekającego pod królewskim oknem.

– Muszę odesłać stąd ludzi – powiedział. – Grozi im niebezpieczeństwo. Ja sam też nie mogę zostać, jeśli Wasza Wysokość nie jedzie. Ale błagam, by to zrobił. To szansa, aby...

– Ja nie polegam na szansach, ja decyduję. – Król zdążył się już odwrócić. – Możesz odejść.

– Błagam – powtórzył James. Usłyszał, że jego głos drży, i oblał się rumieńcem, zawstydzony słabością w obecności monarchy. – Błagam, sire... Najjaśniejsza pani sama wyłożyła fundusze na opłacenie statku. Zobowiązała mnie, abym Waszą Miłość stąd wy dostał. Muszę wypełnić jej rozkaz.

Król odwrócił się do niego. Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Nie potrzebuję ratunku – rzucił rozdrażniony. – Sam jestem najlepszym sędzią własnych poczynań. Doskonale wiem, co się dzieje. Najjaśniejsza pani nie dysponuje niczym poza kobiecym sprytem. Nie ma wiedzy. Parlament przychodzi do mnie na kolanach, przynosząc nader atrakcyjne propozycje. Szkoci nauczyli ich tego, że muszą się ze mną ułożyć, inaczej następnym razem naślę na nich Irlandczyków. Widzą przecież, że kraj powstaje, popiera mnie. Zdaje się, że zaczęli rozumieć moją siłę. Ona jest wieczna. Nie można jej zdusić. Mogą wygrać i tysiąc bitew, ale to wciąż ja stanowią prawo. Parlament wie, że nie może rządzić bez króla. Beze mnie.

James poczuł, że wzbiera w nim wściekłość. Chciał złapać tego człowieka i siłą wywlec na wolność.

– W imię Boga, zaklinam was, panie! Powinniście iść ze mną i prowadzić dalsze negocjacje już z bezpiecznego miejsca, z żoną i synem u boku. Ich

przyszłość zależy od was. Przyszłość nas wszystkich! Nieważne, jak dobra jest oferta, nieważne, co obiecał parlament. Bezpieczniej będzie rozmawiać z Francji.

Król się wyprostował.

– Nigdy nie opuszczę swojego królestwa – powiedział z mocą. – A królestwo mnie nie opuści. Jestem władcą namaszczonego przez Boga. Tego się nie da wyprzeć. Dojdziemy do porozumienia, moi poddani i ja. Powrócę do Londynu, a Jej Wysokość królowa dołączy do mnie w Whitehall. Nie będę czmychać nocą niczym złodziej. Przekaż jej to. – Wymownym gestem wskazał drzwi.

– Nie mogę stąd wyjść bez Waszej Wysokości. Przysiągłem!

– To rozkaz!

– Wasza Wysokość, błagam!

Karol ostro machnął ręką, jakby coś ucinął. James nie mógł zrobić nic więcej. Pozostało mu tylko posłusznie wycofać się do drzwi, nie odwracając się plecami, jak wymagał protokół. Cofał się powoli, aż poczuł, że mosiężna klamka wbija mu się w plecy.

– Najjaśniejszy panie, ryzykowałem życie, by cię uwolnić – rzekł cicho. – W porcie czeka wasz lojalny poddany, aby udać się z wami do Francji. Pożegnał swoją rodzinę i kraj, bo chce udać się z wami na wygnanie i nie odstąpić was, póki nie będziecie bezpieczni. Statek zabierze Waszą Wysokość do księcia Walii, który czeka z flotą na pełnym morzu. Wolność i bezpieczeństwo czekają. Przyszłość monarchii i przyszłość nas wszystkich zależą od tego, czy Wasza Wysokość pójdzie teraz ze mną.

– Dziękuję ci za twą wierną służbę. – Król usiadł i wrócił do przeglądania listów. – Jestem ci wdzięczny. A kiedy już wrócę na tron, wynagrodzę cię. Tego możesz być pewien.

James, myśląc z rozpaczą, że już nigdy niczego nie będzie pewien, uklonił się nisko i wyszedł. Kiedy stał na mrocznym korytarzu, usłyszał, jak drzwi za nim zamykają się cicho. Trzask skobla zdał mu się najbardziej ostatecznym dźwiękiem, jaki w życiu usłyszał. Brzmiał niczym głuchy stuk katowskiego topora, przecinającego kark i wbijającego się w pień.

Na dole bezimienny mężczyzna drgnął niczym bezpański pies, widząc postać wyłaniającą się z mrocznego wejścia.

– Wasza Wysokość – szepnął i padł na kolana.

– Wstawaj, to ja. – James uchylił rondo kapelusza, żeby mężczyzna mógł zobaczyć jego twarz. – Król nie idzie.

– Jezus Maria!

– Chodźże! – ponaglił go. – Z powrotem do gospody.

Ruszyli rażno okrężną drogą przez ciemne uliczki, a potem wzdłuż nabrzeża, by zabrać kompana z jego kryjówki. Cała trójka wśliznęła się do gospody i weszła do jadalni. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, James zdjął kapelusz i zrzucił płaszcz. Następnie opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

– Czemu go nie przekonałeś? – usłyszał.

– Jak?

– Chryste! Trzeba mu było powiedzieć.

– Powiedziałem!

– Czy on nie zdaje sobie sprawy, w jakim niebezpieczeństwie się znajduje? I my przy okazji? Jak mógł pozwolić, żebyśmy dopięli wszystko na ostatni guzik, a potem zwyczajnie nie pójść? Planowaliśmy to całe tygodnie.

– Miesiące. On sądzi, że podpiszą porozumienie.

– Czemu go nie zmusiłeś?

– Jest królem! Niby jak?

– A co, jeśli nie dogada się z parlamentem?

– Jest przekonany, że się dogadają – warknął James przez zaciśnięte zęby. – Błagałem, żeby szedł ze mną. Ostrzegałem. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Ale się uparł. Modłę się tylko, żeby miał rację.

– Ale dlaczego nie poszedł z tobą? Uciekł z Hampton Court, łamiąc własne słowo honoru, a teraz nie chciał? Teraz, kiedy mamy statek, a jego syn czeka na niego na morzu?

– Bóg mi świadkiem, że nie wiem – zarzekał się James z rozpaczą. – Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie uważał, że to najlepsze, najbezpieczniejsze rozwiązanie. Jedyne rozwiązanie. Ale jak miałem go zmusić? No jak?

Drugi z mężczyzn nie zdjął kapelusza. Nie rozluźnił nawet płaszcza.

– Ja znikam – rzucił gniewnie. – Więcej nie dam się namówić. Nie próbujcie mnie szukać ani kaptować. Nie liczcie na moją pomoc. To, co zaszło tej nocy, więcej się nie powtórzy. To był ostatni raz. Kończę z tym. Na mnie niech nie liczy. Nie mogę mu dłużej służyć. Ostrzegali mnie, że jest gadatliwy i zmienny jak baba. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że zawiedzie przyjaciół, ludzi zaprzysiężonych jego sprawie, którzy narażali się na śmierć, podczas gdy on postanowił się rozmyślić.

James w milczeniu skinął głową. Mężczyzna wyszedł; usłyszeli ciche kroki w holu i odgłos zamykanych drzwi wejściowych.

– Wrócisz jeszcze? – spytał pierwszy mężczyzna z przygnębieniem. – Spróbujesz ponownie?

– Jeśli otrzymam taki rozkaz, będę musiał go wypełnić. Ale nie w ten sposób. Nigdy więcej w ten sposób. Nie będę zmuszał ludzi, żeby się dla niego narażali, kazać im składać przysięgę na wierność sprawie. Posunąłem się do tego, że wystawiłem na niebezpieczeństwo dwóch chłopców, żeby lepiej się tu zakonspirować. Ryzykowałem swoje życie, twoje, nawet tego łotra z „Jessie”. Byłem skończonym głupcem, robiąc to dla kogoś, kto nie chce moich usług, kto nawet nie zapytał mnie o imię, kto nie miał nic do przekazania żonie, choć ta wyprzedaje klejnoty, żeby to wszystko sfinansować. Muszę wrócić do niej i poinformować ją, że nie przybędzie, że zawiodłem. Zawiodłem jego i ją – przez niego.

– Dobrej nocy – przerwał mu mężczyzna. – Modłę się o to, żebyśmy nigdy więcej się nie spotkali. Zznam pod przysięgą, że cię nie znam, i nikomu nie wspomnę, cośmy tu robili. Gdyby mnie pojmano, wszystkiego się wyprę i ty uczynisz to samo.

– Amen. – James był załamany.

Mężczyzna zatrzymał się przy drzwiach.

– Ufam, że mnie nie zdradzisz, nawet gdyby cię palono ogniem. A ja nie zdradzę ciebie. Nie chcę umierać na darmo.

– Zgoda – odparł James gorzko. Wszystko było niczym. Lojalność była niczym i śmierć na stosie była niczym. Mężczyzna wyszedł w noc.

James siedział w milczeniu przy dogasającym ogniu. Czuł, że opuściła go odwaga. Ręce mu drżały, a jedyne, co mógł dostrzec w świetle dogasającego żaru, to ponury tryumf na twarzy króla i jego ciemne, smutne oczy. Był głupcem, chcąc poświęcić życie dla takiego człowieka i angażując się w taką intrygę. Władca, któremu przysiągł służyć, nie potrzebował go. Kobieta, którą kochał, okazała się ladacznicą czarodziejskiego ludu i morderczynią. Był bardzo daleko od Bożej łaski i równie daleko od domu.



Kiedy się rozjaśniło i przechodzień na ulicy nie budził już podejrzeń, James wyszedł z gospody i ruszył do portu. Powietrze było chłodne, lekka bryza pachniała solą. Niebo barwiło się na kolor brzoskwini. Zapowiadał się piękny dzień. Gdyby wypłynęli nocą, jak planowali, w drodze powrotnej mieliby dobry wiatr i słońce za plecami. Przybiliby do spokojnego nabrzeża, Zachary otrzymałby zapłatę i rozeszliby się każdy w swoją stronę. Nikt nie zorientowałby się, że król zniknął, aż do śniadania, które jadał przed południem. Tym razem jednak śniadałby już we Francji, monarchia Stuartów byłaby bezpieczna na uchodźstwie, a rebelia Cromwella skazana na zagładę. James spojrzał na różowe obłoki wiszące nad horyzontem i pomyślał, że nigdy dotąd nie oglądał wschodu słońca, czując taką rozpacz.

Zachary spał zwinięty pod żaglem na rufie niewielkiego statku. Kiedy usłyszał stukot butów na kamiennym nabrzeżu, otworzył oczy i usiadł.

– No i plan został poroniony – powiedział. – Zupełnie jak te dzieci, co je niby miała przyjąć na świat, a wyszły sine i zimne. Minę też macie kwaśną jak ona.

– Tak – uciął James. – Tyle że nic nie wiem o dzieciach.

Zachary odcharknął i splunął przez burtę.

– Ona ma ich krew na rękach – rzekł tonem pogawędki. – Śmierdzi nimi. Martwymi dziećmi. Nie zwróciliście uwagi? Nieważne. Jak się wam poszczęściło? Nie za bardzo, jak widzę. Przyłapali was, kiedyście robili to, co tam mieliście robić?

– Nie.

– Nie szkodzi. I tak pewnie już pół wyspy wie – oznajmił marynarz. – Nie grzeszy dyskrecją ten wasz pan. Każdy szyper na tej wyspie woził listy od niego i zna jego ponoć sekretny szyfr.

– Nie wydaje mi się.

– No cóż, należy mi się czterdzieści koron za milczenie.

– Dwadzieścia – stwierdził James obojętnie. Wyłuskał ciężką sakiewkę i rzucił Zachary'emu. Ten złapał ją zręcznie i ukrył w fałdach znoszonego kaftana.

– A więc przegraliście – mruknął. – Wasza misja okazała się tak samo nieudana jak i wy.

– Nie powiodła się – przyznał James. – Ale nikt o niczym nie wie i nikomu nie stała się krzywda.

– Ja wiem. Ja wiem o was i skąd przybywacie. Od kogo przybywacie. Wiem, gdzie was znaleźć. Więc jednak komuś może się stać krzywda.

– Wiesz – zgodził się James. – Ale ja wiem o tobie, więc jesteśmy kwita. Przyjdiesz do gospody zjeść śniadanie z synem?

Zachary pokręcił głową.

– Ani myślę.

– Co mam mu powiedzieć?

– Powiedzcie, że wypłynąłem w nocy i utonąłem na morzu.

– Tego nie mogę.

– To wymyślcie jakieś kłamstwo. Widać wyraźnie, żeście z prawdą na bakier. Oszukujecie ludzi, którzy was goszczą, którzy wam ufają, ich sługi także. Do tego złamaliście śluby. Skoro zaś macie kochankę, a obaj znamy jej imię... – Zachary uśmiechnął się lubieżnie – to dam głowę, że i ją okłamaliście. Bo nie jest rojalistką jak wy. Nie dochowa wierności żadnej sprawie ni żadnemu śmiertelnikowi. No i co tak patrzycie? Nie jesteście lepsi ode mnie. Po prawdzie, to jesteście gorsi. Bo ja uciekłem od wiedźmy, ratując życie, a wy do niej wracacie. A ona pożre waszą duszę i skradnie dziecko.

– Wcale do niej nie wracam!

– Więc siebie samego też okłamujecie.

– I nie ma żadnego dziecka!

– Będzie, kiedy ona sobie zażyczy.

James zgrzytnął zębami z wściekłości.

– Nie wyjawię jej niczego i nie pomogę cię szukać. A twojemu synowi powiem, że wypłynąłeś z wiadomością ode mnie i jeszcze nie wróciłeś.

Zachary skinął głową obojętnie.

– Tak czy inaczej, wyruszam z porannym przypływem – powiedział. – Nie będzie mnie wiele dni, może tygodni. Jeśli chłopak zechce mnie szukać, i tak nie znajdzie.

– Żegnaj – rzekł James krótko.

– Pomyślnych wiatrów, klecho – rzucił Zachary, kiedy James już odchodził. W jego słowach zabrzmiała groźba.



James cały dzień snuł się jak otumaniony. Chłopcy chcieli oglądać króla w drodze do kościoła, ale James nie zniósłby więcej widoku tej żalostnej twarzy. Wysłał ich więc samych. Kiedy wrócili podnieceni, opowiadali, że król pozdrawiał tłumy, ktoś wznosił okrzyki, kilku „kawalerów” wszczęło bijatykę, a król śmiał się i wrócił do siebie, gdzie pozdrowił tłum z okna. I że wszyscy mówią, że wysłannicy parlamentu mają przybyć w przyszłym tygodniu, by zwrócić mu koronę.

– Macie ochotę na konną przejażdżkę do Cowes? – spytał James. Czuł, że nie wytrzyma ani minuty dłużej w Newport. – Stamtąd możemy popłynąć statkiem do Portsmouth, wynająć konie i wrócić do Priory wzdłuż brzegu.

– Czy chcemy? – zapalił się Walter. Trzepnął Roba w łepetynę. – No! Mów, że chcemy!

– Bardzo! – wykrzyknął Rob. – Ale przecież ojciec miał być na śniadaniu. Czy mogę się z nim zobaczyć, zanim wyruszymy?

– Zabrał wiadomość ode mnie do Southampton i jeszcze nie wrócił – zełgał gładko James. – Mówił, że może mu zejść trochę dłużej. Może spotkamy go w Cowes, a może nie. Obawiam się jednak, że on nie wróci do twojej matki, Robercie. Powiedział mi to. Przykro mi.

– To co ona pocznie? – spytał zrozpaczony Rob. – Co będzie, jeśli ojciec nie wróci do domu? Nie utrzyma się z ziół i akuszerki. Czy mówił, że pošle nam jakieś pieniądze? A co z Alys? Ona potrzebuje posagu. Ojciec powinien zapewnić córce posag.

James przełknął własną rozpacz.

– Porozmawiam z twoją matką – obiecał, wiedząc, jak bardzo sam tego pragnie. – Jeśli uda się znaleźć ci miejsce przy medyku, będziesz godziwie zarabiał. Staniesz się dla matki podporą. A jeśli twoja siostra wyjdzie dobrze za mąż, matce będzie lżej. Ma teraz łódź. Sama może łowić. Nie jest już zależna od twojego ojca. Jest biegła w swoim fachu. Jeśli wzywają ją do porodu, zwykle dobrze jej płacą.

– Żadna kobieta nie wezwie akuszerki, jeśli się rozniesie, że nie jest ani mężatką, ani wdową – wyjąkał Robert czerwony po czubki uszu. – Uważają, że to przynosi nieszczęście.

– Nie wiedziałem o tym – rzekł cicho James. Zdał sobie sprawę, jak niewiele wie o Alinor i jej życiu. – Może powinna się przenieść w głąb lądu, gdzie ludzie jej nie znają. Tam mogłaby uchodzić za wdowę.

– Dlaczego on nie może wrócić do domu, żeby wszystko było normalnie? –
Krzyk wydarł się z piersi chłopca, jakby wyrwany przemocą.

James nie potrafił spojrzeć mu w oczy.

– Tak się czasem dzieje pomiędzy kobietą a mężczyzną. Przykro mi z waszego powodu. Ale jeśli twój ojciec odmawia spełniania swych obowiązków, ja nie zdołam go zmusić. Ani ty, Robercie. To nie twoja wina.

– Kościół go zmusi!

– Mógłby, tyle że on nie wróci, by się stawić przed radą parafialną.

– Matka będzie zhańbiona – powiedział chłopiec słabo. – A mnie nazwą bękartem.



Pojechali do Cowes. Walter był w znakomitym nastroju, ale Rob jechał w milczeniu, ze spuszczoną głową. Przenocowali w gospodzie przy nabrzeżu, a rano wsiedli na statek, który miał ich przewieźć przez cieśninę Solent. Podróż przebiegła spokojnie i kiedy wylądowali w Portsmouth, wynajęli konie i ruszyli szlakiem wzdłuż brzegu na wschód. Jechali wśród pól i małych wiosek z uroczymi kościółkami. Zanocowali w Langston, w starej rybackiej gospodzie. Jamesa obudził zapach soli i krzyki mew. Pomyślał, że już do końca życia te żałosne wołania będą mu się kojarzyć z porażką. Ruszyli dalej na wschód przez bagniste rozlewiska Hampshire, przekroczyli granicę hrabstwa i wjechali do Sussexu. Kiedy w końcu skręcili z chichesterskiego gościńca w stronę promu i brodu, słońce stało już nisko nad horyzontem. Trwał odpływ. Kałuże wody lśniły na bagnisku.

James zmrużył oczy. Mimo woli szukał Alinor tam, gdzie widział ją, kiedy wyjeżdżał. Był prawie pewien, że będzie na niego czekać. Jej blada twarz rozpromieni się z radości na jego widok. Świetlne refleksy były tak jaskrawe, a on tak pewny swego, że w końcu rzeczywiście zobaczył postać w białym czepcu, ze zsuniętym z głowy kapturem, która patrzyła na niego zza rozlewiska. Ale to był tylko miraż, bagienna ułuda. Wyszedł im naprzeciw przewoźnik z nieodłącznym psem przy nodze. Przeprowadził prom i pomógł im załadować konie.

– Możesz iść zobaczyć się z matką – powiedział James cicho do Roba, kiedy Ned mozolnie ciągnął linę. – Walter i ja wrócimy do dworu. Wezmę twojego konia.

Rob pokiwał głową.

– Co się stało? Co z tobą? – zainteresował się Ned, słysząc znużony głos Jamesa i widząc, jak siostrzeniec stoi z opuszczoną głową. – Chory jesteś, Rob? Coś się stało, panie Summer?

– To tylko znużenie – odparł James. Nie wiedział, że rozpacz, którą czuł w sercu, maluje się również na jego twarzy. – Chyba wszyscy jesteśmy po prostu zmęczeni.

– A więc widok króla nie dodał wam wigoru? Jego dotyk nie uleczył wszelkich bolączek?

James przypomniał sobie, że nikt tutaj nie ma pojęcia o tym, że jego misja się nie udała, a cel jego życia legł w gruzach.

– Nie. Ale chłopcy są zadowoleni, że go widzieli.

– I co, Rob, zostałeś rojalistą? – zagadnął Ned, kiedy prom przybijał do brzegu.

– Nie, wuju – odpowiedział cicho Rob. – Ale cieszę się, że mogłem zobaczyć króla we własnej osobie.

– I jego płaszcz – wtrącił się Walter. – A kapelusz, żałujcie, żeście nie widzieli kapelusza!

Chłopcy sprowadzili swoje konie na brzeg.

– Wygląda na to, że będzie się targować z parlamentem w nieskończoność – mruknął Ned do Jamesa. – Ale czuję, że armia będzie tu miała coś do powiedzenia. Nieważne, jakich sztuczek użył, żeby omamić parlament, armia nie da się tak łatwo owinać wokół palca. Żołnierze mu nie wybaczą, że wywołał wojnę, kiedy wszyscy już myśleli, że wreszcie nastał pokój. Kraj jest mu wrogi jak nigdy dotąd. Nikt mu tego nie wybaczy.

– Nie wiem – odparł James ochryple, schodząc na brzeg i ciągnąc konia za uzdę. – Bóg jeden wie, do czego dojdą i ile nas to wszystkich będzie kosztować.

– Nie wzywajcie na moim promie imienia Pańskiego – upomniał go Ned.

– Wybaczcie. – James podprowadził konia do schodka, wspiął się na siodło i wziął od Roba wodze drugiego wierzchowca. – Przekaż matce pozdrowienia, chłopcze.



Alinor szła właśnie ścieżką w stronę domu przewoźnika, by nazbierać jagód w ogrodzie, kiedy zobaczyła sylwetkę syna na tle popołudniowego nieba. Tym razem nie pędził niczym rozbrykany źrebak. Szedł, powłócząc nogami, ze spuszczoną głową, jak ranny.

– Rob! – krzyknęła, rzucając się biegiem. Gdy tylko go objęła, od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. Pociągnęła nosem jak zwierzę wietrzące chorobę. Poczowała woń innych domów, w których się zatrzymał, we włosach dym z innych kuchni. Inny krochmal na kołnierzu, zapach soli i morza na kaftanie. Odsunęła się o krok i przyjrzała mu baczniej. Zobaczyła zgarbione ramiona i twarz zwróconą ku ziemi.

– Synu, co się dzieje? – spytała łagodnie. – Coś cię trapi?

– Nic takiego.

– Chodź, wejdziemy do domu. – Poprowadziła go do chaty, rozumiejąc niejasno, że nie powie nic pod gołym niebem, przy krzyku mew i plusku wody, która biła o brzeg, jakby chciała wdrzeć się w głąb lądu i zamienić wszystko w bagno.

– Gdzie się wybierałaś? – zapytał.

– Po jagody. Mogę iść później.

Celowo nie zamknęła drzwi za sobą, żeby mu się przyjrzeć w jasnym skośnym świetle wpadającym do wnętrza chaty. Opadł na krzesło, na którym siadywał jako mały chłopiec, chlipiąc, gdy się skaleczył. Miała ochotę objąć go mocno, mocno, tak jak wtedy.

– Gdzie Alys?

– W gospodarstwie Stoneyów. Zje tam i zostanie na noc. U niej wszystko w porządku. Ale co z tobą, synu?

– Ja... ja... Spotkaliśmy...

W głębi duszy przeklęła księdza, który zabrał jej syna na morze, a teraz zwraca chorego na ciele i duszy, niezdolnego wydobyć słowa ze wzburzenia.

– Jesteś głodny? – zagadnęła, chcąc dać obojgu nieco więcej czasu.

– Nie, nie! – wykrzyknął, myśląc o tym, że nie może jej pozbawiać jedzenia. I jak ciężko będzie je zdobyć, kiedy wszyscy się dowiedzą, że mąż ją porzucił.

– A więc napij się choć piwa. – Wzięła dzbanek, by nalać do dwóch kubków. Potem usiadła obok i złożyła ręce na kolanach, żeby się uspokoić. – Opowiedz mi wszystko. Może nie jest tak źle, jak się wydaje. Najczęściej nie jest aż tak źle.

– Jest źle – powiedział z naciskiem. – Nawet nie wiesz jak.

– To mi wyjaśnij – odparła. – Żebym wiedziała.

– Widziałem ojca – rzekł cicho, nie podnosząc wzroku. – W Newport, na wyspie Wight. Ma statek, którego jest kapitanem. Statek nazywa się „Jessie”. – Zerknął na nią ukradkiem. – Wiedziałaś o tym?

– Oczywiście, że nie. Przecież bym tego przed tobą nie ukrywała.

– Mógł wrócić do domu dawno temu – rzekł Rob. – Ale tego nie zrobił.

Westchnęła cicho.

– Wcale mnie to nie zaskoczyło – szepnęła. – Ani nie zabolęło.

– Zobaczyłem go. Zawołałem. A on spojrzał na mnie i zaczął biec. – Głos Roba drżał. – Wtedy o tym nie myślałem, ale teraz wydaje mi się, że poznał mnie od razu i chciał uciec. Ruszyłem za nim jak głupiec, a pan Summer i panicz Walter ze mną.

Rumieniec upokorzenia rozlał jej się od karku aż po czoło.

– Oni też tam byli?

– No właśnie! Poznali go.

– Jezu!

– Niestety. To było okropne. Poszliśmy razem do oberży. Małej, brudnej spelunki, gdzie miał jakieś długi. Wydaje mi się, że pan Summer wszystko za niego uregulował. Ojciec powiedział, że siłą wcielili go do marynarki parlamentu. Uciekł z niej, kiedy przeszła na stronę księcia. Wtedy dostał przydział na statek handlowy. Miał przyjść nazajutrz i zjeść z nami śniadanie, ale się nie pojawił. Pan Summer gdzieś go posłał i ojciec już nie wrócił. Była mowa o tym, że może spotkamy go w Cowes, ale choć poszedłem do portu, nikt nie widział ani jego, ani statku. Pan Summer mówi, że on do nas nie wróci.

Jedną ręką zasłonił oczy, żeby nie widziała jego łez. Drugą wyciągnął do niej. Ścisnęła ją mocno.

– Nawet nie wiem, czy naprawdę wykonywał jakieś zlecenie pana Summery – wyjąkał łamiącym się głosem, wciąż zasłaniając twarz. – Może po prostu obaj mnie oszukali, bo mają mnie za dziecko. Za głupca. Pewnie ojciec znów uciekł, a pan Summer kłamie.

– To nie twoja wina – szepnęła, czując, że mogłaby wyć z bólu, jaki sprawiono jej synowi. Własny ojciec od niego uciekł. – To przez Zachary’ego, przez to, jakim jest człowiekiem. On nie potrafi żyć ze mną. Być może jest w tym i moja wina. Ale nikt nie może zarzucić jej tobie. Jesteś jeszcze chłopcem, lecz takim, z którego każdy ojciec byłby dumny. A Alys córką, której nie sposób nie

kochać. Zachary nie wytrzymał ze mną ani ja z nim. Ale to nasza wina. Nie waszej dwójki.

– Wierzyłaś, że kiedykolwiek wróci?

– Sama nie wiem – wyznała. – Kiedy mijały kolejne miesiące, wydawało mi się to coraz mniej prawdopodobne. Ale pewności nie miałam. Tego roku w noc przesilenia poszłam na cmentarz w nadziei, że spotkam jego ducha i zyskam pewność. Niech mi Bóg wybaczy, Rob, miałam nadzieję, że Zachary nie żyje i nie będziemy musieli więcej o nim myśleć. Ale kiedy go nie zobaczyłam, domyśliłam się, że wciąż żyje, tylko postanowił do nas nie wracać. Tak czy inaczej, nie ty zawiniłeś i nie zdołasz nic na to poradzić.

Palił ją wstyd. Spotkała na cmentarzu księdza, gdy powinna była czuwać w oczekiwaniu na zmarłego męża. A teraz los zetknął go z Zacharym i na pewno o niej rozmawiali. Wolała sobie nie wyobrażać, co mąż mu nagadał. Jeśli powtarzał te same ohydne oszczerstwa, co zwykle – że jest elfią ładacznicą, wiedźmą i pozbawiła go męskości – James już nigdy nie spojrzy na nią bez wstrętu. A jeśli go przekonał, że żona Neda zmarła przez jej zaniedbanie lub, co gorsza, zabiła ją celowo, może trafić pod sąd. Zamknęła oczy, uświadamiając sobie, jak groźny wciąż jest dla niej Zachary. Siedzieli z Robem obok siebie, ślepi ze zgryzoty.

– To nie twoja wina – powtórzyła z uporem. – I w większej części również nie moja.

– Co my teraz pocniemy, jeśli on nie wróci? – zapytał z niepokojem. – Masz łódź, ale nie sprzedasz przecież ryb tym, którzy je sami łowią. Kiedy Walter pojedzie na uniwersytet, będę musiał znaleźć inne zajęcie. Gdzie znajdę tak dobrze płatne? Nie wspomnę już o Alys. Nie pójdzie za mąż bez posagu.

– Tak do końca to nie wiem, co pocniemy – powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał wesoło. – Ale mam swoje zioła i brzemiennie kobiety. Johnson ostatnio nieźle mi zapłacił. Wszędzie rodzą się dzieci, niech rodzicom Bóg błogosławi. Kiedy nastanie pokój, biskup wróci i otrzymam licencję. A wtedy zapłacą więcej i chętniej będą mnie wzywać.

– Nie, kiedy się dowiedzą, że ojciec nas opuścił – sprzeciwił się Rob. – Nie dostaniesz licencji, będąc porzuconą żoną, nawet gdyby biskup wrócił. Stracisz reputację. Nie wpuszczą cię nawet do kościoła. Będziesz stać w kruchcie, pastor nie poda ci komunii.

– Może ludzie aż tak się tym nie przejmą. Nikt nie lubił Zachary'ego.

– Będą mnie nazywać bękartem! – Głos Roba znów się załamał.
– Niesłusznie – rzekła z mocą. – A ty nie musisz na to reagować.
Przez chwilę milczał.

– Nie możemy się stąd wynieść? – zapytał w końcu. – Zamieszkać tam, gdzie nas nie znają? Ty będziesz mogła powiedzieć, że jesteś wdową, a ja i Alys znajdziemy pracę. Ludzie nie będą niczego o nas wiedzieć.

– Żadna parafia nas nie przyjmie. – Próbowwała się uśmiechnąć, ale widział ból malujący się na jej twarzy. – Żadna parafia nie przyjmie wdowy z dwójką dzieci. Będą się obawiać, że zostaniemy w końcu na ich łasce, a to kosztuje. Pani Miller już się tego boi, a przecież pochodzimy stąd i od pokoleń płacimy podatki. Poza tym, wiesz, plotka podąży za nami. A dla obcych, którzy nie znają Zachary’ego i nie wiedzą, jaki jest, będzie tym potworniejsza.

– Nie wytrzymam tutaj.

– Wiem. Rozumiem. Naprawdę cię rozumiem. Ale tutaj przynajmniej mamy ogród, łądz i wuja Neda. Mam w jego domu destylarnię, mleczarnię i miejsce do warzenia piwa. Razem uprawiamy ogród. We młynie zawsze znajdzie się coś do roboty, a we dworze dobrze nas traktują. Pani Wheatley jest dla mnie bardzo życzliwa. Po prostu musimy się zdobyć na odwagę, żeby powiedzieć wszystkim, że Zachary mnie zostawił. Żeby nie było już wątpliwości i domysłów. Będzie źle przez miesiąc, może dwa. Ale potem wydarzy się coś nowego i wszyscy o nas zapomną. – Znow spróbowała się uśmiechnąć, żeby podnieść go na duchu. – Zobaczysz. Jakaś biedna kobieta przeskoczy przez płot i będą ją łąajać na środku kościoła w obecności całej wspólnoty. Ludzie znajdą sobie następny temat do plotek. Zajmą się w końcu kimś innym.

– Będą cię potępiać i patrzeć na ciebie z góry, a przecież nic złego nie zrobiłaś – rzekł gwałtownie.

– Być może. Ale mam dobrą opinię jako zielarka i akuszerka. I wszyscy wiedzą, że nie boję się pracy. To się nie zmieni. Zachary nie był lubiany. Nikt nie będzie za nim tęsknił. Nawet ja za nim nie tęskniłam. Bardziej chyba za łądzia i pieniędzmi, które zarabiał.

Pokiwał głową.

– Ale będziesz sama do końca życia – zauważył. – A masz dopiero ile? Trzydzieści lat?

– Dwadzieścia siedem. – Uśmiechnęła się. – Tak, będę samotną kobietą do końca swoich dni, ale jakoś mnie to nie przeraża. Mam ciebie i Alys i nikogo

więcej nie potrzebuję.

– Może zjawić się ktoś, kogo pokochasz – bąknął Rob nieśmiało. – Albo ktoś pokocha ciebie.

– Nikt mnie tu nie znajdzie. – Alinor wskazała smugi błota i wolno cofające się mętne wody, widoczne przez otwarte drzwi. Z daleka dobiegł hurgot młyna podobny do gromu i szum wody w kanale. – Nikt nie będzie szukał kobiety takiej jak ja w miejscu takim jak to.



James spotkał się z sir Williamem w bibliotece, kiedy Walter poszedł spać. Świece dopalały się już w lichtarzach, przed kominkiem drzemał wielki pies gończy. Gospodarz siedział przy ogniu w swoim okazałym fotelu, James w mniejszym po drugiej stronie. Sączyli francuski koniak, dostarczany na wyspę w bezksiężycowe noce przy wysokiej wodzie. Przemytnicy zawijali w ciemności do nabrzeża przy młynie i odpływali szybko, nie robiąc hałasu.

James tłumaczył lordowi królewski plan zmanipulowania parlamentu i powody, dla których odmówił ucieczki.

– Naprawdę nie chciał uciekać? Nawet gdy podałeś hasło? – powtarzał wciąż z niedowierzaniem sir William.

– Nie, sir. – James pokręcił głową. – Nie chciał.

– Ostrzegałeś, co może mu grozić?

– Ostrzegłem. Powiedziałem, że to plan jego małżonki, a syn czeka na morzu. Błagałem go. Nie chciał.

– Niech go Bóg chroni. To fatalny błąd. – Sir William wzniosł kielich. James stuknął w niego swoim i opadł z powrotem na krzesło.

– Jesteś chory? – Lord przyjrzał się bladej twarzy młodego mężczyzny.

– Mam lekką gorączkę. Nic poważnego.

– Uważasz, że istnieje jakakolwiek szansa, by mógł mieć rację i parlament pójdzie z nim na ugodę?

– Całe Newport jest pełne rojalistów, którzy trąbią po ulicach, że nie ma znaczenia, co król podpisze. Może się zgodzić na wszystko, a gdy tylko znajdzie się z powrotem w pałacu, pomści swoich doradców, których parlament kazał stracić, sprowadzi królową i rodzinę królewską do Londynu, a przede wszystkim odzyska władzę i wtedy zetrze swoich nieprzyjaciół w proch.

– Wątpię. Naprawdę wątpię. Parlament to nie banda głupców. Sporo ich kosztowało, żeby znaleźć się tu, gdzie są. Oni też stracili synów i braci. Nie zmarnują tego ot tak, kiedy dał im wszelkie powody, żeby mu nie ufać. W gruncie rzeczy nikt już mu nie ufa, nawet mój własny przewoźnik! Cokolwiek mu zaproponują, będzie musiało być wiążące. Już oni go zobligują przysięgami. Nie oddadzą mu skarbu i armii za garść pustych obietnic.

– Słyszałem, że na mniej się nie zgodzi – powiedział James ze znużeniem.

– Coś podobnego! – prychnął sir William zjadliwie. – Poza tym to już nie jest jego armia. To Armia Nowego Wzoru. Wszystko ludzie Cromwella. Nigdy nie będą służyć królowi. Mają własne ideały. To siła, która sama o sobie decyduje. Nawet parlament nie zdoła jej kontrolować, a co dopiero on.

James zacisnął dłonie na rzeźbionych poręczach krzesła, próbując opanować zawroty głowy.

– Tak, ale to właśnie powód, dla którego parlament będzie zmuszony zawrzeć z nim ugodę. Aby uniknąć spełnienia żądań armii. Niektórzy z członków parlamentu nienawidzą jej bardziej, niż nie ufają królowi. Większość woli tyranię króla niż tyranię armii i trudno im się dziwić. Oni są podzieleni, a on zdeterminowany.

Starszy mężczyzna pokiwał głową.

– Ryzykowna rozgrywka – przyznał. – Królewska. Godne podziwu, że się na nią zdecydował.

James, bardzo daleki od podziwu, wypił łyk koniaku.

– Nie wiem, jak to się dla nas skończy. Nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie.

– Ja będę czekał, póki znów nie zostanę wezwany, by mu służyć – oświadczył sir William. – Ale nigdy więcej nie narażę syna na niebezpieczeństwo. Wprost trudno uwierzyć, że król pozwolił ci przyjść po siebie, a potem odmówił. Czy nie pomyślał o niebezpieczeństwie, jakie nam grozi? Co teraz zamierzasz? Wrócisz do seminarium po dalsze rozkazy?

– Tak sędzę. – James przyłożył dłoń do czoła i odkrył, że jest mokre od potu.

– Tam nie rozumieją, jak mogłem zawieść. Miałem uwolnić lwa. Nie przypuszczałem, że zechce pozostać w klatce. Ze wszystkich rzeczy, o które się lękałem, tej jednej nie wziąłem pod uwagę. Jestem w kropce. Miałem dopilnować, żeby znalazł się bezpiecznie na okręcie księcia Walii, a potem ruszyć do Londynu. Rozkazy mówiły jasno: kiedy będzie bezpieczny, mam zdać raport w Londynie. Przypuszczam, że raport i tak muszę złożyć: powiedzieć, że król

został, a ja zawiodłem. I powiadomić królową, że bezowocnie zmarnowałem jej fortunę.

– Możesz zostać tutaj. Potrzebuję kapelana, a Walter nauczyciela. Nikt cię nie podejrzewa. Jesteś tu bezpieczny.

– Chętnie zostanę na noc, ale wiąże mnie przysięga. Jutro ruszę do Londynu.

– Nie wyglądasz najlepiej. Powinieneś wydobrzeć przed podróżą.

James czuł, że bolą go wszystkie kości.

– Muszę się wytłumaczyć. Potem będzie kolejny tajny plan i kolejne wyjazdy tajnymi drogami. Dostanę następne zadanie. Przysięgłem posłuszeństwo.

– No cóż, prosimy Boga, żeby nie żądali od ciebie więcej i pozwolili się przyczaić w oczekiwaniu na lepsze czasy. Od miesiący żyjesz w ciągłym zagrożeniu, a wyglądasz mi na chorego.

– To była trudna misja – przyznał James.

– A jeśli pošlą cię znów do niego? Każą ponownie próbować?

– Przysięgałem służyć – powtórzył James, czując, że te słowa rozlewają się goryczą w ustach, a serce wali mu jak młot. – Modlę się o pokój.

– Jak wszyscy – sarknął lord. – Ale każdy chce pokoju na własnych warunkach. Pójdziemy do kaplicy?

– Msza zamiast jutrzni? – James uśmiechnął się, zerkając na francuski zegar stojący na kamiennym gzymsie kominka. Było już grubo po północy.

– Właśnie. – Sir William wstał z fotela. – Zdecydowałeś się więc jechać?

– O świcie – odparł James, myśląc o dwóch chłopcach, których powierzono jego pieczy, i o związanych z nimi planach, które już się nie ziszczą. Pomyślał też o kobiecie, której przysięgł sobie więcej nie widywać. To tylko miało się spełnić.



James, w białej koszuli i spodniach do konnej jazdy, lecz ze stulą na karku, zapalił świece w prywatnej kaplicy lorda. Sir William ukląkł na podłodze przed krzesłem, na którym zawsze siadywał. Zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach. Jego kapelan, odwrócony plecami do jedyne go wiernego, przygotowywał ofiarę chleba i wina na starym kamiennym ołtarzu we wschodniej części kaplicy. Modlił się cicho po łacinie. Sir William nie musiał go słyszeć wyraźnie; znał od dziecka każde słowo liturgii. Bez wahania odmówił akt pokuty i credo, wtórując księdzu

tam, gdzie było to wymagane. Jego rodzina nie wyparła się wiary za rządów Elżbiety ani wcześniej za Edwarda i Henryka.

W miarę jak dłonie Jamesa zwinnie poruszały się nad kielichem i cyborium, rozpacz, że zmarnował wiele miesięcy na przygotowanie ucieczki, którą król wzgardził, zaczęła go z wolna opuszczać. Odwrócił stronicę, nalał wina i przełamał hostię. Odwrócił się. Sir William klęczał na stopniach. James podał mu hostię i łyk wina z kielicha. Nie miał żadnych wątpliwości, że w tej chwili Jezus Chrystus, Pan Zmartwychwstały, znajduje się w tym chlebie i winie. Że to Jego święte ciało i krew ostatniej wieczerzy, do której oni dwaj zostali zaproszeni, w istocie pokonały śmierć. Wiedział, że jest grzeszny i nęka go zwątpienie, ale czuł też wyciągniętą nad sobą zbawczą rękę Bożą. Rozpoczął modlitwę końcową.

- Panie, wysłuchaj modlitwy mojej.
- A wołanie moje niech do ciebie przyjdzie – dopowiedział sir William.
- Zamieszkaj z nami, Boże, w tej godzinie...
- Gdy dzień dobiegł już końca.
- Jak pasterz wygląda poranka...
- Tak my wyglądamy Ciebie, o Chryste.
- Przyjdź ku nam ze świtaniem...
- I daj nam się poznać przy łamaniu chleba.

Dławiło go w piersi tak, jakby pękało mu serce. Pomyślał, że tak musiało pękać serce Chrystusa na krzyżu. Dla króla, któremu musiał służyć, porzucił kobietę, którą kochał. Króla nie udało się uratować, a kobiecie przestał ufać. Nigdy już ich nie zobaczy. Kobietę zostawi w nędzy, a króla w niewoli. Miał ledwie dwadzieścia dwa lata i już zawiódł we wszystkim, do czego pchał go obowiązek i głos serca.

– Boże, przebacz mi – szepnął i opadł na kolana, kiedy nogi ugięły się pod nim. A potem stracił przytomność.



Lokaj posłany po Alinor wybrał okrężną drogę długą na trzy mile, bo nie znał ścieżek przez zatokę i bał się, że porwie go nadchodzący przypływ wspomagany wydatnie przez duchy topielców. Ale kiedy załomotał do drzwi chaty, zastał Alinor i Roba siedzących przy słabym świetle dogasającego ognia. Dawno minęła

pora, kiedy porządny chrześcijanin powinien znaleźć się w łóżku. Wzdrygnął się, widząc, że wiedźma nie śpi w nocy, a wraz z nią jej syn.

– Wy nie w łóżku? Czuwacie? – zapytał przestraszony.

Alinor wstała.

– Ktoś zachorował?

– Nauczyciel panicza. Sir William kazał biec czym prędzej.

Rob podał Alinor koszyk, w którym zawsze miała przydatne zioła i oleje. Włożył czapkę i kaftan i poprowadził ich przez bagnisko, najpierw brzegiem, potem skarpią i ścieżką w zaroślach. Towarzyszył im księżyc w pierwszej kwadrze, wiszący nad wzbierającą wodą. Kiedy wyszli na pastwisko przy dworze, wyłonił się cały zza chmur i wschodnia część zatoki zalśniła srebrzyście. Przeszli przez ogród zalany niezwykłym światłem.

W zamkniętej kaplicy było cicho; lord wraz z panem Tudeleyem uprzątnęli wszystkie świece i sprzęty. Zanieśli Jamesa z powrotem do biblioteki, zdjęli z niego stulę i położyli go na dywanie przed kominkiem, bojąc się taszczyć na górę.

– Czy mówił coś, zanim zemdlął? – spytała Alinor. Nie mogła spokojnie patrzeć na jego trupio bladą twarz. Rozciągnięty na podłodze wyglądał jak wtedy, kiedy spał na sieciach w jej szopie, a ona pomyślała wówczas, że jest piękny niczym upadły anioł.

– Rzekł: „Boże, przebacz mi” – odparł sir William. – Ale nie mogły go opętać złe duchy. To bogobojny człowiek, a poza tym... znajdował się w stanie łaski.

Jedno spojrzenie szarych oczu powiedziało mu, że kobieta pojmuje, co robili po nocy w kaplicy.

– Skarżył się na gorączkę albo dreszcze? – zapytała, kładąc ciepłą dłoń na jego złanej zimnym potem twarzy.

– Owszem. I na zmęczenie. Do tego był jakiś taki melancholijny.

Domyślała się, skąd to znużenie i smutek.

– Czy mogę użyć składników z destylarni waszej lordowskiej mości?

– Rzecz jasna. Biercie, co wam potrzeba. Wiecie, gdzie co stoi. Ale, ale... czy to może być zaraza?

Tego Alinor obawiała się zawsze najbardziej. Bardziej niż tego, że dziecko ułoży się przy porodzie poślądkami do przodu albo przyjdzie na świat zdeformowane. Jeśli to zaraza, było więcej niż pewne, że okaże się zabójczą dla wszystkich w tym pomieszczeniu. Dla połowy domu, większości wioski. Wyrok

śmierci zapadł i nie można było go odwołać. Na zarazę nie dało się nic poradzić. Ona umrze najprawdopodobniej pierwsza. Tak to już było. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Nie potrafię powiedzieć, póki go nie obejrzę – odparła. – Jeśli tak, powinien mieć znaki.

– Ale nie można tego wykluczyć? – Sir William wycofał się za swój fotel. – Był w Newport. Dobry Boże! Zabrał mojego syna do Newport i Cowes.

– Mojego również – przypomniała mu.

– Mógł się tam zetknąć z kimkolwiek. Mogli się zarazić na statku, wszyscy trzej. Wracali statkiem do Portsmouth.

– Muszę go zbadać. Póki tego nie zrobię, nie mogę nic powiedzieć – powtórzyła, kryjąc własny lęk.

Sir William nie zaryzykował przetrzymywania chorego pod własnym dachem.

– Wynieście go do stajni – zwrócił się do rządcy. – Nieście go na tym dywanie, żeby mu się co nie stało. Dywan tam zostawcie. I zamknijcie porządnie, dopóki nie będziemy pewni. Reekie, muszę was zapytać: pójdziecie z nim i będziecie go doglądać, póki nie wydobrzeje?

– Nie mogę – oświadczyła stanowczo. – Ja też mam dzieci. Zbadam go, ale jeśli znajdę znaki, nie dam się z nim zamknąć. Nigdy nie zajmowałam się zarażonymi.

– Błagam was – powiedział. – Zapłacę wam dobrze. Bardzo dobrze. Idźcie z nim i zbadajcie go. Jeśli jest zarażony, przed czym broń nas, Boże, sprowadzę biegłą pielęgniarkę z Chichesteru, która ma doświadczenie z zarazą, a was wypuszczę jeszcze przed jej przybyciem, zanim wieść się rozniesie. Wróćcie do chaty i nie będziecie wychodzić, aż to się skończy. A jeśli nie jest zarażony, będę wam płacić trzy szylingi dziennie za opiekę nad nim, póki nie wydobrzeje.

Zawahała się.

– Nie położę go przecież w jednej komnacie z chłopcami – przypomniał jej. – Tam śpi mój syn, ale wasz również. Lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli będziecie go doglądać w stajni.

Spojrzała na białą twarz Jamesa. Na jego ciemne loki, czarne rzęsy i cienki zarostu, który zdradzał, że nie jest aniołem, lecz człowiekiem śmiertelnym. Jego pierś spazmatycznie podnosiła się i opadała, zimny pot rosił czoło. Wiedziała, że go nie zostawi. Nie zgodziłaby się go powierzyć szorstkim rękom obcej kobiety.

– Dziesięć szylingów. – Lord podniósł stawkę, lękając się o bezpieczeństwo domowników. – Dziesięć szylingów za dzień, póki nie przybędzie pielęgniarka. Codziennie.

– Dobrze – zdecydowała się. – Rob przyniesie mi parę rzeczy z destylarni, ale potem ma się trzymać z daleka.



Pomieszczenie nad stajnią, pośpiesznie opuszczone przez stajennych, było jasne i chłodne. W okna wprawiono nie szyby, ale cienkie tafle rogu. Na dole, w boksach, parślały i kręciły się myśliwskie konie lorda. Pachniało uspokajająco: czystą słomą, sianem i ciepłą owsianą wonią koni.

Lokaj i dwaj stajenni wtaszczyli zawiniętego w dywan Jamesa po drabinie na górę i ułożyli na pryczy.

– Poślę po coś do jedzenia – powiedział pan Tudeley, zachowując bezpieczny dystans w połowie drabiny. – Możesz wciągać kosz na linie.

– Przyda się wiadro gorącej wody do mycia i dzbanek zimnej. Spory dzban podpiwku i mniejsze naczynia do mieszania. Będę potrzebować chleba, sera i mięsa, kiedy się obudzi, a w południe niech ktoś przyniesie ciepły posiłek – wydawała instrukcje Alinor. – A! Kubeł na nocnik i siano z ziołami do zasłania podłogi.

– Oczywiście. Pan Summer będzie miał wszelkie wygody. Jest naszym gościem. Wy również – powiedział rządcą. – Czy Rob ma tu do was przyjść?

– Nie – odparła stanowczo. – Zostanie we dworze z paniczem Walterem. Ja będę tu czuwać przez dzisiejszą noc. Jeśli, co daj Bóg, stan pana Summera poprawi się do rana, będzie mógł wrócić do dworu, a ja do siebie. To tylko na dzisiejszą noc.

– Powiecie nam od razu, gdy... – wybąkał nerwowo rządcą. Słowo „zaraza” nie chciało mu przejść przez gardło.

– Powiem, jeśli tylko zauważę jakieś plamy – zapewniła Alinor. – Wtedy wezwiecie do niego pielęgniarkę z Chichesteru.

– Zaraz każę wszystko dostarczyć – obiecał Tudeley, po czym zszedł na dół, zamykając za sobą klapę. Alinor odczekała chwilę, a potem zaryglowała ją na skobel od wewnątrz, tak by nikt nie wszedł niespodzianie. Zostali sami.

James leżał bezwładnie jak martwy. Podeszła do pryczy i zaczęła ostrożnie odwijać dywan, jakby rozwijała cenny pakunek. Westchnął i łapczywie wciągnął powietrze. Uniosła mu nieco głowę i wsunęła pod nią poduszkę. Zaczął oddychać swobodniej, na jego twarzy pojawił się nawet lekki rumieniec. Alinor zdała sobie sprawę, że przygląda się jego ustom. Wspominała ich pocałunek.

Rozpięła koszulę z delikatnego płótna. Guziki zrobiono z macicy perłowej. Dotykała każdego z osobna, obserwując, jak się mieni. Następnie rozsunęła poły, odsłoniła pierś i płaski brzuch.

Miał szerokie ramiona i twarde mięśnie jak każdy, kto co dzień zażywa ruchu i konnej jazdy. Ciemny pas włosów biegł w dół brzucha ku spodniom. Alinor, która nieraz rozbierała pijanego męża, bez wahania rozsznurowała bryczesy. Po raz pierwszy widziała Jamesa nago. Patrzyła na ciemną gęstwinę włosów, uspioną siłę członka i muskularne pośladki. Patrzyła ledwie przez chwilę, a już poczuła palące pożądanie, jakby ją też trawiła gorączka. Delikatnie wysunęła spod niego spodnie i bieliznę. Pochylona, wciągnęła w płuca ciepłą, czystą woń mężczyzny. Musiała się powstrzymać, by nie złożyć pocałunku na jego brzuchu i nie przytknąć twarzy do ciepłej skóry.

Zsunęła spodnie aż do butów, potem zdjęła i buty wraz z cienkimi pończochami. Leżał teraz przed nią nagi, jeśli nie liczyć rozpiętej koszuli.

Nie zauważyła na skórze żadnych czerwonych plamek, wskazujących na ospę. Uniosła najpierw jedno ramię, a potem drugie, obmacując pachy. Nie znalazła nabrzmiiałych dymienic, będących nieomylnym znakiem dżumy. Nic. Żadnych znamion. Nic nie szpeciło gładkiej skóry i nie wskazywało na chorobę – poza gorączką. James dosłownie płonął.

Delikatnie podsunęła go wyżej. Przyłgął do niej i zajęczał cichutko, jakby go bolało. Zapięła koszulę, żeby ochronić go od chłodu. Ogarnęła ją przemożną czułość – jak wtedy, gdy opiekowała się w niemowlęctwie Alys i Robem. Zostawiła pod nim dywan i nakryła go tylko kocem, który znalazła na sąsiednim łóżku. Większość medyków okrywała pacjentów zbyt ciepło; nieraz do łóżka wkładano jeszcze rondel z żarem, by wypalił z ciała gorączkę. Alinor jednak rzeczywiście traktowała pacjentów tak, jak swoje dzieci: dbała, by zapewnić im spokój i chłód. Jeszcze raz przyłożyła dłoń do jego czoła. Czuła żar pulsujący w żyłach na skroni. Włożyła dwa palce za kołnierz koszuli. Tętno miał mocne.

Usłyszała wołanie z zewnątrz. Podeszła do okna i je otworzyła. Na dole stał wciąż ten sam sługa. Przyniósł wiadro z gorącą wodą, płótna, ręczniki, miski,

a także oleje i zioła, które wybrał Rob. Nad oknem znajdował się bloczek i lina służące do windowania worów z ziarnem. Alinor opuściła hak i wciągnęła najpierw kosz z prowiantem – zupę, chleb, ser, mięso i podpiwek – a potem resztę przyniesionych rzeczy. Kiedy skończyli, zapytał:

– Czy to już wszystko, co potrzeba, pani Reekie? – Okazywał jej niemal czołobitny szacunek, jak gdyby była goszczącą tu damą, nie chłopką jak on sam.

– Wszystko. Powiedz Robowi, żeby przyszedł tu po śniadaniu. Porozmawiam z nim przez okno. Nikomu nie wolno wchodzić na górę, póki nie dowiem się, co mu dolega.

– Wybaczcie, pani Reekie, ale jak sądzicie: to może być zaraza? – szepnął ze strachem.

– Dotąd nie pojawiły się żadne znaki – powiedziała ostrożnie – ale będę mu się pilnie przyglądać. Na razie, chwała Bogu, nic na to nie wskazuje. Poczekaj! – Wyjęła z koszyka pęczek suszonej szaławii. – Podpał to na kuchennym ogniu, a potem zdmuchnij i przynieś do mnie – nakazała. – Tylko żeby jeszcze dymiło.

Zajęło mu to ledwie parę chwil. Wrócił, niosąc kopnące się zioła w glinianej misce. Alinor spuściła koszyk i wciągnęła ją na górę.

– Czy to do wzywania duchów? – szepnął. – Będziecie przywoływać duchy? Pokręciła głową.

– Szałwia oczyści powietrze – wyjaśniła. – Nie wzywam duchów. Używam ziół i olejów. Jak wszyscy.

Mężczyzna pokiwał głową, ale widać było, że nie wierzy.

– Dziękuję, to już wszystko – powiedziała Alinor z irytacją. Mogła zaprzeczać w nieskończoność, opinia guślarki i tak do niej przyłgnęła, jak do wszystkich kobiet w jej rodzinie. Ciągnęły ją za sobą jak zapach bagniska.

– Niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece. – Westchnął i zniknął w kuchennych drzwiach.

Wzięła pęczek dymiącej szaławii i zaczęła nim machać. Oczyszczający dym powinien dotrzeć w każdy zakamarek. Resztę włożyła z powrotem do miski, żeby się dopaliła. Otworzyła torbę z lekami, by zobaczyć, co Rob jej posłał. Laska cynamonu, cytryny w oliwie i buteleczka destylatu z bazylii. James mógł cierpieć na zimnicę – chorobę, która czaiła się na bagnach, atakowała przybyszów i nękała ich już do końca życia. Trzeciaczka nawracała trzy razy do roku – stąd jej nazwa. Pierwszy atak choroby był zwykle najgorszy, często kończył się śmiercią. Kolejne kładły człowieka w malignie. Większość ludzi na mokradle przechodziła ją

w dzieciństwie. Rob ją przeżył, a Zachary złapał czwartaczkę, która męczyła go co kwartał. Matka Alinor uważała, że choroba roznosi się przez ugryzienia muszek podczas snu. Radziła sadzić nagietki i lawendę pod oknami i przy drzwiach, bo odstręczał je zapach tych kwiatów.

Mokradła od początku były dla Jamesa niebezpieczne. To, że zaraził się zimnicą, Alinor odczytała jako znak. Dowodziło, że w ogóle nie powinien tu przyjeżdżać. A skoro wyjechał, nie powinien wracać. To był znak dla nich obojga.

Gorączka nie spadała przez całą noc. Przemywała ciało chorego szmatką zmoczoną w zimnej wodzie i nacierała olejkiem z lawendy. Zdołała w niego wmusić odrobinę zupy przyprawionej olejem z cytryną i cynamonem, którym hojnie posypywała każdą łyżkę. Mimo to pozostał półprzytomny, pogrążony w gorączkowym półśnie. Rzucił głową na boki i wypowiadał łacińskie słowa. Nie rozumiała ich, ale się ich obawiała. To mogła być herezja albo czarna magia. A może jedno i drugie.

Uspokajał się tylko wtedy, kiedy obejmowała go ramieniem, pojąc go piwem z olejem cytrynowym. Zastygał w bezruchu, jak gdyby jej dotyk koił rozpalone ciało. Siedziała więc oparta o surowe deski ściany z rozpaloną głową Jamesa na ramieniu, a noc z wolna zmieniała się w poranek. W końcu wtulił twarz w jej szyję, jakby szukał w niej ochłody, i zasnął.



Kiedy blade światło zaczęło przenikać przez rogowe płytki w oknach, James jęknął, zerwał się na równe nogi i przycisnął zaciśniętą pięść do brzucha. Wiedziała, na co się zanosi, i szybko podstawiła wiaderko, nim zaczął się wypróżniać, zgięty wpół z bólu.

– No już, już... – mówiła cicho jak do chorego dziecka. Umyła go wodą mydlaną, którą przyniosła z domu. Następnie opuściła cuchnący kubeł na podwórze, każąc chłopcu stajennemu opróżnić go na gnojowisku i wyszorować przed zwróceniem. Potem umyła ręce, oparła się jak najwygodniej o ścianę i znów objęła Jamesa ramionami, kładąc jego głowę na swoim barku.

Zasnęła. W chaotycznych majakach zwidywał jej się świat, w którym kobiet nie potępiali w kościołach mężczyźni grzeszący wraz z nimi. Śnił jej się zmysłowy młodzieniec, który mówił o kobiecie jak ona. Przyśniła się jej Alys

z Richardem, i Rob – już dorosły, wystrojony i zamożny; taki, jakim mógłby być, gdyby nie urodził się na Zgniłym Bagnisku. I wreszcie Zachary, żeglujący po obcych morzach na wiatrach snu. Powiedział to samo, co kiedyś z goryczą rzucił jej w twarz na jawie: „Kłopot w tym, że ciebie nie zadowoli nic, co rzeczywiste”.

Ocknęła się obolała i z poczuciem klęski. Cała jej duma gdzieś pierzchła. Zachary miał rację. Zbłądziła i dzieci też sprowadziła na manowce. Mówił prawdę – nie o tym, że tańczyła po nocach z elfami, ale że za nimi tęskniła. Przez całe życie pragnęła czegoś więcej, niż zostało jej dane przy urodzeniu. Ale dopiero dziś rano zdała sobie sprawę, jak nisko upadła. Była nędzarką i niebawem mogła zostać pozbawiona czci przed sąsiadami. Podjęła się najpośledniejszej z podłych prac. Pielęgniarka zarażonych to ktoś tylko niewiele lepszy od nieszczęśnika ciągnącego wózek pełen trupów, który zbiera wynoszonych na ulicę zmarłych. Nie znała gorszego zajęcia. A przywiodły ją do tego szaleństwo i miłość. Teraz była zamknięta z konającym mężczyzną, krzywoprzysięcą, który nigdy nawet słowem nie wspomniał, że też ją kocha.

Pomimo to wciąż trzymała go w ramionach, wiedząc, że to głupota, i wstydząc się swego opętania. Nagle zorientowała się, że James jest ciepły. Nie zimny i sztywny, nie spocony, konający z gorączki, ale ciepły. Pachniał słodkavo jak ktoś, kto będzie żył.

Z wysiłkiem otworzył oczy. Jego rumieniec też zaczął przybierać zdrowszy odcień.

– Alinor – wychrypiał, jakby wypowiadał jej imię po raz pierwszy.

– Lepiej ci? – spytała z niedowierzaniem.

– Ledwo mówię. Nie wiem. Chyba tak.

– Więc nic nie mów. Jesteś bardzo chory.

– Myślałem, że umrę.

– Nie umrzesz. To nie zaraza.

– Bogu dzięki. Bogu niech będą dzięki! – Rozejrzał się nieprzytomnie wokoło. – Znowu jesteśmy w szopie na sieci? – spytał.

– Nie. Na stryszku nad dworską stajnią. Żle się poczułeś, pamiętasz?

– Nie. Nic nie pamiętam. – Zmarszczył brwi. – Wiem, że przywiozłem chłopców z Cowes.

– Zgadza się. Są bezpieczni w domu. A potem dostałeś okropnej gorączki.

Próbował sobie przypomnieć wszystkie kłamstwa, o których musi pamiętać, ale nie zdołał. Nie wiedział już, co było prawdą, co fałszem.

– Chce mi się pić.

Dała mu podpiwku. Wypił duszkiem. Nie pozwoliła na więcej niż jeden kubek.

– Powoli, powoli. Dostaniesz, ale za chwilę.

– Nie jestem pewien, co mówiłem. Mogłem coś mówić przez sen...

– Nic, co miałoby jakikolwiek sens – zapewniła go. – Sir William posłał po mnie zaraz po północy. Leżałeś na dywanie przed kominkiem. Powiedział mi tylko, że zemdlałeś. Kiedy przyszedłem, byłeś nieprzytomny z gorączki.

– Niczego nie pamiętam. – Pokręcił głową.

Pomyślała, że o połowie rzeczy, które w życiu robił, nie wolno mu było mówić, a najlepiej było zapomnieć. Teraz niepamięć spadła na niego niczym spełnione życzenie, które staje się przekleństwem.

– Jego lordowska mość posłał po mnie i prosił, żebym została tu z tobą, by sprawdzić, czy to nie zaraza.

– Zostałaś ze mną? Mimo że...

– Tak – ucięła. – Pan posłał po mnie. Musiałam.

– Ale zgodziłaś się mnie pielęgnować.

– Lord mnie prosił. Nie miałam wyboru.

– Przyszłaś do mnie – upierał się. – To był twój wybór.

Uśmiechnęła się do niego najśłodszym, najwspanialszym z uśmiechów.

– Przyszłaś do ciebie – potwierdziła.

– I rozebrałaś mnie.

– Szukałam śladów ospy albo dżumy.

– I zostałaś ze mną całą noc.

– Miałaś gorączkę. Musiałam cię doglądać.

– Trzymałaś mnie w ramionach.

– To był jedyny sposób, żebyś leżał spokojnie. Inaczej miotałeś się jak opętany i zrzucałeś nakrycie.

– Leżałem nagi w twoich ramionach.

– W celach leczniczych! – prychnęła, wydymając usta.

– Mój Boże, chciałbym znów się w nich znaleźć. Nagi.

– Óóóó! – uciszyła go, zastanawiając się, ile z tego było słychać na dole w stajni. – Cicho!

– Nie będę cicho – szepnął. – Chcę mówić. Alinor, sądziłem, że wyjadę stąd, nie zobaczywszy cię więcej. Byłem pewien, że już się nie spotkamy. Straciłem

wiarę, łaskę Bożą, po wielokroć zasłużyłem na potępienie w oczach Boga i ludzi. Wyrzekłem się swojego króla, nawet siebie samego. Ale potem pomyślałem, że w moim życiu jest jeszcze jeden jasny promyk, o ile tylko będę cię mógł znów zobaczyć. I oto jesteś.

– Nie jestem wiarą ani Bogiem, ani też królem – rzekła poważnie. – Nie jestem nawet kobietą o dobrej reputacji. Słyszałam, że spotkałeś się w Newport z Zacharym. Na pewno wiesz już, co o mnie mówi, o ile gorączka nie odebrała ci pamięci. Rozповіда, że jestem zła, że nie byłam mu żoną, oskarża mnie o wszystko, co mu przyjdzie na myśl.

– Próbował mnie nastraszyć. Nie dbam o to – zapewnił. – Nie słuchałem, co mówił, i nie wierzę mu. I tak nie pamiętam, co opowiadał. – Nawet nie spostrzegł, że znów ją okłamuje. – Sądziłem, że już nigdy cię nie zobaczę. Moje rozkazy są jasne; muszę cię opuścić, wyjechać. A oto jesteśmy tu zamknięci razem, jakby wolą boską było, żebyśmy się nie rozstawali. Przysięgam na Jego imię, że nie pragnę być nigdzie indziej. Straciłem wszystko prócz ciebie. Myślałem, że umieram, i w tej najczarniejszej godzinie pragnąłem tylko ciebie. Nie potrafiłem mówić ani myśleć, nie mogłem się modlić. Pragnąłem jedynie ciebie. Myślałem, że śnię o tobie, o tym, że trzymasz mnie w ramionach. Zdawało mi się, że to majaki pożądania wywołane przez gorączkę. Z pewnością nie wróciłbym do życia, gdyby nie twój dotyk.

Milczeli przez chwilę, oboje porażeni jego wyznaniem.

– No cóż... powiem, że już ci lepiej i będziesz mógł stąd wyjść – oznajmiła w końcu Alinor. – A ja będę musiała odejść. Położysz się w swojej sypialni, żeby nabrać sił. Przyjdę jutro, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz. Sir William może wezwać medyka z Chichesteru.

– Powiedz im, że do jutra nie będziesz mieć pewności – odparł natychmiast, a kiedy się zawahała, powtórzył: – Alinor, błagam cię. Nie trafi nam się druga szansa, nam dwojgu. Świat nie da nam okazji być razem, ale tu możemy mieć dla siebie ten dzień i noc, jeśli tylko zdobędziesz się na jedno małe kłamstwo. Po prostu powiedz im, że czekasz, aż gorączka minie, albo pojawi się wysypka, czy co tam wymyślisz. I daj nam ten dzień i tę noc. Tylko dla nas. O nic więcej cię nie proszę. Ale o to błagam.

Zawahała się.

– Nie musisz mi się oddawać, jeśli nie chcesz. Nie żądam od ciebie nic poza tym, żeby być przy tobie. Sama widzisz, że nie mogę cię przymusić. – Zdał sobie

sprawę, że jego męskość osłabła, tak jak przepowiadał mu Zachary. Potrząsnął głową, żeby odpędzić majaki. – Nie chcę cię zmuszać. Nawet cię nie tknę, jeśli sama nie zechcesz. Ale błagam cię, daj mi ten dzień i tę noc ze sobą, zanim odejdę do świata, który odebrał mi wszystko inne.

Zamiast odpowiedzieć, Alinor wstała i rozsypała troczki koszuli. Po raz pierwszy zobaczył jej nagie piersi. Rozwiązała w pasie spódnicę, która zsunęła się na podłogę, i stała przed nim prawie naga, w rozchełstanej bieliźnie, pod którą rysowały się kształty jej bioder i ud.

– Jeśli tego pragniesz, będziemy mieć dla siebie dzisiejszy dzień i noc – rzekła jak ktoś, kto szykuje się do skoku na głęboką wodę. – Dzień i noc – powtórzyła, wtulając się w jego ramiona.



W południe Rob przyszedł na podwórze przy stajni i stanął pod oknem. Alinor wychyliła się przez nie i uśmiechnęła do syna. Powiedziała, że z pewnością to nie zaraza, ale zostanie jeszcze z panem Summerem, póki gorączka nie spadnie. Pochwaliła go za dobór ziół i oznajmiła, że nie potrzebuje niczego więcej poza dodatkową porcją oleju z cytryną na poty. Kazała poprosić panią Wheatley o podpiwek i prowiant w koszyku. Pan Summer śpi, nadal ma gorączkę, ale jego stan się nie pogarsza.

– Ale jak ty się czujesz, synu? Nie zaraziłeś się czasem?

– Nie. Czuję się świetnie – odparł Rob, zadzierając głowę. – Panicz Walter też. Sprawdziłem mu temperaturę i zajrzałem do gardła. Nie ma żadnego zapalenia. Ani wysypki. Cokolwiek dolega panu Summerowi, wygląda na to, że na nas się nie przeniosło.

– Bogu dzięki! Aha, Rob... – zniżyła głos do szeptu. Podszedł do ściany i spojrzał na nią ufnie. – Nie troskaj się z powodu ojca. Pan Summer nie powie nikomu o spotkaniu, a i my nie będziemy nic mówić. Nie wspominaj o nim w ogóle, dopóki stąd nie wyjdę i nie zastanowimy się razem, co chcemy powiedzieć. A najważniejsze... to nie bądź z jego powodu nieszczęśliwy. Wybrał takie życie, jakie chciał. My również wybierzemy swoje. Powinieneś być szczęśliwy. Czeka cię jeszcze wiele wspaniałych chwil.

Pokiwał głową, nie odrywając od niej wzroku.

– Idź i powiedz Alys, żeby przenocowała u wuja – poleciała. – Wrócę jutro. I na razie nic jej nie mów.

Posłała mu całusa. Schylił głowę zawstydzony, a potem pomachał jej na pożegnanie i opuścił podwórze.

James, leżący na swym prowizorycznym łożu, obserwował, jak kobieta zamyka okno i cofa się w głąb pomieszczenia, żeby nie być widoczną z podwórza.

– Wszystko z nim dobrze? – zapytał.

– Tak, dzięki Bogu.

Nagle stwierdził, że nie jest w stanie powiedzieć „Amen”. Nie potrafił już rozmawiać ze swoim Bogiem.

– Powinam ci zmienić posłanie – oznajmiła Alinor. – Przydałaby się czysta pościel. Mam poprosić o wodę do mycia?

– Tak. Będziemy mieć całą noc i dzień dla siebie... Czuję się, jakbym nadal śnił w gorączce.

Natychmiast przyłożyła mu rękę do czoła.

– Nie masz gorączki – orzekła. – A to nie sen.

– A jutro...

– Nie myśl o tym, póki nie trzeba. – Położyła się obok, a jej ciało przyłgnęło do jego ciała.



Godziny mijały niepostrzeżenie. Dwa albo trzy razy służący wołał z podwórza, a wtedy Alinor narzucała suknię i wciągała na górę to, co przyniósł. Dostarczył im prowiant, wodę do mycia i piwo, ale ledwie dostrzegli, co przyniósł i jak często przychodził. Alinor zmieniała pościel na czystą. Leżeli na niej nadzy, kochali się i zasypiali, by zbudzić się znowu i znów się kochać. Patrzyli przez okno, jak słońce zachodzi nad moczarami, a potem wstaje księżyc. Przez całą noc na zmianę drzemali, budzili się, kochali, jakby nie było już dnia i nocy, a oni nie potrzebowali światła, wystarczał im pełgający blask świecy, który sprawiał, że ciała lśniły.

– Nie wiedziałem, że to tak... – wyznał James. – Kiedy bracia w seminarium opowiadali o miłości z kobietą, myślałem, że to bardziej brutalne i nieprzyjemne.

– To twój pierwszy raz? Naprawdę nigdy tego nie robiłeś? – spytała Alinor, czując wyrzut sumienia, że odebrała mu niewinność.

– Nieraz byłem wodzony na pokuszenie. Ukrywałem się, podróżując z jednego domu do drugiego. Była pewna dama w Londynie... I kolejna w Essexie. Odczuwałem pożądanie, ale wiedziałem, że to grzech, i potrafiłem nad sobą zapanować. Teraz czuję, że to jest dobre.

Alinor mogła sobie wyobrazić, że niejedna kobieta pożądała przystojnego młodego księdza, którego ukrywała przed wszystkimi pod własnym dachem, rozkoszując się tajemnicą. Roześmiała się na tę myśl. Jego twarz od razu się rozjaśniła.

– Musisz mieć mnie za niedorajdę? – zapytał. – W tym wieku jeszcze niewinny!

– Nie – zapewniła go. – Z czasem zaczęłam gardzić mężczyznami, którzy spali z wieloma kobietami, nie kochając żadnej. Zachary był jedynym, który mnie posiadał, a był trudnym mężem. Mieli rację w twoim seminarium. Nieprzyjemne, gorzkie i... niewdzięczne – znalazła odpowiednie słowo. – Małżeństwo z nim było niewdzięcznym zadaniem.

Ujął jasny kosmyk jej włosów i owinął go wokół palca niczym obrączkę.

– A od czasu, gdy zniknął, nie miałaś innego mężczyzny?

Spojrzała na niego.

– A co, słyszałaś inaczej?

Pokręcił głową.

– Słyszałem różne okropieństwa. Ale nie pytam z powodu tych kłamstw, tylko dlatego że nie mogę uwierzyć, by nikt cię nie adorował.

– Nie czułam pożądania – odparła. – Gdyby ktoś mnie spytał... choć nikt na Mokradłach nie mówi o takich sprawach, powiedziałabym, że jestem jedną z tych kobiet, które nie odczuwają pożądania. Dla mnie to wszystko zawsze kojarzyło się tylko z bólem i brutalną przemocą. Zachary twierdził, że jestem zimna jak kamień. A ja myślałam, że inaczej się nie da. Nigdy nie sądziłam, że może być tak, jak teraz.

Uśmiechnął się i dotknął jej ciepłego policzka.

– Czasem, kiedy przyjmowałam na świat dziecko, kobiety pytały mnie, kiedy będą mogły znowu lec z mężem. Nie mogłam zrozumieć, do czego im tak śpieszno. Muszą zawsze odczekać dwa miesiące do wyvodu w kościele. Dziwiłam się, że narzekają.

- Teraz chyba już wiesz, że to długo?
- Teraz nie wiem, czy wytrzymałabym i dzień.
- Zrozumiałaś, czym jest miłość?
- Po raz pierwszy w życiu. – Uśmiechnęła się do niego. – Więc w pewnym sensie i dla mnie to jest pierwszy raz.

Ucałował jej dłoń.

- Serce z kamienia stopniało?
- Nie dziwota. Szaleje w nim pożar.



Obudzili się w nocy wygłodniali jak wilki. Zjedli resztę chleba i sera z koszyka. To był dobry biały chleb wypiekany we dworze i dobry twardy ser ze słoną skórką z dworskiej mleczarni.

– Zachary mówił o czymś – odezwał się James z wahaniem, obawiając się, że jej oczy pociemnieją i odwróci się od niego.

– O, ten to zawsze za wiele gadał – rzekła z uśmiechem. – Turkotał bez przerwy, jak młyn w czasie odpływu.

– Powiedział, że Ned miał żonę... – zaczął.

Jego słowa były jak cios, który zmazał jej uśmiech z ust. W jednej chwili stała się blada jak śmierć.

– Przepraszam. Nie chciałem... Nic nie mów – błagał. – Nie musisz nic mówić. Ja tylko...

– Uwierzyłeś mu? Powtórzysz lordowi? To, co mówił... Cokolwiek mówił? Czy masz obowiązek poinformować pastora u Świętego Wilfryda?

– Nie. Nic nie powiem. Nie chciałem pytać, ale...

– Ale sprawił, że zaczęłaś się zastanawiać? Mimo całej twojej uczoności, języków i wiedzy. Sprawił, że zaczęłaś się zastanawiać. Że zaczęłaś się... obawiać?

– Nie boję się. – James zerwał się, lecz Alinor położyła mu łagodnie dłoń na ramieniu.

– Gdyby świat wyglądał tak, jak widzi go Zachary – ciągnęła łagodnie – wszyscy mielibyśmy powody do lęku. Bo ten biedny głupiec zaludnił go potworami z własnych strachów. Mówił, że nurzam się w rozpuście z elfami, wyparł się własnych dzieci, twierdził, że rzuciłam zaklęcie, które pozbawiło go

męskości. Wreszcie, że zabiłam własną bratową. Wiesz, że gdyby ludzie w okolicy uwierzyli choć w jeden z tych zarzutów, oskarżyliby mnie o czary i poddali próbie?

James pokręcił głową, nie dopuszczając do siebie tych potwornych oskarżeń.

– Muszą wiedzieć, że jesteś niewinna!

– Ty nie byłeś o tym przekonany.

– Byłem. Jestem!

– Wiesz, co by mi zrobili?

– Nie. – James wcale nie miał ochoty wiedzieć.

– Na nabrzeżu jest takie specjalne krzesło do pławienia czarownic. Krzesło jest na długiej belce. Przywiązują do niego kobietę jak kociaka do utopienia i kowal – najczęściej jest to kowal – pcha w dół drugi koniec belki. Krzesło unosi się wysoko, aby wszyscy mogli się przyjrzeć nieszczęsnej. Potem zanurzają ją w wodzie. Głęboko. Oprawcy dają sobie czas, sporo czasu, a kiedy uznają, że już wystarczy, każą unieść krzesło i znów patrzą. Jeśli kobieta rzyga morską wodą, twierdzą, że to diabeł ją ochronił, i wysyłają pod sąd do Chichesteru. Tam sędziowie po rozpatrzeniu dowodów mogą skazać ją na śmierć przez powieszenie. Ale jeśli wynurzy się biała jak morska piana, ma sine wargi i paznokcie, usta otwarte od wrzasku, a palce jak szpony od szarpania więzów – wtedy stwierdzają, że była niewinna, i grzebią w poświęconej ziemi przy kościele.

– Słyszałem o takich praktykach, ale...

– Tak stanowi prawo. Każda parafia musi mieć takie krzesło. Powinieneś to wiedzieć.

– Sądziłem, że pławienie to tylko zanurzenie w wodzie.

Uśmiechnęła się słabo.

– Nie brzmi zbyt groźnie, prawda? Ale niektóre toną.

– Sir William powinien dopilnować, żeby na pławieniu się kończyło.

Wzruszyła ramionami.

– Powinien. Kiedy w ogóle tu jest. Ale dla niego lepiej, kiedy chłopstwo od czasu do czasu utopi czarownicę, winiąc ją za swoje niepowodzenia, zamiast pytać go, po której stronie stał na Marston Moor i co robił w Newbury, albo dlaczego w ogóle mają mu płacić podatki.

– To go nie dotyczy, zapłacił już za służbę królowi. A parlament mu wybaczył.

– My nigdy nie wybaczymy – powiedziała Alinor w imieniu brata i wszystkich, którzy mieli nadzieję na lepszy los bez lorda. – Zabrał ze sobą tuzin chłopca z Sealsea. Przypięli do kapeluszy królewskie kokardy. Wróciło siedmiu.

– Ale to nie ma nic do rzeczy – tłumaczył cierpliwie. – Poza tym sir William to cywilizowany człowiek. Skończy z procesami czarownic. Stoi na straży porządku i prawa. Jest wykształcony, biegły w dekretach. Nie pozwoli skrzywdzić niewinnej kobiety.

Uśmiechnęła się do niego, jakby był dzieckiem.

– Nie ma kobiet niewinnych. – Jej słowa sprawiły, że poczuł dreszcz. Zupełnie jakby słyszał Zachary’ego. – Nie istnieją i nie mogą istnieć. Biblia mówi, że to kobieta sprowadziła grzech na ten świat. My jesteśmy wszystkiemu winne. Grzech i śmierć towarzyszyć nam będą aż po dzień Sądu Ostatecznego. Sir William nie zaryzykowałby utraty autorytetu, żeby uratować jakąś biedną ladacznicę od utonięcia.

Zmroził go jej cynizm. Nie chciał tego słuchać. Chciał ją mieć z powrotem w łóżku, ciepłą i oddaną. Ciężkie życie uczyniło ją twardą, a on pragnął, by była delikatna i łagodna.

– Ale nas to nie dotyczy, nieprawdaż? Zresztą nie ma przecież ziarna prawdy w tym, co Zachary mówił o twojej bratowej.

– Mary zmarła, będąc pod moją opieką – odparła szczerze. – A wszyscy doskonale wiedzą, że kłóciłyśmy się jak pies z kotem od pierwszego dnia, kiedy Ned sprowadził ją do domu i zajęła miejsce mojej matki. Nie lubiłam jej, a ona czuła do mnie wstręt. Pomimo to opiekowałam się nią najlepiej, jak potrafiłam. Nie umiałam jej pomóc. Chyba nikt by nie zdołał. Dziecko przyszło na świat zbyt wcześnie, martwe. A potem nie mogłam zatrzymać krwawienia. Zmarła na moich rękach, a ja nie wiedziałam, jak jej pomóc. Nawet nie wiem, co było przyczyną. Nie jestem medykiem. Jestem zwykłą akuszerką.

– Zachary powiedział, że to było jego dziecko, a ty byłaś zazdrosna – rzekł James i natychmiast tego pożałował.

Spojrzała na niego zimno, obojętnie. Okryła ramiona prześcieradłem, jakby to był jedwabny szal.

– Tak ci powiedział? – Jej głos nagle stał się lodowaty. – No cóż, sam musisz rozsądzić. Ja nigdy nie broniłam się przed jego kłamstwami i nie będę na nie odpowiadać, kiedy padają z twoich słodkich ust. Ale jeśli to było jego dziecko,

jak się przechwalał, kiedy ona już nie żyła i nie mogła tego potwierdzić, to nie sądzę, żeby zaszła w tę ciążę z własnej woli.

James zadygotał z odrazy. Czuł, że dłużej nie wytrzyma ohydy życia na tym skraju łądu, gdzie miłość i nienawiść wzbierały i ustępowały niczym błotniste pływy, a gniew kipiał jak brudna spieniona woda w młyńskim kanale. Gdzie nienawiść i lęki były zdradliwe jak Syczące Źródło. Zachary zgwałcił albo uwiódł swoją szwagierkę. Brał żonę bez jej zgody. A Ned to wszystko tolerował i zamiast wziąć sprawy we własne ręce, uciekł walczyć z królem. Do tego mąż Alinor wyrzekł się własnych dzieci! Kolejny dreszcz zdradził mu, że nie chce mieć więcej do czynienia z tymi ludźmi. Pragnął wrócić do swoich, gdzie okrucieństwo nigdy nie wychodziło na jaw, dramaty rozgrywały się w ukryciu, a dobre maniery miały większą wagę niż zbrodnia.

Niepewnie i z wahaniem sięgnął ku Alinor. Chciał, by znów była kochanką z jego gorączkowego snu, a nie kobietą, która zмага się z plugawym światem.

– Ufam ci, Alinor. Wierzę w ciebie.

Twarz, którą ujrzał, była ciepła, a spojrzenie mokrych od łez oczu ufne.

– To dobrze. Bo możesz mi ufać.

I osunął się w otchłań grzechu, całując jej miękkie usta i mokre od łez rzęsy.



A potem dotrzymali obietnicy i nie myśleli więcej o świecie, który znajdował się na zewnątrz. Nie myśleli o jutrze. Ale kiedy o świecie kochali się, zanim dobrze się rozbudzili, a powieki Alinor rozwarły się szeroko w rozkoszy, ujrzała słabe światło w oknie i powiedziała cicho ze smutkiem:

– Och, kochanie. Już świt.

– Jeszcze nie – odparł, poruszając się na niej powoli. – To blask księżycy.

– Nie. Świta. A ja muszę wracać do domu. I trzeba powiedzieć lordowi, że z tobą już wszystko dobrze.

Oparł głowę na jej ramieniu.

– To nie do zniesienia.

– Rozkosz? Czy rozstanie?

– Jedno i drugie. Nie możesz mu powiedzieć, że wciąż jestem chory? Nie możemy spędzić ze sobą jeszcze jednego dnia? Wykradnijmy jeszcze dzień dla siebie!

– Nie. Wiesz, że nie możemy. Żadne z nas nie może ściągnąć na siebie podejrzeń.

– Nie pozwolę ci odejść.

Uniosła się do pocałunku, spod gęstwiny włosów wyłoniła się jej twarz.

– Pocałuję cię jeszcze jeden raz. A potem wstanę i ubiorę się.

Chciał ją objąć, ale pokręciła głową, więc opadł na plecy i założył ręce za głowę, żeby jej nie dotykać, kiedy pochyliła się nad nim i namiętnie pocałowała go w usta. Potem oparła czoło na jego piersi i wdychała jego zapach niczym woń pięknego kwiatu. Wreszcie oderwała się od niego z trudem, jakby zrywała własną skórę, odwróciła i włożyła halkę przez głowę. Sztywny materiał uwięził jej ciało.

– Nie dam rady – odezwał się cicho. – Nie potrafię bez ciebie.

W milczeniu włożyła spódnicę i zaczęła ją pieczołowicie wiązać w pasie. Później przysiadła na ławce pod ścianą, żeby wciągnąć wełniane pończochy.

– Alinor – szepnął.

– Pozwól mi się ubrać. – Głos miała zduszony. – Nie potrafię się ubierać i mówić jednocześnie. Nie mogę słuchać i myśleć naraz. Pozwól mi się ubrać.

Usiadł na łóżku, obserwując w ciszy, jak wiąże włosy w kok i chowa je pod czepkiem. Kiedy się do niego odwróciła, znów była stateczną akuszerką z wyspy Sealsea. Namiętna kochanka, którą poznał w nocy, zniknęła w fałdach niekształtnej odzieży.

– Teraz ty – poleciła.

Ruszył w jej stronę, ale wyciągnęła dłonie w geście oporu.

– Nie dotykaj mnie. Po prostu się ubierz.

Włożył koszulę. Po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę z tego, jak wykwintną odzież nosi. Pomyślał, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi, gdy wydobreje, będzie wyjazd do Chichesteru. Kupi Alinor najdelikatniejsze halki i koszule gładkie jak jej nieskazitelna skóra. Wciągnął pończochy, spodnie i buty do konnej jazdy, a potem odwrócił się do niej.

– Gotowe – powiedział. – Zadowolona?

Jej ciemne oczy w bladej twarzy były wprost ogromne.

– Nie. Pragnę cię znowu, ale musimy stawić czoło światu i kolejnemu dniu.

Jak echo w głowie zadźwięczały słowa Zachary'ego, że jest kobietą, której nikt nie zdoła zadowolić. Pokręcił głową.

– Dokąd teraz pójdziesz? – zapytał, jakby mogła iść gdzie indziej niż do swojej ubogiej chaty.

– Do domu.

– Zostanę jeszcze kilka dni, a potem będę musiał jechać do Londynu i wrócić do seminarium. – Powierzył jej ufnie swe sekrety, tak jak zaufał, grzesząc. – Ale... Alinor, miłości moja. Dla mnie wszystko się zmieniło. Straciłem wiarę, a moja misja zakończyła się fiaskiem. Muszę im o tym donieść i muszę się wypowiedzieć. A potem zapewne będę musiał odejść. Będę ich błagać, żeby mnie zwolnili.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

– Spowiedź? Powiesz komuś o tym?

– To grzechy śmiertelne. Złamałem tyle ślubów. Muszę się wypowiedzieć. Utrata wiary jest najcięższym grzechem, ale i ten muszę wyznać. I ponieść karę.

– Czy mnie też ukarzą?

Prawie się roześmiał z jej naiwności.

– Nie zdradzę twojego imienia – zapewnił ją. – Nie wiedzą, kim jesteś ani gdzie mieszkasz. Nie będą mogli na ciebie donieść.

– Ale czy musisz mówić... o nas?

– Spowiedź musi być szczerą. Należy wyznać wielkie grzechy i mniejsze również.

Zastanowiła się, który grzech był większy, a który mniejszy. Ale nie zapytała. Nie zamierzała się dopytywać o własną wartość.

– Czy potem mogą cię tam zatrzymać?

– Nie sądzę, żeby chcieli. Zawiodłem we wszystkich sprawach, które mi powierzono, a na dodatek straciłem wiarę.

– Ale czy mimo to mogą cię zmusić, żebyś został? Zatrzymać siłą? Uwięzić?

– Nie zatrzymają mnie wbrew woli, za to rękę. Ale mogą sprawić, że trudno mi będzie wyjechać. Muszę ich przekonać, że jestem pewien podjętej decyzji. Bo jeśli odejdę, to nie będzie już dla mnie powrotu. Wyprę się zarówno obowiązkowi, jak i wiary. Ci ludzie byli dla mnie niczym ojciec i matka. Byli nauczycielami i przewodnikami na drodze do Boga. Będzie im żal, tak jak i mnie.

Alinor patrzyła na niego poważnie.

– Żałujesz?

– Tak. Ale wrócę do ciebie.

Jej rumieniec zdradził mu, ile to dla niej znaczy. Mimo to pokręciła głową i powiedziała cicho:

– Nie wracaj. Dla mnie jesteś wszystkim, ale nie wracaj tu dla mnie. Nie pasuję do ciebie, za wiele nas dzieli. Nie umiałabym odnaleźć się w twoim świecie, a ty nie zdołałbyś żyć w moim.

– Ale kochaliśmy się przecież, jakby świat się skończył!

– Tyle że się nie skończył – zauważyła trzeźwo. Zdobyła się na słaby uśmiech. – Na zewnątrz wszystko toczy się po staremu. Ja muszę wracać do swojego życia, a ty do swojego, jakkolwiek się dalej potoczy. Z wiarą czy bez, z królem czy bez niego. I nawet jeśli dla ciebie wszystko się zmieniło, dla mnie nie. U mnie nic się nigdy nie zmieni.

– Czy nie zmieniłem cię choć trochę? – zapytał. – Sama twierdziłaś, że czujesz teraz pożądanie. Czy znów obrócisz się w kamień?

Odwróciła głowę.

– Nie, nie umrę w środku – obiecała. – Nie zmienię się w martwy głaz. Ale długo z tym pożądaniem nie przeżyję w moim świecie. Muszę być twarda, inaczej biada mi.

– Moja rodzina jest na wygnaniu – powiedział cicho. – Matka i ojciec. A nasze ziemie zostały skonfiskowane. Wiesz, co to znaczy?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mój ojciec został wyznaczony przez króla na doradcę księcia Walii. Kiedy książę udał się na wygnanie, wyjechał razem z nim. Nasz majątek skonfiskowano, w ten sposób parlament nas ukarał. Rodzice są teraz na dworze królowej w Paryżu. Ale gdybyśmy opuścili dwór, dogadali się z parlamentem i zapłacili karę, tak jak to zrobił sir William, moglibyśmy odzyskać majątek. Wróciłbym do rodzinnego domu. Jest w Yorkshire, daleko stąd. To piękny dom. Wokół żyzna ziemia i bogate gospodarstwa. Spróbowałbym to wszystko odzyskać... Ojciec i matka mogliby wrócić do kraju.

– A chcieliby tego? – spytała. – Chcieliby żyć z nowym kapłanem w kościele? W kraju rządzonym przez nowych ludzi? Przez parlament, a nie króla?

Zamachał ręką, chcąc rozwiać jej wątpliwości.

– Chcę tylko powiedzieć, że mógłbym wrócić. Zamieszkać w Anglii, nie na wygnaniu. Nie być już ukrywającym się szpiegiem.

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Miło by mi było wiedzieć, że mieszkasz w swoim domu, stojącym na twojej ziemi. Patrzyłabym na księżyc i myślała o tym, że świeci w tej chwili na ciebie

tak samo jak na mnie. Wyobrażałam sobie, że stoisz na brzegu, a przypląw się cofa, podczas gdy ja stoję tu na rozlewiskach.

– Tam jest zupełnie inny przypląw. Poza tym to i tak w głębi łądu – sprostował, zbity z tropu jej niewiedzą. – Ale nie o tym mówię. Chcę ci powiedzieć, że cię tu nie zostawię. Nie wrócę do domu bez ciebie. Zabiorę cię tam ze sobą.

Patrzyła na niego, jakby mówił do niej po łacinie.

– Co?

– Pojedziesz ze mną do Yorkshire? Zostaniesz moją żoną?

– Żoną? – spytała z niedowierzaniem. – Chcesz mnie poślubić?

– Tak – odparł z przekonaniem. – A dlaczego nie? Skoro nie ma już króla na tronie i biskupów w katedrach i skończyła się ich władza? Skoro wszystkie stany są równe i nie ma już pana i sługi, jak twierdzą radykałowie? Dlaczego miałbym się z tobą nie ożenić?

Wyciągnęła przed siebie dłonie, żeby zobaczyć, jak wygląda skóra kobiety, która ciężko pracuje. Rozpostarła brązową spódnicę, by pokazać rąbek utyłany w błocie.

– Spójrz na mnie – powiedziała. – Przekonasz się, że nie mają racji. Wciąż są panowie i jest pospólstwo. Nie możesz mnie zabrać do swojej matki i prosić, by uznała mnie za synową. Nie mogę jechać z tobą i zostać damą w twoim pałacu. Twoja przyszła żona musi być znacznie wyższego stanu niż ja. Nie możesz mnie postawić na jej miejscu.

Chciał zaprotestować, ale ciągnęła:

– I jest jeszcze coś, o czym zapomniałeś. Jestem żoną Zachary’ego, a oboje wiemy, że on żyje. Moje dzieci znają swego ojca. Nie mogłabym wejść do twego domu jako uczciwa kobieta, jako wdowa. Nie jestem uczciwą kobietą. Jestem ladaczną. Ległam z tobą, nie żądając obietnic, jak portowa dziwka. Teraz też ich nie chcę. Nie mogłabym być nawet twoją kochanką. Do tego też się nie nadaję.

Zaczerwienił się, jakby parzył go jej wstyd.

– Nie mów takich rzeczy! Nie jesteś nierządnicą. Nikogo nie kochałem nigdy tak, jak kocham ciebie! To, co się stało, było święte! Święte, rozumiesz? Dla mnie jesteś pierwszą i ostatnią.

– Wiem, kochany. – Słowa miłości ją uspokoiły; dostrzegł nawet, że się uśmiecha. – Dla mnie też, James, dla mnie też. Ale będę się cieszyć wraz z tobą, kiedy stąd odjedziesz, a ja zostanę.

– Nie zostawię cię tutaj. Chcę być z tobą.

Wzruszyła ramionami, jakby świat, pełen niezrozumiałych rozczarowań, zaserwował jej tylko kolejne.

– Chciałabym, żeby mogło być inaczej – szepnęła.

Podszedł do niej, a ona wyciągnęła do niego rękę – nie żeby go objąć, raczej delikatnie odepchnąć. Dotknęła palcami jego policzka. Porwał jej dłoń i przycisnął do ust.

– Nie rób tego – szepnęła jeszcze ciszej. – Nie będę umiała odejść, jeśli weźmiesz mnie w ramiona. Nie oderwę się od ciebie. Chyba umrę, jeśli będę musiała cię odepchnąć. Proszę, pozwól mi odejść. Muszę odejść. Teraz.

– Przyjdę do ciebie w nocy – szepnął. – Będziemy mogli się pożegnać. Nie tak, jak tu.

– Nie jestem dla ciebie. Pochodzisz z innego świata.

– Przyjdę. Przyjdę w nocy.

– Wtedy się pożegnamy.

– Nie chcę się żegnać. Chcę powiedzieć „do zobaczenia”. To nie może być ostatni raz.

– Dziś w nocy, kiedy się ściemni – zgodziła się z ociąganiem. – Ale to ja przyjdę do ciebie. Dziś będzie przyływ. Ścieżka nie jest bezpieczna. Spotkamy się na łące przy dworze. Tam, gdzie się kiedyś pożegnaliśmy.

– Dziś w nocy – powtórzył, zanim odsunęła skobel i zeszła po drabinie na dół, gdzie zaspani stajenni poili i czyścili konie.

Obserwował ją, gdy szła przez podwórze z koszykiem na ramieniu i schludnym białym czepcem na głowie. Przywitała stajennych miłym „dzień dobry”, a oni odprowadzili ją wzrokiem. Za jej plecami jeden z pachółków wykonał obsceniczny gest, ruszając tyłkiem, jakby spółkował, ale drugi zrobił coś jeszcze gorszego. Nazbierawszy śliny w ustach, splunął w ślad za nią, zamykając kciuk we wnętrzu zaciśniętej dłoni w prastarym geście mającym chronić przed wiedźmą.



– Jego lordowska mość chce was widzieć – powiedziała pani Wheatley, kiedy Alinor weszła do kuchni. – Dobry Boże! Reekie, w życiu nie widziałam cię w takim nastroju. Cała aż promieniejesz!

– To zasługa waszej kuchni – powiedziała Alinor lekko. – Lepiej jadłam przez ostatnie dwa dni niż przez resztę życia. Muszę częściej przychodzić do dworu, jeśli nadarzy się okazja.

– Dzięki Bogu, uniknęliśmy zarazy! – Kucharka westchnęła.

– Amen – odparła Alinor stosownie. – Jego lordowska mość ma się dobrze?

– Tak, ale kazał ci przyjść do zbrojowni, zanim odejdiesz. Idź zaraz, chłopak cię zaprowadzi.

– Nie wiecie, po co chce mnie widzieć? – Alinor się zawahała.

– Ani chybi, żeby podziękować – odparła kucharka. – Oszczędziłaś nam wielkiego zmartwienia. A być może ustrzegłaś całą wyspę od zarazy. Idź, nie masz się czego obawiać.

– Dziękuję. – Alinor ruszyła do drzwi prowadzących w głąb domu.

– A wróc tą samą drogą, to dam ci bochenek chleba, żeby ci ten rumieniec z lica nie zniknął.

Alinor uśmiechnęła się i poszła za służącym w stronę drzwi do ogrodu i zbrojowni lorda.

Sir William siedział przy stole, czyszcząc skałkową flintę. Kiedy zapukała i weszła, podniósł wzrok. Skinął głową.

– Reekie, jestem wam wdzięczny – powiedział, zaglądając w lufę. – Bogu dzięki, że na gorączce się skończyło.

Dygnęła ponownie. Lord skupił się na strzelbie, żeby nie zerkać na jej piersi, rysujące się pod niekształtnym kaftanem.

– Wasz syn, Robert, świetnie sobie poradził w destylarni. To bystry chłopak. Dostarczył wam wszystko, czego potrzebowaliście?

– Tak, wie, czego trzeba przy gorączce – odparła. Własny głos wydał jej się zbyt piskliwy, światło za ostre, głos lorda zbyt donośny.

– Nikt mu nie mówił, co ma robić. Sam wszystko wybrał? – Sir William wziął kawałek wełnianej szmatki i zaczął polerować pięknie emaliowaną kolbę.

– Przyglądał mi się od dziecka. Ma talent do ziół.

– James Summer mówił jakiś czas temu, że nadałby się na pomocnika u medyka albo aptekarskiego czeladnika.

Alinor spuściła głowę.

– Tak sądzę. Ale nie stać nas, żeby opłacić mu termin.

Jego lordowska mość odłożył szmatę i olej, odstawił strzelbę na stojak i rozsiadł się wygodnie. Zmierzył ją wzrokiem i znów zrobiło mu się żal, że jest

szacowną kobietą i siostrą pobożnego człowieka.

– Powiem wam coś, dobra kobieto. Zrobię to dla was. Rob to porządny chłopak, przynosi wam chlubę. Był dobrym towarzyszem mojego syna, a wy oddaliście mi wielkie usługi. Teraz kiedy nauczyciel zachorzał... i wcześniej, wiecie kiedy.

Alinor oniemiała.

– Wasza lordowska mość...

Sir William pokiwał głową.

– Każę Tudeleyowi wszystko załatwić. Oddamy go do terminu, do aptekarza. Wyuczy się i zdobędzie zawód. Tak. Chichester albo Portsmouth, jak sądzę.

Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Tak – powtórzył, myśląc, jak piękną jednak jest kobietą. Gdyby ta wyspa nie była takim plotkarskim grajdołkiem, a do tego tak świętoszkowatym, mógłby ją sprowadzić do domu, zatrudnić jako służącą i używać sobie do woli.

– Przykro mi, ale nie mogę przyjąć propozycji waszej lordowskiej mości. Nie stać nas nawet na ubrania, jakich będzie potrzebować. Nie mamy żadnych oszczędności.

– Tudeley się tym zajmie – rozwiązał jej wątpliwości. – Co wy na to? Damy mu ubrania i zapłacimy termin. Jako zapłatę za waszą... pomoc. Co wy na to?

Jej twarz się rozjaśniła.

– Zrobi to wasza lordowska mość? Naprawdę?

Sir William pomyślał, że zrobiłby znacznie więcej, gdyby zechciała, ale pokiwał tylko głową.

– Będzie taki szczęśliwy. Będzie ciężko pracował... – mamrotała podziękowania. – Jesteśmy dłużnikami waszej lordowskiej mości... Na zawsze... Nie wiem, jak dziękować!

– Załatwione – rzekł lord. – Ciężkie czasy nastały dla nas wszystkich, rozumiecie?

Pokiwała ochoczo głową, zastanawiając się, co ma tym razem na myśli.

– Dla niektórych niebezpieczne.

– Tak, panie.

– Rozumiem, że w gorączce nauczyciel nie mówił zbyt wiele?

Alinor zerknęła na niego spod czepka. Domyśliła się, że padło właśnie pytanie kluczowe dla całej tej rozmowy.

– Mówił, sir?

– W gorączce. Ludzie w gorączce mówią różne dziwne rzeczy, kiedy ich umysł nęka choroba, nieprawdaż? On nic takiego nie mówił? Nic, co nie powinno być szerzej usłyszane? W ogóle usłyszane? Ani powtarzane, nawet tutaj?

– Niczego takiego nie słyszałam. – Ostrożnie dobierała słowa, wiedząc, że to bardzo ważne. Czuła się boleśnie nieprzygotowana do rozgrywki z tak potężnym człowiekiem jak Pechaey. – Sir, ludzie w malignie często mówią niestworzone rzeczy. Rzeczy, których na jawie nigdy by nie powiedzieli. Nie zwracam na nie uwagi i nigdy nie powtarzam. Nigdy nie wspominam o tym, co zobaczyłam albo usłyszałam od chorego. Bycie głuchą na pewne rzeczy jest częścią mojego rzemiosła. A milczenie jest powołaniem kobiety. Nie szukam kłopotów. Nikomu nie powiem ani słowa o dniu, który tu spędziłam, doglądając pana Summera.

Pokiwał głową, ważąc, czy może na niej polegać.

– Nawet bratu?

Spojrzała na niego bystro.

– Zwłaszcza jemu.

– Widzę, że się rozumiemy. Możecie już uważać waszego syna za aptekarczyka w Chichesterze.

Skłoniła głowę i złożyła dziękczynnie dłonie.

– Dziękuję wam, panie – powiedziała szczerze.

Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej garść monet. Ułożył je w stosik i posunął na blacie w jej stronę.

– Oto wasze wynagrodzenie za opiekę nad nim. Dziesięć szylingów za dzień. Macie funta. I moją wdzięczność.

Wzięła pieniądze ze stołu, lekko skłaniając głowę, i włożyła je do kieszeni fartucha.

– Dziękuję.

Lord wstał i obszedł stół. Stał przed nią i położył jej dłoń na ramieniu.

– Mogłabyś przyjść w nocy – rzekł, nie mogąc się oprzeć i patrząc na zarys jej piersi pod materiałem kaftana. – Do mnie.

Zacisnął mocniej palce i pociągnął ją ku sobie, lecz ku jego zaskoczeniu ani drgnęła. Nie dała się pociągnąć, ale też nie szarpnęła się do tyłu. Stała w miejscu jak wrośnięta w podłogę.

– Wiecie, sir, że nie mogę tego zrobić. Gdybym to zrobiła, nie mogłabym zatrzymać zapłaty. Te pieniądze stałyby się kurwim groszem. I jakże mogłabym kiedykolwiek podnieść głowę? Jak mogłabym pozwolić, żebyście byli patronem

mojego syna? Nie byłabym więcej uczciwą poddaną swojego dobrego pana. A tego nie chcę.

Jego uścisk słabł, jakby palce drętwiały mu od mrozu. Kobieta stała jak głaz, jak głóg, który zapuścił głębokie korzenie. Nie był w stanie pociągnąć jej ku sobie. Patrzyła na niego chłodnym, pewnym siebie wzrokiem, aż poczuł się głupio. Przypomniawszy sobie, co ludzie o niej mówili – że potrafi mocą spojrzenia odjąć mężczyźnie władzę w członku.

– Tak – rzekł po chwili. – Tak przypuszczam.

Zapadła cisza. Alinor nie wyglądała na poruszoną. Wydawało się, że ani jej nie zaszczycił, ani nie przestraszył. Czekwała po prostu, aż zabierze rękę z jej ramienia i pozwoli odejść. Przypuszczał, że mężczyźni pożądaliby jej przez cały czas, więc łapanie w pasie czy za piersi traktowała jak powszednią niedogodność. Jak deszcz, na przykład.

– No dobrze. – Puścił ją i wrócił na swoje miejsce za stołem, jakby chcąc odzyskać autorytet. – A więc tak, twój syn. Może udać się do terminu, kiedy Walter wyjedzie na uniwersytet.

Pokiwała głową.

– Kiedy to nastąpi, panie? – spytała spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło. Jakby to była tylko kolejna rzecz, której nie widziała i o której nie powinna mówić.

Chociaż przed chwilą odrzuciła jego zaloty, musiał się uśmiechnąć, widząc jej chłodny wdzięk.

– Po świętach. W wielkim poście.



Alinor prędko wracała do domu sekretnymi ścieżkami przez bagnisko. Trwał odpływ. Wchodząc w głąb zatoki, słyszała syk i cmokanie fal niechętnie opuszczających ląd. Kiedy mijała szopę na sieci, doleciał ją grzmot – to młyn zaczynał pracę. Widziała, jak woda w kanale kłębi się i pędzi w jej stronę. Skręciła w stronę lądu i wspięła się ścieżką do swojej chaty. Otworzyła drzwi, rozejrzała się po wnętrzu, które nagle wydało jej się ciasne i ubogie, nawet w porównaniu z kwaterą dworskich stajennych. Wyglądało na to, że najlichsze sługi żyją lepiej niż ona. Schowała chleb, który dostała w Priory, i stwierdziła, że ogień na piecu wygasł. Uniosła jeden z kamieni paleniska. Znalazła pod nim

bezpiecznie schowaną sakiewkę z oszczędnościami. Dorzuciła do niej dwadzieścia szylingów za opiekę nad Jamesem, słuchając miłego brzęku monet. Potem włożyła kamień na miejsce i przysypała go popiołem.

Wstała, otrzepała suknię i podeszła do drzwi. Przez chwilę spoglądała na zagracone wnętrze, niski strop i polepę z ubitej gliny. A potem znużył ją widok własnej nędzy, więc wyszła, zamykając drzwi za sobą. Ruszyła ścieżką na skarpie w kierunku promu.

Drzwi do domu przewoźnika były zamknięte. Prom szarpał cumę, ciągnięty przez cofającą się wodę. Bród był już prawie suchy. Alinor zakasała suknię i weszła do zimnej wody. Przedostała się na drugi brzeg i poszła dalej drogą do młyna. Alys szła właśnie przez podwórze, niosąc skopek pełen jajek. Teraz, kiedy żniwa się skończyły, Millerowa zatrudniała ją do najróżniejszych prac. Dziewczyna pracowała w ogrodzie, karmiła kury i kaczki, zrywała owoce i robiła z nich przetwory, wędziła szynki i przygotowywała mięsa. Oprócz tego pracowała w mleczarni i przy piwie. Kiedy we młynie brakowało rąk do pracy, pomagała ważyć i ładować mąkę do worów. Zawsze była praca przy pieczeniu chleba, a poza tym mnóstwo naczyń do mycia, szorowania i wyparzania – zarówno w kuchni, jak też w mleczarni i browarze.

Richard Stoney wybiegł z młyna i podskoczył do Alys, żeby pomóc jej dźwigać. Odpędziła go, ale złapał ją za rękę i przycisnął do ust. Alys podniosła wzrok i dostrzegła matkę. Richard ukłonił się lekko i popędził z powrotem. Dziewczyna podeszła do bramy, pochyliła głowę, prosząc o błogosławieństwo, a potem ucałowała Alinor.

– Więc to nie zaraza – ucieszyła się, wiedząc, że matka nigdy by nie została w ubraniach, które miała na sobie, opiekując się zarażonym. Kiedy wracała z domu, w którym ktoś umarł, zawsze myła ręce i przycinała włosy, żeby nie przywlec za sobą nieszczęścia.

– Nie, dzięki Bogu. We dworze też byli szczęśliwi. James Summer zachorował i bardzo się obawiali o panicza Waltera. – Uśmiechnęła się. – Widzę, że Richard Stoney rwie się do pomocy.

Myślała, że Alys się roześmieje, ale dziewczyna tylko pokraśniała i spuściła wzrok.

– Nie może patrzeć, jak ciężko tu pracuję. Chciałby dla mnie lepszego życia. Dla nas obojga.

– To ładnie. Jak spędziłaś czas w gościnie?

– Bardzo przyjemnie. Byli dla mnie mili i... – Przerwała, a jej twarz zajaśniała. – Wiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem – powiedziała półgłosem Alinor.

– Co dolegało panu Summerowi?

– Jakiś rodzaj gorączki. Minęła w nocy. Ale, córuś...

– Mogę wrócić na noc do domu?

Alinor nie miała powodu szukać wymówek, lecz z poczuciem winy zdała sobie sprawę, że jak nigdy dotąd wolałaby być w chacie sama.

– No pewnie. Mam chleb. Dostałam we dworze. Zjesz na kolację.

– Przyniosę twaróg. Będziemy go dzisiaj robić z Jane po południu i pani Miller na pewno da mi trochę.

– Jest w domu? – spytała Alinor.

– W kuchni. Zła jak osa.

– Plecy znowu ją bolą?

– Raczej dupsko od siedzenia – wypaliła wulgarnie Alys i Alinor trzepnęła ją lekko w łepetynę.

– Lepiej się zachowuj, jeśli chcesz, żebym poszła i porozmawiała z rodzicami Richarda.

Twarc córki z miejsca się rozjaśniła.

– Pójdiesz do nich?

– Skoro ci się oświadczył, a ty też tego chcesz, to będę musiała z nimi pogadać.

– Och, mamusiu! – Alys rzuciła jej się na szyję. – Ale... Sądzisz, że możemy już mówić o ślubie? Czyżby lord tak hojnie ci zapłacił?

– Zapłacił. Fortunę. Ale dał coś jeszcze lepszego niż pieniądze. Rob zostanie czeladnikiem u aptekarza w Chichesterze. To lepsze, niż gdyby wypłacił mi dziesięć funtów. Teraz, kiedy wiem, że Rob ma zapewnioną przyszłość, mogę przeznaczyć oszczędności na twój posag.

Alys nawet przez głowę nie przeszło, że matka zostanie bez grosza na wypadek jakiegoś nieszczęścia. Myślała tylko o tym, że będzie mogła poślubić ukochanego.

– Ile masz? – spytała ciekawie.

– Funta i piętnaście szylingów – odparła Alinor z dumą. – Johnson zapłacił mi dobrze za opiekę nad żoną podczas porodu. A łódź kosztowała ledwie trzy

szylingi. Razem caluśki funt i piętnaście szylingów. Sir William dał mi funta za opiekę nad nauczycielem. W życiu nie miałam tyle pieniędzy.

– Jak ci się udało tyle odłożyć?

– Rob zarabia – powiedziała, przemilczając fakt, że dostała pieniądze za sprowadzenie Jamesa do dworu. – Johnson, lord, zioła, no i połowy. Szczególnie homary.

– Ale to i tak nie wystarczy.

– Trzydzieści pięć szylingów z góry? I jeszcze więcej w przyszłości? – zdziwiła się Alinor. – Będą zaskoczeni, że mamy tak wiele. Możemy powiedzieć, że Rob zostanie aptekarzem. Obieca, że będzie oddawał część zarobków.

– To za mało. Liczyli na to, że synowa wniesie im w posagu ziemię. Mają na oku córkę sąsiada, który ma pola za płotem. Richard przysięga, że się z nią nie ożeni. Powiedział rodzicom, że chce poślubić mnie. Musimy ich zmusić, żeby się zgodzili.

– Zrobimy, co się da – obiecała Alinor cicho. – Powiedz Richardowi, że odwiedzimy ich jutro, w drodze na targ.

– O, mateczko! – szepnęła Alys i ze szczęściem wymalowanym na twarzy popędziła przez podwórze. Alinor zastukała do kuchennych drzwi i weszła do środka.

Pani Miller, schylona nad kuchennym stołem, wyrabiała ciasto. Gniotła je, wałkowała i tłukła. Alinor przemknęło przez myśl, że będzie twarde jak serce gospodyni.

– A, Reekie – powiedziała niechętnie, kiedy Alinor weszła do kuchni. – Alys mówiła, żeście leczyli kogoś we dworze.

– Nauczyciel młodego panicza zachorował. Ten, który tu był na dożynkach, pan Summer.

Żadna z nich nie kwapiła się do rozmowy o dożynkach. Millerowa dobrze pamiętała, jak James Summer podszedł do Alinor – młodszej i piękniejszej – gdy tylko uprzątnięto stoły, a potem ona wybiegła z podwórza, zostawiając córkę bez opieki, skutkiem czego dziewczyna tańczyła całą noc z Richardem.

– Zachorzał? – spytała. – W Newport się zaraził? Wcale bym się nie zdziwiła. Na Wight zawsze szerzy się gorączka, gdy nadejdzie lato.

– Tak, złapał gorączkę – potwierdziła Alinor. – Nagłą i bardzo wysoką, ale już mu lepiej.

– Tyś się nim opiekowała?

– Sir William nalegał. Posłał po mnie natychmiast, żebym sprawdziła, czy to aby nie zaraza.

– Boże, miej nas w opiece!

– Amen.

– Ale to nie zaraza?

– Nie. Nie byłoby mnie tu, gdyby istniało jakieś niebezpieczeństwo. Nie przywlekłabym zarazy do waszego domu, pani Miller.

– Nawet o tym nie mów – rzekła młynarzowa cicho i odpukała palcem w blat stołu, tak jakby Alinor mogła sprowadzić zarazę, tylko o niej wspominając.

Alinor też odpukała, choć nie była przesądna.

– Macie rację. Przyszłam tylko spytać, czy nie potrzebujecie, żebym wam przygotowała jakieś zioła. Będę robić wywary i olejki u brata. A, i spytam jeszcze, czy Alys może mieć jutro dzień wolny.

– Przydałby się olejek z bazylii i żywokostu. A dziewczyna może mieć wolne. Nie mam tyle roboty, żeby ją tu ciągiem trzymać. Całymi dniami obija się na podwórzu i papie z mężczyznami. Muszę wam powiedzieć, że ugania się za młodym Stoneyem od świtu do wieczora.

– Przykro mi to słyszeć. – Alinor opanowała chęć wzięcia córki w obronę. – Porozmawiam z nią. Ale ona tyle się od was uczy, pani Miller. Przy nabiale i przy pieczeniu...

– Oczywiście, że w dużej kuchni mogę więcej zrobić niż wy w waszej chatynie. – Młynarzowa zmiękła pod wpływem pochlebstwa. – Śmiem twierdzić, że moja kuchnia jest większa nawet niż dom przewoźnika. Wybieracie się na targ do Chichesteru?

– Owszem. Trzeba wam coś kupić?

– Nie stać mnie, żeby marnować pieniądze na byle co. Ale jakbyś widziała koronkę... Tyle, żeby kołnierz obszyć i fartuch jeszcze. Nie za zbyt kówną, nie za fikuśną... wiesz, jakie lubię. To możesz mi kupić, jeśli nie będzie zbyt droga. I dla Jane też. Dołożę jej do kufra z wyprawą.

– Dobrze, kupię – odparła Alinor. – Jeśli znajdę coś ładnego.

– Dam pieniądze – powiedziała pani Miller. – Oddasz, jak nie znajdziesz nic odpowiedniego.

– Zapłacę ze swoich. A wy mi oddacie, jeśli coś znajdę.

– Nie stać cię – oznajmiła z wyższością młynarzowa. – Chciałabym coś wartego najmniej trzy szylingi, a wiem, że tyle przecież nie macie. Odwróć się,

dam ci pieniądze.

Alinor posłusznie odwróciła wzrok, patrząc na wypolerowany cynowy dzbanek i samotną srebrną tacę, które pyszniły się na półce kredensu. Usłyszała, jak kobieta wysuwa szufladę w wielkim drewnianym stole, wyciąga sakiewkę i prychnęła z irytacją, nie znajdując w niej wystarczającej kwoty.

– Czekaj – mruknęła. – Jeszcze chwila.

– Nie ma pośpiechu – odparła Alinor uprzejmie. Myślami była daleko od pani Miller i jej sakiewki, skupiona na żarze, który trawił jej usta i ciało, i na tęsknocie za Jamesem.

– Jedną chwilę – powtórzyła pani Miller, ale teraz jej głos dobiegł tuż zza pleców Alinor, dziwnie zniekształcony przez echo. Alinor zaskoczona poderwała głowę i zobaczyła w srebrnej tacy odbicie młynarzowej, która stała na piecu, wydając czerwona skórzaną sakiewkę z otworu w ceglany kominie. Kobieta odwróciła się i napotkała jej spojrzenie odbite w tacy. Alinor spuściła wzrok i usłyszała zgrzyt wsuwanej na miejsce cegły.

– Możesz się już odwrócić – rozkazała młynarzowa, zadyszana i zła, że ujawniła kryjówkę. – Posag Jane. Pożyczam tylko, bo mi brakło.

– Oczywiście – rzekła Alinor spokojnie, patrząc w podłogę i omijając wzrokiem komin.

– Przecież to moje własne pieniądze. – Kobieta zarumieniła się i pośpiesznie wytarła usmolone palce w fartuch. – To ja je dla niej zbieram. I chyba mogę pożyczyć, skoro składam je już tyle lat, odkąd była dzieckiem.

– Rozumiem. I nic nie widziałam.

– Twoja matka miała taką samą sakiewkę. Kupiliśmy je razem od handlarza. Z czerwonej skóry.

– Wciąż ją mam – powiedziała Alinor. – A waszej się nie przyglądałam.

– Wiem, że nie – skłamała młynarzowa. – A nawet gdyby, cóż z tego? Jakoś się nie zdobyłam, żeby zanieść ją do złotnika. Lubię mieć ją przy sobie, na oku. To i zawsze mogę coś do niej dołożyć. Nie mam nic przeciwko temu, że wiesz, gdzie ją trzymam. Przecież znam cię od dziecka. Wasza matka była i przy moim narodzeniu.

– Tak było – przyznała Alinor.

Millerowa wcisnęła jej trzy szylingi do ręki.

– Jak znajdziesz jakąś koronkę, nie za fikuśną, możesz zapłacić do trzech szylingów.

Monety, trzymane w pobliżu ognia, były gorące. Alinor uznała, że każdy kto by ich dotknął, od razu domyśliłby się kryjówki, odparła jednak lekko:

– Rozejrzę się za czymś. Przyniosę wam jutro po południu.

– Doskonale. Niech Alys pozrywa z tobą zioła dla mnie, a potem może iść do domu. Nie będę jej już dzisiaj potrzebować.

– Dziękuję. – Alinor poszła po córkę, żeby pomogła jej zrywać bazylię i żywokost w warzywniku pani Miller.



James pakował juki w sypialni we dworze. Włożył do nich czystą koszulę, czyste spodnie, Biblię i sakiewkę z resztą złota, które dostał od królowej, żeby kupić wolność dla jej męża. Sir William stał przy oknie i spoglądał na sad.

– Możesz zostawić tutaj swoje kapłańskie sprzęty – rzekł. – Przechowam je bezpiecznie do twego powrotu.

– Dziękuję – powiedział James. – Jeśli nie wrócę, wasza lordowska mość może być pewny, że pojawi się inny ksiądz. – Spróbował się uśmiechnąć. – Mój następca. Mam nadzieję, że lepiej sobie poradzi.

– Nie bądź dla siebie taki surowy. Wypełniłeś swoją część zadania. Dotarłeś do niego, miałeś niezły plan i statek gotowy do drogi. Nie zawiodłeś. Nie ukradłeś powierzonego złota. Nie zdradziłeś go. Połowa ludzi, którymi się otacza, czym prędzej sprzedałaby go naszym wrogom. Gdyby zechciał, cieszyłby się teraz wolnością, a ty byłbyś wybawcą królestwa.

– Owszem – mruknął James. – Ale nie zechciał, a mnie bardzo daleko do wybawcy królestwa. Jestem nikim. Gorzej, jestem nikim i nie mam ani domu, ani rodziny, ani wiary. Nie mam też króla.

– Och! Młodość wszystko traktuje z tak śmiertelną powagą. Przejdzie ci. Nawet nie zdążyłeś do końca wydobrzeć po chorobie. Dopiero co wstałeś z łoża. Kiedy wrócisz do Francji, powiedz braciom, że potrzebujesz nieco czasu. Odpocznij, jedz dobrze i dopiero wtedy mów o wątpliwościach, które cię trapią. Wszystko wygląda inaczej, kiedy człowiek jest kontent. A żeby był kontent, najpierw musi się wyspać i dobrze zjeść. Zaufaj mi. Czasy są ciężkie dla nas wszystkich. I musimy je przetrwać, idąc krok po kroku. Czasami się cofnąć, czasem przeć naprzód. Ale wciąż idziemy. I ty również ruszysz do przodu.

James zawiązał sakwę i wyprostował się. Nawet lord, z natury człowiek beztroski, był wstrząśnięty posępnym wyrazem bladej twarzy młodzieńca.

– Bardzo chciałbym w to wierzyć, ale czuję się tak, jakby wszystko, co znałem, wszystko, czym byłem, zostało ze mnie wydarte. Jedyne, o co się modłę, to aby pozwolono mi robić co innego. Poświęcić się całkowicie innemu życiu.

– No cóż, może i taka przyszłość jest ci pisana, kto wie? Żyjemy w czasach wielkich zmian. Któż może zgadnąć, co się wydarzy? Ale zawsze jesteś tu mile widziany. Jeśli wyślą cię znowu do Anglii, możesz się tu zatrzymać. Jako nauczyciel Waltera, póki nie wyjedzie do Cambridge, a potem zawsze jako miły gość.

– Co się stanie z młodym Robertem?

– O to już zadbałem. Mamy pewien dług wobec tej Reekie, nie sądzisz? Przybyła natychmiast, kiedy ją wezwałem, i zaopiekowała się tobą, choć jeszcze nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Mogło być i tak, że dałaby się zamknąć z umierającym. Ryzykowała zarażenie; Bóg jeden wie, jak to wszystko mogło się skończyć. Dobrze się tobą zajęła?

James otworzył drzwiczki szafy, żeby ukryć twarz przed wzrokiem lorda.

– W najwyższym stopniu należycie – powiedział do pustych półek.

– I jasno dała do zrozumienia, że będzie trzymała język za zębami. Nie pisnęła nikomu ani słówkiem o tym, jak cię znalazła, kiedy tu przybyłeś. Można jej zaufać. Obiecałem jej, że oddam chłopca do terminu u aptekarza w Chichesterze. Tudeley się tym zajmie. Trochę to będzie kosztować, ale jej milczenie jest warte tej ceny. A poza tym, czując się zobowiązana, zachowa je na zawsze.

– Cieszę się. – James odwrócił się do niego. – To bardzo wspaniałomyślne ze strony waszej lordowskiej mości. Tej kobiecie należy się odrobina szczęścia od losu. Nie mówiłem wam, ale wpadłem na jej męża w Newport. Powiedział, że nie ma zamiaru wracać do domu.

– Zachary Reekie. – W głosie sir Williama zabrzmiała arystokratyczna odraza. – Żadna strata, jakby mnie kto pytał. Choć lepiej byłoby, gdyby utonął. A już dla niej na pewno tak byłoby lepiej.

– Owszem. Stawia to ją w paskudnej sytuacji.

– Nie do końca, o ile nie będzie go widywać i nikt go nie spotka. Jeśli nikt nie doniesie o tym, że jej mąż żyje, za siedem lat będzie mogła ogłosić się wdową.

– Siedem lat?

– Tak stanowi prawo.

– Czy ona o tym wie?

– Niby skąd? Wątpię nawet, czy w ogóle potrafi czytać.

– Potrafi. Ale prawa nie zna. Nawet ja tego nie wiedziałem. Więc jeśli nikt go nie spotka przez siedem lat, wtedy będzie wolna?

– Tak jest. – Sir William znacząco dotknął palcem nosa. – Siedem lat, odkąd zaginął. A zniknął... kiedy? Chyba zeszłej zimy, kiedy flota była jeszcze pod komendą parlamentu. Zanim ją odzyskaliśmy. Uciekł do nich, jak można się było spodziewać po takim łotrze, i już nie wrócił. A więc nie ma go prawie rok. Jeszcze sześć lat i będzie sobie mogła znaleźć nowego męża. To młoda kobieta. Jeśli uda jej się zachować przez ten czas dobre imię, czeka na nią nowe życie. Niejeden chłop chętnie ją weźmie. Powiem więcej: niejeden chętnie weźmie ją za żonę.

– A więc może powtórnie wyjść za mąż?

Sir William puścił do niego oko.

– Dopóki nikt nie spotka Zachary'ego żywego. Zapamiętaj to sobie. Jeśli chcesz jej oddać przysługę, lepiej to zapamiętaj.

– Nikt go nie widział – powiedział James. Czuł, że duch znowu w niego wstępuje. Alinor mogła odzyskać wolność, zostać zwolniona z małżeńskiej przysięgi i mimo jej słów być może czeka ich jeszcze wspólna przyszłość. – Absolutnie nikt go nie widział. Nie żyje i już. A ona za sześć lat może ogłosić się wdową.

– Otóż to – rzekł sir William. – To piękna kobieta. Szkoda, żeby się zmarnowała na tym bagnie.

– Nie przyglądałem jej się aż tak uważnie – bąknął ostrożnie James.

– To przecież musiałeś zauważyć! – wykrzyknął Peachey. – Mówią o niej stąd do Chichester, że jest najpiękniejszą kobietą w całym Sussexie. Kilka lat temu znalazł się nawet jeden głupek, co balladę o niej napisał. Zatytułował ją „Piękność z Sealsea” czy jakoś tak. Sam bym ją chętnie wychędożył, gdyby nie to, że Walter w domu, a jego matka niedawno pochowana. A wszyscy na tej przeklętej wyspie wiedzą wszystko o wszystkich i zrobili się ostatnio cholernie świętoszkowaci.

James poczuł znajome uczucie odrazy na myśl o kłopotach, które zdawały się towarzyszyć Alinor nawet tutaj, wśród lepszych od niej.

– Lepiej zostawić ją w spokoju – poradził szybko. – Wtedy może wyjdzie dobrze za mąż i odmieni swój los.

– Pewnie – zgodził się lord. – Jej brat to okrągłogłowy i nie kryje się z poglądami jak pies ze szczaniem. A sytuacja jest chwiejna. Nie tak jak za dawnych dobrych czasów, kiedy każdy wiedział, na czym stoi. Mój ojciec wzięłby chłopską żonę za stogiem i nikt by słowa nie powiedział. Chyba że „dziękuję waszej lordowskiej mości”.

– Tak – rzekł James, hamując się. – Nie ma to jak stare dobre czasy.

– Tak czy siak, powiadają, że nie sposób jej przymusić – zdradził mu sir William. – Ponoć jakiś dureń próbował ją wziąć wbrew woli, kiedy wracała z targu. Szepnęła coś tylko i z miejsca odebrało mu męskość. Opowiadał, że kutas mu zmiękł niczym rybi flak, a krew w żyłach zamarzła. Tak go ukrzywdziła, zanim on jej krzywdę zdążył zrobić.

– Naprawdę?

– Plotki. Plotki zawsze krążą wokół urodziwej baby. Zwłaszcza zręcznej. Mówią, że wiele potrafi... Po tym wszystkim nazwali ją zaklinaczką fiutów. Mówią, że potrafi zmrozić mężczyźnie krew w żyłach albo przeciwnie – sprawić, że mu stanie, twardy jak skała. Muszę rzec, że chętnie bym się przekonał.

James miał już dość wysłuchiwanie wulgarnych plotek o Alinor.

– Zapewne pobożnie do niego przemówiła i stracił wolę do grzechu – rzekł, wznosząc oczy ku niebu.

– A kto tam wie, co ona potrafi?

– Wiadomo tylko, że zna się na ziołach – uciął James.

– Może. Na tej wyspie ludzie wierzą we wszystkie brednie. Jej matka była wiedźmą, to pewne. Ale leży pogrzebana w poświęconej ziemi i właściwie nikt jej nie badał. Jej bratowa zmarła przy porodzie, ale oczywiście brat wszystko uciszył. Tak czy owak... nas to nie dotyczy. Ta kobieta, czymkolwiek jest, zobowiązała się wobec nas i dostała pieniądze. A ty wiesz, że jesteś tu mile widziany, kiedykolwiek zechcesz wrócić. Jeśli masz życzenie, możesz zostać nawet teraz.

– Wyjeżdżam jutro – oświadczył James, ciesząc się ze zmiany tematu. – Muszę ruszyć do Londynu, a potem statkiem do Francji. Wrócę do swego zgromadzenia, żeby się wypowiedzieć. Jeśli zostanę zwolniony, być może zjawię się w Anglii. Może do następnego spotkania uda mi się odzyskać dawny tytuł i dom.

– Mam nadzieję. Bóg mi świadkiem, że liczę na to. Zaslugujesz, by tak się stało – rzekł twardo sir William. – I pamiętaj, że to nie twoja wina. Jego Wysokość wybrał własną drogę. Módlmy się do Boga, żeby wybrał właściwie i zaprowadziła go ona z powrotem na tron. Módlmy się, żebyście obaj, ty i on, wrócili bezpiecznie do domu.



Alinor i Alys namoczyły najlepsze czepki i koszule w wodzie z dodatkiem moczu. Zostawiły je do bielienia na całe popołudnie, a potem wypłukały w zimnej wodzie ze stawu i rozwiesiły na sznurku obok suszących się ziół.

– Chyba nie zasnę – powiedziała Alys.

– Lepiej zaśnij – ostrzegła ją Alinor. – Nie pokażę swojej córki przyszłym teściom, jeśli będzie zielona niczym spleśniałe ciasto.

– Spleśniałe? – oburzyła się dziewczyna.

– I z ciemnymi workami pod oczami, jak stara pijaczka.

– Dobrze już, dobrze. Będę spała, obiecuję.

– Wstąpię jeszcze do wuja. Nie zejdzie mi długo.

– Dobrze – zgodziła się Alys. Zdjęła z siebie robocze ubrania i położyła je na kocu. W samej koszulinie, z włosami splecionymi w warkocz, wsunęła się do łóżka i podciągnęła koc pod brodę. Znów wyglądała jak mała dziewczynka i Alinor cofnęła się od drzwi, żeby pocałować ją w czoło.

– Dobrze się zastanowiłaś? – spytała. – Jesteś bardzo młoda jak na zamążpójście.

Promienny uśmiech Alys dosłownie rozświetlił izbę.

– Tak, mamusi. Jestem pewna. Zresztą mam tyle samo lat co ty, kiedy wychodziłaś za tatę.

– To akurat nie była najlepsza decyzja – powiedziała Alinor cicho.

– Ale lat mam tyle samo.

– Tak.

– Myślisz, że wróci do domu? Tata? Kiedy się dowie, że wychodzę za męża, myślisz, że wróci? Na mój ślub?

Alinor zawahała się.

– Alys, ja myślę, że on nigdy nie wróci do domu.

Dziewczyna zatkała sobie uszy.

– Nic więcej nie mów! – krzyknęła. – Stoneyowie ledwie mnie tolerują. Mają nadzieję, że tata zaginął, ale wróci bogaty. Jeśli im powiem, że po prostu od nas odszedł, nigdy nie zgodzą się na mój ślub z Richardem. Będę dla nich zwykłą nędzarką.

Alinor siłą oderwała jej dłonie od uszu i ścisnęła we własnych spracowanych rękach.

– Ja nic nie powiem. A ty możesz mówić, że nie wiesz nic na pewno.

– Bo tak jest. – Alys pokiwała głową. – To Mokradła, tu nic nie jest pewne.



Alinor narzuciła płaszcz, bo znad zatoki ciągnęła zimna i wilgotna mgła. Wyszła z ogrodu i skręciła w stronę domu przewoźnika. Na szczycie skarpy skręciła jednak ponownie i ruszyła ścieżką ukrytą w zaroślach, która biegła za chatą w kierunku Priory i brzegu morza. Trwał przypływ, woń morskiej soli nadciągała znad wody wraz z pasmami mgły. Kiedy spojrzała w prawo, w głąb lądu, nad polami rozciągającymi się za wydmą ujrzała jasną sylwetkę sowy polującej wśród żywopłotów. Ptak leciał cicho jak duch, jego wielkie oczy widziały w ciemnościach.

Nieco dalej zeszła z nasypu na wąski pasek suchej plaży, którą lizały już fale, a potem wspięła się po kilku kamiennych schodkach w miejscu, gdzie błotniste pole stykało się z moczarami. Szare kamienie tkwiły w szarym błocie pod szarym niebem. Szybko przeszła miedzą obok dzwonnicy, sterczącej jak palec ostrzegawczo wyciągnięty ku ciemniejszemu niebu. Znów skręciła przy starym słupie cumowniczym, który tkwił głęboko w wodzie obrośnięty wodorostami. Przeszła podmokłą łachę, gdzie malutkie muszelki chrzęściły pod stopami, i wspięła się na wysoki brzeg nadmorskiego pastwiska.

Kiedy podniosła wzrok, od razu go zobaczyła. Czekał na nią w cieniu za stertą siana, schowany przed wścibskim spojrzeniem ze dworu. Zwrócony w stronę morza i ścieżki, którą przyszła. Czekał na nią.

Bez słowa padła mu w ramiona.

– Alinor – powiedział tylko. A potem ją pocałował.

Oparła się o stóg, czując, jak miękną jej kolana. Bała się, że zaraz upadnie. Poruszyła się lekko, a on od razu ją puścił.

– Nie tutaj – wyszeptała.

- Dobrze. Przyjdiesz do mnie?
- Nie odważyłabym się.
- Więc może pójdziemy do twojej chaty?
- Tam śpi Alys.

Milczał przez chwilę.

– A więc nie ma miejsca, gdzie moglibyśmy się udać? No wiesz... las, moczary, jakieś ukryte ścieżki?

– Nie legnę z tobą na moczarach. – Zadrżała; owinęła się szczelniej płaszczem i wtuliła w jego ramiona. – Jest przypyływ. Potonęlibyśmy. Może pójdziemy do kościoła? Siedlibyśmy na ganku.

Pokręcił głową.

– Straciłem wiarę, ale czegoś takiego nie zrobię. Nie wybaczyłbym sobie tego, kochana.

– Oczywiście – bąknęła, oblewając się rumieńcem. Za jakąż ladacznicę musiał ją uznać, skoro zaproponowała coś takiego! – Nie miałam na myśli....

– Pragnę cię, Alinor. Tak bardzo, że chyba serce mi stanie. Gdziekolwiek!

– Nie sądzę, żebyśmy znaleźli dla siebie miejsce – rzekła i urwała, bo nagle uderzyła ją prawda płynąca z tych słów. – Och! Tak. Czy nie widzisz, kochany, że nie ma dla nas miejsca? Ani na Sealsea, na całym pobrzeżu, ani nigdzie na świecie.

– Musi się znaleźć!

– Przecież przyszliśmy tu, żeby się pożegnać.

– Nie zniosę kolejnego pożegnania z tobą na tej łące!

– Poprzednim razem wróciłeś, jak obiecałeś – przypomniała mu nieśmiało.

– Taki otrzymałem rozkaz. Następnym razem wrócę jako wolny człowiek.

Wrócę po ciebie!

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Tak będzie, zobaczysz. Uzyskam zwolnienie ze ślubów. Pojadę do rodziców. Wykupię mój dom w Yorkshire i wtedy po ciebie wrócę.

Jej ręce drgnęły, próbując się wyswobodzić z uścisku.

– Wiesz, że...

– Nie! Posłuchaj. Odprawię pokutę i przestanę być księdzem. – Kiedy zaczęła kręcić głową, ścisnął jej dłonie mocniej. – Tak postanowiłem. Chcę tego.

– Ryzykowałeś życie dla wiary. Mówiłeś, że ona jest dla ciebie najważniejsza.

– Tak mówiłem. Ale to było przed wyprawą do Newport. Doznałem porażki i przestałem wierzyć w króla, a nawet w Boga. Odejdę ze stanu kapłańskiego, cokolwiek miałyby się wydarzyć. I nigdy, przenigdy nie wrócę do Anglii jako szpieg. Nie będę już służyć królowi. Niech go Bóg strzeże i da mu może lepsze sługi. Zawiodłem raz i nie przeżyję kolejnego razu. Ta część mego życia dobiegła końca. Definitywnie.

– Nawet jeśli...

– Alinor, ja nie zmienię zdania. Straciłem nie tylko wiarę. Straciłem wszystko. Nie umiem ci tego wytłumaczyć, ale tam, gdzie kiedyś płonęło jasne światło, teraz jest tylko ciemność. Teraz liczysz się dla mnie jedynie ty.

– Mój kochany – szepnęła. – Nie tak przecież wybiera się żonę.

– Ale jest rzecz, o której nie wiesz i o której ja się dopiero co dowiedziałem, a to dobra nowina. Będziesz wolna od swego męża. Nigdy nie zdradzę, że go widziałem. Robert też musi milczeć. Waltera już ostrzegłem. Za sześć lat, jeśli nikt go nie spotka i nikt nie doniesie, że był widziany, twoje małżeństwo zostanie rozwiązane, jakby nigdy nie istniało. Zostanie oficjalnie uznany za zmarłego, a ty staniesz się wolną kobietą.

Nie miała o tym pojęcia. Podniosła oczy, w których malowały się jednak wątpliwości.

– Naprawdę? Czy to może być prawda? Sześć lat i będę wolna?

– Siedem, według prawa. Ale rok już prawie minął.

– Tak stanowi prawo?

– Tak. Sam sir William mi to powiedział. Będziesz wolna, Alinor. Obiecuję ci to. Będziesz wolna, żeby mnie poślubić. A ja będę wolny, by wziąć cię za żonę.

– Musimy poczekać tylko sześć lat?

– Czy poczekaasz? – zapytał.

– Poczekałabym i sześćdziesiąt. – Przytuliła się do niego. – Poczekałabym i sześćset. Ale ty nie...

Objął ją mocno i przycisnął do stogu. Ustami zamknął jej usta i sprawił, że jęczała z rozkoszy, póki jego głowa nie opadła na jej ramię. Usłyszała, jak szepcze:

– Przysięgam. Przysięgam ci to.



Alys i Alinor wstały o brzasku. Alys chciała wyglądać szykownie i czysto jak dziewczyna z miasta. Wzięły więc wyciąg z mydlnicy i trochę olejku lawendowego i poszły do domu przewoźnika. Rudzielec powitał je w drzwiach, skacząc i obwąchując dzbanek.

– Wcześniej się zerwałyście – zauważył Ned, siedzący za stołem. Przed nim leżał chleb i stał kubek z piwem.

– Przyszliśmy się umyć. Mamy zamiar odwiedzić Stoneyów – wyjaśniła Alinor. – W drodze na targ.

– A czemuż to wymaga mycia? – Ned zerknął z uśmiechem na Alys i dostrzegł, że dziewczyna się rumieni. – Aaa, już chyba rozumiem. Pójdę po kocioł. – Wstał i poszedł do komórki, z której wydobył wielki gar używany do prania. Przesunął drąg przez dwa ucha; razem z Alys dźwignęli kocioł i postavili go na piecu. W tym czasie Alinor poszła po wodę do studni na tyłach domu. Kiedy pod kotłem zapłonął ogień, wlała do niego dwa wiadra i poszła po więcej.

– Zjecie coś, dopóki się nie zagrzeje? – spytał Ned, odkrawając dwie pajdy chleba.

– Nie dam rady nic przełknąć – oznajmiła Alys, ale wzięła chleb i zaczęła go pałaszować, obserwując wodę w kotle.

Ned uniósł brwi i spojrzał na siostrę.

– Zakochana – wyjaśniła Alinor. – Mam nadzieję, że uda się nam dojść do zgody w sprawie posagu. Całkiem straciła głowę dla tego chłopaka.

– Ano. – Ned pokiwał głową. – Odprowadzał ją codziennie, odkąd skończyły się żniwa. Siedzieli godzinami na pomoście i gadali, jakby tu w okolicy było o czym ciekawym gadać. Nie chciał iść, dopóki mu nie powiedziałem, że robię już ostatni kurs.

– Już ciepła – przerwała im Alys. – Wystarczająco ciepła.

Alinor i Ned znowu wetknęli żerdź w ucha kotła i zanieśli go do spizarni, na ceglana podłogę.

– Zobaczymy się później – pożegnał się. – Zostawcie wodę w balii. Już nie pamiętam, kiedy się porządnie myłem. A woda po was zawsze tak pięknie pachnie.

Zamknął drzwi za sobą, a one rozebrały się do naga, umyły włosy, a potem na zmianę polewały się całe z dzbanka. Wyciąg z mydlnicy sprawił, że woda pieniała się jak szalona, a zapach olejku z lawendy wypełnił całe pomieszczenie. Kiedy się wycierały, drżały już porządnie z zimna, stojąc na chłodnych ceglach. Następnie

wdziały czystą bieliznę i porządne suknie z czesanej wełny. Wyszły na dwór z wilgotnymi włosami opadającymi luźno na ramiona.

Ned siedział na ławce przed domem, kurząc fajkę i patrząc na lśniąca wodę uderzającą o pomost. Przyptyw wzbierał szybko, zalewając brukowane dno brodu i pieniać się w kanale, gdzie ścierał się z odwrotnym nurtem spływającej rzeki.

– Zapowiada się piękny dzień – zauważył. – A wy dwie wyglądacie świeżo jak stokrotki.

Alys i Alinor, trzymając kiecki wysoko podkasane, tak by ani grudka błota nie zabrudziła ich kraju, wróciły do swojej chaty, ostrożnie stawiając stopy. Splotły warkocze i włożyły świeżo uprane czepki, wysuszone na glinianej pokrywie paleniska.

– Jak wyglądam? – spytała Alys, odwracając się do matki.

Alinor przyjrzała się córce. Piękna cera, którą barwił rumieniec, jasne włosy pod białym czepkiem, wielkie niebieskie oczy i szelmowski uśmiech.

– Przepięknie – powiedziała. – Nikt nie zdoła ci się oprzeć.

– Najbardziej to się martwię o jego matkę. Pan Stoney jest dla mnie miły, ale ta kobieta ma serce z kamienia. Mamuś, musimy ją jakoś zbałamucić. Nie możesz wziąć jakiegoś eliksiru albo co?

– Miłosnego eliksiru? – Alinor roześmiała się. – Wiesz, że nie zajmuję się takimi sprawami.

– Musi się zgodzić – powtórzyła Alys. – Po prostu musi.

– To ich jedyny syn. Naturalnie chcą dla niego jak najlepiej. Ale wszyscy wiedzą, że Richard potrafi owinąć ich sobie wokół palca. Czy mówił im o naszej wizycie?

– Tak. I wyjaśnił, w jakim celu ich odwiedzimy. Zostaniemy ugoszczone śniadaniem. Nie możemy się spóźnić!

– Nie pójdziemy tam o świcie. Pomyśleliby, że zanedo nam zależy.

– Ale mnie naprawdę bardzo zależy! – Alys westchnęła rozpaczliwie.

Alinor w nagłym przebłysku przypomniała sobie dotyk Jamesa, smak jego warg, bicie jego serca, kiedy przyciskał ją do siana.

– Rozumiem cię. Wiem, co to oczekiwanie, naprawdę. Ale najpierw zajmiemy się ziołami i olejami, nakarmimy kury i zabezpieczymy ogień.

– Tak, tak – burknęła Alys niecierpliwie. – To ja lecę do kur.

Kiedy wyganiała ptaki, podbierała im jajka i wkładała je do glinianego garnka, Alinor nalała z dzbanka nieco oleju lnianego do butelki pełnej ostatnich

świeżych listków bazylii i zakorkowała ją mocno. Do kolejnej butelki włożyła żywokost, również napełniła ją olejem i zakorkowała. Postawiła obie na półce na zewnątrz chaty, gdzie słońce je ogrzeje i do końca dnia pozwoli przejść składnikom leczniczym z ziół do oleju. Wróciła do chaty i wzięła z kredensu tuzin buteleczek, które spakowała do koszyka.

– Gotowa? Masz wszystko? – niecierpliwiła się Alys. – Możemy już iść?

– Zakryłaś ogień?

– Tak, tak.

– A znaki od pożaru?

Alys schyliła się po gałązkę z podpałki i napisała nią w popiele runy mające chronić dom przed pożarem.

– Już.

– Chcemy, żeby jak wrócimy...

– ...było schludnie i przyjemnie! – dokończyła Alys ze śmiechem.

– Wiem – powiedziała Alinor. – Ale moja mama zawsze to powtarzała. I to jednak prawda.

– Jest idealnie schludnie. Nawet młynarzowa musiałaby to przyznać. Chodźmy już!



Ruszyły gęsiego w stronę przeprawy. Woda była wysoka. Jeden z gospodarzy sprowadzał właśnie konia z promu i gramolił się na siodło.

– Na targ do Chichester, kumo Reekie? – zagadnął Alinor.

– Ano. Jak się miewacie, kumie Chudleigh? – pozdrowiła mężczyznę.

– Nie najgorzej – odparł. – Ale będę wdzięczny za ten wasz gęsi smalec, jak mi zimno znowu wlezie w kolana.

– Przyniosę wam – obiecała.

– Wyglądacie obie jak nowe – zażartował Ned. – Takie czyste, że aż w oczy razi.

Alys zachichotała i uniosła skraj spódnicy, żeby go nie ubrudzić w błotnistych śladach kopyt.

– Nie bierzesz wełny na targ? – zapytał Ned siostrzenicę, przytrzymując prom przy nabrzeżu, żeby mogły wygodnie wsiąść.

– Nie dzisiaj. Mama ma kupić jakąś koronkę dla Millerowej, jak znajdzie coś ładnego. I sprzedać olejki.

– Może jakąś wstążkę dla ciebie kupi?

– Próżność jest grzechem, wuju – odpaliła dziewczyna, zadzierając głowę w taki sposób, że musiał się roześmiać.

Przyływ powoli i łagodnie brnął w głąb lądu, lecz mimo to Alinor oburącz uczepiła się relingu. A kiedy Rudzielec wskoczył na pokład i wylądował obok niej, syknęła ze strachu.

– Ten nauczyciel ze dworu, James Summer, popędził na północ w środku nocy – zauważył Ned. – Brodem przejechał, na koniu sir Williama, przy świetle księżycy. Nie budził mnie, ale go widziałem. Pewnie do Londynu jechał. Nie chciał światła, nawet nie zatrzymał się pogadać. W ogóle niewiele mówi ten nauczyciel. I chyba niewiele uczy, co?

– Tego nie wiem – odparła Alinor.

– Rob mówił, kiedy wraca?

– Nie wspominał.

– Wydobrzeł przy tobie. Oj, wtedy kiedy wrócił, był chory jak pies.

– Febra – odparła krótko Alinor, wpatrując się uparcie w horyzont.

– Kupisz mi owczego sera na targu?

– Kupię. Wrócimy przed wieczerzą.

Na drugim brzegu Ned podał jej rękę i pomógł wsiąść.

– Mogłybyście podjechać wozem. Czemu nie poczekać, aż ktoś będzie jechał?

– Szkoda czasu. Pójdziemy sobie pomału – bąknęła Alinor. Ruszyły drogą, a Ned przeprowił prom na wyspę, żeby czekać na kolejnych pasażerów wybierających się na targ do Chichesteru.

Kawałek dalej skręciły z chichesterskiego gościńca i ruszyły pieszym traktem w kierunku Birdham. Grunt był tu podmokły, ale ścieżka wiodła po wyniesionych groblach na granicach pól. Przez strumyki musiały się przeprować po kamieniach, a przez żywopłoty dzielące błotniste zagony – po usypanych przełazach. W końcu dotarły do niewielkiej wioski, garstki budynków stłoczonych przy trakcie. Zatrzymały się na trawiastym skraju drogi.

– Jak wyglądam? – spytała Alys nerwowo.

Alinor poprawiła jej czepek i wyrównała pelerynkę na ramionach. – W porządku – powiedziała. – Chodź, wytrzymamy buty.

Pomimo starań brzegi spódnic miały zabrudzone, a buty dosłownie oblepione błotem. Ostrożnie podkasały kiecki i wytarły dokładnie buty w trawę przy drodze.

– Jestem spocona – rzekła Alys z irytacją. – I brudna. Przekłeta okolica. Wszędzie błoto. On chyba nigdy nie widział mnie w czystej spódnicy.

– Wyglądasz przepięknie – uspokoiła ją Alinor. – A poza tym widział cię już w gorszym stanie.

Gospodarstwo Stoneyów było nieco oddalone od drogi. Ogradzał je niewysoki murek z łupku, postawiony, by nie rozlaził się inwentarz. Trawiasta dróżka wiodła do drzwi frontowych przez niewielki sad. Gałęzie jabłoni uginały się od dojrzałych owoców. Przy jednym z drzew stała trójkątna drabina.

Dom był przyzwoity, jeden z największych w tej małej parafii. Na piętrze pod czerwonym dachem znajdowały się dwie sypialnie i stryszek, a na parterze kuchnia i kolejne dwie izby. Jedna z nich służyła za salonik, druga za magazyn. Kuchnia wychodziła na tył domu, po przeciwnej stronie wybrukowanego podwórza znajdowały się mleczarnia i piwiarnia, a obórka i stodoła zamykały czworobok. Kiedy podeszły do drzwi, zza rogu wybiegł Richard w ciemnobrązowym ubraniu i dobrych butach do konnej jazdy, ubłoconych na podwórzu przed stajnią. Podbiegł do nich.

– Jesteście! Przyszłyście! – Wyhamował w miejscu i z trudem się powstrzymał przed wyściskaniem Alys. Ukłonił się za to Alinor. – Pani Reekie, cieszę się, że pani przyszła. Alys... – Rzucił dziewczynie ciepłe, porozumiewawcze spojrzenie. – Witaj, Alys.

Widząc tę jakże intymną wymianę spojrzeń, Alinor odgadła ich sekret, jakby się z niego zwierzyli. Była niemal pewna, że są kochankami. Że Alys pomimo ostrzeżeń matki i nauk pastora zdołała jakoś oszukać czujność pani Miller, poszła za głosem serca, a nie głowy, i spała z tym młodzieńcem.

Teraz rozumiała, dlaczego córka była tak zdeterminowana, by dopełnić formalnych zaręczyn. Jeśli Richardowi nie uda się przekonać rodziców, żeby wyrazili zgodę na ślub, wtedy on i Alys będą musieli się rozstać. A rodzice na pewno będą trzymać syna z dala od młyna, żeby nie mieli okazji się spotykać. Alys jako ta, która straciła wybrankę, na małżeńskim targu zostanie uznana za towar gorszego sortu i nie bardzo będzie miała w kim wybierać; jeśli zaś się wyda, że straciła dziewictwo, może mieć kłopot ze znalezieniem jakiegokolwiek odpowiedniego chłopca. Młynarzowa z pewnością wyrzuci ją z pracy i będzie miała do tego wszelkie prawo. Co prawda większość par w wiosce zaczynała od

zaręczyn i łożka, ale czasy się zmieniły. Pobożne rodziny potępiały miłość bez ślubu jako gorsząca, grzeszną i szkodzącą interesom.

– O, nie! – szepnęła.

– Co się stało? – Alys wetknęła rękę pod ramię Richardowi i odwróciła się do niej. Jej buńczuczne spojrzenie napotkało wyrzut w oczach matki, lecz w obliczu szczęścia młodych Alinor nie potrafiła się gniewać. Wyglądali razem tak pięknie, jakby byli dla siebie stworzeni. Nie mogła ich potępić za to, że brakło im cierpliwości, żeby czekać na opieszalą zgodę rodziców.

On miał ciemne oczy i i ogorzałą cerę, ciemne loki spadały mu na prosty biały kołnierz. Alys wyglądała przy nim jasno i delikatnie. Złote włosy, skromnie schowane pod czepkiem, miały bledszy odcień niż włosy matki. Mleczna cera i regularne rysy upodobniały ją do ślicznej laleczki z porcelany.

– Nic – odparła Alinor. – Nic takiego.

Alys napotkała jej wzrok i oblała się rumieńcem.

– Mamo?

– Porozmawiamy później – zarządziła Alinor.

Alys zaczerwieniła się jeszcze bardziej i przywarła do Richarda, jakby chciała zaznaczyć, że należy do niej.

– Mamo, oto mężczyzna, za którego wyjdę – oznajmiła.

Richard też zarumienił się jak wyrostek, ale wyprostował się dumnie jak mężczyzna.

– Jeśli pani wyrazi zgodę – powiedział grzecznie. – Ja złożyłem już Alys obietnicę. Jesteśmy po słowie.

– Zobaczmy, co sądzi o tym twój ojciec – odparła Alinor ostrożnie.

Richard poprowadził je do domu, trzymając Alys za rękę. Alinor szła z tyłu, trapiąc się myślą, że Ned musiał mieć rację. Nieokiełznanie, które w niej dostrzegał, przekazała Alys we krwi. Sama nie umiała zapanować nad żądzą, słabością każdej kobiety od czasów Ewy, i córki też nie ustrzegła.

Drzwi frontowe otworzyły się ze zgrzytem. Widać było, że nie używano ich zbyt często. Stała w nich pani Stoney, a za nią służąca.

– Dzień dobry, pani Reekie – powitała ją oficjalnie.

– Dzień dobry, pani Stoney – odparła Alinor, starając się zachować spokój.

Kobieta zwróciła się do syna:

– Idź, zawołaj ojca. Jest w stodole.

Richard wyglądał, jakby wcale nie miał ochoty rozstawać się z Alys, lecz posłusznie wykonał polecenie. Jego matka zaprosiła gości do najlepszej, frontowej izby. Było w niej niewiele sprzętów, za to wszystkie z solidnego ciemnego drewna. Wielki kredens z kosztownymi cynowymi naczyniami zajmował całą ścianę. Przy stole stało wygodne, obszerne krzesło z plecionym oparciem i poręczami, przeznaczone najwyraźniej dla pana domu, i drugie, mniejsze, obok. Alinor postawiła koszyk z olejkami przy drzwiach i taktownie usiadła na innym, mniej okazałym. Stół z ciemnego drewna nakryty był kilimem przyciśniętym ciężką cynową misą. Pani Stoney zajęła drugie co do wielkości krzesło. Alys stanęła obok matki. Nie zaproponowano jej, by usiadła.

Przy tylnych drzwiach dały się słyszeć głosy wracających mężczyzn i tupanie, kiedy pan Stoney otrząsał błoto z butów. Mężczyźni weszli do izby. Ojciec Richarda był niskim, zażywnym mężczyzną o czerwonej twarzy i niezmordowanym uśmiechu. Podszedł do Alinor i potrząsnął jej dłonią.

– Jak zdrówko? – przywitał się. – Jak zdrówko? – Po czym zwrócił się do Alys: – A jak się dzisiaj miewa najładniejsza panna w całym Sussexie?

Alys dygnęła, a on z głośnym cmoknięciem ucałował ją w oba policzki.

– Napije się pani piwka, pani Reekie? – spytał.

– Bess już poszła po piwo – poinformowała go żona.

– A młodzi to mogą chyba iść sobie pospacerować po sadzie – rzekł znacząco Stoney.

Bess wróciła, niosąc tacę z cynowymi kubkami. Richard i Alys zniknęli.

– Lubi ją oprowadzać. – Pan domu się zaśmiał. – Jest dumny z gospodarstwa. To nasz jedyny syn.

– Wiem – odparła Alinor. Wzięła kubek i upiła łyk lekkiego domowego piwa doprawionego jabłkami z sadu. Wyraźnie czuła smak owoców. – Znakomite – pochwaliła.

Gospodyni uśmiechnęła się, słysząc komplement. Alinor dostrzegła jej zadowolenie z siebie i zatroskała się, czy będzie dobrą teściową dla Alys, która przecież zamieszka z nią pod jednym dachem na resztę życia.

– Taa, a więc nasze dzieci chcą dopiąć pewne sprawy – zagaił pan Stoney. – Richard przyszedł do mnie jakoś zaraz po dożynkach i powiedział, że się oświadczył. Nawet nie pytał mnie o zgodę. – Zachichotał, kręcąc głową. – Ech, ta młodzież! Przyprowadził potem Alys kilka razy i bardzo ją polubiliśmy. Ale sądzę, że powinienem raczej rozmawiać z jej ojcem.

– Jak wiecie, mój mąż wypłynął w morze – odparła Alinor ostrożnie. – Było to prawie rok temu. Tak więc wszystkie obowiązki spadły na mnie.

– Czy brat nie występuje w pani imieniu? – zapytała matka Richarda.

– O dzieciach decyduję sama – odparła Alinor z godnością. – Brat doradza mi, kiedy potrzebuję jego rady.

– A czy wie o tym, że jest pani tutaj? – dopytywała się pani Stoney.

– Wie.

– Rozumu pani nie brakuje, to rzecz pewna – uspokoił ją gospodarz. – Ale musi pani wiedzieć, że chcemy dla syna jak najlepiej. To nasz jedynak i odziedziczy to wszystko, kiedy nas już nie będzie. Gospodarstwo nie ma ani pensa długu. Odziedziczyłem je w całości po ojcu, ulepszyłem, sprawiłem, że kwitnie, i w całości przekażę synowi. To uczciwy spadek.

– Wiem o tym – powiedziała Alinor. – Jest piękne. Ale wasz syn przypadł mojej córce do gustu, zanim się dowiedziała, kim jest. Od pierwszego wejrzenia. Nie myślała wtedy o tym wszystkim.

Pani Stoney prychnęła, jakby chciała pokazać, że szczerze w to wątpi.

– To będzie małżeństwo z miłości – ciągnęła Alinor. – Choć Alys oczywiście wniesie posag.

– Czy ma już odłożone posagowe płótna? – spytała pani Stoney.

– Nie. – Alinor pomyślała o kuferku w kącie chaty, w którym była tylko umowa na papierze i sakiewka pełna śmieci. – Jeszcze nie. Ale gdy nadejdzie dzień ślubu, będę w stanie dać jej nieco płócien... – zauważyła kwaśną minę kobiety – i wełen.

– I tyle nam przyszło z wysłania go do Millerów – poskarżyła się pani Stoney mężowi na boku. – Miał się nauczyć mleć mąkę, a nauczył się jedynie nieposłuszeństwa.

– Ma prawo do własnego wyboru – zaoponował. – Poza tym Alys to śliczna dziewczyna i potrafi wszystko, co trzeba, żeby zostać żoną gospodarza. Prawda, pani Reekie?

– Tak – zapewniła Alinor. – Pani Miller to doskonała gospodyni i Alys wiele się przy niej nauczyła. Pracuje w mleczarni, doi krowy, potrafi uwarzyć piwo i upiec chleb. Gotuje, oczywiście przedzie i potrafi szyć. Nauczyłam ją uprawy ziół i ich stosowania. Umie czytać i pisać. Będzie bardzo pomocna w domu, oborze i na roli.

– Dostanie receptariusz? – zainteresowała się pani Stoney.

Alinor drgnęła. Miała książkę z receptami odziedziczoną po matce. Były w niej przepisy na wszelkie choroby i urazy. Informacje o ziołach, ich użyciu, uprawie i przygotowaniu. To był jej najcenniejszy skarb i fundament jej rzemiosła.

– Przepiszę go dla niej – obiecała. – Będzie miała własny. I oczywiście w razie choroby czy innej potrzeby przyjdę z pomocą. Nie wezmę pieniędzy od rodziny.

Matka Richarda nie wyglądała na usatysfakcjonowaną. Najwyraźniej to było za mało.

– A oszczędności? – spytała.

– Mam już odłożone trzydzieści pięć szylingów – powiedziała Alinor z dumą. Nie zdołała jednak zrobić wrażenia na Stoneyowej; kobiecie nawet brew nie drgnęła. – Do dnia ślubu będę miała kolejne dziesięć... jeśli pobiorą się na Wielkanoc – dodała. – A mój syn w dniu Matki Boskiej Gromnicznej otrzyma kwartalną wypłatę za służbę we dworze. To kolejne piętnaście szylingów. – Alinor usiłowała zachować spokój, mówiąc o tak olbrzymich sumach, większych niż kiedykolwiek dotąd udało jej się zarobić. Dostrzegła jednak, że Stoney zerka na żonę, a ta zdecydowanie kręci głową, zaciskając usta.

– Nie możemy go oddać za bezcen – wyjaśnił.

– Dołożę z przyszyłych zarobków – nie poddawała się Alinor. – Asystuję niemal przy każdych narodzinach na wyspie. Mogę obiecać, że przez pierwszy rok małżeństwa będą otrzymywać część moich zarobków.

Pani Stoney pogardliwie wydeła wargi.

– Mój syn idzie do terminu, do aptekarza w Chichesterze. – Alinor mówiła spokojnie, ale czuła, że serce jej wali. – Zacznie, kiedy panicz Walter wyjedzie na uniwersytet. Wiem, że chętnie widziałby swoją siostrę w szczęśliwym stadle.

– Aptekarz? – zdziwiła się gospodyni, a kiedy Alinor zaczęła wyjaśniać, przerwała: – Ale co my z tego będziemy mieć?

– Alys i Rob dziedziczą prom i dom przewoźnika...

– Przykro mi, pani Reekie – przerwał w końcu pan Stoney. – Ale nam zależy na znacznie większym posagu. I to gotowym od razu, w dniu ślubu. Myśleliśmy, że przysłała żona, może któraś z córek sąsiadów, wniesie nam w posagu ziemię. Nie jakieś tam drobniaki kiedyś i jeśli. Nie kiedyś i jeśli, pani Reekie. To wielka szkoda, że nie ma pani męża, który by zarobił na utrzymanie. Wielka szkoda. Ale Richard nie pójdzie za darmo, chociaż Alys jest piękną dziewczyną i bardzo ją

lubimy. Wybraliśmy właśnie ją, gdyby wiano było godne. Szczerze mówiąc, spodziewaliśmy się, że macie więcej. Przykro nam. Myśleliśmy, że lepiej się wam wiedzie.

Alinor zacisnęła zęby, żeby nie wykrzyknąć im w twarz, że kiedyś miała więcej. Że miała swój posag, spadek po matce w sakiewce z czerwonej skóry. Ale Zachary odebrał jej go, męzowskim prawem, i roztrwonił, jak to mąż potrafi. Później zaś uciekł i nie sposób go rozliczyć, a w czerwonej sakiewce zostały tylko stare bezwartościowe monety.

– Ale przecież Alys sama zarabia – powiedziała, coraz bardziej zdenerwowana. – Jeśli zechcecie, może zatrzymać posadę u pani Miller i przynosić do domu to, co zarobi. No i może prząść.

– To równie dobrze mógłby poślubić naszą Bess! – prychnęła pani Stoney. – Wypłata służącej jako wiano! I co z tego, że jest śliczna? Nie ma nic oprócz trzydziestu pięciu szylingów i pracy we młynie. Nasz syn zasługuje na więcej.

– Z całym szacunkiem, oczywiście. – Pan Stoney zdawał się żałować ostrego tonu małżonki.

– Co pan proponuje? – zapytała Alinor. – Być może mój brat...

– Osiemdziesiąt funtów – rzucił chytrze pan Stoney. – Nie zadowolę się niczym mniej.

– Osiemdziesiąt funtów? – Alinor aż zatchnęło na tę niewyobrażalną kwotę.

– Inaczej będziemy musieli odmówić – rzekł Stoney łagodnie. – Z żalem, ale...

– Mam sześćdziesiąt funtów. – Alys, bardzo blada, stanęła w drzwiach. Za nią stał Richard, trzymając ją za rękę. – Mam własne oszczędności, o których nie wie moja matka. – Jej ostre spojrzenie ostrzegło Alinor, żeby się nie odzywała.

– Podśluchiwaliscie pod drzwiami? – zapytał gospodarz syna, marszcząc brwi.

– Przechodziliśmy pod oknem i usłyszeliśmy. Nie podśluchiwalismy, ojczy, ale matka mówiła bardzo wyraźnie. My musimy wziąć ślub. Kochamy się.

– Ile to masz? – upewnił się Stoney.

– Sześćdziesiąt funtów – odparła Alys śmiało. Wyjęła zza pazuchy pękata sakiewkę z czerwonej skóry i położyła na stole przed matką. – Sześćdziesiąt funtów – rzekła z naciskiem. – Tyle w dniu ślubu, reszta później. Czy to wystarczy?

Przerażona Alinor z miejsca rozpoznała sakiewkę, którą młynarzowa wyjmowała ze schowka w kominie. To był posag Jane Miller. Otworzyła usta, ale nie była w stanie wydusić ani słowa.

– Czy to wystarczy? – powtórzyła Alys drżącym głosem. – Starczy?

– To wielka niespodzianka – odpowiedział pan Stoney poważnie. – Jak taka młódka mogła zgromadzić więcej oszczędności niż jej matka? – Zwrócił się do Alinor: – Jak zdobyłyście taką fortunę? Wiedziała pani o tym?

– Ojciec mi dał – oznajmiła Alys szybko, zanim matka zdążyła się odezwać. – To jego przyz, zdobyty w walce na morzu. Kiedy ostatnio był w domu, wręczył mi go jako mój posag. Zawsze byłam jego ulubienicą. Stwierdził, że mi się przyda, jeśli zechcę iść za mąż, zanim on wróci z morza.

– Zdaje się, że twojej matce te pieniądze przydałyby się nie raz w ciągu ostatniego roku – wtrąciła nieufnie pani Stoney. – Wszyscy wiedzą, jak ciężko pracuje. Czy nie powinnaś jej była o nich powiedzieć? Nie powinnaś czasem dać ich matce?

– Ojciec i matka nie zawsze się ze sobą zgadzali – wypaliła Alys bez ogródek, omijając wzrokiem Alinor i patrząc tylko na ponurą twarz pani Stoney. – Ojciec kazał mi ich pilnować do swego powrotu i użyć jedynie wtedy, gdybym wychodziła za mąż. Powinnam być posłuszna ojcu, czyż nie? – zwróciła się do pana domu, pewna, że wesprze męski autorytet.

– Ojcowskie polecenie? – Pan Stoney uroczyście pokiwał głową. – Owszem, winnaś mu być posłuszna.

– Nie zostawił was czasem? – pani Stoney zwróciła się do Alinor. – Nie porzucił? Skoro dał córce pieniądze przed wyjazdem? Może planował, że nie wróci?

Alys od razu zorientowała się, że przeholowała. Zanim Alinor zdążyła otworzyć usta, powiedziała:

– O nie, tata nigdy by nas nie zostawił! Obiecał, że wróci do domu. Dał mi pieniądze tylko na wszelki wypadek. Jest marynarzem floty wojennej. Kto wie, jak długo będzie na morzu? Chciał dla mnie jak najlepiej.

– Ale sama mówiłaś, że rodzice nie zawsze się zgadzali.

Alinor, wiedząc, że pani Stoney widywała ją na targu z podbitym okiem czy spuchniętym policzkiem, pokręciła głową.

– Nie mam powodu się skarżyć na niego i wiem, że wróci do domu – oświadczyła dobitnie. – Ano, nie zawsze zgadzaliśmy się ze sobą, jak każdy mąż

i żona. Nic nadzwyczajnego. Zachary zaciągnął się na statek handlowy, a potem wcielili go do marynarki. I wtedy flota przeszła na stronę księcia. Ale nie mam wątpliwości, że kiedy wreszcie nastanie pokój, marynarze i żołnierze zostaną zwolnieni i wrócą do domów, otrzymawszy żołd i przyz. Z pewnością wtedy wróci i Zachary.

Starła się, żeby jej twarz była spokojna i nie wyrażała zbyt wiele. Dopiero co obiecała Jamesowi, że powie ludziom, iż Zachary nie wróci, a ona została wdową. Dzień później oświadcza coś wręcz przeciwnego. Ale nie miała innego wyjścia, odkąd to Alys przejęła wodze, łząc jak z nut.

– Pomyślcie o przyzowym – dodała Alys. – Kto wie, jaką zapłatę otrzyma? Jeśli przejęli cały wrogi statek, będzie bogaczem.

– A więc teraz służy księciu? – pan Stoney wskazał kolejną przeszkodę. – My jesteśmy tu za parlamentem.

Alys pokręciła głową.

– Nie wiemy, na jakim okręcie służy. Może na takim, który pozostał wierny parlamentowi. Mój ojciec był zwolennikiem parlamentu, podobnie jak wuj Ned. Znacie wuja Neda!

– My również stoimy za parlamentem. – Alinor próbowała włączyć się do dyskusji, z całych sił nakazując sobie oderwanie wzroku od czerwonej skórzanej sakiewki.

– Czy nie powinni się więc wstrzymać ze ślubem do jego powrotu? – spytał pan Stoney. – Teraz wreszcie ma zapanować pokój; wysłannicy parlamentu rozmawiają już z królem.

– Być może...

– Nie! – przerwała Alys. – To wcale nie będzie uczciwe. Tata dał mi pieniądze, żebym nie musiała czekać ze ślubem, aż wróci. A kto wie, jak długo król będzie zwlekał, zanim wreszcie zgodzi się na pokój?

Alinor pokiwała głową, lecz nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

– Czy to wystarczy? – naciskał ojca Richard. – Jeśli oboje będziemy pracować w gospodarstwie bez wynagrodzenia i oddawać zarobki uzyskane gdzie indziej? Czy to, razem z darem Zachary'ego Reekiego, wystarczy?

Gospodarz patrzył długo na syna i podjął wreszcie pomyślną dla niego decyzję.

– Wystarczy – rzekł. Wziął sakiewkę i podrzucił ją w dłoń, oceniając wagę. Potem rozsypał rzemyki i zajrzał do środka, gdzie lśniły złote i srebrne monety. –

Sześćdziesiąt funtów. Nie spodziewałem się ich, ale tak, to wystarczy.

– Mogliśmy wyciągnąć więcej – napomniała go żona.

– Mogliśmy – odpowiedział, uśmiechając się do syna. – Ale wolę widzieć, że chłopak jest szczęśliwy. – Podał sakiewkę Alys, uśmiechając się ciepło. – Oddam ci to teraz, jak nakazuje zwyczaj. A ty wręczysz ją teściowej w drzwiach kościoła w dniu waszego ślubu. A razem z nią oszczędności matki i wasze zarobki od teraz do owego dnia. Wtedy Richard założy ci obrączkę i złoży przysięgę małżeńską. Ustalone. Będziesz miała swój udział w gospodarstwie na wypadek jego śmierci i miejsce przy tym stole po kres swego życia. Twój syn odziedziczy wszystko po śmierci Richarda, a jego syn po nim.

Alys rozszlochała się ze szczęścia, kiedy Richard wziął ją w ramiona i pocałował. Pan Stoney wstał i ucałował najpierw Alinor, a potem zalaną łzami dziewczynę. Pani Stoney pobłogosławiła syna i ucałowała Alys.

– No i stało się – rzekła do Alinor. – On oddał jej serce, a ona wyciągnęła nagle z kieszeni skarb, o którym nikomu się nie śniło. Można by pomyśleć, że to jakieś czary.

– Tak... – Alinor trudno było mówić. Wciąż była wstrząśnięta widokiem posagu Jane Miller w ręku córki. Alys schowała go za pazuchę, nawet nie patrząc na matkę.

– Pani syn świetnie sobie radzi – dodał Stoney, pozwalając sobie na serdeczność. – Czeladnik aptekarski w Chichesterze, kto by pomyślał? Piękna kariera dla młodego człowieka!

– Tak. – Alinor zdała sobie sprawę, że kiwa tylko głową, nie mogąc wydobyć słowa. – Tak.

– Jak mu się udało zdobyć taką posiadłość? – zaciekał się.

– Lubią go we dworze. – Wargi miała tak zmartwiałe, że z trudem formułowały słowa. – Jest towarzyszem panicza Waltera. To sir William zapłacił za termin. Rob ma zacząć, kiedy panicz wyjedzie na uniwersytet. W drugim semestrze, jak to nazywają.

– Może po szklaneczce wina? I zjecie oczywiście z nami śniadanie. – Odprężony Stoney przypomniał sobie o powinnościach gospodarza. – Będziemy teraz rodziną. Pokażę pani stodoły i sad, pani Reekie. I ośmielę się twierdzić, że spodoba się pani nasz zielnik.

– Owszem, bardzo chętnie je obejrzę – rzekła Alinor słabo. – Bardzo chętnie. Dziękuję.



Pomachały Stoneyom na pożegnanie i ruszyły w milczeniu chichesterskim gościńcem. Alinor czuła przeszywający ból w brzuchu – najprawdopodobniej ze strachu – i paskudny posmak w ustach, z całą pewnością efekt przeżytego zdenerwowania.

Gospodarstwo pozostało pół mili za nimi i nawet już go nie było widać, gdy Alys odważyła się przerwać milczenie.

– Powiedz coś. Proszę cię, powiedz coś, mamó.

– Czyś ty oszalała?

– Wiem, wiem! Może naprawdę oszalałam!

Przeszły jeszcze parę kroków. Alinor poczuła, że zziębnięta dłoń córki wśliznęła się w jej dłoń.

– Pomóż mi, mamó.

– Jak? Kradzież to przestępstwo karane szubienicą!

– Przecież wiem.

– To posag Jane Miller, prawda? Ta czerwona sakiewka należy do jej matki?

– Tak. Oczywiście.

– I co zamierzasz zrobić?

– Odłożyć na miejsce. Chciałam ją tylko pokazać, nie ukraść. Do dnia ślubu zarobię, ile trzeba. Przecież nie jestem złodziejką.

– Do Wielkiej Nocy jest zaledwie pół roku! Nie zdążymy tyle zarobić. Nie zarobimy tyle przez sześć lat! A jeśli Millerowa zajrzy do kryjówki i zobaczy, że posag Jane zniknął, przewróci cały młyn do góry nogami, oskarżając wszystkich wokół... a zacznie od nas! Alys, jak mogłaś!

– Odniosę, zanim zauważy, że go nie ma. Muszę wyjść za Richarda.

– Bo już jesteście kochankami?

Z ust Alys wydarł się mimowolny okrzyk, który sam w sobie był przyznaniem się do winy.

– Bo bardzo go kocham – odpowiedziała. – Wolę, żeby mnie powiesili w Wielkanoc, niżbym miała go stracić już teraz.

– Ale ja nie wolę! – wrzasnęła Alinor. – Przez całe życie starałam się was chronić, a teraz co? Najpierw ległaś z mężczyzną bez ślubu, a potem ukradłaś... – Urwała i spuściła głos do szeptu, choć były same pod szerokim niebem. Jak okiem sięgnąć w obie strony, gościniec był pusty.

– Nie ukradłam. Pożyczyłam – sprostowała Alys. – Richard mnie kocha. A młynarzowa niczego się nie dowie. Warto było zaryzykować.

– Teraz tak myślisz. Kiedyś spojrzysz na to inaczej.

– Teraz tak myślę i zrobiłam to teraz.

– Kiedyś dorośniesz. Spojrzysz wstecz i dzisiejszy postępek wyda ci się obłędem. I będziesz miała do mnie żal, że cię nie powstrzymałam. – Alinor z trudem przełknęła ślinę. Zbierało jej się na wymioty. – Źle zrobiłam. Powinnam była zabrać ci ten trzos w momencie, w którym go wyjąłeś! W pierwszej chwili myślałam, że to mój! Moja czerwona sakiewka, w której składałam znalezione na bagnach świecidła. Pomyślałam, że mam omamy!

– Wtedy straciłabym Richarda. Słyszałaś, co mówili.

– Mimo wszystko. Lepiej, gdybyś go straciła, niż...

– Wiedziałam, że mnie nie wydasz, mateczko. Nigdy byś mnie nie skrzywdziła.

– Nie powinnam była cię kryć. To sprawa dla kata, Alys. Jeśli złapią cię z tymi pieniędzmi, powieszą cię jako złodziejkę.

– Nie złapią. Oddam je. Ale przysięgam ci, że jeśli nie wyjdę za Richarda, umrę. Jeśli mi zabronisz, ucieknę. A jeśli on mnie rzuci, utopię się w młyńskim stawie.

Alinor przyszło na myśl, że jest ostatnią kobietą w Sussexie, która mogłaby przeczyć, że czasami trafia się miłość warta więcej niż życie. Jak miała potępić córkę za coś, czego sama się dopuściła? Ryzykowała życie, zamykając się z Jamesem na stryszku nad stajnią, a od tamtej pory okłamywała wszystkich wokół.

– Lepiej wróćmy do młyna i odłóż to zaraz. Wywołam Millerową na podwórze, a ty prędko wejdiesz do domu i...

– Nie. Wiem, jak to zrobić, naprawdę. Wiem kiedy. Ona zawsze wychodzi o zmierzchu, żeby pozamykać kury. Uparła się robić to sama, pewnie się boi, że podbiore jej popołudniowe jajka, stara jędza. W kuchni nie ma wtedy nikogo. Wejdę i podrzucę sakiewkę na miejsce.

– Skąd znasz jej kryjówkę?

– Byłam na podwórzu, kiedy przyjechał kupiec i sprzedała mu ziarno, które miało iść dla biednych z parafii. Zapłacił dwukrotną cenę, a biedni zostali bez jedzenia. To nie są uczciwie zarobione pieniądze, mamó. Ilekroć robi takie interesy, których pan Miller na pewno by nie pochwalił, wkłada zysk do

posagowej sakiewki. Od czasu do czasu wyciąga trochę po kryjomu, żeby kupić coś ładnego dla siebie albo płótna bieliźniane do wyprawy Jane. Raz posłała mnie po łańcuszki do wędrownego handlarza, który stał pod bramą. Monety były gorące, a ona miała usmolone palce. Nie wiedziałam, gdzie je trzyma, ale domyśliłam się, że muszą być gdzieś w kominie. Obmacałam wszystkie cegły, aż znalazłam tę luźną.

– To olbrzymie ryzyko.

– Wiem. Ale musiałam je dzisiaj wziąć, żeby nie dać Stoneyom powodu do odmowy. Skoro już się zgodzili, nie cofną słowa, nawet jeśli nie zdołam uzbierać wszystkiego. Richard mi pomoże, a pan Stoney po prostu mnie uwielbia, więc machnie ręką na brakującą resztę. Oddam trzos, Millerowa o niczym się nie dowie, a jak będziemy na targu, wezmę więcej wełny do przędzenia. Do dnia ślubu zarobię tyle, ile zdołam, i dam im to wszystko przed wejściem do kościoła. To nie będzie sześćdziesiąt funtów, ale będzie już za późno. Nie odwołają ślubu. Powiem im, że resztę zostanę winna.

Alinor pokręciła głową z niezadowoleniem.

– To będzie oszustwo, Alys, a niedobrze, jeśli zaczną nas uważać za oszustów. Jeśli wystawisz ich do wiatru w dniu własnego ślubu, rzucą ci to w twarz przy pierwszej sprzeczce. Nigdy ci już nie zaufają.

– Richard nie wykorzysta tego przeciwko mnie.

– Ale jego matka owszem.

Alys wzruszyła ramionami.

– Co z tego? Kiedy będziemy już po ślubie, może gadać, co chce, nie dbam o to. Wychodzę za Richarda, nie za nią. A Richard jest wart, żebym dla niego kradła i kłamała. Jest wart znacznie więcej.

Alinor przyłożyła dłoń do czoła, jakby słońce nagle zaczęło ją razić. Oczami duszy aż nazbyt wyraźnie widziała scenę, jaka rozegra się w progu kościoła, gdy Alys wręczy teściom cieniutki mieszek. Będą wściekli, a one okryją się hańbą.

– Tak nie powinno się zaczynać życia w małżeństwie – powiedziała z rozpaczą. – Nie tak powinien wyglądać dzień twego ślubu.

Alys uścisnęła jej rękę.

– Mamo, wiem, że dla ciebie to straszne, i naprawdę mi przykro. Przykro mi, ale nie mogę utknąć tu na zawsze. Muszę wyjść za Richarda i z nim zamieszkać. Jestem młoda, chcę żyć! Nie zamierzam cierpliwie znosić ciągłych nieszczęść jak ty. Nie chcę wiecznie czekać na powrót ojca, jakby to miało nam w czymkolwiek

pomóc, a przecież obie wiemy, że wtedy będzie jeszcze gorzej! Nie chcę się przed każdym nisko kłaniać w nadziei, że w oczy będzie dla mnie miły, choć i tak za plecami nazwie mnie żebraczką i elfim bękartem.

– Tego nie mówią!

– Tak właśnie mówią. Patrząc nie mogę, jak się przymilasz młynarzowej. Jak się nisko kłaniasz przed panią Wheatley. Jak się płaszczysz przed rządcą i tym koszmarnym nauczycielem! Przez cały czas tylko krok dzieli nas od tego, żebyśmy się znalazły na garnuszku parafii! Wciąż żerujemy na czyjejś dobrej woli. Nie wytrzymam tego dłużej. Wolę być złodziejką niż żebraczką. Muszę wykorzystać tę jedną jedyną szansę, żeby żyć jak człowiek!

– Nie mów tak o nim! – zaprotestowała słabo Alinor.

– No przecież Tudeley to potwór!

Alinor zmeła w ustach odpowiedź, zawstydzona przez własną córkę. Spojrzała na dziewczynę, ale nie umiała znaleźć słów, by ją zbesztać.

– Nie łaszę się – szepnęła. – I nie płaszczę. I na nikim nie żeruję.

– Owszem, tak. Każdy może ci powiedzieć wszystko, byle tylko kupił parę śliwek!

– Nie wiedziałam, że tak cię to boli.

– A kto lubi być nędzarzem?

– Rob też tak uważa?

– Rob nie ma tu nic do rzeczy! – wybuchła Alys. – Tym razem wyjątkowo nie mówimy o twoim najdroższym skarbie!

Alinor do tej pory nie podejrzewała, że Alys jest zazdrosna o brata. Miała wrażenie, że nagle zobaczyła z lotu ptaka całe wielkie pustkowie Cuchnących Bagien.

– Nie stać mnie na to, żeby obrażać ludzi – rzekła cicho, z trudem. – Jeśli chcę zarobić tyle, żeby was wykarmić, nie mogę sobie pozwolić na dumę.

– Wiem – szepnęła Alys.

– A Rob wcale nie jest mi droższy od ciebie. – Alinor zachłysnęła się szlochem. – Jesteś dla mnie najdroższa na całym świecie.

– Wiem – powtórzyła Alys. Objęła ramiona matki i przytuliła ją do siebie. – Wiem, co dla nas przeszłaś. Choć właściwie nie znam nawet połowy cierpień, które zniosłaś dla nas. Byłaś nam i matką, i ojcem. A to przecież więcej, niż kobieta może udźwignąć sama. Jestem ci przeogromnie wdzięczna, naprawdę. Mówię tylko, że nie chcę stać się taka jak ty. Żyć tak, jak ty. Wiecznie zgięta pod

tym, co na ciebie spada. Nie chcę. Wolę zaryzykować wszystko, niż zgodzić się na życie w nędzy jak ty.

– Myślisz, że po prostu się na to zgodziłam?

– Tak – odparła Alys z bezlitosną szczerością właściwą młodym.

– A przecież ja to wszystko rozumiem – powiedziała cicho jej matka. – Rozumiem, czym jest duma, miłość, nierozwaga...

– Naprawdę?

Matka kiwnęła tylko głową, zaciskając usta, by nie zdradzić swojej tajemnicy. Ledwie zeszłej nocy była dumna ze swojej miłości, pijana pożądaniem i bardzo nierozważna.

– Rozumiem – powtórzyła.

Stały przez chwilę obejmując się mocno, a potem z westchnieniem ruszyły dalej drogą do Chichesteru.

– Przepraszam – odezwała się Alys cichutko. – Wiesz, że cię Kocham. Nie chciałam sprawić ci przykrości.

– Wiem.

Szły przez kilka minut w milczeniu.

– Nie o takim życiu marzyłam – rzekła nagle Alinor. – Nie takiego chciała dla mnie moja mama. Myślała, że skoro Zachary ma własną łódź, będzie mu się dobrze powodzić i niczego mi przy nim nie braknie. Planowała, że zamieszkamy w sąsiedztwie, będziemy razem pracować, a Ned odziedziczy prom, będzie miał żonę i dzieci... Nie mogła przewidzieć, że Mary umrze, a z twojego ojca wylezie bydlę.

Szły dalej w milczeniu. Po jakimś czasie doleciał je z tyłu okrzyk. Obejrzały się. Drogą jechał wóz załadowany strzyżką. Na koźle siedział jeden z okolicznych gospodarzy, obok jego żona z koszem pełnym serów.

– Idziecie na targ? – spytał, kiedy usunęły się na skraj gościńca. – O, kuma Reekie, nie poznałem! Zwykle nie chodzicie drogą z Birdham. Wybieracie się na targ do Chichesteru?

– Tak. – Alinor uśmiechnęła się ślicznie. – A to jest moja córka, Alys.

– Ależ wyrosła! – zdumiał się mężczyzna. – Pamiętam cię jako tyciego brzdąca, dziewczuszko. Może was podwieźć?

– Siądźcie ze mną na ławce. – Żona gospodarza posunęła się, robiąc miejsce. – A Alys z tyłu na workach z wełną, jeśli nie ma nic przeciwko temu.

– Dziękuję – powiedziała z wdzięcznością Alinor. Kobieta nachyliła się i wyciągnęła rękę, żeby pomóc jej wdrapać się na kozioł. Alinor tymczasem wspięła się na wóz, opierając nogi na szprychach koła.

– Jedziecie sprzedać leki? – Kobieta zerknęła na koszyk Alinor.

– Tak, i kupić trochę koronki dla pani Miller. O ile dostanę coś porządnego.

– Strasznie tam drogo – skwitowała tamta. – Dziwię się, że sama ich nie robi.

Alinor, wiedząc, że cokolwiek powie, zostanie powtórzone młynarzowej, tylko się uśmiechnęła.

– Ale pewnie dobrze im się powodzi, skoro ją na to stać – dodała kobieta.

– Tego nie wiem – odparła obojętnie Alinor.

– No przecież byliście u nich na dożynkach! Plon mieli taki, jakiego chyba jeszcze u nas nie widziano! Wiadomo, że połowę pszenicy sprzedają z zyskiem, nieraz i do innych hrabstw. A czy nie zagadywała przez całą biesiadę tego nauczyciela z Cambridge, jakby mu była równa? I jakby miała mu do powiedzenia cokolwiek, co by go mogło zaciekawić?

Alinor znów tylko się uśmiechnęła.

– No ale próżne wysiłki, bo jak słyszę, nauczyciel pojedzie z paniczem Walterem do Cambridge. Będzie go tam uczył prawa czy czego tam uczą.

– Nie wiem – bąknęła Alinor.

– Ależ to przystojny mężczyzna!

– Jakoś nie zauważyłam. – Alinor była niemal pewna, że siedząca obok kobieta musi słyszeć głośnie bicie jej serca.

– No jakże! Przecież zaraz po jedzeniu poszedł prosto do was. Wszyscy się zastanawiali, co też takiego ma wam do powiedzenia.

– Rozmawialiśmy o Robercie. Mój syn jest służącym panicza Waltera i brał razem z nim lekcje.

– Mieliście nadzieję, że wyślą go z paniczem do Cambridge? – zgadywała kobieta. – Dlatego odeszliście, nawet nie dygnąwszy? Prosiłście o Roba, a nauczyciel odmówił?

– Nie, nie, nic takiego! Poczułam się niedobrze i zlekłam, że się pochoruję przy ludziach. Przeprosiłam go i pobiegłam do domu.

– A prawdą jest, że szynki Millerowej, chociaż taka jest z nich dumna, zawsze są za słabo uwędzone – mruknęła kobieta. – Sama czułam się po niej nieswojo.

– A co was sprowadza na tę drogę, pani Reekie? – zagadnął gospodarz. – Będziecie nią wracać? Bo możemy was zabrać.

– Nie, wrócimy zwykłą drogą – odparła Alinor. – Byłyśmy z wizytą.

– U kogo? – zaciekała się kobieta.

– U Stoneyów.

– Aha! – Kobieta zastrzygła uszami. Wreszcie trafiło jej się coś, o czym można będzie poplotkować. – Widziałam tych dwoje młodych, jak tańczyli na dożynkach. Piękna para! Znaczą, mamy czekać zapowiedzi?

– Tak – przyznała Alinor. – Alys i Richard mają się pobrać.

– W naszym kościele w Birdham?

– Nie, u Świętego Wilfryda.

– Ależ się wam trafiła zdobycz! – Żona gospodarza powiedziała to serdecznie, w dobrej wierze, choć zabrzmiało niezbyt uprzejmie. – Młody Stoney! Takie piękne gospodarstwo! Dobrze, że dziewczyna wzięła po was urodę, bo więcej mu w posagu nie wniesie.

– Myślę, że będą bardzo szczęśliwi – odparła Alinor, zaciskając zęby. – To małżeństwo z miłości.

– Takie są najlepsze – wtrącił gospodarz.

– Głowę dam, że Stoneyowa nie była zachwycona. Od dnia, kiedy chłopak przyszedł na świat, planowała bogato go ożenić.

– Była dla nas bardzo miła – bąknęła Alinor, modląc się w duchu, żeby siedząca z tyłu Alys nie słyszała tej rozmowy. – Wszyscy się cieszymy.



Po godzinie dotarły do Chichesteru. Zeskoczyły z wozu, dziękując za przysługę.

– Śmieszna staruszka! – stwierdziła Alys, z uśmiechem machając ręką za turkoczącym po bruku wozem. – A teraz będę śmierdzieć owcami.

– Pst! – uciszyła ją Alinor.

Alys wybuchnęła śmiechem.

– Niech sobie myśli, co chce! Pójdziemy najpierw po koronkę?

– Najpierw sprzedamy olejki.

Alinor poszła przodem do kramu, w którym sprzedawano suszone zioła, różne kryształki, olejki, maści i talizmany. Znała dobrze kramarza, który powitał ją z kpiarskim uśmiechem.

– A, pani Reekie, miałem nadzieję, że dziś ujrzę szanowną panią. Co dobrego mi przyniosła?

– Tuzin buteleczek różnych olejków – odparła, stawiając koszyk na ladzie.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – zacmokał, wyjmując po kolei butelki i czytając ręcznie wypisane etykiety. – Nie wiedziałem, że uprawiacie tojad? Wcześniej go nie nosiłyście.

– Znalazłam dziko rosnący – wyjaśniła. – Zrobiłam wyciąg. Podobno kiedyś smarowano tym sidła na wilki, ale już od pokoleń nikt nie widział wilka na całym wybrzeżu. Niemniej wyciąg z tojadu to użyteczny lek.

– I bardzo silna trucizna. – Mężczyzna spoważniał. – Aż dziw bierze, kiedy człowiek widzi zielarkę sprzedającą coś takiego w biały dzień!

– Zbija gorączkę. Jedna kropla rozpuszczona w dużym kuflu piwa to łagodny lek przeciwko zimnicy. Pomaga też na ukąszenia skorpionów.

– Skorpionów też się tu wiele nie widuje – wtrącił sarkastycznie kramarz.

Alinor wzruszyła ramionami.

– Nie chcecie, to wezmę z powrotem. Przyda mi się do leczenia gorączki.

– Nie, nie, chętnie kupię. Dobrze mieć coś takiego w zapasie, choć mało kto o niego pyta. Ile się należy za akonitum i resztę?

– Sześć szylingów – oznajmiła śmiało Alinor.

– No co też szanowna pani! Muszę płacić podatki i zatrudniać człowieka, żeby pilnował sklepu. Dam cztery za wszystko.

– Sześć – powtórzyła stanowczo Alinor. – Oprócz tego zwróci mi pan flaszki i korki.

– Twardo się targujecie – przyznał. – Ale pięknej niewieście ujdzie i to...

Wyłożyła flaszeczki na ladę, a kramarz sięgnął za siebie po puste.

– Dołożę jeszcze dwie na tojad – mruknął. – Chętnie kupię więcej w przyszłym miesiącu, kiedy przyjadę na targ. I suszone zioła na wagę.

– Będą. Właśnie się suszą.

Pochylił się do niej i zniżył głos.

– Zrobilibyście mi coś na przywrócenie męskości? Mam klienta, któremu przydałby się taki lek.

– Nie znam recepty – ucięła sucho.

– Znacie, znacie. A jak nie, to na pewno coś wymyślicie. Podobno skutkuje wywar z epimedium, byczych jąder, imbiru i jeszcze czegoś.

Alinor pokręciła głową.

– Nie znam przepisu, nie zdobęde takich składników, a nawet gdybym je miała, i tak bym tego nie zrobiła. Nie param się gusłami.

Kramarz prychnął z niedowierzaniem.

– Nie mówcie, że rezygnujecie z dobrego zarobku!

– A i owszem – odparła spokojnie. – Robię ziołowe leki, bo wiem, jak działają. Ich dobrodziejstwo zawarte jest w samej roślinie; to dar od Boga. Ale jak do leku trzeba zamawiania czy uroków, to już pierwszy krok do czarnoksięstwa. Moja matka nigdy na coś takiego się nie poważyła i ja też nie mam zamiaru. Nauczyła mnie używać ziół, które wszyscy znają, a nie warzyć tajemne mikstury, nie wiedząc nawet, czy są skuteczne.

– I pomyśleć, że jesteście położną! – wycedził, rezygnując z wyszukanych form.

– Jak rozumiem, sprawy łoża nie są ci zupełnie obce? Skoro pomagasz dziecku wyjść z brzucha na świat, czemu nie pomożesz ojcu go tam umieścić?

– Bo potrzebna mi jest licencja. Jeśli biskup kiedykolwiek do nas wróci, na pewno nie spojrzy łaskawym okiem na babę z Sealsea, która czyni gusła i sprzedaje napoje miłosne. Jestem zielarką i akuszerką. Muszę dbać o reputację, bo to cała moja fortuna.

– Mizerna to fortuna, moja droga. Mizerna! Słuchajże, kobieto, zdobęde składniki i zapłacę ci, żebyś przyszła do mojej pracowni i zrobiła dla mnie ten wywar. Sprawa zostanie tylko między nami, nikt nie musi o niej wiedzieć. Z pewnością przyda ci się pięć szylingów.

Alinor poczuła ukłucie winy na myśl o pieniądzach, które tak bardzo przydałyby się na posag Alys, ale nie mogła się wyzbyć strachu przed czarami.

– Bardzo mi przykro, ale robię tylko to, na czym się znam. Sekrety to nie dla mnie.

Mężczyzna zaśmiał się, żeby pokryć irytację, i nagle zrozumiała, że wywar miał być dla niego. To był nerwowy śmiech człowieka, który stracił pewność siebie; protekcyjny ton brał się ze słabości, a klienta wymyślił jako przykrywkę.

– Och, jeśli nie w smak ci zyskowny interes ze stałym klientem...

– Przepraszam – powiedziała łagodnie – ale nie umiem wam pomóc.

– To nie dla mnie – zastrzegł się szybko – ale tuzin porcji sprzedałbym na pniu.

– Na pewno znajdziecie kogoś, kto je wam przyrządzi.

Skrzywił się.

– Twoje zioła są dobre, najlepsze. Chciałem od ciebie. Ludzie zawsze pytają u mnie o olejki pięknej wiedzmy z bagniska.

– Mam nadzieję, że tak mnie nie nazywają – rzekła zimno Alinor.

– Och, tylko w żartach!

– Dla mnie to nie jest żart.

– Skoro tak mówisz, moja droga, skoro tak mówisz. Dobrego dnia życzę, a jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Ponieważ rozmowa najwyraźniej dobiegła końca, Alinor wzięła pusty koszyk, a kramarz pożegnał ją niedbałym machnięciem ręki. Zgrzytnęła zębami, lecz uśmiechnęła się mile, mówiąc: „Do widzenia”. Nie odpowiedział, zajęty już kimś innym. Kiwnęła na Alys i przepchnęły się przez tłum na północny skraj rynku, gdzie rozłożył się handlarz wełną.

Wokół stołu kłębił się wianuszek kobiet: jedne odnosiły uprzedzoną wełnę i odbierały zapłatę, inne kupowały toboły strzyży do przedzenia. Alinor kupiła mniejszy wór, za szylinga.

– Dziękuję i dzień dobry, kumo Reekie – rzekł handlarz, biorąc od niej pieniądze. – Jeśli się z tym pośpieszycie, sam odbiorę przedzę. W przyszłym miesiącu będę na Sealsea.

– Zostawię ją u brata przy przeprawie – obiecała. – A jeśli przywieziecie mi następną belę i potrąćcie za nią z wypłaty, uprzedę więcej.

– Robota pali się w rękach, co? – Puścił do niej oko. – Składa pani na coś?

– Nic szczególnego – rzekła oględnie, choć stojąca obok Alys oblała się rumieńcem i spuściła oczy.

Odeszły od straganu, starając się nie obijać ludzi na zatłoczonym placu pękatym tobołem.

– Co teraz? – spytała Alys.

– Teraz muszę kupić trochę soli do solenia ryb. – Alinor rozejrzała się wokół.

– Ta, którą robimy w domu, się nie nadaje?

– Nie nastarczę jej na beczkę ryby – wyjaśniła Alinor. – Człowiek się naharuje przez cały dzień, mieszając w patelni i marnując opał, a jest z tego tyle, co kot napłakał.

Ruszyła przodem do straganu, przy którym dwaj mężczyźni, wyglądający na prostaków, nabierali szufelkami sól z worów do mniejszych woreczków.

– Dwa poproszę – powiedziała Alinor, wręczając im dwa pensy. Kiedy wzięła sól i odwróciła się, Alys trąciła ją w łokieć:

– Patrz, są koronki.

Sędziwa koronczarka siedziała na stołeczku obok swoich wyrobów, wystawionych na rozesłanym wprost na ziemi płótnie. Na kolanach trzymała poduszkę koronczarską, a spuchnięte palce przebierały klockami przy nowej robocie, która przyrastała koliście od środka. Kobieta wyjęła szpilkę, wbiła inną, wyznaczając wzór. Klocki śmigają, postukując, niczym armia drewnianych żołnierzyków tocząca bitwę na śnieżnym polu.

– Dzień dobry, majstrowo – powitała ją grzecznie Alinor.

– A, dzień dobry – odparła koronczarka, nie podnosząc głowy znad roboty.

– Szukam koronki na kołnierz dla pani Millerowej z młyna na Sealsea.

– Wszystko, co tu widzisz, jest na sprzedaż – oznajmiła staruszka zaskakująco piskliwym głosem. – I bardzo będę rada, jeśli coś kupisz, moja droga. Bo widzisz, dzięki tej pracy mogę się utrzymać bez ludzkiej łaski.

Alys przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc chichot. Matka zgromiła ją wzrokiem. Uklękły, kolejno oglądając wyroby, aż w końcu Alys orzekła:

– Ta jest najładniejsza, mamó. Spójrz. – Uniosła szeroką koronkową wstęgę, idealną do obszycia kołnierza. Powtarzał się na niej motyw motyli skrzydeł. – Piękna! – Westchnęła i dodała półgłosem: – Za ładna dla tej starej jędry.

– Ile kosztuje? – spytała Alinor.

– Dwa szylingi za jard.

– A nie spuścilibyście trochę z ceny? To nie moje pieniądze, nie mogę ich wydać, jeśli będzie za drogo.

– Gołąbeczko, jard koronki w tę albo tamtą stronę dzieli mnie od wsparcia parafii – oświeciła ją koronczarka. – Jesteś młoda i piękna, więc nie wiesz, jak to jest być biedną staruchą i ciężarem dla sąsiadów. Jeśli w ciągu tygodnia nic nie sprzedam, żaden z nich nie otworzy mi drzwi, bo będzie się bał, że poproszę go o kromkę chleba albo kwartę mleka. Każdemu szkoda mleka, choćby miał całe stado krów. Po miesiącu zaczną się zastanawiać, jak by tu mnie wysiudać do innej parafii. Zaczną pytać o dzieci i czybym ich nie odwiedziła... Niechże one wykarmią starą babę! Oj, ciężko starzeć się w biedzie. Oby Bóg ci tego zaoszczędził.

– Amen – szepnęła Alinor.

Koronczarka podniosła wzrok na zdumioną twarzyczkę Alys.

– Wierz mi, dziewczyno, starczy chwila i wszyscy są przeciwko tobie. Jedno ostre słowo, a już szukają łowcy czarownic i oskarżają cię, że jesteś wiedźmą,

żeby raz na zawsze się ciebie pozbyć. W tym hrabstwie bieda to przestępstwo, starość to grzech. A jeśli jesteś kobietą, tym gorzej. Nigdy nie jesteś pewna dnia ani godziny.

Alinor poczuła zimny dreszcz pełzający jej po plecach.

– Mam tylko trzy szylingi – powiedziała prędko. – Przepraszam, że was fatygowałam.

– Sprzedam ci dwa jardy za trzy szylingi – odparła starszka. – Dorzucisz mi coś niecoś przy następnym zakupie.

Podniosła koronkową wstążkę i złożyła ją delikatnie kilka razy, a potem przewięzała różową jedwabną nicią.

– Piękny wyrób – orzekła. – Dwa tygodnie pracy i dostaję za nią trzy szylingi. Proś Boga, żebyś nigdy nie została sama i nie musiała zarabiać na życie własną pracą. Świat nie jest dobrym miejscem dla samotnych kobiet.

– Amen – powtórzyła Alinor. – Wiem coś o tym.

– Biedna starowina! – rzuciła obojętnie Alys, kiedy odeszły dalej. Przyjrzała się matce bacznie. – Nie słuchaj jej! Ty jesteś inna. Dobrze zarabiasz, na ziołach, porodach, a teraz jeszcze masz łódź i dochody z ryb. Masz pracę we młynie i ogród u wujka Neda. A jeśli wezmą cię znów do pomocy w dworskiej gorzelnii, na pewno dobrze zapłacą. Ja niedługo będę żoną bogatego rolnika, a Rob aptekarzem. Oboje będziemy słać ci pieniądze!

– Ona też na razie dobrze zarabia na koronkach – zauważyła Alinor. – Ale co się stanie, kiedy będzie już za stara, żeby pracować? Widziałaś jej ręce. Co będzie, kiedy palce przestaną się zginać? Kiedy zachoruje? Co będzie jadła? Skąd weźmie drewno na opał? Od sąsiadów z parafii, jak powiedziała, a ci ją znienawidzą, gdy tylko o cokolwiek poprosi.

Musiała podnieść głos, bo w tłumie słyhać było krzyki i obie zaczęły się rozglądać, co spowodowało awanturę. Powodem okazał się młody rojalista, stojący butnie na stopniach Targowego Krzyża i otoczony cizbą rozgorączkowanych, oburzonych ludzi.

– Jeszcze przed Bożym Narodzeniem król wróci na tron i w kraju zapanuje pokój! – wołał.

– I wtedy przed Wielką Nocą znów będziemy mieli wojnę! – odkrzyknął mu ktoś. – Bo król jest łgarzem!

Rozległy się oklaski i śmiechy, ale większość przechodniów chciała posłuchać, co ma do powiedzenia królewski stronnik.

– Chodźmy stąd – rzuciła nerwowo Alinor, bo Alys też przystanęła z zaciekawiona.

– Ludzie parlamentu wiedzą, że muszą się ugodzić z królem, toteż płyną na Wight, żeby się z nim spotkać – oznajmił młody człowiek. – Król nie będzie działał pod przymusem. Musi wrócić na tron.

– I darmowe piwo dla wszystkich! – wrzasnął ktoś z tylnych rzędów.

– Będą żądać, by rozwiązał gwardię królewską i zatwierdził prawa Armii Nowego Wzoru. – Mówca zrobił znaczącą pauzę. – Najjaśniejszy pan nigdy się na to nie zgodzi. Będą żądać Kościoła bez władzy biskupiej. Sami wiecie, do czego to prowadzi! – Gniewnym wzrokiem zmierzył tłum – Gdzie jest dziś biskup Chichesteru?

– Nazywa się Slough – podsunął mu ktoś. – O niego ci chodzi? Bo uciekł, niebożę, mało nie pogubił nóg!

Młody człowiek wyniośle zignorował zaczepkę.

– To Kościół Henryka VIII! – zawołał, przekrzykując śmiechy rozweselonych gapiów. – Kościół królowej Elżbiety! Król Karol, ich prawowity następca, nigdy się go nie wyrzeknie. Przywróci Izbę Lordów, biskupów...

– A nie zapomnij o biskupie Rzymu! – krzyknął ktoś z tyłu. – Bo królowa słucha go pilniej niż własnego małżonka!

– Chodź – powiedziała Alinor do córki. – Zaraz pójdą w ruch pięści.

– Nasz król nie ugnie się przed parlamentem! – usłyszały jeszcze, wymykając się z tłumy. – Nie mogą go do tego zmusić! Powinniśmy bronić jego królewskich praw! Poseł z naszego hrabstwa musi wiedzieć, że...

– Naprawdę mogą zmusić króla, żeby oddał im władzę? – spytała Alys, kiedy szły ulicą Południową do drogi wychodzącej z miasta w stronę Sealsea.

– Nie wiem – odparła Alinor. – Pewnie tak, skoro mają go w rękach. Ale może nie wolno trzymać króla w niewoli.

– Wujek twierdzi, że król powinien być sądzony za zdradę, bo znów rozpętał wojnę i sprowadził na nas Szkotów. Że to była zbrodnia przeciwko ludowi Anglii.

– Łatwo powiedzieć – mruknęła Alinor. – Ale są i tacy, co twierdzą, że król zawsze ma słuszość, bo jest królem.

– Kto tak mówi?

– Niektórzy – bąknęła Alinor, myśląc o Jamesie.

– Toż to wierutna bzdura! – oświadczyła stanowczo Alys.



Ruszyły do domu piechotą, wymieniając się co jakiś czas workami z wełną i solą. Po drodze zabrał je chłop wiozący ziarno do młyna. Rozsiadły się wygodnie na workach z tyłu wozu. W popołudniowym świetle niebo wydawało się złociste. Kiedy wóz skręcił na drogę do młyna, doleciał do nich plusk fal w zatoce. Wiatr się wzmagął; wieczorna bryza marszczyła powierzchnię wody, przez co morze wyglądało jak płat surowego szarego jedwabiu.

Alys zeskoczyła z wozu, żeby otworzyć bramę na podwórze, i weszła pierwsza. Śluza była otwarta, młyński staw prędko się wypełniał wodami przyływu. Słyszając turkot kół na wybrukowanym podwórzu, młynarz wyszedł ze stodoły, a jego żona z kuchni.

– O, jesteście – powiedziała, widząc Alinor schodzącą z wozu. – Widzę, że nie utrudziłyście nóg, skoro przywiózł was tu nasz klient.

– Ano, tak się szczęśliwie złożyło – przyznała pogodnie Alinor.

– Jakoś zawsze umiecie znaleźć chłopca do pomocy – zauważyła kąśliwie młynarzowa.

– Dziś się znalazł. Ale spójrzcie, co dla was kupiłam.

Młynarz z wozakiem zaczęli rozładowywać worki na stos pod drzwiami spichrza, skąd miały zostać przetransportowane do góry, kiedy staw się napełni i będzie można spuścić z niego wodę na koło młyńskie, które poruszy dźwig. Alinor wręczyła młynarzowej pakiecik z koronką, czekając, aż ją rozwinie.

– Piękna. – Twarz kobiety rozjaśniła się z zachwyty. – Bardzo misterna. Nie mów, że dostałaś ją za trzy szylingi!

– A tak! – pochwaliła się Alinor. – Pomyślałam sobie, że to bardzo dobry interes. Nie sądzicie? Jaki misterny wzór!

– I to na targu w Chichesterze! – zdumiała się młynarzowa. – Kto by przypuszczał, że coś tak pięknego można kupić w Chichesterze! Myślałam, że takie rzeczy to tylko w Londynie!

– Robi je pewna staruszka. Nie ma nawet straganu; siedzi na stołku z poduszką koronczarską na kolanach – oparła Alinor. – Ale wszystkie jej wyroby są piękne.

– Jestem wam naprawdę wdzięczna – powiedziała młynarzowa z rzadką u niej serdecznością. – Sprzedałyście olejki?

– Tak. – Alinor pokazała jej kosz z pustymi buteleczkami. – I kupiłam wór wełny do przedzenia, i sól, żeby zasolić ryby, tak że miałam dziś bardzo udany dzień.

Alys podeszła i dygnęła przed gospodynią.

– Ty też, jak widzę, miałaś udany dzień! – zbeształa ją natychmiast Millerowa. – Wałęsałaś się po próżnicy, choć to dzień roboczy!

– Byłyśmy najpierw w gospodarstwie Stoneyów – wtrąciła Alinor, wiedząc, że młynarzowa i tak się dowie, a jeśli usłyszy nowinę od kogoś innego, będzie wściekła. – Richard i Alys się zaręczyli. Pobiorą się na Wielkanoc.

– Nie do wiary! – Młynarzowa do reszty straciła humor.

– Tak też myślałam, że się ucieszycie – wypaliła Alinor jakby nigdy nic. – Poznali się u was, bo oboje tu pracują, a jaką byli piękną parą jako król i królowa waszych dożynek! Wiedziałam, że będziecie rada z ich szczęścia.

Millerowa przez dłuższą chwilę toczyła heroiczną walkę z zawiścią.

– Nie mam powodu nie być rada – stwierdziła wreszcie z rozdrażnieniem. – Przecież nie stwarzałam im przeszkód. I bynajmniej nie planowałam wydać za niego Jane.

– No właśnie – podsumowała Alinor. – To i dla was jest dobra wieść.

– Ale... – młynarzowa kręciła głową – taka dobra partia... Młody Stoney! Oby tylko ludzie nie zaczęli plotkować, że dziewczyna go uwiodła!

– Nikt przecież nie byłby aż tak złośliwy. – Alinor złapała się za głowę z udawanym zgorszeniem. – Gołym okiem widać, że się kochają.

– Tyle że to nadspodziewanie dobra partia... – sarknęła pani Miller. – Dziewczyna wyszła z rybackiej chaty i jednym skokiem trafiła na najlepsze gospodarstwo w całej okolicy!

– Nie zaprzeczę, że Alys ma szczęście – przyznała Alinor. – Ale będzie dobrą żoną dla Richarda. Tyle się tu u was nauczyła!

– Dziś akurat nie nauczyła się niczego prócz szwendania się po targu i wydawania cudzych pieniędzy.

– Odpracuje wam to – obiecała Alinor, ujmując zimną rękę córki. – Teraz musimy już iść.

– Życzę szczęścia wam młodym – mruknęła zawistnie młynarzowa. – Wszystkiego dobrego na nowej drodze życia.

– Pięknie dziękujemy. – Alinor wzięła sól, a Alys zarzuciła na ramię wór z wełną i obie wyszły z podwórza, zostawiając bramę otwartą dla wozaka.

Ruszyły w stronę promu.

– Odłożyłam sakiewkę – oznajmiła nonszalancko Alys.

Serce Alinor na moment stanęło w piersi.

– Myślałam, że chciałaś to zrobić wieczorem, kiedy będzie zamykać kury?

– Tak, ale kiedy wyszła i zaczęłyście oglądać tę koronkę, wiedziałam, że to najlepszy moment. Pobiegłam do kuchni, wyjęłam cegłę, wrzuciłam trzos i wsadziłam cegłę, a wszystko nie trwało nawet tyle co oddech. Nie pozna, że cokolwiek było ruszane.

– Więc już po wszystkim i nikt cię nie przyłapał. – Alinor zrobiło się słabo z ulgi.

Alys wyszczerzyła do niej zęby.

– Już po wszystkim i nikt mnie nie przyłapał – potwierdziła wesoło.

– Nigdy więcej tego nie rób – zdenerwowała się Alinor. – Obiecuj mi! Nie wolno brać cudzego, choćby tylko pożyczać, i nie powinnaś była tego robić. Pomyśl, co ryzykowałaś! Bardzo cię proszę, obiecuj, że już nigdy tego nie zrobisz!

Dziewczyna roześmiała się, jakby nic nigdy nie mogło jej zagrozić.

– Obiecuję ci, że nigdy nie dam się przyłapać i nie skończę na szubienicy – zachichotała. – Młynarzowa jest głupia, nawet przez myśl by to jej nie przeszło, a już niedługo będę miała więcej pieniędzy, niż wart jest posag Jane. Poczekaj, aż będę panią na połowie Birdham! Nie będę trzymać grosza w kominie! Będę miała własną skrzynkę u złotnika w Chichesterze! Będę kobietą zamożną!



MOKRADŁA, WRZESIEŃ 1648 ROKU

Przez cały wrzesień Alinor nie miała wieści od ukochanego, ale też się ich nie spodziewała. Rozsłonecznione dni babiego lata natchnęły ją błogim spokojem. Ufała Jamesowi; wierzyła, że wróci do tego tajemniczego miejsca, które nie do końca umiała sobie wyobrazić, a które nazywał swoim domem. Tam ludzie, których zwał braćmi, uwolnią go od złożonych ślubów. Alinor, wychowana w kraju, gdzie wiara katolicka od niemal stu lat była zakazana, z lękiem zgadywała, jakimż to rytuałom będzie musiał się poddać, aby odciąć się od heretyckiej przeszłości. Wyobrażała sobie, że będą go straszyć wiecznymi mękami piekielnymi, oblewać winem czerwonym jak krew i zmuszać do jedzenia surowego mięsa. Łzy stanęły jej w oczach na myśl, że będzie musiał stawić czoło straszliwym zwierzchnikom rzymskiego Kościoła. Ufała jednak, że mężnie i śmiało dopnie swego w tym świecie, który dla niej był nieprzeniknącą tajemnicą. Powiedział, że tego dokona. Wierzyła, że ją kocha i przekona tych ludzi, by go uwolnili.

Bardziej bała się wpływu jego rodziny, szczególnie matki. Tu już bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, co powie arystokratka na wieść, że jej ukochany jedyny syn porzuca kapłaństwo nie dla wyższych ambicji, lecz po to, by poślubić zielarkę, porzuconą żonę rybaka, która z trudem stara się zarobić na życie w zamulonej przystani na zalewanej pływmami wysepce. Skoro Stoneyowie, wolni rolnicy, uważali się za znacznie lepszych od Alys, co powiedzą szlachetnie urodzeni Summerowie, widząc jej ubogą, spracowaną matkę?

Rodzice Jamesa na pewno nie pozwolą, by do niej wrócił. Raczej go wydziedziczą, niż dopuszczą, by związał się z kobietą, którą nazwą wioskową wiedźmą i żebraczką. Przypomniała sobie jednak, że i oni byli teraz wywłaszczeni z ziemi, zubożeni sześcioma latami wojny domowej, zesłani na wygnanie z pokonaną królową, daleko od swego pięknego domu. Potępieni jako papiści i „kawalerowie”. Nie mogli wrócić do Anglii: zarówno ich wiara, jak i lojalność polityczna były teraz ciężkim przestępstwem. Znajdowali się

u szczytów władzy, gdy ich król siedział na tronie, a wiara była akceptowana, ale czasy się zmieniły. Olbrzymia przepaść dzieląca ją od ich syna została częściowo zasypana, gdy strzaskano ołtarze, gdy zerwano umowę między królem a ludem, gdy skończyła się czołobitność. Skoro król mógł zostać pojmany przez zwykłego korneta, młodszego oficera armii, i osadzony w zwykłym domu w Newport na wyspie Wight, to Alinor i James nie znajdowali się już na przeciwległych krańcach nieprzebytej jak bagno hierarchii. Jego rodzice muszą przecież wiedzieć, bo każdy o tym wie, że świat się zmienił, że ubogi lud angielski powstał z kolan, a możni nie rządzą już w swoich pałacach. Jeśli Oliver – „Noll” – Cromwell, rolnik żyjący z pracy rąk, może sprawować władzę w kraju, to czemuż by wdowa po rybaku nie miała wspiąć się wyżej i żyć lepiej?

– Księżę został pokonany na morzu i przegnany do Holandii. Słyszałaś? – zagadnął ją któregoś wieczoru Ned. Siedział przed drzwiami chaty i palił fajkę, żeby dokuczliwe muchy nie pchały mu się do twarzy. Jego pies leżał w cieniu pod ławką i dyszał.

Alinor podała mu kubek chłodnego piwa i przysiadła obok z własnym. Przęślicę zatknęła za pas, żeby mieć kądziel na wysokości głowy. Wyciągała z niej i skręcała cieniutkie pasemko. Lekкими uderzeniami stopy napędzała wrzeciono, żeby było w ciągłym ruchu. Wełna była rozgrzana i tłusta od lanoliny.

– Nie słyszałam. Nikogo nie widziałam od dnia targu w Chichesterze. Nosa nie wystawiłam z piwiarni, destylarni i kuchni. Co się stało?

– Pracujecie z Alys od świtu do nocy. Dostałyście dobrą cenę za tę baryłkę solonych ryb?

– Dwadzieścia szylingów! Kupili ją na statek wożący zboże. Ale co z tym księciem?

– Sam dopiero co się dowiedziałem. Tutaj w ogóle nic nie dociera, zupełnie jakbyśmy siedzieli pod wodą, a nie nad nią. Ale Gaston mi mówił, kiedy wiozłem go przez kanał, że mieli gościa z Londynu. Odwiedził ich krewniak jego żony. Wiesz, że księżę Walii dowodził flotą?

– Tak, o tym słyszałam – potwierdziła Alinor, myśląc o mężczyźnie, który powiedział jej o czekającej flocie i szansie ucieczki dla króla.

– Nasze okręty, to znaczy flota parlamentu, wyгнаły go z Tamizy i ścigały przez Kanał aż do Holandii. Nie będzie już się czał przy naszych brzegach. – Ned zachichotał. – Pewnie miał nadzieję, że jego ojciec czmychnie z Wight, podejmą go na pełnym morzu i zawiozą do Francji. Byli pewni, że złamie

warunki rozejmu i znów ucieknie. Ale bez obaw. Flota królewska odpłynęła, a król jest uziemiony w Newport. Teraz to parlament dyktuje mu warunki, a on może tylko grzecznie potakiwać.

– To flota go zdradziła?

– Odpłynęła do Holandii. Już nigdzie się nie ruszy – rzekł Ned z satysfakcją.

– Będzie musiał zawrzeć ugodę z ludźmi parlamentu i wrócić z nimi do Londynu. I to ci powiem, że nie będzie tam okrzyków radości na jego widok.

– Ale co z nim będzie? I z tymi wszystkimi, którzy wzięli jego stronę i teraz są na kontynencie przy wygnanej królowej?

– A kogo oni obchodzą?

– No, po prostu... zastanawiam się, co się z nimi wszystkimi stanie.

– Wiesz, co myślę? – rzekł w zadumie Ned. – Że parlament udzieli królowi nagany. Zabiorą go do Londynu i znów będzie niby królem, ale takim, jakiego jeszcze nie było. Nie będzie mógł rozkazywać Izbie i Kościołowi, tylko z nimi współpracować. Może odtąd będzie się nazywał „panem królem”, a nie żadną wysokością? – Zaśmiał się z własnego dowcipu. – Pałac pewnie mu oddadzą, ale raczej nie tron. Ba, gotów jestem założyć się o szylinga, że władzy nie odzyska. A już na pewno nigdy więcej nie stanie na czele armii. Nie można mu ufać. Teraz to już jest jasne dla wszystkich: nie można mu ufać.

– To królowa też wróci do niego, do Anglii? I będzie zwykłą panią królową? A książę? A ci wszyscy lordowie i damy dworu, którzy są przy niej w Paryżu? Co oni zrobią?

– Będą musieli błagać lud angielski o przebaczenie – orzekł z powagą Ned. – Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym im pokornie błagać, zapłacić grzywnę i złożyć przysięgę, że już nigdy nie podniosą broni przeciw Anglikom. Niech żyją, byle w ciszy i na uboczu. Powinniśmy ich potraktować jak papistów: ukarać grzywną i zakazać sprawowania urzędów. Mogą żyć w Anglii pozbawieni praw i głosu jak niewiasty i dzieci, jak obłąkańcy, którymi w istocie są. Niech pracują, nie rozkazują.

– Ale będą mogli wrócić do domu? – upewniła się Alinor.

– Jeśli zgodzą się wieść takie życie. Bo już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Ani dla nich, ani dla nas.

Alys wyszła z domu z prześlicą i dużym pękiem zgręplowanej wełny. Usiadła obok nich, wprawiała w ruch wrzeciono i zaczęła prząść.

– Nie rozstajesz się z tym wrzecionem ani we dnie, ani w nocy – zauważył Ned.

– Posag – wyjaśniła krótko.

Pokiwał głową.

– Dam ci parę szylingów w dniu wesela – obiecał. – Dam dziesięć.

– Dziękuję, wujku. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Bardzo ci będę wdzięczna.

Nie patrzyła na matkę, Alinor też nie podniosła oczu znad roboty.

– Obie będziemy wdzięczne – uściśliła. – Prawdę rzekłszy, musiałyśmy obiecać więcej, niż jesteśmy w stanie zebrać.

– To piękne gospodarstwo – przyznał. – Nie dziwota, że chcą ładnej sumki. Kiedy ślub?

– Po Wielkiej Nocy – powiedziała Alinor.

– Może wcześniej – dodała Alys. – Jeśli zdążymy zebrać pieniądze. Może na Trzech Króli? Marzyłoby mi się wesele na Trzech Króli.

– Biblia nie każe świętować Trzech Króli – zganił ją Ned – i w Bożym Kościele nie ma takiej potrzeby.

– Poza tym to za wcześnie! – zaprotestowała Alinor. – Nie zdążymy zebrać pieniędzy!

Alys wzruszyła ramionami.

– To może w końcu stycznia. Albo w lutym. W jakiś zwyczajny pobożny dzień.

– To musisz prząść szybciej – doradził jej Ned. – Albo prząść złoto, jak ta dziewczyna w bajce.

– Po co ten pośpiech? – zdziwiła się Alinor. – Zimą jest brzydko i ciemno. Czemu nie chcesz poczekać do wiosny?

Alys błysnęła zębami w łobuzerskim uśmiechu.

– Bo chcę mieć dobrze wygrzane łóżko na tę zimną i ciemną porę.

Alinor ściągnęła brwi i ruchem głowy nieznacznie wskazała wuja, przypominając córce, żeby powściągnęła język.

– Małżeństwo to poważna umowa, która ma na celu przymnażanie chwały Bożej – oznajmił Ned z powagą. – A nie zaspokajanie młodzieńczych chuci. Lepiej byś zrobiła, moja panno, więcej myśląc o Bogu. Módl się, a On na pewno da ci znak, kiedy pora będzie właściwa.

– Oczywiście. – Śliczna buzia Alys oblekła się w powagę. – Ale jak długo każesz mi czekać, wujku? Ty w ogóle obywasz się bez żony, a mama też mieszka tu sama. Wiem, że nasza rodzina jest zimna jak ławica śledzi, ale mimo wszystko...

Ned mimo woli parsknął śmiechem i schylił się, żeby pogłaskać drzemiącego pod ławką psa.

– Jeśli przyspieszysz ślub, nie zbierzemy posagu – ostrzegła ją Alinor.

– Zdążymy – oznajmiła pewnym głosem dziewczyna – bo Richard wyłoży za mnie resztę.

– Co takiego? – Ned złapał się za głowę. – Narzeczony sam sobie zapłaci posag?

– On mnie bardzo kocha. – Alys rozpromieniła się z dumy. – I nie chce, żebym się martwiła.

– Ma własne oszczędności? – zdziwiła się Alinor. – Tyle pieniędzy?

– Po dziadku Stoneyu. Dziadek mu je zapisał, na własność. A on da je mnie. Obiecał, że dołoży tyle, ile nam braknie.

Alinor poruszyła ramionami, jakby zdjęto z nich ciężkie brzemię.

– Dzięki Bogu – westchnęła. – Bałam się...

– Mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze.

– Bardzo jesteś pewna siebie – zauważył Ned.

Alys zerknęła na niego spod oka.

– Tego akurat jestem pewna.



DOUAI, FRANCJA, WRZESIEŃ 1648 ROKU

Tuż przed prymą obudził Jamesa wielki dzwon, *La Joyeuse*. Nim jeszcze otworzył oczy, przypomniał sobie, że jest bezpieczny. Jest w domu. Tu, gdzie go wychowywano i kształcono, znano i kochano. Tutaj mógł używać imienia danego mu na chrzcie, bez lęku mówić o swoich rodzicach i modlić się za króla. Tu był częścią wspólnoty – żarliwie religijnej, zaciekle patriotycznej grupy spiskowców, gotowych w każdej chwili wrócić do swych angielskich domów i przyciągnąć swój kraj z powrotem do Boga. Pierwsza myśl na jawie pełna była zmieszanej z dumą ulgi: powrócił żywy z misji w Anglii, gdy tylu młodym, wykształconym i kochanym tak jak on ludziom to się nie udało. Nim jeszcze otworzył oczy, podziękował Bogu za to, że go oszczędził, że nie został wydany przez fałszywych sojuszników ani sam niechcący się nie zdradził. Oszczędzono mu procesu i śmierci na stosie. Teraz mógł się sam przed sobą przyznać, jak bardzo się bał. Pomyślał o Alinor i pomocy, jakiej bez namysłu mu udzieliła. Postanowiła go ukryć w tej samej chwili, w której go ujrzała; pielęgnowała go, ryzykując własne życie. Pomyślał, że to Bóg ją do tego natchnął. Choć była heretyczką, to ratując go, wypełniła Jego wolę.

Gdy tylko wspomniał jej wielkie, poważne oczy, wszystkie inne myśli pierzchły i przez kilka długich chwil rozpamiętywał zarys jej profilu, gest, jakim odwracała głowę, i ten, gdy odrzucała włosy. Na moment znów znalazł się na stryszku nad stajnią, znów czuł dotyk jej ust... ale właśnie wtedy po białej ścianie jego celi przesunęła się smużka światła, odbłask świecy niesionej przez jednego z braci, który idąc korytarzem, stukał kolejno w drzwi, wołając: *Pax vobiscum!*, na co odpowiadało mu powtarzane raz po raz: „Amen!”. Bracia i klerycy siadali w wąskich łózkach, dziękując Bogu za nowy dzień.

Tylko James miał wrażenie, że to błogosławieństwo nie jest przeznaczone dla niego, że nie zasłużył na nie. Bracia i zwierzchnicy w opactwie i akademii nie wiedzieli jeszcze, jak haniebnie ich zawiódł, a gdyby wiedzieli, z pewnością by go nie pobłogosławili. Nie szczędziliby słów potępienia i mieliby to tego pełne prawo. Radość, towarzysząca mu przy przebudzeniu, zgasła, a dziękczynna

modlitwa zamarła na ustach. Wstał i ruszył bosy po zimnej kamiennej posadzce. Umył nad miską dobrym kastylijskim mydłem twarz i ręce, pachy, a na końcu krocze. Włożył lnianą koszulę, na nią habit, przewiązał go sznurem w pasie. Wsunął stopy w nowe skórzane sandały, a potem otworzył drzwi i zajął swoje miejsce w rzędzie młodych ludzi, którzy w kapturach na głowach szli gęsiego na prymę, zatopieni we własnych modlitwach. Nikt nie podniósł na niego oczu, nikt nawet go nie przywitał i James nagle poczuł się obco wśród tych, których znał od dzieciństwa.

– Boże, przebacz mi – wyszeptał, idąc za braćmi, którzy chwalili Boga, ufni, że poradzą sobie w świecie i przywrócą go prawdziwej wierze. – Boże, przebacz mi, odpuść mi moje grzechy.



Zdawać by się mogło, że przez całą mszę modlił się z prawdziwą skruchą. Wypowiadał półgłosem zapamiętane słowa, śpiewał znajome psalmy. Ale w głębi duszy nie odczuwał skruchy; czuł za to, że toczy wojnę z sobą samym. Nie wykonał powierzonego mu zadania, zawiódł króla i sprzeniewierzył się złożonym ślubom. Alinor nie zaliczał do swoich grzechów. Przy niej czuł się w zgodzie z samym sobą, co mu się nie zdarzyło od dzieciństwa. Przy niej potrafił sobie wyobrazić życie pobożne, lecz świeckie, po tamtej stronie klasztornych murów. Zaczynał myśleć, że byłby lepszym małżonkiem niż księdzem; w każdym razie do reszty zwątpił w swe powołanie. Uczucie do kobiety nadało jego życiu sens, którego gdzie indziej nie umiał odnaleźć. U młodego mężczyzny, od dziecka poświęconego Kościołowi, była to myśl zaprawdę rewolucyjna, ale nie mógł się jej pozbyć. Czuł pewność, jakiej nigdy dotąd nie zaznał: nie chce dłużej tkwić w północnej Francji; nie chce służyć królowi niezdolnemu do rządzenia, nie zależy mu już nawet na przywróceniu w Anglii prawdziwej wiary. Pragnie tylko wrócić do rodzinnego domu w Yorkshire, wprowadzić tam kobietę, którą kocha, i żyć w pokoju jako Anglik na swojej ziemi.

Zaraz po skończonym nabożeństwie bracia udali się do refektarza na śniadanie. Jedli w milczeniu; ciche łacińskie słowa czytanej w tym dniu Ewangelii zdawały się jeszcze podkreślać panującą w sali ciszę. Potem jeden ze starszych braci przydzielił nowicjuszy do prac, które mieli dziś wykonywać – odczytał imiona tych, którzy będą pogłębiać wiedzę, pracować w ogrodzie,

gospodarstwie, kuchni, przy sprzątanii lub w klasztorii warsztatach. James został skierowany do dziekana, który zajmował własne pokoje.

Kilku młodszych seminarzystów zerkało na niego z zawiścią: też chcieliby płynąć do Anglii, ukrywać się, szpiegować i służyć prześladowanym wiernym Kościoła katolickiego. Przemknęło mu przez myśl, że tęskniąc za męczeństwem, grzeszą głupotą. Żaden z nich tak by się do niego nie palił, gdyby choć raz stał na ciemnym nabrzeżu, czekając, aż ktoś zapali lampę, i nie wiedząc, czy będzie to przyjaciel, czy wróg. Nie pragnąłby tego, gdyby znalazł się o krok od największego zwycięstwa w tej wojnie, a ktoś lekkomyślnie, ot tak, przez kaprys, odrzuciłby je ze wzgardą. James unikał ich spojrzeń. Pokornie schylił głowę i udał się samotnie do komnat dziekana.

Sekretarz wpuścił go do gabinetu. Doktor Sean siedział za obszernym stołem z nakrytą głową, w czarnej sutannie ozdobionej oficjalną szkarłatną stułą. Twarz miał bladą i ściągniętą. Na widok wchodzącego podniósł się, żeby go uścisnąć i francuskim zwyczajem ucałować w oba policzki. Uczynił nad głową Jamesa znak krzyża, po czym rzekł ciepło:

– Usiądź. Usiądź, mój synu, i opowiedz mi o wszystkim.

James, absolutnie pewien, że nie o wszystkim może opowiedzieć, przysiadł na skraju krzesła, a dziekan wrócił na swoje miejsce i ujął pióro, żeby notować przyniesione przez niego wieści.

– Wróciłeś zeszłej nocy? Nie rozmawiałeś z nikim o swojej podróży?

– Ani słowem – przytaknął James.

– Pozostawiłeś króla w niewoli?

– Tak, niech mi Bóg wybaczy.

– Powiedz mi, jak do tego doszło? Czy nie rozkazano ci przeprowadzić go do łodzi i dowieźć na statek księcia Walii, gdzie byłby bezpieczny?

– Tak, ojcze.

– Więc dlaczego zawiodłeś?

Z wahaniem i wstydem zrelacjonował szczegółowo swoją podróż na Wight. Mówił o współspiskowcach, których tam spotkał, o chłopcach, którzy służyli mu za zastonę, o kapitanie statku, który się nie stawił, i Zacharym, który miał go zastąpić. Zaznaczył, że dom pana Hopkinsa wcale nie był strzeżony i król mógł wyjść wraz z nim, lecz się nie zgodził.

Dziekan splótł dłonie, jakby się modlił.

– Dlaczego? – spytał.

– Tego mi nie wyjaśnił.

– Odmówił opuszczenia wyspy?

– Wyśmiał mnie – prychnął z goryczą James. – A potem wpadł w złość, iż ktokolwiek śmiał wątpić w to, że jest w stanie sam się uratować. Był pewien, że bez trudu zawrze korzystną dla siebie ugodę z parlamentem. Jeśli zaś w przyszłości zmieni zdanie, to po mnie pośle, tak rzekł. Ostrzegłem, że nie jest to bezpieczne przedsięwzięcie ani dla mnie, ani dla innych; może tak się zdarzyć, że nie zdołamy po niego wrócić, ale nie potraktował mnie poważnie. Nie udało mi się sprawić, żeby potraktował nas poważnie.

– Wyjaśniłeś, że działasz na polecenie najjaśniejszej pani i księcia? Że to był ich plan?

– Przekazałem hasło, powiedziałem, że zostałem przez nich opłacony i mam pieniądze na przekupienie właściciela statku. Odrzekł, że nie będą mu niczego narzucać; sam zdecyduje, czy i kiedy opuści wyspę. – Jakże trudno mu było mówić o królewskich dąsach, zachowując szacunek należny namaszczoneму przez Boga ziemskiemu władcy.

– Ale udało ci się potajemnie wrócić do sir Williama?

– Jestem pewien, że nikt mnie nie wysłedził.

– I potem zachorzałeś?

James oblał się rumieńcem. Pąs rozlewający się nad wycięciem habitu nie uszedł uwagi dziekana.

– Tak. Złożyła mnie jakaś tamtejsza gorączka bagienna. Nie trwała długo.

– Czy to była tylko dolegliwość ciała? Czy dotknęła też twojej duszy, synu?

James zwiesił głowę. Stary człowiek z trudem łowił urywane, szeptane wyznanie, że istotnie jego wiara zachwiała się i legła w gruzach.

– Nie ma w tym nic dziwnego – rzekł łagodnie. – Jesteś jeszcze bardzo młody, a samotnie stawiałeś czoło niebezpieczeństwu przez wiele tygodni, nim udało ci się dostać na wyspę. Zlecono ci zadanie najwyższej wagi, ważniejsze niż ktokolwiek w tym kolegium otrzymał, ale misja się nie powiodła.

– Jestem zrozpaczony – szepnął James. – To dla mnie hańba.

– Nikt zapewne nie zdołałby przekonać najjaśniejszego pana. Jeśli nie chciał z tobą płynąć, nie mogłeś go do tego zmusić. Wierzę, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. I wątpię, by w tej sytuacji ktokolwiek działał więcej.

Zapadła cisza.

– Czy mogłeś zrobić więcej, synu?

– Wciąż zadaję sobie to pytanie – przyznał James. – Nie wiem. Nie wiem, co mogłem jeszcze zrobić. Żałuję, że nie zdołałem go wywieźć z wyspy. Myślę, że gdyby zgodził się ze mną iść, udałoby mi się przewieźć go bezpiecznie na statek. Śni mi się to po nocach. Wciąż o tym myślę, rozważam raz po raz. Ale pewności nie mam. Nie wiadomo, co mogło się wydarzyć na morzu albo jeszcze na brzegu. Nie, nie sądzę, abym mógł zrobić więcej, w każdym razie nie bez jego zgody. Ale dręczy mnie... Być może powinienem był nalegać. Tylko jak miałem się spierać z królem?

– Jedno niepowodzenie może zachwiać wiarę, ale jej nie łamie – zauważył dziekan. – Czy dotrzymałeś ślubów?

Tym razem cisza, jaka zapanowała w zalanej słońcem komnacie, była znacznie dłuższa.

– Nie – szepnął w końcu James. – Ojczy, wybac mi. Poznałem kobietę... pokochałem ją i... zgrzeszyłem.

Stary człowiek pokiwał głową.

– Każdy z nas jest grzesznikiem, synu. Rodzimy się w grzechu i co dnia grzeszymy. Ale Bóg jest miłosierny. Wybacza, jeśli wyznamy grzech i wrócimy do Niego. A więc wyznasz grzech i wrócisz do Boga.

James podniósł głowę.

– Proszę o zwolnienie ze ślubów – rzekł cicho. – Wypowiadam się i oczywiście odprawię każdą pokutę, jaka zostanie na mnie nałożona. Ale błagam o uwolnienie. Ojczy doktorze, ja ją kocham. Chcę być z nią.

Dzwon opactwa wybił godzinę i zaraz za oknami odpowiedziały mu miejskie dzwony. James wsłuchał się w dźwięki, które jeden przez drugi nawoływały do modlitwy to pobożne miasto. Kiedy przebrzmiał ostatni, doktor Sean spojrział życzliwie na młodego człowieka.

– Idź teraz do kościoła i wypowiadaj się. Porozmawiamy znów za tydzień.

– Za tydzień?! – wykrzyknął James.

– Tak. – Dziekan uśmiechnął się wyrozumiale. – Oczywiście. Sądziłeś, że odejdziesz jutro? Porozmawiamy o tej sprawie za tydzień. W tym czasie wyjawisz ją tylko w konfesjonale, spowiednikowi, którego do ciebie przyślę. Nikomu innemu. Listów też nie będziesz pisał. Wciąż obowiązują cię śluby posłuszeństwa, synu, i tak właśnie nakazuję ci spędzić nadchodzący tydzień.

James podniósł się, skłonił i ruszył do drzwi. Doktor Sean pochylił się nad swoimi papierami, doskonale wiedząc, że młodzieniec zawaha się jeszcze

w progu.

– Ojcie... Dałem słowo, że do niej wrócę. Ona na mnie czeka.

Nie odkładając pióra, stary człowiek powoli uniósł głowę.

– Będzie musiała nauczyć się cierpliwości, tak jak i ty, synu. Służymy Bogu wiecznemu, nie takiemu, który liczy minuty. Poświęcił tydzień na stworzenie świata; teraz żąda od ciebie, byś przez taki sam czas rozważył istotną decyzję. Wątpię, byś mógł Mu odmówić.

– Nie mogę. – James, speszony, pochylił głowę. – Nie mogę – przyznał.

– Jeśli to dobra kobieta, też będzie się modlić. I jej potrzebny jest czas na rozważenie swego położenia.

– To dobra kobieta. – James przypomniał sobie bladą twarz Alinor w kościelnym przedsionku, gdzie czekała na duchy. – Wychowano ją w innej wierze, innych obyczajach, ale to porządna kobieta.

– W tej chwili sprawą pierwszorzędą jest dla mnie twoja wiara – rzekł stanowczo doktor Sean. – Rozważ to wszystko w sercu. Powierz swoje troski Panu naszemu.

– Ale ona...

– Nie mówimy w tej chwili o niej. Niech cię Bóg błogosławi, synu.

– Amen.



MOKRADŁA, PAŹDZIERNIK 1648 ROKU

Pomimo że obie przędły, obie zbierały i suszyły zioła, które nadal zieleniły się w październikowym słońcu; Alinor sprzedawała swoje letnie olejki i odbierała każdy poród w okolicy, Alys zaś tyrała od rana do nocy w gospodarstwie Millerów, pieniędzy przybywało powoli i trudno je było utrzymać w garści. Ich małe gospodarstwo obywało się prawie bez gotówki – żywność rosła na poletku i w warzywniku, piwo warzyły w domu, łowiły ryby, kleciły i wciąż naprawiały starocie, by nie trwonić pieniędzy na nową rzecz. Ale w miarę zbliżania się zimy drożało wszystko: łój na mydło i świece, mięso, nabiał i zboże. Nawet zbiór tego, co można było znaleźć na bagnie – wierzbowych witek na miotły czy szczeci do gręplowania i czesania wełny – zajmował coraz więcej czasu. Po drewno na opał Alinor musiała chodzić coraz dalej, przemierzając skrzącą się nocnym przymrozkiem plażę w poszukiwaniu wyrzuconych na brzeg konarów lub choćby drzazg. Dni robiły się coraz krótsze, noce zimne i coraz ciemniejsze.

Jak gdyby zbliżająca się zima nie przysparzała dość trosk, Alinor czuła się coraz gorzej. Budziła się już wyczerpana, a nim jeszcze wstała z łóżka, nękały ją dotkliwe mdłości. Rankiem w ogóle nie mogła niczego przełknąć. Mdlił ją zapach sera i bekonu, a gdy któregoś wieczoru Ned przyniósł do domu gotowanego homara – opłatę za przewóz od jednego z miejscowych rybaków – nie zdołała wysiedzieć przy stole, przy którym Ned i dzieci zajadały się homarem.

– Co z tobą? – spytała ostro Alys z ustami pełnymi mięsa.

Ned siedział naprzeciw Roba, który wpadł w odwiedziny i przyniósł z Priory bochen białego chleba z pozdrowieniami od pani Wheatley. Alinor skubała tylko chleb, popijając go podpiwką. Leżący pod stołem Rudzielec nie spuszczał z niej brązowych oczu, jakby miał nadzieję, że podzieli się z nim chrupiącą skórką.

– Nie wiem – przyznała. – Myślałam, że to czwartaczka, ale nie mam żadnych oznak. Pewnie przejdzie. Może po prostu czymś się strułam.

– To trwa od tygodni – zauważyła Alys. – Nawet zepsute mięso czy zjełczałą śmietaną miałybyś już dawno poza sobą.

– Przestań! – Alinor przycisnęła dłoń do ust. – Nawet o tym nie mów.

Ned parsknął śmiechem.

– Zawsze była rzygliwa – oznajmił bez krzty współczucia. – Ciesz się, że jej nie widziałas, kiedy cię nosiła pod sercem. – Pochylił głowę nad miską i rozłamał szczypce. – Spróbuj tego – zachęcił Roba.

Wuj i siostrzeniec zaczęli wyskubywać delikatne mięso.

– Dobre! – mlasnął Rob. – Szczypce są najlepsze.

– Nie karmią cię homarami we dworze?

– Nie – przyznał Rob.

– Ludzie kręcą nosami, że niby to takie żarcie biedaków – wymamrotał Ned z pełnymi ustami – ale ja je wolę od wołowiny.

Alinor słyszała głosy, jakby dobiegały z ogromnej dali. Rzucone beztrosko słowa brata odbijały się nawracającym echem. Szum w głowie narastał, huczał jak woda w przepuście. Zobaczyła jeszcze wpatrzona w siebie ciemnoniebieskie oczy Alys, cichnące słowo „Mamo?”, a potem wszystko poczerniało i zapadła się w otchłań.



Ocknęła się w swoim łóżku. Alys siedziała obok. Kiedy Alinor uniosła się na łokciu, przytknęła jej kubek z piwem do ust.

– Gdzie jest Rob? – wyszeptała Alinor.

– Wujek Ned poszedł go odprowadzić do Priory. Powiedziałam mu, że wydobrejiesz i że jutro prześlę mu wiadomość, jak się czujesz. Zwaliłam wszystko na babskie sprawy. – Alys przyjrzała jej się uważnie. – Bo tak jest, prawda? Masz babskie kłopoty?

Wciąż niezupełnie przytomna Alinor kiwnęła tylko głową.

– Te najgorsze? Jesteś w ciąży?

– Chyba tak. – Z trudem przełknęła ślinę.

– Chyba? – Alys zbladła z wściekłości. – Powinnaś raczej wiedzieć, czy leżałaś z mężczyzną, czy nie. A może chcesz mi wmówić, że zniewolił cię elfi książę? Boże, ratuj! Znów tańczyłaś z elfami?

Ciemny rumieniec wstydu wypełził z dekoltu Alinor na policzki.

– Oczywiście, że wiem. Nie miałam pojęcia, że jestem w ciąży. Nie pomyślałam o tym, dopóki Ned nie powiedział... tego, co powiedział.

– I ty straszysz mnie pręgierzem!

– Źle zrobiłam – przyznała się Alinor swojej nagle dorosłej, srogiej córce. – Bardzo źle.

Alys podniosła się i podeszła do okna. Otworzyła je na oścież, jakby chciała, żeby zimny morski wiatr wywiały z chaty każde słowo, które w niej padło.

– Chyba oszalałaś – rzekła z goryczą. – Po tym wszystkim, co mi mówiłaś!

Alinor zawstydzona zwiesiła głowę.

– Jak mogłaś!

– Wiem, Alys. Nie krzycz na mnie.

– I ty śmiesz milczeć, gdy wuj powiada, że mogę czekać na ślub Bóg wie jak długo? Kiedy sama nie czekałaś nawet roku, odkąd tato odszedł?

– Minął już rok. No, prawie.

– Kto to był? Młynarz?

– Nie! – wykrzyknęła Alinor.

– Ten obrzydliwiec, który ma kram z lekami na targu w Chichesterze?

– Oczywiście, że nie.

– Pan Tudeley? To dlatego załatwił Robowi termin u aptekarza?

– Nie! Nie! Alys, nie pozwolę się w taki sposób przesłuchiwać!

– Będziesz musiała! – Dziewczyna obróciła się do niej gwałtownie. – To jeszcze nic! Myślisz może, że rada parafialna cię nie przesłucha, skoro tylko zaczniesz ci sterczeć brzuch? Myślisz, że nie będziesz musiała wyjawić im nazwiska ojca i stać przed całą parafią w samej koszuli na wstyd i hańbę? Będzie cię przesłuchiwał pan Miller i wszyscy starsi, żądając, żebyś wyjawiała prawdę. Sprowadzą z Chichesteru akuszerkę, która będzie cię obmacywać brudnymi łapami i oglądać tam na dole, jakbyś była sprzedajną dziewczyną podejrzaną o roznoszenie zarazy!

– Przestań! – Alinor gwałtownie pokręciła głowę, złote włosy rozsypały się wokół poszarzałej twarzy.

– Nie dadzą ci spokoju, póki nie zdradzisz nazwiska. Ściągną z tego człowieka grzywnę na rzecz parafii, a ciebie zamkną w przytułku. Kiedy bękart się urodzi, odbiorą ci go i odeślą cię tutaj jako wywołaną nierządnicę.

– Nie! Alys, nawet nie mów takich rzeczy.

– Tutaj! – Alys zamaszystym gestem objęła wnętrze małego domku i ogromne smętne bagnisko za oknem. – Tu. Jako nierządnicę. Kto wtedy przyjmie Roba do terminu? Kto się ze mną ożeni? Kto cokolwiek od ciebie kupi, no chyba że urok albo napój miłosny?

– Zaraz zwymiotuję – oznajmiła Alinor. Dźwignęła się z łóżka i chwiejnym krokiem doszła do otwartych drzwi. Zwymiotowała na próg, tłumiąc szloch. Pusty żołądek targany torsjami bolał nieznośnie.

Poczuła kojący dotyk zimnego płótna zwilżonego olejkiem lawendowym, które Alys delikatnie położyła jej na karku.

– Dziękuję – szepnęła i usiadła na łóżku, patrząc na córkę z trwogą, jakby już stała przed sądem.

– Zmusił cię, mamó? – spytała łagodniej dziewczyna. – Tak było?

Alinor zwalczyła pokusę, by skłamać.

– Nie – przyznała.

– Oni nie przestaną pytać. Będziesz musiała im powiedzieć. Nie pomyślałaś o tym?

– Nie myślałam... Aż do dziś nie sądziłam... że jestem brzemienna. – Urwała.

Jak miała wytłumaczyć tej odmienionej, wymagającej córce, że była przekonana, iż jej słabość płynie z rozpacz serca. Nie mogła jeść z tęsknoty za ukochanym i przyjęła tę dolegliwość jako pokutę: być może on też pościł, pokutując za ich miłość. Roiała sobie, że w ten sposób mogą oboje wyblagać u Boga wspólną przyszłość – on poszcząc w Douai, a ona tutaj, na skraju Kanału, o chlebie i piwie, chora z miłości.

– To zacznij myśleć! – Alys podniosła głos. – Pomyśl o tym, że jesteś skończona. I ja też, przez ciebie. Bo Richard nie będzie się mógł ze mną ożenić, gdy zostaniesz uznana za jawnogrzesznicę. Stoneyowie nie zechcą naszych pieniędzy, jeśli dojdą do wniosku, że zarobiłaś je na plecach w stogu siana. Ojciec, który zniknął, i matka okryta niesławą! Tego na pewno nie przełkną. To było z ich strony wielkie ustępstwo, że zgodzili się spowinowacić z opuszczoną żoną. Ale ciężarna ladacznica... tego już za wiele. Urządziłaś nas obie tak, że lepiej nie trzeba.

– Nigdy bym cię nie skrzywdziła – szepnęła Alinor.

– Właśnie skrzywdziłaś! Bardziej niż mógłby to zrobić ktokolwiek obcy!

– Nie dojdzie do tego.

– Już do tego doszło!

– Alys, przez całe życie... – Alinor zająknęła się, podjęła z trudem: – Żyłam tylko dla was. Staralam się chronić was przed Zacharym. Przyjmowałam na siebie ciosy, żeby was nie dosięgły. Nie pragnęłam niczego poza lepszym życiem dla

was dwojga. Robiłam, co w mojej mocy, żeby wydzwignąć was z tej nędzy. Nie pozwolę was skrzywdzić!

– Czy ty nie rozumiesz, że sama wydałaś na nas wyrok! – Dziewczyna opadła bez sił na siennik w nogach łóżka. Spojrzała na matkę z rozpaczą. – Jest jeszcze gorzej, niż sądzisz, bo ja też spodziewam się dziecka. W przeciwieństwie do ciebie mogę wymienić imię kochanka, to przecież mój narzeczony. Poszliśmy do łóżka dopiero po zrękowinach. Dlatego chcę, żebyśmy się pobrali w styczniu, zanim w maju urodzi się dziecko.

– W maju? – powtórzyła ze zgrozą Alinor.

– Tak. To nie wstyd iść w ciąży do ołtarza. Zaręczyliśmy się. Zamierzaliśmy w przyszłym miesiącu powiedzieć jego rodzicom i pastorowi. Ale jeśli okrzykną cię dziwką, rodzice Richarda nie zezwolą na ślub. Jego rodzina mnie nie przyjmie. Znajdę się w takim samym położeniu jak ty.

– Alys! – Alinor wyciągnęła ręce do ukochanej córki, ale ta odtrąciła jej dłoń, rzuciła się na łóżko i odwróciła do ściany.



Alys w końcu usnęła znużona łkaniem, lecz Alinor długo przewracała się bezsennie. Przez otwarte drzwi chaty widać było bezchmurne nocne niebo, na którym jak kryształki lodu połyskiwały gwiazdy. Zaczynał się przypływ i wiał ostry wschodni wiatr, najzimniejszy ze wszystkich. Plusk wody słyhać było w chacie wyraźnie, jak gdyby podchodziła już pod próg, jakby miała porwać je obie i cały świat zmienić w jedno wielkie mokradło.

O północy Alinor w końcu wstała. Otuliła ramiona chustą i puszczając mimo uszu oburzone gdakanie sennych kur, wyszła na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi chaty, w której spała jej córka. Usiadła na ławce. Okrągły jasny księżyc srebrzył wody zatoki, malując na nich prostą świetlistą ścieżkę. Po chwili przyszło jej na myśl, że to zaproszenie od dawnych bóstw saskiego wybrzeża, opiekunów żeglarzy i wojowników, którzy nie bali się śmierci, lecz śmiało wyruszali z nią w ostatni rejs. Być może najlepiej się przysłuży córce, synowi, sobie i ukochanemu mężczyźnie, jeśli zejdzie na brzeg, nazbiera kamieni i pójdzie tą lśniącą ścieżką coraz dalej przed siebie, aż w końcu lodowate wody zamkną się jej nad głową, a szum w uszach zagłuszy krzyk bezsennych mew.

Podniosła się bezszelestnie i przeszła przez ogród. Jej dłoń zatrzymała się przez chwilę, jakby z ociąganiem, na wysłużonym słupku furtki. Obejrzała się

jeszcze na nędzną chatynę, a potem wspięła się na skarpe i ruszyła szpalerem głogów w naprzemiennych plamach mroku i księżycowego światła. W końcu, schylając się pod nawisłymi gałęziami starego dębu, wyszła na zasłaną białymi muszlami plażę. Skarpa była właściwie murowanym falochronem zbudowanym przed laty, a może przed wiekami. Morze podmyło go u podnóża, wypłukując z fundamentów krągłe rzeczne kamienie. Podniosła jeden i obwiązała go rogiem chusty. Potem drugi, z przeciwnej strony. Ich ciężar wgniół jej stopy w ziemie niczym przeładowane koromysło. Podniosła jeszcze jeden kamień, większy i cięższy, i ścisnęła go w objęciach, żeby ponieść go w zimną toń, która podpływała coraz bliżej. Przez całe życie bała się głębokiej wody. Teraz, w jego ostatnich chwilach, będzie musiała stawić czoło lękowi i zwalczyć go. Woda będzie nasiąkać, obciążać jej ubogą spódnicę, chłodzić ciepłe ciało, z cichym pluskiem opływać brzuch, potem żebra, przeszywać dreszczem, gdy sięgnie pach. A na końcu zakryje jej głowę. Alinor poczuje w ustach morską sól, da się wciągnąć w mulistą głębię bez sprzeciwu i bez strachu.

Nie poruszyła się. Stała na brzegu morza z ciężkim kamieniem w rękach, patrząc na rozedrgane księżycowe światło na ciemnych falach, które podpełzały coraz bliżej. Przyptyw liznął jej stopy, a ona wciąż stała nieruchomo, aż dał za wygraną i zaczął się cofać. Nie poszła za nim. Nie poszła księżycową ścieżką w mroczny odmęt. Stała w milczeniu wśród cichych szmerów nocy. Zyskała pewność.

Nie zapłakała nad sobą, Alys czy nawet Robem. Nie zatęskniła za Jamesem, by przybył jej z pomocą. Pokochała go, dlatego mu się oddała. Wciąż go kochała i nadal mu wierzyła, ale nie roiła sobie, iż tej ciemnej nocy przybędzie ją ocalić. Nie łudziła się też, że świt przyniesie jej nowy dzień i jaśniejszą przyszłość. Nie modliła się do miłosiernego Boga, nie oczekiwała nawet, iż zechce wysłuchać kobietę taką jak ona w miejscu takim jak to.

Nie miała w sobie wiary, poczucia celu czy odwagi. Wcale nie była siebie pewna, gdy zimne mętne fale podbiegały do jej stóp. Powoli wszakże doszła do przekonania, że jednak w coś wierzy: w to, że przetrwa tę noc i wszystkie następne. Nie utopi się. Nieszczęsna odmiana losu jej nie złamie, tak jak nie złamało jej okrucieństwo Zachary'ego ani śmierć matki. Życie, w którym tak wiele miała zmartwień, a tak mało radości, nauczyło ją przynajmniej jednego: trwać. Przetrwa i to. Wychowana w trudnych warunkach przez odważną kobietę, maltretowana przez męża, sama wychowała w nędzy dwoje dzieci i nigdy nie

zamierzała się poddać. Pomyślała, że przetrwanie to jedyna rzecz, którą naprawdę umie. W głębi jej serca, mocno jak kotwica w mulistym dnie, tkwiła ogromna, niepowstrzymana chęć życia.



Alys obudziła się śliczna jak poranek. Ani świetliste oczy, ani gładka buzia nie zdradzały, że pół nocy przepłakała. Ku jej zdumieniu matka krzątała się przy piecu; mieszała owsiankę i rozstawiała miski, jakby nic się nie zdarzyło.

– Mamo?

– Tak, córeczko?

– Co zrobisz?

– Zaraz zjem śniadanie i ty też.

– Ale...

– Najpierw zjemy, a później porozmawiamy. Musisz jeść. Zwłaszcza w tym stanie.

Alys przysunęła sobie stołek i posłusznie spałaszowała miskę kaszy. Kiedy skończyła, odsunęła miskę i podjęła:

– Powiedz mi, co zamierzasz. Nikt nie może się dowiedzieć, że zgrzeszyłaś.

– A o tobie może?

– To nie to samo. Richard i ja zostaliśmy zaręczeni w obliczu Boga. Mamy się pobrać. Jego rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu, że wejdę do ich domu z przyszłym synem i dziedzicem już w drodze. Powitają mnie z otwartymi rękami. W dawnych czasach połowa dziewcząt w parafii szła do ślubu z wielkim brzuchem, sama wiesz. Nawet dziś mało komu to przeszkadza. Każdy jest rad, wiedząc zawczasu, że przyszła żona jest płodna. Nie porównuj się ze mną, bo ty popełniłaś cudzołóstwo.

Alinor skinęła głową.

– Wiesz na pewno, że jego rodzice się nie sprzeciwią?

– Nie są purytanami i wiedzą, że nie jestem rozpustna. Richard był moim pierwszym mężczyzną, a ja jego pierwszą kobietą. Zalecał się do mnie długo przed zaręczynami, a jednak czekaliśmy do zaręczyn. Moje dziecko będzie miało dobre nazwisko i dom w pięknym gospodarstwie... – Głos Alys nagle się załamał. – Miałoby. A teraz... Bóg jeden wie, co będzie teraz. Nikt nie przyjmie cię do pracy, nikt nawet nie pomyśli, żeby wezwać cię do porodu. Biedny Rob, żaden szanujący się rzemieślnik go nie przyjmie. – Alys spuściła głowę i otarła

oczy. – Nawet wujek Ned się ciebie wyrzeknie, kiedy się dowie. Jak zdołasz przeżyć bez jego opieki? Co będziesz jeść, kiedy zamknie przed tobą warzywnik?

Alinor milczała.

– Nie będziesz mogła tu zostać! Będą się nad tobą znęcać, młynarzowa i wszystkie jej kумы, rada parafialna, sąd kościelny...

– Wiem – powiedziała cicho Alinor.

– Nikt nie kupi twoich ziół. Przyjdą tylko ci, co zechcą trucizn lub miłosnych wywarów.

– Wiem.

Alys zerwała się na nogi, jak gdyby milczenie matki pchnęło ją do ostatecznej decyzji, i rzekła cicho:

– Nie możesz urodzić tego dziecka. Znasz odpowiednie zioła, wiesz, jak to się robi. Musisz się go pozbyć. Musisz. Zaszłaś niedawno, prawda? Wymiotujesz dopiero od kilku tygodni.

Alinor podniosła wzrok na poważną twarz córki. Skinęła tylko głową. Słowa uwięzły jej w gardle.

– Więc można to zrobić i nikt się nie dowie. Pójdę teraz do młyna. Wrócę dziś wcześniej, powiem im, że trzęsie mną zimnica. Możesz zażyć zioła w południe, a ja się tobą zajmę. Zrobię wszystko, co trzeba. Zaopiekuję się tobą, mamó, przysięgam. Podam ci wszystko, co będzie potrzebne, będę zmieniać pościel i nie odejdę od ciebie na krok, kiedy się zaczniesz.

Alinor milczała.

– Musisz to zrobić – nalegała Alys. – Richard będzie musiał się mnie wyrzec, jeśli okryjesz się hańbą, i oboje będziemy cierpieć, ale moje dziecko też urodzi się z nieprawego łoża. Będziesz miała na dodatek nieślubnego wnuka. Tego nie przeżyjemy. To dziecko zniszczy nas wszystkich: ciebie, mnie i Roba. Musisz je spędzić. Nigdy cię o nic nie prosiłam, mamusiu, ale o to proszę.

Matka siedziała w milczeniu z twarzą białą jak ściana.

– Twoja hańba spadnie i na mnie – powtórzyła cierpliwie Alys. – Stoneyowie nie wpuszczą mnie za próg. Utkniemy tu obie z bękartami i bez mężów. Jeśli w ogóle pozwolą nam zostać w parafii. Myślisz, że Millerowa i inne dewotki nie wypędzą nas z wyspy, zanim zdążymy pisnąć słówko? A każdy chłop będzie im przytakiwał wielkim głosem, żeby nikt nie pomyślał, że dziecko jest jego!

– Dwoje dzieci – wykrztusiła Alinor.

– Dwa bękarty – uściśliła Alys. – Bękarty bez środków do życia. Umrą razem w przytułku. Nikt nie pozwoli nam ich wychowywać.

– Pomyślę o tym. – Alinor z trudem nabrała powietrza. – Pomyślę dziś o tym i powiem ci wieczorem.

– Myśleć powinnaś wcześniej – wypaliła Alys bez ogródek.

Alinor drgnęła, jakby córka ją uderzyła.

– Wiem – szepnęła. – Wiem, jak poważna jest sytuacja.

– Pomyśl o Robie. – Alys nie zamierzała jej niczego oszczędzić. – Jako syn nierządniczy nigdy nie wyrwie się z nędzy. A my... Nawet wujek Ned nie wpuści nas na prom i przy wysokiej wodzie nie będziemy mogły wydostać się z wyspy. A kiedy tamci przyjdą nas wypędzić, nikt się za nami nie wstawi, nikt nas nie ocali. Rob będzie musiał patrzeć, jak rzucają w nas kamieniami, błotem i rybimi flakami.

Alinor kiwnęła głową. Oczami wyobraźni już widziała pochodnie odbijające się w wodzie, kiedy dobrzy ludzie z Sealsea zbiorą się o zmroku, żeby pozbyć się dwóch wyklętych, pozbawionych oparcia ladacznic.

– Wiem.

– Przygotuj zioła – nakazała jej Alinor. – Wróć wcześniej i zrobimy to dzisiaj.

Włożyła kaftan, wzięła nieodstępną przęślicę i pomaszerowała brzegiem do promu. Szła do młyna, aby harować tam ciężko jak mężczyzna i zarobić na swój posag. Bo wciąż była zdecydowana wyjść za Richarda.



Kiedy Alinor została sama, zaczęła się krzątać wokół codziennych obowiązków: wygoniła kury na dwór, pozbierała jajka, pozamiatała izbę, wymyła porządnie miski po owsiance i opłukała kubki po piwie. Zgarnęła żar pod glinianą pokrywą i wyrysowała w popiele runy ochronne od pożaru. Potem narzuciła pelerynkę i poszła zbierać drewno na opał. Nad zatoką przystanąła, patrząc na nią tak, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Zapatrzyła się w siny horyzont, zastanawiając się, czy ujrzy jeszcze statek płynący pogłęzionym nurtem i wiozący jej ukochanego.

Tak długo tkwiła w marazmie tęsknoty za Jamesem, ufając, że do niej wróci, że wciąż jeszcze nie była w stanie zmienić rytmu swoich myśli. Nie potrafiła zrozumieć, że cierpliwe oczekiwanie się skończyło: była teraz w bardzo

niebezpiecznym położeniu. Nie mogła się zmusić, żeby stawić czoło problemowi i rozwiązać go. Usiadła na ławce, a gdy niebo pociemniało od olbrzymiego stada odlatujących na zimę gęsi, posłyszała ich głośnie żalosne krzyki, posłyszała łopot wielkich skrzydeł, bezwiednie przesunęła dłonią po płaskim jeszcze brzuchu, jakby chciała przytulić swoje maleństwo.



Przed południem, kiedy rozdrabniała ziarno na słód, wdychając ciepły zapach jęczmienia, w drzwiach stanął młody chłopak i spytał:

– Wy jesteście wiedząca?

– Znam się na chorobach – odpowiedziała Alinor, choć przytłaczała ją świadomość, że zbyt wielu innych rzeczy nie wie. – Kto prosi?

– Rybaczka z East Beach będzie rodzic.

– Jej mąż po mnie posłał? – Alinor zgarnęła ziarna na stos, żeby nadal się grzały.

– Jest na morzu. Posłała mnie jej matka. Dała mi dla was to. – Chłopak wręczył jej sześciopensówkę.

– Już idę. – Alinor ucieszyła się, że jej pomoc zostanie opłacona. Rybacy z East Beach nie mieli dobrej opinii; na ubogiej wyspie powodziło im się źle. – Wezmę tylko swoje rzeczy.

– Mam was poprowadzić i ponieść tobołek. – Chłopak był blady ze strachu, że musi pomóc znachorce. Alinor była znana w jego wiosce jako mistrzyni sztuk tajemnych. Tamtejsi rybacy pijali ongiś z Zacharym, który chełpił się mocami swojej żony. A potem Zachary zniknął w biały dzień wraz z łodzią. Ten i ów przebąkiwał, że to Alinor posłała ją na dno, a jej elfi kochanek tańczył na maszcie niczym ogień świętego Elma.

– Pójdziemy przez mokradło do Świętego Wilfryda, a stamtąd do East Beach.

– Przez wodę? – Rozdziawił usta.

– Jest odpływ. Znam drogę.

Chłopiec z trudem przełknął ślinę i zmilczał. Alinor zamknęła drzwi słodowni, krzyknęła wyjaśnienie Nedowi, który nad kanałem splatał nową linę do promu, i skierowała się do własnej chaty, żeby zabrać potrzebne zioła i olejki w torbie, którą zawsze nosiła do rodzających. Potem wysforowała się do przodu, zeszła na biały kamienisty brzeg i starannie wypatrując rozmytych ścieżek,

ruszyła na przełaj przez zatokę. Chłopak trzymał się tuż za nią; słyszała, jak rozchlapuje kałuże pozostawione przez odpływ.

Wyszli obok kościoła, skrócili sobie drogę przez dziedziniec, naprzeciw wielkiej bramy Priory. Alinor rzuciła okiem w głąb posiadłości. Zobaczyła Roba i Waltera jadących konno przez rozległą łąkę. Pomachała do nich, nie zwalniając kroku. Ku jej radości Rob zawrócił konia i po chwili był przy niej.

– Mama!

– Bóg z tobą, synku.

– Wezwali cię do porodu? – domyślił się, widząc znajomą sakwę i charakterystyczny pośpieszny chód Alinor.

– Tak, do East Beach.

– Możemy was podwieźć. – Obrócił się do Waltera. – Czy moglibyśmy zawieźć moją matkę i tego chłopca tam, dokąd idą?

– Czemu nie? – Walter zgodził się natychmiast. – Wsiądźcie za mną, Reekie.

Alinor krępowwała się jechać z synem lorda, ale jej własny już wyciągał rękę do posłańca.

– Nie wiem, czy będę umiała wsiąść – wyznała, patrząc na rosnącego wierzchowca.

– Podjadę do murka przy cmentarzu – zaproponował. – Wejdźcie na murek, wtedy będzie łatwiej. To dobry koń, nie będzie się boczył.

– Mam leki w naczyniach. Nie potłuką się? – Nie mogła mu powiedzieć, że boi się wstrząsów ze względu na dziecko.

– Przysięgam, że biegnie równo jak łódź po spokojnej wodzie. Proszę wsiąść za mną i mocno objąć mnie w pasie.

Alinor wdrapała się na niskie ogrodzenie z płaskich kamieni. Walter ustawił konia równoległe do niego. Ostrożnie wsunęła stopę w opróżnione strzemię, a drugą nogę przerzuciła przez koński grzbiet i starannie obciągnęła spódnicę.

– Wszyscy na pokładzie? – zapytał żartem Walter, gdy objęła go w pasie, umieściwszy przed sobą cenną sakwę z olejkami.

– Tak.

– No to odbijamy. – Ruszył stępa, a po chwili obrócił się do niej przez ramię.
– Może trochę szybciej?

– Byle nie za szybko – odparła nerwowo.

Popędził konia do miarowego cwału. Alinor trzymała się kurczowo. Masywny wierzchowiec w mgnieniu oka wybiegł na gościniec, a potem ostro

skręcił na piaszczysto-kamienisty trakt wiodący do East Beach.

– Tu może mnie pan zсадzić – powiedziała Alinor bez tchu. – Chłopak zaprowadzi mnie do właściwej chaty.

Walter zatrzymał konia, zeskoczył, złapał ją pod pachy i postawił na ziemi.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł, w razie gdyby trzeba było po coś skoczyć? – spytał Rob.

– Jeśli panicz Walter ci pozwoli.

– Oczywiście. Teraz mamy mnóstwo czasu na rozrywki. – Walter zaśmiał się.

– Nasz guwerner, pan Summer, wyjechał. Wróci dopiero w poście, żeby zawieźć mnie do Cambridge.

– Wyjechał? – Alinor uczuła bolesne rozczarowanie. – Aż do wiosny?

Zdała sobie sprawę, że wodzi rozgorączkowanym wzrokiem od jednej chłopięcej twarzy do drugiej, ale odpowiedź miała dla niej kolosalne znaczenie. Wielki post oznaczał szósty miesiąc ciąży. Późno. Niebezpiecznie późno.

– Tak – potwierdził niczego nieświadomy Walter. – Ma wrócić w lutym.

– Dobrze się czujesz, mamó? – zaniepokoił się Rob, patrząc na jej pobladłą twarz. – Nie jesteś znów chora?

– Miałam lekki atak trzeciaczki – zbyła pytanie. – Ale starczy mi sił, żeby pomóc dobrej kobiecie w czasie rozwiązania. Zaczekaj tu przez chwilę, synku. Przyślę tego tu... Jak masz na imię?

– Jem – odparł chłopak z ociąganiem, jak gdyby nie chciał zdradzać imienia tej dziwnej kobiecie i dwóm obcym jeźdźcom, którzy pojawili się znikąd.

– Przyślę Jema, jeśli będzie mi coś potrzebne. Jeśli nie wróci za parę chwil, jedźcie dalej.

– Moglibyśmy kiedyś znów wypłynąć waszą łodzią? – spytał Walter. – Ależ było wesoło! Polubiłem łowienie ryb.

Alinor poczuła, że na twarz wypęła jej rumieniec.

– To był bardzo miły dzień – przyznała, panując nad głosem. – Ale teraz nie wypłyniemy aż do wiosny. Wieją silne wiatry i woda w zatoce przez większość dni jest wzburzona. Takie fale są dla mnie za wysokie. Poza tym jest zimno. Popłyniemy znowu, kiedy będzie słonecznie, a morze się uspokoi.

Chłopcy czekali w siodłach, a Jem tymczasem poprowadził Alinor płataniną wąskich ścieżek między rybackimi chatami. Każda z nich miała szopę na sieci, niektóre – stryszki, w których przechowywano żagle; tu i ówdzie sterczała niewielka wędzarnia albo przybudówka, gdzie solono rybę do beczek. Niemal

każdy prosty odcinek jeżył się palikami do skręcania trój-i pięciożyłowych lin. Wokół tłoczyły się bezładnie lepianki z wyrzuconego przez wodę drewna sklejonego gliną, zadaszone byle czym – resztkami starych żagli albo strzechą z morszczyńską siecią, żeby wiatr go nie rozwał. W powietrzu unosił się smród gnijących ryb, solanki parującej z sieci, od czasu do czasu zalatywał duszący odór palonych nieczystości, którego nie był w stanie rozwiać nawet silny morski wiatr. Jem poprowadził ją do zamożniejszego domu, stojącego bokiem do morza na wysokim brzegu. Niżej fale lizały kamienistą plażę. Niewielki ogród otoczony był płotkiem z wyrzuconych przez morze gałęzi. Dom miał porządną łupkowy dach i ceglany komin, a także masywne bielone ściany z okrętowego drewna wypełnionego zaprawą.

– Austerowie – rzekł chłopak. – To tutaj. – Wskazał drzwi.

Alinor weszła do środka. Dom miał dwa pomieszczenia od frontu. W większym spożywano posiłki i wykonywano wszystkie domowe prace. Bokówka oddzielona przepierzeniem z grubych pokładowych desek służyła za sypialnię gospodarzom. Spiżarnia mieściła się w przybudówce na tyłach, a drabina przy wejściu wiodła na stryszek, gdzie sypiała reszta rodziny. Z tej drabiny schodziła właśnie starsza kobieta.

– Prędkoście przyszli – stwierdziła z uznaniem.

– Syn przywiózł mnie na koniu – wyjaśniła Alinor. – Czeka, na wypadek gdyby trzeba było mi coś jeszcze przywieźć.

– No to chodźcie, obejrzyjcie moją Lisę. – Kobieta uchyliła niskie drzwi do alkowy.

Siedziała tam oparta o ścianę młoda położnica z twarzą ukrytą w dłoniach. Wielki brzuch napinał materiał koszuli nocnej. Nie podniosła głowy, kiedy weszły, choć na skrzypienie otwieranych drzwi jej brwi ściągnęły się boleśnie.

– Gdzie jest Joshua? – szepnęła.

– Przyszła kuma Reekie, żeby ci pomóc.

– Zawołaj Joshuę, mamó. Tak strasznie źle się czuję... – jęknęła młoda kobieta.

Alinor uczuła krzepiącą świadomość własnych umiejętności. Tu nie była przerażoną niewiastą, która zrujnowała życie własne i swoich dzieci. Tu była doświadczoną akuszerką, która wie, co należy robić. Podeszła cicho do rodzącej i położyła dłoń na jej rozpalonym czole. Zauważyła nienaturalnie sztywną pozycję.

– Głowa cię boli? – spytała. – Szyja?

Dziewczyna tylko raz mrugnęła oczami o ciemnych rozszerzonych źrenicach i zamknęła je z powrotem, opierając znów głowę o ścianę.

– Nie do wytrzymania – szepnęła.

Alinor cicho wyszła z alkowy. Jem czekał na podwórzu.

– Biegnij do mego syna i powiedz mu, żeby przywiózł mi spory pęk maruny. Z resztą sobie poradzę, potem będzie mógł jechać.

Chłopak kiwnął głową i co tchu popędził ścieżką. Alinor weszła z powrotem do domu, uśmiechnęła się do matki i ujęła lodowate dłonie córki.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Najpierw postarajmy się, żeby ci było wygodnie.



Przez cały dzień inne młode mężatki i starsze kobiety przynosiły podarki: piwo, chleb, jabłka i sery, pieluszki i czepeczki troskliwie przechowywane w skrzyniach z wonną lawendą. Plotkowały przy kominie i stawały pod drzwiami, wykrzykując najlepsze życzenia w nadziei, że zostaną wpuszczone do rodzącej. Alinor pilnowała, żeby drzwi były zamknięte, i zakazała Lisie Auster pogaduszek. Dała jej do picia napar z suszonych liści maliny i nakarmiła ją siekaną maruną. Dopiero gdy gorączka spadła i ból głowy ustąpił, zaczęła wpuszczać sąsiadki, ale tylko po dwie naraz. Tak było do czasu, kiedy skurcze zaczęły się nasilać. Wtedy pozwoliła zostać tylko matce, teściowej i dwóm najlepszym przyjaciółkom, które trzymały rodzącą za rękę i powtarzały, jaka jest dzielna. Lisa chodziła wokół pokoju, ale w końcu przycupnęła na brzegu łóżka. Kobiety zapaliły kilka lampek olejnych. Alkowę wypełnił gryzący odór rybiego tłuszczu. Alinor umyła ręce.

– Myjesz? – Matka Auster zerknęła na nią z niepokojem.

– Tak – odparła cicho Alinor i podeszła do dziewczyny, która teraz klęczała obok łóżka. Namówiła ją, żeby kucnęła nad miską, i podmyła ją czystą wodą przegotowaną z lawendą i tymiankiem.

– To moja córka, a nie cieląca się krowa! – zaprotestowała matka Grace.

– Jeśli mam pomóc dziecku przyjść na świat, tak będzie lepiej – ucięła półgłosem Alinor.

– Zaziębi się na śmierć! – jęknęła matka Auster.

Rodząca zaczęła się denerwować, bolesne westchnienia rozlegały się coraz częściej.

– To już? – zapytała.

– Niedługo – potwierdziła Alinor. – Chcesz uklęknąć na łożku?

– Tak. Nie. Nie wiem.

– Sama zobaczysz, jak ci będzie najwygodniej – orzekła położna.

Dziewczyna przez chwilę kręciła się po izbie, to opierała się, to kładła. W końcu usiadła na podłodze przy łożku. Starsze kobiety podały jej okorowaną gałązkę do zagryzienia i linę do ciągnięcia w czasie porodu. Alinor trzymała się z boku, dopóki nie zaczęły straszyć położnicy, że poród może trwać wiele godzin, a nawet dni, i jak same przy tym cierpiały. Wtedy uznała za stosowne wkroczyć.

– Dziecko już idzie – powiedziała do Lisy. – Po prostu pozwól mu wyjść. Nie musisz ciągnąć liny. Pracujesz brzuchem.

Przerażoną młódkę pokrzepił nieco spokój bijący z twarzy akuszerki.

– Wszystko pójdzie jak z płatka – upewniła ją Alinor.

Dziewczyna przykucnęła, chwytając się słupka w rogu łoża. Brzuch jej sterczał, każdy mięsień był mocno napięty. Jęknęła. Alinor uklękła, patrząc na jej złękniętą twarz, uspokajająco kładąc jej rękę na ramieniu. Widziała, jak brzuch rodzącej napinają kolejne skurcze.

– Przyj – powtarzała miarowo – a teraz przestań, odpocznij.

– Czuję! Idzie! – jęknęła rodząca. Asystujące im kobiety zakwiliły wraz z nią.

– Zgadza się – potwierdziła Alinor, przyglądając się w skupieniu. – Czekaj...

Widzę główkę! – zawołała po chwili.

W izbie rozległy się westchnienia ulgi i okrzyki radości. Kobiety stłoczyły się bliżej.

– Jesteś! – powiedziała z zadowoleniem Alinor, namacawszy główkę i śliskie ramionka noworodka. Współpracując z rytmem skurczów, kołysząc się wraz z matką, pomogła dziecku wydostać się na zewnątrz. Zręcznie ujęła je za nogi jak wijącą się makrelę i lekko klepnęła w plecki, żeby oczyścić tchawicę, a potem pochyliła głowę, odessała wydzieliny z nosa i ust maleństwa i wypluła na podłogę. Nastąpiła krótka, pełna wyczekiwania cisza, aż w końcu wszystkie usłyszały stłumione kasznięcie i cienki płacz noworodka, gdy po raz pierwszy zaczerpnął tchu.

– Dziewczynka – powiedziała Alinor. – Dziewczynka.

Pępowina wciąż pulsowała. Dziecko otwarło buzię i zaczęło wrzeszczeć. Alinor spojrzała na prześlicznie uformowane rączki, na pomarszczoną skórę umazaną krwią i śluzem, na ciemne włoski przyklepione do maleńkiej główki i zarumienioną, oburzoną twarzyczkę. Łzy napłynęły jej do oczu. Przygryzła wargi, żeby nie załkać z radości zmieszanej z żalem.

– Dziewczynka – powtórzyła raz jeszcze. – Prześliczna dziewczynka, dar od Pana Boga.

– Kumo Reekie, dobrze się czujecie? – spytała któraś z kobiet.

Alinor, przywołana do swoich obowiązków, obróciła się do położnicy i wciąż trzymając dłoń na pulsującej pępowinie, dopilnowała wyjścia łożyska. Matka Grace podała jej szal, który przygotowała dla wnuka. Alinor owinęła nim noworodka i podała babce. Położnica tymczasem opadła na pościel. Alinor umyła jej łono i obłożyła mchem. Ręce pracowały wprawnie, bez wahania, choć w głowie kręciło jej się na myśl, że to dziecko jest cennym darem życia, że każde dziecko jest cenne ponad wszelkie wyobrażenie i żadne nie powinno umrzeć, jeśli można je ocalić, jeśli może żyć wśród ludzi i być kochane.

Kobiety zbiły się w gromadkę, podając sobie maleństwo, podziwiając je i gruchając do niego. Kiedy wróciło do Alinor, związała pępowinę, odcięła ją równo i podała dziecko matce.

– Proszę. Masz córeczkę.

Miała wrażenie, że to dziecko jest posłańcem jakiejś wieści, jak rudzik śpiewający w żywopłocie albo mewy, które krzyczą nad jej chatą.

– Niech ją Bóg błogosławi, da jej zdrowie i siłę – powiedziała, patrząc, jak ciemnoniebieskie oczka otwierają się, by po raz pierwszy spojrzeć na świat.

Młoda Lisa Auster, zarumieniona i dumna, oparła się o poduszki, a sąsiadki obstały ją wkoło.

– Przystaw małą do piersi – poleciała jej Alinor. Chwilę trwało, zanim matka i dziecko znalazły właściwą pozycję. Alinor stanowczo położyła dłoń na ramieniu matki Grace, kiedy ta chciała się wtrącić.

– Tak dobrze? – spytała Lisa. – Nie wiem, jak to się robi. Au! – Skrzywiła się, gdy dziecko zaczęło ssać.

– Doskonale! – Alinor rozpromieniła się z radości, której sama nie umiałaby wytłumaczyć. – Będzie trochę boleć, ale z czasem coraz mniej. Poczujesz, jak schodzi siara, i będziesz widziała, że mała ssie.

Patrzyła na nie jeszcze przez chwilę, a potem uświadomiła sobie, że stoi z uśmiechem na ustach, jakby w tej ubogiej rybackiej chacie dowiedziała się czegoś, o czym dotąd nie pomyślała.

– To dar – szepnęła. – Życie. Cenny dar.

– Miałam nadzieję, że urodzi się w czepku. – Matka Grace westchnęła. – My, rybaczki, lubimy, kiedy nasze dzieci rodzą się w czepku, bo chroni przed utonięciem.

– Wiem. – Alinor skinęła głową.

– Nie macie może czepka albo chociaż kawałka na sprzedaż?

– Nie. Nie handluję takimi rzeczami.

– Myślałam, że jesteście wiedząca? Znacicie się na ziołach i gusłach.

– Tylko na ziołach – odparła sucho Alinor. – Na gusłach się nie znam.

– Ale podobno macie w domu złoto elfów.

– Zbieram różne błyskotki i ładne muszle, kiedy je znajdę. Ot, na pamiątkę. Nie mają żadnej mocy.

– Myślałam, że kobieta może przyjść do ciebie z każdą potrzebą?

– Ja mam potrzebę. Mojemu staremu przydałby się napój na jurność! – wtrąciła rubasznie jedna z rybaczek. Pozostałe gruchnęły śmiechem.

Alinor uśmiechnęła się, jakby ją też to bawiło, choć była już znużona wypytywaniem.

– Przykro mi, ale mam tylko zioła lecznicze. Sprzedaję zioła i odbieram porody, czasem pielęgnuję kogoś w chorobie. Muszę być ostrożna i dbać o dobre imię, kumo Grace. Chyba to rozumiecie.

Kobieta kiwnęła głową, niezbyt przekonana.

– Ale powiadają, że potrafisz wszystko. Że rozmawiasz z zaświatami i one ci pomagają.

Alinor pokręciła głową.

– Nie umiem niczego więcej niż to – powtórzyła z naciskiem, ruchem głowy wskazując wyczerpaną, szczęśliwą Lisę i dziecko z zapałem ssące jej pierś. – I myślę, że nie ma niczego lepszego na całym świecie. Tym świecie, bo o tamtym nic nie wiem.

– Będzie zdrowa? – spytała Lisa. – Dobrze ssie, prawda?

Alinor uśmiechnęła się do niej.

– Silna jak smok! Kiedy twój mąż wróci, od razu ją pokocha. A teraz... – Zaczęła zbierać fiołki z olejkami i resztki mchu i pakować je do sakwy. – Teraz

wrócę do domu. Jeśli chcecie, przyjdę jutro sprawdzić, jak miewa się mama i córka.

– Jem odprowadzi was z latarnią. – Matka Grace podała jej sześciopensówkę.
– Zapłacę jeszcze szylinga, jeśli przyjdziecie jutro. Jestem wdzięczna, kumo Reekie. Obie jesteśmy wdzięczne. Ufam, że mamy twoją przyjaźń? Że dobrze życzysz naszej małej?

– Sprawiała mi wielką radość. Chwalmy Boga. – Alinor ledwie dosłyszała dziwne pytanie. Pożegnała się z resztą kobiet, wzięła sakwę na ramię, owinęła się opończą i okryła głowę kapturem. Potem ruszyła za chwiejnym światełkiem latarni Jema wąskimi zaułkami East Beach.

Było za ciemno, żeby wracać przez zatokę, a zresztą zaczął się już przypływ. Poszli więc okrężną drogą, gościńcem na Chichester w kierunku północnym, aż w dali zamajaczyły światła domu Neda nad przeprawą. Jem przez cały czas szedł pierwszy, trzymając latarnię wysoko i trochę z boku, żeby oświetlić jej drogę. Najwyraźniej bał się iść obok wiedzącej. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy doszli nad kanał i srebrny refleks księżyca na wodzie przyćmił mdłą, żółtawą latarnię.

– Tu już dam sobie radę – powiedziała Alinor. – Znam drogę, nawet po ciemku. Możesz wracać do domu.

Skłonił głowę i chociaż podała mu pół pensa, cofnął się prędko.

– To dla ciebie – wyjaśniła. – Dziękuję. Za to, że zaprowadziłeś mnie do Austerów i z powrotem.

– Nie ośmieliłbym się tego wziąć. – Cofnął się jeszcze o krok, chowając ręce za plecami.

– Co to ma znaczyć? – zdziwiła się, trzymając monetę w wyciągniętej dłoni.

– To złoto elfów, przecież wiem! – wybuchnął. – Cieszę się, że jesteś zadowolona z moich usług, jaśnie pani, i jeśli mi pozwolisz, to już sobie pójdę. – Wyglądał tak, jakby miał ochotę uciec, i to biegiem.

– Jak mnie nazwałeś? Chłopcze... Jem, przecież wiesz, że jestem wdową po rybaku Zacharym Reekiem. I przyjmuję porody, tylko tyle. Nie mam złota i nie jestem żadną jaśnie panią!

Chłopak szedł tyłem, nie spuszczając z niej wystraszonego oczu. W świetle latarni jego twarz wydawała się upiornie blada.

– Mówili mi – szepnął – że wie pani o rzeczach, których nie zna żadna śmiertelna kobieta. Że pani syn żyje jak lord we dworze, a córka ma wyjść za najbogatszego gospodarza w hrabstwie.

– Ale... – zaczęła Alinor.

– Wezwaliście sztorm, który porwał waszego męża, jaśnie pani?

Alinor chciała go wyśmiać, ale jego strach był zaraźliwy.

– To brednie – powiedziała, czując, że głos jej drży. – Matka Grace też o tym wie, skoro posłała cię do mnie jako do dobrej, uczciwej położnej.

– To nie tak. – Chłopak pokręcił głową. – Bali się posłać po kogoś innego, żebyś nie spojrzała na nas złym okiem. I cały czas miałem palce skrzyżowane od uroku. Przyjechałaś na koniu jak królowa i nawet syn lorda robił, co mu kazałaś. Dobranoc, pani Reekie, wasza wysokość. Dobranoc.

Pozwoliła mu odejść, zbyt zdumiona, by nalegać na przyjęcie zapłaty, i zanadto wytrącona z równowagi jego lękiem, żeby próbować przemówić mu do rozumu. Kiedy Zachary pomawiał ją o przymierze z zaświatami, na początku brała to za przesadny komplement; później, gdy małżeństwo przestało się układać – za przejaw nienawiści. Nigdy nie przypuszczała, że zasieje wśród swoich kompanów od picia tak niebezpieczne oszczerstwo, które wyda plon w postaci podszytych zawiścią rojeń.

Oczywiście ludzie dziwili się powodzeniu Roba i fortunnym zaręczynom Alys, ale nie przyszło jej na myśl, że powiążą zabobonne obelgi Zachary’ego i jej własną zaradność w bajkę o zabójczym czarodziejskim sztormie nasłanym przez mściwą żonę. To był mroczny akcent na koniec dnia, który zaczął się ponurą myślą o śmierci w głębokiej wodzie. Powlokła się wzdłuż brzegu. Błoto, ścięte wczesnym przymrozkiem, chrzęściło pod znoszonymi butami. W końcu dotarła do drzwi, otworzyła je i weszła do chaty.

W izbie panował mrok, żar nakryty był pokrywą, świece pogaszone. Alys spała po swojej stronie łóżka. Alinor poczuła ogromną ulgę, że aż do rana nie musi już nic mówić.



DOUAI, PAŹDZIERNIK 1648 ROKU

James spędził tydzień w milczeniu, jak mu nakazano. Ścierające się poczucie winy i żądza odbierały mu sen. Codziennie spotykał się ze spowiednikiem i krok po kroku omawiali jego znajomość z Alinor od pierwszego spotkania, kiedy go uratowała. Bez niej byłby zginął na podmokłym bezdrożu. Stało się tak, jakby zesłał ją anioł stróż Jamesa.

– Ale ona nie jest aniołem – rzekł cicho ojciec Paul. Klęczeli obaj w kaplicy przed ołtarzem, z którego patrzył na nich ukrzyżowany Chrystus, ze smutkiem zwiesiwszy głowę. – Nie jest duchem czystym. Jest śmiertelną kobietą, z natury swojej predestynowaną do grzechu.

James też zwiesił głowę. Nie mógł zaprzeczyć, że Alinor była skłonna do grzechu. Opowiedział o popołudniu na łodzi i o jej pożądaniu. Mówił o barwie jej włosów, których wijące się pasmo wymknęło się spod czepka i wiatr przysłonił nim jej twarz. Mówił o jej poranionych rękach i szorstkiej bieliźnie.

– Urodziła się w nędzy, bo tak zrządził Pan nasz. Nie twoją jest rzeczą, byś podważał Jego wyroki, starając się ją ratować. Czy prosiła cię, żebyś ją ochrzcił w prawdziwej wierze?

– Nie – szepnął James.

– Niczego innego nie możesz jej ofiarować.

Cicho, ze wstydem, mówił o dotyku jej warg, silnym ciele prężącym się pod zgrzebną odzieżą. O uśmiechu i urywanych westchnieniach. Wyznał, że gdy po raz pierwszy dotknął jej dłoni, jej talii, jej piersi, pierwszy raz poczuł się mężczyzną. Że miłość do niej uczyniła go tym, kim jest.

– Kobieta nie jest źródłem bożego natchnienia – zganił go ojciec Paul. – Nie poznajesz siebie przez poznanie niewiasty. Wiedza, jaką ci przekazała, jest wyłącznie cielesna, bo tylko taka wiedza jest jej dostępna.

– Ależ właśnie o to chodziło! – rzekł szczerze James. Zatrzymał dla siebie obraz stryszku nad stajnią, kiedy w świetle poranka, naga niczym Ewa, wydała

mu się tak niewinna, jakby nigdy nie wygnano jej z raju. – Kocham ją, ojcze, czy to jest grzech, czy nie.

– To jest grzech – odparł twardo spowiednik. – Nie udawaj, że nie wiesz, i nie próbuj tego kwestionować. Nauczono cię praw bożych, a przede wszystkim Bóg dał ci rozum. To jest grzech i musisz go od siebie odepchnąć.

James przysiadł na piętach. Pobladł.

– Jeśli ją porzucę, złamię dane słowo. Poprosiłem, żeby została moją żoną.

– Nie jesteś wolny, żeby sobą rozporządzić.

– A ona nie jest wolna, by za mnie wyjść – przyznał James. – Mówią o niej...

– Co o niej mówią?

– Bzdury, głupie oszczerstwa. Jej mąż twierdził, jakoby pokładała się z elfami. – James spróbował się roześmiać przez ściśnięte gardło. – Co za ciemny, zabobonny lud ci wieśniacy...

Spowiednik nawet się nie uśmiechnął.

– Mój synu, obaj żyjemy daleko od tej wsi i w istocie nie wiemy, o czym oni mówią. Powiadasz, że bzdury, ale przecież nie znasz jej przeszłości. Będzie ją trzeba zbadać, wysłać inkwizytora, który przeprowadzi śledztwo. To bardzo poważny zarzut. Czy ta kobieta ma na sobie znamiona?

– Nie! – wybuchnął James przerażony.

– Czy ma chowańca? Zwierzę, które z nią żyje i z nią się porozumiewa?

James pomyślał o kurach, które gdacząc, zbiegały się do jej stóp i spały w kącie chaty, o rudziku w ogrodzie, o pszczołach, o psie Rudzielcu...

– Ależ... – wyjąkał – na wsi jest wiele zwierząt...

– Czy zaprzeczysz, że jej własny mąż zna ją lepiej niż ty, którego ona uwiodła? A jeśli jej uroda jest dziełem szatana? A jeśli nie tylko leczy, ale rzuca uroki? Sam mówiłeś, że chciała rozmawiać ze zmarłym. Co, jeśli to nie bezbronna nędzarka, lecz wysłanniczka diabła?



MOKRADŁA, PAŹDZIERNIK 1648 ROKU

Obudził ją znajomy chlupot nalewanego piwa i zgrzyt drewnianej łyżki o dno garnka z owsianką. Podniosła się z łóżka, odgarnęła z twarzy rozczochrane włosy, wciągnęła przez głowę koszulę, a przez nogi, nie patrząc, spódnice. Przysunęła sobie stołek i usiadła przy stole, chyląc głowę w modlitwie dziękczynnej.

– Amen – powiedziała Alys, siadając naprzeciw niej.

Zjadły w milczeniu. Potem Alys zerwała się i pobiegła po grzebień. Bez słowa podała go matce i usiadła u jej stóp, jak wtedy, gdy była dzieckiem. Alinor delikatnie rozplotła długi jasny warkocz i zaczęła ją czesać, rozdzielając każde zmierzwione pasmo i wybierając z nich gałązki i źdźbła trawy.

– Coś ty robiła, na Boga? – zdziwiła się.

– Zbierałam tarninę – odparła Alys. – Odkąd młynarzowa dowiedziała się o moich zaręczynach, wysyła mnie do pracy w pole. Jakbyśmy przez to nie widywali się z Richardem! I jakby mogła nas w ten sposób rozdzielić! Albo cokolwiek zyskać na tym, że pomiata mną jak wyrobnicą!

Alinor jeszcze raz rozczesła złocisty płaszcz, który rozsypał się po plecach córki, połyskując w padającym z okna świetle. Potem splotła włosy w koronę, która biegnąc od czoła, okrążyła śliczną główkę dziewczyny.

– Podjęłaś decyzję? – Alys podniosła głowę, z ufnością patrząc jej w oczy. – Przyszłam wczoraj wcześniej, żeby ci pomóc, ale wujek powiedział, że wezwano cię do East Beach. Ale że udałam chorą, więc i tak się mnie dziś nie spodziewają. Mogę zostać w domu i pomóc ci z tym.

– Podjęłam decyzję. – Alinor odetchnęła głęboko. – Spłynęła na mnie wczoraj niczym wizja, kiedy odebrałam dziecko Lisy Auster. Trzymałam je w ramionach. Dziewuszka, maleńka jak kocię, a taka doskonała, taka cudna. Gotowy ukształtowany człowiek. Wszystko w niej było doskonałym dziełem Boga: i rzęski, i paznokietki malutkie jak najmniejsze muszle na plaży, i oczy, ciemnoniebieskie jak twoje, kiedy się urodziłaś. Widziałam w nich światłość świata. Nie można zniszczyć czegoś takiego, Alys. To byłoby jak... jakby ktoś rozdeptał jajko kosa. Pierwszy raz w życiu zrozumiałam, czym jest świętość.

Dziecko, które noszę, zostało mi dane, gdy byłam już pewna, że nie będę miała więcej dzieci. Nie zabiję go.

– Ale wiedziałabyś jak?

– Tak, wiem, jak to się robi – odparła cicho Alinor.

– Babka to robiła?

– Czasami. Kiedy osądziła, że tak będzie najlepiej dla matki albo dziecka, poczętego w chorobie, noszonego w bólu, kalekiego... Robiła to, by zaoszczędzić cierpienie. Może też bym to zrobiła, by oszczędzić bólu innej kobiecie. Gdybym mogła ułożyć świat po swojemu, kobiety mogłyby same decydować, kiedy począć i rodzić. Nie powinno być tak, że nawet o tym mężczyźni decydują za nas. Ale ja mu tego nie zrobię. Wolę cierpieć, niż je stracić.

– Zażywa się zioła?

– Najpierw zioła, a jeśli nie poskutkują, bierze się szydło lub igłę rymarską, długi cienki nóż albo oścień. Wsadza się go do środka i dźga dziecko, które śpi tam zwinięte w kłębuszek – wyjaśniła Alinor sucho.

Alys przycisnęła obie ręce do ust, tłumiąc jęk przerażenia.

– Sześć razy pchasz tę igłę i nie wiesz, gdzie trafia: czy w główkę dziecka, czy w oko, w ucho, w buzię, czy tylko dziurawisz łono kobiety. To gorsze niż szlachtowanie cielaka. Gorsze, bo jesteś zupełnie ślepa, tak naprawdę nie wiesz, co robisz. Kobieta może wykrwawić się na śmierć. Zdarza się, że dziecko zginie, ale nie wyjdzie i gnije w brzuchu. Albo kobieta roni, ale potem umiera z gorączki. To śmierć dziecka, ale i nieraz śmierć matki. Chciałabyś tego dla mnie?

– Przenigdy! – Alys oparła głowę o kolano matki i zacisnęła oczy.

– Wzięłabyś szydło i dźgałabyś nim w twarz swoją nienarodzoną siostrzyczkę?

– Za nic w świecie – wyszeptała pobladła dziewczyna.

– Ja też nie. Nie mogę tego zrobić. Nie mogłabym się do tego zmusić.

– Ale co my teraz zrobimy, mamó? To koniec dla nas wszystkich.

– Wiem. Moja hańba nie może spaść na ciebie i Roba. Wymyślę sposób, żeby sama się z nią uporać.

Alys wnow wtuliła się w jej kolana.

– Nie ma takiego sposobu – bąknęła. – Musiałabyś wyjechać, i to daleko, zanim ktokolwiek się dowie, a co wtedy będzie z Robem i mną? Zostalibyśmy jak sieroty, a jesteśmy za młodzi, żeby pozwolono nam żyć bez matki i ojca. Zresztą

gdzie byś się podziała? I jak mogłabym bez ciebie wyjść za mąż? Jak bez ciebie urodzę dziecko?

– Tak bardzo mi przykro – powiedziała ze wstydem Alinor. – Naprawdę mi wstyd, Alys. Modlę się do Boga o dobrą radę i zrobię wszystko, co będzie trzeba. Wszystko oprócz zabicia tego dziecka.

– Czyje ono jest? – Alys odwróciła się i zajrzała jej w twarz. – Sir Williama? Bo on mógłby ci zapłacić, żebyś wyjechała. Wszyscy wiedzą, że on...

– Nie sir Williama – wpadła jej w słowo Alinor. – I nie mogę wyjawić czyje. To nie tylko moja tajemnica, Alys. Źle zrobiłam, ale stałoby się jeszcze większe zło, gdybym prócz siebie zdradziła i jego.

– To on cię zdradził! – wykrzyknęła dziewczyna z urazą. – Zniszczył nas wszystkich. Wcale nie jest lepszy od ojca!... – Urwała, widząc bolesny skurcz, który przebiegł twarz matki.

– Nie mów tak, Alys. Nie wiesz...

– Gorszy – powtórzyła uparcie dziewczyna. – Zrobiłby ci mniejszą krzywdę, gdyby cię pobił jak tato. Chroniłaś przed nim mnie i Roba. Nieraz stawałaś między nim a nami i bił cię tak, że bałam się o twoje życie. Ale przed tym, co zrobił ten człowiek, nie zdołasz nas uchronić. Wiesz, co to znaczy, jeśli nawet ty nas nie uchronisz?



DOUAI, LISTOPAD 1648 ROKU

Niemy, lecz bacznie obserwowany James miał wrażenie, że porusza się w szklanej bańce, tłumiącej wszelkie głosy do wyblakłych ech, tłukących się po głowie. Bańce pełnej stęchłego powietrza, jakim oddychają ci, co utracili wiarę. Modlił się o to, by jego codzienna pokuta natchnęła go czymś czystym, mocnym, wyjątkowym, ale wcale nie czuł się oczyszczony. Czuł, że stopniowo rozpuszcza się w nicości.

Pewnego rana dziekan wszedł do niewielkiej bocznej kaplicy, w której James modlił się po spowiedzi, i rzekł:

- Przynoszę wieści, które zdejmą ci ciężar z serca, bracie Jamesie.
- Bardzo by mnie to ucieszyło. – James podniósł się z klęczek.

– Król postanowił uciec swoim strażnikom. Propozycje, jakie przedłożył mu parlament, nie mogą zadowolić namaszczonego przez Boga władcę, a gwarancje amnestii dla jego zwolenników obwarowano zbyt wieloma warunkami. Powiedział, że nie może się na to zgodzić, i wysłał w sekrecie list, że jest gotów przyłączyć się do królowej i księcia Karola na wygnaniu.

James poczuł znajomy dreszcz trwogi.

– Chcesz, żebym do niego jechał? – spytał. – Mam jechać ponownie i wywieźć go z wyspy? – Głos mu nie zadrżał, choć był pewien, że tym razem pojedzie po swoją śmierć.

– Nie, nie. Wywiezie go miejscowy, pewien człowiek z Newport. Królowi wolno spacerować, zażywać powietrza, nawet jeździć konno. Tamci niczego nie podejrzewają. Myślą, że mimo wszystko rozważą ich ofertę. Nasi ludzie spotkają się z nim podczas przejażdżki i konno odprowadzą go na wybrzeże. Tam będzie czekał statek, który zabierze go do Cherbourg. Może z Bożą pomocą już tam przybył? Nie mam żadnych świeżych wieści. Niech Bóg się nad nami zlituje, może nawet go zobaczymy w Douai?

James zrobił znak krzyża. Było mu wstyd, że wciąż trzęsie się ze strachu.

– Amen – szepnął. – Amen. Ale to nie takie łatwe. Czy są pewni tego statku? Kapitan jest wierny królowi? I czy król zgodzi się wejść na pokład? Ilu ludziom wyjawiał swoje plany?

– Ten człowiek z Newport wszystko załatwił – powtórzył dziekan. – Dzięki Bogu za to, że najjaśniejszy pan wreszcie zgodził się wyjechać!

– Muszą mieć godny zaufania transport i bezpieczne miejsce spotkania na morzu. Nie jest łatwo...

– Król sam wybrał kapitana. Wszystko dzieje się na jego rozkaz. Bóg go poprowadzi.

– Amen – powtórzył James, uciszając piętrzące się wątpliwości. Własne doświadczenia kazały mu wątpić, czy wszystko pójdzie gładko. Modlił się, by ktoś inny dokonał tego, w czym on sam tak haniebnie zawiódł. Może tym razem będzie inaczej.



MOKRADŁA, LISTOPAD 1648 ROKu Mróz ściał rozmiękłą ziemię, która miała teraz twardość żelaza i chrzęściła pod stopami. Alys i Alinor przeszły razem wzdłuż brzegu zatoki do promu i tam objęły się bez słowa. Na ich widok uśmiechnięty od ucha do ucha Ned natychmiast przeprawił się po siostrzenicę. Nawet stojący obok niego pies wesoło merdał pierzastym ogonem.

– Dzień dobry! – zawołał radośnie przewoźnik, kiedy Alys zręcznie wskoczyła na tratwę. – To dobry dzień dla mnie i wszystkich, którzy umiłowali wolność! – Wyciągnął rękę do siostry, żeby pomóc jej wsiąść.

Pokręciła głową.

– Nie płynę. Przyszłam przegrabić jęczmień, na pewno już skiełkował. Co się stało?

– Głowę dam, że tym razem armia dorwie króla – odparł, uśmiechając się tryumfalnie.

– Dlaczego? Skąd wiesz?

– Przejeżdżał dziś kupiec wełniany... a właśnie, zostawił ci czesankę do uprzedzenia, jest w składziku. Całe Chichester aż huczy od nowin. Parlament oczywiście nie dogadał się z naszym monarchą. A teraz się okazuje, że jego wysokość miał ochotę złamać swój królewski parol i dać nogę. Dowódca zamku Carisbrooke na Wight, pułkownik Hammond, został wezwany do kwatery głównej i ma być pociągnięty do odpowiedzialności. Spiskowców wyłapano i zamknięto. Co za dużo, to niezdrowo; armia ma już dość tej zabawy i teraz sama przypilnuje najjaśniejszego żartownisia.

– Skąd chichesterski kupiec wie, że król zamierzał uciec? – spytała z powątpiewaniem Alys.

– Kogo uwięziono? – wpadła jej w słowo Alinor, nieprzytomna z trwogi o Jamesa. – Kogo przyłapano na pomaganiu królowi?

– Strażników z zamkowej załogi. A o spisku wiedziała cała wyspa – parsknął Ned pogardliwie. – Król rozsyłał listy na prawo i lewo, trąbiąc wszem wobec, że

nie dogadał się z parlamentem i jest gotów zmienić miejsce pobytu.

Alinor uchwyciła się pachołka do cumowania.

– Uwięziono tylko strażników? – upewniła się.

– Tak, dwóch. Alinor, co z tobą? – spytał Ned.

– Wujku, ja muszę jechać do pracy. – Alys chwyciła za linę wiodącą, żeby odwrócić jego uwagę. – Przewieziesz mnie? Zobaczymy się wieczorem, mateczko. Dziś palimy w piecu chlebowym, przyniosę do domu bochenek.

– Tak, tak. Bóg z tobą, dziecko – odparła z roztargnieniem Alinor i umknęła przed baczym wzrokiem brata, żeby schować się w słodowni. Tam, w ciszy i półmroku, zdołała się wreszcie uspokoić.

Wzięła grabie, które zawsze wykorzystywano do mieszania słołu. Trzonek był jedwabście gładki, wypolerowany przez dziesięciolecia używania. W niskim pomieszczeniu było ciepło w porównaniu z przejmującym zimowym chłodem, jaki panował na zewnątrz. W powietrzu wisiał słodkawy aromat jęczmienia. Przegrzane i zaczynające już pękać ziarna leżały zgarnięte na stożkową stertę. Ned zostawił w słodowni wiadro czystej wody ze stawu, żeby przez noc nie zamarła. Alinor przemieszała grabiami ziarno i rozproszyla je cienką warstwą po całej podłodze. Wzięła miotkę z wierzbowych witek, zanurzyła w wodzie i porządnie spryskała rozrzucone ziarno, znów je przegrabiła, a potem wzięła szeroką tępą szufłę i zrzuciła z powrotem na stos. Gołym okiem nie było jeszcze widać, że w każdym tętni życie, lecz wiedziała, że ów boży cud jest obecny w każdym z setek tysięcy ziaren. Życie utajone, iskra tak maleńka, że mieściła się w nasionku – i tak potężna, że rozsadzała je, by wzrastać. Alinor oparła się na łopacie i pomyślała, że z nią jest tak samo. Przerzuca jęczmień, zbiera zioła, zajmuje się cudzym noworodkiem, a przez cały czas ukrywa wewnątrz siebie cud życia niczym płomyk szczelnie osłonięty dłonią. A gdzieś tam, daleko, może na wyspie Wight, może we francuskim seminarium, James też o niej myśli i też skrywa w sercu żar namiętności.

Na początku nie była pewna, czy jest człowiekiem słownym, czy do niej wróci. Ale teraz mu ufała; wiedziała, że jej nie zostawi. Kiedy przyjedzie, powie mu o dziecku, o tym życiu, które tak gorączkowo rośnie w jej łonie. Tym razem mu nie odmówi. Pojedzie z nim do domu w dalekim Yorkshire, do Londynu albo nawet do Francji – dokądkolwiek on zechce.

Odstawiła szufłę pod ścianę i otworzyła drzwi, wyglądając na zatokę, jakby już widać było żagle jego okrętu. Przyptyw wzbierał, mewy śmigały z krzykiem

nad rozkołysanymi, świetlicie błękitnymi falami. Znajomy syk wody przypominał odległy szept. Zimowe słońce świeciło jaskrawo, bezlitośnie. Alinor pomyślała, że wszystko na tym świecie jest możliwe: król może uciec z niewoli, James może jeszcze odzyskać swój dom, a ona urodzić mu dziecko. Dlaczego nie? W tym nowym świecie wszystko może się zdarzyć.



– Porozmawiajmy – powiedziała do córki po kilku dniach posępnego milczenia. Przygotowywały się już do snu: starannie podgarnięty żar tlił się pod glinianą pokrywą, kury mościły się w kącie, a one, rozebrane do koszul, gasiły właśnie łuczywa. Nieprzyjemna woń palonego łożu przeniknęła małą izbę jak odór zepsutego bekonu. Zrobiło się prawie całkiem ciemno, tylko smugi księżycowego światła wpadały do środka przez szpary w okiennicach.

– Nareszcie – rzekła z irytacją Alys. – Zastanawiałam się, jak długo potrwa, zanim wreszcie przemówisz. Masz już jakiś pomysł, co zrobić?

Alinor zwiesiła głowę.

– Córku, cóż ci mogę powiedzieć poza tym, że jest mi przykro? Ale mam pewne nadzieje.

– Wymień choć jedną. – Młoda kobieta usiadła ciężko na łóżku.

– Ojciec mojego dziecka jest dobrym człowiekiem. Poprosił mnie, żebym za niego wyszła, i poślubię go, kiedy to będzie możliwe.

– Nie będzie możliwe, skoro jesteś żoną taty.

– Mogę ogłosić, że Zachary nie żyje. Za sześć lat będę wolna w oczach prawa i będę mogła ponownie wyjść za mąż. Po siedmiu latach od zaginięcia człowieka uznaje się go za zmarłego.

– Zmarłego? – Alys była wstrząśnięta. – Chcesz zrobić z niego nieboszczyka?

– To nie jest tak, że mu źle życzę! – zastrzegła się Alinor.

– Nie? Skoro właśnie w tym pokładasz swoje nadzieje? I co, rozpowiesz wszystkim, że zginął, tak? Utonął? I ogłosisz się wdową?

– Alys, twój ojciec już nie wróci – powiedziała cicho matka. – Tak oznajmił Robowi, kiedy spotkał go w Newport. Nigdy nie wróci na wyspę.

– Co takiego? Rob go widział?

– Twój ojciec uciekł przed nim i nie stawiał się na spotkanie. Nie chciał, żeby go odnaleziono. Wyjawiał nauczycielowi, że nie zamierza wrócić.

– I nikt mnie o tym nie powiadomił?

– Nie chciałaś wiedzieć, pamiętasz? Chciałaś iść do Stoneyów bez kłamstwa w ustach.

– Ojciec nie wróci? Nigdy?

– Twierdził, że nie.

Alys zakryła oczy rękami.

– Ot tak? A ja nic o tym nie wiedziałam?

– Przykro mi, córuś. – Alinor rozpostarła spracowane ręce. – Tyle było... – Urwała, widząc, że Alys gwałtownie ociera oczy rąbkiem szala. – Wybacz. Nie był dobrym ojcem dla ciebie i Roba. Nie był dobrym mężem ani dobrym człowiekiem. Powiedziałaś, że to cię nie obchodzi, że nie chcesz wiedzieć. – Zamilkła na chwilę. – Płaczesz za nim?

Dziewczyna zwróciła do niej posępną twarz dokładnie otartą z łez.

– Nie płaczę.

– Tak więc sama rozumiesz – podjęła ostrożnie Alinor – że nie muszę do końca życia czekać na jego powrót.

– Wygląda na to, że w ogóle nie zamierzałaś czekać – wypaliła szyderczo Alys.

Alinor zgarbiła się, jak gdyby nie miała już więcej sił.

– Za sześć lat będę mogła poślubić ojca tego dziecka – powtórzyła.

– Kto tak mówi?

– Prawo.

– Kto ci to powiedział?

Matka spuściła oczy pod przenikliwym spojrzeniem córki.

– Nauczyciel Roba.

– Czyli wiedzą o tym wszyscy oprócz mnie? Wujek Ned też?

– Nie! Tylko nauczyciel, bo był z Robem w Newport, kiedy się spotkali.

– Prawo mówi, że możesz wyjść za mąż siedem lat po zaginięciu ojca?

– Tak. I tak zrobię.

Na ściągniętej twarzy Alys nie było widać ulgi.

– To będzie wielka pociecha dla sześciolatniego bękarta – rzuciła zjadliwie. – Tylko te sześć lat trzeba jeszcze przeżyć.

Alinor zgrzytnęła zębami.

– Dlatego nic nikomu nie mówię i nikt się o niczym nie dowie, dopóki nie wyjdiesz za mąż. Dopiero kiedy zadomowisz się u Stoneyów, odejdę.

– Zostawisz mnie. – Alys głucho stwierdziła fakt. – I Roba.

Twarz Alinor była spokojna jak rzeźbiona figura świętej, ale w oczach zabłyśły łzy.

– Tak, żeby was oszczędzić. Czy nie tego chcesz?

Dziewczyna westchnęła i podniosła głowę.

– Nie widzę, żeby mogło z tego wyjść coś dobrego – oznajmiła. – Jeśli takie są skutki, gdy kobieta sama podejmuje decyzje, to wcale mi się nie podoba ta nowa Anglia wujka Neda.

– To nie ma nic wspólnego z Nedom! – zachnęła się Alinor zaskoczona. – Ani z Anglią.

– Wuj powiada, że mężczyźni i kobiety mogą decydować o swoim losie, a nie tylko poddawać się woli tych, co stoją wyżej. Ale twoja decyzja okazała się strasznym błędem i wszyscy ucierpimy na niej bardziej, niż gdybyś nadal była ubogą wdową po rybaku, nad którą stoi rozrzutny pan ziemski, a nad nim z kolei zły król. Bo tak naprawdę nic się nie zmieniło. Może i pozbyliśmy się króla, ale nadal rządzą mężczyźni. Ty stoisz nad przepaścią, a twój kochanek może sobie robić, co chce. A jeśli po ciebie nie wróci?

Alinor pokręciła głową i przymknęła oczy, jak gdyby chciała wymazać z nich rozpacz malującą się na twarzy córki.

– Człowiek, którego kocham, przyjedzie, żeby mi pomóc – zapewniła. – Ożeni się ze mną, kiedy stanie się to możliwe. Żadna z nas nie okryje się hańbą. Wydamy cię za mąż, a kiedy będziesz już bezpieczna, wyjadę i urodzę dziecko. Za sześć lat też będę szczęśliwą mężatką.

– Cały ten plan oparty jest na marzeniach – stwierdziła z goryczą Alys. – A w naszej rodzinie marzenia jakoś rzadko się spełniają. Gdybym ja ci powiedziała coś takiego, spuściłabyś mi lanie.

Po raz pierwszy Alinor uśmiechnęła się do kochanej córki.

– Nigdy bym cię nie uderzyła.

– Ale byłabyś na mnie wściekła.

– A ty nie jesteś na mnie wściekła?

Alys nie odwzajemniła uśmiechu. Odwróciła głowę.



DOUAI, LISTOPAD 1648 ROKU

James zapukał do drzwi gościnnego pokoju w seminarium i zebrał się na odwagę.

– *Entrez!* – zawołała zza drzwi matka i zaraz się poprawiła: – Wejdz, proszę!

Kiedy wszedł, odwróciła się od okna wychodzącego na plac targowy i podbiegła do niego, wyciągając ramiona.

– Mój syn! – powitała go ciepło. – Synku!

Przyklęknął, żeby go pobłogosławiła. Poczul jej dłoń na czole, a potem wstał i ucałował ją w oba policzki. Pachniała perfumami i czystym jedwabiem. Ojciec wstał z krzesła przy stole, na którym przeglądał piękny iluminowany manuskrypt, i James ukląkł także przed nim. Później stanęli we trójkę, spozierając na siebie nawzajem, jakby nie mogli uwierzyć, że los pozwolił im się spotkać.

– Byłeś w domu? – spytał lakonicznie ojciec, przenikliwie lustrując wyszarzały habit syna i jego ściągniętą, bladą twarz.

– Tak. – James z przyzwyczajenia zerknął za siebie, czy drzwi są dobrze zamknięte. – To znaczy w Anglii, a nie... nie w naszym domu.

– Słyszałem, że były kłopoty.

James kiwnął głową. Ojciec zajął miejsce u szczytu długiego stołu z ciemnego drewna i skinął na niego, żeby także usiadł. Matka zajęła fotel na przeciwległym końcu. Pomyślał, że od czasu, gdy siedzieli tak rozdzieleni stołem we własnym domu, minęły trzy długie lata. Trzy lata ciułania szczątkowych dochodów, które byli w stanie ściągnąć z angielskich posiadłości, trzy lata pieczeniарstwa na królewskich dworach, gdzie też się nie przelewało. Trzy lata wygnania.

– Gdzie to słyszałeś? – spytał. – Teoretycznie nikt nie powinien o tym wiedzieć.

– W tym przeklętym kraju wszyscy wszystko wiedzą – powiedziała ze znużeniem matka. – Nic tu nie jest tajne, nikt nie wie, co to dyskrecja. Nie dość, że plotkują, to jeszcze zmyślają plotki.

– Takie plotki mogą kogoś kosztować życie – zauważył James. – Mnie lub kogokolwiek, kto jedzie do Anglii, żeby służyć królowi lub naszej wierze. Czy

ludzie nie zdają sobie z tego sprawy? Narazają całe nasze dzieło. Nie rozumieją, że powinni służyć w milczeniu? Dochowywać tajemnicy?

– Byłeś w niebezpieczeństwie, *chéri*? – spytała matka.

– Tak – przyznał sucho. – Oczywiście. Co dnia.

Matka zbladła. Nachyliła się, przykryła dłonią jego dłoń i uważnie popatrzyła mu w twarz, jakby szukała w niej śmiertelnych ran.

– Widziałeś Jego Wysokość? – zagadnął go ojciec. – Wolno ci o tym mówić?

– Tak. Zorganizowałem mu ucieczkę, jak pewnie wiesz, bo skoro wie o tym dwór królowej, wie i cały Paryż. Ale nie uciekł. Nie chciał.

– Odmówił? – spytał z niedowierzaniem lord Avery.

– Plotkarze ci nie donieśli?

– Słyszałem tylko, że misja się nie powiodła. Wybaczone, myślałem...

– Że to ja zawiodłem? – dokończył za niego James. – Nie. To prawda, że misja ratunkowa speliła na niczym. Ale stało się tak dlatego, że król nie zechciał wyjść przez otwarte drzwi do łodzi, która na niego czekała, i ludzi, którzy ryzykowali życie, żeby go strzec.

– Droga nie była bezpieczna?

– Oczywiście, że była! Na tyle bezpieczna, na ile w ogóle to możliwe! – Jamesa zaczynał ponosić gniew. – Nie narażałbym go przecież! Wszystko przygotowałem, ale on miał inne plany. Wierzył, że uda mu się przechytrzyć parlament. Rozegrać go na swoją korzyść, skłócić z armią. Zagrozić im Irlandczykami albo interwencją Francji...

Ojciec machnął tylko ręką.

– Nie będzie żadnej interwencji – mruknął. – Nie ma na to pieniędzy, a przy tym, Bóg świadkiem...

James spojrział na niego bystro.

– Bóg świadkiem...? – zawiesił głos.

Teraz to ojciec zerknął na drzwi.

– Nie mamy przywódcy – rzekł, zniżając głos. – Na dworze królowej nie uświadczysz krzty zdrowego rozsądku, na dworze księcia krzty dyscypliny. Nie ma nikogo, komu zechciałbyś powierzyć psa, a co dopiero armię. Faworyci, koterie, wzajemne podgryzanie się, kłótnie o błahostki, niekończące się plotki i skandale. Owszem, są tam i przyzwoici ludzie, którzy trwonią resztki majątku na desperackie, nieprzemyślane plany. Śnią o przyszłości i zemście. Na nikim nie

zdołasz się oprzeć. Nikomu zaufać. Nagrody się obiecuje, a rozdaje łapówki. Człowieka mdli na samą myśl.

Matka Jamesa wstała z miejsca i znów podeszła do okna, jakby skromny rynecek w małym prowincjonalnym mieście mógł jej zaoferować interesujący widok.

– Nie mów tak – powiedziała cicho. – W końcu James nadal ryzykuje życie.

– Czy król zdołał uciec? – James nachylił się do ojca, mówiąc ledwie dosłyszalnym szeptem. – Zostałem powiadomiony, że ma uciec konno, a na brzegu czeka na niego statek. Czy jest już bezpieczny?

Ojciec pokręcił głową.

– Do ucieczki nie doszło. Spisek został wykryty.

– Jakoś mnie to nie dziwi – prychnął kwaśno James.

Matka odwróciła się od okna.

– Po co tyle goryczy? – szepnęła. – Nie pozwól, żeby czasy, w jakich żyjemy, cię zepsuły.

– To już się stało – przyznał. – Straciłem wiarę. Wiarę w naszą sprawę, ale i w Boga także. Ale podejrzewam, że o tym też już wiecie. Dziekan po was posłał? Dlatego przyjechaliście?

Jego ojciec był zbyt uczciwym człowiekiem, aby okłamywać jedyne go syna.

– Posłano po nas, gdy tylko wróciłeś – rzekł. – Dostaliśmy wiadomość, że jesteś w kiepskiej kondycji. Czy dręczy cię tylko utrata zaufania do króla i Boga, czy chodzi też o kobietę?

James zawahał się. Matka podeszła do stołu i położyła na nim białą dłoń. Przecudna koronka wystająca z rękawa odbiła się w polerowanym drewnie.

– Możesz mówić przy mnie – stwierdziła. – Jestem bardziej niż pewna, że w ciągu ostatnich kilku lat słyszałam znacznie gorsze rzeczy. Dostatecznie długo włóczyliśmy się wraz z dworem na wygnaniu, w otoczeniu ludzi o moralności stajennych kotów, by cokolwiek mogło mnie jeszcze zdziwić.

– Jesteś zepsuta? – James uśmiechnął się do niej figlarnie.

– Zahartowana – poprawiła go. – Słyszałam już chyba wszystko.

– Jest pewna kobieta – przyznał. – Kobieta z ludu, nie dama, ale bardzo piękna, dzielna i bardzo... – Szukał w myśli określenia, które oddałoby sprawiedliwość Alinor. – Interesująca – dokończył. – Ma interesujący, żywy umysł, choć nie jest wykształcona. To prosta zielarka. Żyje... – Znów się zawahał. Trudno by mu było opisać rudere na skraju bagniska, przeprawę

promową i brata purytanina, którego poglądy byłyby nie do zaakceptowania w jego sferze. – Żyje bardzo skromnie – podjął, starannie unikając słowa „nędza”. – Ale tego wieczoru, kiedy mnie spotkała, uratowała mi życie, dając mi schronienie przed prześladowcami.

– A jej rodzina? – zacięła się matka.

– Ma dwoje dzieci, córkę i syna.

Zgroza, mieszająca się ze zdumieniem na jej twarzy, uświadomiła mu, że popełnił błąd.

– Nie o to mi chodziło! Pytałam, czy pochodzi z dobrej rodziny.

– Ma dzieci? Jest więc wdową? – spytał równocześnie ojciec.

James zwrócił się najpierw do matki.

– Cieszy się pewnym szacunkiem w wiosce, wśród sąsiadów. Ludzie plotkują... ale ludzie plotkują nie tylko na takiej głuchej prowincji, sami wiecie. Jej mąż zaginął, prawdopodobnie nie żyje. To biedni ludzie. – Spojrzał na ojca i znów na matkę. – Chyba nie wyraziłem się dość ściśle. Nie mają ziemi, koneksji ani nazwiska.

Wbił wzrok w matkę, jak gdyby mógł jej przekazać obraz mokradła takiego, jakie widział: tchnącego niesamowitym, zaświatowym pięknem, z urodziwą, niezwykłą Alinor w roli pani tej baśniowej krainy.

– To nie są ludzie do nas podobni – wyjaśnił.

– Ale miała przynajmniej męża? Poślubionego przed ołtarzem? Nie jest...

– Nie! – James prawie krzyknął. – Jej rodzice nie żyją, ale ma brata. To uczciwy człowiek.

– Jej mąż zginął na wojnie? – zagadnęła matka. – Po naszej stronie?

– Eee... nie – bąknął ze zmieszaniem James. – Po prostu zaginął.

– Porzucona żona?!

– A ten brat? Ma własną ziemię? – spytał z nadzieją ojciec. – Czy tylko dzierżawi rolę pod uprawę?

James pokręcił głową, zmuszając się, by mówić prawdę.

– Jest przewoźnikiem. Dzierżawi przeprawę promową wraz z przynależnym do niej domem. Jest tam niewielkie poletko, gdzie mają sad, warzywnik i trzymają kury. To biedni ludzie, ojczyzna, na biednej ziemi, samym skraju Anglii, który styka się z Kanalem. Nie sposób orzec, czy te zalewane przez pływy błota są bardziej lądem czy morzem. Prawdę mówiąc, ta kobieta nie ma prawie

niczego. Gdy doprowadziła mnie bezpiecznie na dwór naszego stronnika, dostała parę szylingów, za które kupiła łódź.

Uśmiechnął się bezwiednie na myśl o tej łodzi i odwadze kobiety, którą tak bardzo kochał.

– Ta łódź to dla niej skarb – podjął. – Łowi z niej ryby i sprzedaje połów. Powiedziała... – Urwał. Nie mógł im przecież powtórzyć, jak stwierdziła żartem, że uratowanie mu życia miało taką samą wartość jak złowienie tłustego łososia. – Uprawia zioła i przyrządza leki. Jest w tej wiosce kimś na kształt medyka, przyjmuje też porody. To mała rybacka wioska, bardzo uboga.

Matka była blada jak ściana.

– Rybaczka? – powtórzyła ze zgrozą. – Akuszerka? Znachorka, jednym słowem?

– Tak – przyznał mężnie. – Nic ponadto. – Zwrócił się do ojca. – Ale uratowała mnie, gdy nie miałem gdzie się podziać. Później pielęgnowała w chorobie, kiedy byłem bliski śmierci i nikt by do mnie nie podszedł z obawy przed zarazą. Ona jednak pozostała u mego boku. Poprosiłem ją, żeby za mnie wyszła.

Matka zamknęła oczy i przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc jęk. Twarz ojca pociemniała.

– Nie takie mieliśmy wobec ciebie plany – rzekł krótko.

– Wiem, ojcze. Ale też nie planowaliśmy, że świat przybierze taką postać.

– Jesteśmy na wygnaniu, niemal bez grosza. Ale nie upadliśmy jeszcze tak nisko, abyś miał złamać śluby złożone Bogu i ożenić się z wiejską akuszerką obarczoną gromadką pospolitych dzieci.

– Przepraszam cię, ojcze. Przepraszam, matko.

Jego rodzicielka pokręciła głową, zasłaniając oczy, jakby nie mogła ścierpieć jego widoku.

– Pozwoliliśmy ci poświęcić się Kościołowi – rzekł z goryczą ojciec – choć nie było to dla nas łatwe. Wyrzekliśmy się wówczas nadziei na synową, na wnuki, na przedłużenie rodu. Ty tego chciałeś. Mówiłeś, że masz powołanie, a my ci uwierzyliśmy. Dla mnie była to największa, najcięższa ofiara, jaką w życiu poniosłem. Oddać Kościołowi jedynego syna! A teraz mówisz nam, że wszystko na nic? Że znów mamy cię stracić, lecz tym razem nic nie zyskać w zamian? Oddać kobiecie, która wedle twoich własnych słów jest nikim?

James słyszał w słowach ojca wzbierający gniew.

– Wiem – odparł szybko. – Wiem. Byłem wam ogromnie wdzięczny za zgodę na śluby zakonne, bo naprawdę chciałem zostać duchownym. Byłem tego pewien. Ale... Po powrocie do Anglii, gdy ujrzałem klęskę wszystkiego, w co wierzyliśmy, i króla, który...

– Który co? – Matka przyskoczyła do niego w zimnej furii. – Chcesz powiedzieć, że to wszystko, całe to nieszczęście, stało się, bo odkryłeś, że król jest głupcem? Mogłam ci to uświadomić dziesięć lat temu!

Mąż uniósł ostrzegawczo rękę, ale lady Avery nie dała się uciszyć.

– Nie! Będę mówić! Chłopak powinien wiedzieć. Zresztą już wie! Tak! Król jest głupi i chciwy, a jego syn to nieokrzesany bęcwał. Ale pomimo to jest królem. To się nie zmienia! Tak jak ty jesteś księdzem i to też się nie zmienia. Król może być dobry lub zły, ale pomimo to jest królem! Tak jak twój ojciec zawsze będzie sir Rogerem Averym z Northside w Northallerton niezależnie od tego, czy będziemy mieszkać tam czy gdzie indziej, kiedy w naszym domu rozpanoszy się pospólstwo. Pewne rzeczy się nie zmieniają! Tak jak nasze nazwisko, jak nasza siedziba. Anglia się nie zmienia i ludzie też nie. Dotyczy to również ciebie!

W niewielkim pokoju zapadła cisza. Sir Roger spojrział na żonę, potem na syna.

– Czy ta kobieta przyjęła twoje oświadczenia? – spytał lekko, jakby była to kwestia pomniejszej wagi.

– Czemu miałyby odmówić? – rzuciła gniewnie jego żona. – Sądziś, że woli zostać tam, gdzie jest? Po pas w błocie na jakimś końcu świata?

James podniósł głowę.

– Nie. Stwierdziła, że to nie uchodzi.

– I miała rację! – prychnęła matka.

– Naprawdę tak powiedziała? – zaciekawiał się ojciec.

James kiwnął głową.

– Tak. Mówiłem wam, że jest niezwykła. Obiecałem jej, że wystaram się o zwolnienie z zakonu i poproszę cię o zgodę, abyśmy mogli zapłacić grzywnę na rzecz parlamentu i wrócić do Northside. Potem dopiero poproszę cię o zgodę na ślub i przywiozę ją do domu jako swoją żonę. Na razie i tak musi czekać, aż zostanie uznana za wdowę w oczach prawa.

– Zapłacić haracz parlamentowi i żyć pod ich rządami? Zaprzec się służby królewskiej?

– Tak – odparł spokojnie James. – On nie chce moich usług. A ja nie mam już ochoty mu służyć.

– Chcesz zdradzić przysięgę na wierność?

– Zerwać ją.

Lady Avery wyjęła z rękawa haftowaną chusteczkę i przycisnęła ją do oczu. Sir Roger patrzył przez chwilę na posępną twarz syna.

– Czy ona w ogóle wie, kim jesteś? – spytał.

Młody człowiek podniósł na niego oczy i po raz pierwszy ojciec zobaczył w nich chłopięcy uśmiech.

– Nie. Zna mnie jako ojca Jamesa. Na wyspie udawałem guwernera nazwiskiem Summer. Zaryzykowała dla mnie wszystko, a nawet nie wie, jak się nazywam.



MOKRADŁA, LISTOPAD 1648 ROKU

Alinor zapukała do drzwi mlecznicy przy młynie i otworzyła je, słysząc gniewne „wejść” Millerowej. Przepuściła Richarda Stoneya, który taszczył wiadra z mlekiem, a za nim służącą z nosidłem na ramionach.

– Przyszłam po dwa wiadra mleka, jeśli macie na sprzedaż – powiedziała.

– Mamy więcej, niż zdołamy dziś przerobić – mruknęła młynarzowa. – Cielę Bessy wpadło do rowu i skrzyło sobie kark. A Bessy wciąż daje mleko.

– Biedactwo – uzalila się Alinor. Gospodyni spojrzała na nią koso.

– To ja jestem biedna, bo straciłam dobrego cielaka. Teraz trzeba go rozebrać na mięso.

– No tak – zgodziła się Alinor, która nigdy w życiu nie kosztowała cielęciny.

– Chcę zrobić trochę sera na targ w Chichesterze.

– Zaniosę wam mleko na przeprawę – zaofiarował się Richard.

Pani Miller obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Jeszcze nie jest twoją teściową – stwierdziła zimno. – A pracujesz u mnie.

Młody człowiek oblał się rumieńcem.

– Przepraszam – rzekł krótko.

– Dam sobie radę, jeśli będę mogła pożyczyć nosidła – wtrąciła Alinor. – Potrąćcie mleko z wypłaty Alys?

– Znaczy, chcesz na kredyt? – zapytała złośliwie Millerowa.

– Mogę zapłacić teraz, jeśli wola – odpowiedziała spokojnie Alinor.

– Nie, nie, trzymaj te swoje półpensówki. Ujmę za mleko z wypłaty na koniec tygodnia.

– Dziękuję. – Alinor uśmiechnęła się, założyła na barki wytarte drewniane koromysło, podniosła dwa pełne po brzegi wiadra i poruszyła ramionami, żeby złapać równowagę. Richard otworzył przed nią drzwi mlecznicy.

– A ty pędź do młyna – rozkazała mu gospodyni. – Stary dziś miele, a przyływ nie będzie czekał, nawet na takiego jak ty.

Młodzieniec pochylił głowę i puścił się biegiem przez podwórze. Idąc ostrożnie do bramy, żeby nie uрониć ani kropli z kolebiących się wiader, Alinor usłyszała, że młynarz woła do Richarda, by otworzył przepust. Przystanęła, patrząc, jak chłopak lekko, sprężyście biegnie wałem, żeby odsunąć wielki żelazny rygiel otwierający śluzę. Woda ze stawu wpadła do młynówki i koło powoli zaczęło się obracać, skrzypiąc przeraźliwie pod jej naporem. Hałas potęgował huk wody w rynnie i głośny plusk zielonej spienionej kaskady, która wylewała się z młynówki do mulistego kanału. Alinor ruszyła do brodu, odwracając wzrok od rozszalałego żywiołu. Huk wzmógł się jeszcze, kiedy młynarz podłączył przekładnię w budynku i kamienie młyńskie zatrzęły trzeć o siebie z ogłuszającym zgrzytem.

Stąpając po mokrych kamieniach i starannie omijając lodowate kałuże, przeszła brodem do domu przewoźnika. Jej brat ścinał właśnie starą jabłoń w sadzie na tyłach domu. Pień był gruby, zwężony, toteż rozebrany do pasa Ned nieźle się napocił, rąbiąc świeżo naostrzoną siekierą, a potem wbijając kliny, żeby rozłożysta korona, spadając, nie zahaczyła o dom. Pomachał Alinor, która obeszała dom dookoła, kierując się prosto do mleczarni.

– Rozpaliłem ci pod kotłem w pralni! – zawołał za nią.

– Dzięki! – odkrzyknęła i weszła do mleczarni.

W pomieszczeniu panowało przejmujące zimno. Wlała po kolei mleko do drewnianego koryta, a później przyniosła z pralni kilka dzbanów wrzątku z kotła i rozstawiła wokół, żeby mleko się zagrzało. Dopiero wtedy dodała niewielką miarkę podpuszczki. Z zewnątrz dobiegał regularny odgłos siekiery wbijającej się w drewno. Cichł tylko wtedy, kiedy Ned robił chwilę przerwy na odpoczynek.

Ciepłe mleko zaczęło się powoli ścinać, podbiegać serwatką. Wzięła muszlę, jedną z dokładnie oczyszczonych muszli małża, za pomocą których jej matka zawsze sprawdzała gęstość ściętego mleka. Zakręciła nią bączka na powierzchni, a kiedy muszla znieruchomiała, Alinor podwinęła rękawy i zanurzyła rękę w gęstniejącej cieczy, rozpościerając palce niczym szpony. Twaróg był już prawie gotowy, należało go odcedzić.

Odór mleka i podpuszczki przyprawił ją o mdłości. Otworzyła drzwi, stanęła w progu, żeby zaczerpnąć trochę świeżego, chłodnego powietrza. Rudzielec obudził się z drzemki i usiadł, strzygąc uszami w nadziei, że uda mu się wśliznąć do mleczarni i skraść trochę śmietany.

– Znów będziesz rzygać?! – zawołał do niej Ned. – Jesteś blada jak to mleko!

– Nie, nic mi nie jest – skłamała i wróciła do pracy.

Sprzed domu dobiegł klang podkowy, w którą ktoś na drugim brzegu uderzał żelaznym drągiem, wzywając przewoźnika.

– Alinor, mogłabyś? – Ned wskazał swój nagi tors i na wpół zwalone drzewo.

– Jest odpływ i ani trochę wiatru.

Pokręciła głową.

– Wybacz, braciszku, ale naprawdę nie mogę.

– Boisz się wody jak kot! – sarknął, wciągając koszulę. – A powinnaś być jak kot okrętowy, który nawet na morzu umie się ustrzec przed zmoczeniem.

– Wybacz – powtórzyła. – Zresztą i tak cuchnę serwatką.

Ned obszedł dom dookoła, zmierzając do przeprawy, a Rudzielec popędził za nim. Alinor nie wytrzymała i też podkrađła się do węgła, żeby zobaczyć podróżnego. Na drugim brzegu stał osiodłany wierzchowiec, a obok niego mężczyzna. Serce jej zabiło, przycisnęła je mocno, drugą ręką objęła brzuch.

– James... – wyszeptała, lecz już widziała, że to nie on. Mężczyzna był wędrownym kaznodzieją w wystrzępionym płaszczu, który przybył umocnić w wierze purytanów z wyspy Sealsea, a jego koń – starą wysłużoną szkapą, jakiej James nigdy by nie dosiadł.

Odpędziła od siebie rozczarowanie. Ufała Jamesowi. Wiedziała, że przybędzie, kiedy tylko zdoła.



DOUAI, GRUDZIEŃ 1648 ROKU

Rodzice Jamesa wychodzili właśnie z gospody. Konie czekały na zewnątrz w zimnej wczesnogrudniowej mżawce, przestępowały w miejscu i wydmuchiwały z nozdrzy kłęby ciepłej pary. Lady Avery wyszła z budynku otulona podbitą futrem opończą. Syn podał jej rękę, pomagając wejść na schodek i dosiąść stojącej spokojnie klaczy. Usadowiła się w damskim siodle i poprawiła fałdy zielonej wełnianej sukni do konnej jazdy, tak że okryły wysokie skórzane buty.

James wspiął się na schodek, by ich głowy znalazły się obok siebie i żeby słyszała jego błagalny szept.

– Proszę, wybacz mi, matko.

Odwróciła głowę i machinalnie pogładziła końską grzywę.

– Nie zrezygnuję z tej kobiety – podjął. – Zawładnęła moim sercem, dosłownie. Wrócę tam, żeby się z nią zobaczyć, a kiedy będzie wolna, pojmę ją za żonę. Błagam, żebyś mi wybaczyła i pozwoliła wprowadzić ją do domu jako twoją córkę.

Dopiero teraz na niego spojrzała. Była blada, miała zaczerwienione oczy – wyraźny znak, że tej nocy ona też nie zmrużyła oka.

– Będę się modlić za ciebie i za nas – powiedziała tylko. – Ale nie sprowadziłam cię na świat i nie oddałam świętemu Kościołowi po to, żebyś barłoczył z jakąś rybaczką.

James pochylił głowę, oczekując na gest błogosławieństwa. Ledwie poczuł muśnięcie jej dłoni na włosach.

– Wybacz – powtórzył. – Jestem jej przyrzeczony.

– Jesteś przyrzeczony Kościołowi – odparła sucho. – Powinnością syna jest posłuszeństwo wobec rodziców, a my tego zabraniamy.

– Napiszę do was.

– Nie, jeśli masz pisać o niej – ucięła.

Drzwi klasztornej gospody otwarły się raptownie i wyszedł z nich szybkim krokiem sir Roger. Wyglądał, jakby ciężki zimowy płaszcz przygiął go do ziemi. Za nim śpieszył dziekan, ściskając w ręku arkusik papieru.

– Są wieści – rzucił krótko lord Avery do syna. – Zaszło coś, co wszystko zmienia. – Przytrzymał za uzdę wierzchowca żony i rzekł do niej cicho: – Nie możemy teraz wyjechać. Zsiądź i wejdź do domu.

– Chodzi o króla? – odszepnęła, natychmiast zsuwając się z siodła.

Skinął głową, ale jego posępne spojrzenie ostrzegło ją, że nie jest to wieść o udanej ucieczce monarchy z wyspy Wight. Bez dalszych słów podała rękę synowi, zeszła prędko na ziemię i zawrócili pod dach.

– Co się stało? – spytała, kiedy dziekan zamknął za nimi drzwi.

– Armia opanowała parlament – rzekł. – Dostałem wiadomość od jednego z naszych szpiegów w Londynie. Jeden z najbardziej radykalnych i nienawistnych wobec króla pułkowników obsadził swoimi ludźmi drzwi Izby Gmin i wpuszczał tylko tych członków, którzy duszą i sercem oddani są Cromwellowi. Taka Izba nigdy nie zawrze ugody z najjaśniejszym panem. Prawdziwych członków rozpedzono. Izba jest teraz całkowicie w mocy armii.

Lady Avery zwróciła się do męża:

– Chcą na nim wymusić, by przystał na ich warunki?

Skinął głową.

– Powinniśmy wracać na dwór, moja droga. Królowa i księżę Walii nie dopuszczą do wydania króla w ręce żołdaków. Ale jest gorzej niż wtedy, kiedy uciekł z Hampton Court. Wówczas go pojmano, ale przynajmniej parlament mógł go bronić. Teraz nie ma nikogo, kto by wyrzekł za nim choć słowo. Czegoś takiego jeszcze nie było. Żeby parlament rządził królem? Świat się kończy.

– Może być jeszcze gorzej – wtrącił James. – Mogą zechcieć postawić go przed sądem.

– Sąd? – Ojciec zwrócił się ku niemu wzburzony. – O czym ty mówisz?

– W Sussexie poznałem pewnego weterana z armii Cromwella, który rzekł mi, że radykałowie w jego szeregach, lewelersi i ludzie ich pokroju, chcą pociągnąć króla do odpowiedzialności za wywołanie wojny.

– Ależ to niemożliwe! – Ojciec zmarszczył brwi. – Nie mają prawa oskarżać króla!

– Kim był ten człowiek? – zainteresowała się matka, przenikliwa jak zwykle.
– Jednym z jej znajomych?

James spłonął rumieńcem.

– Wrócisz do Anglii, żeby zebrać dla nas wieści? – zapytał bez ogródek dziekan. Machnął trzymanym w ręku listem. – Młody człowiek, który przesłał nam ten raport, jest już w drodze do Francji. Ukrywał się w domu jednego z członków parlamentu, którego nie dopuszczono do obrad. Wyjechali z Londynu, a to przekazano przez... – urwał i odchrząknął – przez inny port.

James poczuł znajomy lęk, przenikający do szpiku kości. Popatrzył kolejno na rodziców i swego nauczyciela.

– Wiecie, że straciłem wiarę. Nie mogę jechać.

– To twój obowiązek wobec króla, nie Boga – przerwał mu ojciec. – I możesz go spełnić. Mówimy tu, Bóg świadkiem, o nader ziemskich sprawach. Musimy wiedzieć, co tamci planują. Jeśli masz rację i jeśli istnieje jakiekolwiek ryzyko procesu, trzeba króla stamtąd wyciągnąć.

– Zeszłym razem nie udało mi się go przekonać – przypomniał James. – Odmówił.

– Tym razem się zgodzi – orzekł doktor Sean. – Wie, że nie może wpaść w ręce armii. Poza tym chodzi nam tylko o to, żebyś zastąpił tamtego młodzieńca. Dostarczysz do Anglii pieniądze, list i prześlesz nam sprawozdanie.

– Ale czy to bezpieczne, żeby tam jechał? – Lady Avery stanęła po stronie syna. – A jeśli ta kobieta cię wyda?

– Nie spotkam jej w Londynie. Nigdy nie opuszcza Sussexu.

– Pojedziesz tylko do Londynu, dostarczysz pieniądze i rozkazy, zorientujesz się w sytuacji i prześlesz raport przez Hagę – powtórzył dziekan.

– Nie jedź do niej – ostrzegła go półgłosem matka. – Nie w służbie króla; nie, kiedy grozi ci niebezpieczeństwo. Nie ufam jej.

– Zaraz dostaniesz listy, adres bezpiecznego domu w Londynie i złoto. – Doktor pośpieszył do swojej kwatery. – Przygotuję wszystko w ciągu godziny.

– Weź mojego konia – dodał sir Roger. – Zostawisz go w zajeździe pod Dunkierką. Masz, weź też moją opończę. Jest zimno, a na morzu będzie jeszcze gorzej. Jedź, synu. Przynosisz mi chlubę. Wypełnij obowiązek wobec króla, a potem zobaczymy, co czas pokaże. Jesteś młody, żyjemy w epoce, gdy każdy przyływ niesie odmianę. Nie wiemy, co nas czeka za rok, więc niczego nikomu nie obiecuj. Wróć do nas szczęśliwie.

Ciepły ojcowski płaszcz zaciążył Jamesowi na ramionach niczym dodatkowe
brzemie. Zobaczył ściągniętą niepokojem twarz matki.

– Wróć – powiedziała tylko – i nie jedź do niej.



MOKRADŁA, GRUDZIEŃ 1648 ROKU

Alinor i Alys brnęły w milczeniu w stronę przeprawy, chyląc okutane szalami głowy, gdy smagał je lodowaty wiatr dmący od rozlewiska. Zgięte pod wielkimi koszami pełnymi flaszek z olejami i suszonych ziół pozawijanych w woskowany papier wyglądały jak dwie zakapturzone, garbate bestie pełznące przez wodną pustać. W domu brata Alinor otworzyła drzwi przybudówki i załadowała kolejny kosz słojami suszonych śliwek, jabłek, czarnych i czerwonych porzeczek oraz jeżyn.

W drzwiach stanął Ned z nieodłącznym Rudzielcem.

– Pójdę z wami – oznajmił niespodziewanie. – Poniosę wam te ciężary. Jadę do Londynu.

– Co takiego? – Alinor osłupiała. Pierwszą jej myślą było, że Ned jakimś cudem domyślił się, że jest w ciąży, i postanowił opuścić je na zawsze. – Jak to, Ned? Nie możesz tak po prostu wyjechać!

– Pułkownik Pride zajął Izbę Gmin. – Ned nie ukrywał podniecenia. – To jeden z najlepszych ludzi komendanta, Bóg z nim, więc na pewno wykonał jego rozkaz. Teraz mamy wojnę z parlamentem, jak wcześniej z królem.

– Czyj rozkaz?

– Cromwella! Samego Nolla Cromwella!

– Co takiego znów zrobił? – Alys stanęła obok matki, odwijając chustę ze zziębniętej twarzy.

– Wziął szturmem siedzibę parlamentu niczym pałac królewski, bo też to jest pałac! Członkowie parlamentu już nigdy nie zwyciężą zbrojnie. Ludzie Pride'a zagrodzili wejście królewskim lokajczykom i wypędzili zdrajców. Nie będzie ugody z królem ponad naszymi głowami! Nie posadzą go z powrotem na tronie za garść obietnic, które złamie, gdy tylko trafi się okazja! My, żołnierze nowej armii, od początku przejrzelśmy jego kłamstwa! My, którzy byliśmy pod Marston Moor, którzy byliśmy pod Naseby!

Alinor odstawiła kosz i chwyciła zimne ręce brata w swoje, starając się go uspokoić.

– Czekaj, Ned. Nic nie rozumiem. Nie możesz przecież jechać do Londynu. Kto będzie przewoził ludzi?

– Ty – wypalił bez namysłu. – Alinor, błagam. Przykro mi, ale muszę jechać. Tym razem nie odpuszczę. Pułkownik Pride zajął parlament, chwała niech będzie Panu. Armia wprowadzi do Izby własnych ludzi, a ci w głosowaniu odrzuca wszystkie puste umowy zawarte z królem! Muszę tam być. Jeśli przyda im się stary żołnierz, stanę z nimi w szeregu. Muszę to zobaczyć. Chybabym oszalał, gdybym teraz siedział tu, na mokradle, czekał wieści spóźnionych o trzy tygodnie i cały czas zgadywał, co tam się dzieje. Nie będę tkwił w tym cuchnącym bajorze jak owca wmarznięta w bagno, gdy tam inni będą toczyć moją wojnę! Alinor, to już ostatnia bitwa. Ostatnie dni monarchii. Muszę tam być. Byłem na początku, teraz muszę zobaczyć koniec.

Alinor zamknęła oczy, by nie patrzeć na jego zaczerwienioną z podniecenia twarz.

– Boję się nurtu – powiedziała. – Wiesz, że się boję.

– Tuż przed Bożym Narodzeniem nikomu nie będzie potrzebny prom! – skłamał. – Po świątecznym jarmarku już nikt nie opuszcza wyspy. Bóg świadkiem, że żywa dusza tu nie zajrzy. Wszyscy siedzą w domach aż do wiosny.

– Nieprawda! Jeżdżą tam i z powrotem! – Alinor zaczęła wpadać w panikę. – W zimie nikt nie korzysta z brodu. Każdy chce płynąć promem, nawet przez niską wodę, a przy wysokiej wodzie przewożą nawet konie. Nie dam rady, braciszku! Nie w zimie, kiedy pływy są takie gwałtowne! Nie zmuszaj mnie! Nie mogę, przysięgam, że nie mogę!

– Ja mogę – odezwała się zza jej pleców Alys. – Zastąpię cię na promie, wujku.

– Ty?

– Tak, ale będziesz musiał mi zapłacić. Wiesz, że wciąż brakuje mi na posag. Będzie cię to kosztować pięć szylingów. To znaczy dodatkowe pięć szylingów poza tymi, które obiecałeś mi w prezencie. I zatrzymam wszystkie opłaty za przewóz.

– Nie pleć! – Alinor obróciła się do niej ze zgrozą. – Nie możesz pracować na wodzie, nie zniosłabym tego. Nie masz dość sił, a kiedy woda przybiera...

– Da sobie radę – orzekł Ned. – Co złego może jej się stać na promie? A Rob też może przyskoczyć z Priory i jej pomóc.

Alinor zacisnęła powieki na myśl o swoich dzieciach pływających po mrocznym zimowym rozlewisku.

– Proszę was – szepnęła. – Nie róbcie tego. Ned, wiesz, że nie mogę ich tak narażać.

– Pięć szylingów na wesele – powtórzyła Alys – i wszystkie opłaty.

– Umowa stoi. – Ned uściskał jej rękę. – Wybacz, siostrzyczko – dodał, odwracając się do Alinor – ale naprawdę muszę jechać. Armia sprowadzi króla do Londynu. Modłę się, żeby oskarżyli go o zdradę wobec nas, ludu. Jest winny jak sam diabeł i chciałbym zobaczyć, jak płaci za swoje zbrodnie. Zburzył pokój w całym kraju i przyczynił się do śmierci tysięcy dobrych ludzi. Wszystko to poszłoby na marne, jeśli byśmy się od niego nie uwolnili. Zasłużył na karę jak więdzma na pławienie. To koniec władzy tyranów, początek nowej Anglii. Muszę tam być, zobaczyć jego upokorzenie. Siostrzo, ja po prostu muszę tam być!

Alys, rozradowana i beztroska, wręczyła wujowi koszyk.

– Poniesiesz to mamie – oznajmiła – i odprowadzisz ją do Chichesteru. Ja zostanę i od razu zacznę się wprawiać.

Ned wyszczerzył zęby jak psotny chłopiec.

– To nas zaraz przewieziesz.

– Pół pensa za dwoje. – Alys wystawiła dłoń i starannie wetknęła pieniądze do sakiewki.

Ned wziął Alinor pod rękę i pomógł jej wejść na prom. Kurczowo zacisnęła pokaleczone dłonie na drewnianym relingu.

– Nie bój się – powiedział. – Na wodzie nic jej nie grozi. Nie ma się czego bać, to tylko ciebie prześladowają koszmarne sny. A ja niebawem wrócę.

– Kiedy? – spytała szorstko.

– Kiedy rzecz dobiegnie końca – odparł. – Kiedy król poprosi lud Anglii o wybaczenie.



Rozstali się przy Krzyżu Targowym w centrum miasta. Stary kamienny krzyż stał w miejscu, skąd ulice rozbiegały się na cztery strony świata. Ned ruszał na północ, drogą do Londynu. Zakładał, że bez trudu zabierze się z kimś na wozie. Zimą koła toczyły się gładko po skutych lodem gościńcach.

– Wielu weteranów ściągnie do Londynu po wieści – perorował. – Czekaliśmy na to od lat.

– Ale potem do nas wrócisz? – Alinor wczepiła się w jego rękaw. – Nie zaciągniesz się od nowa? Nawet jeśli Irlandia powstanie przeciw nam albo Szkoci znów nas najadą? Nie pójdiesz z armią Cromwella?

– Tamto już skończone – rzekł stanowczo. – Nie będzie więcej wojen ani rebelii. Król musi zaprzysiąc na swoją głowę, że odtąd będzie żył w pokoju, a ci wszyscy biedacy, którzy walczyli po obu stronach, wrócą do domów, do swoich dzielnych kobiet, które broniły ich domów przed wrogiem.

– Proszę cię o to, bo mam kłopot, o którym ci jeszcze nie mówiłam. – Alinor starannie dobierała słowa. – Będziesz mi potrzebny w domu, bracie. Będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Natychmiast stęzał, skupiając na niej uwagę.

– Zachary wrócił? Miałaś od niego wieści?

– Nie, dzięki Bogu nie – uspokoiła go pośpiesznie. – Ale muszę wydać Alys za mąż i oddać Roba do terminu, a sama... też mam pewne kłopoty.

Położył swoją szorstką szeroką dłoń na jej dłoni.

– Alys już dziś zarabia na swój posag i naprawdę nie musisz się o nią martwić. A Rob ma obiecane miejsce. Peacheyowie za niego zapłacą. Wróć, nie obawiaj się. Co z tobą? Niedomagasz?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Powiem ci, kiedy wrócisz – obiecała. – To może poczekać.

Tylko rozpierające go podniecenie pozwoliło mu przeoczyć jej bladość.

– Powinnyście zamieszkać u mnie, skoro Alys zostanie przewoźniczką.

– Tak zrobimy.

– Opiekuj się psem. Starzeje się. Dokucza mu zimno.

– Pozwolę mu spać przy kominku – obiecała.

– A kiedy wróć, chciałbym, żebyś u mnie została. Po co miałabyś siedzieć w swojej chacie, gdy Alys wyjdzie za mąż, a Rob zamieszka w mieście? Powiemy wszystkim, że Zachary już nie wróci, a mnie potrzebna jest gospodyni. To przecież był kiedyś i twój dom.

Wyobraziła to sobie tak dokładnie, jakby miała widzenie: ona znów w domu swego dzieciństwa, a człowiek, którego pokochała, nadjeżdża drogą do promu, tak jak to już kiedyś było. Widzi ją w bramce warzywnika, odgradzoną od niego głęboką wodą, i wie, że jest już wolna, czeka na niego. Przeprowadzi się na wyspę i ujmie jej ręce, a wtedy ona powie mu, że ma w łonie jego dziecko.

Neda zdumiał jej uśmiech, jasny jak zimowe słońce.

– Tak – powiedziała. – Cudnie. Będzie pięknie.



LONDYN, GRUDZIEŃ 1648 ROKU

James przeprowił się na angielski brzeg mroźnym grudniowym rankiem. Zachodni wiatr dął w żagle barki, która zabrała go Tamizą do londyńskiego nabrzeża. Zszedł z pokładu wyposażony w dokumenty świadczące, że jest kupcem winnym przybyłym w celu zawarcia umowy handlowej z londyńską spółką. Akcyźnik odprawił go niecierpliwym machnięciem ręki. Obchodziła go głównie zawartość ładowni; nie zamierzał marnować czasu na kogoś, kto nie miał w zanadrzu świeżych plotek z dworów na wygnaniu we Francji i Niderlandach.

– Nic nie wiem – upewnił go James z lekkim francuskim akcentem. – A czy to ważne, *non*? Jak dojdę do gildii winiarzy?

– Za bramą wodną, nabrzeżem Trzech Żurawi.

– Skąd poznam, że to nabrzeże Trzech Żurawi?

– Bo będą na nim stały trzy żurawie portowe – wyjaśnił urzędnik z bezbrzeżną cierpliwością.

James, zadowolony, że zapisał mu się w pamięci jako nieporadny Francuz, zarzucił sakwę na ramię i wspiął się po wilgotnych stopniach sterczących z muru okalającego Queenhithe – Przystań Królowej. Wzdłuż muru roili się drobni przekupnie, dokerzy i naciągacze. Wmieszał się w tłum ludzi próbujących sprzedać mu rzeczy, których nie chciał, i ruszył pod górę uliczką Świętej Trójcy, a dalej okrężną drogą do swojego celu: niewielkiego kantoru w podwórzu przy Chlebowej. Stanąwszy przed drzwiami, dwukrotnie zastukał wymyślnie kutą kołatką, a następnie wszedł do ciemnego wnętrza.

Kobieta w średnim wieku wstała od stołu pod małym okratowanym oknem, gdzie korzystając z odrobiny światła, ważyła drobne monety.

– Dobry dzień panu. Czym mogę służyć? – spytała.

– Jestem Simon de Porte – odparł.

– Czekaliśmy na pana. – Skinęła głową. – Jest pan pewien, że nikt za nim nie szedł z portu?

– Jestem pewien. Kilkakrotnie skręcałem, a dwa razy wróciłem po własnych śladach. Nikogo nie było.

Zawahała się, jakby bała się mu zaufać.

– Robił to pan już wcześniej? – spytała i dopiero wówczas spostrzegła, jak bardzo gość jest znużony. Przystojną młodą twarz żłobiły bruzdy wyczerpania. Widać było, że to dla niego nie pierwszozna; ba, robił to już zbyt wiele razy.

– Tak – odparł krótko.

– Bagaż proszę dać do piwnicy. – Wskazała klapę w podłodze pod swoim krzesłem. Razem przesunęli stół; podała mu świecę, żeby oświetlił sobie zejście po drabinie. Na dole stało wąskie łóżko i stolik z kolejną świecą.

– Jeśli tu wpadną, zarygluje pan klapę od wewnątrz – wyjaśniła. – Za stojakami z winem jest ukryte przejście do następnej piwnicy. Stamtąd drzwiczki dla tragarzy wychodzą na sąsiednią ulicę. Kiedy będzie się pan musiał ratować, proszę uciekać tamtędy, tylko prędko i cicho, to może się panu uda.

– Dziękuję. – Spojrzał w jej pobrużdżoną twarz okoloną siwymi włosami upiętymi ciasno pod czepkiem. – Mistrz Clare jest w domu?

– W warsztacie. Zaraz go zawołam.

James wspiął się po drabinie, kobieta zamknęła klapę i wspólnie zastawili ją stołem. Zwrócił uwagę, że ubrana była bardzo skromnie w szarą suknię i szorstki samodziałowy fartuch, zupełnie inaczej niż zamożni stronnicy „kawalerów”, którzy dotąd zapewniali mu schronienie.

– Napije się pan piwa?

– Bardzo chętnie – przyznał.

Nalała mu piwa z dzbana stojącego na kredensie i okryła głowę szalem.

– Idę po majstra – powiedziała. – Proszę tu zostać.

Usiadł przy stole, walcząc z dziwnym uczuciem, że podłoga kołysze się pod nim. Była to zwykła dolegliwość po podróży; najpierw długiej jeździe konno na wybrzeże, a potem przeprawie przez wzburzone morze. Miał jednak wrażenie, że tak już będzie zawsze: że już nigdy nie poczuje pewnego gruntu pod nogami.

Drzwi się otworzyły, wszedł szczupły mężczyzna odziany w czysty skromny kabat londyńskiego rzemieślnika. Zamknął rękę Jamesa w mocnym uścisku.

– Nie zabawi pan długo. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie – obiecał James. – Jestem wam wdzięczny za schronienie.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Chyba nie jesteście człowiekiem starej wiary? – zagadnął z wahaniem James.

– Nie. Prezbiterianinem, ale myślę, podobnie jak Cromwell, że człowiek winien mieć prawo, by czcić Boga tak, jak uważa za słuszne. Tyle że w przeciwieństwie do radykałów uważam, że do rządzenia krajem powołany jest król i lordowie. Jakoś mi się nie widzi, żeby człowiek w dzień był oraczem, a w nocy prawodawcą. Każdy z nas ma swój fach i powinien się go trzymać.

– A jak wam się widzi nasz król jako brat w monarszym cechu? – James uśmiechnął się lekko.

– Kiepski z niego majster – odparł szczerze mężczyzna. – Ale kiedy złotnik spartoli mi robotę, idę do niego ze skargą i każę robić jeszcze raz. Nie przyjmuje na jego miejsce piekarza.

– Wielu jest w Londynie ludzi, którzy myślą tak jak wy?

– Trochę jest – rzekł mężczyzna. – Ale za mało dla waszych celów.

– Ja mam tylko zebrać informacje dla ich wysokości i dostarczyć listy przyjaciółom – rzekł James ostrożnie. – To wszystko.

– To dopiero połowa roboty. Waszym celem powinno być osadzenie go na tronie i powrót do własnego domu, gdziekolwiek jest. Każdy powinien wrócić, gdzie jego miejsce. I zająć się pracą, której go nauczono.

James pokiwał głową.

– W końcu tak się stanie. – Westchnął, myśląc o domu, o matczynym herbarium i Alinor stojącej przy bramie. – Mam pewne plany – wyznał. – Ale najpierw muszę wiedzieć, co tu się dzieje.

– Zaprowadzę was do Westminsteru – rzekł gospodarz – to sami zobaczycie. Dziw nad dziwy, czegoś takiego bym się nigdy w życiu nie spodziewał. Wojsko obsadziło wejście do sal parlamentu, a król dostał rozkaz, żeby się przed nim stawić.



MOKRADŁA, GRUDZIEŃ 1648 ROKU

W zimne, pochmurne grudniowe dni Alys harowała na promie. Ilekroć z północnej strony kanału dobiegał dźwięk drążka walącego w podkowę, z wysiłkiem ciągnęła tratwę wzdłuż liny. Zrywała się na każde pukanie do drzwi, każde wołanie z drogi. Była grzeczna i usłużna dla każdego, toteż niejeden wozak oprócz trzypensowej opłaty wręczał jej pensa napiwku za śliczny uśmiech. Obie z matką bezzwłocznie wprowadziły się do domu przy przeprawie. Tylko tak Alys mogła obsługiwać prom po zmroku, a zresztą obie były zadowolone z większego i cieplejszego lokum, zwłaszcza gdy wschodni wiatr przyniósł ze sobą mróz, a nieustający deszcz kłuł igiełkami lodu.

Nieraz, budząc się w swoim dawnym łóżku i patrząc na znajome malowane belki pod bielonym sufitem, Alinor miała uczucie, że nigdy stąd nie odeszła. Nie wyszła za męża, nie zamieszkała z Zacharym w jego chacie. Czasem budziła się z przekonaniem, że matka jest w alkowie za ścianą, a tuż obok, na swojej pryczy, chrapie Ned. Potem czuła dziecko poruszające się w łonie i przypominała sobie, że nie jest już dziewczynką; urodziła dwoje dzieci, teraz oczekuje trzeciego.

Przez większość dnia pracowały razem z Alys: plewiły zimowy ogród, warzyły piwo i sprzedawały je podróżnym z okna kuchni, piekły chleb na piwnych drożdżach, przygotowywały łuczywa nasączone pszczelim woskiem i sortowały nasiona do wysiewu wiosną. Łatwo było ukryć, że obie są przy nadziei. Zaokrąglający się brzuch Alinor ginął w fałdzystej zimowej sukni przewiązanej fartuchem, Alys zaś całe dni spędzała owinięta w natłuszczoną kapotę wuja Neda, która chroniła ją przed chłodem i wilgocią.

W zimowych miesiącach niewiele było ciężkiej pracy we młynie. To na ogół mężczyźni zajmowali się naprawą ogrodzeń i pogłębianiem rowów odwadniających. Z orką i bronowaniem trzeba było czekać do wiosny. Alinor zajęła miejsce córki w gospodarstwie młynarza. Pracowała w kuchni i mleczarni przy pieczeniu chleba, warzeniu piwa i robieniu serów.

Każdego dnia przed świtem i każdego wieczoru o zmierzchu Richard Stoney przychodził ścieżką z młyna, żeby posiedzieć z Alys w kuchni albo zastąpić ją na

promie, gdy ona tymczasem przedła w ciepłe. Któregoś dnia Alinor zastała ich splecionych w uścisku. Richard właśnie wychodził.

- Wkrótce nie będziecie już musieli się rozstawać – powiedziała.
- I nic nas wtedy nie zdoła rozdzielić – obiecał chłopak.



Alinor gotowała wieczerzę, potrawkę z ryb złowionych przez Alys na Szerokim Nurcie, kiedy jazgot Rudzielca oznajmił czyjeś przybycie i zaraz dało się słyszeć pośpieszne stukanie do drzwi. Pierwszy przyszedł jej na myśl James, ale kiedy otworzyła, zobaczyła na stopniu rolnika z wyspy.

- Moja babka zaniemogła – wyjaśnił. – Hebdenowa. Źle to wygląda.
- Niech Bóg ma ją w swojej opiece. – Alinor szybko się przeżegnała.
- Chcemy prosić, żebyście z nią posiedzieli i w ogóle... zrobili, co trzeba.
- Jest chora? – spytała ostro Alys zza pleców matki. – Ma gorączkę?
- Przyjdę – powiedziała do mężczyzny Alinor, a zwracając się do córki, dodała: – O tej porze roku zaraza się nie roznosi, a i tak muszę iść ją obejrzeć. To starowinka, pewnie przyszedł jej czas.

– Nie możesz przynieść do domu zarazy! – Alys się wystraszyła. – Wiesz dlaczego!

– Sama też bym nie ryzykowała. – Alinor uśmiechnęła się lekko. – Wiesz dlaczego.

– Przyniosę twój koszyk. – Gdy matka okryła się chustą i opończą, podała jej kosz z ziołami i wywarami. – I zostawię ci trochę ryby.

– Możliwe, że nie wrócę na noc – przestrzegła ją Alinor. – Pójdiesz do Priory po Roba?

– Richard tu ze mną zostanie – rzuciła lekko dziewczyna.

Alinor wyszła w mrok. Mężczyzna miał latarnię, którą oświetlał drogę. Kiedy zamykała drzwi, wyprysnął przez nie Rudzielec, zdecydowany jej towarzyszyć.

– Biorę psa! – zawołała. Pośpieszyli ścieżką biegnącą na południe. Droga była zmarznięta, krzaki i chaszczki pokryte białą warstewką szronu, zimowy księżyc na bezchmurnym niebie otulony żółtawą mgiełką. Dawał dość światła, by mogli wygodnie iść. Szli więc w dobrym tempie, wydychając obłoczki pary, aż dotarli do bramy w żywopłocie.

– To tu. – Mężczyzna poprowadził ją przez sad do niewielkiego domu. Otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

– Czekaj tu, Rudy – nakazała i pies posłusznie ułożył się na progu.

Na stołku przy kominie siedziała zgięta wpół staruszka, wysuszona i drobna jak małe dziecko. Żona gospodarza podniosła się na ich widok ze stołka po drugiej stronie paleniska.

– Co z nią? – spytał mężczyzna.

– Bez zmian.

– Zielarka przyszła ją obejrzeć.

– Wątpię, czy babka w ogóle ją pozna.

– Pomówię z nią – wtrąciła łagodnie Alinor. – Dajcie mi z nią porozmawiać.

Przyklękła na kamiennej podłodze u stóp starej kobiety. Po chwili otworzyły się przymglone bielmem oczy chorej, a na zwiędłych wargach pojawił się uśmiech.

– O, Alinor, moja droga. Po cóż oni cię tu ciągnęli?

– Witaj, babciu Hebden. Mówią, że źle się czujesz.

Staruszka wyciągnęła do niej rękę.

– Nie, serce ty moje, mylą się jak zwykle. Całkiem dobrze się czuję. Tyle że już umieram.

– Na pewno?

– Tak. I chcę skonać tutaj, w ciepłe przy ogniu. Wiesz, że przeżyłam w tym domu osiemdziesiąt lat?

– Naprawdę? – Alinor uśmiechnęła się łagodnie. Widziała, że staruszka nie ma gorączki: twarz miała bladą, ręce chłodne. Oddychała jednak z wysiłkiem, strudzone płuca zmuszały się do każdego kolejnego wdechu.

– Albo i dłużej. Oni tego nie wiedzą.

– Ano nie – szepnęła Alinor. – Za to ja pamiętam, jak przychodziłam tu z mamą, kiedy byłam małą.

– A wcześniej z babcią. Wzięła cię ze sobą, kiedy spadłam z jabłoni i złamałam nogę. Trzy pokolenia widzących w jednej rodzinie. Elfia krew, bez wątpienia. Twoja córka też ma dar?

– W dzisiejszych czasach już o tym nie mówimy.

Kwaśny grymas pozwalał się domyślić, co babcia Hebden sądzi o nowym, zreformowanym pokoleniu.

– Dary wrózek to skarb dla rodziny – stwierdziła. – Ale dziś... cóż, dziś wszystko jest zakazane, prawda?

– Mamy pastora, żeby mówił nam, co wolno – odpowiedziała taktownie Alinor.

Staruszka z irytacją wzruszyła ramionami.

– Co on tam wie! Nawet nie jest prawdziwym księdzem. I w ogóle już nie czyta mszy.

– Cicho, babko. – Alinor zwróciła się do niej zwyczajowym przydomkiem starych kobiet. – Sama wiesz, że mianowano go po to, żeby był naszym pasterzem. A cała reszta jest teraz wbrew prawu.

– Widzi mi się, że ostatnim tchnieniem mogę już mówić, co zechcę.

– Boli cię, kiedy oddychasz?

– Od lat mam coś twardego w brzuchu – wyznała staruszka. – Gniotło, gniotło, aż w końcu wygniotło ze mnie resztkę życia.

– Czemu wcześniej po mnie nie posłałaś?

– A cóż byś na to poradziła, złotko?

Alinor pokiwała głową. Jeśli w brzuchu kobiety tworzyła się narośl, nic nie dało się z tym zrobić. Lekarz mógł się posłużyć lancetem, usuwając kamienie żółciowe, jeśli pacjent był dostatecznie odważny. Cyrulik mógł uwolnić przyrośnięty język albo rozciąć dziąsło i wyjąć zepsute ząb. Sama Alinor zdołała raz uwolnić żywe dziecko z brzucha zmarłej kobiety. Ale guza narosłego głęboko w trzewiach nie dało się wyciąć.

– Dałabym ci coś przeciw bólowi.

– Popijam sobie brandy – rzekła staruszka z godnością. – Nieraz trochę tej szkockiej okowity. A czasami, kiedy jest naprawdę źle, to jedno z drugim.

Alinor uśmiechnęła się do niej.

– Dać ci teraz zioła na uśmierzenie bólu?

– Daj mi trochę brandy z gorącą wodą i do niej te swoje zioła. I zapytaj dziewczynę... jakże ona się nazywa? Spytaj, czy w dzisiejszych czasach pastor chodzi z ostatnim namaszczeniem i czy mają jeszcze jakieś modlitwy za konających, bo chyba już jestem gotowa.

– Zapytam młodą panią Hebden.

– O, właśnie, o nią mi chodziło. – Staruszka kiwnęła głową. – Spytaj, co pastor robi teraz dla umierających i czy w ogóle coś robi, bo może to też się zmieniło.

Alinor wstała. Zobaczyła, że William Hebden stoi oparty o drzwi spiżarni.

– Babka chciałaby trochę brandy z gorącą wodą – powiedziała.

– Mamy gąsiorek. – Kiwnął głową. – Nie kupnej – zastrzegł się od razu. – Dostaliśmy w prezencie.

Alinor domyśliła się natychmiast, że brandy pochodziła z przemytu.

– Dla mnie to bez różnicy – uspokoiła go. – Chciałaby też wiedzieć, czy pastor przyjdzie odmówić nad nią modlitwy.

– Do takich jak my nie przyjdzie – rzekł sucho. – Nie jesteśmy dla niego dostatecznie zamożni. Za małe płacimy dziesięciny, żeby się pofatygował. Kapelan ze dworu, ten pan Summer, on by przyszedł. Zresztą był u nas dwa razy za darmo.

– Tak? – bąknęła Alinor, oblewając się szkarłatem. Wystraszyła się, że każdy usłyszy miłość w jej głosie. – Chodził do ludzi za darmo?

– Przyszedł i odmawiał z nią modlitwy. – William przestąpił z nogi na nogę. – Te stare, takie, jakie lubi. Pewnie już dziś są zakazane. Ale była taka chora...

– Pan Summer odjechał – zauważyła Alinor.

– Ano tak. Ale zostawił tu swój modlitewnik. Mówił, żeby chociaż trzymała go w ręku, jeśli nie będzie nikogo, kto by mógł czytać. Trzymajcie go w ukryciu, powiedział, ale dajcie babce, kiedy będzie tego potrzebować.

– Tak mówił? – Ogarnęła ją tęsknota, żeby choć ujrzeć coś, co należało do Jamesa.

– Mówił, że modlitwy może jej odczytać każdy. Jesteście położną, może byście umieli je wyrecytować? Czy to będzie warte tyle, co modlitwy pastora?

– Umie je wyrecytować – przyznała – i będę umiała przeczytać. To nie to samo co ostatnie namaszczenie, ale bądź co bądź modlitewnik jest prawdziwy.

Podeszła do komina z brandy w glinianym kubku, dodała wyciągu z włoskiego kopru i wrzątku z garnka, który stał na trójnogu na brzegu paleniska.

Staruszka chciwie sięgnęła po garnuszek, oplatając go zimnymi palcami.

– Teraz jestem gotowa.

Alinor otworzyła mszał Jamesa i zaczęła powoli odczytywać piękne stare łacińskie słowa. Nie wiedziała, co znaczą, ale sama ich muzyka, świadomość, że James musiał je znać na pamięć, że wyrażały jego wiarę i jego Boga, kazała wierzyć, że być może dziecko w jej łonie też je usłyszy. Czytając starej kobiecie nabożeństwo za konających, czuła się bliżej Jamesa niż przez długie tygodnie, odkąd wyjechał.



LONDYN, GRUDZIEN 1648 ROKU

James przemykał się ciemnymi ulicami Londynu, nie wiedząc, że ukochana przez niego kobieta wypowiada właśnie szeptem jego modlitwy. Szedł środkiem, depcząc zmarznięty gnój i śmieci. Wolał nie ryzykować zbliżania się zbyt do ciemnych bram, w których czaiły się cienie. Skręcił w zdobny portal, skinął głową milczącemu strażnikowi, a potem ruszył wzdłuż ściany budynku do wąskich drzwi, nad którymi na zgiętym gwoździu wbitym w ścianę wisiała zapalona latarnia.

Drzwi otworzyły się łatwo, kiedy przekręcił kuty pierścień klamki. Wszedł na wyłożony kamieniem korytarz prowadzący w jedną stronę do kuchni, a w drugą do wielkiej sali domu. Przed sobą miał otwarty składzik, w którym na stole paliła się jedna świeca. Wszedł i usiadł przy wyszorowanym do czysta stole.

– Jesteś John Makepeace? – Mężczyzna wszedł tak cicho, że James w ogóle nie słyszał jego kroków.

– Tak.

– Hasło?

– Z Bogiem.

– Bóg nas nie zawiedzie – odpowiedział tamten. – Przybyłeś od królowej?

– Tak. Przywiozłem to. – James podał mu list.

Mężczyzna złamał pieczęć.

– Jest zaszyfrowany! – stwierdził z irytacją. – Wiesz, co zawiera?

– Tak. Kazano mi nauczyć się słów na pamięć, na wypadek gdybym musiał go zniszczyć. Są w nim instrukcje, abyście dotarli do króla i przewieźli go do Deptford. Tam będzie na niego czekał statek, który zawiezie go do Francji. To przybrzeżny barkas, zwie się „Dilly”. Jeśli dacie mi znać, kiedy to nastąpi, przekażę wiadomość flocie Jego Królewskiej Mości i dopilnuję, aby spotkała się z wami na Kanale, zapewniając bezpieczną eskortę.

– A dwójka królewskich dzieci, która mu towarzyszy?

– Instrukcja o nich nie mówi.

Zaskoczony mężczyzna podniósł wzrok znad listu.

– Co takiego? Czy oni nie zdają sobie sprawy, że po jego ucieczce armia nigdy nie wypuści ich z kraju? Że już ich więcej nie zobaczy? Mamy je ot tak zostawić? Porzucić wśród wrogów?

– Powtarzam, co mi przekazano – odparł sucho James.

Mężczyzna opadł na krzesło i zmierzył go gniewnym wzrokiem.

– Powinien był uciec z Newport – warknął.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Nie udało się.

– Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie.

– Podobnie jak w zamku Hurst.

– Hurst?

– Owszem. Tam też się nie udało. Później w Bagshot miał mieć najszybszego konia w całej Anglii. Dziwnym trafem koń okulał w dniu, gdy mieli ruszać, a nikt nie miał zapasowego. Ani zapasowego planu.

James musiał się opanować, żeby nie dać upustu pogardzie dla tych poronnych intryg, skażonych głupotą i brakiem zdolności przewidywania.

– Mówi pan tak, jakby nie było już nadziei.

– Bo jej nie widzę. Moja nadzieja z miesiąca na miesiąc gasła. Nikt nie jest w stanie podjąć decyzji, co robić, ani wziąć się do jej wykonania. Pozostaje nam modlitwa, żeby urządzili mu uczciwy proces i zgodzili się wysłuchać, co ma do powiedzenia. Żeby mógł ich przekonać o swoich intencjach.

– A potem?

– Bóg jeden wie. Dlatego pozostawienie go tutaj to szaleństwo. Nie wiemy, co zamierzają, ani nawet czy mają jakiegokolwiek plany poza tym, żeby okryć go hańbą. Czy zechcą ograniczyć władzę królewską wedle własnej zachcianki? Czy król zgodzi się abdykować, pozwoli rządzić księciu, a sam usunie się na ubocze? I czy książę będzie musiał rządzić pod dyktando parlamentu? I czy jeden lub drugi zaprzysięgnie, że nie zwoła już armii pod broń, czy to dla zewnętrznej, czy wewnętrznej wojny? Parlament nie zadowolony się niczym mniej.

– To by oznaczało całkowite odebranie władzy monarsze. Jemu i jego potomkom. Zawsze i wszędzie.

– Obawiam się, że nie ma wyboru. W tej chwili decyduje armia, nie parlament, a wojskowi nie żywią ciepłych uczuć do człowieka, który pozabijał im towarzyszy, później się poddał, a niebawem znów uderzył. Są ludźmi czynu, nie

pustych słów. Armia... jak by to rzec? To całkiem inne zwierzę. Inny świat. Mówi innym językiem.

– Dostał pan rozkaz, by go uratować – rzekł twardo James. – Za wszelką cenę. Może pan rozszyfrować i odczytać list, ale jest w nim to, co rzekłem. Muszę otrzymać odpowiedź. Co mam przekazać nadawcy?

– Proszę im przekazać, że spróbuję. – Mężczyzna pokręcił głową z rozpaczą.
– Ale nie podam panu daty. Im mniej ludzi będzie ją znało, tym lepiej.

– Nie zechce pan chyba ryzykować życia Jego Wysokości na otwartym morzu bez ochrony floty?

– Jakiej ochrony? Jakiej floty? A kto nam zagwarantuje, że kaprowie księcia Karola nie porwą króla i nie odwiozą prosto do Londynu, żeby zgarnąć okup? Już raz zmienili barwy, mogą zrobić to znowu, prawda?

James drgnął, słysząc te gorzkie słowa.

– Nie ufa pan królewskiej flocie? Dowodzonej przez samego księcia Walii?

– Sądzi pan, że jest jedynym w Anglii, który stracił wiarę?

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

– Ma pan to wypisane na twarzy. Widać to w każdym pańskim kroku – rzekł mężczyzna z pogardą. – Wygląda pan tak, jak my wszyscy: jak zbity pies.



MOKRADŁA, GRUDZIEŃ 1648 ROKU

W dniu Bożego Narodzenia Alinor i Alys poszły do kościoła drogą wzdłuż brzegu. Tęgi mróz wybielił podmokłe łąki po prawej stronie ścieżki i skuł grubym lodem zatokę. Kobiety miały na sobie po kilka warstw grubej zimowej odzieży, ale nie ozdobiły czepków barwnymi wstążkami. Nowy parlament zarządził, że Boże Narodzenie jest dniem jak wszystkie inne; zakazuje się wszelkich świątecznych obchodów. Tylko pies, który truchtał przed nimi i coraz to zawracał, obiegając je wkoło, wykazywał oznaki radości.

Alinor uniosła twarz do zimowego słońca, które obrysowywało ostrymi cieniami każdą nierówność, kępę zielska i oparzelisko. Zastanawiała się, czy James jest z rodziną, czy myśli o niej. Miała nadzieję, że spędza święta gdzieś, gdzie jest ciepło i wesoło. Chciała, by był szczęśliwy – nawet bez niej.

Kościół był nagi, szary i wyziębnięty. Nie śpiewali kolęd ani nawet psalmów. Pastor wygłosił kazanie, w którym z mocą podkreślił, że dzień narodzin Jezusa Chrystusa winien być poświęcony cichym rozważaniom. Śpiewy, trunki, świąteczne puddingi i pieczone to jedynie wyraz świeckiego zepsucia i pożądlivosti ciała. Narodzenie Pana czcić należy w pokorze i ciszy. Można i należy wykonywać zbożne prace, a powstrzymać się od wizyt, tańców i hulanek. Niepodobna, by Boże narodziny stawały się okazją do grzechu. Uczcić Go można tylko nabożnym rozmyśleniem i sumienną pracą.

Następnie dość długo modlił się za chorych i umierających. Zima zawsze zbierała obfite żniwo wśród ubogich na wyspie. Alinor schyliła głowę, dziękując Bogu, że wraz z Alys mają porządne mieszkanie na przeprowie, a Rob żyje w luksusach w Priory. Pastor zmówił modlitwę za duszę starej wdowy Hebden, zmarłej i dużym nakładem sił pochowanej w zmarzniętej na kość ziemi. Wezwał Bożej pomocy dla innych, którzy głodują, chcąc oszczędzić ziarno na siew, i tych, którzy nie przetrwają ostrej zimy. W kościele było lodowato, nabożeństwo ciągnęło się dłużej niż zwykle, a kiedy nareszcie się zakończyło i wierni stłoczyli się przy wyjściu, zaczął padać śnieg.

– Pies was szukał – burknął pastor do Alinor, kiedy go mijała. – Siedzi na stopniach kościoła i rozgląda się za wami.

– Jest łagodny, nikomu nie zrobi krzywdy. Należy do mojego brata.
– Ludzie go widzą.
– To przecież tylko pies – powiedziała ugodowo Alinor. – Jest wierny, więc czeka.
– To bezbożne, że tak was się trzyma – obruszył się pastor.
– W przyszłą niedzielę zamknę go w domu, przepraszam. Tęskni za moim bratem.
– Edward wciąż w Londynie? – zainteresował się pastor.
– Tak. – Alinor z ulgą powitała zmianę niebezpiecznego tematu. Wierne zwierzę łącznie mogło zostać uznane za chowańca.
– Pewnie chciał stanąć w szeregach swego dawnego regimentu w tych decydujących dniach?
– To właśnie sobie zamierzył.
– Zbożne dzieło – rzekł pastor. – Świadek dni ostatnich.
– Tak właśnie – przytaknęła Alinor. – Ned jest bardzo pobożny. Chwalmy Pana.
Dygnęła i odeszła do grupki ze dworu. Skłoniła się sir Williamowi i Walterowi i ucałowała Roba.
– Wesołych świąt! – szepnęła mu do ucha.
– Chodźcie z nami do Priory – zaprosiła ją kucharka. – Będzie dobry obiad, choć to niby nie święto.
– Chodźcie! – poparł ją Rob.
– Lepiej nie. – Alinor się spieszyła. – Wujowi by się to nie spodobało. Poza tym Alys musi czuwać przy promie.
– Tylko na posiłek – namawiał ją Rob. – Wrócę potem z wami i obsłużę prom w czasie wieczornego przypływu.
– Chodźmy, mamó! – przyłączyła się do jego próśb Alys.
– No, dobrze – uległa im Alinor. – Ale musimy zdążyć przed wieczorem. Wiecie, że Boże Narodzenie już nie jest dniem wolnym od pracy.
– We dworze nadal nim jest – szepnął do niej Robert. – Wszystko zostało po staremu. Zaczekaj, aż zobaczysz, co nagotowała pani Wheatley!
Alinor wzięła go pod ramię i ruszyli za domownikami Peacheyów. Rudzielec pobiegł za nimi, machając zadartym ogonem jak proporcem.
– To moje jedyne Boże Narodzenie w Priory – przypomniał jej Rob. – W przyszłym roku będę już w Chichesterze.

– A ja będę zamężna – dodała Alys, podbiegając do matki z drugiej strony.

Alinor, szczęśliwa, wzięła ją za rękę i przytuliła mocniej ramię Roba. Zastanawiała się, gdzie ona sama będzie za rok od tej chwili. Może będzie wchodzić do kościoła z Jamesem, niosąc na ręku jego dziecko?



HAGA, NIDERLANDY, GRUDZIEŃ 1648 ROKU

James spędził święta Bożego Narodzenia w Hadze, w towarzystwie doradców księcia Walii, których starał się przekonać, by przygotowali się do zapowiadanego procesu, nie stawiając wszystkiego na udaną ucieczkę króla.

– Dlaczego nie? Jeśli taka jest jego wola? – napadł na niego jeden z lordów.

Siedzieli w dziesięciu wokół dużego drewnianego stołu. Za wielu, ocenił w myśli James. Dziesięciu mężczyzn, którzy powtórzą każde słowo tej rozmowy swoim żonom, lokajom, dzieciom i kochankom. Dawniej rządzą krajem; demonstrowanie, jacy są ważni, było dla nich zbyt silną pokusą.

Inny lord nachylił się do Jamesa.

– Kiedyś Jego Wysokość wierzył, że uda się zawrzeć ugodę z naszymi wrogami. Teraz wiemy, że to ludzie na wskroś fałszywi, jest więc gotowy uciec. Dostarczyłeś instrukcje? Czy nasi ludzie wspólnie przygotowują już ucieczkę?

– Instrukcje wszystkiego nie załatwią. – James postarał się ukryć zniecierpliwienie. – Dostarczyłem wiadomość, ale jej adresat nie wyjawiał mi swoich zamiarów. Najwyraźniej nie ufał ani mnie, ani nikomu innemu. Odmówił współpracy z waszymi agentami... których zresztą niewielu już pozostało. W Londynie wszyscy znani stronnicy najjaśniejszego pana są bezustannie śledzeni. Wielu już się poddało. Pół roku temu spotykałem się z ludźmi, którzy dziś nie wpuścili mnie za próg.

– Sir William Peachey? – domyślił się jeden z mężczyzn.

James zerknął ku drzwiom.

– Wolałbym, żebyśmy nie wymieniali nazwisk.

– Dobrze, dobrze, wie pan, kogo mam na myśli. Ma na swoich ziemiach dogodny niewielki port, prawda?

– Nie port, tylko przystań dostępną jedynie w czasie przyływu – sprostował James, przypominając sobie nabrzeże opodal młyna i chatę Alinor oddzieloną od niego rozlewiskiem. – Zresztą i tak zrobił dla nas już dosyć.

– Dostał pan pieniądze – rzekł do niego z wyrzutem jeden z mężczyzn. – Zebraliśmy je, ogołacając się ze wszystkich środków. Nie mógł pan kogoś wynająć?

– Zrobiłem to, o co panowie mnie prosili. Przekazałem wam miejsce pobytu Jego Wysokości i informacje o przygotowywanym procesie. Dałem wasze złoto człowiekowi, który przyrzekł, że postara się uwolnić króla. Ostrzegam was tylko, że może mu się nie powieść. Tym razem najjaśniejszy pan jest pilnie strzeżony, a tych, którzy go pilnują, trudno będzie nagiąć. Dawniej prosty żołnierz czuł respekt przed majestatem, ale to już minęło. Wąpię też, żeby dali się przekupić. Nie wiem, czy uda się wydostać króla z zamku. Błagam więc, żebyście zaczęli się układać z rządem Cromwella. To może być jedyna szansa na jego uwolnienie.

– Miałyby być wolny za ich zgodą? – prychnął z niedowierzaniem jeden z lordów. – Zapominasz, młodzieńcze, że mówimy o królu Anglii! Miałyby się układać ze zbrojnymi?

– Targować się z Cromwellem? – Inny uniósł wypielegnowaną brew. – A który to Cromwell? Oliver Cromwell z Ely?

Inny zaśmiał się pogardliwie.

– Gdzie mieliby go uwięzić? W Tower? Przecież ten zamek jest własnością króla! Pamiętaj, że chroni go majestat. Kiedy staną przed nim, od razu padną na kolana!

– A jeśli nie padną? – James czuł, że za chwilę wybuchnie. – Mogą go uwięzić, nie byłby to pierwszy taki przypadek. Po Londynie krąży mnóstwo pamfletów przytaczających dzieje Henryka VI i Edwarda II, których uwięziono i pozbawiono tronu.

– Henryk VI! – zaśmiał się ktoś. – Kogo on dziś obchodzi!

– Jeśli osadzą go w Tower, bardzo trudno będzie go stamtąd wydostać – rzekł z naciskiem James.

– Na litość boską! – Jeden z mężczyzn zerwał się od stołu. – Czy doprawdy jakiś klecha musi nas tu uczyć historii? Ty, Summers, czy Avery, czy jak się zwiesz, czy prosiliśmy cię o to, żebyś nas zniechęcał?

James też wstał.

– Jakże mi przykro, że nie przywiozłem panom pomyślniejszych wieści – wycedził, z trudem nad sobą panując. – Sam się zgłosiłem do tego zaiste niewdzięcznego zadania. Jeśli nie jestem już potrzebny, pozwolę sobie odejść bez

dalszej zwłoki. Proszę tylko, byście panowie o mnie nie rozpowiadali, upubliczniając moje nazwisko i nazwiska ludzi, z którymi współpracowałem.

– Nie, nie, proszę zostać – powstrzymał go pierwszy doradca. – Niechże się pan nie unosi. Wszyscy, jak pan, staramy się zapewnić ratunek Jego Wysokości. Nazwiska są tu bezpieczne. Pałac należy do nas i cała służba jest niezachwianie lojalna. Nie rozumie pan naszej sytuacji. Robimy, co w naszej mocy. Tak jak pan sugerował, królowa zwróciła się do wszystkich swoich krewnych, także i króla Francji; z kolei książę Karol agituje wśród koronowanych głów Europy, by ujeli się za Jego Wysokością. Żądamy też uwolnienia królewskich dzieci, księżniczki Elżbiety i księcia Henryka. Zwłaszcza księcia trzeba natychmiast wywieźć z Anglii.

– Trzeba wywieźć oboje – powtórzył uparcie James. – Nie należało ich tam pozostawiać. Księżniczka ma dopiero trzynaście lat; żyje jak więzień, starając się opiekować młodszym bratem. Oboje powinni trafić pod opiekę matki.

– To książę jest tu ważny. Co będzie, jeśli nasadzą mu na głowę koronę i będą mieli marionetkowego władcę? Trudno założyć, że na pewno sprzeciwi się posadzeniu go na tronie ojca. Właściwie powinien pan do niego dotrzeć i powiedzieć mu, że musi odrzucić każdą propozycję...

– On ma osiem lat! – wybuchnął James. – Czego pan od niego oczekuje? Wyobraża sobie pan, że możecie wydawać polecenia dziecku? Nie trzeba go było tam zostawiać!

– Robimy, co w naszej mocy – powtórzył pierwszy doradca. – Dzieci też stanowią przedmiot naszej troski. Przede wszystkim ewakuacja króla, potem ich. Chcemy, żeby pan tam wrócił, obserwował sytuację i przesyłał nam raporty.

– Obiecałem doręczyć złoto, spotkać się z waszymi ludźmi i złożyć wam sprawozdanie. Do niczego więcej nie jestem zobowiązany – odparował James zimno.

Zapadła cisza.

– Przepraszam – rzekł po chwili człowiek, który nazwał go klechą. – Nie powinienem był wymieniać pańskiego nazwiska ani uskarżać się na rezultaty pańskiej misji. Prawdę mówiąc... nie mamy nikogo innego. Nikogo, kto mógłby pokazać się w Anglii. Jest pan nam potrzebny.

– Czy rozpoznano w panu szpiega? – spytał pierwszy doradca.

– Nie – przyznał niechętnie James. – Sądzę, że nie.

– A zatem jesteśmy zmuszeni pana prosić. To będzie już ostatni raz.

James rozejrzał się po strapionych twarzach wokół stołu. Ogarnęła go znajoma mieszanka irytacji i rozpacz.

– Dobrze – westchnął.

– Proszę wrócić do Londynu i słać listy. Musimy wiedzieć, gdzie go przetrzymują i jakie mają wobec niego zamiary. Pańskie sprawozdania trafią do rąk samego księcia, a on przedstawi je królowi Francji. Na ich podstawie zaplanujemy akcję ratunkową.

James skłonił głowę.

– Dobrze więc. Pojadę i będę was informował. – Wstał ponownie.

Pierwszy doradca również wstał, obszedł stół i odprowadził Jamesa do drzwi, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Naprawdę jestem wdzięczny. Nie pozostanie pan bez nagrody. Książę Karol pozna pańskie nazwisko i dowie się, co pan robi dla jego ojca.

James obejrzał się nieznacznie. Twarz miał chmurną i ściągniętą.

– Dziękuję, ale wolałbym, żeby moje nazwisko w ogóle nie było wymieniane. W Anglii uchodzę za Francuza, Niemca albo kogoś jeszcze innego. Będzie znacznie bezpieczniej dla moich rodziców i ich majątku, jeśli moja tożsamość pozostanie tajemnicą.

– Oczywiście. Proszę do nas pisać. Codziennie, jeśli się da. I proszę o pilną wiadomość, kiedy uzna pan, że sytuacja obraca się na niekorzyść najjaśniejszego pana.

– To mogę zrobić od razu – prychnął James z goryczą. – Sytuacja już teraz jest dla niego bardzo niekorzystna.



MOKRADŁA, STYCZEŃ 1649 ROKU

W pierwszych dniach mroźnego stycznia lis włamał się do kurnika przy promie i rozprawił z trzema ptakami, zanim rozpaczliwe gdakanie stada ściągnęło Alinor, bosą i w koszuli. Kiedy otworzyła drzwi, śmignął jej pod nogami rdzawy cień. Jedna kura leżała martwa na ziemi. Drugiej nie dało się już uratować. Alinor podniosła ją i skrzyła jej kark. Trzecia była sponiewierana i pokrwawiona, ale żywa. Alinor wsadziła ją do koszyka i zaniósła do domu, obmyła rany po zębach i ulokowała w ciepłe przy kominie. W mroczne zimowe dni kury słabo się niosły, nie żałowała więc groszowego zysku z jajek, ale strata trzech kwok była uszczerbkiem dla ich ubożego gospodarstwa. Nawet gdyby mogły sobie na nią pozwolić, Alinor i tak byłoby żal. Znała każdą ze swoich kur po imieniu i pyszniła się ich kwitnącym zdrowiem.

– Wiem, że to głupie, płakać za kurą, ale nie mogę wybaczyć temu lisowi – zwierzyła się córce.

– Powiedz łowczym Peacheya, gdzie ma norę – podsunęła Alys. – Ucieszą się z łatwego polowania.

– Och, żadnego zwierzęcia nie mogłabym wydać na śmierć!

Alys wybuchnęła śmiechem.

– To będziesz ronić łzy aż do Powtórnego Przyjścia, bo wciąż coś lub ktoś ginie z rąk kogoś innego. A tymczasem ja nie mogę się doczekać, aż je zjemy. Zrobisz potrawkę?

– Oczywiście! – obruszyła się Alinor. – Nie jestem taka głupia, żeby w zimie rezygnować z mięsnego obiadu, gdy okazja się nadarza. Ale że też nie ma w tobie ani krzty współczucia dla biednej Czubatki!

– Jestem głodna – wyjaśniła Alys. – Przez cały czas jestem głodna. Ty nie?

– Też – przyznała Alinor, zauważając, że jej córka dopiero teraz, w piątym miesiącu, zaczyna zdradzać oznaki ciąży. – I bez przerwy chce mi się sikać.

Alys rozchichotała się na dobre.

– Szkoda, że to nie lato – wykrztusiła. – Właśnie mówiłam Richardowi, że nie miałabym nic przeciwko chodzeniu do wygodki, gdyby nie było tak strasznie zimno!

– On wie? Powiedziałaś mu?

– Oczywiście, gdy tylko zyskałam pewność. Ucieszył się.

– Powtórzy matce i ojcu? – spytała Alinor nerwowo, bojąc się reakcji teściowej.

– Już to zrobił – uspokoiła ją córka. – Jego ojciec jest, jak by to rzec... staroświecki. Cieszy się, że jestem płodna i przedłużę jego ród. I ciągle ze mnie pokpiwa – skrzywiła się lekko – że zrobił świetny interes, kupując krowę razem z cielakiem.

Alinor parsknęła śmiechem, widząc jej urażoną minę.

– Najważniejsze, że nie mają obiekcji.

– O ile wniosę posag. Matce tylko na tym zależy. – Alys urwała. – Chcą, żebyś tam się wprowadziła i była przy mnie, kiedy zbliży się mój czas. Musisz być ze mną, matuś, kiedy będę rodzić.

– Mam nadzieję, że będę – odparła wolno Alinor. – Modłę się o to, Alys. Cały czas się modłę za nas obie.

– Dlaczego nie wyślesz wiadomości do tego mężczyzny? Czemu nie przyjedzie i nie zrobi z ciebie uczciwej kobiety, jeśli naprawdę cię kocha tak, jak mówisz?

– Przyjedzie – odparła stanowczo Alinor. – Nie muszę po niego posyłać. Przyjedzie tak prędko, jak tylko zdoła.



Rano Rudzielec wbrew swoim zwyczajom nie wyskoczył z kąta, żeby zająć swój punkt obserwacyjny na przeprawie.

– Ty leniuchu! – złajała go Alinor. – A tymczasem w nocy zachodził do nas lis!

Pies spojrzał na nią piwnymi oczami i odwrócił się.

– Oj, nie... – Położyła mu dłoń na łbie. – Co z tobą, Rudy?

Westchnął, jak gdyby chciał jej coś powiedzieć. Alinor ujęła jego pysk w dłoń i przyjrzała mu się tak, jak swoim chorym.

– Mógłbyś chociaż poczekać, aż Ned wróci – szepnęła.

Merdnął pierzastym ogonem, okręcił się trzy razy i legł na posłaniu. Alinor pogładziła go po miękkim czole w miejscu, gdzie zmarszczka strapienia wybrzuszyła sierść, i pozwoliła mu zostać w domu.

Ciągnąc z wysiłkiem sztywną od lodu linę, Alys przeprowiła matkę przez rozlewisko na drogę do młyna. Panował dokuczliwy mróz, ziemię pokrywała śliska warstewka. Piaszczyste łąchy skrzyły się bielą.

– Idź się ogrzać w domu – rzekła Alinor do córki. – I uważaj na wodzie.

Twarz Alys była bladolina z zimna; ręce tonęły jej w rękawicach Neda.

– Jeszcze nie zmarzłam – odparła. – Ale ty uważaj, żebyś się nie pośliznęła.

Młynarzowa tak zorganizowała pracę w domu i gospodarstwie, żeby w złą pogodę ona i jej dzieci nie musiały wychodzić z domu. Obejściem zajmowała się Alinor i służąca do wszelkich robót. Alinor zaczęła od obory, gdzie krowy cierpliwie czekały w zagrodzie na wydojenie. Zdjęła z haka trójnogi stołek, postawiła go obok pierwszej i oparła czoło o ciepły bok zwierzęcia. Przemawiała do niego cicho, ciągnąc na przemian dójki. Mleko z sykiem tryskało do skopka. W zimnej oborze unosiła się nad nim para przesycona tłustym śmietankowym zapachem. Alinor wciągnęła go w nozdrza. Ależ miałyby ochotę na takie ciepłe jeszcze mleko!

Po dojeniu odniosła ciężki skopek do mlecarni i wlała do misy, z której później zbierze się śmietanę do ubicia na masło.

– Będę wdzięczna, jeśli zajrzysz jeszcze do gołębnika za jajkami. – Młynarzowa wetknęła głowę do lodowatej mlecarni. – Potem możesz iść do domu. Po południu nie będziesz mi już potrzebna.

Alinor ponownie okręciła głowę szalem, wzięła ciężki kosz i wróciła na podwórze, ostrożnie stawiając stopy. Przez drzwi spichrza dojrzał ją Richard Stoney, który właśnie szufłował zboże na dużą szalę podwieszoną do wagi. Podbiegł do niej.

– Narzucę trochę słomy, żebyście się nie pośliznęli.

Obróciła się do niego, odsuwając przed twarzą zeszywniały od zamarzniętego oddechu brzeg chusty.

– Nie możesz tego zrobić – ucięła. – Millerowie nigdy nie wyściełają podwórza. No, chyba że wyprowadzają krowy.

– Żeby krowa nie upadła, a wy to możecie?! – wykrzyknął. – W takim razie proszę dać mi rękę.

Alinor pokręciła głową.

– Gospodyni na pewno patrzy na nas z okna. Puść mnie, Richardzie, dam sobie radę. Nie zamarznę i nie spadnę.

– Nie zdołacie wleźć po tej drabinie!

Zanim Alinor zdążyła odpowiedzieć, okno się otworzyło i młynarzowa krzyknęła z kuchni:

– Richardzie Stoney, ważysz to ziarno czy spacerujesz?

– Idź – szepnęła Alinor. – Wracaj do pracy.

– Mogę w drodze powrotnej przyjść na przystań? – odszepnął pośpiesznie, machając do gospodyni na znak, że słyszy. – Jak się miewa Alys?

– Dobrze. Oczywiście, że możesz! – zawołała, idąc już do gołębnika. Znalazszy się wewnątrz okrągłej wieżyczki, sięgnęła pod półkożuszek i zakasała spódnicę wyżej kolan, żeby się w nią nie zaplątać podczas wspinaczki. Uchwyciła szczebel i spojrzała w górę. Gołębnik był wysoki, drabina zaś stara i chwiejna, ale widziała z dołu gołębicę siedzącą w gnieździe. Przesunęła drabinę bliżej, upewniła się, że stoi pewnie, przełożyła koszyk przez ramię i zaczęła się wspinać powoli, szczebel za szczeblem, nie patrząc w dół i starając się nie słyszeć złowieszczonego trzeszczenia starego drewna. W pewnej chwili uświadomiła sobie mimo woli, że upadek z wysokości i poronienie rozwiązałyby większość jej kłopotów. I zaraz uśmiechnęła się do siebie, spostrzegając, że na myśl o utracie dziecka ręce same zacisnęły się mocniej na szczeblu, a stopy poszukały pewniejszego oparcia. Wciąż była tak samo zdecydowana przeżyć i ocalić to maleństwo, jak owego chłodnego poranka, kiedy poprzysięgła sobie, że wyda je na świat i wywalczy dla niego miejsce. Nie da się pokonać smutkom.

Gołębica siedziała na jajach. Nawet się nie poruszyła, kiedy Alinor znalazła się tuż obok. Kobieta delikatnie wsunęła dłoń pod ciepłą ptasią pierś.

– Wybacz, gołąbko – szepnęła – ale przysłano mnie po twoje jajka. Nie martw się, zniesiesz sobie nowe.

Oburzony ptak dziobnął ją w zziębniętą dłoń raz, potem drugi. Nie zważając na to, wyjęła z gniazda wszystkie jajka prócz jednego i starannie ułożyła je w koszyku. Były malutkie i białe, nagrzane w pierzu matczynej piersi. Ostrożnie zeszła na dół i znów zadarła głowę. Przesuwała drabinę jeszcze cztery razy i ostatecznie wyniosła z gołębnika tuzin jajek.

Młynarzowa otworzyła jej drzwi z cierpkim uśmiechem.

– Myślałabym, że w taki dzień jak dziś przyślesz Alys do roboty – zauważyła.

– Co, za ważna jest do wybierania jaj, odkąd zamierza dobrze wyjść za mąż?

Udaje damę?

– Nie – odparła ugodowo Alinor. – Pracuje na przeprawie. Zastępuje Neda.

– Kto będzie się przeprawiał przy takiej pogodzie? Podobno w Londynie rzeka całkiem zamarzła i przechodzą pieszo z jednego brzegu na drugi. Grosza nie zarobi, jeśli tu też tak będzie.

– Prawda, czuć mróz w powietrzu – przyznała Alinor – a bystrze już zamarzło, ale przyptywu nic nie powstrzyma.

– To Ned jeszcze nie w domu? Dziwię się, że nie szkoda mu czasu i pieniędzy na hulanki w stolicy.

– Sprawa jest dla niego ważna.

– Jaka to tam jego sprawa!

Alinor uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie mnie o tym sądzić – wypaliła.

Młynarzowa wyłożyła jajka do garnka. Ich widok trochę poprawił jej humor.

– Ano, też mi się wydaje, że nie tobie. Ale nie ciekawi cię to?

– Ciekawi – odparła Alinor ostrożnie – choć nie opowiadam się po żadnej stronie.

– Nie ma wielu takich, którzy by nie chcieli ukarania króla za jego grzechy. Wydał wojnę własnym poddanym! A te podatki! Weź dwa jajka na wieczerzę.

– Dziękuję. – Alinor przemknęło przez myśl, że z dala od przystojnego kapelana i dziedziców z Priory młynarzowa przypomniała sobie zarówno o swoim skąpstwie, jak i o tym, że jest zażartą zwolenniczką Cromwella. – Bardzo dziękuję za jajka.



Kiedy doszła do kanału w towarzystwie napotkanej po drodze żony chłopca z Sealsea, prom już na nią czekał.

– Rudy gdzieś się zawieruszył – poinformowała ją Alys, gdy ostrożnie weszła na tratwę chybotającą się na wzbierających wodach. – Nie wyszedł rano na przystań, a kiedy w południe zajrzałam do domu, nie było go w jego kącie.

– Tak, wiem – palnęła bez zastanowienia Alinor. – Biedny Rudzielec. Pożegnałam się z nim rano.

– Skądżeście wiedzieli, że pies zniknie? – zdziwiła się wieśniaczka.

– Nie wiedziała – wtrąciła niegrzecznie Alys. – To stary pies, któremu rano się nie chciało wstać. Matka nic nie wiedziała.

Alinor spojrzała na nią zaskoczona jej ostrym tonem.

– Nikt czegoś takiego nie mógłby przewidzieć – ucięła stanowczo dziewczyna.

Kobieta bąknęła, że czasami sama też ma przeczucia i że jej matka miewała sny, a cokolwiek jej się wyśniło, spełniało się niechybnie.

– No a twoja babka była przecież wiedząca – przypomniała.

– Ale my już nie. – Alys zarzuciła cumę na pachołek i kiedy matka znalazła się na brzegu, odwróciła się, żeby pomóc kobiecie wysiąść. – Nie wierzymy w takie gusła. Dobrej nocy! – zawołała wesoło. – Do jutra!

– Wiedziałam – zauważyła łagodnie Alinor, kiedy Alys porządnie uwiązała cumę i weszła po schodkach.

– Wiem, że wiedziałaś, ale takich rzeczy nie wolno mówić na głos – zganiała ją córka. – Nawet do pani Bellman. A Rudy pewnie drzemie gdzieś pod żywopłotem.

– Poszukamy go – obiecała jej Alinor. – A potem zjemy jajka. Młynarzowa dała mi dwa. Gołębie.

– Dalibóg, przeszła samą siebie! – wykrzyknęła Alys. – Dwa malutkie jajka! Czym sobie zasłużyliśmy na tak wielką hojność? Wiesz co, może przejdź tędy, a ja pójde naokoło. Musimy go znaleźć.



Rudzielec nie odszedł daleko od domu. Jak każdy stary mądry pies usunął się tylko, żeby umrzeć w samotności. To Alinor go znalazła, jak przeczuwała. Leżał zwinięty w kłębek, jakby spał, ale sierść miał już zimną, nos lodowaty, a oczy zamknięte.

– Ziemia jest zmarznięta na kość – zafrasowała się Alys. – Jak my go pochowamy? Spalić nie uchodzi, a przecież nie zagrzebiemy go w śmietniku.

– Wykopię dół w oparzelisku – zdecydowała Alinor. – Idź, zacznij już gotować wieszczę. To nie zajmie mi długo.

Wzięła łopatę z szopy w sadzie i ruszyła jedną z wyłożonych kamieniami ścieżek, które biegły przez bagno. W czasie przypływu kamienie znajdowały się pod wodą, ale teraz, kiedy wzeszedł księżyc, a zimny wiatr powiał nad wodą, były suche i wygodnie doszła do miejsca, w którym mogła wykopać głęboki dół w miękkim, nigdy niezamarzającym błocie. Kiedy miał odpowiednią wielkość i głębokość, uniosła sztywniejące psie ciało, które teraz wydawało się drobne

i lekkie, ułożyła na dnie, a potem starannie obłożyła kamieniami ze ścieżki, żeby wciąż przemieszczający się muł dna zatoki nie wypchnął go na powierzchnię. Wiedziała, że Ned ją spyta, czy pies został godnie pochowany, i zaufa jej słowu.

– Żegnaj, Rudzielcze – szepnęła. – Byłeś bardzo dobrym psem.

Nagarnęła łopatą muł i zaczęła go udeptywać, kiedy coś w nim zalśniło srebrzyście jak gwiazdka na ciemnym nocnym niebie. Przyklękła. W ziemi tkwił pieniążek, oberżnięty i cienki, ale wciąż połyskliwy. Moneta dawnych ludzi z pradawnych czasów, zwana złotem elfów, z koroną na jednej stronie, a krzyżem na drugiej – wytarta tak, że nie można już było odczytać liter, za stara, by ktokolwiek ją przyjął, i za lekka, by miała jakąkolwiek wartość.

– Dziękuję – powiedziała Alinor do Rudzielca. Bez namysłu przyjęła opłatę za pogrzeb, którą przesłał jej z drugiej strony; z krainy dalekiej i osnutej mgłą jak przeciwległy skraj bagniska. – Niech cię Bóg przyjmie, dobry psie. Biegnij z Panem.

Ścisnęła monetę w dłoni, zarzuciła szpadel na ramię i zmęczonym krokiem zawróciła w stronę brzegu, gdzie nad lodowatym nurtem świeciły ciepło okna domu przy przystani.



PAŁAC WESTMINSTERSKI W LONDYNIE, STYCZEŃ 1649 ROKU

Dwaj mężczyźni szli zatłoczonymi ulicami, przeskakując rynsztoki w wyboistym bruku, przeciskając się przez błotniste zaułki, aż w końcu zobaczyli przed sobą wysokie mury pałacu i wielką bramę, której strzegli żołnierze Armii Nowego Wzoru. Pod bramą zebrała się grupa ludzi, którzy wyciągali szyje, zerkając ku rzeźbionym murom z szarego kamienia i łupkowym dachom pokrytym śniegiem.

– Gdzie teraz przebywa król? – spytał James, zniżając głos.

– W Pałacu Świętego Jakuba. Zawezwali do Londynu stu trzydziestu pięciu sędziów, którzy mają zasiąść w wysokim trybunale. Głowę dam, że połowa nie odważy się przyjechać. A choćby nawet, król nie zgodzi się przed nimi odpowiadać. Jak mieliby go skłonić, żeby stanął przed sądem?

– Ale jeśli sędziowie się zjadą, a król się zgodzi...

– Nie zgodzi się – wszedł mu w słowo bezimienny towarzysz. – Nie mają prawa go pozwać. Nie da się pozwać króla; nikt nigdy tego nie zrobił. Czy jego ojciec, król Jakub, stawiliby się na gwizdnięcie parlamentarzystów? Czy królowa Elżbieta przybiegłaby w podskokach na ich rozkaz? Żaden kraj na świecie nigdy nie postawił przed sądem własnego monarchy. Żaden angielski monarcha nigdy nie słuchał poleceń parlamentu.

James pokiwał głową. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że konflikt między parlamentem a królem, który powinien był znaleźć rozwiązanie na pierwszym polu bitewnym albo przynajmniej w Newport, doprowadził tak prędko do tej niewyobrażalnej sytuacji.

– Ale jeśli do tego doszło – podjął uparcie – czy określili jakąś datę?

– Jutro.

– Co takiego?

– Owszem.

– Mógłbym gdzieś zdobyć nazwiska sędziów?

– Wiadomo, kogo wezwano. Ale nikt nie wie, ilu z nich się stawi. Oni sami jeszcze tego nie wiedzą. Niejeden z nich nie zmruży oka dzisiejszej nocy, zastanawiając się, co robić.

– A czy jest możliwe, że żaden z nich nie przyjedzie i proces się nie odbędzie?

– Chyba tylko sam diabeł to wie. – Przewodnik Jamesa splunął do zamarzniętego rynsztoka. – Bo też to z pewnością diabelski pomysł. Ale stawiałbym na to, że Noll Cromwell będzie na pewno, a pan nie? Podobnie jak jego wierna świta i ci wszyscy, którzy zdecydowali się na niego postawić.

– Proces ma być publiczny?

– Tak, ale niech pan nie myśli, że zdoła wyskoczyć z tłumu i go odbić. Dostanie tak silną straż, że nikt się do niego nie zbliży. Tamci spodziewają się próby odbicia. Nie zaryzykują.

– Najlepiej byłoby to zrobić w drodze z jego kwatery u Świętego Jakuba do Westminsteru.... – James myślał na głos. – Najpewniej popłynie barką...

Mężczyzna pokręcił głową.

– Proszę mi tego nie mówić. Nie chcę wiedzieć. A sam nie mam żadnego pomysłu.

– Ja też nie – przyznał James. – Błądzą po omacku. Może najpierw zdobądźmy listę sędziów.



MOKRADŁA, STYCZEŃ 1649 ROKU

O późnym i ciemnym styczniowym brzasku Alinor obudził trzask pękającego lodu i uderzenia kopyt rozchlapujących płytką wodę. Jakiś pojazd przeprawiał się przez bród przy odpływie. Starła dłonią lodowe kwiaty z okienka alkowy i mrużąc oczy, spojrzała w prawo. W półmroku majaczył masywny, chyboczący się kształt karety Peacheyów.

– Alys! Powóz Peacheyów jedzie brodem! – Lekko szturchnęła śpiącą obok córkę.

– Niech jedzie – wymamrotała dziewczyna, nie otwierając oczu. – Oni i tak nie płacą.

– Ciekawe, czy jest z nimi Rob. I dokąd się wybierają.

– Pewnie do Londynu, za królem, jak wszyscy.

– W takim razie zostawiliby Roba w Priory – orzekła Alinor. – Przecież by nie brali go ze sobą, bo po co?

Odpowiedział jej stukot kołatki na drzwiach.

– To na pewno on! – ucieszyła się i krzyknęła z góry: – Rob, to ty?

– Ja, mamó! – wrzasnął wesoło. – Zostanę z wami do Matki Boskiej Gromnicznej, a potem pan Tudeley zabierze mnie do Chichesteru. Mam tam wstąpić do terminu u pana Sharpe’a, aptekarza.

Alinor narzuciła na ramiona chustę, kryjąc pod nią sterczący brzuch, i prędko zeszła na dół. Uścisnęła syna i odstaąpiła o krok, żeby mu się przyjrzeć.

– Znowu urosłeś!

– Przez te trzy tygodnie od świąt? – zakpił.

– Robi się z ciebie mężczyzna – orzekła. – I pomyśleć, że będziesz się uczył na aptekarza!

Przyklęknął, przyjmując jej błogosławieństwo, a kiedy wstał, spytał zaraz: – Jadłyście już śniadanie?

– A skądże! Alys jeszcze nawet nie wstała. Jesteś głodny?

– Jak wilk!

– Siadaj, zaraz rozpalę ogień.

Usadziła go w krześle obok komina, zdjęła pokrywę z żaru i zaczęła wtykać drobne drzazgi w żarzący się jeszcze popiół.

– Sir William jedzie do Londynu w sprawie króla? – zagadnęła.

– Tak, wezwano go, żeby zasiadł w trybunale. Przy okazji zawozi Waltera do Cambridge.

– I naprawdę król ma stanąć przed sądem?

– Wszyscy tak mówią. Ale wątpię, żeby sir William brał w tym udział. Postara się, żeby go zwolniono.

– To jak królowi zapewnią uczciwy proces, skoro w trybunale będą tylko ludzie parlamentu? – spytała Alys, schodząc ze schodów.

– W tym sęk – odparł Rob. – Nie zapewnią.

– Czego nie zapewnią? – powtórzyła Alinor.

– Uczciwego procesu – uściślił. – Tak mówi sir William. Jeśli uda im się postawić go przed sądem, próżno by wyglądał sprawiedliwości.

– Więc rojalistów tam nie będzie? – spytała Alinor, myśląc o Jamesie.

– Na pewno będą trzymać się z dala.



LONDYN, STYCZEŃ 1649 ROKU

Przeczytawszy listę ludzi mających wejść w skład sędziowski, James zobaczył na niej nazwisko sir Williama. Naciągnawszy kapelusz głęboko na oczy, poszedł więc do Złotego Krzyża, zajazdu nieopodal zburzonego już krzyża w Charing, gdzie szlachta z Sussexu z reguły się zatrzymywała, goszcząc w Londynie. Gospodarz, zaaferowany najazdem tylu dżentelmenów z prowincji, krzyknął do niego w biegu: – Tak, na górze, w prywatnym salonie! – i pośpieszył dalej, nie oglądając się i nawet nie pytając go o imię. James mógł więc praktycznie niezauważony wejść na piętro i zastukać do wskazanych drzwi.

– Pochwalony – powitał go krótko sir William. – Nie spodziewałem się tu pana. – Zerknął na zamknięte drzwi. – Jest pan pewien, że nie był śledzony? Żyjemy w strasznych czasach. Każdy może się okazać szpiegiem.

– Jestem pewien, że nikt za mną nie szedł. W tej misji podaję się za francuskiego guwernera i nie odwiedziłem żadnego z naszych starych znajomych. Zbieram tylko wieści na ulicy. Jego żona i dzieci... wie pan, o kim mówię... pragną wiedzieć, co tu się dzieje.

– Zje diabła ten, kto to odgadnie! – prychnął sir William. – Proszę, niechże pan siada, napijemy się po kropelce. Walter wyszedł z moim rządcą, zwiedzają miasto. Jesteśmy więc sami.

– Przywiózł ze sobą Roberta Reekiego?

– Nie, chłopak został na Sealsea u matki.

– Widział się pan z nią?

– Nie. – Lord Peachey był zdumiony pytaniem. – A dlaczego pan pyta?

– Nie, nic. – James starał się pokryć zmieszanie. – Mam po prostu nadzieję, że jej nie zaraziłem.

– Wątpię. Słyszałbym o tym. – Sir William otworzył drzwi i zawołał ze schodów o butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki. – A teraz – podjął,

zamknąwszy je na powrót starannie – proszę mi powiedzieć: Jak pan sądzi, co będzie z królem?

– To wie chyba tylko jeden człowiek. Cromwell. – James westchnął. – On za tym wszystkim stoi. I jeśli nikt go nie powstrzyma, dopnie swego.

– Cromwell to uczciwy człowiek. Nie dopuści się niesprawiedliwości.

– Sam ma się za sprawiedliwość wcieloną. A oprócz parlamentu musi jeszcze zadowolić armię.

– Uda mu się zwołać dostateczną liczbę sędziów, by orzekli o winie króla?

James pokiwał głową.

– Na pewno taki ma zamiar. Wezwał ponad stu szlachciców. Pan się nie opowie za Jego Wysokością?

– Jak? Wszystkim wiadomo, że zmieniłem barwy. Jestem teraz człowiekiem parlamentu. Zapłaciłem grzywnę i przyrzekłem synowi, że nie narażę jego schedy. Nie mogę znów przejść na stronę króla. Za wiele mam do stracenia.

Pukanie do drzwi oznajmiło wejście posługacza z sali jadalnej, który przyniósł wino i kieliszki. Zamilkli, czekając, aż postawi je na stole i wyjdzie.

– A jeśli uznają go za winnego? – spytał cicho James, sprawdzając, czy chłopak porządnie zamknął za sobą drzwi.

– Winnego? – prychnął sir William. – A potem co? Skażą go na wygnanie? Wątpię, żeby Francuzi zechcieli go przyjąć. Szkoci zeszłym razem sami go oddali. Zamkną go? Z powrotem w Carisbrooke? I jak to niby ma ich wyciągnąć z bagna, w którym utknęli? Walczą z nim od sześciu lat, a więżą go od dwóch. Jeśli chcą, by cokolwiek się zmieniło, muszą zmienić wszystko.

– Nie wiem... – James zadumał się, sięgając po kieliszek. – Naprawdę nie wiem.

Peachey uniósł swój.

– Za miłościwego pana – rzekł bardzo cicho.

Stuknęli się kieliszkami i spełnili toast. Przez głowę Jamesa przemknęła nagle nieprzyjemna myśl, że toast był tak cichy i poważny, jakby siedzieli na stypie.

– Z całą pewnością jedynym, który zna przyszłość, jest w tej chwili Cromwell – podjął. – Ale skoro zaplanował proces, musi liczyć na wyrok skazujący. Po cóż innego by to robił?

– Nie dojdzie do procesu – rzekł stanowczo sir William. – Ja w każdym razie nie wezmę w nim udziału, nawet jako świadek. Jadę z Walterem do Cambridge, żeby zaczął wiosenny semestr. Nie mam zamiaru świadczyć ani sądzić. Żaden

uczciwy człowiek nie weźmie w tym udziału, więc proces się nie odbędzie z powodu braku sędziów. Żaden Anglik nie może sądzić króla. Lepiej niech pan jedzie z nami do Cambridge i tam zajmie się edukacją Waltera.

– Muszę zostać – rzekł cicho James. – Jego żona i przyjaciele wysłali mnie tu, żebym informował o rozwoju sytuacji.

– Nie będzie pan miał o czym informować – zapewnił go sir William. – Do niczego nie dojdzie. Ale niechże mnie pan odwiedzi, kiedy skończy się ta farsa. Wpadnie pan do Priory przed wyjazdem na kontynent?

James zawahał się, myśląc o danej matce obietnicy, że nie spotka się z Alinor.

– Powinienem wrócić prosto do seminarium.

– Może pan odpłynąć z przystani przy młynie pływowym – podsunął sir William. – Bez trudu znajdzie pan tam stateczek do Francji, jeśli zechce pan być moim gościem.

– Tak – zdecydował James. Tęsknił za Alinor. – Dziękuję za zaproszenie.



Roztrącając łokciami tłum, James przepchnął się do wielkiej Sali Westminsterskiej i zapłacił za miejsce dla widzów, z którego pomiędzy głowami halabardników widział opróżniony i strzeżony przez nich pusty czworobok w środku sali. Ostrołukowo sklepiony strop odbijał echem gwar rozmów, przepychanek i kłótni, w miarę jak coraz więcej ludzi wlewało się do wnętrza. Wyżej, na galeriach, gapie zajmowali miejsca na ławach, co chwila nawołując, żeby się ścieśnić. W środku pustego miejsca stał wielki stół okryty bogatą tkaniną, na nim miecz i buława, leżące przed lordem przewodniczącym trybunału. Za plecami przewodniczącego stały ławy dla sędziów. W tym nadzwyczajnym posiedzeniu uczestniczyło ich sześćdziesięciu ośmiu, choć wezwano ponad stu – niektórzy jednak odmówili przyjazdu albo wręcz się ukryli. Na wprost przewodniczącego trybunału stało wyściełane czerwonym aksamitem krzesło i przystawiony do niego stolik wyposażony w papier, atrament i pióro. Wszystko to otaczało niskie drewniane przepierzenie. James nie mógł uwierzyć, że król, właściciel całej Anglii, zostanie sprowadzony jak zwykły człowiek pod osąd swoich nieprzyjaciół. Choć sala była gotowa, sędziów już zaprzysiężono, świadkowie zaś czekali w gotowości, połowa zgromadzonych osób była pewna, że proces zostanie jednak odwołany.

Gwar nagle przybrał na sile, a potem stopniowo przygasł – zupełnie jakby fala ciszy rozchodziła się z grona sędziów, którzy równocześnie, niczym aktorzy pantomimy, zwrócili głowy w stronę wejścia. Tam w wysokich odrzwiach stał król Karol – tancerz przed wielkim *entrée*. Ubrany był w czarny strój ozdobiony kryzą z najcieńszego, najbielszego lnu i misternej koronki. Na głowie miał kapelusz, w ręku laskę. Wszedł powoli, jakby chciał dać odczuć zebranych swą obecność. Przed ogrodzoną wysepką przystanął, czekając, aż ktoś otworzy przed nim drzwiczki w przepierzeniu. Rozejrzał się po sali. Obiegł wzrokiem sędziów, lorda przewodniczącego, żołnierzy, widownię, galerie i stalle. Niezręczna pauza przedłużała się; w końcu, gdy nikt nie pośpieszył z usługą, król sam uchylił drzwiczki i siadł, spokojny i odprężony, jakby zasiadał do obiadu w Whitehall. Nie zdjął kapelusza. Nie miał obowiązku uchylać go przed nikim.

James od razu zauważył różnicę pomiędzy tym opanowanym człowiekiem, który siedział spokojnie przed mierzącymi go wzrokiem sędziami, a mężczyzną, którego tak niedawno błagał, aby dał się nakłonić do ucieczki z Newport. Król się postarzał. W gęstych ciemnych włosach srebrzyły się nitki siwizny. Twarz miał pulchniejszą, jakby nalaną, i porytą głębokimi zmarszczkami. Nie tryskał już nonszalancją jak człowiek przekonany, że zawsze zdoła przechytrzyć swoich wrogów. Teraz przypominał znużonego świętego, męczennika dumnie stawiającego czoło prześladowcom. Król, który z upodobaniem oszukiwał parlament, który szczylił się chytrymi posunięciami, zakończył już swą lekkomyślną grę. Teraz napawał się klęską. Komedia dobiegła końca; jej główny aktor przeczuwał pierwszy akt tragedii.

– Boże, dopomóż – szepnął James, rozpoznając w nim człowieka spragnionego glorii męczeństwa.

Przez salę przemknął spłoszony szmer, albowiem król nagle powstał, jakby gotował się do wyjścia. James i wszyscy wokół niego zerwali się z miejsc w geście wpojonego szacunku. James pomyślał, że gdyby król rzeczywiście teraz wyszedł tak godnie, jak tu wszedł, nikt nie poważyłby się go zatrzymać. Proces dobiegłby końca, nim jeszcze się zaczął.

Ale król tylko się odwrócił i ponownie rozejrzał. Po sędziach, po widzach, którzy zapłacili za miejsca siedzące, lecz powstali na jego powitanie, a teraz też stali ze zmieszanymi minami. Zmierzył ich wszystkich poważnym, smutnym wzrokiem, jakim mógłby dokonać ostatniej inspekcji gwardii honorowej. James spuścił głowę. Bał się, że władca, napotkawszy znajomą twarz, wyda okrzyk

rozpoznania. W ogóle bał się tego, co może zrobić król Anglii. Nie ufał mu za grosz.

Król odwrócił się z powrotem do przewodniczącego i znów usiadł, a wszyscy, którzy wstali wraz z nim, zdejmując nakrycia głowy, opadli na swoje miejsca. Jeden tylko mężczyzna wstał, by zwrócić się do trybunału.

– Kto to? – spytał szeptem James swojego sąsiada, zamożnego londyńskiego kupca.

– James Cook – wymamrotał zagadnięty. – Oskarżyciel.

Cook stanął przed kolegium sędziowskim, tyłem do króla, i zaczął odczytywać listę zarzutów.

– Wstrzymaj no się, człowieku – powiedział Karol Stuart.

Od śmierci swego ojca, poprzedniego monarchy, nie zdarzyło mu się siedzieć za czyimiś plecami. Od dwudziestu trzech lat nie widział tyłu ludzkiej głowy. Zgodnie z dworską etykietą poddany musiał być zwrócony twarzą do króla, a gdy wychodził, składał przed nim ukłon, a potem cofał się aż do drzwi, gdzie ponownie się kłaniał. Tak właśnie James, upokorzony i przerażony, cofał się do wyjścia w Newport. Spłonął się na wspomnienie, uświadamiając sobie, jak śmiesznie musiał wtedy wyglądać. Każda taka okazja stanowiła symbol niższości poddanych, a wielkości króla. Teraz, w najbardziej upokarzającej chwili swego życia, Karol wciąż chciał być traktowany z uniżeniem.

– Czekaj no! – odezwał się ponownie do pleców oskarżyciela.

Ten, głuchy na słowa monarchy, nie przerwał, a tylko nieco przyśpieszył, jakby bał się, czy zdąży doczytać listę do końca. James zgrzytnął zębami. Cook, z uporem ignorując króla, głosił właśnie, że ów zdradziecko i w złej intencji...

– Czekaj, rzekłem! – Tym razem Karol zaskoczył wszystkich: wychylił się naprzód, uniósł czarną hebanową laskę i jej czubkiem dość mocno stuknął oskarżyciela w plecy.

– Boże, nie! – jęknął pod nosem James.

Cook zatchnął się na moment, lecz nie przerwał czytania. Król szturchnął go jeszcze raz, i jeszcze. Z czubka laski odpadło rzeźbione srebrne okucie, z głośnym stuknięciem uderzyło w posadzkę i powoli niczym w sennym koszmarze potoczyło się, aż w końcu znieruchomiało. Oskarżyciel, który do tej pory nie zważał ani na słowa króla, ani razy, teraz także zamarł, jakby bał się obejrzeć. Zaczerpnął tchu, lecz nie wyrzekł ani słowa.

Wszyscy trwali w bezruchu. James uświadomił sobie, że ściska poręcz siedziska, walcząc z odruchem, by wstać i podać królowi srebrny pierścień. Połowa obecnych siedziała sztywno, by nie zdradzić się chęcią usłużenia monarsze. Nikt nie zwracał już uwagi na pana Cooka. Ludzie wodzili wzrokiem od lśniącego na posadzce okucia do człowieka, który nigdy w życiu niczego sam nie podniósł.

Pierścień leżał obok wypolerowanych butów oskarżyciela, który stał nad nim nieruchomy niczym posąg. Sędziowie zamarli w ławach, lord przewodniczący zdawał się wykuty z kamienia. Nikt nie wiedział, co robić, a wszyscy czuli, że ta chwila ma dziwnie wielką wagę.

Milczenie się przedłużało. W końcu Karol powoli uniósł się z krzesła, otworzył drzwiczki, wyszedł, schylił się, podniósł okucie i nasadził je na swoją piękną laskę. Spojrzał na przewodniczącego i oskarżyciela, jakby się dziwił, że nie rzucili wszystkiego, żeby mu usłużyć. Zawsze ktoś obok zginał się, podnosił, dźwigał, a tu żaden z ponad tysiąca poddanych nawet nie drgnął. Król uśmiechnął się kwaśno i lekko kiwnął głową, jakby dowiedział się właśnie czegoś istotnego, choć nieprzyjemnego, a potem wrócił na swoje miejsce w ciszy tak całkowitej i brzemiennej napięciem, jakby wyrok śmierci już zapadł.



Na koniec pierwszego dnia procesu James wyszedł z sali, czując mdłości. Przez cały dzień nic nie jadł, ale bardziej dokuczyło mu to, co zobaczył i usłyszał. Wrócił do swojej kryjówki i choć w głowie mu tętniło, usiadł i napisał raport, zaszyfrował go zgodnie z ustaleniami i zaniósł na Queenhite. Szyper już na niego czekał.

– Odbijamy, nim zacznie się odpływ – uprzedził.

– Możecie płynąć choćby zaraz – powiedział James. – Nie będę miał więcej przesyłek. W porcie będzie ktoś na was czekał. Zapyta o listy od pana St. Jeana.

– Domyślam się, że nie są to dobre wieści – zauważył kapitan, patrząc na jego szarą twarz.

– Po prostu oddajcie mu ten list. – James machnął ręką ze znużeniem. Odwrócił się od nabrzeża, kołyszących się na wodzie statków i palącej tęsknoty, by odpłynąć stąd jednym z nich.



Ned, brat Alinor, też znajdował się w tłumie, który zdołał się wpełznąć do wielkiej sali w Westminsterze pierwszego dnia procesu, ale nie dostrzegł Jamesa. Również James, który trzymał głowę nisko, a kapelusz nasunął głęboko na czoło, nie zauważył przewoźnika. Nie wiedząc o sobie, trwali wspólnie na straży, z niedowierzaniem konotując, że proces jednak się toczy. Żaden nie brał pod uwagę, że może w nim zapaść wyrok skazujący. Weteran okrągłogłowych wątpił, czy sędziom starczy odwagi na uznanie króla za winnego zdrady stanu. A gdyby nawet, czy zechcą wydać wyrok śmierci. Jak w ogóle poddani mogliby skazać swego władcę? Każdy sąd w kraju powołany został przez króla, aby strzegł praw królewskich. Któż miał prawo sądzić prawodawcę? Owego zimnego styczniowego dnia Ned po raz pierwszy w życiu widział panującego na własne oczy, w jego własnej półboskiej postaci, siedzącego na aksamicie, w wysokim kapeluszu zdobitym skroń niczym korona, i krążyły mu po głowie różne sprzeczne myśli. Z jednej strony bowiem człowiek tak arogancki, że sam doprowadził się na salę sądową, nie chcąc ani wysłuchać własnych rodaków, ani dotrzymać danego im słowa, zasługuje na karę. Z drugiej strony, myślał Ned mimo woli, człowiek tak delikatnie zbudowany, tak wytwornie odziany, emanujący tak rozrzewniająco smutnym pięknem zapewne jest tym, kim się mieni: półbogiem, nad którym sprawiedliwość nie ma władzy.



Sobota.

Jakakolwiek próba odbicia go siłą nie ma szans powodzenia. Przed wejściem do Westminsteru przewożony jest rzeką do prywatnego domu i tam pilnie strzeżony. Moim zdaniem jedyną szansą na jego uwolnienie byłby nacisk władców Europy, zwłaszcza gdyby zagrozili wojną temu nieważnemu, niewładnemu, kalekiemu parlamentowi. Wielu członków zostało z niego wykluczonych. W trybunale zasiada mniej niż połowa wezwanych sędziów. Lud nie domaga się skazania monarchy. Decyzji sądu w żadnej mierze nie da się jeszcze przewidzieć. Król odmawia zeznań, twierdząc, że proces jest bezprawny. Wierzę, że zakończyłby się bez orzeczenia o winie, gdyby zażądali tego krewni Najjaśniejszego Pana i pozostali monarchowie. Jeśli wszakże proces pociągnie

się dłużej, istnieje poważne ryzyko, że orzeczenie będzie brzmiało „winny”, a choć orzeczenie niekoniecznie oznacza wyrok skazujący, to Jego Wysokość książę Walii dobrze by zrobił, domagając się gwarancji, że nie posuną się do zasądzenia banicji ani uwięzienia.

Oskarżyciele wezwą świadków, którzy będą zeznawać, iż Najjaśniejszy Pan zrywał traktaty pokojowe, nie honorował rozejmów, łamał dane słowo i okłamywał parlament, a to jeszcze pogorszy atmosferę. Nastrój w sali sądowej jest coraz bardziej ponury. Bardzo źle, że królowi doradzono, by milczał; to może mieć groźne skutki. Skoro niczego nie wyjaśnia, nie próbuje się bronić, wygląda to tak, jakby nie miał niczego na swoją obronę. Co gorsza, można odnieść wrażenie, że zarzuty wprawiają go w dumę. Taka strategia ich nie powstrzyma. Mamy w tej chwili tylko jeden atut: sąd zawiesił obrady do poniedziałku. Jest więc czas, byście postawili żądania i przerwali proces.

James powierzył zaszyfrowany list ciemności – przekazał go kapitanowi statku, który miał pokonać wzburzone zimowe wody Kanału. Nie dostał odpowiedzi, ale też jej nie oczekiwał. Nie istniał żaden powód, dla którego lordowie na wygnaniu mieliby go upewnić, iż poczynią jakieś kroki w celu ocalenia króla. W niedzielę poszedł do kościoła na puste nabożeństwo wspólnoty protestanckiej, a po powrocie modlił się długo i żarliwie w swojej kryjówce. Trzy razy zszedł do Queenhite, na wypadek gdyby przybył jakiś statek z pocztą dla niego. Nie napisał nawet jego własny ojciec.

W poniedziałek znów sporządził raport dla zleceniodawców z Hagi: trybunał zebrał się ponownie, a król nadal się nie zgadza odpowiadać na pytania.

Jutrzejsze posiedzenie odbędzie się bez udziału Jego Wysokości. Będą przesłuchiwać świadków. Niezmiernie ważne jest, by ktoś podważył ich świadectwa. Czy któryś z Panów, lord lub szlachcic, mógłby przybyć, by wziąć świadków w krzyżowy ogień pytań? Jeśli którykolwiek z nich nazwie króla kłamcą, brak umocowania prawnego tego trybunału przestanie mieć znaczenie – a zatem takie słowa przenigdy nie powinny paść. Jeśli na to pozwolimy, nauczymy lud Anglii, że wolno mu mówić wszystko.

Dzień upływał za dniem. Codziennie wysyłał kolejny raport, na który nie otrzymywał odpowiedzi, walcząc z przybierającym na sile uczuciem, że i on, tak jak Karol Stuart, skazany został na zapomnienie; że i on, i król pozostaną na wieczność w tym dziwnym zawieszeniu, w którym każde wypowiedziane słowo decyduje o życiu lub śmierci, każde jest niczym mniej jak przysięgą, ale nuda i miałość kolejnych dni ciągnących się pod malowanym stropem sali sądowej, gdzie każdy kolejny świadek wylicza kolejne haniebne czyny, doskwiera bardziej niż zepsuty ząb.

Ned, wepchnięty w kąt przy tylnej ścianie sali, wytężał słuch, łowiąc każde padające słowo, i wciąż nie mógł pojąć, jak to możliwe, że sędziowie zdołali zebrać się na odwagę, by urządzić królowi proces, a nie zdołali zmusić go do odpowiedzi na pytania. W miarę jak chmurny, zimny styczeń zbliżał się do końca, Ned coraz bardziej się obawiał, że król wymknie się sprawiedliwości za pomocą prostej sztuczki: przecząc, że ktokolwiek ma prawo go osądzać. Odmawiał im prawa, by o nim mówili, prawa, by słuchali, wręcz odmawiał im prawa do istnienia.

– Zupełnie jakby nikogo tam nie było – skarżył się wieczorem oberżystce w zatłoczonej do granic małej gospodzie. – Jakby to się w ogóle nie działo. On nawet nie słucha obciążających go świadectw. A dziś w ogóle nie było go na rozprawie. Zwolnili go z jego własnego procesu. Ciekaw jestem, co porabiał. Grał w golfa w pałacu Świętego Jakuba?

– Dla takich jak oni my jesteśmy niczym – westchnęła kobieta.

– Nie jestem niczym – odparł Ned w zadumie. – Nie na moim promie na Mokradłach. Tam jestem kimś.



Wieczorem w sobotę dwudziestego siódmego stycznia James zaszyfrował swój ostatni list i wysłał go człowiekowi, który prosił go o informacje, ale nie powiedział, co robić, jeśli dojdzie do nieszczęścia. Nieszczęście już się stało. James pisał powoli, czując, że za późno już na pośpiech. Albo jego mocodawcy obmyślili drogę ratunku, o której nie uznali za stosowne mu wspomnieć, albo też wysłuchali jego przestrogi i nie uczynili kompletnie nic. Tak czy inaczej, męki czyścicowe, jakich tu doświadczył, poszły na marne.

Z bólem donoszę, że uznano go za winnego i skazano na śmierć. Zapisano, że został osądzony jako tyran, zdrajca, zabójca i wróg dobrych ludzi w całej Anglii. Ma zostać stracony przez odcięcie głowy od ciała.

Jeśli macie jeszcze możliwość ubiegania się o ułaskawienie – albo drogę ucieczki – to już najwyższy czas, by działać. Data egzekucji nie została dotąd ustalona, ale w poniedziałek ma się spotkać z dziećmi, księżniczką Elżbietą i małym księciem Henrykiem. Zapewne później nie zechcą już zwlekać z egzekucją – chyba że jej zapobiegniecie.

Przerwał, sam siebie starając się przekonać, że jego rola w całej tej historii była zupełnie nieistotna; że przez cały czas któryś z konspiratorów, człowiek o znacznym nazwisku lub fortunie, francuski ambasador lub nawet sam książę Walii, spotykał się z sędziami, z Oliverem Cromwellem, i że zawarł z nimi ugodę mającą zapewnić królowi bezpieczeństwo. Być może w tej chwili otwierały się sekretne drzwi w pałacu Whitehall, ukryte schody biegły w dół nad rzekę, gdzie czekał już statek pod żaglami, gotów uwięzić monarchę.

Jestem przekonany, że planują go stracić w najbliższych dniach. Błagam, ratujcie go; nie dopuście to tego strasznego aktu męczeństwa. Prześlijcie mi rozkazy, co mam robić. Proszę przynajmniej o potwierdzenie, że dotarł do Panów ten list!



MOKRADŁA, LUTY 1649 ROKU

Żelazny drąg szczęknął głośno o podkowę i Alys podniosła się od śniadania. Otarła usta wierzchem dłoni, nim ruszyła do drzwi. Do wnętrza wdarł się podmuch lodowatego wiatru.

– Dalibóg, to ty, wujku?! – doleciał do Alinor jej okrzyk. – Myślałam, że już nie wrócisz!

Alinor wybiegła na próg i osłoniła oczy przed ostrym zimowym słońcem, które wstawało właśnie nad przeprawą. W białym blasku widziała tylko postać mężczyzny z tobołkiem na grzbiecie i kapeluszem w rękę, w wysokich żołnierskich butach, ale poznała brata, kiedy zszedł na prom, wyczałował siostrzenicę i dał się przewieźć na drugą stronę kanału, z powagą uiściwszy opłatę.

– Witaj w domu, braciszku – powitała go na brzegu Alinor i wtuliła się w ciepłe wnętrze jego opończy. Pachniał Londynem: innymi stajniami, wilgotnym łóżkiem, mocnym piwem i ogniem z węgla drzewnego, nie drzewa. – Tak długo cię nie było! – ciągnęła, prowadząc go do domu. – Nie miałyśmy żadnych wieści. Co tam się działo? Czy proces dobiegł końca? Słyszałyśmy tylko, że się zaczął.

– Ano, skończył się – sapnął Ned, siadając na swoim stołku i zzuwając buty.

– Nie do wiary! – wykrzyknęła Alys. – A głowę bym dała, że nigdy się na to nie odważą!

– Odważyli się na coś więcej – rzekł z namysłem Ned. – Przez całą drogę powrotną o tym myślę. Nie skończyło się na tym, że oskarżyli go o zdradę i skazali na śmierć. Oni ten wyrok wykonali. Karol Stuart nie żyje, a my teraz jesteśmy królestwem bez króla.

Alinor jęknęła i złapała się za serce. Czuła pod palcami jego przyśpieszone bicie.

– Naprawdę? Jesteś pewien? Król nie żyje?

– Tak. Reagujesz jak wszyscy, którym o tym mówiłem po drodze od Londynu aż tutaj. Wszyscy są zaskoczeni, a przecież zanosilo się na to już od Nottingham.

Postawiono go przed sądem, proces toczył się na ludzkich oczach, czy to takie dziwne, że skończył się, jak się skończył?

– Bo on jest królem – stwierdziła Alinor.

– Ale okazało się, że nie stoi ponad prawem, jak mu się zdawało.

– Jak to zrobili? – zaciekała się Alys.

Alinor podeszła do schodów i krzyknęła do Roba, żeby wstawał, bo wuj wrócił. Potem nalała bratu grzanego piwa i przysiadła obok niego. Słuchała z bólem, wiedząc, co to oznacza dla Jamesa. Ale też była ciekawa. Królestwo bez króla – oto łamigłówka, którą lud Anglii musiał teraz rozwiązać. Jakimże sposobem ludzie tak od siebie różni jak pastor, pani Wheatley czy aptekarz z Chichesteru zdołają się pogodzić co do tego, jak powinni być rządzeni? A może o wszystkim rozstrzygną możni pokroju sir Williama i tak naprawdę nic się nie zmieni?

– Wszystko odbyło się zgodnie z prawem – odpowiedział Ned siostrzenicy. – Przed legalnym, prawowitym sądem, chociaż on do końca nie chciał go uznać.

– Ale egzekucja? Wiem, że był sądzony przed trybunałem. Mieliśmy tu ulotkę z pierwszego dnia, potem już nic. Nikt się nie spodziewał, że go stracą!

Ned westchnął.

– Cieszę się, że już po wszystkim, i trzeba to było zrobić, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Ale, Bóg świadkiem, to zawsze smutny widok, kiedy człowiek umiera.

Rob prędko zszedł z drabiny, zasznurowując po drodze spodnie, uściskał wujowi rękę i usiadł przy stole, nadstawiając uszu.

– Gdzie Rudzielec? – spytał nagle Ned, zaglądając pod stół, jakby wyczuł nieobecność swego pupila.

Alinor nakryła jego dłoń swoją.

– Przykro mi, Ned. Zdechł. Nie cierpiał. Rano tylko był bardzo słaby, a przed wieczorem zasnął.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Szkoda – powiedział. – Moje wierne psisko...

Przez chwilę milczeli. Alinor ucięła dla brata pajdę chleba i podsunęła mu na drewnianej misie.

– No i co z królem? – spytał nieśmiało Rob.

– Odcięli mu głowę? – przyłączyła się do niego Alys.

– Odcięli. Szybko i czysto, wczesnym rankiem. Wyszedł na szafot z takiego szklanego okna, które było równie wysokie i szerokie, jak brama do pałacu Whitehall. Nie zamknęli go w lochu, chociaż uznali, że jest winny. Okrzyknięto go zbrodniarzem, a nie został zakuty w łańcuchy. Przemawiał przez chwilę, ale słabo go było słychać, bo na ulicy tłoczyły się tysiące ludzi. Potem położył głowę na pieńku, a kat ją ściął. Jednym ciosem, bardzo sprawną robotą. Nie odpuścił katu i to był przykry zgrzyt. Z tego, co zdołałem posłyszeć, mówił, że jest „męczennikiem i ofiarą ludu”. Dureń! – Ned zakaszał i splunął do komina. – Umarł z kłamstwem na ustach, jak można się było po nim spodziewać. To my byliśmy jego ofiarami, gdy przez niego ginęliśmy. Kłamał do samego końca.

– Niech mu Bóg wybaczy – szepnęła Alinor.

– Ja nie wybaczę – rzekł zawzięcie Ned. – Ani żaden człowiek, który musiał stawać przeciwko niemu, raz po raz, choć wcześniej przysięgał dochować pokoju i uznał swą porażkę. Raz po raz, wciąż od nowa. Nie wybaczę mu tego.

– Bóg mu wybaczy – powtórzyła.

– I co teraz, wuju? – spytał Rob. – Czy teraz wszystko się zmieni?

– A to dobre pytanie. – Ned z uznaniem skinął głową. – Wszystko się zmieniło, więc wszystko powinno się zmienić. Ale czy tak będzie? A jeśli tak, to w jaki sposób?



LONDYN, LUTY 1649 ROKU

James odczekał dzień i noc, spodziewając się dalszych instrukcji, ale kiedy nie dostał żadnych wieści z Paryża ani Hagi, ani od swojego zwierzchnika w konspiracji, ani od dziekana z seminarium, nawet od ojca – uznał, że jego misja dobiegła końca i nie ma tu już nic więcej do roboty. Dodał kwaśno w duchu, że od samego początku nie miał szans czegokolwiek tu zdziałać – chyba że pochować króla, ale od tego są grabarze. Czuł gorycz: ktoś mógł go przynajmniej powiadomić, że jego listy dotarły do adresatów, i podziękować za służbę. Przypomniawszy sobie słowa matki, że król jest głupcem, jego następca – gburem, i że służba królewska to niewdzięczne zadanie, lecz nie można się przed nim uchylać.

Przeszedł przez milczące miasto, które przypominało dom okryty żałobą. Przeprowadził się promem na południowy brzeg rzeki, w Lambeth wynajął konia i ruszył w długą drogę do Chichesteru i dalej, na wyspę Sealsea.

Koń był stary i sterany; człapał stępa, lecz Jamesowi to odpowiadało. Cieszył się, że ma dość czasu, by otrząsnąć się ze zgrozy tych nieprzewidywalnych dni, kiedy słowa nie mogły ocalić króla, a zresztą i tak nie można ich było wypowiedzieć. Potrzeba mu było tego czasu, by w milczeniu pomyśleć o swojej przyszłości, życiu w nowym świecie, który niespodziewanie nastąpił dla wszystkich Anglików. Na razie wiedział tylko, że nie będzie już parał się słowami. Wszystko uległo zmianie tamtego dnia w Newport, kiedy król odmówił ucieczki, choć na brzegu czekała łódź, a na Kanale flota jego syna.

Przez chwilę śnił na jawie, co by było, gdyby plan się wówczas powiódł. I przeraził się nagle, że podobne rojenia, kojące żłudy czasu klęski, uwiężą rojalistów w pułapce wygnania. Że będą latami czekać na lepsze czasy, przetrawiając popełnione błędy. Nie chciał tego; wolał dociec, co ta nowa Anglia może oznaczać dla niego, dla rodziców, dla Alinor... Wątpił, by rodzice zechcieli pozostać na dworze królowej, gdy minęła szansa na powrót do domu w glorii zwycięstwa. Wątpił też, by postanowili zaofiarować służby księciu Karolowi,

choć ten pewnie nazwie się Karolem II. Trudno jednak było sobie wyobrazić, by miał kiedyś zostać koronowany w opactwie westminsterskim, tak blisko sali, w której jego ojciec usłyszał wyrok śmierci. Wyglądało na to, że Anglia już na wieki zostanie pozbawiona monarchy. Czy jego rodzice pojmą, że przegrali? Czy wrócą do kraju, zamiast grzęznąć w bagnie płonnych nadziei? James ufał, że tak. Zaprzysięgli lojalność pierwszemu Karolowi, ryzykowali dla niego życie i majątek; nie byli jednak zobowiązani do złożenia swych losów w dłoniach jego następcy, zwłaszcza jeśli ów nie miał żadnych atutów prócz przywiedłego czaru księcia-banity. Otaczał się faworytami, przekupnymi doradcami i kobietami złej sławy. Siał na prawo i lewo pustymi obietnicami, których z całą pewnością nie spełni. Teraz, gdy będzie musiał czekać na swój tron, stanie się jeszcze bardziej zdesperowany, mniej rozważny. Poprą go tylko ci, którzy nie mają lepszych perspektyw. Tylko bezdomni będą towarzyszyć mu w tułaczce.

Nie należy się spodziewać, myślał, żeby lady Avery zechciała służyć pretendentowi. Jego ojciec wstydziłby się konkurować o urząd z bandą skorumpowanych awanturników. A jeśli nie będzie dla nich miejsca na emigracyjnym dworze, po cóżby mieli pozostawać na wygnaniu? Wróć, pomyślał James, do Yorkshire, do Northallerton, a on wraz z nimi – na własne ziemie, do rodzinnego domu, znów poczuje zimny wiatr wiejący nad wrzosowiskiem, usłyszysz krzyk czajki młocącej skrzydłami bezchmurne niebo.

Przedstawi Alinor rodzicom jako kobietę, którą kocha i chce poślubić. Pozwoli mu z nią zamieszkać w nowym domu, który dla niej zbuduje, może na łągach poniżej rezydencji. Nie będzie to pałac, raczej dworek z sadem i ogrodem, w którym będzie mogła uprawiać swoje zioła. Przedstawi ją w parafii jako towarzyszkę życia, przyznając, że nie mógł jeszcze jej poślubić – a więc nazwie ją narzeczoną i zdobędzie dla niej szacunek należny Averym w majątku Northside. Był pewien, że choć ludzie będą plotkować za plecami, a matka na pewno tego nie pochwali, to jednak w epoce tak olbrzymich przemian, gdy cały świat zdawał się stawać na głowie, a średnio zamożny rolnik z hrabstwa Cambridge praktycznie rządził krajem, fakt, iż przyszła lady Avery nie ma jeszcze ślubu z synem i spadkobiercą rodu, nikogo na dłużej nie podnieci.

Pozostało mu tylko – myślał, jadąc drogą wijącą się przez South Downs, poszarzałe i blade w mroźnym poranku – skłonić Alinor, by porzuciła swoją rybacką chatkę, ukochaną córkę i uwielbianego syna i wyjechała z nim na północ. Był niemal pewien, że da się przekonać. Pozwoli jej zabrać dzieci, jeśli postawi

taki warunek. Albo będą mogli ją odwiedzać. Lub cokolwiek zechce, myślał namiętnie. Był w stanie spełnić każde jej żądanie, jeśli tylko zgodzi się z nim pozostać.



MOKRADŁA, LUTY 1649 ROKU

Ned, Rob, Alinor i Alys szli brzegiem zatoki, mijając dawny dom Alinor i szopę na sieci. Szpalerem głogów zeszli aż na plażę, a tam, schylając głowy pod konarami starego dębu, dotarli do stopni wspinających się na kamienny falochron. Wydeptana ścieżka wiodła nim do kościoła. Z drugiej strony kanału dobiegało dudnienie kamieni młyńskich poruszanych przez gwałtowny prąd spiętrzonych wód przypływu. W zimnym powietrzu dźwięki były czyste i donośne, toteż Alinor obejrzała się trwożnie, jakby się obawiała, że woda lada chwila ich doścignie. Ned pomógł obu kobietom pokonać cmentarny murek i ruszyli gęsiego między grobami. Ned i Alinor zatrzymali się nad gładkim kamieniem, który oznaczał miejsce pochówku ich rodziców.

– Żałuję, że ojciec nie dożył tego dnia – mruknął Ned. – Nie uwierzyłby, że coś takiego jest możliwe.

Alinor modliła się przez chwilę z pochyloną głową.

– Tęsknię za mamą – szepnęła.

Weszli do kościoła. Alys z matką poszły drewnianymi schodami na chór, gdzie stały w milczeniu chłopki z parafii. Ned i Rob stanęli pod lewą ścianą nawy, gdzie mężczyźni czekali z odkrytymi głowami, aż przybędą Peacheyowie i sir William zajmie swoje miejsce. Obrządek ku czci Pana w niebiesiech mógł się zacząć dopiero po przyjeździe ziemskich panów. Ned mruknął do Roba, że choćby cały świat się zmienił, na wybrzeżu wszystko zostaje po staremu.

W kościele stało tylko jedno, lordowskie krzesło, umieszczone przed stopniami prezbiterium niczym tron. Walter wyjechał do Cambridge, a w Priory nie było teraz gości, którzy zajęliby miejsca zarezerwowane dla dworu. Kiedy więc lord wkroczył do kościoła na czele swoich domowników, służba dworska stłoczyła się za pustą ławą. Alinor, patrząc z galeryjki na jego piękny kapelusz z ciemnego filcu, ozdobiony ciemnym piórem i srebrną broszą, zastanawiała się, czy tęskni za synem i czy miał jakiegokolwiek wieści od dawnego guwernera. Nie mogła go zapytać – ani jego, ani ludzi z Priory. Poprawiła grube zimowe okrycie

na okrągłym brzuchu. Pastor podszedł do pulpitu, skłonił się przed jego lordowską mością i rozpoczął nabożeństwo.

Nowy obrządek, zatwierdzony przez parlament i posłusznie wprowadzony przez Kościół, toczył się jak zwykle. Ale kiedy przyszła pora kazania, pastor przebiegł wzrokiem tylną część nawy i spytał głośno:

– Edwardzie Ferrymanie, jesteś tu?

– Obecny! – odrzyknął Ned służbiście jak żołnierz podczas apelu.

– Czy zechcesz nam opowiedzieć, co widziałeś w Londynie, abyśmy usłyszeli, co spotkało króla, który zdradził swój lud?

Mężczyźni stojący obok Neda rozstąpili się, robiąc mu przejście. Przewoźnik z wahaniem wystąpił naprzód.

– Nie brałem udziału w radach ani debatach – zastrzegł. – Mogę wam powiedzieć tylko, co sam widziałem.

– Naoczne świadectwo uczciwego człowieka. O to cię właśnie prosimy – upewnił go pastor, a co nabożniejsi spośród parafian potwierdzili jego słowa gromkim: „Amen!”.

Alinor kurczowo zacisnęła dłonie pod opończą. Nie wiedziała, jak relację Neda przyjmie sir William. Nie wiedziała też, czy zachęcony w ten sposób Ned nie uchybi w jakiś sposób jego lordowskiej mości. Rob zerknął przez ramię w górę, gdzie stała matka. Czuła, że myśli w tej chwili o tym samym: nazajutrz miał pójść do terminu w Chichesterze. Jego życiowa szansa mogła się rozwiać, nim ją jeszcze uchwycił.

Ned podszedł do pastora i odwrócił się do zebranych. Ukłonił się lekko sir Williamowi, który gestem dał mu znak, żeby mówić.

– Proces króla Karola przed trybunałem trwał osiem dni – zaczął. – Byłem tam od pierwszego dnia do ostatniego. Byłem w Sali Westminsterskiej od chwili, kiedy wprowadzono do niej króla.

Sir William poruszył się w swoim krześle.

– Zasiadało tam ponad sześćdziesięciu sędziów, którzy mieli wysłuchać, jak król odpowie na oskarżenie o tyranie i zdradę ludu – ciągnął Ned.

Drzwi na tyłach kościoła uchyliły się, wpuszczając spóźnionego przybysza. Nikt jednak nawet się nie obejrzał, choć przez nawę przeszedł zimny podmuch. Wszystkie oczy utkwione były w Nedzie.

– Król nie przemówił, kiedy odczytano zarzuty, a gdy w końcu przemówił, nie zgodził się przyznać, czy jest winny, czy niewinny.

- Dlaczego?! – ktoś zawołał. – Czemu się nie odezwał?
- Odezwał się – uściślił Ned. – Ale nie chciał odnieść się do swojej winy.
- Dlaczego?
- Nie mam pewności – przyznał Ned. – To jakaś kwestia prawnicza.

W kościele podniósł się szmer niezadowolenia.

- Ale czemu nie pozwolili mu zeznawać?

– To on nie chciał z nimi mówić. Wezwano świadków, którzy zeznawali przeciwko niemu, w mniejszej sali, do której nawet nie przyszedł. Ci ludzie widzieli go na polach bitew, gdy podniósł broń przeciw własnym poddanym. Mieli wielu takich świadków. Ja sam to widziałem.

- Czy mogę coś powiedzieć? – rozległ się głos.

Teraz wszyscy jak jeden mąż odwrócili się do wejścia, gdzie stał przybysz. Znajdował się pod chórem, więc ani Alinor, ani Alys nie mogły go dojrzeć.

- Ja też byłem na procesie. I też przybyłem prosto z Londynu.

Alinor poznała ten głos od razu. Przycisnęła zwiniętą dłoń do ust, żeby nie krzyknąć, i przygryzła palce, walcząc z nagłą słabością.

- Kto to? – Alys szturchnęła ją w ramię.

- Nie wiem – szepnęła Alinor.

Przybysz ruszył środkową nawą kościoła. Kołnierz ciemnej podróżnej peleryny leżał mu równo na ramionach, rąbek muskał wypucowane buty do konnej jazdy. Patrząc z góry, Alinor widziała tylko kapelusz, a gdy go zdjął, ciemną kędzierzawą głowę. Poza tym nic, prócz kołyszających się fałdów drogiej materii, kiedy pewnym krokiem podszedł do przodu.

- Czy to pan, panie Summer? – zapytał pastor.

James skłonił się sir Williamowi i stanął przed pastorem.

– To ja, James Summer, guwerner panicza Waltera. Byłem w Londynie w interesach i miałem okazję uczestniczyć w królewskim procesie. Teraz przybyłem tu z krótką wizytą na zaproszenie sir Williama. Chętnie opowiem wam, co z tego zrozumiałem, i uzupełnię świadectwo Edwarda Ferrymana.

Pastor zachęcił go gestem. James obrócił się do wiernych i skinął głową Nedowi. Alinor wreszcie zobaczyła jego twarz. Był blady, a powaga malująca się w jego wzroku sprawiała, że wyglądał dojrzalej niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni, pijanego pożądaniem i nieprzytomnie zakochanego. Położyła dłoń na brzuchu. Dziecko się poruszyło, jakby czuło, że wszedł jego ojciec.

– Jest tak, jak mówi Edward Ferryman – potwierdził James. – Król nie odpowiedział na zarzuty z dwóch powodów. Uznał, iż trybunał zwołany został bezprawnie, jako że nigdy dotąd nie było sądów obradujących z upoważnienia parlamentu. Istniały tylko sądy królewskie. Dodał też, że żaden sąd nie jest władny sądzić monarchy namaszczonego przez Boga. – Urwał. – Pod względem prawnym jego argumentacja była słuszna. Ale to by oznaczało, że żaden król nigdy nie mógłby zostać osądzony przez swój lud, a parlament i sędziowie byli przekonani, że król powinien odpowiedzieć za swoje czyny.

– Wydał nam wojnę – wszedł mu w słowo Ned. – Potem zaprzysiągł pokój i zaraz złamał przysięgę. Sprowadził na nas Szkotów, a planował sprowadzić też Irlandczyków. A jak pan sądzisz, co teraz robi w Paryżu jego papistowska żona, jeśli nie namawia Francuzów, żeby z kolei oni na nas uderzyli? Co pana zdaniem jego syn robi w Hadze, jeśli się nie znosi z wrogami Anglii? Rzeknij mi pan jedno: skoro toczył wojnę przeciwko Anglikom, mając pod komendą wrogie wojska, to jak mógł się nazywać naszym królem?

W kościele podniosły się głosy poparcia. Każdy ucierpiał w czasie wojny. Wielu straciło ojców, synów i braci, którzy poszli za sir Williamem na rzeź na Marston Moor.

– Myślę, że stało się nieszczęście – rzekł szczerze James. – Myślę, że od początku król słuchał złych doradców. Żałuję, że na końcu nie uznał się za winnego i nie poszedł na wygnanie.

– Tylko czy pozostałby na wygnaniu? – zaperzył się Ned. – Czy znów nie złamałby słowa, gdyby poczuł się znużony ograniczeniem wolności?

James pochylił głowę, a potem ją podniósł, napotyając wściekłe spojrzenie Neda.

– Być może – rzekł spokojnie. – Wiem jedno: stracił dobrych ludzi, gdy utracił wierność takich jak ty.

– To nie ma nic wspólnego ze mną! – Przewoźnik niecierpliwie zbył komplement. – Nie chodzi o to, co pan myślisz o mnie albo o nim. Źle jest, kiedy król jest tyranem dla swego ludu, i dlatego położyliśmy kres jego rządowi. Odtąd żaden tyran nie będzie gnębił Anglików. Będziemy wolni.

James w milczeniu pokiwał głową. Sir William poprawił się w krześle i schylił głowę, jakby się nad czymś namyślał.

– Czy zakończył życie po bożemu? – spytał pastor.

Ned zerknął na Jamesa, ale gdy tamten milczał, odpowiedział:

– Tak było. Tysiące ludzi przyglądały się egzekucji przed pałacem. Podobno noc spędził na modlitwie. Wystąpił dość dzielnie, położył głowę na pniu i dał znak, że jest gotowy. Kat pozbawił go głowy jednym cięciem.

Przez kościół przebiegło westchnienie. Jakaś kobieta rozszlochała się na chórze.

– Teraz Bóg go osądzi – dodał James. – Jak nas wszystkich.

– Amen – dodał pastor. – Ogłoszę teraz trzecie i ostatnie zapowiedzi.

Dwaj mężczyźni, brat i kochanek Alinor, odwrócili się, nie patrząc na siebie. Ned wrócił na swoje miejsce pod tylną ścianą, a James stanął za krzesłem sir Williama.

– Ogłaszam, że w związek małżeński wstąpią Alys Reekie, panna z tej parafii, i Richard Stoney, kawaler z Sidlesham – obwieścił pastor.

Alinor poczuła, że dłoń Alys szuka jej ręki. Uścisnęła ją i uśmiechnęła się do córki.

– Pytam po raz trzeci i ostatni – mówił pastor.

Wśród wiernych przebiegł przyjazny szmerek zainteresowania, a młody Richard Stoney, który specjalnie przyszedł do Świętego Wilfryda, żeby usłyszeć swoje zapowiedzi, zadarł głowę, szukając wzrokiem Alys, i puścił do niej oko.

– Jeśli ktokolwiek zna powód, dla którego tych dwoje nie może się połączyć świętym węzłem małżeńskim, niech wyjawi go teraz.

– Czy kiedykolwiek się zdarzyło, żeby ktoś wstał i wyjawił? – szepnęła Alys do matki.

– Nie – odszepnęła Alinor. – Kto by brał sobie drugą żonę na Sealsea, gdzie wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą?

– Ślub odbędzie się w przyszłą niedzielę – zakończył pastor.



Wychodząc z kościoła, Alinor zdała sobie sprawę, że będzie musiała złożyć uszanowanie sir Williamowi i spotkać się z Jamesem na wścibskich oczach całej parafii. Mając po obu stronach Alys i Roba – Ned z ociąganiem powlókł się za nimi – przeszła przez zmrożony trawnik przed kościołem i nisko dygnęła przed dziedzicznym panem Sealsea, nie odrywając wzroku od jego pozbawionej wyrazu twarzy.

– Reekie. – Skinął głową jej, potem Nedowi, dopiero do Roba się uśmiechnął. – Jak się masz, Robercie?

– Bardzo dobrze, sir. Jutro wyruszam do Chichesteru.

– Wszystko załatwione? – Sir William obejrzał się przez ramię na pana Tudeleya.

– Tak jest, sir. Oczekują chłopca. Pójdę tam jutro osobiście i złożę opłatę, gdy matka będzie podpisywać jego umowę.

– Bardzo jesteśmy panu wdzięczni – powiedziała Alys.

– A oto i wasz podopieczny. Wygląda zdrowo, nieprawdaż?

Alinor dygnęła przed Jamesem i wreszcie podniosła na niego wzrok. Poczowała niemal wstrząs, widząc, jak ciepły jest jego uśmiech, jak żarliwe spojrzenie. Zamarła, jak gdyby nie mogła się zdecydować, czy podbiec i paść mu w ramiona, czy uciec. Przełknęła ślinę, lecz nie mogła wydobyć głosu. Czowała ciężar dziecka w brzuchu i nie mogła uwierzyć, że jego ojciec stoi przed nią nieświadomy, że je spółdził. Owinęła się mocniej szalem, jakby chciała je osłonić, i wyjąkała:

– Cieszę się, że tak dobrze się pan miewa, panie Summer.

– Witam, kumo Reekie – odparł. – Cieszę się, że znów was widzę. Jak się sprawuje mój uczeń?

Rob wyszczerzył wszystkie zęby.

– Nadal wkuwam łacinę – oznajmił. – Sir William pozwala mi pożyczać książki z biblioteki we dworze. Czy widział się pan z Walterem?

– Teraz, w Cambridge, zrobił się z niego wielki pan. – James zaśmiał się. – Ale mam nadzieję, że spotkamy się po rozpoczęciu semestru.

– A ty wychodzisz za męża? – Jego lordowska mość skinął na Alys. – Za kawalera z parafii Sidlesham?

Alys dygnęła ponownie i ruchem ręki przywołała Richarda, który podszedł i grzecznie się uklonił. Alinor spostrzegła, jak dokładnie wymierzony był ten ukłon. Richard Stoney był synem wolnego właściciela ziemi, nie dzierżawcy Peacheyów, i był świadom, jak wielka to różnica.

– Życzę wam szczęścia – rzucił sir William bez większego zainteresowania i skinął na Tudeleya, żeby dał Alys szylinga. Potem zwrócił się do Roba: – A ty przyjdź do nas na wieczerzę.

To, że pominął w zaproszeniu Alinor i Alys, miało im uświadomić, że wypadły z łask jako krewne i podopieczne okrągłogłowego. Na Neda, który stał z boku z kapeluszem w garści, sztywny jak drąg, i ani myślał się kłaniać, jego lordowska mość nawet nie spojrział.

– Dziękuję – odparł swobodnie Rob. – Będę do pana pisał o moich postępach w Chichesterze.

Sir William kiwnął głową i odwrócił się, starannie omijając Neda wzrokiem. James obejrzał się za Alinor, a potem ruszył za jego lordowską mością. Parafianie zaś, uwolnieni od wymogów etykiety obowiązującej ich w obliczu dziedzica, obścibali Neda, wypytując o proces, egzekucję, parlament, no i wreszcie o Londyn – królewskie miasto bez króla.



Alinor i Alys ruszyły z powrotem brzegiem zatoki. Ned szedł z tyłu, wolniej, w towarzystwie kilku osób, które odprowadzały go kawałek, chcąc się więcej dowiedzieć o procesie i egzekucji. Cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania. Duma, że był świadkiem dziejowych wydarzeń, sprawiała, iż cieszył się z każdej okazji, gdy mógł o nich opowiedzieć, choćby i raz po raz. Na Mokradłach jeszcze o czymś takim nie słyszano. Prawdę rzekłszy, nie słyszano dotąd o czymś takim w całej Anglii. To był koniec jednego świata, a początek innego.

Wzbierał przyptyw, więc ludzie ze stałego lądu, którzy przyszli do kościoła przez zamarznięty bród, czekali teraz na prom, żeby się dostać z powrotem. Alys wspaniałomyślnie pozwoliła Nedowi zająć jego dawne miejsce i zebrać należne pensy.

– Pamiętasz jeszcze, jak to się robi? – zagadnęła go żartem. – Nie masz teraz za miękkich rąk do liny?

– Faktycznie zapomniałem już, jaka jest zimna! – odparł ze śmiechem.

Wrócił do domu, chuchając w palce. Alinor rozgrzebała żar i włożyła na palenisko spory pniak wyrzucony przez morze i starannie wysuszony w ciągu lata.

– Zanim wyjechałem – odezwał się do niej Ned, zniżając głos, żeby nie słyszała go Alys z sypialni na poddaszu – powiedziałaś, że będzie ci potrzebna moja pomoc i o wszystkim opowiesz, kiedy wrócę.

Alinor się zawahała. Powinna najpierw porozmawiać z Jamesem. Razem postanowią, co robić i jak wyjawić nowinę.

– Alys jest w ciąży – oznajmiła.

Ned nie wydawał się zgorzony. Na wsi, szczególnie w rejonach tak odległych od świata jak Sealsea, wiele par pobierało się po staremu: po zaręczynach następował długi okres zalotów, niewolny od uciech cielesnych,

w czasie którego para szukała dla siebie domu lub zbierała na wesele. Niejedna panna młoda dźwigała do ołtarza wielki brzuch. Zdarzało się, że tuptało za nią dziecko lub nawet dwoje.

– Zareczyli się przed Bogiem? Z modlitwą? Po bożemu? – spytał. – Alys nie postępowała lubieżnie? A czy on jej nie przymusił?

– Nie, nie – uspokoiła go Alinor. – Są pewni swoich uczuć i oficjalnie zaręczeni. Richard dał jej pierścionek. Czekają tylko na posag. Tym się martwię. Rodzice Richarda postawili sprawę jasno: bez niego się nie obędzie. Dlatego tak skrzętnie ciułamy grosz do grosza.

– Po co ten pośpiech?

– Alys chciałyby rodzić już pod dachem Stoneyów, w gospodarstwie, które Richard ma odziedziczyć. Chce, żeby dziecko przyszło na świat w rodzinie i od początku nosiło nazwisko ojca.

– Przykro mi, że nie wróciłem zamożniejszy – westchnął – ale Londyn jest potwornie drogi. No cóż, Alys zebrała trochę grosza z opłat za przewóz. Niech to zliczy i powie, ile jej brakuje. Jeśli chcesz, pójdę jutro z tobą do Stoneyów i sam z nimi pogadam. Czy nie jest tak, że młody ma się dołożyć ze swojej schedy?

– Tak, choć wolałabym nie brać od niego pieniędzy. Wedle słów Alys Richard dopilnuje, żeby nie brakło.

– Boże! – zachichotał Ned. – Co za dziewczyna! Pożycza na posag od narzeczonego!

– Inaczej by go nie zebrała. Stoneyowie zażądali fortuny. Zarobiłyśmy, ile mogłyśmy, Richard dołoży resztę. Alys się uparła na ślub w przyszłą niedzielę.

Ned uśmiechnął się.

– To dobrze, że przyjdzie nam nowy człowiek na ten nowy świat, który tworzymy. Jeśli urodzi się chłopiec, powinna dać mu na imię Oliver na cześć Nolla Cromwella!

– Mogłaby – zgodziła się Alinor, myśląc równocześnie, że James nigdy by się nie zgodził na takie imię dla swojego dziecka.

– Dobrze ci się mieszka w rodzinnym domu?

– Wspaniale. Ale jeśli znajdziesz sobie żonę, to z radością przeniosę się z powrotem do mojej chaty. Lub gdziekolwiek indziej.

– Ja? Nigdy! – zaśmiał się. – A poza tym dokąd miałabyś pójść?

– Sama nie wiem. – Alinor uśmiechnęła się do niego.



James uznał, że najłatwiej spotka się z Alinor, jeśli po wieczerzy wróci z Robem ścieżką wzdłuż zatoki. Niebo już ciemniało, zapadał wczesny zimowy zmierzch. Powiedział chłopcu, że potrzebne mu są zioła na wypadek nawrotu gorączki.

– Nie sprzeda ziół w niedzielę – przypomniał mu Rob.

– Powiem jej, czego mi trzeba, a kiedyś przy okazji przyniesie mi je do dworu – wymyślił na poczekaniu James.

W górze, ponad warstwą gęstych szarych chmur, słychać było klangor zimowych gęsi. Wracały do starych gniazd na kamienistej plaży obok przystani. W pewnej chwili James posłyszał też upiorny, trzeszczący łopot łabędzich skrzydeł. Było już za ciemno, by mógł dojrzeć cokolwiek poza ścieżką pod nogami i cienkim sierpem księżycy wyłaniającym się co jakiś czas spośród strzępionych przez wiatr chmur. Rob maszerował pewnie po dobrze mu znanej krętej trasie, ale James musiał ostrożnie stawiać stopy. Po chwili przestał już nawet widzieć drogę.

– Matka dobrze się miewa? – zagadnął, starając się nadażyć.

– Zima tu, na mokradle, zawsze jest ciężka. – Rob wzruszył ramionami. – Alys co dzień pracowała na promie, nawet w mrozy, a mama przez cały czas trzęsa się ze strachu. A kiedy ja zastępowałem siostrę, było jeszcze gorzej. Matka strasznie się boi głębokiej wody. Ale zdrowie jej dopisuje. Lepiej się jej mieszka w domu wuja Neda niż w starym.

– Mieszkają na przeprowie? Dlaczego się wyprowadziły?

Rob odwrócił głowę zawstydzony.

– Mamy zamiar ogłosić, że naszym zdaniem ojciec nie żyje – bąknął – ale to dopiero po weselu Alys. Tymczasem, żeby zachować pracę i dobre imię, matka nie może mieszkać samotnie. – Potknął się, zatrzymał i odwrócił do Jamesa. – Lepiej, jeśli ludzie będą ją mieli za wdowę pod opieką brata, zwłaszcza kiedy ja i Alys opuścimy dom. Wstyd mi, że kłamię, proszę pana, ale naprawdę jesteśmy do tego zmuszeni.

James położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Dobrze robisz – rzekł. – To nie hańba dla ciebie ani twojej matki, że ojciec postanowił was opuścić. I to w sumie nie kłamstwo, jeśli powiecie, że nie

spodziewacie się jego powrotu. Ja nikomu nie zdradzę, że widziałem go w Newport. Dla mnie on też jest martwy.

Rob wyraźnie się odprężył.

– To mała wyspa – mruknął. – Nie mogłaby tu mieszkać, gdyby straciła dobrą opinię.

– To Alys wychodzi za mąż? – James zmienił temat, żeby oszczędzić mu zakłopotania. Ruszyli dalej.

– W przyszłą niedzielę. Oszczędzała każdego pensa na swój posag.

– Matka musi być szczęśliwa.

– Zostanie bez grosza.

James pomyślał, że był głupcem. Powinien był wysłać Alinor pieniądze. Ale jak by to wyjaśniła ludziom? A on przecież nie miał własnej gotówki. Musiałby zdefraudować tę, którą mu powierzono na działania dla sprawy króla. Nie miał własnych pieniędzy. Jak mógłby obrabować sprawę, której przysiągł się poświęcić, dla kobiety, której nie wolno mu było kochać? Niemniej na myśl, że Alinor jest w biedzie, oblał go gorący rumieniec wstydu.

– Twój wuj Ned nie powinien był jej zostawiać na tak długo – mruknął.

– Dlatego Alys pracowała na promie. Mama by na niego nie weszła. Naprawdę pan uważa, że ojciec już nie wróci?

Na szczęście weszli już na zbrocze prowadzące do przeprawy. W oddali majaczył ciemny zarys domu przewoźnika.

– Tak – powiedział. – Ale dla twojej matki to chyba lepiej, co?

– Dla Alys też. Stoneyowie nie przyjęliby jej do rodziny, gdyby ojciec tu był.

– A dla ciebie?

Rob się zarumienił.

– Gdyby pan aptekarz znał mojego ojca, też nie wzięłby mnie do terminu.

– Za sześć lat twoja matka będzie wolną kobietą.

– Sześć lat to bardzo długo. – Rob westchnął, jak każdy młodziak w jego wieku, a James, który sam miał dopiero dwadzieścia dwa lata, przyznał mu w duchu rację.

Dotarli na miejsce. Rob nacisnął zapadkę i drzwi się uchyliły.

– Przyszedł ze mną pan Summer – oznajmił, wchodząc.

Po ciemności na zewnątrz izba wydawała się jasna, choć oświetlał ją tylko ogień w kominie i łuczywa. Ned siedział przy stole i ostrzył kozik, a Alinor i Alys przedły przy kominie. Wrzeczona furczały, z kądzieli wysuwały się równe pasma

przędzy. Kiedy James wszedł do środka, Alinor zerwała się z cichym okrzykiem. Wrzeczono potoczyło się pod stołek.

– Serdecznie witamy – wyjąkała, dochodząc do siebie.

Ned ledwie podniósł oczy znad roboty, ale grzecznie skłonił głowę.

– Napijecie się piwa? – zagadnęła Alinor. – Siądźcie, proszę. – Wskazała gościowi miejsce przy ogniu.

– Chętnie, bo zaraz będę szedł z powrotem.

– Noc jest ciemna – zauważył Ned.

– Tak, to prawda.

W izbie zaległa cisza. Alinor wyszła do spiżarni na tyłach domu i wróciła, niosąc po szklanicy piwa dla Jamesa i Roba. Po chwili przyniosła jeszcze jedną dla Neda. Rob usiadł obok niej na ławie pod ścianą.

– I jak się czujecie z powrotem w domu? – zagadnął James Neda.

Ten wzruszył ramionami.

– Nie takie życie bym dla siebie wybrał, ale kto z nas naprawdę żyje tak, jak chce? – Milczał przez chwilę. – Może wy. Może jego lordowska mość.

– Ja już nie – odparł szczerze James. – Nigdy się nie spodziewałem, że tak się sprawy potoczą i tak skończą.

Ned starannie umieścił nóż w wytartej skórzanej pochwie i odłożył na bok osełkę.

– A szkoda – burknął. – Już dawno można było położyć kres ludzkiej krzywdzie.

– Zgadzam się – przyznał James pojednawczo. – Od dawna myślę, że powinniśmy byli uniknąć wojny. Dojść do porozumienia, znaleźć sposób, żeby zakończyć waśń i żyć razem.

– No i tak się stało. – Ned uśmiechnął się pod nosem. – Chociaż może nie jest to takie porozumienie, jakiego wasza mość by sobie życzył. Dacie radę żyć w tej nowej Anglii?

– Mam nadzieję. – James westchnął. – Chciałbym odzyskać dom, żyć tu z rodziną i przyczynić się...

– Do czegoż to?

– Do administrowania i rządzenia królestwem... to znaczy krajem.

Ned podniósł głowę i spojrzał na niego tak, jakby nie mógł uwierzyć w usłyszane przed chwilą ciche słowa.

– A dlaczegoż to niby wy i do was podobni mieliby nami rządzić, skoroście odebrali nam pokój na prawie dziesięć lat?

James przełknął ślinę.

– Bo jestem Anglikiem i pragnę żyć w pokoju.

– Z pewnością wszyscy chcemy żyć w pokoju – wtrąciła Alinor.

Ned uśmiechnął się do niej.

– Wiem, że tego chcesz, siostró, i mam szczerą nadzieję, że teraz wreszcie pokój będzie nam dany. A jaki masz pogląd na rządy państwem?

Spłonęła rumieńcem.

– Oj, Ned, wiesz przecież, że znam się tylko na własnym rzemiośle. Myślę, że akuszerki powinny mieć uprawnienia cechowe, a kobiety być wywodzone po połogu. Co do reszty... Skądże mi to wiedzieć?

Jamesowi stanęła nagle przed oczyma jego własna matka, której przenikliwy umysł przeprowadził rodzinę przez te burzliwe lata. Rozumiała świat nie gorzej od swego męża i potrafiła skalkulować polityczne zyski prędzej niż jakikolwiek mężczyzna.

– A wy jesteście za babskimi rządami? – zwrócił się do Neda.

– Wolałbym, żeby rządziła mną dobra kobieta niż ci wszyscy paniczykowie, którzy teraz będą zmieniać piórka i tłumnie wracać do domów po przegranej.

James zaczerwienił się ze złości.

– Tu nie mogę się z wami zgodzić – rzekł sucho. – Jednak będą między nami różnice.

Ned wstał od stołu.

– Lepiej już milczcie – doradził. – Tacyście, jak myślałem. Jeśliście nawet nie rojalista i papista, to wasze sprawy są tajne i podejrzone. Ale mnie tam nie obchodzi, coście robili dawniej, bylebyście teraz przestali knuć.

– Pan Summer mnie uczył – wstawił się za nim Rob. – Bez jego nauk nigdy w życiu nie dostałbym się do terminu u aptekarza.

– Wiem. – Ned kiwnął głową i położył rękę na ramieniu siedzącego chłopca.

– Wiem, że wiele mu zawdzięczasz. Idę spać – oznajmił. – Niektórzy muszą o świcie wstać do pracy. A ten młodzieniec jedzie jutro do Chichesteru i wiąże z tym wielkie nadzieje. Powinien się wyspać przed drogą.

– Tak. – James zerwał się na nogi. – Już idę. Wpadłem tylko po zioła na gorączkę. Przykro mi, że nie doszliśmy do zgody.

– Odprowadzę was. – Alinor prędko ruszyła do drzwi. – Przynajmniej do drogi.

– Dopilnuj, żeby gdzie nie utonął. – Ned powiedział to takim tonem, że zabrzmiało bardziej jak groźba niż przestroga. – Byłaby to wielka strata dla przyszłego rządu. Dobrej nocy, panie Summer. Czy też przyjmie pan nowe nazwisko, kiedy obejmie pan swoje włości? Bo zgaduję, że nie tak się pan nazywa?

James obrócił się do niego i wyciągnął rękę.

– Tak, będę się nazywał inaczej. I przykro mi, że zawiąłem do was pod fałszywą banderą. Wiare straciłem już jakiś czas temu, a obaj byliśmy świadkami śmierci mojego króla. Czekałem, żeby pojednać się z moimi rodakami i z wami, Nedzie. Ufam, że któregoś dnia wybaczycie mi moje przewiny, jak ja wybaczam wasze wobec mnie.

Wzięty z zaskoczenia Ned uściskał mu dłoń.

– To i dobrze – mruknął. – Czyli odtąd już tylko szczerze?

– Zawsze – potwierdził James. – Wojna się skończyła i dla nas, i dla króla.

– Ano – Ned kiwnął głową z cichą satysfakcją – dla niego na pewno.



Alinor czekała przy drzwiach wyjściowych z głową nakrytą szalem.

– Zamknę kury! – zawołała w stronę oświetlonej izby.

Kiedy wyszli, wąty nowy księżyc wyłuskał z chłodnego mroku blady obrys jej twarzy i ciemne plamy oczu. James pomyślał, że nigdy nie widział czegoś równie pięknego jak ta kobieta na tle pocerniałego, wypranego z barw krajobrazu. Za jej plecami woda w zatoce lśniła jak arkusz cyny, nad głową błyszczał sierp białego jak lód miesiąca.

– Nie zimno ci? – Objął ją, jak gdyby chciał ją lepiej okryć szalem, lecz zdał sobie sprawę, że tuli ją w ramionach tak naturalnie, tak zwyczajnie, jakby nigdy się nie rozstawali. Przyłgnęła do niego, lecz natychmiast wyczuł jakąś różnicę. Jej ciało pod warstwami wełnianego samodziału wydawało się obce. Coś w jej dotyku go przerażało, jak gdyby była zmiennokształtnym potworem ze strasznej bajki. Wzdrygnął się, cofnął o krok i przyjrzał jej uważnie. Zobaczył, że jej bladość to nie tylko sprawka księżycy.

– J... James... – zająknęła się.

– Tak, kochana?

– Wróciłeś z mojego powodu?

– Tak jak przyrzekłem. Natychmiast, gdy stało się to możliwe.

Westchnęła. Uświadomił sobie, że wstrzymywała oddech od chwili, kiedy przekroczyła próg domu. Jej niepokój spłoszył go jeszcze bardziej. Zerknął w stronę ciemnego wejścia.

Alinor wzięła go za rękę i poprowadziła za węgł, do furtki warzywnika ciągnącego się wzdłuż pustej drogi.

– Muszę ci coś powiedzieć – szepnęła.

Na dźwięk jej głosu kwoki drzemiące w ciepłym kurniku zagdakały do niej sennie. Pochyliła się, zasunęła rygielki na niskich drzwiczkach.

– Najpierw ja ci coś wyznam – rzekł James pośpiesznie. – Spotkałem się z rodzicami, z matką i ojcem. Opowiedziałem im o tobie. Oświadczyłem, że zapłacę grzywnę na rzecz parlamentu i odzyskam nasz dom. Zabiorę cię tam, a za sześć lat, kiedy zostaniesz uznana za wdowę, weźmiemy ślub.

Jej zbiegłe wargi zadrżały i wystraszył się, że zaprotestuje. Ku jego zaskoczeniu zgodziła się natychmiast.

– Tak – szepnęła. – Wyjdę za ciebie i będę mieszkać, gdzie tylko zechcesz. Tak. I mam ci coś do powiedzenia.

– Wyjedziesz ze mną? – Ledwie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Tak. Ale mam...

– Kochana! Najdroższa! Pojedziesz ze mną!

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co tylko zechcesz!

Przebudzone kury zaczęły się wiercić i gdakać.

– Cśśś... Ciszej... – Alinor pociągnęła go dalej od kurnika. – Muszę...

– O co chodzi, kochana? – Ujął ją za rękę.

Wciągnęła powietrze, jak gdyby mówienie sprawiało jej trudność. Potem wyrzekła parę słów, tak cicho, że musiał się do niej schylić, żeby je ułoić.

– Jestem przy nadziei.

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Wydało mu się, że nie dosłyszał. Rozumiał każde słowo osobno, ale razem nie miały dla niego za grosz sensu. Po prostu ich nie rozumiał.

– Co?

– Będę miała dziecko.

– Jak to? – spytał niezbyt mądrze.

Uśmiechnęła się blado.

– Ano tak to, jak zwykle się dzieje. Byliśmy wszak razem na stryżku.

– Ale... jak? Jak to się mogło stać?

– A cóż mogło stanąć na przeszkodzie?

– Ty! Myślałem, że do tego nie dopuścisz! – wypalił znacznie głośniej, niż nakazywałyby ostrożność.

– Ciszej – powtórzyła i pociągnęła go dalej, do bramy, żeby nie było ich słychać w domu.

Nagle spostrzegł, jak bardzo mierzi go ten zimowy warzywnik, nagi, ciemny i błotnisty. Jaki jest nędzny i brzydki. Rozdrażniło go to, że kury poznały głos Alinor i zaczęły do niej gdakać. Przyszła lady Avery nie powinna uprawiać rzepy i karmić własnych kur. Jej dłoń, którą ścisnął, była spracowana i szorstka.

– Jesteś pewna?

Teraz już uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście, że jestem pewna.

Jej uśmiech go rozwścieczył. Miała go za głupca?

– Rozumiem, co do mnie mówisz – warknął. – Nie urodziłem się wczoraj. Po prostu myślałem, że ty, kobieta zamężna, zielarka... że zrobisz z tym porządek.

Pokręciła głową. Jej spokój doprowadzał go do szału.

– Nie świadczę tego rodzaju usług.

– To nie usługa, kiedy robisz coś samej sobie! – argumentował jak jezuita. – To byłaby usługa i grzech, gdybyś spędziła płód innej kobiety, cudzołożnicy albo nierządnic. Ale nie byłoby grzechu, gdybyś sama zażyła ziół... czy jakiegoś specyfiku... gdy tylko dowiedziałaś się o ciąży. A jeszcze lepiej przed samym aktem!

– Aktem? – powtórzyła, jakby nie rozumiała tego słowa.

– To nie byłoby grzech, bo nie byłoby grzesznej intencji. Rozumiesz? Gdzie nie ma złych zamiarów, tam nie ma i grzechu. Dlaczego nie zażyłaś czegoś rankiem, kiedyśmy się rozstali?

– Nie zastanawiałam się nad tym – przyznała. – Myślałam o nas na tym stryżku, jak gdyby to było miejsce poza czasem. Tęskniłam do wieczora, kiedy znów cię zobaczę. A potem odszedłeś i została mi tylko tęsknota.

Obciągnęła szal na zaokrąglonym brzuchu.

– Oczywiście, kiedy się zorientowałam, zaczęłam myśleć, co dalej. Myślałam nad tym przez całą noc...

Urwała. Chciała mu opowiedzieć, jak skrzyły się wtedy muszle na plaży w świetle księżyca. Jak nazbierała ciężkich kamieni i chciała wejść do wody. Jak już się pogodziła ze śmiercią przez utonięcie. I nagle zrozumiała, że życie tego dziecka – ich dziecka – jest dla niej szczęściem.

Podniosła głowę. Ujrzała jego twarz, złą i zaciętą.

– Nie zrobiłabym tego. Przenigdy nie otruję dziecka. Swojego ani żadnego. Wolałabym sama umrzeć, niż zabić nasze dziecko.

Jego ramiona drgnęły, skurczyły się jakby z odrazy.

– To jeszcze nie dziecko – syknął. – Nie w oczach prawa. Ani Boga, dopóki się nie poruszy. Przecież się jeszcze nie rusza, prawda?

Ze zdumieniem powiodła wzrokiem od jego nachmurzonych oczu do zaciśniętych warg.

– Oczywiście, że tak – odparła cicho. – Poczuliśmy je we wrześnie. Poczułam jego ruchy w Boże Narodzenie. Wiem, że jest w nim życie. Czuję, jak budzi się i zasypia w moim łonie. Może coś mu się śni.

– Nie mów tak, jakby to był chłopiec!

Wbiła w niego poważne spojrzenie ciemnych oczu.

– Na razie nikt tego nie wie. Ale to żywe dziecko i wierzę, że jest chłopcem.

– Nie. Nieprawda. To jeszcze nie jest nic. I nie jest za późno...

– Za późno na co?

– Żebyś coś zażyła. W końcu się na tym znasz. Nie jest na to za późno.

– Żebym wepchnęła w siebie jakiś szpikulec i zabiła je w łonie, czy tak? – spytała głucho.

James przełknął ślinę.

– Nie. Tego bym ci nie kazał. Tylko że... Alinor...

– Co?

– Alinor, chcę cię zabrać do siebie. Chcę cię mieć w swoim domu jako swoją żonę. Zostaniesz następną lady Avery.

– Tak się nazywasz? – spytała, zbита z tropu.

– Tak, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że nie mogę cię postawić przed ojcem i matką w widocznej ciąży, kiedy wciąż jesteś żoną innego mężczyzny! Jeśli to dziecko się urodzi, otrzyma jego nazwisko. Nie mogę chować we własnym domu dziecka nazwiskiem Reekie!^[2] Jakby mojej matce było mało, że dostanie Alys i Roba za wnuków! Nie mogę, Alinor. Musisz to zrozumieć. Nie mogę. Okryłbym hańbą ciebie, siebie i nasze nazwisko.

– Nie wiedziałam, że tak masz na nazwisko – szepnęła. – A imię? Też nie James? Nie wiem, czy zdołam nazywać cię inaczej.

Wydała mu się taka przyziemna, taka śmieszna, że złapał ją za ramiona i potrząsnął. Wyrwała się odruchowo, osłaniając głowę, nauczona przez długie lata, że za potrząśnięciem idzie cios, a jeśli pozwoli się przewrócić na ziemię, zarobi kopniaka w brzuch albo w twarz. Przerażony, zwolnił uchwyt i rozpostarł ręce, jakby chciał pokazać, że nie ma w nich broni.

– Nie bój się! – wyjąkał. – Na rany Chrystusa, nie bój się mnie. Nie jestem nim, nigdy bym cię nie skrzywdził! Wybacz mi. Wybacz. Ale ty mnie nie słuchasz. Alinor, musisz mnie wysłuchać.

– Ja słucham – powiedziała. Doszła do siebie prędzej niż on. – Tylko że nie mogę zrobić tego, o co prosisz.

– Wybacz... – James starał się uspokoić dudniące wściekle serce. – To był koszmarne miesiąc, straszny rok... Tego samego dnia, w którym spotkałem się z rodzicami, a już nie wspomnę, jacy byli wściekli, dowiedzieliśmy się o uwięzieniu króla. Toteż nie mogłem rzucić seminarium, jak planowałem, bo musiałem wrócić do służby królewskiej. Pojechałem do Londynu, potem do Hagi, potem znów do Londynu, rozpaczliwie próbując... nawet nie masz pojęcia! Przekonywałem ludzi, którzy stracili wszelką nadzieję, zebrałem o pieniądze u nędzarzy, usiłowałem natchnąć tchórzy odwagą, słałem listy, na które nikt nie odpowiadał, a teraz... Boże, odpuść! Teraz król nie żyje i wszystko przepadło. Ponieśliśmy klęskę straszliwszą niż kiedykolwiek i teraz muszę słuchać, jak twój brat się ze mnie natrząsa...

– Ned się nie natrząsał.

– O, tak. Nie rozumiesz tego. To była męska rozmowa. Mówiliśmy o naszym kraju, naszej wojnie.

– To też moja wojna – zauważyła – i mój kraj.

Odwrócił się od niej, postąpił krok w stronę bramy, jak gdyby miał ochotę uciec, ruszyć biegiem przed siebie, nieważne dokąd.

– Nie o to chodzi! Znów nie słuchasz!

Stała nieruchomo i cicho jak łania, która wietrzy zagrożenie, ale nie wie, z której strony nadejdzie. Niewinna niczym zwierzę. Skupiona jak ono, gdy łowi nozdrzami woń unoszącą się w podmuchach wiatru. Zawrócił. Przycisnął do ud zwinięte pięści, starając się znaleźć zrozumiałe dla niej słowa.

– Strasznie mnie zakoczyłaś. Nie wiem, co rzec.

Wielka biała sowa wyfrunęła bezgłośnie z obory w ich kierunku, później wzbiła się nad żywopłotem i zniknęła w polu za ogrodem. Alinor śledziła jej lot skupiona, jakby ptak ją przed czymś ostrzegał. James uświadomił sobie nagle, że on, człowiek wykształcony, adept ducha i rozumu, nie jest i nigdy nie będzie w stanie pojąć kobiety takiej jak ona w miejscu takim jak to.

– Co się stało? – spytał.

Odwróciła ku niemu wzrok.

– Patrzyłam na sowę – wyjaśniła cicho. Czują, że jest zirytowany, lecz nie wiedziała dlaczego. – Cały czas cię słucham. Na nią tylko patrzyłam.

– Zmarzniesz – stwierdził, chociaż to on dygotał. – A Ned będzie się zastanawiał, gdzie jesteś.

– Wie, gdzie jestem. Powiedziałam mu, że idę zamknąć kurnik.

Znów poczuł złość i musiał się ugryźć w język.

– Chodzi mi to – rzekł po chwili – że nie możemy rozmawiać tutaj, teraz. Odłóżmy to do jutra. Musimy się gdzieś spotkać i normalnie porozmawiać. Gdzie się umówimy?

– Jutro muszę odprowadzić Roba do Chichesteru.

James zagryzł usta i poczuł w nich krew.

– Edward nie może tego zrobić?

– Skądże! – Zdumiała się, że w ogóle wpadł na taki pomysł. – Chcę sama obejrzeć mistrza aptekarskiego, jego dom i pracownię. Pan Tudeley wpłaci pieniądze z góry. Muszę podpisać kontrakt wiążący Roba. Przyjmą podpis kobiety; mam w Chichesterze dobrą opinię.

– Dobrze. – James starał się zachować spokój. – Wobec tego pojedę do Chichesteru i tam się spotkamy.

Milcząco kiwnęła głową i otworzyła mu furtkę wiodącą na drogę. Był niemile zdumiony jej opanowaniem.

– Alinor – zaczął od nowa – Musimy być razem. Musimy znów być kochankami. Pojmę cię za żonę. Dam ci swoje nazwisko, to prawdziwe. Przyzwyczajasz się! Kocham cię i pragnę bardziej niż czegokolwiek na świecie. Tylko ty mi zostałeś. Straciłem wszystko inne. Mam już na tym świecie tylko ciebie.

W milczeniu kiwnęła głową. Przemknęło mu przez myśl, że jej spokój jest nienaturalny. On tymczasem pociał się z gniewu i niezaspokojonej żądzy.

– Gdzie się spotkamy? – spytał.

– Pod Krzyżem Targowym? Przed południem.
– Będę tam. Nikt oprócz nas o tym nie wie? – Wskazał jej brzuch. – Nikomu nie powiedziałaś?
– Nikomu – skłamała odruchowo. Okłamała go pierwszy raz w życiu.
– To wszystko będzie dobrze. – Starał się ją pocieszyć, choć to on walczył z paniką. Ona była niewzruszona jak księżyc.
– Będzie dobrze – powtórzyła bladymi wargami. Zamknęła za nim bramę i zawróciła w głąb skutego lodem ogrodu. On, odchodząc, słyszał jeszcze, jak Alinor łagodnie przemawia do kur tym samym tonem, którym kiedyś uspokajała jego.



Alys miała ochotę iść z nimi do Chichesteru, zobaczyć nowego pracodawcę Roba, wziąć jeszcze trochę wełny do przedzenia i może nawet kupić sobie wstążkę do obszycia ślubnej sukienki.

– To zwykły powszedni targ. – Alinor próbowała ją zniechęcić. – W soboty pasamonicy mają znacznie więcej towaru. A kupiec wełniany przywiezie nam całą belę, kiedy będzie tu w przyszłym tygodniu.

Alys spochmurniała.

– No cóż – westchnęła. – W sumie i tak powinnam iść do młyna.

– Powinnaś – zgodziła się z nią Alinor.

– Chyba wolałam ciągnąć prom, niż spędzać całe dni z tą jędzą.

– To może poproś wuja Neda, żeby zastąpił cię w oborze?

Wbrew sobie dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Millerowa nie jest aż taka zła – powiedziała do niej Alinor. – A dziś rozpalają w piecu chlebowym. Będą tam też inne kobiety. Przy okazji upieczesz i dla nas bochenek.

Alys otuliła ramiona chustą i poprawiła fartuch na zgrubiałej talii.

– Po pracy pójdę do Stoneyów i zjem z nimi, a potem wrócę tutaj.

– Tak, dobrze – przytaknęła z roztargnieniem Alinor. Podeszła do schodów i zawołała syna. Odkrzyknął, że zaraz schodzi.

– Pomóż mi jeszcze przenieść kocioł z ciepłą wodą dla Roba.

Przełożywszy drążek przez uchwyty, wyniosły kocioł na środek pomieszczenia. Później Alinor ucałowała córkę, odprowadziła ją do drzwi, zawróciła do schodów i jeszcze raz krzyknęła, żeby Rob zaraz zszedł.

Zbiegł na dół w samej koszuli, którą zaraz zrzucił, by nagi wleźć do balii. Wyszorował się dokładnie szarym mydłem; matka polewała mu wodą z garnka głowę i ramiona. Potem, długonogi jak żrebak, wyskoczył na chodnik, który mu podłożyła, i wytarł się cały lnianym ręcznikiem. Owinięty w niego, usiadł na stołku przy kominie. Matka przyszygła mu gęste ciemne włosy, natarła je mieszanką oliwy z octem jabłkowym i dobrze wyczesła gęstym grzebieniem. Włożył czystą bieliznę, którą dostał we dworze, oraz spodnie należące ongiś do Waltera Peacheya.

– Śniadanie! – Alinor postawiła przed nim na stole pajdę chleba i kubek podpiwku.

Po jedzeniu chłopak odniósł balię do komórki.

– Mam wylać? – spytał. – Dla ciebie będzie za ciężka.

– Zostaw. – Machnęła ręką. – Zużyję ją potem do mycia podłóg.

Na targu w Chichesterze kupiła mu używane, ale całe pończochy. Na szczęście mieścił się jeszcze w butach, które dostał na święta w Priory, choć już uwierały go w palce. Miał też przyzwoity surdut, także należący kiedyś do Waltera.

– Piękna wełna. – Alinor pogładziła rękaw z mięsistej tkaniny.

– To jeszcze nic. Stary surdut Waltera i to nie najlepszy. Na uniwersytet wziął aksamitny.

– Przykro mi... – zaczęła.

– Że nie chodzę w aksamitach? – Rob wyszczerzył do niej wszystkie zęby. – Że nie stołuję się w Cambridge? Mamo, to mnie jest przykro, że straciłem zarobki w Priory i Alys nie ma dość na posag, a ty się zapracowujesz od świtu do nocy. Wiem, że mi się poszczęściło i że Bóg ma nas wszystkich w opiece. Jak tylko dostanę pierwszą wypłatę, zaraz ci ją oddam, calutką.

Alinor przyciągnęła go do siebie. Dał się objąć, ale już nie tulił się do niej tak żarliwie jak wtedy, kiedy był dzieckiem.

– Dorastasz – stwierdziła ze smutkiem.

– Jestem już prawie czeladnikiem! – oznajmił dumnie.

– Mam takie wrażenie, jakbym cię traciła – poskarżyła się. – Jakbyś mi się wymykał.

– Idę do Chichesteru – przypomniał jej. – Nie na morze.

– Nie, i za to dzięki niech będą Panu Bogu. – Westchnęła. – Odwiedzę cię, kiedy przyjdę na targ, a ty będziesz u nas na ślubie Alys w niedzielę, a potem

w święto Zwiastowania.

– Oczywiście. – Delikatnie uwolnił się z jej objęć. – Zobacysz mnie za niecały tydzień.

– Gotowy do drogi? – spytała, po trosze mając nadzieję, że odpowie przecząco i będą mieli jeszcze trochę czasu dla siebie.

– Pójdę tylko po sakwę.

Wbiegł po drabinie na stryszek, gdzie sypiał, i po chwili zniósł na dół niewielką sakwę, w której miał czystą bieliznę, łyżkę, kubek, nóż, pończochy na zmianę i prezent od sir Williama – nowy kajet, mający stać się zaczątkiem jego własnej księgi receptur i metod leczenia, których nauczył się od aptekarza. Miał też własne pióro, nożyk, żeby je ostrzyć, oraz flaszeczkę inkaustu ze szkolnego pokoju we dworze.

– Wszystko spakowałeś?

– Wszystko.

– Dobrze. Tak czy owak, zawsze możesz przesłać nam wiadomość, jeśli ci czegokolwiek braknie.

Wyszli z domu i starannie zamknęli drzwi. Ned był po przeciwnej stronie rozlewiska, mocował podkowę służącą za gong wzywający przewoźnika. Na ich widok prędko przeprowił się na wyspę i przytrzymał tratwę, kiedy wsiadała Alinor.

– Gotowy? – zagadnął Roba. – Jesteś pierwszym z naszej przewoźniczej rodziny, który pójdzie do terminu w mieście. Pierwszym, który będzie miał pracę czystą i pod dachem.

– Jestem gotowy – odparł Rob.

– Matka pękłaby z dumy – rzekł Ned do siostry. – Popatrz tylko, co może zdziałać nauka... i łaska możnych – dodał.

– Rob zawsze był bystry, nawet jako malec – zauważyła. – Matka to w nim widziała, choć nawet nie marzyła o dzisiejszym szczęściu. A na łaskę Peacheyów uczciwie sobie zapracował. Wyniósł ze szkoły dość, żeby móc się dalej uczyć z paniczem Walterem. I naprawdę się zaprzyjaźnili.

– Powiesz pewnie, że urodził się na lorda? – zakpił z niej Ned, cumując prom po przeciwnej stronie kanału i podając jej rękę.

– Oczywiście, że nie! – zachnęła się. – Ale to o czymś świadczy, jeśli uczyli się wspólnie, a teraz panicz Walter będzie prawnikiem, w każdym razie dżentelmenem.

– To świadczy tylko o tym, że każdemu zostało przypisane jego miejsce i nic się nigdy nie zmienia – skontrował.

– Wszystko się zmienia – odezwał się niespodziewanie Rob. Zeskoczył na pomost i pomógł matce wsiąść. – Wszystko. Mamy parlament zamiast króla. Rozmawiamy z panami na stojąco, zamiast przyklękać. Dostanę uczciwą płacę, a nie jakąś jałmużnę. Nigdy już nie będziemy głodni. – Odwrócił się do wuja i uściśnął go mocno. – Dziękuję ci, wujku. Przyjdę do was w niedzielę.

– A tymczasem masz to. – Ned wcisnął mu do ręki sześciopensówkę. – Bierz, może ci się przydać. Nie wiadomo, jak cię będą karmić, a tak kupisz sobie chleba albo pasztet. A jeśli będą cię źle traktować, musisz nam powiedzieć, wiesz o tym? Masz rację, nie jesteśmy już tak biedni, żeby każdy mógł nam wejść na głowę. I od nikogo nie będziemy znosić razów.

– Dam sobie radę – obiecał Rob.

Alinor wzięła go za rękę i ruszyli razem w stronę gościńca, zostawiając za plecami rozlewisko i drogę do młyna.

– Z Bogiem, siostrzeńcze! – zawołał za nimi Ned. – Niech ma cię w swojej opiece!



Po drodze zabrał ich węglarz, który wypalał węgiel w lesie na wyspie i wiozł go właśnie do miasta. Zrobił im miejsce obok siebie na koźle, żeby nie ubrudzili czystej odzieży o usmolone worki. Wysadził ich przy krzyżu, a sam pojechał dalej, ku wschodniej bramie, gdzie mieli swoje piece wytwórcy igieł.

Alinor i Rob poszli dalej ulicą Północną do domu aptekarza. Jak niemal wszędzie, pomieszczenie od frontu pełniło funkcję sklepu. Kiedy był otwarty, drewniane okiennice podparte do góry służyły jako zadaszenie nad kontuarem. W głębi stało trochę flaszeczek i fiolek, aparat do destylacji i piecyk do suszenia ziół i przypraw. Klientów obsługiwała żona aptekarza, szykowna w białym czepcu i fartuchu. Sama podawała pigułki i nalewała wywary, a męża wołała tylko wtedy, kiedy trzeba było coś doradzić. Robiła też kordiały i rozcieńczała esencje. W browarze za domem warzyła specjalne aromatyczne piwa przyprawione ziołami na wspomnienie trawienia, na poty albo przeciw zmęczeniu.

Alinor zastukała do drzwi i weszła. Rob poszedł w jej ślady, mrugając oczami, bo po jasnej ulicy wewnątrz domu wydawało się zupełnie ciemne.

– A, pani Reekie – powiedział aptekarz.

– Dzień dobry, pani Reekie – odezwała się jego żona. – To jest wasz syn?

Alinor cofnęła się o krok, ale nie musiała wypychać Roba do przodu, jak w zeszłym roku. Sam się zbliżył; z pewnością siebie, której nabył we dworze, uklonił się gospodyni i swemu nowemu mistrzowi, po czym rzekł grzecznie:

– Jestem Robert Reekie. Dziękuję, że przyjął mnie pan na naukę.

Alinor dostrzegła uśmiech aptekarzowej. Najwyraźniej uroda i manieri chłopca zrobiły na niej wrażenie. Pan Sharpe podał mu rękę. W tym samym czasie brzęknął dzwonek nad drzwiami i do sklepu wszedł pan Tudeley, rządcą Priory.

– Dzień dobry, dobry dzień. Cieszę się, że jesteście o czasie, kumo Reekie, Robercie. Witam, mistrzu Sharpe. Umowa o przyjęcie do terminu gotowa?

– Gotowa. – Pan Sharpe wyjął z księgi rejestrowej pergamin, na którym wyraźnym urzędniczym pismem były już wpisane nazwiska jego i Roberta. Położył go na stole i przycisnął rogi mosiężnymi odważnikami, tak że wszyscy mogli zobaczyć budzący podziw dokument opatrzony wstęgą z pieczęciami w czerwonym wosku. Rob podszedł i ujął pióro. Alinor patrzyła z miłością, jak wprawnie i czysto złożył swój podpis. Jego niepiśmienny ojciec składał na dokumentach koślawy krzyżyk. Następnie podpisał się pan Tudeley jako patron Roba, a po nim pan Sharpe jako pracodawca i mistrz cechowy, który zobowiązał się równocześnie, że po ukończeniu terminu wprowadzi Roberta do cechu aptekarzy miasta Chichester.

Na końcu Alinor złożyła swój podpis jako wdowa Reekie, matka i opiekunka Roberta, akuszerka.

– Gotowe – oznajmił pan Tudeley. – Robercie, spodziewam się, że przyniesiesz chlubę Priory i swojej matce.

– Obiecuję! – Rob wyprężył się jak struna. – Proszę podziękować jego lordowskiej mości, że dał mi taką wspaniałą możliwość.

– Na pewno chcielibyście zobaczyć, gdzie będzie spał – zagadnęła półgłosem pani Sharpe.

– Będę wdzięczna – przyznała Alinor.

Aptekarzowa poprowadziła ich na piętro, gdzie nad sklepem urządzono dwa pokoje. Stąd drabina biegła na strych, gdzie w mniejszej izdebce pod skośną połacią dachu sypiała służąca, a drugą, naprzeciw, miał zająć Rob. Stłoczyli się

we trójkę w małym pomieszczeniu. Alinor schyliła się i wyjrzała na ulicę przez niskie okienko.

– Będzie jadł przy naszym stole – powiedziała pani domu – i raz w miesiącu w niedzielę dostanie wychodne.

– A czy będę mogła go odwiedzić, kiedy przyjdę na targ do miasta? – spytała Alinor.

– Tak, jeśli nie będzie zajęty pracą. Ale proszę przyjść do sklepu. Nie puścimy go do miasta na spotkanie. Mieliśmy już uczniów. Muszą się najpierw oswoić z nowym miejscem.

– Rob mieszkał już poza domem – uspokoiła ją Alinor. – Minione dwa kwartały przesłużył w Priory. Ale bardzo jestem państwu wdzięczna, że będzie mógł wrócić do domu w niedzielę na ślub siostry.

– Wychodzi za młodego Stoneya, prawda?

– Tak.

– Mówił mi pan Tudeley, kiedy był u nas w sprawie terminu Roba. To radość dla matki, kiedy może być dumna z obojga dzieci!

Zeszli po drabinie, a potem po schodach do sklepu. Pana Tudeleya już nie było, poszedł, biorąc ze sobą upominek – saszetkę płatków różanych. Alinor dygnęła przed aptekarzem, a jego żonę ucałowała w oba policzki. Rob odprowadził ją do drzwi i wyszedł na próg, żeby się pożegnać.

Przyjrzała się synowi. Głową sięgał jej już do ramienia. Pomyślała, jakie to dziwne: niby wciąż jest jej maleństwem uczepionym spódnicy i związanym tak blisko, że prawie z nią zrosniętym, a przecież to już prawie młodzieniec. Jakie ma mocne ramiona, jaką pewność w obejściu! Przyswoił sobie olbrzymią książkową wiedzę, której ona nigdy nie pozna; nabył manier, których jej nikt nie nauczył. Wzniesie się ponad swój stan, oddali od niej i powinna być szczęśliwa z tego powodu. Jej zadaniem jako matki nie było już chronienie go i hołubienie: musi go wypuścić i pozwolić mu wzlecieć, jak sokolnik, który wypuszcza w przestworza pięknego ptaka.

– Niech Bóg ma cię w opiece, Rob – wyjąkała głosem schrypniętym z emocji.

– Bądź grzeczny i dawaj mi znać, jak ci się wiedzie. Wyślesz mi wiadomość, czy wszystko jest porządku?

– Nie martw się o mnie – odparł wesoło. – W niedzielę będę u was na ślubie Alys!

Czekał. Sharpe'owie w sklepie też czekali, aż odejdzie. Wiedziała, że musi to zrobić, ale jej stopy dosłownie wrosły w ziemię.

Rob ucałował ją w policzek.

– Idź, mamó – powiedział jak dorosły mężczyzna. – Idź. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Uśmiechnęła się przez łzy, odwróciła i ruszyła z powrotem.



Krzyż Targowy stał w samym środku miasta. Na rozbiegających się stąd ulicach kłębił się tłum; przeciskali się przezeń objuczeni towarem posłańcy, handlarze rozstawiali kramy, a niektórzy po prostu stali z koszem na ramieniu lub tobołem u nóg i głośno wykrzykiwali, co mają na sprzedaż. Alinor naciągnęła głębiej kapuzę, kryjąc twarz. Podeszła do stopni krzyża i nagle spostrzegła obok siebie Jamesa Summera, który pojawił się znikąd.

Bez słowa ujął ją za rękę i pociągnął do pobliskiej gospody. Zawahała się w drzwiach.

– Nie mogę tam wejść – zaprotestowała ze zgrozą. – Gdyby ktoś mnie zobaczył...

– To nie jest karczma – sprostował. – To przyzwoity zajazd. Posilają się tutaj panie w podróży. Nikt...

– Ludzie wezmą mnie za ladacznicę, jeśli wejdem tam z tobą!

– Nic podobnego! Popatrz... – Jakaś rodzina, która właśnie wysiadła z powozu, przeszła przez sień do osobnej jadalni, nawet nie patrząc w jej stronę. – Moja matka jada w gospodach – przekonywał. – Nie ma w tym nic zdrożnego.

– Moja stopa nigdy nie powstała w takim miejscu – opierała się.

Uświadomił sobie, że biedna wieśniaczka, która nigdy nie była na stacji dyliżansów, nie zrozumie różnicy między ordynarną wiejską karczmą a szacownym zajazdem w małym mieście takim jak Chichester. Musiał uzbroić się w cierpliwość i stopniowo wprowadzać ją w świat.

– Alinor, proszę. Musimy wejść gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać. Chodź. Przysięgam, że nikt cię tu nie zobaczy, a jeśli nawet, to się nie zgorszy. Musisz mi zaufać. Pozwól, że zadecyduję za ciebie, teraz i w przyszłości.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do wynajętego wcześniej stołu w rogu jadalni. Stał tam już talerz z chlebem i mięsiwem i dwa kubki grzanego piwa korzennego.

Przysiadła nerwowo na skraju krzesła, które dla niej wysunął, i obrzuciła wnętrze zaleknionym spojrzeniem. Zdusił irytację. Ta Alinor nie była ani czarodziejką, którą spotkał na kościelnym dziedzińcu, ani swobodną rybaczką, smażącą połów na patykach. Tu stała się tylko ubogą kobietą, przerażoną, jak inni ją osądzą.

– Robert zaczął już pracę? Jesteś zadowolona z tego miejsca? – Złapał się na tym, że mówi głośno, jakby była przygłucha albo niedorozwinięta.

Sięgnęła po parujący kubek i ścisnęła go w zziębniętych dłoniach.

– Tak, tak – powiedziała. – Myślę, że będzie mu tam bardzo dobrze. To dobry fach. Aptekarzowa warzy własne... – Urwała, widząc jego spochmurniałą twarz i pojmując, że praca Roba w istocie niewiele go obchodzi. – Ale co ci będę o tym wszystkim mówić.

– Musimy postanowić, co dalej.

Pokiwała głową, odstawiła kubek i splotła ręce na podolku. Nie upiła nawet łyka. James zdał sobie sprawę, że jego obojętność wobec Roba ją dotknęła. Wymuszony spokój miał ją chronić jak gruby płaszcz.

– Postanowiłaś się nie martwić? – rzucił.

– Oczywiście, że się martwię. – Uśmiechnęła się blado. – Dniem i nocą myślałam o tobie. Gdybym mogła ci przesłać wiadomość, zrobiłabym to. Nie sypiałam po nocach, zastanawiając się, co powiesz. Nie zamierzałam rzucać ci tego w twarz, ale jak inaczej miałam to powiedzieć? Przez cały czas czekałam, mając tylko nadzieję, że wrócisz.

– Kochana moja... – Teraz, kiedy patrzył na jej świetlistą urodę, która opromieniała ubogą odzież i dziwnie nie pasowała do tego prowincjonalnego zakątka, uciekły mu słowa, które pieczołowicie składał nocą, przygotowując się do tej rozmowy. Prosił wówczas Boga o wskazówkę, wiedząc równocześnie, że jego modlitwa to grzech. – Wyobrażam sobie przyszłość z tobą, ale nie z tym dzieckiem. To wykluczone.

Widział, jak powoli dociera do niej znaczenie jego słów. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. Spojrzenie ciemnoszarych oczu pobiegło w dół, na znoszone buty, i dopiero potem wróciło do jego twarzy.

– Bez dziecka. To co chcesz, żebyśmy zrobiła?

Nagle poczuł się niezręcznie.

– Naprawdę nie możesz wziąć czegoś, żeby się go pozbyć?

– Nie – odparła. – Nic na tym świecie nie sprawi, że dziecko ot tak zniknie.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Wiem tylko, że nie warto bawić się słowami.

James napił się ciepłego słodkiego piwa, żeby ukryć narastającą złość.

– Nie bawię się słowami. Chodzi o to...

– Strach nawet o tym mówić. A tym bardziej zrobić coś takiego – szepnęła, jakby dała się przekonać.

– Ale nie jest za późno, żeby coś zrobić?

Pokręciła głową, patrząc mu z powagą w oczy.

– Nigdy nie jest za późno, żeby coś zrobić. Są kobiety, które duszą dziecko po urodzeniu i mówią, że przyszło na świat martwe. Tego chcesz?

– Nie! – prawie krzyknął i rozejrzał się wokół zażenowany. Na szczęście nikt nie zwrócił na niego uwagi. – Ale zrobisz coś teraz? Dla nas? Żebyśmy mogli żyć razem?

– Jeśli zrobię, będziemy mogli żyć razem?

Nie mógł uwierzyć, że wygrał tak łatwo.

– Przysięgam. Pójdę z tobą teraz do katedry i przyrzeknę ci to przed Bogiem.

– Chcesz, żebym je zabiła. – Twarz Alinor była jak z kamienia.

– Dlatego, żebym mógł być z tobą.

Odetchnęła płytko, z drżeniem, i powoli pokręciła głową, jak gdyby nie miała dość sił w bladych ustach, by przemówić.

– To diabelski targ – rzekła w końcu. – Nie. Nie mogę.

– Bo uważasz to za grzech? Wyjaśnię ci...

– Nie – wpadła mu w słowo. – Bo nie zniosłabym tego, obojętnie, czy to jest grzech przeciwko Bogu, czy nie, jak twierdzisz. To byłaby... – Przez chwilę szukała słowa. – Obraza. Nie tylko obraza boska, także wobec mnie. I zbrodnia przeciw mnie samej.

– To nie ma znaczenia...

– Dla mnie ma. A w tej sprawie i ja mam coś do powiedzenia.

– Będziemy mieli inne dzieci.

– Nie – przerwała mu. – Żadne dziecko nie zagnieździ się w łonie, w którym otruto jego brata.

– To przesąd! – Zaśmiał się przez ściśnięte gardło. – Zabobonne brednie!

Nie odpowiedziała. Siedzieli w milczeniu, czekając, aż to drugie odezwie się pierwsze.

– Czy ty wiesz, co mówisz? – rzekł w końcu, sięgając po najcięższy argument, jakiego mógł wobec niej użyć. – Nie przyjdiesz do mnie. Nie zostaniesz moją ukochaną żoną. Wolisz tę... tę nicość, tę nędzę ode mnie? Odrzucasz naszą wspólną przyszłość i to, co moglibyśmy zrobić dla Roba i Alys? Pozwolisz, żeby nazywano ich dziećmi bez ojca albo jeszcze gorzej, kiedy mogliby być pasierbami baroneta? Masz ich za nic, tak samo jak mnie?

Przez chwilę myślał, że Alinor zemdleje, tak strasznie zbladła. Wydawało mu się jednak, że musi być okrutny dla ich wspólnego dobra.

Nie docenił jej. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał dźwięcznie i mocno:

– Tak, jeśli nie mam innego wyjścia.

Znów zamilkli, jakby przytłoczył ich ciężar wypowiedzianych przez nią słów. Jamesem targała pełna niedowierzania rozpacz; czegoś takiego nie przeżył nawet po śmierci króla.

– Alinor – zaczął jeszcze raz – moja rodzina jest poważana. Nie mogę przysposobić dziecka noszącego nazwisko twego męża, choćbym chciał. Nie mógłbym wtedy nazwać cię żoną.

Kiwnęła głową. Jej dłoń zaczęła macać za kubkiem. Zrozumiał, że płacze, łzy zaćmiły jej wzrok, ale trzymała głowę nisko, żeby tego nie widział.

– Odzyskam dom i będę w nim mieszkał bez ciebie – rzekł twardo, jakby jej żal tylko wzmógł w nim zawziętość – i nigdy cię już nie zobaczę. Skazujesz mnie na samotność, a marzyłem o szczęściu razem z tobą. O tym, że się z tobą ożenię.

Jej dłoń znalazła kubek i zacisnęła się wokół niego. Nawet poryte szramami palce były białe.

– Kochałem cię bardziej niż kogokolwiek na świecie, a będę musiał przeżyć całe życie bez ciebie – dodał.

Znów kiwnęła głową bez słowa.

– Poślubię jakąś kobietę, żeby spłodzić z nią syna i zachować ciągłość rodu. Ale nigdy nie pokocham jej tak jak ciebie i do śmierci będę za tobą tęsknił.

Ręka drżała jej tak mocno, że ciepłe piwo bryznęło na spódnicę.

– Tego chcesz? – zapytał z niedowierzaniem. – Tego chcesz dla mnie? Takiej męki?

Przy stole stanęła posługaczka z gospody.

– Smakuje? – spytała głośno, niwecząc urok, którym James próbował spętać Alinor. – Podać jeszcze piwa?

– Nie, nie trzeba. – Odprawił ją gestem. Zwrócił się do Alinor: – Powiedz, że kochasz mnie tak jak ja ciebie. Bardziej niż cokolwiek na świecie.

Podniosła wreszcie głowę i zobaczył, że w jej pociemniałych oczach wciąż szklą się łzy.

– Nie zniżyłabym się do poślubienia dzieciobójcy – oznajmiła, nie przebierając w słowach. – To, co mi proponujesz, to żaden zaszczyt. Jeśli jesteś człowiekiem, który nie zawahałby się zabić własnego dziecka, nim się urodzi, to nie jesteś tym, za kogo cię miałam. Nie chcę takiego męża.

Wzdrygął się, jak gdyby uderzyła go w twarz.

– Nie waż się mnie osądzać! – wybuchnął.

Potrząsnęła głową, bynajmniej nie zalękniona.

– Nie osądzam. Właśnie mówię, że się z tobą zgadzam. Ty nie przyjmiesz mnie z dzieckiem, które noszę, ja nie przyjdę do ciebie bez niego. I tak każde z nas przegrało. – Wstała z krzesła.

Zerwał się i położył jej rękę na ramieniu.

– Nie możesz tak po prostu wyjść!

– Nie mogę zostać – odparła cicho.

– Chodzi o to, że...

Wciąż nie mógł pojąć, jak zdołała mu się oprzeć, odrzucić jego majątek, nazwisko i miłość. Nie potrafił uwierzyć, że odmówiła jemu, a wybrała coś tak mało istotnego – coś, co jeszcze nie było nawet dzieckiem, a tylko zaczątkiem człowieka, ledwie obudzoną iskrą życia. To coś było niczym, znaczyło tyle, co kurze jajo, które mógłby zjeść na śniadanie, a jednak stanęło pomiędzy nim a Alinor, i to ona tak postanowiła. Trudno było przewidzieć, że przedłoży hańbę i nędzę z bękartem nad dostatek i wygodę, które mógł jej zapewnić. Nad jego nazwisko, jego dumę i honor.

– Ale ja cię kocham! – wybuchnął.

W uśmiechu, którym go obdarzyła, rozlewał się ocean smutku.

– Och, ja też cię kocham – odparła. – Zawsze będę cię kochać. To będzie mi pociechą, kiedy odjedziesz do swojego pięknego domu, a ja zostanę tu sama.

Bez dalszych słów odwróciła się i odeszła, jakby nie był szlachcicem, synem magnata, jakby nie był jej szansą na cud: na małżeństwo z bogaczem, który uratuje ją przed hańbą. Wyszła, nie oglądając się za siebie. Odeszła, jakby przestał dla niej istnieć, a on został za nakrytym stołem w najlepszym zajeździe w Chichesterze.



Alinor szła do domu jak we śnie, machinalnie stawiając jedną stopę przed drugą. Tym razem nikt jej nie podwiózł, zresztą mijał ją tylko jeden wóz, którego nawet nie spostrzegła. Zaczął prószyć śnieg, białe drobiny wirowały wokół niej jak kurz. Naciągnęła kapuzę na głowę i ramiona. Nie czuła zimna; nie zauważyła nawet, że pada.

Widziała swoje nogi w zniszczonych buciorach. Człapały miarowo drogą prowadzącą na południe przez wioskę Hunston, przez Street End. Lewy but, ten przyciasny, znów zaczął ocierać piętę. Owinęła się mocniej płaszczem i przełożyła kosz z jednej skostniałej ręki do drugiej. Nie czuła ciężaru w tej ani drugiej dłoni, nie czuła nawet, że bolą ją plecy.

Po godzinie przysiadła na kamieniu milowym, żeby trochę odpocząć. Patrzyła, jak płatki śniegu pstrzą brunatną wełnę sukni. Po chwili wstała, strzepnęła je ze spódnicy i otrząsnęła oponczę, znów się nią owinęła i ruszyła dalej. Nie zwróciła uwagi, że zgrabiałe ręce są tak samo białe jak śnieg, a nierówne paznokcie przybrały siny odcień.

Prom cumował po przeciwnej stronie rozlewiska. Uderzyła nowym drągiem w wiszącą podkowę. Ned otworzył górną połowę drzwi, wyrżał na zewnątrz, a potem wybiegł, osłaniając płachtą głowę i ramiona.

Łokieć za łokciem przeciągnął prom na jej stronę i przytrzymał go na fali pływowej, żeby wsiadła.

– Przyniosłaś ze sobą śnieg – zauważył.

– Szedł ze mną przez całą drogę – odparła, stawiając ostrożnie stopę na kołyszących się deskach.

Zauważył, że nie uchwyciła kurczowo jego ręki ani relingu, jak zwykle robiła. Uznał, że rozstanie z Robem wytrąciło ją z równowagi.

– Jak tam nasz chłopak? Będzie mu u nich dobrze?

– Na pewno – odparła. – To porządni ludzie.

– Czyli nie żal ci było go zostawiać?

– Tylko troszeczkę. – Uśmiechnęła się do niego smętnie. – Bo nie rzucił mi się na szyję i nie płakał, żebym została.

– Zuch – orzekł Ned. – Da sobie radę.

– W to nie wątpię.

Przesuwając dłonie po sztywnej od mrozu linie, doprowadził prom z powrotem na wyspę i przytrzymał go przy pomoście. Alinor lekko wyskoczyła na brzeg. Porządnie zaciągnął cumę i razem weszli przez półotwarte drzwi. Alinor zdjęła opończę i wytrzepała ją ze śniegu na zewnątrz, a potem powiesiła na kołku. Odstawiła koszyk i ogrzała dłonie przy pełgającym na kominie ogniu. Każda czynność była tak znajoma, tak odruchowa, że mogła wykonywać je bezmyślnie. Łatwiej było nie myśleć w ogóle.

– Zagrzać ci piwa? – Ned obserwował spod oka jej stężoną twarz, zastanawiając się, czy naprawdę jest tak spokojna, jak się wydaje, czy za chwilę wybuchnie płaczem.

– Oj, tak – szepnęła z wdzięcznością. – Przemarzłam na kość.

– Nie miał cię kto podwieźć? – spytał, pewien, że wyczerpała ją droga.

– Nikt nie jechał w tę stronę.

– To na pewno jesteś zmęczona. – Zawiesił głos, czekając, aż się odezwie, lecz Alinor milczała.

Rozpalony pogrzebacz wetknięty do dzbana z piwem zasyczał wściekle. Ned nalał po kubku jej i sobie.

– To ci powinno przywrócić rumieńce – bąknął.

Nie odpowiedziała. Oplotła zimnymi palcami kubek i pociągnęła łyk, wpatrzona w skaczące na palenisku jęzory ognia.

– Alinor, czy stało się coś złego? – spytał z obawą.

Westchnęła, jak gdyby szykowała się do tego, żeby wyznać mu wszystko. Ale tylko uśmiechnęła się do niego nad parującym kubkiem i szepnęła:

– Nic takiego.



W poniedziałek Richard i Alys wrócili od Stoneyów późnym wieczorem i rano we wtorek Alys nie mogła się dobudzić. Usiadła w kuchni półprzytomna, z głową zwieszoną nad owsianką, i tylko fuknęła na wuja, kiedy spytał, czy będąc przewoźniczką, także przesypiała poranny przypiływ.

– Nie poszłabyś ze mną dziś do młyna? – zwróciła się do matki. – Stara robi pranie.

Dni prania we młynie były głośnie, jako że pani Miller miała wówczas jeszcze gorszy humor niż zwykle.

– Ojej! – Alinor uśmiechnęła się. – Nie dziwię się, że wolisz mieć towarzystwo.

– Poza tym zapłaci nam za jajka. Jej kury słabo się niosą. Nawet one nie mogą z nią wytrzymać.

Ned usiadł na stołku u szczytu stołu.

– Zebrałaś już swój posag? – spytał.

– Większość.

– Mam tu pięć szylingów, które ci obiecałem. Dostaniesz ode mnie jeszcze pięć.

– Wezmę z pocałowaniem ręki – odparła z uśmiechem dziewczyna. – A w sobotę dostaniemy wypłatę za cały tydzień.

– Matkę też obrabujesz z wypłaty?

– Wujku, muszę. – Alys spoważniała. – Oddam jej co do grosza. Kiedy już będę panią na gospodarstwie, co dzień będę dawać jej prezenty.

– Olejek różany. – Alinor wymieniła ten jeden składnik, na który nigdy nie było jej stać u zielarza na targu w Chichesterze. – Będę się kapać w olejku różanym.

– Ech! Obie jesteście stuknięte. – Ned machnął ręką. – Chodźcie, przewiozę was na drugą stronę.



W środę chłopak, który opiekował się żywopłotem, zachorował. Obie spędziły większość dnia w gęstym błocie albo wodzie po kostki, strzygąc, oblamując i splatając niesforne gałązki. Ręce im krwawiły z licznych zadrapań.

Alys wyprostowała się i skrzywiła z bólu.

– Ależ mnie łupie w krzyżu – jęknęła.

– Odpocznij – zachęciła ją matka. – Ja dokończę.

– Nie jesteś zmęczona?

– Nie – skłamała Alinor. – Prawie wcale.

– Akurat. Ja to skończę. – Z posepnym westchnieniem Alys schyliła się ponownie, siekąc i zginając sztywne pędy.



W piątki we młynie robiono sery. Alinor spędziła cały dzień w lodowatej mleczarni, zbierając śmietaną, ubijając masło i wyciskając świeże gomółki

twarogu. Wszystko musiało być gotowe przed wieczorem, bo o świcie w sobotę młynarzowa wiozła towar na targ w Chichesterze. Alys tymczasem wzięła na siebie ciężkie prace na zewnątrz. Uporawszy się z porannymi obowiązkami, przyszła pomóc matce. W zimnym pomieszczeniu ręce czerwieniały i zaczynały boleśnie rwać. W południe, kiedy Millerowa uderzyła w dzwon na podwórzu, weszły do kuchni, na przemian zacierając dłonie i wtykając je pod pachy, żeby przywrócić czucie zziębniętym palcom. Richard Stoney i drugi pomocnik z młyna usiedli naprzeciw z twarzami ściągniętymi od mrozu. Miller zmówił modlitwę dziękczynną za swój hojny obiad i pochylił się w milczeniu nad jedyną na stole golonką. Jego żona, siedząca u szczytu stołu między Jane i małym Peterem, jadła biały chleb i miękki tłusty ser. Dla reszty były okrawki twarogu i ciemny bochenek z pieca we młynie.

Pojadłszy, młynarz od razu wyszedł, żeby jego pomocnicy pracujący na mrozie nie zrobili sobie za długiej przerwy. Richard mrugnął do Alys, skinął głową obu starszym kobietom i ruszył za nim.

– Same warzycie weselne piwo? – zwróciła się młynarzowa do Alinor.

– Jutro będę je sycić i zlewać. Myślę, że będzie bardzo dobre. Pan Stoney zabierze je, jadąc do kościoła rano w niedzielę.

– Stoneyowie dobrze karmią. Masz szczęście, dziewczyno. – Ta uwaga była skierowana do Alys, która przytaknęła, zmuszając się do uśmiechu. Spoglądając znów na Alinor, Millerowa dodała: – Wątpię, czy zgodziliby się na ten ślub, gdyby dziewczyna nie pracowała u mnie. Wiedzą, że dobrze ją wyszkoliłam.

– W ogóle by się nie poznali, gdyby tu nie pracowała – pisnęła Jane, włączając się do rozmowy.

Alinor napała lekko ramieniem na ramię córki, dając jej znak, żeby się nie odzywała.

– Tak – powiedziała. – Obie jesteśmy wam wdzięczne.

– A najlepszy dowód, że powierzyli nam swojego jedynaka – ciągnęła gospodyni. – Żaden inny młyn w Sussexie nie był dla nich dość dobry.

– Długo będę pamiętać wasze dożynki. – Alinor postanowiła zmienić temat. – Kiedy tych dwoje młodych wprowadziło ostatni plon. Ach, to był piękny dzień!

Zamierzała odwrócić uwagę młynarzowej ku czemuś innemu, czym by się mogła chełpić, lecz niechcący przywołała żywe wspomnienie Jamesa Summery i własnej urazy, gdy tak oschle ją wówczas potraktował.

Skłoniła głowę, jakby dziękowała za posiłek; w rzeczywistości chciała ukryć ból – tak ostry, że serce niemal stanęło jej w piersi. Z drżeniem zaczerpnęła powietrza. Zmusiła się do myślenia o serowarni i rzeczach, które jeszcze miała do zrobienia. Obiecała sobie, że nie będzie rozpamiętywać straty Jamesa ani biadać, jak sobie poradzi bez niego. Nie będzie myśleć o niczym, w każdym razie do niedzielnych zaślubin. Dopiero później, kiedy córka będzie już zamężna i bezpieczna, przyjdzie czas na to, by trzeźwo i bez złudzeń przyjrzeć się ruinie, jaką zrobiła ze swojego życia.

– Zawsze urządzam najlepsze dożynki – oznajmiła z dumą młynarzowa. – Sir William sam to przyznał. Mówi, że woli świętować u nas niż gdziekolwiek indziej w całym hrabstwie. Pamiętajcie, że przyprowadził nawet tego nauczyciela... jak mu było? Summer?

– Tak – potwierdziła ze spokojem Alinor. – Pan Summer. Chcecie zobaczyć masło, zanim włożę je do fasek?

Pani Miller podniosła się od stołu, każąc Jane i Alys sprzątnąć.

– Pomyjcie naczynia – rzuciła na odchodnym i wyszła z Alinor, starannie zamykając za sobą drzwi, żeby ciepło nie uciekło z kuchni.

W mleczarni było zimniej niż w dworskiej lodowni; prawie tak zimno jak na zewnątrz.

– Dobre – stwierdziła gospodyni, zaglądając do maselnicy, gdzie blade, tłuste masło pływało w maślanec. – Ależ ci to poszło piorunem!

Alinor się uśmiechnęła. Szło szybko, bo ubijała prędzej i mocniej od młynarzowej, choć ta nigdy by tego nie przyznała.

– Nieraz mówię mężowi, że musisz czynić jakieś uroki nad mlekiem – mówiła właśnie. – Oczywiście dobre uroki, nigdy bym nie twierdziła inaczej...

– To dobre tłuste mleko – rzekła lekko Alinor. – Niepotrzebne mu żadne uroki. Jeśli pozwolicie, to porobię kostki na targ.

– Tylko nie za duże – zastrzegła młynarzowa. – Po funcie. Nikt nie będzie rozdawać masła za darmo.

– Oczywiście – zgodziła się Alinor cierpliwie.

– Lepiej nawet trochę lżejsze niż za ciężkie. Na targu i tak nikt ich nie waży.

– Oczywiście. Pozawijam je.

– Przyjdiesz w sobotę załadować wóz?

– Tak – odparła Alinor. – Alys też przyjdzie. Chcecie, żebyśmy zostały do wieczora?

– Dopilnujcie młyna i gospodarstwa, kiedy będziemy na targu. Przed wieczerzą będzie odpływ, ale nie proszę, żebyście otworzyły przepust i zakręciły kołem.

Alinor uśmiechnęła się na ten kiepski żart. Drzwi od kuchni się otworzyły i zajrzała przez nie Alys.

– Mam pozbierać jajka?

– Jeszcze tego nie zrobiłaś? – fuknęła ze złością młynarzowa. – Tak, i to natychmiast, leniwa dziewucho!



W sobotę rano Alinor wstała o świcie, żeby po raz ostatni precedzić weselne piwo. Alys przyszła jej pomóc i obie z lubością wciągnęły mocny drożdżowy zapach.

– Dobrze będzie – powiedziała z satysfakcją Alinor.

Ned wetknął głowę w drzwi izby.

– Tylko żeby nie było za mocne! – pogroził im palcem.

– To weselne piwo – odparowała siostra. – Będzie takie, jakie ma być.

– Nie życzę sobie pijaństwa ani rozpustnych zabaw – ostrzegł.

– Za kogo ty mnie uważasz? – oburzyła się.

– Za kobietę, którą nęcą dawne obyczaje, i sama dobrze o tym wiesz. To ma być pobożne, ciche i przyzwoite wesele.

– Bez piwa? – zmartwiła się Alinor. – Mam je wylać do kanału?

– Bez wina – uściślił – a zwłaszcza okowity.

– W takim razie – oznajmiła z powagą Alinor – będę musiała ubłagać panią Stoney, żeby choć ten jeden raz nie zaglądała do butelki.

Ned mimo woli parsknął śmiechem. Stoneyowa zdążyła mu już zaimponować swoim posępnym purytanizmem.

– To pobożna kobieta – zganił siostrę. – Nie wypada z niej kpić.

– Przecież wiem! – fuknęła i jeszcze raz porządnie zamieszała weselne piwo, a potem narzuciła oponczę i poszła do młyna.

Pod drzwiami mlecarni stał już zaprzężony wóz wyścielony czystym sianem. Prószył śnieg i było na tyle zimno, że masło można było ładować w koszykach bez obawy, że zmięknie. Oprócz masła Alinor, Alys i Jane zapakowały na wóz wielkie krągłe sery i kosze pełne jajek. Na koniec z domu wyszła młynarzowa

okutana po same oczy w futra, jak gdyby wybierała się do Rosji. Zajęła miejsce na ławce, a Peter i Jane usiedli obok niej.

Pan Miller pośpiesznie usiadł na koźle. Wiedział, że jego żona nie lubi marnować czasu.

– Dobrego dnia! – zawołał do Alinor, do Alys zaś się uśmiechnął. – Pilnujcie gospodarstwa. Będziemy w domu przed wieczerzą!

Praca we młynie bez ciągłych krytycznych uwag gospodyni i skrycie lubieżnych spojrzeń gospodarza była prawie tak miła jak praca we własnym obejściu. Richard z drugim pomocnikiem wyrzucili gnój z obory, w której stały woły do orki, a kobiety naniósłły im strawy i wody. Potem wypuściły konie na zmrożone pastwisko na parę godzin, w czasie których młodzieńcy oporządzili stajnię. Alinor pompowała wodę do wiader, Alys je nosiła. Wypucowały psiarnię i kurnik, kojec dla gęsi i przegrody dla krów. Potem je wydoiły i zaniósłły skopki do mleczarni. Wybrały jajka z kurnika i rozejrzały się jeszcze po ciepłych zakamarkach obory, gdzie kury lubiły się czasem nieść. Tym razem nie znalazły ani jednego jaja; młynarzowa wybrała rano wszystkie na sprzedaż. Każda napotkana złamana gałąź znalazła się na stercie na podwórzu, gdzie parobek łamał je na podpałkę, a grubsze rąbał.

Rozpaliły w piecu chlebowym, żeby przed wieczorem ludzie z wioski mogli w nim upiec własny chleb albo podgrzać wieczerzę w wielkiej duchówce. Alys zaczęła ciasto na świeże bochenki. Pracowały przez cały dzień, aż w końcu słońce zaczęło tonąć w bagnie po zachodniej stronie wyspy i Alinor rzekła z ulgą:

– Czas do domu.

– Nigdzie nie pójdę bez wypłaty – sprzeciwiła się Alys. – Potrzebuję pieniędzy na jutro.

– Alys, ile dokładnie nazbierałaś tego posagu? Bo jutro rzeczywiście musimy mieć całą sumę. Nie odwołają ślubu, jeśli braknie szylinga, ale wyszłybyśmy na takie, co okradają bliźnich na stopniach kościoła.

– Richard dołoży mi to, co braknie, ale chcę jak najwięcej zebrać sama. Dlatego potrzebna mi dzisiejsza wypłata, tym bardziej że pracowałyśmy tak ciężko. Richard też da mi swoją.

Alinor miała właśnie odpowiedzieć, gdy od bramy dobiegło wołanie i turkot kół. Alys pobiegła otworzyć i zawołała do matki:

– Patrz, kogo przywieźli z Chichesteru!

– Kogo? – Alinor poderwała głowę, dziwnie pewna, że to James Summer jawnie i sławnie po nią przyjechał.

– Roba!

– Rob, syneczku! – zawołała, pędząc do bramy.

– Ładne rzeczy – pokpiwał dobrotliwie młynarz. – Myślałby kto, że chłopak wrócił z Afryki! Ledwie tydzień go tu nie było!

– Ale myślałam, że wróci dopiero jutro na ślub siostry! – wykrzyknęła Alinor.

– Jakże ci się tam wiedzie, synku? Jak minął pierwszy tydzień?

Rob, wystrojony i roześmiany od ucha do ucha, wyskoczył z wozu, uściskał matkę i pośpiesznie przed nią przykląkł, a potem wycałował siostrę.

– Pani Millerowa przyszła do apteki po trutkę na szczury i od razu zapytała pana mistrza, czy mogłaby mnie zabrać na wyspę, a ten natychmiast się zgodził – trajkotał. – Mam się stawić do pracy w poniedziałek o ósmej rano, więc zostanę nie tylko na weselu, ale jeszcze na noc!

– Bardzo to wielkodusznie z waszej strony. – Rozradowana Alinor zwróciła się do młynarzowej. – Prawdziwie po sąsiedzku. Serdecznie wam dziękuję.

– Ach, drobiazg. – Kobieta machnęła ręką z niezwykłą u niej serdecznością. – Rob to nader udany młody człowiek i możesz być z niego dumna. Tutaj wszystko w porządku?

– Tak. Upiękłyśmy wam pasztet na wieczrę. Nie wiedziałam, czy zjecie na targu.

– Małżonek się ugościł aż za dobrze. – Millerowa ruchem głowy wskazała męża, którego czerwona twarz i wesolutki uśmiech świadczyły, że sporo czasu spędził w karczmie przy rynku w czasie, gdy jego rodzina handlowała nabiałem.

– Ale my z chęcią coś zjemy.

– Ja też chętnie zjem pasztet naszej dobrej Reekie – włączył się radośnie do rozmowy młynarz. – Nikt nie robi takich pasztetów jak ona.

Alinor skrzywiła się lekko i pokręciła głową. Millerowa straciła dobry humor i pomaszerowała do kuchni. Kobiety wyprzęgły konia i odprowadziły go do stajni. Ciężkie chomąto i uzda wróciły na swoje miejsca na hakach. W tym czasie Richard z pomocnikiem przepchnęli wóz na miejsce i rozładowali zakupy. Millerowa nabyła kilka worów wełny do przędzenia, nowy zydel, kilka drewnianych misek i dwie puchowe poduszki.

– Wydała wszystko, co zarobiła – zwierzył się Alinor młynarz.

– Wstyďte się, panie Miller! – ofuknęła go lojalnie. – Wasza żona słynie na wyspie z gospodarności!

– A ta twoja młódka? – Młynarz z przyzwyczajenia klepnął Alys w pośladek.
– Będzie dobrą gospodynią u młodego Stoneya?

– Mam taką nadzieję. – Alinor przyciągnęła do siebie córkę, stając między nią a młynarzem.

– Koń pod dachem?! – krzyknęła Millerowa z wejścia do kuchni.

– Tak! – wrzasnął młynarz. – Ja już skończyłem na dziś robotę. One też. Może byś im tak zapłaciła?

Millerowa zniknęła w głębi domu i wróciła z szylingiem, dzienną pensją dla nich dwóch.

– Bardzo dziękuję – powiedziała Alinor i ruszyła z córką do bramy. Młynarzowa zawróciła do kuchni.

– Czy to jest w porządku? – spytał nagle młynarz. – Szyling za cały dzień, kiedy robiłyście dziś wszystko same?

– W porządku – odparła sucho Alinor. Miała ochotę dodać: „choć wiedząc, że dziewczyna wychodzi jutro za mąż, mogliście dorzucić od serca parę groszy”, ale ugryzła się w język. Stojący obok Rob zeszytniał. Ujęła go pod ramię i lekko ścisnęła.

– To wcale nie jest w porządku – oznajmił z pijackim uporem Miller. – Hej, Betty! Chodź no tu!

– Naprawdę wszystko jest w porządku, panie Miller – starała się go uciszyć Alinor. – Szyling za dzień, do zachodu słońca, jak było umówione. – Lekko popchnęła Roba w stronę bramy.

Millerowa stanęła w drzwiach, trzymając się pod boki.

– A któż to na mnie wrzeszczy, jakbym była dziewczką od krów? – spytała.

Rob uklonił się młynarzowi.

– Bardzo dziękuję za podwiezienie, panie Miller. Dobranoc, pani Miller. – Taktownie wycofał się za bramę i przystanął poza zasięgiem głosu, czekając na matkę.

Millerowa stanęła przed mężem, popatrując to na niego, to na Alinor.

– O co ten gwałt?

– Naprawdę bez potrzeby. – Alinor gwałtownie pokręciła głową. – Wszystko jest w porządku.

– Za mało im zapłaciłaś – zadudnił młynarz. – Matce i dziewczynie.

– Sześć pensów na głowę, jak zawsze.

– Ale... wyłączny zarząd! – wykrzyknął jak człowiek, który właśnie przypomniał sobie trudne słowo. – Wyłączny zarząd! Miały dziś całe gospodarstwo pod opieką. Powinny mieć stawkę placowego albo nawet rządcy. Pracowały jak mężczyzna. Jak dwaj mężczyźni!

– Chcesz, żebym zapłaciła kobiecie i dziewczynie jak placowym. – Głos młynarzowej ciął jak bicz.

– No nie... – wycofał się Miller. – Oczywiście, że nie. Ale powinny dostać więcej... a to śliczne dziewczątka jutro wychodzi za mąż.

Alinor omal nie syknęła. Rzucenie słowa „śliczne” w kamienną twarz młynarzowej było grubym błędem.

– Kto im płaci? – Podeszła bliżej i złapała męża za kołnierz koszuli, jakby go chciała udusić.

– No ty...

– A kto ich pilnuje, uczy, naprawia ich błędy i sprząta po nich cały bałagan?

Alinor odwróciła wzrok od stropionej twarzy gospodarza i spojrzała na różowe niebo nad zatoką. Popatrzyła na syna, który czekał za bramą, i bardzo zapragnęła być już z dziećmi w domu, przy wieczerzy.

– No ty – bąknął ponuro młynarz.

– I niech rzecz pozostanie między mną a nimi, bo tak będzie najlepiej. Żeby żaden chłop mi się nie wtrącał, zadając dopłat za śliczność!

Miller już przed dwudziestoma laty przegrał w starciu z żelazną wolą i chronicznym złym humorem swej ślubnej małżonki.

– Mówiłem tylko...

– Już ty lepiej nic nie mów, dobrze ci radzę. – Znacząco uniosła brwi.

– Konia trzeba zaobroczyć – mruknął jakby do siebie i wycofał się do stajni.

– A my musimy już iść – wtrąciła gładko Alinor.

– Stary dureń, ot co. – Millerowa westchnęła.

– Dobrej nocy, kumo. Do zobaczenia jutro w kościele.

– Dobranoc. – Odniósłszy zwycięstwo, młynarzowa odzyskała dobry humor.

– I niech ci Bóg jutro błogosławi, Alys.

Alinor z córką ruszyły duktem do przeprawy. Rob pobiegł przodem, ciesząc się jak dziecko, że będzie mógł grzmotnąć w podkowę.



MOKRADŁA, LUTY 1649 ROKU

Ślub zaplanowano skromnie. Młodzi mieli zostać połączeni świętym węzłem małżeńskim podczas zwyczajnego niedzielnego nabożeństwa u Świętego Wilfryda. Alys planowała wystąpić w najlepszej sukni z nową białą zapaską i nowym czepkiem z białego lnu; Richard w swoim najlepszym kubraku. Ned zobowiązał się poprowadzić pannę młodą do stołu, który zastąpił ołtarz, ceremonia bowiem miała się odbyć wedle nowego wzoru nakazanego przez parlament: Richard złoży krótką przysięgę, Alys zaś przyjmie na siebie powinności żony. Po nabożeństwie wszyscy przeprawią się przez kanał, spełnią toast na szczęście przy młynie i stamtąd pójdą do gospodarstwa Stoneyów, gdzie odbędzie się uczta weselna. Będą jedli i pili na zdrowie, aż w końcu młoda para uda się do łóża w dużej alkowie pod trzciniową strzechą.

Alys przez całą noc nie mogła zmrużyć oka. Dopiero kiedy kogut zapał w stodole, obwieszczając, że świt już bliski, obróciła się na bok, niecierpliwie westchnęła i zasnęła jak kamień.

Ranek w dniu ślubu był mroźny, lecz pogodny; lód pokrywający zatokę skrzył się bielą. Krążące nad nim mewy, jasne na tle niebieskiego nieba, stawały się niewidzialne, kiedy nurkowały nad pobieloną ziemią. Alys zbudziła się późno i pędem zbiegła po schodach do kuchni, gdzie na stole stała już owsianka. Od razu się zastrzegła, że nie weźmie płaszcza, tylko pójdzie do kościoła w sukni, nowym fartuchu i czepku.

– Zmarzniesz! – obruszyła się matka. – Musisz włożyć ciepłe okrycie.

– Niech marznie. – Ned wzruszył ramionami. – W końcu to jej ślub.

Po namyśle Alinor zezwoliła córce na tę samowolę, skoro tak się uparła.

– Niech ci będzie – mruknęła. – Tak to jest, kiedy ktoś bierze ślub w zimie.

I do tego ani kwiatka! Co to za bukiet z suszonych ziół!

– Nie przeszkadza mi to, jeśli wszyscy zobaczą mój nowy fartuszek.

– Dobrze, dobrze! – Alinor machnęła ręką. – Ale włożysz opończę na drogę wozem do Stoneyów.

– Włóżę! Obiecuję!

Rob zszedł ze stryszku w nowym kaftanie i świątecznych butach.

– Proszę, jaki elegancki kawaler! – Ned klepnął go w plecy. – To wielki dzień dla Ferrymanów.

Dzieci nie sprostowały, a Alinor, wiążąc troki opończy w pogrubiącej talii, pomyślała nagle, że już pewnie nie usłyszałyby nazwiska Reekie, gdyby nie było jej potrzebne dla malca, który miał się dopiero urodzić.

– Dobrze się czujesz, mamó? – spytał cicho Rob.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się do niego.

– Już tęskni za Alys, nim zdążyliśmy się jej pozbyć – wtrącił Ned.

Rob nie spuszczał wzroku z poblądłej twarzy matki.

– Na pewno nic ci nie dolega?

Alinor wstrzymała oddech. Od wczesnego dzieciństwa Rob potrafił wnikać pod powierzchnię zjawisk. Nieomylnie wyczuwał smutek i chorobę. Zastanawiała się, czy widzi jej złamane serce, czy odgadł istnienie swego przyrodniego brata.

Z uśmiechem pokręciła głową.

– Jest tak, jak mówi wuj – skłamała. – Opuszczacie dom w ciągu jednego tygodnia, a ja czuję się jak kura, której podebrano wszystkie jajka.

– Jutro będę razem z tobą pracować we młynie – wytknęła jej Alys. – Zobaczysz mnie już o świcie. A Rob wróci do domu przed Zwiastowaniem.

– Wiem, wiem. – Alinor znów machnęła ręką. – I naprawdę bardzo się cieszę za was oboje. Chodź, Rob, musisz zjeść śniadanie. Alys, zjadłaś cokolwiek?

– Nie mogę – przyznała dziewczyna. – Nie mam apetytu.

– Żeby tak się nie skończyło, że z głodu zemdlejesz przed ołtarzem – ostrzegł ją wuj.

– Zjedz chociaż trochę chleba i popij piwem – ponagliła ją Alinor. – Robię sobie jajka, może się skusisz?

Alys posłusznie usiadła przy stole pomiędzy wujem a bratem.

– To moje ostatnie śniadanie w domu. – Uśmiechnęła się do matki. – Jem ostatnie śniadanie jako Alys Reekie.

– Przestań – wszedł jej w słowo Ned – bo matka znów zacznie płakać.



Kiedy kończyli śniadanie, rozległ się dzwón na przystani. Na drugim brzegu czekali Stoneyowie z synem na wozie zaprzężonym w parę koni. Ned wyszedł,

żeby ich przepawić. Alinor wytoczyła beczki z piwem weselnym i mężczyźni załadowali je na wóz. Podała im jeszcze dwa wielkie kręgi sera i dwa bochny chleba pieczonego w dużym piecu przy młynie.

– Jesteś gotowa? – zagadnął Alys przyszyły teść. – Wszystko spakowane?

– Gotowa, całkiem gotowa! – odparła dziewczyna bez tchu.

Richard zeskoczył z wozu, zarumieniony z mrozu i podniecenia. Ujął obie ręce narzeczonej i ucałował je po kolei, a potem pocałował ją w usta.

Pani Stoney też wysiadła. Alys dygnęła przed nią i ucałowała teściową, a potem, kiedy witali się dorośli, wsunęła rękę w ciepłą dłoń Richarda.

– Przyniosę jej rzeczy – zaofiarował się Ned. – Są przygotowane?

Alinor weszła z nim do domu. Wyniosła stosik dobrej lnianej pościeli, najlepszej, jaką mieli, a Ned – sakwę z osobistymi rzeczami Alys. Stoneyowa obrzuciła spojrzeniem żałośnie mały tobolek, ale zmilczała. Richard podał Alinor rękę, pomagając jej wsiąść na wóz, a potem uniósł Alys pod pachy.

– My z Robem pójdziemy przez rozlewisko – rzekł Ned. – Spotkamy się pod kościołem.

– Tylko się nie spóźnijcie! – przestrzegła go Alys. – I nie ubłoćcie butów. Najlepiej idźcie brzegiem!

– Nie bój się, nie porwą mnie syreny – zachichotał Rob. – Jeszcze będziemy na was czekać!

Pan Stoney cmoknął na konie i wóz potoczył się drogą na południe. Ned okrył żar na palenisku, zamknął tylne drzwi i obaj z Robem ruszyli do Świętego Wilfryda ścieżkami przez zalaną zatokę.



Cała parafia stawiała się na ślubie ślicznej córki miejscowej akuszerki z synem zamożnego gospodarza. Wielu cieszyło się szczęściem dziewczyny. Kilka osób żałowało, że wyprowadzi się z wyspy. Wszyscy znali Neda przewoźnika, a nie było chyba w okolicy kobiety, której Alinor nie pomogła przy porodzie. Dla rodziny od wielu pokoleń związanej z promem to małżeństwo było niebywałym awansem. Ale wszyscy zgadzali się co do tego, że jeśli ktoś zasłużył sobie urodą na lepszy los, to właśnie Alys.

Padło i wiele uwag na temat Roba, który stanął obok wuja. Po tym, jak w lecie siedział wraz z lordem z przodu kościoła, ludzie odczuli satysfakcję, że wreszcie wrócił na przypisane sobie niższe miejsce. Ale młodszy, a zwłaszcza

młode dziewczyny, dostrzegali różnicę pomiędzy dawnym Robem, towarzyszem ich zabaw, synem zaginionego rybaka, a Robem dzisiejszym, który znał łacinę, terminował w Chichesterze i chodził w dobrze skrojonym kaftanie.

Nikt głośno nie mówił, że dzieci Alinor zostały wręcz nadmiernie obdarowane, jeśli wziąć pod uwagę, że urodziły się w rybackiej chacie z matki, będącej zaledwie córką przewoźnika, i łotra, który zniknął gdzieś w świecie. Nikt nie mówił, że ich szczęście było czymś więcej niż uśmiechem losu, odpłatą za wdzięk i umiejętności. Nikt nie powtarzał starej bajki o tym, że byli dziećmi elfów, jak przysięgał ich własny ojciec, a uroda i powodzenie w życiu były darem od matki, konkubiny elfiego władcy. Nikt o tym nie mówił, lecz wszyscy myśleli. Gdyby tak nie było, czym zdołałyby sobie zapracować na takie szczęście? Czy ich matka wyszłaby z nieszczęśliwego małżeństwa z głową podniesioną wysoko i bez blizn na ciele? Jak doszło do tego, że Zachary nagle i tak wygodnie dla niej zniknął? Nikt nie mówił tego głośno na ślubie Alys, ale wielu tak myślało i rozglądając się wokół, widziało w oczach sąsiadów, że ci myślą podobnie.

Pani Stoney zatrzymała Alys w progu kościoła.

– Masz posag? – zapytała. – Powinnaś mi go teraz wręczyć.

Alinor spojrzała na córkę. Ta zarumieniła się nieco i sięgnęła pod fartuch.

– Jeśli brakuje, lepiej powiedz od razu – uprzedziła ją teściowa. – Zanim wejdiesz do środka.

– Nic nie brakuje – odparła Alys.

Alinor próbowała pokonać opór karku, chcąc pokiwać głową, jakby sama była pewna, że córka ma wymaganą sumę. Pracowały całymi dniami we młynie i przędły po nocach, ale nawet doliczając pieniądze od Neda i pensję Roba, Richard musiał chyba dołożyć cały swój spadek.

Alys tryumfalnie wyjęła sakiewkę i podała ją pani Stoney. Ta zważyła ją w dłoni i zajrzała do środka. Wysypała monety na dłoń. Złote korony, srebrne szylingi. Żadnych miedziaków. Fortuna.

– Masz całą sumę – bąknęła z niedowierzaniem.

– Oczywiście – powiedziała Alys z kamienną twarzą.

– Oczywiście – powtórzyła Alinor.

Stoneyowa wetknęła sakiewkę za pazuchę.

– No to możemy wchodzić – orzekła. – Wieczorem schowam to do skrzyni w domu.

Odwróciła się i weszła do kościoła. Minęła stojących najemnych robotników i zasiadła w ławce z przodu, gdy jej zwykły użytkownik przesunął się niechętnie. Alys wzięła matkę pod ramię i stanęła przy wejściu, czekając, aż zostanie wezwana do ołtarza, gdzie czekał na nią Richard.

– Za tydzień, w niedzielę, ja tam będę siedzieć. – Alys ruchem głowy wskazała teściową rozpartą na prestiżowym miejscu. – A ty ze mną. Warto było harować na każdego pensa, prawda? Będziemy miały własną ławkę.

– To nie były pensy – szepnęła Alinor, wciąż nie mogąc uwierzyć, że udało się zgromadzić tak wielką sumę.

Córka uśmiechnęła się do niej.

– To Richard – odszepnęła. – Mówiłam ci, że zrobi wszystko, żeby mnie nie stracić.

Drzwi za nimi otworzyły się i do środka wszedł sir William. Kroczył nieśpiesznie środkiem nawy, skinieniem głowy pozdrawiając dzierzawców. Z twarzy lorda nie sposób było wyczytać, że cierpi po utracie króla i przegranej – wyrażała jak zwykle spokojną obojętność. Jego wzrok prześlizgnął się po mężczyznach stojących z tyłu, omijając Neda i innych okrągłogłowych. Za lordem w zwykłym porządku postępował jego orszak, a na jego czele gość. James Summer.

Alinor, która stała z Alys niezauważona wśród ludzi stłoczonych w tyle kościoła, zeszywniała. Nie przypuszczała, że James jest jeszcze we dworze. Jakoś nie przyszło jej do głowy, że będzie w kościele na ślubie jej córki. Złapała oparcie ławki przed sobą, bo nogi się pod nią ugięły. Zagryzła wargi. Czuła się słaba, krucha, jakby zaraz miała złamać się wpół. Ulotna, jakby miała unieść się z oddechem w powietrze, jeśli w porę tchu nie powstrzyma.

Pastor zaintonował pierwszy hymn przy wtórze bębenka i skrzypiec. Wierni z ociąganiem podjęli słabo znaną melodię. Alinor otworzyła oczy, wracając do zmysłów. Poruszyła ustami, jakby również śpiewała.

Serce waliło jej z ulgi, że nie zwierzyła się Alys, która teraz obojętnie zerkała na orszak lorda. Gdyby wiedziała, że James jest ojcem jej przyrodniego brata, a teraz mija je, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem, czułaby się straszliwie upokorzona. Odwróciła nieco głowę, żeby nie widzieć ławki, w której zasiedli wyżsi rangą domownicy sir Williama. Może to kara dla niej. Jak głupia zaufała młodemu człowiekowi, który mówił, że miłość nie ma ceny, bo nigdy nie musiał

troszczyć się o pieniądze. Zarzekał się, że stracił dla niej rozum, lecz okazał się nad wyraz rozsądny, gdy szło o jego przyszłość.

Zorientowała się, że hymn już się skończył, i posłusznie osunęła się na kolana. Nie mogła zapobiec temu, by wiarołomny kochanek był świadkiem ślubu jej córki. Najlepsze, co mogła zrobić, to dzielić radość z Alys i nie pozwolić, by jej własny smutek ją zmacił. Zamknęła oczy i pochyliła głowę. Nie potrafiła odnaleźć słów modlitwy. Miała tylko nadzieję, że zdoła przetrwać ślub i cały dzień, nie zdradzając, co czuje.

James, siedząc z przodu kościoła, wyczuł jej obecność. Walczył z pokusą, żeby się obejrzeć i sprawdzić, czy na niego patrzy. Zastanawiał się, jak wytrzyma długie nabożeństwo i jak później zdoła przejść obok Alinor. Nie pamiętał o ślubie Alys. Dla sir Williama nie miał on żadnego znaczenia. Pani Wheatley, kucharka, była lepiej zorientowana, upiekła bowiem wielki kołacz na przyjęcie weselne, ale gdzieżby przypuszczała, że Alinor w jakimkolwiek stopniu obchodzi przystojnego gościa. Nie śniłoby jej się nawet, że drży z pożądania, klęczy, kryjąc twarz w dłoniach, i modli się, aby Bóg powstrzymał go od grzechu i szaleństwa.

Kiedy nabożeństwo wreszcie się skończyło, pastor nie podszedł jak zwykle do wyjścia, by tam pozdrawiać i napominać wiernych. James czekał niecierpliwie, aż domownicy lorda opuszczą kościół i oswobodzą go z matni, ale sir William nie ruszył się z miejsca.

– Dziś będziemy świadkami sakramentu małżeństwa. Ci z was, którzy nie mają ochoty uczestniczyć, mogą opuścić świątynię. Proszę, abyście nie mitrężyli pod kościołem, a dzieci niech nie dokazują pomiędzy grobami.

Spomiędzy członków rady parafialnej dobiegł pomruk, oznaczający, że i oni uważają wykorzystywanie kościelnego podwórca jako tradycyjnego miejsca spotkań za bezbożne.

– A tych, którzy zostają – podjął pastor – proszę, by podeszli bliżej.

James rozejrzał się zaskoczony i kątem oka dostrzegł bladą twarz Alinor. Nagle przypomniał sobie, że to dzień ślubu jej córki. Zapragnął, żeby sir William wyprowadził wszystkich z kościoła, lecz chwilę później zorientował się z przerażeniem, że lord najwyraźniej ma zamiar uświetnić ceremonię swoją obecnością.

Richard Stoney podszedł do dawnych stopni ołtarzowych i stanął przy nagim, pozbawionym ozdób stole, który blokował drogę do pustej absydy.

Alinor skupiła się na ceremonii, wyrzucając z głowy wszystkie myśli o Jamesie. Uśmiechnęła się czule do córki.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedziała. – Idź.

Ned opuścił miejsce wśród mężczyzn, podszedł i podał ramię pannie młodej, poważnie i uroczyście jak lord. Alys, blada, lecz uśmiechnięta, wygładziła fartuch na sporym już brzuchu i przyjęła ramię wuja. Alinor, niosąc jej pelerynkę, ruszyła za nimi. Zatrzymali się przed pastorem, nagle więc znalazła się tuż obok Jamesa, siedzącego w ławce za sir Williamem. Czuła się tak, jakby to oni mieli brać ślub w obliczu całej parafii. James patrzył przed siebie, na drewniany pulpit podtrzymujący Biblię. Alinor nie odrywała wzroku od drżącej kokardki zdobiącej czepek Alys.

Pastor odczytał słowa świeżo wprowadzonej liturgii sakramentu małżeństwa, a młodzi powtórzyli słowa przysięgi. Ned podał małą dłoń Alys Richardowi, a ten wsunął jej na palec obrączkę. Stało się.

Alinor rozluźniła palce zaciśnięte na płaszczu córki, który niosła jak tarczę, kryjąc swój brzuch. Poczowała pod powiekami gorące łzy ulgi. Stało się. Alys jest teraz panią Stoney, kobietą zamężną. Nieważne, co będzie z jej matką, ona jest bezpieczna. Zachowa dobre imię i ma zapewnioną przyszłość. Alys jest mężatką. Panią Stoney z gospodarstwa Stoneyów. Jest bezpieczna.

– Amen – powiedział głośno sir William. Zgromadzeni powtórzyli za nim.

Richard pocałował żonę i wszyscy hurmem ruszyli ku młodej parze, by jej pogratulować. Alys, rumiana i uśmiechnięta, rozdawała wkoło buziaki. Richard nadstawiał plecy na poklepywanie i przyjmował życzenia. Młodzi zatrzymali się przed lordem, który ucałował pannę młodą. James uśmiechnął się, złożył im życzenia i uścisnął dłoń Richarda. Wtedy tłum nagle się rozstał i James stanął twarzą w twarz z Alinor. Było tak, jakby nagle znaleźli się sami w absolutnej ciszy.

– Gratuluję i cieszę się szczęściem waszej córki, pani Reekie. – Trudno mu było wydobyć z siebie słowa. Jakby wiatr wiał mu w twarz i wypychał je z powrotem.

– Dziękuję.

Ledwo ją dosłyszał przez gwar ludzi składających życzenia, skrzypienie drzwi i wesołe okrzyki tych, którzy już wyszli na zewnątrz i których zaskoczył mróz. Chciał jeszcze powiedzieć coś miłego, ale nie potrafił znaleźć słów. Alinor spojrzała na niego raz, a potem nie uniosła już wzroku.

– Zajedziemy na wesele – oznajmił sir William. – Wszak i tak jedziemy do Chichesteru.

– Serdecznie prosimy! – Pan Stoney pokraśniał z dumy. – Wielki to dla nas zaszczyt.

Alinor nie spojrzała na Jamesa, dając mu znak, by odrzucił zaproszenie. Jakby nie było między nimi nic, żadnych sekretów, żadnych uczuć, a on i tak by nie zrozumiał, dlaczego nie chce go na weselu córki. Było tak, jakby wszystko zostało zapomniane. Jakby rzeczywiście stali się sobie obcy. Dygnęła przed lordem i przed mężczyzną, którego kochała, a potem odwróciła się i bez słowa wyszła w mroźny zimowy dzień.



Ned i Rob poszli odcumować prom, ponieważ mnóstwo ludzi szło do Stoneyów pieszo. Sam gospodarz siedział na koźle wozu pod bramą cmentarza.

– Dobra robota, pani Reekie – powiedział zadowolony, kiedy Alinor wyszła na zewnątrz.

– O, tak – zgodziła się z uśmiechem.

– Do końca nie wierzyłem, że uda wam się zgromadzić całą sumę – rzekł, puszczając do niej oko. – Musieliście chyba sprzedać młodego Roba do Wirginii, a nie oddać do terminu.

Alinor zmusiła się do śmiechu.

– Alys to pracowita dziewczyna – wyjaśniła. – Harowała całymi dniami, a w nocy przędła.

– Mimo to... – Pokręcił głową. – Wiem, że i tak by nie wystarczyło. Mam tylko nadzieję, żeście nie popadli w długi.

– Miała te pieniądze od ojca, no i mój brat pomógł. – Alinor przemilczała wkład Richarda.

– No to hop! Wsiadajcie. – Podał jej rękę i pomógł wdrapać się na wóz. – A oto i nasza panna młoda!

Alys zasiadła obok teścia na koźle, a pani Stoney wcisnęła się jako trzecia. Alinor i Richard weszli na tył wraz z kilkorgiem sąsiadów, którzy chcieli zaoszczędzić sobie spaceru. Pani Wheatley przybiegła ze dworu w towarzystwie lokaja dźwigającego wielki kołacz z owocami. Ona również siadła na wóz i wzięła ciasto na kolana.

– Wszyscy siedzą? – upewnił się pan Stoney i cmoknął na konia.

Ruszyli. Alinor, patrząc przez ramię, zobaczyła, że James dosiadł już konia, ale coś ich zatrzymało. Sir William, nachylony z siodła, słuchał jednego z dzierżawców, który tłumaczył mu coś z przejęciem, miętosząc czapkę w rękach. Wkrótce zniknęli za zakrętem drogi. Alinor miała nadzieję, że zmitrzą dość długo i w końcu zrezygnują w ogóle z wizyty. Nie wiedziała, jak wytrzyma na weselu, jeśli będzie na nim James i ani na nią nie spojrzy, ani się nie odezwie. Będzie jak obcy, nawet gorzej niż obcy. Jak ktoś, kto się jej pozbył i wcale tego nie żałuje.

Trwał odpływ, woda była na tyle płytka, że wóz przejechał brodem. Ci, którzy szli pieszo, przeprawili się promem. Ned ciągnął linę, a że był to dzień ślubu jego siostrzenicy, nie brał od nikogo opłaty. Ludzie żartowali, że z pewnością policzy im podwójnie, kiedy będą chcieli wrócić do domu. Zamierzał zostać, aż wszyscy goście przeprawią się na drugą stronę, a potem wraz z Robem dogonić ich we młynie.

– Do zobaczenia! – zawołała do niego Alys. – Przyjdźcie prędko!

Ned pomachał jej i skierował prom z powrotem w stronę wyspy. Wóz ruszył do młyna. Przy bramie stała pani Miller.

– Zapraszam! Trzeba wznieść toast za zdrowie młodej pary! – wołała. – Dam wam szynkę na przyjęcie.

– Bardzo dziękuję – rzekł Stoney, skręcając na podwórze.

– Nie możemy zostać zbyt długo – napomniała go żona, schodząc z kozła. – Musimy dotrzeć do gospodarstwa przed sir Williamem. Jego lordowska mość będzie gościem na weselu.

– Zobaczymy go, jak będzie przejeżdżał – uspokoiła ją pani Miller. – I na pewno zechce wstąpić na szklaneczkę mojego piwa. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nas minął, nie wstępując.

Richard podał lejce koniuchowi. Pani Wheatley ostrożnie położyła ciasto na podłodze wozu i zsiadła.

– Nie wiedziałam, że jej piwo jest tak wyśmienite – szepnęła do Alinor. – I nie sądzę, żeby sir William musiał w ogóle wyjeżdżać z domu, żeby napić się dobrego piwa.

– Na pewno nie musi – odparła lojalnie Alinor, ledwie mając świadomość, o czym rozmawiają. – Ale cieszę się, że pani Miller pije zdrowie mojej córki. Biedna Alys nie miała u niej lekko.

– Ano, pełno dymu w tej kuchni. – Pani Wheatley zaśmiała się, przytaczając stare określenie złośliwej gospodyni.

Alinor uśmiechnęła się. Poczowała ruchy dziecka i na chwilę oparła się o framugę, myśląc o tym, jak bardzo jest zmęczona i jaki długi dzień jeszcze ją czeka.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się kucharka.

– Tak – odparła wesoło. – Cieszę się razem z Alys, ale to był ciężki czas.

Weszły do kuchni, a potem do paradnej izby, gdzie przedtem Alinor bywała tylko po to, by w niej posprzątać. Dziś jednak drzwi stały otworem, a członkowie orszaku weselnego byli gośćmi. Na okrągłym drewnianym stole stały szklanice, kubki i suche ciasteczka, Millerowa zaś miała na sobie najlepszy czepiec i fartuch. Młynarz zagrzał piwo na ogniu, a Jane nalała po małym kubku dla każdego.

– Gdzie Peter? – zagadnęła Alinor.

– Poszedł się bawić z chłopakami od Smitha – odparła Jane.

– Za zdrowie panny młodej, nowej pani Stoney! – zawołał pan Miller, wznosząc cynowy kufel. – I za szczęście młodej pary!

– Zdrowie! – powtórzyli goście, wznosząc swoje kubki. – Zdrowia i szczęścia!

– Dziękuję. – Alys, trzymając dłoń na ramieniu Richarda, uśmiechnęła się do zebranych.

– Niech Pan Bóg błogosławi nam wszystkim – dodał Richard.

Młynarzowa wyszła. Podekscytowany młynarz, mając gości dla siebie, zaczął właśnie wspominać swoje weselisko, kiedy z kuchni dobiegł głośny krzyk.

– Złodzieje! Złodzieje w moim domu!

Millerowa wpadła do izby z czerwoną sakiewką w umazanych sadzą palcach. Twarz miała białą z przerażenia.

– Boże uchowaj! – zatroskała się pani Wheatley. – Usiądźcie, kumo. Usiądźcie. Co się stało?

Millerowa odepchnęła ją na bok.

– Patrzcie – rzuciła, wyciągając przed siebie sakiewkę. – Sami zobaczcie.

– Cóż to takiego, moja droga? – spytał Miller. – Chyba nie...

– Moje oszczędności – załkała. – Posag Jane. Właśnie go wyjęłam, żeby dać dziewczynie pół korony z okazji ślubu. Nie żebym jej była cokolwiek winna. Ale pomyślałam, że podaruję jej coś na nową drogę, i...

– Nie mów, że cię okradli!

W odpowiedzi pani Miller potrząsnęła sakiewką. Rozległ się uspokajający brzęk monet. Sakiewka była mile zaokrąglona i z pewnością pełna.

– Brakuje czegoś? – Młynarz wyjął jej z rąk sakiewkę i zważył w dłoni. – Będzie ze czterdzieści, może pięćdziesiąt funtów – orzekł. – Poznać po wadze i dźwięku. Musisz wiedzieć, że...

– Nie okradli – przerwała mu. – Nie okradli. Wolałabym już, żeby okradli. To czary!

Wszyscy obecni syknęli z zabobonnego strachu.

– Co takiego? – zdziwił się młynarz.

– Co takiego? – powtórzyła jak echo pani Wheatley. – Millerowa, usiądźcie sobie. Nie wiecie chyba, co mówicie.

Posadziła gospodynię na krzesło. Alinor podeszła i przytknęła jej rękę do czoła, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki. Kątem oka dostrzegła Alys. Panna młoda była blada, jakby zobaczyła ducha. Usta miała na wpół rozwarte, chciała może przemówić, lecz nie odezwała się ani słowem.

Alinor poczuła, jak przenika ją okropne zimno. Jej ręka bezwładnie opadła z czoła młynarzowej.

– Co się stało? – spytała cicho. – Pani Miller? Co się stało?

Ta bez słowa wyrwała sakiewkę z rąk męża i rozsypała rzemyk.

– Widzicie? Zobaczcie tylko, co jest w środku. Widzicie? Pokażę wam.

Skinęła na Alinor, która bezwiednie podstawiała dłonie, i wysypała na nie zawartość sakiewki. Monety były gorące i podejrzanie lekkie. Alinor trzymała w rękach garść złota elfów. Oberżniętych i wygładzonych monet, które tak lubiła zbierać. Starożytnej waluty saskiego wybrzeża. Kiedy były w sakiewce, dźwięczały jak prawdziwe, ważyły tyle co trzeba, ale teraz, w świetle dziennym, fałsz wyszedł na jaw. Trzymając w rękach własny zbiór monet, Alinor spojrzała w przerażoną twarz córki i od razu wiedziała, co się stało.

– Złoto wrózek – rzekła z lękiem pani Miller. – W moim domu. Podrzucony diabelski skarb. Miałam w sakiewce porządne złoto i srebro na posag dla córki. Nie tykałam go. Trzymałam w komi... w ukryciu. Jakaś wiedźma podmieniła moje oszczędności tak, żebym się nie spostrzegła. Gdybym to wzięła i zważyła w ręku, pomyślałabym, że jest, jak należy. A tymczasem wszystko zabrała!

– Mówiłem nie raz i powtórzę znowu: to było głupie miejsce na schowek – powiedział Miller.

– Co ze skrzynią? – zaniepokoiła się jego żona. – Skrzynia pod łóżkiem!

Zbladł gwałtownie, obrócił się na pięcie i wypadł z izby. Usłyszeli łomot kroków na schodach, skrzyp drzwi do sypialni i dwa energiczne kroki na drewnianej podłodze, a potem szurnięcie skrzyni wyciąganej spod łóżka.

Alinor, z rękami pełnymi fałszywych monet, stała bez ruchu i nasłuchiwała razem ze wszystkimi.

– Boże, ratuj. Boże, oszczędź nas – szeptała pani Miller. – To wszystko, co mamy. Jeśli i to zmieniło się w jakieś diabelstwo, jesteśmy skończeni.

Usłyszeli, jak młynarz dzwoni kluczami i dźwiga wieko. Następnie dobiegło ich westchnienie ulgi, brzęk monet, a potem łoskot zamykanego wieka, powolne kroki na schodach i brzęk kluczy chowanych do kieszeni kamizelki.

– Dzięki Bogu, wszystko na miejscu – powiedział, stając w drzwiach z poszarzałą twarzą. – Pieniądze z młyna są bezpieczne. Tylko oszczędności zniknęły. Posag Jane. Ile tego było?

Nawet w obliczu okropnej straty pani Miller nie miała zamiaru zdradzić mężowi, ile udało jej się odłożyć przez lata.

– Dużo – rzuciła z wściekłością. – Ponad czterdzieści funtów tam miałam. Jak teraz odbiorę je wiedźmie?

– Może jakiś złodziej wszedł z podwórza? – podsunęła pani Wheatley.

– A który złodziej zostawia po sobie elfie złoto? Nikt tu nie wchodził. Nikt nie wiedział, gdzie trzymam pieniądze. Mówię wam, to była wiedźma. Wiedźma jak nic. Magiczną sztuką podmieniła mój skarb, zostawiając swój w zamian. To czarodziejskie monety.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Cisza gęstniała i krzepła. Wolno, tak wolno, jak świtała im w głowach myśl, ludzie zaczęli się oglądać na Alinor. Alinor pracowała we młynie od dzieciństwa i była wiedzącą o mocach nie z tego świata. Alinor potrzebowała złota na posag dla własnej córki i naukę dla syna. Własny mąż mówił o niej, że oddaje się panu elfów. Powoli wszyscy zwrócili wzrok na kobietę, która stała z twarzą bladą jak wapno i rękami pełnymi złota wrózek.

– Ty widziałaś, jak wyciągam sakiewkę z komina! Wtedy, kiedy miałaś mi kupić koronkę na kołnierz! – powiedziała głucho młynarzowa.

Alinor też sobie przypomniała, jak odwracając głowę, zobaczyła wówczas odbicie w lśniącej srebrnej tacy. Przełknęła ślinę.

– To było dawno temu – wyjąkała. – Jesienią zeszłego roku.

– Ale wiedziałaś, gdzie trzyma pieniądze? – spytała pani Wheatley.

Alinor odwróciła się do przyjaciółki.

– Tak. I chyba nie tylko ja.

– Ale wiedziałaś, Alinor.

– Potrzebowałam pieniędzy – zauważyła Stoneyowa. – Nigdy nie wierzyłam, że uda ci się zebrać całą sumę.

– Pracowałyśmy! – wybuchnęła Alys. – Wszyscy widzieli, jak ciężko harowałyśmy. Tutaj, we młynie... wszyscy widzieli. I przędłyśmy. I pomagałam przy promie. I ojciec mi dał... i wuj pożyczył...

– I tak by nie wystarczyło – orzekła jej świekra. – Musiałaś wziąć od kogoś jeszcze.

– Nic podobnego – odparła Alinor dumnie i natychmiast pożałowała swoich słów.

– Ja pomogłem Alys – wtrącił Richard i został zgromiony wściekłym spojrzeniem matki.

– Nie trzeba było – rzuciła ostro.

– Nawet jeśli – odezwał się Stoney – miałaś przecież tylko to, co zarobiłaś.

– A jego spadek? – spytała Alinor. Monety iskrzyły się w jej drżących dłoniach.

– Jaki spadek? Nie dostał żadnego spadku – rzekł Stoney.

Alys spojrzała na matkę wielkimi oczami i wolno pokręciła głową. Nie było spadku.

– Reekie, powiedzcie, że to nieprawda – poprosił cicho młynarz. – Znam was przecież od lat. Powiedzcie, że to nie wy.

– Oczywiście, że to nie ja – rzekła Alinor. Nawet w jej własnych uszach drżące słowa zabrzmiały nieprzekonująco. Wyciągnęła do niego ręce, jakby w krzepkich, tęgich łapach młynarza złoto mogło odzyskać pierwotną zwykłą postać.

– Nie dawajcie mi tego! – Cofnął się ze strachem. – Nie chcę ich w moim domu.

– To wyrzucmy je za drzwi. – Alinor wyszła do kuchni i łokciem otworzyła drzwi na podwórze. Ale wtedy niespodziewanie zagrodziła jej drogę Millerowa.

– Nie tak szybko – powiedziała. – Nie pozbędziesz się ich tak szybko. Trzymaj, póki nie dowiedziesz, że nie są twoje. Musisz nam jeszcze wiele wyjaśnić.

– I gdzie jest mój posag? – zawtórowała jej Jane.

Alinor próbowała się roześmiać. Monety lepiły jej się do rąk.

– Pani Miller, byłyśmy sąsiadkami przez całe życie. Moja matka przyjmowała was na świat...

– I wszyscy mówią, że była wiedźmą.

– Nieprawda!

– Czarowała. Była wiedząca. Znajdowała rzeczy i potrafiła je odbierać – przypomniała jej młynarzowa. – Umiała rzucać...

– Ale ja nie. Dobrze wiecie, że nie umiem.

– Masz ręce pełne elfiego złota. Skąd się niby wzięło?

– Nie zaczarowałam waszych pieniędzy! – zawołała Alinor. – Nie podmieniłam ich!

– Trzymajcie ją, zanim nas przeklnie! – wystraszyła się Millerowa, jakby podniesiony głos Alinor wszystko zmienił. – Ty – zwróciła się do męża – leć po drugiego kościelnego. Albo lepiej pastora. Trzeba ją osądzić.

– Z powrotem do kościoła?

– Będziesz się teraz spierał? – krzyknęła. – Wiedźma w domu z rękami pełnymi złota wrózek, a ty będziesz stał i się spierał?

Pan Miller rzucił niedowierzające spojrzenie na Alinor i wyszedł do kuchni, żeby włożyć płaszcz. Kiedy otwierał drzwi na podwórze, usłyszeli stukot kopyt.

– Sir William – sapnął z ulgą. – Jego lordowska mość jedzie. Jest sędzią pokoju. On będzie wiedział, co zrobić.

Stłoczeni wokół Alinor sąsiedzi wypchnęli ją na podwórze, na spotkanie samotnego jeźdźca. Ale to nie był sir William. Przyjechał James Summer.

– Jego lordowska mość już jedzie. – Uśmiechnął się, lecz naraz zamilkł, kiedy zobaczył Alinor z dłońmi pełnymi monet i tłum przerażonych ludzi. – O co chodzi? Co tu się dzieje?

– Kuma Reekie została oskarżona o czary – stwierdziła rzeczowo pani Wheatley, podchodząc do konia i spoglądając w górę na Jamesa. – Obecna tu kuma Miller okradziono. Podmieniono jej oszczędności na złoto wrózek. Oskarża o to Reekie, która nie ma nic na swoją obronę.

– Co takiego? – spytał James z niedowierzaniem.

– To nieprawda! – Alys przepchnęła się do przodu. – To wszystko kłamstwa!

– Więc jak moje pieniądze zmieniły się w złoto wrózek? Gdzie się podziały te prawdziwe? – dopytywała się Millerowa. – Kto mógł to zrobić, jeśli nie

czarownica? Kto inny potrafi takie rzeczy? A wszyscy wiemy, że Alinor kocha elfie złoto. Już jako dziecko znajdowała je na bagnach.

– Nie ukradłabym waszych pieniędzy! Tak, wiedziałam, gdzie je chowacie. Wiedziałam od dawna, jak pewnie wszyscy. Ale ich nie ukradłam. Nie okradłabym nikogo. Od dziecka bywałam w waszym domu. Nie ma chyba na wyspie domu, w którym bym nie była. I nigdy niczego nie zabrałam. Jestem licencjonowaną akuszerką...

– Po prawdzie to teraz nie macie licencji – wtrącił któryś z mężczyzn.

Urwała i spojrzała na niego.

– To akurat nie moja wina – powiedziała. – Czemu mi to wyrzucacie?

– A żona Neda? I dziecko?

Alinor westchnęła.

– Straciła je. Zrobiłam wszystko, co mogłam...

Na podwórzu w ślad za Jamesem pojawiało się coraz więcej gości weselnych. Rozejrzała się po zaskoczonych, przerażonych twarzach sąsiadów.

– Znacie mnie przecież. Wszyscy mnie znacie. Nigdy bym... – Słowa, nawet w obronie, przychodziły jej z coraz większym trudem.

– Ktoś to jednak zrobił – rzekł pośpiesznie pan Miller, patrząc na Jamesa. Ten siedział bez ruchu w siodle, porażony koniecznością podjęcia decyzji, gdy wszyscy wyraźnie zwracali się do niego, by sprawę rozsądził. – Co pan o tym myśli, panie Summer?

– Reekie będzie musiała stanąć przed sędzią, aby oczyścić swoje imię – powiedział James z ociąganiem.

– Czy sir William jest już w drodze? – spytał Stoney.

– Tak. Jedzie za mną.

– Jest sędzią pokoju. To wystarczy. Będzie mógł wysłuchać sprawy. – Młynarz, jako kościelny, znał prawo. Przysunął się do Jamesa i złapał za wodze. – Nie chcemy, żeby ją zabrali do więzienia w Chichesterze i tam sądzili za kradzież – szepnął pośpiesznie. – To dobra kobieta. Powiesz ją, jeśli brakuje więcej niż trzy funty, a w tej sakiewce było pięćdziesiąt. Lepiej niech to nie wychodzi z wioski. Lepiej, żeby sprawę rozsądził lord, tu na miejscu, gdzie wszystko zostanie między nami. I lepiej zacząć od razu, zanim ktoś pomyśli o Chichesterze.

James, wzięty z zaskoczenia, został zmuszony do działania. Zsiadł z konia, a chłopak stajenny zabrał go do stajni.

– Wysłucham teraz dowodów – oznajmił głośno, żeby wszyscy go słyszeli. – Kiedy nadjedzie jego lordowska mość, przekażę mu sprawę i wspólnie się naradzimy.

Próbował ściągnąć spojrzenie Alinor, ale ta nie patrzyła w jego stronę. Wzrok miała wbity w córkę, która uczepona ramienia męża, z twarzą białą jak mąka, wpatrywała się w matkę.

– Gdzie brat oskarżonej? – spytał James, myśląc o tym, że głos Neda będzie się liczył w tej przerażonej kompanii.

– Nic tu po nim – zaprotestowała Millerowa. – Nie ma nad nią żadnej władzy. Nie potrafił nawet ustrzec własnej żony. Ona robi, co chce. Jej ojciec już nie żyje, a męża też nie ma, jak twierdzi, choć nikt nie widział jego grobu.

– Po prostu zniknął – dodał ktoś z tłumu. – Jednego dnia skarżył się na nią, a następnego już go nie było.

– Przewoźnik będzie ważnym świadkiem – zarządził James. – Poślijcie po niego.

Spokojny głos i aura autorytetu, jaką roztaczał, powoli przeważały nad strachem. Miller, rozglądając się po sąsiadach, wyczuł, że opuszcza ich podniecenie i żądza przemocy.

– Tak będzie najlepiej – przyznał. – Leć po niego, chłopcze. – Kiwnął na parobka. – A wam będzie potrzebny stół i papier – zwrócił się do Jamesa z szacunkiem. – Najlepiej zasiądźcie w kuchni, jeśli wam to nie wadzi. To największe pomieszczenie i mamy tam stół i solidne krzesło.

James pokiwał głową. Młynarz poprowadził go do kuchni. Tam zarządził, żeby przesunięto ciężki stół pod ścianę, ustawiono za nim krzesło z wysokim oparciem, i wskazał Jamesowi, by zajął miejsce sędziego. Sam, jako tymczasowy asystent, stanął obok.

– Nie mam władzy, by sądzić – mruknął do niego James, siadając za stołem.

– Znacie łacinę?

– Oczywiście.

– To wystarczy.

James wyprostował się na krześle i położył ręce na stole przed sobą. Kuchnia zaczęła wypełniać się ludźmi, którzy przywlekli z powrotem Alinor. Wciąż ścisnęła w rękach stare monety. Pani Miller podsunęła Jamesowi kartkę papieru, Jane przyniosła kałamarz i pióro. Weselni goście ustawili się kręgiem niczym widownia wystawianych ongiś misteriów. Alinor wypchnięto do przodu, stanęła

osamotniona przed stołem. Alys chciała do niej podbiec, ale Richard ją zatrzymał i łagodnie odciągnął do swoich rodziców.

– Ja muszę... – szepnęła.

– Lepiej zostań tutaj. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Dlaczego ona myślała, że mam własny majątek?

– Och, nie mam pojęcia – szepnęła Alys i zamilkła.

James zanurzył pióro w kałamarzu, mając nadzieję, że Ned wkrótce się zjawi, a lord zaraz po nim. Teraz pragnął jedynie zyskać więcej czasu.

– Nazwisko – powiedział, jakby stała przed nim obca osoba.

W kuchni rozległ się szmer satysfakcji. Potworna groza czarostwa znalazła się pod kontrolą władzy. Nie musieli już się głowić, jak ustrzec się nieznanymi, zaświatowych mocy. Oto pan, który znał łacinę, brał za to odpowiedzialność.

– Wiecie, jak się nazywam – odparła Alinor oschle.

Jej buta wywołała pomruk oburzenia wśród zgromadzonych.

– To Alinor Reekie – powiedziała pani Miller. – Siostra Edwarda Ferrymana, z przewoźników.

James spuścił wzrok i zanotował imię ukochanej u góry karty.

– Wiek?

– Mam dwadzieścia siedem lat – odparła Alinor.

– Zawód?

– Jestem licencjonowaną akuszerką i uzdrowicielką.

– Bez licencji – przypomniał ktoś z tłumu.

Alinor uniosła głowę.

– Jestem akuszerką i uzdrowicielką – powiedziała. – Powszechnie docenianą.

– O co ją oskarżacie?

Millerowa wystąpiła naprzód. Trzęsła się z gniewu, a choć starała się panować nad głosem, to i tak drżał z emocji.

– Jestem Elizabeth Miller, żona młynarza. Trzymałam oszczędności, posag mojej córki Jane, w schowku, tu, w kuchni. – Wskazała komin. – O, tu właśnie, za luźną cegłą w kominie.

Wszyscy spojrzeli w miejsce, gdzie brakowało cegły, a potem z powrotem na białą twarz Alinor.

– Jesienią, we wrześniu to było, posłałam Reekie po sprawunki na targ do Chichesteru. Miała coś dla mnie kupić. Zaufałam jej!

Tłum zaszemrał, komentując chorobliwie nieufną naturę pani Miller. Ta ciągnęła:

– Skrytka była tajna. Kazałam jej się odwrócić, kiedy wyciągałam pieniądze. Ale mnie podejrziała. Tyłem stała, a i tak zobaczyła.

Zebrani westchnęli ze zdumienia.

– Jak to możliwe? – zapytał James sceptycznie. Jego pióro wisiało w gotowości nad papierem.

– Magicznym zmysłem, a jakżeby inaczej? Kiedy się znów obróciła, po twarzy poznałam, że mnie widziała. Po prostu wiedziałam. Czarodziejskim okiem mnie wiedźma śledziła.

Rozległ się pomruk. Wszyscy obecni, z wyjątkiem pani Wheatley i rodziny Stoneyów, zgadzali się, że oto mają wystarczający dowód.

– Nie możecie nazywać jej czarownicą, dopóki to nie zostanie dowiedzione – upomniał ją James. Jego spokojny głos uciął wszelkie dyskusje. – Czy widzieliście, gdzie pani Miller trzyma pieniądze? – zwrócił się do Alinor.

– Zobaczyłam jej odbicie w tacy – odparła krótko i wskazała na srebrną tacę, pyszniąca się dumnie na wielkim kredensie. – Kazała mi się odwrócić w tę stronę i zobaczyłam odbicie w tej tacy, jak w lustrze. Nie podglądałam jej, to się stało przypadkiem. Ale wielu ludzi wiedziało, że trzyma tam pieniądze. Nieraz, kiedy im płaciła, monety były gorące, a ona miała palce brudne od sadzy. To nie była żadna tajemnica.

Kilkoro najemnych robotników mruknęło potwierdzająco. Oni też otrzymali gorące monety.

– Czy tak się sprawy mają? – zapytał James, nieco zbyt skwapliwie. – Miejsce ukrycia było powszechnie znane?

– Tylko wiedźma mogła zobaczyć odbicie – upierała się pani Miller. – Nikomu innemu nie udałoby się mnie podejrzeć.

Pani Wheatley przepchnęła się przez zatłoczoną kuchnię i stanęła na wprost kredensu. Zerknęła na tacę.

– Widać – doniosła Jamesowi. – Widać wyraźnie.

– Dlaczego nie zmieniliście miejsca ukrycia pieniędzy? – zapytał James. – Skoro byliście przekonani, że zostało odkryte?

– To prawda – przyznała pani Miller. – Nie zrobiłam tego.

Jej słowa zabrzmiały słabo i postanowiła zrobić wszystko, żeby odzyskać wiarygodność.

– Bo mnie zaczarowała – oświadczyła z mocą. – Zapomniałam o wszystkim. Aż do teraz. Po prostu zapomniałam i ufałam jej znowu. Bo nie pamiętałam, że mnie widziała. Czar na mnie rzuciła, no bo jak inaczej?

– Czy zaprzeczycie temu? – James zwrócił się do Alinor. Ale ta nie patrzyła na niego. Nadal wzrok miała wbity w bladą twarz córki, którą przytrzymywał Richard Stoney. Prawie nie słyszała, co do niej mówiono. Ulga trwała krótko, zbyt krótko. Musiała coś wymyślić, by zapewnić ukochanemu dziecku bezpieczeństwo.

– Musicie odpowiedzieć – ponaglił ją James.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego obojętnie.

– Tak, widziałam jej odbicie w tacy – potwierdziła. – Ale nigdy mnie nie obchodziło, gdzie trzyma pieniądze za jajka. Nie jestem złodziejką.

– Pieniądze za jajka? – wściekła się Millerowa. – Tam było ponad czterdzieści funtów!

– Mój posag – przypomniała Jane.

Alinor lekceważąco wzruszyła ramionami niczym prawdziwa dama.

– Nie wiedziałam, ile jest w sakiewce. Przypomnijcie sobie, że nie brałam jej do ręki. Widziałam ją tylko raz, kiedyście mi dawali pieniądze na koronki. Nawet jej nie dotknęłam, prawda?

Pogarda nędzarki dopiekła Millerowej do reszty.

– Prawda wygląda tak, że podmieniłaś pieniądze, nie dotykając! Wcale nie musiałaś ich wyciągać ze schowka! – krzyknęła. – Nie musiałaś dotykać. Ze swojego bagniska to zrobiłaś! O północy! Zawsze sama tam siedzisz, łazisz po swoich ścieżkach, co to nikt inny ich nie zna, przy świetle księżyca, i gadasz do siebie.

Alinor aż się cofnęła, tyle jadu było w słowach kobiety.

– Ona ich nie zabrała! – Głos Alys zniecka przebił się przez gwar. Dziewczyna wystąpiła naprzód, wrywając się mężowi. – Wiem, że tego nie zrobiła!

Matka uniosła głowę i spojrzała jej w oczy.

– Nic nie mów – poleciła. Przeniosła wzrok na ściągniętą twarz Richarda. – Zabierz ją stąd – powiedziała cicho. – To dzień jej ślubu. Nie powinno jej tutaj być. Zabierz ją do domu. Do jej nowego domu.

Pokiwał głową. Z jego młodej twarzy można było wyczytać, że jest wstrząśnięty. Próbował odciągnąć opierającą się Alys do drzwi.

– Nie pójdę! – protestowała.

– A więc milcz! – zdenerwował się. – Milcz, jak ci matka każe.

Alys odwróciła się do matki.

– Mamo... – powiedziała rozpaczliwie. – Mamo, wiesz...

– Wiem – odparła Alinor. – Wszystko wiem. Po prostu idź.

– Widzicie? Spiskują! – krzyknęła pani Miller. – A więc jest i druga wiedźma!

James poczuł ogromną ulgę, gdy do kuchni wszedł Ned i rozejrzył się zaskoczony. Za nim zjawił się Rob.

– O co chodzi? – spytał przewoźnik. – Co tu się dzieje?

– Reekie jest oskarżona o to, że za pomocą czarów ukradła oszczędności Millerowej, pozostawiając w ich miejsce złoto wróżek – wyjaśnił James.

Ned podszedł do stołu, przeciskając się między ludźmi.

– Boże! Ludzie, co z wami? – prychnął szyderczo. – Nie potraficie pójść na wesele, żeby się po drodze nie pożreć ze sobą?

Spojrzał na siostrę i zmartwił na widok trzymany przez nią monet.

– Co to takiego? – spytał zmienionym głosem. – Alinor, co tu robią twoje świecidełka?

– To jej monety? Jej własne? Znacie je? – dopytywała się Millerowa głosem podniesionym z podniecenia.

– Rozpoznajesz te monety, Ned? – poparł ją młynarz.

– Tak – odparł ten krótko. – Tak mi się wydaje. Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo. Nie bardzo się nimi interesuję. Alinor, co się dzieje?

Rob stanął u boku matki. Uśmiechnęła się do niego krzepiąco, choć w dłoniach trzymała przekłęty dowód winy. Wszyscy patrzyli na Jamesa. Nikt już nie miał wątpliwości, kiedy sam Ned potwierdził winę siostry.

– Kumo Reekie, jak spowodowaliście, że te monety znalazły się w sakiewce kumy Miller? – spytał cicho.

Alinor w milczeniu pokręciła głową. Ned zdjął kapelusz; i wsypała do niego monety. Dwie były już tak cienkie, że przylgnęły do jej spoconych dłoni; musiała je odkleić. W kuchni rozległ się strwożony szept, jakby złoto wróżek rodziło się z jej ciała. Ned położył kapelusz na stole przed Jamesem. To był dowód w sprawie, którego nie chciał dotykać.

– Nie jestem czarownicą – powiedziała Alinor powoli. – Ani złodziejką.

– Sądzę, że powinniśmy poczekać na przybycie sir Williama – zdecydował James.

Alys rzuciła mu zrozpaczone spojrzenie.

– Wy tu teraz siedzicie. Wy decydujecie – chlipnęła. – To musi być pomyłka. Na pewno. Proszę, puśćcie matkę do domu. Niech wszyscy jadą na wesele.

– Cśśś – uciszyła ją Alinor.

– Moja matka nie jest niczemu winna – zawtórował siostrze Rob. – Proszę, oczyśćcie ją z zarzutów.

– Dobry Boże! – szepnęła pani Wheatley. – Biedne dzieci.

– Fałszywy skarb należy do niej – stwierdziła zimno Millerowa. – Przyznał to jej własny brat. Moje monety z dobrego, uczciwego kruszcu, zmieniły się w śmieci. Co to może być innego, jeśli nie magia albo inna alchemia? Pewne, że baba jest czarownicą!

– Nakłujcie ją! – zawołał ktoś z tyłu i nagle wszyscy zaczęli mówić, jeden przez drugiego.

– Znaków szukajcie!

– Rozdziać ją!

– Niech kobiety ją obejrzą!

– Diabelskich znamion niech szukają!

– Dajcie Biblię. Biblią ją zbadamy!

– Znamion na skórze szukajcie...

– Diabeł znaki na ciele zostawia!

Alinor, blada ze strachu, zamarła.

– Sir – powiedział Rob – oni nie mają prawa. Nie pozwólcie im jej tknąć. Nie pozwólcie na to...

James próbował przebić się przez wzbierający gwar.

– Wciąż zbieramy dowody – oświadczył. – To ja podejmę decyzję.

– Na piśmie – dodała pani Miller. – Decyzję na piśmie.

– Pławić ją trzeba – podsunął ktoś i natychmiast zyskał gorliwe poparcie.

– Pławić!

– To jedyny sposób!

– Najpierw ją obszukać, a potem próba wody.

Po raz pierwszy Alinor spojrzała na Jamesa. Jej oczy były rozszerzone ze zgrozy.

– Nie... Nie dam rady...

– Alinor bardzo boi się wody – powiedział Ned do Jamesa. – Śmiertelnie. Nawet na moim promie się lęka. Nie możecie jej pławić.

– Przestańcie! – protestowała Alys piskliwym ze strachu głosem. – Przestańcie!

– Sir? – Twarz Roba była ściągnięta bólem. – Panie Summer?

James wstał z za stołu.

– To nie miejsce ani czas na to – oświadczył. – Nakazuję ją aresztować.

– Już jest aresztowana! – wrzasnął ktoś z tyłu. – Chcemy próby!

– Zbadać ją!

– Próba wody!

Tłum ruszył naprzód. Ned i Rob znaleźli się nagle wśród napierających ciał i wyciągniętych ramion. Ned usiłował otoczyć Alinor ramieniem i przyciągnąć ją do siebie. Rob, zwrócony twarzą do ludzi, którzy tłoczyli się coraz ciaśniej, odtrącał ręce sięgające po matkę i osłaniał ją własnym ciałem, ale parli ze wszystkich stron i nie był w stanie powstrzymać wszystkich. Richard złapał Alys, pociągnął ją za matkę i ojcem, którzy przepychali się przez tłum na podwórze. Nikt nie wiedział, co może się za chwilę wydarzyć.

– Spokój! – krzyknął James, ale jego autorytet był niczym w starciu z rozgorączkowaną tłuszcza. – Nakazuję wam spokój!

Ned chwycił siostrę w pasie i powłókł ją w głąb domu, byle dalej od kuchni i tłumu. Alinor, powstrzymywana, szarpana za odzież, fartuch i czepek, uczepliła się go kurczowo, z całych sił. James, widząc, co się dzieje, wybiegł z za stołu, złapał Neda za kubrak i wciągnął do paradnej izby. Walczyli tak we trójkę, kiedy poczuł nagle, jak Ned sztywnieje.

– Ty masz brzuch – usłyszał.

Alinor była blada jak mleko. Zdarto jej kaftan z ramion, czepek zgubiła, a fartuch przesunął się na bok, ujawniając widoczną ciążę. Spojrzała bratu w twarz i powiedziała wyraźnie mimo panującego zgiełku:

– Tak. Niech mi Bóg wybaczy.

– Brzuch?

– Nie teraz – rzucił szybko James, ale było już za późno. Ktoś w pobliżu usłyszał.

– Wiedźma jest brzemienna! – rozległ się krzyk.

– Nie! – zawołała pani Wheatley, przeciskając się do przodu. Stała przed Alinor. Jedno spojrzenie na bladą twarz i zmienioną figurę upewniło ją, że krzykacz miał rację. – Och, Alinor! Niech Bóg ci wybaczy! Coś ty zrobiła?

– Brzemienna? – spytał z niedowierzaniem pan Miller. – Alinor Reekie?

Wszyscy zamarli. Zapanowała głucha cisza. Na Alinor spoglądały wrogie i wstrząśnięte twarze. Rob patrzył na nią w kompletnym osłupieniu.

– Co? Mamo?

– Czyje to dziecko? – zażądała odpowiedzi Millerowa. Jej głos zabrzmiał zbyt ostro, nieswojo, jakby znów ogarnął ją strach, i tym razem nie był to strach przed czarami. – To bym właśnie chciała wiedzieć. Kto jest ojcem? Albo co jest ojcem? Skąd się wzięło to dziecko?

W ciszy, pełnej grozy, usłyszeli, jak na podwórzu zajeżdża sir William i kieruje się w stronę kuchennych drzwi.



Objął całą scenę jednym spojrzeniem. Alinor podtrzymywana przez brata i Jamesa Summery nie miała czepka, włosy spadały jej na twarz, fartuch był potargany, a wydatny brzuch napinał materiał sukni. Nikt nie odzywał się ani słowem.

– Panie Summer – rzekł lodowatym tonem. – Będzie pan łaskawy podejść i wytłumaczyć mi, co tu się, u diabła, wyprawia.

Wszyscy zaczęli mówić równocześnie, ale podniósł dłoń, by ich uciszyć.

– Panie Summer, jeśli łaska?

James rzucił bolesne spojrzenie na Alinor i ruszył w stronę lorda. Tłum rozstał się posłusznie, by zrobić mu przejście. Ned stanął pomiędzy siostrą a sąsiadami, ale już nie było potrzeby jej chronić. Nikt nie miał zamiaru jej dotknąć. Nikt się nie ruszał z miejsca. Nikt nie śmiał pisnąć. Wszyscy nadstawiali ucha, żeby pochwycić coś z cichej rozmowy dwóch mężczyzn, stojących w progu. Widzieli, jak sir William przyzywa gestem stajennego; doszedł ich stukot kopyt wierzchowca odprowadzanego do stajni. Alinor wbiła wzrok w podłogę. Czas mijał. O szybę okienną obija się z brzękiem pszczoła, niezwykle gość o tej porze roku. Alinor, którą ten odgłos wyrwał z otępienia, odwróciła się i zrobiła gest, jakby chciała wypuścić ją na zewnątrz.

– Zostaw – rzekł ostro Ned.

W drzwiach pojawił się sir William.

– Dobrzy ludzie, po co ten ścisk. Nie ma potrzeby, żebyście się tu gnetli. Lepiej wyjdźcie na podwórze.

Obecni wyszli więc na zewnątrz, w jaskrawy blask zimowego słońca. Trwał odpływ i nad moczarami krzyczały mewy. Wrota młyńskiego stawu postukiwały,

popychane naporem głębokiej wody. Strużka wody przelewała się nad krawędzią śluzy.

– Reekie, kobiety będą musiały panią zbadać. Macie tego świadomość? – zapytał sir William.

Alinor skłoniła tylko głowę.

– Moja dobra Wheatley, proszę wybrać trzy kobiety, które zabiorą Reekie do środka i tam, na osobności, zbadają ją dokładnie na obecność diabelskich znamion. Ponadto wypytają o miano ojca i termin, w którym spodziewa się rozwiązania.

Kucharka rozejrzała się z zaciśniętymi ustami. W tłumie byli sąsiedzi, dawni przyjaciele i kilkoro zastarzałych wrogów. Stoneyowa skuliła się za swoim wozem. Pani Wheatley litościwie ją zignorowała.

– Kумы Jaden, Smith i Huntley – wywołała swoją kuzynkę, jej przyjaciółkę i kobietę, która pracowała jako akuszerka po południowej stronie wyspy. Sir William gestem skierował je w stronę domu i we cztery weszły do środka, prowadząc słaniającą się Alinor.

– Nie chcę jej w moim domu! – krzyknęła Millerowa z wściekłością. – Czemu nie zrobicie tego tutaj? Rozdziejcie ją do naga na podwórzu.

– Bo ja tak każę – oznajmił sir William. – Nie jesteśmy wszak poganami. – Odwrócił się do Jamesa i podjęli cichą rozmowę. Alys chciała się przysunąć bliżej, żeby coś usłyszeć, ale Richard trzymał ją mocno. Trzymał ją tak, jakby ratował ją od utonięcia. Stoneyowie stali z boku, podejrzliwie patrzyli na bladą twarz synowej, której nigdy nie uważali za dość dobrą.

Pani Stoney zbliżyła usta do ucha męża.

– Posag – szepnęła. – Mam go przy sobie. Może powinniśmy...

– Nic nie rób – odszepnął. – Obejrzymy go, jak to wszystko się skończy i wrócimy do domu. Młodzi wzięli ślub, posag nam się należy. Sama widziałaś, że to dobre monety. Na razie zostaw go w spokoju.

Pokiwała głową i czekała w ciszy, tak jak wszyscy wokoło. Po kwadransie z domu wyszły wyznaczone kobiety, a z nimi Alinor. Włosy miała zmierzwiłone, bo szukano wśród nich znamion. Z boku szyi widniała świeża wąska ranka, a biały kołnierz znaczyła kropla krwi z przekłutego płatka ucha.

– Mamo! – zawołał Rob.

Podniosła na niego znużone spojrzenie.

– To nic – powiedziała. – To nic.

Pani Wheatley stanęła przed swoim pracodawcą.

– Czy zbadaliście tę kobietę? – zapytał sir William.

– Zbadaliśmy.

– Czy jest brzemienna?

– Tak, panie. Spodziewa się rozwiązania w maju.

Z miejsca, gdzie stali Stoneyowie, dobiegł stłumiony okrzyk. Richard spojrział na Alys, jakby chciał o coś spytać, ale napotkawszy płonące spojrzenie niebieskich oczu, zmilczał.

– A więc dziecko zostało poczęte...

– W sierpniu lub wrześniu, panie.

– Czy wskazała ojca dziecka?

James odchrząknął, jakby chciał się wtrącić, ale pani Wheatley odparła:

– Nie. Jest nieugięta. Kiedyśmy ją błagały przez wzgląd na Boga i jej własną reputację, milczała.

Sir William pokiwał głową.

– Czy to może być dziecko jej zaginionego męża? – zasugerował.

– Nikt nie widział Zachary'ego ponad rok – powiedziała kucharka i natychmiast dodała: – Ale oczywiście mógł wrócić i spotkać się z nią potajemnie.

– Czy tak właśnie było? – Sir William zwrócił się do Alinor, dając jej sposobność oczyszczenia się z zarzutu cudzołóstwa. – Zastanówcie się, zanim odpowiecie. Dobrze się zastanówcie. Czy tak było?

– Nie – odparła krótko.

Jego lordowska mość przypatrywał jej się przez chwilę w milczeniu.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Mamo... – szepnęła Alys.

Alinor spojrzała na nią.

– Jestem pewna – powiedziała.

Sir William wrócił do rozmowy z panią Wheatley.

– Czy skaleczyliście ją, aby zbadać, czy nie jest czarownicą?

– Owszem – odparła. – Igłą do cerowania, którą znalazłyśmy w szkatułce na kredensie. – Tu zwróciła się uprzejmie do młynarzowej: – Została na stole, gdybyście życzyli sobie ją wyrzucić.

Pani Miller wzdrygnęła się przesądnie.

– Zabierzcie ją. Nie tknę przeklętego narzędzia.

– Czy krwawiła? – kontynuował dochodzenie sir William.

– Krwawiła, jak każda kobieta śmiertelna. I czuła ból. Krew nie płynęła bardzo obficie, ale jest czerwona jak u każdej z nas. – Wskazała szramę na szyi Alinor, która stała jak posąg ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– A czy szukałyście diabelskich znaków?

– Szukałyśmy – potwierdziła pani Wheatley. – Nie ma dodatkowych sutków, a przynajmniej takich nie znalazłyśmy. Ma za to znamię w kształcie księżyca na żebrach. Bardzo niezwykle i bardzo podejrzane.

– W kształcie księżyca?

– Nowego księżyca. Sierpowatego. Księżyca czarownic.

Tłum westchnął z satysfakcją, a sir William zamilkł, słysząc obciążający dowód. Tłum, gapiąc się na Alinor, czekał, aż lord przemówi, rozkoszując się chwilą zwłoki przed ogłoszeniem wyroku – wszak werdykt mógł być tylko jeden. Zgromadzeni na podwórzu ludzie zdawali się delectować pauzą przed ostatnim aktem misterium, czekając, aż rozpęta się przemoc.

– Sakiewka – powiedział lord cicho do Alinor. – Czy ukradłaś te pieniądze?

– Nie ukradłam – odparła Alinor.

– Czyż te stare monety nie są twoje?

Alinor zerknęła na kapelusz brata, który jedna z kobiet podała Millerowi. Młynarz trzymał go z odrazą w wyciągniętej ręce, jakby bał się, że te małe srebrne krążki go poparzą.

– Na to wygląda.

– Trzymasz je w domu przewoźnika?

Alinor zerknęła na Neda.

– Tak – przyznał z rozpaczą.

– Jakim więc sposobem znalazły się tutaj?

Alinor nie odpowiedziała. Spojrzała w niebo ponad kamienną twarzą lorda i na ziemię pod jego wypolerowanymi butami. Cisza się przedłużała.

– Panie... – odezwała się Alys drżącym głosem. – Wasza lordowska mość...

– Dziewczyna ponownie wyrwała się mężowi i stanęła przed sędzią.

– Ja je podłożyłam – przerwała jej Alinor.

– Czarami! – wykrzyknęła pani Miller. – Mówiłam, że to czarownica!

– Och, Alinor! Niech ci Bóg wybaczy! – przyłączył się pan Miller.

– Swoje dziecko też chciała nam podrzucić? – Richard szarpnął Alys ku sobie. Wzrok mu płonął. – Naprawdę jesteś brzemienna? Czy może chciałaś mnie

wystrychnąć na dudka dwa razy, kładąc do kołyski elfie dziecko, którego matką w dodatku nie jest moja żona?

– Co takiego? – spytał wstrząśnięty pan Stoney.

Sir William i James wymienili zaskoczone spojrzenia, ale wypadki toczyły się zbyt szybko.

– Nie, nie! – powtarzała Alys, wijąc się w jego uścisku. – Na litość boską, nie!

– Ale wiedziałaś, że twoja matka również jest brzemienna? Poczęła w tym samym czasie? Jak to możliwe?

Zrozpaczona Alys spojrzała na matkę.

– To nie ma nic wspólnego z nami. A pieniądze...

– Zamilcz – nakazała Alinor. Była teraz spokojna, jakby krew z ranki po igle spłukała z niej całą hańbę. – Zabierz ją stąd – powiedziała do Richarda. – Prosiłam cię przecież. Zabierz ją do domu. Nie chcę, żeby tu była.

– Mamo, ja muszę im powiedzieć...

– Nigdy! – odparła Alinor twardo. – Nie masz do powiedzenia nic, co mogłoby mi pomóc. Po prostu idź.

– Nie musimy robić, co nam każe! – wybuchnął pan Stoney.

– Miejcie litość i zabierzcie ją stąd! – wykrzyknęła Alinor błagalnie. Richard skinął głową i na wpół ciągnąc, a na wpół niosąc, zaprowadził Alys do wozu. Ojciec i matka ruszyli za nimi, rozdarci pomiędzy chęcią obojętności, jak pławia czarownicę, a grozą, że ta czarownica była teraz ich powinowatą.

Ładowali się właśnie na wóz, kiedy ktoś z tłumu zawołał:

– Do wody z nią!

– Nie zrobiłam tego z pomocą czarów – odezwała się nagle Alinor. – To była wymiana. Pożyczka. Dlatego zostawiłam wszystko, co posiadam, w zastaw. Żeby wiedzieli, że zwrócę.

– To złoto wrózek! – zawołał ktoś. – I tak zmieni się w popiół, kiedy przejdzie w inne ręce!

– A kto jest ojcem dziecka? – dopytywał ktoś inny.

– Zabrać ją do Chichesteru i oddać katu! – domagał się ktoś jeszcze.

– Rob to dziecko szatana – syknął ktoś z tłumu. – Nie jest z tego świata.

– Zachary zawsze mówił, że nie on go spłodził...

Rob zwrócił przerażony wzrok na matkę.

– To nieprawda! – krzyknęła. – Nieprawda! Ohydna potwarz! Rob jest dobrym chłopcem, tylko ojca miał podłego! – Odwróciła się do lorda, jękając się z rozpacz. – Wasza lordowska mość! Nie pozwólcie tak mówić. Znacie go! Wiecie, że to dobry chłopak... Ned, zabierz go stąd – nakazała bratu. – Zabierz go!

– Dość! – zawołał sir William, ucinając narastające pokrzykiwania, żeby zabrać ją do Chichesteru i powiesić. – Poddamy ją próbie wody – zarządził w nagłej ciszy. – Tutaj, w młyńskim stawie. Jeśli wyjdzie z niej żywa, zostanie oczyszczona z wszelkich zarzutów i nikt więcej nie będzie występować przeciw niej. Zwróci pieniądze Millerowej, tak jak ponoć zamierzała. Zgoda? Będziemy ją pławić, aby poznać wolę Bożą. Zgoda? Sprawę rozpoznałem i taki jest mój wyrok. Co powiecie?

– Pławić ją – zgodziło się z pół tuzina głosów.

– Słuszny wyrok. Do wody z nią...!

Alinor, otepiąta ze zgrozy, zwróciła niewidzące spojrzenie na brata. Lecz Ned stał ze wzrokiem wbitym w ziemię, przygnieciony wstydem.

– Ned, zabierz stąd Roba – szepnęła do niego. – Ned!

Poderwał głowę, zaalarmowany ostrym tonem.

– Zabierz stąd Roba!

Jej szept wyrwał go z rozpacz.

– Tak – mruknął. – Chodź, Rob. Idziemy stąd. Zaraz będzie po wszystkim.

– Niech nie ważą się jej dotykać! – krzyknął chłopak, stając między tłumem a matką, choć kobiety trzymały ją mocno.

James złapał go za ramię.

– To lepsze, niż gdyby oskarżono ją o kradzież – rzekł pośpiesznie. – Zaraz będzie po wszystkim. A jeśli trafi do Chichester, z pewnością zawisnie na szubienicy.

– Panie, ona tego nie zniesie. W stawie jest głęboko. Nie przeżyje tego, znacie ją...

– Zniosę – odezwała się Alinor. Jej twarz miała barwę popiołu, oczy rozszerzały paniczny strach. – Ale ty stąd idź. Nie zniosłabym, gdybyś na to patrzył.

Mężczyźni już znaleźli we młynie liny, żeby ją skrupować. Przynieśli je i stanęli, przestępując z nogi na nogę. Nie bardzo wiedzieli, jak się do tego zabrać. Każdy bał się dotknąć czarownicy, lecz pchała ich ciżba, która

postępowała za nimi. Sir William przyglądał się temu z chmurną miną. Skinął na przewoźnika.

– Zabieraj stąd chłopaka. To rozkaz. Nie powinien tego oglądać.

Ned wziął Roba za ramię i wywlókł za bramę, w stronę promu, który podskakiwał na fali odpływu.

– Poczekamy tutaj – rzekł ochryplym głosem. – A potem wrócimy i zabierzemy ją, kiedy będzie po wszystkim.

– Jak to się stało, że będzie miała dziecko? – szepnął Rob.

Ned pokręcił głową.

– Została zhańbiona – wykrztusił.

– Ale jak?

Wuj otoczył go ramieniem i przycisnął jego młodą twarz do szorstkiego materiału kubraka.

– Módl się – poradził. – I nie pytaj. Nie zniosę tego. Moja własna siostra. Pod moim dachem...

James patrzył za nimi.

– Jak można to powstrzymać? – zapytał wstrząśnięty.

– Nie można – odparł sir William. – Pozwól im to zrobić. Musisz to jakoś przetrwać.

Tłum otoczył Alinor. Związano jej ręce za plecami, potem nogi – solidnie, kilkoma zwojami – i tak powleczono do młyna. Nie opierała się. Jej twarz miała zielonkawy kolor, jakby już utonęła. Pani Wheatley dreptała z tyłu, kręcąc głową, a Millerowa gniewnie prowadziła orszak.

Dotarli na brzeg młyńskiego stawu i spojrzeli w zieloną głębię. Był pełen; zamknięte stawidła zatrzymały wodę, kiedy morze cofnęło się z zalewiska. Wrota ocierały się o siebie pod jej naporem, zgrzytało mokre drewno. Toń była przejrzysta, jakby ktoś wstawił wielką czystą misę w brzeg błotnistej zatoki. Tamę porastał wilgotny mech, a na wrotach śluzy falowały wodorosty niczym włosy topielic. Nie było tu stopni schodzących nad samo lustro, a staw był za szeroki, by przeciągnąć wiedznię od brzegu do brzegu na linie. Nikt zresztą nie miał specjalnej ochoty zbliżyć się do wody. Wionęło od niej grozą. Była głęboka i lodowato zimna o tej porze roku.

– Potrzeba więcej liny – powiedział ktoś.

– Wrzucmy ją z brzegu, tak jak jest, związaną. Zobaczymy, czy się wydostanie o własnych siłach.

– Koło młyńskie. – Nienawiść podsunęła Millerowej rozwiązanie. – Przywiążemy ją do młyńskiego koła.

Mąż spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Do mojego koła? – zapytał wstrząśnięty.

– Dwa obroty – podsunął ktoś z tyłu. – Przywiążcie ją do koła i niech zrobi dwa obroty w młynówce. To uczciwa próba.

– Mojego koła? – powtórzył młynarz, patrząc na lorda z przerażeniem.

– Szybko się obraca? – spytał ten cicho. – Dasz radę ją zanurzyć i wyciągnąć z powrotem?

– Dość szybko, jeśli młyn nie miele – szepnął młynarz. – Kiedy żarna są odłączone, koło obraca się tak szybko, jak płynie woda.

– Dwa obroty – zarządził sir William, podnosząc głos, by przekrzyczeć gwar podniecenia. – Jeśli wyjdzie z tego żywa, nie jest wiedźmą. Spłaci, co zabrała, i jest wolna. Zgoda?

– Zgoda! Sprawiedliwie! Niech tak będzie! – wołali. Podnieceni perspektywą pławienia czarownicy przenosili wzrok z wymizerowanej kobiety na wielkie, nieruchome młyńskie koło. Dolne łopatki zanurzone były głęboko w wodzie, górne sterczały w powietrzu, białe od szronu.

Alinor była bliska omdlenia. Kręciło jej się w głowie i ledwie wiedziała, gdzie się znajduje. James odwrócił wzrok, kiedy dwaj mężczyźni wzięli ją pod ręce i zabrawszy znad stawu, wciągnęli na otwartą platformę przy młynie. Musieli ją unieść, była bezwładna jak trup. Poprawili jej więzy na rękach, skrępowanych za plecami, i zaczęli owijać liną pierś i brzuch.

– To lepsze niż szubienica – powiedział sir William do Jamesa, kiedy weszli na platformę.

– Ona panicznie boi się wody.

– To wciąż lepsze niż szubienica.

– Posadźcie ją na łopatce koła – poradziła młynarzowa. – Tylko mocno przywiążcie, żeby się nie zsunęła.

Miller kiwnął na jednego z pacholków, by zablokował koło, stając na nim obiema nogami i odchylając się w tył. W ten sposób stworzył przeciwwagę, gdy mężczyźni dźwignęli Alinor za ręce i nogi i położyli na łopatce, a potem przywiązali drugą liną.

– Upewnijcie się, czy aby porządnie przywiązana – nakazał sir William. Na boku szepnął do Jamesa: – Lepiej, żeby się nie zsunęła i nie uwięzła pod kołem.

James patrzył na zaokrąglony brzuch Alinor. Jej złote włosy rozesały się kobiercem na zielonej od glonów łopatce koła. Kolejną miała ledwie kilka cali od twarzy. Nie płakała, nie wzywała pomocy. Nie odezwała się słowem, odkąd odprawiono Roba. Zrozumiał, że odjęło jej mowę z potwornego lęku.

– Dalej – rzekł sir William do młynarza. – Zaczynajcie.

Młynarz odwrócił się gwałtownie.

– Otwieram służę – powiedział do Alinor, żeby ostrzec ją przed gwałtownym szumem wody, gdy runie ze stawu do młynówki. A potem przesunął wielki żelazny rygiel.

Kaskada zagłuszyła krótki szloch, jaki wydarł się z piersi Alinor, i nikt poza Jamesem go nie słyszał. Doleciał ją bagienny zapach rozlewiska i śmiertelnie zimny dech lodowatej wody, pędzącej rynną. Czuła, że wzbiera coraz wyżej pod kołem i jej plecami. Wkrótce młynówka się napełni, a młynarz otworzy kolejny przepust, żeby wypuścić wodę w stronę morza, na rozlewisko. Wtedy wyjmie skobel i zwolni koło, woda zacznie je obracać i zabierze ją w dół, w głąb.

– Gotów! – krzyknął Miller z wnętrza młyna.

Pachołek zeskoczył z koła. Gibnęło się lekko, opuszczając kobietę nieco w dół. Wszyscy westchnęli w oczekiwaniu.

– No, dalej! – zniecierpliwiał się ktoś.

– Zwolnijcie koło! – zawołał sir William.

Z wnętrza młyna dobiegła odpowiedź młynarza:

– Zwalniam!

– Nie! – James postąpił krok, zadarł głowę. Zobaczył błysk jasnych włosów rozwianych przez podmuch wiatru. – Alinor!

Po raz pierwszy odwróciła głowę. Zdawać się mogło, że patrzy wprost na niego. Ale z jej twarzy wyczytał, że nie widzi go ani nie słyszy. W obliczu największej grozy, jakiej mogła doświadczyć, była ślepa i głucha na wszystko. Nie słyszała już nawet huku wody pędzącej młynówką ani skrzypienia koła, które zaczęło z wolna się obracać, unosząc ją w górę.

Skamieniały, patrzył, jak nieuchronnie winduje się na sam szczyt, a potem zaczyna opadać po drugiej stronie koła. Podbiegł tam; napotkał jej oszalałe z lęku spojrzenie, gdy zmierzała ku toni. Zniknęła pod powierzchnią; widział już tylko złote włosy, wijące się wokół twarzy, w miarę jak zanurzała się coraz głębiej. Wtedy, ku jego przerażeniu, koło się zatrzymało i nie poruszyło więcej, przytrzymując Alinor pod wodą.

Nikt się nie odezwał. Czas upływał.

– Taka wola Boża – szepnął ktoś z szacunkiem. – Bóg zatrzymał koło, żeby utopić obmierzłą czarownicę.

– Nie, nie! To przez jej ciężar! Jej ciało przeważa koło! – Miller wybiegł z młyna i roztrącił ludzi, stłoczonych przy krawędzi młynówki.

James od razu zrozumiał; wskoczył na koło, wczepiając ręce w łopatki. Stopy ślizgały mu się na omszałej powierzchni, ale walczył desperacko, by je poruszyć. W końcu się poddało i niezmiernie powoli zaczęło obracać, wspomagane prądem stale płynącej wody. Łopatką za łopatką wyniosło Alinor na powierzchnię.

Odsunął się, bo znów nabierało prędkości. Alinor wjechała na szczyt i ponownie runęła w dół. Kiedy go mijala, zdążył dostrzec bladą twarz oplataną pasmami wodorostów. Woda ciekła z jej włosów, ubrań, butów, nawet uchylonych ust. Poprzez okropny łoskot mielących wodę łopat usłyszał, jak kaszle i spazmatycznie łapie powietrze. Potem znów znikła pod powierzchnią.

Koło, pędzące tym razem z większym impetem, wyniosło ją po drugiej stronie. Pachołek zamknął śluzę, a młynarz pośpiesznie zsunął kamień młyński na jego łożę, blokując w ten sposób koło w połowie obrotu. Alinor miała wodorosty we włosach, z ust ciekła jej woda. Rozszerzone ze strachu oczy były półprzytomne, mokra odzież oblepiała okrągły brzuch. Miller wyszedł z młyna z twarzą pociemniałą z gniewu. Wyjął z cholewy buta ciężki nóż i przeciął więzy. Zdjął Alinor z koła, przerzucił przez ramię niczym worek mąki. Wstrząśnięty tłum rozstąpił się bezwolnie, by zrobić mu miejsce. Zaniósł ją na podwórze i złożył na bruku twarzą w dół, jak mokry toból.

Pani Wheatley przyniosła ze stajni końską derkę. Okryła nią niedoszłą topielicę, która na przemian to dygotała spazmatycznie, to wymiotowała brudną wodą, walcząc o każdy oddech. Nikt inny nie odważył się jej dotknąć.

– A więc nie jest wiedźmą. – Sir William stanął nad nią i zwrócił się do świadków swoim najbardziej oficjalnym tonem. – Wyszła z próby żywa. Co do kradzieży: oznajmiam niniejszym, że była to pożyczka. Ta oto kobieta pożyczyła pieniądze od pani Miller, pozostawiając swoją własność jako rękojmię zwrotu. To wystarczy i ja osobiście ręczę, że je zwróci. Reekie jest oczyszczona z zarzutu czarostwa. Przeszła stosowną próbę i dowiodła, że nie jest wiedźmą.

– Amen – odpowiedzieli chórem tak nabożnie, że nikt by nie pomyślał, iż chwilę wcześniej strach pchał ich do zbrodni.

– A co z dzieckiem? – dopytywała się pani Miller. – To przecież ladacznica.

– Sąd kościelny – odparł sir William krótko. – W przyszłą niedzielę.

Turkot kół otrzeźwił zgromadzonych. Na podwórze zajechał wóz Stoneyów. Na koźle siedziała Alys, obok Rob, a Ned z tyłu. Alys rzuciła lejce bratu, zeskoczyła i podbiegła do leżącej bezwładnie matki, mijając w pędzie lorda, jakby był nikim. Uklękała, próbując ją podnieść. Alinor nie była w stanie iść o własnych siłach, ale w końcu to młynarz złapał ją pod drugie ramię, nikt inny się nie poruszył. Zaprowadzili ją, wciąż dławiącą się wymiotami, do wozu, gdzie czekał Ned. Ten wciągnął ją na deski jak wielką śniętą rybę i obrócił na bok, żeby mogła odpluwać wodę.

– Reekie została oczyszczona z zarzutu czarostwa! – powtórzył głośno sir William. – Jest niewinna.

Alys spojrzała na niego, a potem na Jamesa niebieskimi oczami, w których płonęła furia.

– Oczywiście – odparła przez zaciśnięte zęby. Potem cmoknęła na konia i zawróciła do brodu.



Wracając do dworu o wczesnym zimowym zmroku, James dostrzegł wąski pasek światła spod zamkniętych okiennic domu przewoźnika. Zatrzymał konia, przywiązał go u bramy i zastukał do kuchennych drzwi. Otworzyła mu Alys z latarnią w ręku.

– To wy – powiedziała krótko.

– Jak matka?

– Przestała już wymiotować, ale oczywiście wciąż może jeszcze utonąć, kiedy woda udusi ją podczas snu. Może też umrzeć z powodu zatrucia bagiennym błotem. Albo poronić i wykrwawić się na śmierć.

– Wiesz o tym, że nosi moje dziecko?

Pokręciła głową.

– Przestało być wasze, kiedyście pozwolili przywiązać jego matkę do młyńskiego koła.

– Alys, tak mi przykro, że...

Nienawistne spojrzenie, którym go obdarzyła, zamknęłyby usta każdemu mężczyźnie, powiedział więc tylko:

– Proszę, życz jej szybkiego powrotu do zdrowia. Przyjadę jutro i...

– Nie. Nie przyjdziecie. Dacie mi tylko dla niej sakiewkę złota – odparła cicho. – Ona stąd wyjedzie. A ja razem z nią. Pojedziemy do Londynu i zajmiemy się przewozem. Wy kupicie nam magazyn, w którym znajdzie się miejsce do zamieszkania. Wzięłam konia i wóz z gospodarstwa mojego męża. Ruszamy o świcie. Założymy własny interes i same o siebie zadbamy.

James był zdumiony stanowczością młodej kobiety.

– Jak to? Zostawiasz męża?

– To sprawa pomiędzy nim a mną. Nie muszę się wam tłumaczyć. Nigdy tu nie wrócimy, a wy już jej nie zobaczycie.

– Muszę jej powiedzieć...

– Nie. Nie macie jej nic do powiedzenia. Patrzyliście beczynn timer, jak oskarżają ją o nierząd, a potem pławią jako czarownicę. Jedyne, co musicie, to dać mi pieniądze, których żądam. Inaczej powiem wszystkim, żeście ją zniewolili. Okrzyknę was gwałcicielem i zostaniecie potępieni tak jak ona. Mogę też rzec, żeście papistowskim szpiegiem, a wtedy spłoniecie na stosie przed katedrą w Chichesterze.

– Lepiej dla niej, że ją pławili, niż gdyby miała zawisnąć na szubienicy.

– To mnie powinni powiesić za kradzież! – krzyknęła. – Zawdzięczam jej życie, tak jak wy zawdzięczacie swój honor. Zachowała mój sekret i wasz także. A to ją prawie zabiło.

Wciągnął powietrze, myśląc, ile sekretów jej powierzył.

– Z miłości do nas – powiedziała Alys głucho – bo oboje nas tak bardzo kochała, stawiała czoło najgorszemu ze swych lęków. I omal przez to nie zginęła. Ja odpłacę jej za to moją miłością. A wy również zapłacicie. Na dziecko, które nosi z miłości do was, i za zdradę, jakiejście się dopuścili. I za nasze milczenie. To chyba warte sakiewki złota. Więc lepiej się pośpieszcie.

– Muszę się zobaczyć z Alinor – rzekł zdesperowany.

Dziewczyna napadła na niego niczym furia.

– Prędeziej wydrapię ci oczy, łajdaku, i oślepię do końca życia, niż pozwolę się z nią zobaczyć – syknęła. – Idź po pieniądze. Zostaw je na progu i odejdz.

– Nie mam takiej sumy.

– To ukradnij. – Zaśmiała mu się gorzko w twarz. – Jak ja.



Nad zatoką wstawał mroźny świt. Przypływ szybko zalewał ośnieżone sitowia i zamrożone oczka. W powietrzu krzyczały mewy, białe na szarym niebie. Sowa, patrolująca żywopłot wzdłuż zatoki, mignęła jasną smugą wśród ciemnych krzewów, by za chwilę znów zniknąć na tle zmrożonego brzegu. Nieliczne płatki śniegu zaczęły padać z ołowianych chmur.

Alys pomogła matce wspiąć się na wóz. Alinor drżała z zimna i bezustannie kaszłała, zasłaniając usta połą płaszcz. Dziewczyna wzięła lejce, drugą ręką delikatnie objęła matkę, która oparła głowę o jej ramię. Cmoknęła na konia i ruszyła drogą do Londynu.

POSŁOWIE

Kilka lat temu uświadomiłam sobie, że choć wciąż uwielbiam swoje fabularyzowane biografie bardziej lub mniej znanych kobiet, to jednak marzy mi się powieść historyczna zupełnie innego rodzaju, a właściwie cykl książek śledzących dzieje rodziny i jej drogę z nicości do bogactwa i znaczenia. Przeczytałam ponownie *Sagę rodu Forsythe'ów* i odkryłam, że najbardziej podobają mi się dość nieliczne i pozbawione większego znaczenia sceny, w których główna postać wraca wspomnieniami do rodzinnego domu, domu swoich przodków. Jako czytelniczka chciałam dowiedzieć się więcej o historii poprzedzającej fabułę *Sagi*. Jako pisarka zrozumiałam, że chcę spisać fikcyjne dzieje wielu pokoleń rodziny.

W dzisiejszych czasach wielu z nas bada historię swojej rodziny: chcemy wiedzieć, kim byli nasi przodkowie i czym się zajmowali. Niektórzy czynią to bardzo dokładnie, wykorzystując epigenetykę. Pragniemy odkryć więzi z ludźmi i miejscami dziś zupełnie nam obcymi. Odnajdujemy w swojej terażniejszości wyraźne echa dawnych wieków, jakbyśmy odziedziczyli pewne umiejętności, talenty czy preferencje. Większość rodzin jest podobna do mojej: najwcześniejsze dokumenty ukazują ją jako biedną i niewiele znaczącą. Dopiero drobne akty ludzkiej odwagi i dziesięciolecia nieudokumentowanych zwykle wysiłków sprawiają, że rodzina nabiera znaczenia i osiąga dobrobyt – a czasem marnieje i stacza się w niebyt.

Jako historyka interesuje mnie to, jak losy każdej rodziny odzwierciedlają w pomniejszonej skali losy całego kraju. Wszyscy jesteśmy spadkobiercami i dziejów rodzinnych, i dziejów narodu. Jako feministkę ciekawi mnie, iż często o losach rodzin decydują na pozór niewidzialne kobiety. Jako powieściopisarka chciałam się przekonać, czy możliwe jest stworzenie fikcyjnej opowieści, która przekaze historyczną prawdę: to, jak wyglądał w danej epoce świat i ludzie, co myślały, robiły i odczuwały jednostki; jak i kiedy ludzie stawali w obliczu zmian.

To ambitny plan i mam nadzieję, że zaowocuje obszernym cyklem, który zaczyna się tą powieścią, rozgrywającą się w zapadłym, odludnym zakątku Anglii podczas wojny domowej. Chciałabym prześledzić losy tej rodziny w czasach restauracji, oświecenia i epoce napoleońskiej. Nie wiem jeszcze, jak daleko zajdzie i kiedy skończy się jej historia. Nie wiem, ile książek napiszę i ile krajów będzie gościć moich bohaterów. Wiem jedno: kiedy piszę o zwykłych,

niekoronowanych ludziach, fabuła od razu staje się bardziej zaskakująca; a kiedy piszę o kobietach, badam tę część historii, której na ogół nie przekazały nam kroniki.

Pisząc ten cykl, pracuję równocześnie nad historią kobiet w Anglii. Z czasem znacznie bardziej niż gwiazdami monarszych dworów zaczęłam się interesować milionami mieszczek i chłopek. Odnajduję kobiety zbywane przez dawniejszych historyków mianem „kobiet z gminu”, których doświadczenia zatarł czas i nie zapisała historia – w głównej mierze dlatego, że powszechnie sądzono, iż niewarte są, by o nich pisać. Ale te kobiety są naszymi praprababkami i już choćby dlatego powinniśmy się nimi zainteresować. To one stworzyły naród na równi ze swoimi lepiej widocznymi i udokumentowanymi ojcami, braćmi i synami. Takie spojrzenie na historię kobiet musiało mnie w końcu doprowadzić do tego, że zapragnęłam stworzyć inną powieść historyczną – fikcyjne dzieło o historii, która nigdy nie została spisana.

Wielu świetnych literatów poważyło się na taki skok w nieznaną, fabularyzując mało znane obszary przeszłości. Szczególnie interesującym przykładem może tu być *Down the Common* Ann Baer: powieściowy portret kobiety pracującej, która miała praktycznie zerowe szanse trafić do archiwów, a zatem przejść do historii, i w konsekwencji nie pozostawiła śladu, który mógłby wykorzystać powieściopisarz. Bardzo pomocne w opisie wyspy Wight było dla mnie dzieło Jana Toma *To Serve Two Masters: Colonel Robert Hammond, the King's Gaoler* – wspaniały przykład szczegółowego opracowania historii lokalnej, która tak wiele wnosi do dziejów całego kraju. Karola I i jego proces opisałam w głównej mierze na podstawie dwóch wielkich biografii: *The Life and Times of Charles I* D.R. Watsona oraz *Charles I: The Personal Monarch* Charlesa Carltona, posiłkując się również niesłychanie wnikliwą *Going to the Wars: The Experience of the British Civil Wars, 1638–1651* tego ostatniego. W kwestiach natury ogólniejszej korzystałam, wśród wielu innych, z *The English Civil War: Conservatism and Revolution, 1603–1649* Roberta Ashtona. Dzieło Lucy Moore, *Lady Fanshawe's Recipe Book: The Life and Times of a Civil War Heroine*, stało się dla mnie inspiracją zarówno w sprawach kuchni, jak i historii kobiet, które jak matka Jamesa udały się na wygnanie wraz z rodziną królewską. Oczywiście przeczytałam znacznie więcej książek, niż tu wymieniam; mam dług wdzięczności wobec wielu wybitnych historyków i nie mniejszy wobec personelu archiwów West Sussex za ciepłe przyjęcie i pieczę, w jakiej mają dokumenty

i mapy regionu. Znalazłam kilka znakomitych opracowań badawczych będących dziełem grup rekonstrukcyjnych, co dowodzi, jak ważne są lokalne biblioteki i edukacja dorosłych.

Akcja książki, którą macie przed sobą, rozgrywa się na wyspie Sealsea w pobliżu Chichesteru. Mieszkałam tam przez kilka lat w dekadzie lat osiemdziesiątych. Wróciłam, zbierając materiały do tej książki, i raz jeszcze doceniłam rzadką urodę tego arcyciekawego zakątka. Moja główna bohaterka, Alinor, jest postacią całkowicie fikcyjną, lecz zarazem reprezentatywną dla pracujących kobiet jej epoki: wyłączone z dostępu do władzy, bogactwa i edukacji zarabiała na życie tak, jak mogły. W czasach, gdy cały kraj zajmował stanowisko za lub przeciw monarchii, kobiety nie miały żadnych oficjalnych praw politycznych; wiemy jednak z debat, publicznych demonstracji lub petycji przedkładanych parlamentowi przez rzesze kobiet, że miały własne poglądy, potrafiły działać i wypowiadać swoje zdanie. Kiedy oddajemy cześć kobietom, które zażądały praw wyborczych, upomniały się o prawo do własnych pieniędzy i własnego ciała, powinniśmy pamiętać, że na długo przed nimi miliony zwykłych kobiet po prostu uzurpowały sobie prawa, których pragnęły, i żyły wbrew kodeksom i konwenansom, choć się z tym nie afiszowały. Historia (pominąwszy może ściśle specjalistyczne badania) na ogół nie odnotowała ich sukcesów, bo bardziej im zależało na osiągnięciu celu – małym, osobistym zwycięstwie – niż jego nagłośnieniu. Nie były to więc triumfy „feminizmu”, gdzie sukces jednej kobiety przekłada się na korzyść wszystkich, lecz wojny prywatne, toczone dla siebie i może jeszcze córek. Ale w tych wszystkich indywidualnych historiach rysuje się ten sam wzór kobiecych dążeń i odnoszonych sukcesów, które w codziennej praktyce podważały i wręcz niwelowały istniejącą wówczas dyskryminację. Przez większość dziejów Anglii kobieta w oczach prawa była niczym. Pomimo to żyły zawsze tak, jakby się liczyły.

Alinor jest właśnie taką kobietą. Z pozoru – a zewnętrzny pozór jest właściwie wszystkim, co widzi James – jej sytuacja jest beznadziejna. Najlepsze, na co może liczyć, to utrzymanie się na powierzchni w czasach, gdy nędzarze umierali z głodu. Ale nawet zubożała i zhańbiona Alinor sama dla siebie jest kimś ważnym: ma plany, ma ambicje, nie popada w fatalizm, marzy o lepszym jutrze. Straszliwa próba, której ją poddano, nie była w owych czasach niczym wyjątkowym. Na przestrzeni wieku siedemnastego w całym kraju odbywały się ich setki. Ponad trzy tysiące osób skazano na Wyspach Brytyjskich na śmierć za

uprawianie czarów i stracono. Znacznie więcej stanęło przed sądem i zostało poddanych próbom, większość zaś stanowiły kobiety.

Ale tego, kim jest Alinor, nie determinują ani krążące o niej plotki, ani spadające na nią nieszczęścia. Konsekwentnie obstaje przy własnym osądzie moralnym, samodzielnie myśli i odczuwa. Jej utrzymanie zależy od sąsiadów, jej status – od mężczyzny, a jednak w tym, co dotyczy jej samej, Alinor jest niezależna. W czasach, gdy kobieta znaczyła tyle co nic, Alinor dostrzega swoją wartość. Jest – choćby tylko we własnych oczach – bohaterką. Dla mnie zaś i ona, i wszystkie żyjące dawniej kobiety, które potrafiły iść własną drogą przez niepewne, zdradliwe meandry swej epoki, są bohaterkami najwyższej miary. *Mokradła* to próba nakreślenia ich historii.

GARDENS FOR THE GAMBIA (OGRODY DLA GAMBII)

Philippa Gregory w 1993 roku odwiedziła Gambię, jeden z najsuchszych i najbiedniejszych krajów subsaharyjskiej Afryki, i opłaciła ręczne wykopanie studni w wiejskiej szkole podstawowej w miejscowości o nazwie Sika. Dziś – prawie 200 studni później – nadal zbiera pieniądze i zleca kopanie studni w wiejskich szkołach, ogrodach osiedlowych i jedynym w całym kraju college’u rolniczym. Współpracuje ze swoim przedstawicielem w Gambii, dyrektorem szkoły Ismailem Sisayem, i prowadzona przez nich razem organizacja dobroczynna opłaca zajęcia garncarstwa, batiku, pszczelarstwa i nauki czytania i pisania dla dorosłych.

GARDENS FOR THE GAMBIA (Ogrody dla Gambii) to organizacja charytatywna zarejestrowana w Wielkiej Brytanii oraz organizacja pozarządowa zarejestrowana w Gambii. Wszystkie donacje, bez względu na wysokość, trafiają do Gambii bez żadnych pomniejszeń. Aby dowiedzieć się więcej o działalności Philippy Gregory, którą sama autorka określa „najlepszym, co zrobiła”, należy wejść na stronę [www: PhilippaGregory.com](http://www.PhilippaGregory.com) i kliknąć zakładkę GARDENS FOR THE GAMBIA, gdzie można również przekazać donację, wspierając projekt Philippy Gregory.

Każda wykopana przez nas studnia zapewnia wodę dla szkoły, w której uczy się około 600 dzieci, i przyległych ogrodów, gdzie uprawia się warzywa na szkolne obiady. Nie znam bardziej bezpośredniej metody nakarmienia głodnych dzieci i nauczania ich uprawiania ziemi dla polepszenia własnej przyszłości.

Philippa Gregory

Przypisy

[1] W czasach wojny domowej zwyczajowe określenie rojalistów, zwłaszcza z wyższych klas. Ich przeciwnicy, pochodzący z ludu (lecz nie tylko), nazywani byli okrągłogłowymi – od krótko strzyżonych włosów.

[2] Reekie znaczy tyle co „śmierdziel” (przyp. tłum.).

Pierwszy tom sagi o kobietach, które nie bały się zawalczyć o swoje szczęście

Anglia, rok 1648. W kraju toczy się wojna domowa, jej echa docierają nawet na odludne mokradła południowego wybrzeża. Trwają polowania na czarownice. To niebezpieczne czasy dla kobiet, które chcą być niezależne. Taka jest Alinor — żyje bez męża, zna się na ziołach, budzi lęk i zawiść zabobonnych wieśniaków. W noc letniego przesilenia zielarka wyczekuje na cmentarzu znaku, że jej brutalny mąż rozstał się ze światem. Tymczasem pod kościołem pojawia się James, młody emisariusz, który prosi Alinor o pomoc. Kobieta przeprowadza go tajemną ścieżką przez zdradliwe bagna. Nie wie jeszcze, jak wiele przyjdzie jej zapłacić za tę znajomość...

Świetne! Fascynujący portret kobiet.
Przemawia do nas mimo upływu wieków.

PEOPLE

www.publicat.pl



Książnica

ISBN 978-83-245-8435-2

EAN 9788324584352

U.KS.HIO003.1.01.01